

AM#OPOWIADANIA STORYTELLERS

WSTĘPNIK

Witam

Numer 45 AM#O niesie za sobą sporo zmian, przede wszystkim zmienił się sam format. Oto więc, macie przed sobą pierwszy numer w formacie PDF. Nie mam zamiaru zbyt wiele pisać o korzyściach i stratach jakie wynikną z przejścia na ten format. Wspomnę tylko o większym bezpieczeństwie publikowanych prac, wygodzie czytania i wydruku, estetyce, wszystkim w jednym pliku, pdf zawsze wygląda tak samo itp. itd.

Minusy też są... pewnie mniej stron i mniej tekstów znajdzie swe miejsce w AM#O, co za tym idzie większą uwagę do ich jakości będziemy przykładac, no i na grafice trochę ucierpiemy, klimat czarnych stron też gdzieś zniknie...

Postaramy się to jednak wynagrodzić innymi plusami, wspomnę tylko o zapoczątkowaniu współpracy z Andrzejem Pilipiukiem. którego kilka komentarzy do tekstów z ostatnich AM#O, przeczytacie już w tym numerze (oczywiście nie spodziewajcie się pochlebstw : P), oraz współpraca z magazynem „Opowieści”, w którym być może niektóre opowiadania będą drukowane!!!

Niesie to ze sobą pewne zmiany również w Regulaminie, do przestudiowania którego zachęcam przyszłych i obecnych autorów.

Numer nam się rozrósł jako, że w poprzednim zaprezentowaliśmy tylko jedno opowiadanie (ale za to jakie!), głównym tego powodem było dość niespodziewane skrócenie deadlineu. Za to tym razem oddaję w Wasze ręce ponad 120 stron ciekawych tekstów. Być może w następnym numerze będzie ich jeszcze więcej? To zależy od Was! Piszcie i przysyłajcie stworzone umysłem krainy, my przeczytamy, ocenimy i być może opublikujemy.)

Oprócz tego sporo zmian organizacyjnych, dążę do tego aby przynajmniej dwóch redaktorów oceniło każde opowiadanie przed dopuszczeniem go do publikacji. Przede wszystkim dziękuję Tatyani i Nitramayowi za włożoną w kącik pracę. Nie zdziwcie się jeśli otrzymacie email odnośnie Waszego tekstu właśnie od nich.

Kończymy antologię „Młotem i Piórem”, z tego też powodu niedługo podamy informacje dotyczące kolejnej tematycznej twórczości.

Poza tym Janek odgrzewa aż 4 kotlety! I tym razem wyszły mu naprawdę pyszne...

W numerze tym przeczytacie sporo opowiadań, o najróżniejszej tematyce, zachęcam oczywiście tradycyjnie do czytania od deski do deski:)

Na koniec zachęcam do pisania i przysyłania komentarzy do tekstów z tego numeru!

Do przeczytania za miesiąc i przyjemnej lektury AM#O wszystkim życzę w zimowe wieczory!

SHIRO

STOPKA

Redaktor Naczelny
Dawid „Shiro” Nowak
shiro@storytellers.pl

Z-ca Naczelnego
Janek „JNK NM” Enem
enem@storytellers.pl

Redaktor Tekstowy
Marcin „Nitramay” Glaza
jamartin_op@wp.pl

Korekta
Marta „Tatyana” Solecka
martulka.tati@gmail.com

Storytellers
<http://www.storytellers.pl>

Kontakt z redakcją
opowiadania@gmail.com

PRENUMERATA

Chcesz otrzymywać pocztą elektroniczną nowy numer AM#Opowiadań?

Po prostu wyślij na adres redakcji: opowiadania@gmail.com e-mail o tytule:

„Prenumerata magazynu AM#OPOWIADANIA”.

Możesz także podać adresy zainteresowanych tematyką opowiadań znajomych, wyślemy im jeden email z ostatnim numerem kącika, jeśli im się spodoba będą mogli zatwierdzić prenumeratę. Pamiętaj, że im nas więcej tym więcej ciekawych tekstów w kąciku.

PARTNERSTWIO

W sprawie wszelkiego rodzaju współpracy - czy to wymiany banerów, okienek subskrypcji/prenumeraty, opowiadań, newsów albo jakiegokolwiek innej formy reklamy - piszcie śmiało na adres redakcji: opowiadania@gmail.com

REGULAMIN

Jak wysłać opowiadanie i co powinno się w nim zawierać?

Opowiadania wysyłamy pocztą elektroniczną. Na adres opowiadania@gmail.com proszę kierować wszystkie sprawy związane z kącikiem. Napisz kilka słów w treści maila, a w samym opowiadaniu nie zapomnij dodać tak oczywistych rzeczy jak tytuł i OBOWIĄZKOWO na końcu tekstu imię, bądź pseudonim autora, jakim opowiadanie będzie sygnowane w przypadku publikacji. Oczywiście, dla własnego dobra nie zapomnij także o dodaniu w pliku adresu mailowego na wszelki wypadek (gdybym np. w trakcie robienia porządków na koncie kącika usunął maila). Jeśli ktoś nie dopisze swojego adresu u dołu opowiadania uznam, że zwyczajnie tego sobie nie życzy - kontakt z takim autorem będzie możliwy jedynie przez pośrednika, czyli mnie. Pseudonim w tekście musi być zaznaczony, choćby dla mojej wygody i dobrego samopoczucia. Ponadto dłuższe teksty (około 60 tys znaków, ze spacjami) dla wygody czytającego lepiej dzielić na rozdziały.

Co z prawami autorskimi?

Przesyłając tekst do nas, zachowujesz do niego pełne prawa autorskie i automatycznie wyrażasz zgodę na jego publikację. Ponadto - redakcja zastrzega sobie prawo do wprowadzania drobnych poprawek w tekście oraz jego publikacji - na stronie internetowej kącika i innych witrynach internetowych powiązanych w jakiś sposób z AM#Opowiadania lub Storytellers. Nie wykluczamy także możliwości druku papierowego wybitnych opowiadań, autor w tym przypadku będzie dodatkowo powiadomiony. Podpisując się pod opowiadaniem prawdziwym imieniem i nazwiskiem, wyrażasz zgodę na wydruk papierowy opowiadania i dysponowanie nim przez Storytellers © (np. publikacji w jednym z współpracujących z nami wydawnictw, w przypadku braku możliwości kontaktu z autorem akceptacja wprowadzonych przez wydawnictwo zmian itp.).

Ile wynosi czas oczekiwania na odpowiedź w sprawie wysyłanych tekstów?

Jeśli Twoje opowiadanie spodoba się redakcji, oczywiście powiadomię Ciebie o tym w terminie natychmiastowym - czyli do dziesięciu dni. Jeśli nie - również zostaniesz o tym fakcie powiadomiony. W przypadku pośrednim dostaniesz wskazówki odnośnie poprawek, jakie powinienś w tekście wnieść, by przeszedł. Gdy tekst będzie bardzo długi, lub ja będę mieć wybitnie mało czasu - powiadomię zainteresowanego autora o opóźnieniu w ocenie opowiadania i ustalimy jakiś sensowny termin. Jeżeli po upływie 10 dni nie dostaniesz żadnej odpowiedzi, znaczy to, że coś się stało z mailem po drodze. Wyślij opowiadanie ponownie! Aż do skutku.

Robię dużo błędów/mam dysleksję/nie chce mi się poprawiać/itd.

Literówki będą poprawiane tylko, gdy będzie ich niewiele, za to polskie znaki MUSZĄ BYĆ. W przypadku dużej liczby błędów, bądź braku polskich znaków, teksty będą odsyłane do autora w celu ich poprawy. Jeśli naprawdę chcesz by Twoje opowiadanie przeszło, to posiedź nad nim przez chwilę, przejrzyj dokładnie i popraw tak by było czytelne. Obecnie mamy korektorów, więc jeśli tylko Twój tekst przyjdzie odpowiednio wcześniej przed DEADLINEM powinien się pod czujne oko któregoś z nich dostać. Mimo to radzę opowiadania dokładnie poprawiać samemu, z czasem zwykle jest kruch i nie zawsze redakcja z poprawkami się wyrobi.

W moim tekście jest seks, przemoc, wulgaryzmy... może, ehem, coś takiego być?

To zależy...

W kąciku Opowiadań nigdy nie było żadnej wielkiej cenzury i nie chcę takiej wprowadzać, ale jednak pewne granice dobrego smaku powinny istnieć.

Lubię horrory, dlatego nie oszukujmy się twierdząc, że nie będę takich zamieszczać, ale lepiej z przelewem krwi nie przesadzać. Inną sprawą jest to, że krew nigdy nie powinna budować fabuły, a co najwyżej być do niej dodatkiem.

Jak duży ma być tekst?

Zasadniczo ścisłych ograniczeń nie ma; nawet, jeśli napiszesz maleństwo na 1000 znaków i uda Ci się zawrzeć tam ciekawą historię, to ma szansę się znaleźć w kąciku. Jeśli napiszesz interesujące opowiadanie powyżej 60 tys znaków, również przejdzie, po prostu będziesz dłużej czekać na moją opinie w sprawie tego opowiadania. Granicą nie jest długość, lecz jakość.

W jakim formacie mam zapisać opowiadanie?

Preferuję Rich Text Format (rtf), dostępny w programie Word lub stary, dobry ASCII (txt). W takim przypadku, jeśli Twój tekst wymaga jakichś szczególnych formatowań (kursywa, pogrubienie) możesz oznaczyć je zapożyczonymi z HTML-a tagami: `<i>kursywa</i>` i `pogrubienie`; a przypisy oznaczać tak: [1] i pod tekstem umieszczamy treść przypisu. Dokumenty zapisane w standardowym formacie Word (.doc) są bardzo niemiłe widziane choćby z powodu ich często dużej objętości, autokorekty podmieniającej znaki na „wordowskie” i złośliwego makro, jakie może być do nich doczepione, o czym Ty możesz nawet nie wiedzieć...

Lubię kącik opowiadań tak bardzo, że chciałbym go dostawać co miesiąc na skrzynkę mailową przed czasem. Czy istnieje taka możliwość?

Oczywiście! Wystarczy, że wyślesz na adres AM#Opowiadania email z informacją, że chcesz przystąpić do prenumeraty. Dostawać AM#O na skrzynkę będziesz również, jeśli będziesz pisał do niego. Zawsze możesz skrobnąć komentarz - zajmuje to niewiele czasu, a gwarantuje dostanie kącika przed czasem do rąk własnych.

To chyba wszystko. W przypadku wszelkich uwag, lub pytań piszcie na adres kącika: opowiadania@gmail.com

Na pewno jeszcze jakieś zmiany w regulaminie nastąpią, ale jedno nie zmieni się nigdy. Wy piszecie. Ja zamieszczam. Świat czyta. I tak od początku, bez przerwy.

SPIS TREŚCI

Wstępniak	1
Regulamin	2
Spis Treści	3

KOMENTARZE

Mój ziom z daleka - k. Tatyana	4
Mój ziom z daleka - k. Nitramay	4
Drabina - k. Tatyana	4
Drabina - k. Nitramay	4
Pętla - MarcinD	4
Grzesznik - k. Nitramay	5
Patrzyłem na twe usta - k. Misiael Pierwszy	5
Ostatni zachód słońca - k. Nitramay	5
Bez Tytułu - k. Nitramay	5

ANDRZEJ PILIPIUK

Andrzej Pilipiuk Komentuje	6
Analiza tekstu „Zamieć”	7
Podsumowanie analizy	10
Informacje o A.Pilipiuku	10

SHORTY

Evolva ::: Drabina	11
Minashi ::: Pierwszy raz	11
Tajga1805 ::: Diana	12
Sagittarius ::: Liście	12

ANTOLOGIA

Leszek Baczyński ::: „4” albo po prostu „Zwyczajna opowieść”	13
Daniel Nogal ::: Płatki Śniegu	18
Ar'this ::: Kaprys bogów	22
Marcin Piotrowski ::: Płatny Krueger	26
Piotr Orliński ::: Niech opadnie młot!	28
Rugnar ::: Jesienne dolegliwości	34
Tomasz Dziedzic ::: Błady Świt	35
Vino ::: Myśl i Echo	38

OPOWIADANIA

MarcinD ::: Ostatni zachód słońca... ..	41
Maestro ::: Bez Tytułu	49
Tatyana ::: Grzesznik	53
Misiael Pierwszy ::: Buziol wraca do kraju	54
Kot z Cheshire ::: Zegar	60
Dr.Agon ::: Ratując w biegu... ..	63
MarcinD ::: Zamknięty Krąg	65
Weber ::: Wolne myśli:samotność	72
Liftangel ::: Game Over	73

ODGRZEWANY KOTLET

Wstęp	75
Ted Undead ::: Opowieść o Obitanie... ..	76
Szymon ::: Jan i Małgorzata	79
military ::: Tryptyk samobójczy	80
Scooter Fox ::: Odcienie szarości	96

CYKLE

Konrad Staszewski ::: Opowieści z Przekłętej Doliny :: Część 3 i 4	100
Tanatos ::: Plaga :: Część 3 (ostatnia)	103

Dr.Agon ::: Ja, detektyw :: Część 2	107
Tajga1805 ::: Anna :: Rozdział 1,2,3 i 4	112

PO GODZINACH

JUZEF ::: GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE... (2)	120
Evolva ::: Mój ziom z daleka	123

KOMENTARZE

Evolva ::: Mój ziom z daleka - Komentuje Tatyana

Kolejna parodia „Władcy Pierścieni: Drużyna Pierścienia”. Mam wrażenie, że już albo to czytałam, ale nie do końca, albo w innym opowiadaniu był ktoś o nazwie Nekrofiliusz...? Ogólnie spodobało mi się. Zabawni bohaterowie, z zabawnymi imionami, np. Viagrargorn :P

Czyta się lekko i przyjemnie już od pierwszego akapitu. Ze wstępnego rozwija się powoli w coraz to większą dawkę humoru i przezabawnych sytuacji, pruderyjnych również (na początku jest ostrzeżenie :P). Komedyjka dla poprawy nastroju.

Akcja szybka, ładne przejścia z jednego epizodu do drugiego.

Język prosty, przejrzysty, bez błędów stylistycznych.

Tytuł może i nie zdradza o czym to opowiadanko, ale tak właściwie to chyba o to chodzi :)

Ale dość tego dobrego. Opowiadanie nie ma tak właściwie zakończenia. Jest prolog, w którym bohater przenosi się do świata fantastycznego, jednak nie ma epilogu. Sama nie wiem czy niejednorodność czasowa (narracja z teraźniejszego czasu przechodzi w przeszły) jest błędem czy nie, jednak autor żartobliwie to zaznacza: „(a teraz przejdę do narracji w czasie przeszłym :p)”

Evolva ::: Mój ziom z daleka - Komentuje Nitramay

Spodziewałem się naprawdę czegoś błyskotliwego, może lirycznego, może zabawnego, ale na pewno dobrego. I chyba się zawiodłem...

Najpierw łapczywie zabrałem się do czytania „Mój ziom z daleka”, jako że tekst jest długi i oczekiwałem naprawdę smakowitego kąska.

Już po pierwszym akapicie można się domyśleć, iż nie jest to proza skłaniająca do refleksji, a tekst, przynajmniej w zamiarze autorki, żartobliwy. Ów zamiar z początku wydaje się być wypełniony dość dobrze. Jednak po chwili czytelnik ma pełne prawo odczuwać pierwsze objawy niesmaku. Ja odczułem je w momencie, gdy opowiadanie zaczęło w dość prymitywny sposób wyśmiewać homoseksualistów (czyli wraz z pojawieniem się BeGolasa).

Po chwili nietrudno czytelnikowi zauważyć, iż jest to parodia „Władcy Pierścieni” (tak się akurat składa, że kilka dni temu odświeżyłem swą pamięć dotyczącą wydarzeń dziejących się w tej trylogii, będąc w kinie na nocnym maratonie „Władcy Pierścieni”).

Jak to zwykle w tego typu dziełach bywa, humor w niej zamieszczony jest, delikatnie mówiąc, dość rubaszny. Ja śmiać się potrafię z wielu różnych rzeczy, często dowcipów bardzo niesmacznych, lecz to, co jest w tym opowiadaniu określiłbym trzema przymiotnikami: prymitywne, nieoryginalne (chodzi mi o rodzaj humoru), nudne.

Jak już krytykuję, to powiem też, iż nie spodobała mi się zmiana sposobu narracji z czasu teraźniejszego na przeszły. Wg mnie cały tekst mógł być konsekwentnie napisany zarówno w czasie teraźniejszym, jak i przeszłym, bez zmian w trakcie (co zresztą nieco wybija z rytmu czytelnika). Nie będę już się zagłębiał w szczegóły, bo o ile w przypadku, moim zdaniem, dobrych opowiadań nawet przyjemną rzeczą jest wyszukiwanie nielicznych potknięć autora, to jeśli chodzi o opowiadania słabe, niezbyt ciekawym zajęciem jest grzebanie w wiadrze błota.

Po tej dość ostrej krytyce mogę sobie chyba pozwolić na jakieś plusy...

Tutaj jeszcze raz powrócę do humoru - w niektórych momentach jest on naprawdę niezły i gdyby nad całością trochę, no może nawet dość sporo, popracować, to parodia mogłaby być

naprawdę dobra. Pozmieniałbym też niektóre nazwy i imiona bohaterów, bo widać, iż nie zawsze autorka miała na nie pomysł. Dopiero po takim zabiegu, który następnie zostałby przez obiektywnego czytelnika pozytywnie oceniony, można by się zabrać za dalsze odcinki <Władcy Zwisiorów> ;) Morał jest prosty - jeśli piszemy parodię, to, wbrew pozorom, musimy włożyć w nią sporo pracy, by się udało.

Evolva ::: Drabina - Komentuje Tatyana

Krótkie. Pierwsze wrażenie? „Nie rozumiem o co chodzi”. I krótkie. O dwóch przyjaciółach schodzących na ziemię z chmur (aniołach? krasnoludkach? ...) którzy odkrywają gniew jakiegoś rolnika na żonę. Potem idą aż na koniec świata i skaczą w przepaść. Na końcu tej (bezkrętej!?) przepaści schodzą po drabinie... Niepotrzebne to streszczenie, ale opowiadanie wydaje mi się zbyt niedorzeczne. No i krótkie... :P

Zawile, a jednak proste. Jest w nim przekaz, którego nie idzie się domyśleć, jakby samo szukanie go było celem. Na pewno jest to jakaś metafora. Autor jednak przesadził w ukryciu jej i pełne zrozumienie jest utrudnione.

Język jest prosty. Nawet za bardzo. Czyta się dziwnie - treść jest niedorzeczna. Nie rozumiem zakończenia. A może tylko ja jestem taka głupia? Musisz sam/sama je ocenić - to tylko niecała strona.

Evolva ::: Drabina - Komentuje Nitramay

Tą krótką, mądrą historyjkę warto przeczytać nawet kilka razy. Ciągłe odkrywa się w niej coś nowego, mimo iż jest tak niedługa. Czytając ją można się delectować subtelną liryką, ciekawą symboliką, trafnymi spostrzeżeniami.

Język jest prosty, jednak ładnie oddający myśli autorki. Opowiadka jest niemal jak wiersz Herberta - rzecz, do której z chęcią co jakiś czas by się wracało, by utrwalić ją w swej świadomości. Nutka tajemniczości pozostawia wyobraźni czytelnika pole do popisu. Szczególnie początkowy i końcowy fragment każdy może zinterpretować na swój sposób, co jest również cechą dobrej poezji. Postulowałbym o więcej takich tekstów w AM#Opowiadaniach.

Piotr Piątek ::: Pętla - Komentuje MarcinD

Jak zwykle, gdy czytam coś „off-line”, jednocześnie z otwarciem opowiadania otworzyłem sobie windowsowski notatnik i zapisuję „na bieżąco”. Dlatego najpierw pojawią się tutaj moje (jak złośliwe, to wybaczyć ;)) uwagi i błędy, jakie zauważyłem (jeśli takie w ogóle udało mi się wypatrzyć) a dopiero pod koniec ogólna opinia. A więc zaczynam (marudzenie ;) i ostrzegam, że pewnie się będę czepiał szczegółów ;).

Data „Ustka, dnia 16 września 2005 r.” dotyczy jak mniemam dnia powstania opowiadania...?? Bo jeśli jest ona datą rozpoczęcia akcji, to jest tutaj błąd - kilka akapitów dalej dowiadujemy się, że „...dni stawały się coraz dłuższe. Tak było do roku 2030...” co znaczy, że akcja toczy się pewnie grubo po 2030 roku... A dla mnie jednak nie była data powstania tak zupełnie oczywista. Ale to szczegółik, którego się czepiam :). Tym niemniej może wprowadzić w drobne zakłopotanie czytelnika.

„Wbrew futurystycznym projektom sprzed kilkudziesięciu lat, kształty samochodów nie uległy radykalnym zmianom. Ostra konkurencja sprawiła, że wybór samochodu ograniczał się do prestiżu marki i osiągnięć technicznych. Dominujące zaokrąglone, aerodynamiczne kształty upodobniły pojazdy do siebie.” - fajnie rozwiązany problem samochodów :). Zwykle w filmach s-f pojazdy są całkiem oderwane od rzeczywistości. Tutaj fajnie „spłycać” problem wyglądu pojazdów. Znowu szczegółik, ale zwróciłem na to uwagę :).

„...miejsca w okolo będą pospiesznie opuszczane..” - taki mały błąd - dwie kropki :).

„Ziemie spotka taki sam los...” - wkradła się mała literówka...

I na końcu... Ciekawe opowiadanie, nie powiem. Czy może „to” właśnie tak wyglądać? Czemu nie... Samozniszczenie i reinkarnacja całej galaktyki... Opowiadanko zmusiło mnie do zastanowienia się, co ja sam bym zrobił w takiej sytuacji. Dobry kawałek tekstu. Gratulacje :).

Tatyana ::: Grzesznik - Komentuje Nitramay

Od razu powiem, iż opowiadanie „Grzesznik” przeczytania jest warte, szczególnie dla wielbicieli horrorów i dreszczowców. Jest to jakoby fragment dłuższej opowieści o wilkołaku, który jednak fragmentem niech pozostanie, jako że wilkołaki to już temat zbyt oklepany, by był wart dłuższego utworu. Dzięki temu czytelnik sam może sobie wyobrazić dalszy ciąg i bardziej jest to intrygujące.

Trudno mi się tutaj doszukać jakichś mankamentów, ogólnie mogę jedynie rzec, iż poznać można od razu, że nie jest to Stephen King. Jednak kto wie, czy i on nie zaczynał pisać podobnie. Tutaj chciałbym zachęcić autorkę do napisania czegoś znacznie dłuższego, co można by nawet zamieszczać odcinkami w cyklach i powieściach. Zyska na tym i Tatyana, ulepszając swój warsztat, i czytelnicy, pochłaniając łączywie litery dyktowane wyobraźnią autorki.

Ogór ::: Patrzyłem na twe usta - Komentuje Misiael Pierwszy

Opowiadania Ogóra przyzwyczyły nas do swoistego „drugiego dna” - „Patrzyłem na Twe usta” to alegoria nieodwzajemnionej miłości, której doświadczą główny bohater. Historia przesiąknięta jest niejakim mistycyzmem, jednak czyta się to bardzo przyjemnie. Poprzednie teksty Ogóra (na czele z „Czerwoną sukienką”) podobały mi się bardziej. Jednak nawet tutaj autor nie zszedł poniżej pewnego - wysokiego - poziomu, do którego zdążył nas już przyzwyczaić.

Tekst przepełniony jest niemal poetyckimi środkami stylistycznymi - chwilami miałem wrażenie, że czytam wiersz, a nie opowiadanie (czy może powinienem napisać - przypowieść?) co jednak świetnie się komponuje z fabułą. W końcu to romantyczna historia, a nie wykaz wplat i celne porównania, więc oryginalne epitety są tu jak najbardziej na miejscu.

Trochę błędów i literówek też się w tym - nie ukrywajmy - nie najdłuższym wszak tekście wyłapałem, ale na ten temat wolę się nie wypowiadać, bo sam nie jestem bez grzechu :P

Podsumowując - Kolejne świetnie napisane opowiadanie Ogóra. Tak trzymać, mistrzu!

MarcinD ::: Ostatni zachód słońca - Komentuje Nitramay

„Ostatni zachód słońca” to dość pokaźny tekst w stosunku do innych opowiadań zamieszczanych w kąciku. Autor stara się w nim stworzyć fragment świata fantasy, nie wyróżniając się przy tym żadnym nowatorstwem. Mimo braku oryginalnych rozwiązań zabieg ten jest dość udany - nie można utworu porównywać do twórczości Sapkowskiego, jednak całość robi dość dobre wrażenie poprzez obrazowo przedstawiony świat oraz postacie i wydarzenia, które posiadają cechy znamienne dla tego gatunku.

Twórca tekstu musi jeszcze dużo popracować nad swym językiem, któremu brakuje polotu, a w opowiadaniu występują częste powtórzenia.

Prawdopodobnie ów brak warsztatu właśnie odbija się też na dynamice tekstu. Mym zdaniem akcja utworu toczy się zbyt wolno, co w niektórych momentach, w których można by przyspieszyć, jest aż nadto widoczne. Owszem, opisy są dość dobre i potrzebne, by ukazać czytelnikowi scenę zdarzenia, jednak gdy toczy się akcja należałoby zastosować większe nagromadzenie czasowników, przyspieszyć tempo wydarzenia, przez co zwiększyłoby się jego dramaturgię.

Co natomiast in plus wyróżnia ten tekst, to zakończenie, które można pozostawić takie jak jest, niedopowiedziane, intrygu-

jące czytelnika, lub też całość rozwinać, przeistaczając utwór z opowiadania w rozdział... powieści (?). Może coś na wzór Wiedźmina w postaci czarodziejki? Przyznam, że przy odpowiednim udoskonaleniu warsztatu autora rad byłbym poznać dalsze losy bohatera.

Tekst polecam miłośnikom fantasy - jeśli nie mają akurat nic dobrego pod ręką, na pewno nie pożałują zapoznania się z tym dziełem, a przy okazji napiszą do autora kilka słów zachęty do dalszej pracy, która w przyszłości może uczynić jego utwory naprawdę dobrymi.

Maestro ::: Bez Tytułu - Komentuje Nitramay

W utworze „Bez tytułu” widać wyraźny przerost treści nad formą. Autor chce przekazać coś wartościowego, ale nie do końca to potrafi. Przyczyną tego jest zbyt słaby warsztat pisarski, ubogie słownictwo, słabo wykształcona umiejętność opisywania zdarzeń, sytuacji i miejsc.

Do tego chyba niepotrzebnie uduchowiona forma zapisu dialogów, nie wiadomo z czego wynikająca (może również z braku umiejętności twórcy tekstu?).

Czytając ów tekst czasami można się pogubić, nie wiedząc, co dana sytuacja ma wspólnego z całością, irytuje czasami brak logicznego ciągu przyczynowo-skutkowego.

Wszystko wyjaśnia świetna końcówka, zdecydowanie in plus różniąca się poziomem od całości opowiadania. Dowiadujemy się w niej, że bohater jest psychicznie chory i sam tego wszystkiego, co dzieje się w jego umyśle, nie rozumie.

A skoro on nie potrafi poskładać faktów, odróżnić rzeczywistości od imaginacji, czemu czytelnik miałby wiedzieć dużo więcej? Poznajemy jeszcze medyczny pkt widzenia i to w zupełności wystarcza.

Zatem polecić, czy nie? Otóż jeśli czytelnik nie ma nic ciekawego pod ręką i jest wystarczająco cierpliwy, by przebrnąć przez kilka stron niezbyt zachwycających, końcówka mile go zaskoczy. Po tej rekomendacji niech więc sam zdecyduje, czy warto z owym tekstem się zapoznać.

ANDRZEJ PILIPIUK KOMENTUJE

Od tego numeru postaramy się (jeśli Mistrz znajdzie chwilę dla Nas czasu) zamieszczać komentarze do niektórych opowiadań. Komentarze oczywiście, będą bardzo krytyczne :) ale to akurat jest plusem dla Was :P. Najlepiej wypadło opowiadanie Alana Akaba „Zamiec”, którego poprawiany przez mistrza fragment prezentujemy w celach dydaktycznych. Zaczniemy jednak od komentarzy pozostałych tekstów...

Minashi ::: Wiara

Bełkot. Pomijając już wysoce obrzydliwą tematykę nie ma w tym opowiadaniu nic. Ani sensu, ani napięcia, ani przesłania. Fabuła jest szczątkowa - nie układa się w żaden logiczny ciąg. Wygląda na zapis rojeń chorego na główkę nastoletniego onanisty który wypalił za dużo trawy zanim siadł do kompa. Językowo kiepskie - sporo powtórzeń, sporo niezręczności.

Rat ::: Dzień sądu

Beznadzieja. Multum błędów językowych, trafiają się literówki. Fabuła szczątkowa, sensu brak. Niby jest w tym groza, ale nie straszy - ot taki splatter.

Ti-mon ::: Na zakończenie...

Autor nie słyszał o regule trzech określeń - tekst roi się od powtórzeń. Językowo straszne - konstrukcje gramatyczne nie mające wiele wspólnego z polszczyzną. Fabuła nawet jakaś jest, gdyby popracować może coś by z tego było.

Jacek Stojanowski ::: Trudna droga

Zdania w miarę poprawne - ale budowanie tekstu opartego na niemal samych dialogach przedzielanych gdzieś tam blokami tekstu nie ma sensu. Autor powinien przeczytać coś o schorzeniach które opisuje. Od psychologicznej strony - nie najgorsze.

Paweł Wojewnik ::: Mars i jego tajemnice

Jest tu pewna fabuła i nawet jakiś tam sens. Całość wymaga przemyślenia i dopracowania. Za duże skróty narracyjne. Językowo takie sobie. Nie jest to jeszcze poziom druku, ale za kilka lat kto wie.

Alan Akab ::: Zamiec

Przeczytałem kawałek „Zamieci”. O w mordę... tzn. lepsze niż te poprzednie rzeczy - ale i tak szmelc niestety. Szkoda, bo się chłopak napracował - toż to ma ok. 250 stron znormalizowanego maszynopisu (formatowania też nikt go nie nauczył...).

Popęłnił błąd porywając się od razu na powieść. Za wcześnie. Powiem od razu: przeczytać tego nie jestem w stanie. Pomijając problemy czasowe, szczerze nienawidzę fantasy. Przeryłem się przez pierwsze 4 strony zaznaczając w miarę szczegółowo co naknocił, zawodowy redaktor znajdzie zapewne drugie usterek.

Jest bardzo źle. Nie panuje nad językiem w stopniu wystarczającym by używać go jako narzędzia pracy. Z drugiej strony - jest i szybki i ma do tego zacięcie - w kilka miesięcy skleił książkę, to może wskazywać, że jak się przyłoży to coś z niego będzie. Rok ostrej orki, może dwa i prawdopodobnie będzie w stanie napisać coś co będzie miało ręce i nogi - coś co nada się do pokazania potencjalnemu wydawcy.

ANALIZA TEKSTU

Za chwilę przeczytacie, analizowany przez Andrzeja Pilipiuka fragment tekstu autorstwa Alana Akaba. Zapewniam, że można się z niego sporo nauczyć. Również my, Redaktorzy-Amatorzy AMO, może kiedyś dzięki tego typu analizom, będziemy mogli do każdego nadesłanego tekstu podchodzić w ten krytyczny i jednocześnie szalenie pouczający sposób.

Wiedza którą dzieli się z nami Andrzej Pilipiuk, wiedza zdobywana przez lata doświadczeń i miliony zapisanych kartek, pozwoli nam nauczyć się w jaki sposób podchodzić do własnych tekstów, na co zwracać uwagę, czego unikać. Ciekawy sposób komentowania zapewni rozrywkę nawet osobom, które na co dzień z pisaniem niewiele mają wspólnego. Warto przeczytać i przemyśleć, ja już nie truję, oddaję głos pisarzom...

Ludzie dziwnie reagują na nagłe zdarzenia. Czasem bywa to śmieszne, lecz gdy w grę wchodzi realne zagrożenie, staje się przerażające.

A.P. Przerażające jest to, że ludzie dziwnie reagują?

Często działają wbrew logice; myślą w najprostszy z możliwych sposobów, uderzają na ślepo w to co stoi najbliżej, pozwalając prawdziwemu sprawcy umknąć bezkarnie. Co więcej, nie dzieje się tak wyłącznie pod wpływem chwili. Zdarzenia przebiegają podobnie nawet gdy ludzie mają aż nadto czasu by się zastanowić. Dlaczego więc nie myślą, aż do chwili gdy jest za późno?

* * * * *

Są na Świecie miejsca gdzie młody wędrowiec łatwiej znajdzie zlecenie niż wprawny wojownik. Powierzane im zadania nie są aż tak istotne by opłacać doświadczonemu, lecz liczącego sobie sówicę za usługi kuriera. Dla płacącego takie misje sprowadzają się do jednego - jeśli się uda to dobrze, zarobię więcej, lub zdołam wypełnić ważniejsze zadanie, a jeśli nie to trudno - będzie inna okazja. Zwykle dotyczy to misji kurierskich. Ot, na przykład - dobrze by było gdyby ktoś powiadomił partnerów w innym, odległym mieście że oto idzie nieurodzaj i trzeba podnieść ceny, zaś ten kto to robi najszybciej, wkrótce zarobi więcej niżli by sprzedał wszystko przed końcem tygodnia. Wieść taką na czas dostarczy zaś jedynie goniec którego znajomi handlarze pchną niebezpiecznym, lecz krótszym szlakiem.

A.P. Mętne.

Posłaniec jest w takich wypadkach wpisany jako potencjalna strata,

A.P. W co wpisany?

za którą

A.P. Zły związek frazeologiczny.

wszak nikt nie będzie rozpaczał. Zrozumienie tej prawdy wzbudza wprawdzie strach i niechęć do takich „drobnych” misji, lecz przetrwanie bez talarów, a czasem i dukata, który potrafi wpaść przy okazji do sakiewki, bywa trudne, a często jeszcze bardziej niebezpieczne.

A.P. Dałeś czadu z tym zdaniem... 3 razy za długie.

Tak więc, robisz co musisz - akceptujesz sytuację, stajesz się ostrożniejszy i robisz co do ciebie należy - dokładnie to, czego oczekują od siebie zleceniodawcy.

Z tychże przyczyn ja i Noram przemierzaliśmy, w wielkim pośpiechu, najdłuższą część Wielkiego Szlaku Wschodniego, w najmniej dogodnej ku temu porze roku. Za garść talarów mieliśmy dostarczyć pewną poufną

A.P. Aliteracja (*Aliteracja (z łac. ad + litera) to powtórzenie w celach ekspresywnych jednej lub kilku głosek na początku lub w akcentowanych pozycjach kolejnych wyrazów tworzących zdanie lub wers. Aliteracja często była używana w dawnej poezji, szczególnie w staroniemieckiej i skandynawskiej (literatura islandzka). Stanowiła też często element poezji indyjskiej jako jeden ze środków ozdobnego stylu (alamkara). Aliteracja jest częsta w poezji ludowej. Przykład aliteracji z francuskiego poety Ennui-sza: O Tite, tute tati, tibi tanta tyranne tulisti. dop. Shiro).*

wiadomość, którą niektórzy chcieliby zachować dla siebie

A.P. Wiadomości nie można zachować dla siebie - z definicji jest to coś co trzeba przekazać. Informację?

- szczęśliwie nie zależało im na niej na tyle by posunąć się do morderstwa. Zdołaliśmy uniknąć przechwycenia,

A.P. Toż wyżej piszesz, że nikt nie chciał ich zabić...

pozostało nam już tylko wyprzedzić konkurencję, zaś obranie krótszego, mniej uczęszczanego szlaku było w takich sytuacjach zwyczajową

A.P. Brzydki kolokwializm.

częścią planu.

Naszym celem był Szeol

A.P. Kiepska nazwa - oznacza żydowską otchłań zmarłych, będzie się kojarzyło.

średniej wielkości miasto na Wielkim Szlaku Wschodnim, leżące nad płynącą na wschód rzeką Szelą. Zbudowane dawno temu w długiej, skalistej dolinie, wciśniętej między biegnącymi równolegle do siebie Barrierami - od miasta nazywanej Przełęczą Szeolską, czy z dawniejszych okresów, Szemirską - całą swą siłę czerpało z handlu i wydobywania rud, kruszców i klejnotów.

A.P. Znaczą się mieli kopalnie pierścionków i bransoletek? bo chyba nie chodzi o genitalia? ;-P

Zamiast żyznej gleby, dolinę szeolską

A.P. Z dużych liter? nazwa geograficzna.

pokrywają jałowe, wypłukane przez rwącą wodę żwir i kamienie, z rzadka porośnięte górkim zieleń. Nie rośnie tam żadne zboże, nawet sagron, choć jest najmniej wymagające i dlatego powszechne wśród Gór Granicznych. Lato jest tu równie chłodne jak wiosna, a zima równie sroga jak pośród Barrier.

A.P. Co z jesienią? ; -P

Drzew jest niewiele; powstający z ich wypalenia węgiel ma w Szeolu swą cenę,

A.P. Wszystko ma swą cenę ; -P

czyniąc wytapianie metalu nieopłacalnym - wielki to pech dla miasta, opływającego we wszelkiego rodzaju rudy. Długi, spinający jeden kraniec kontynentu z drugim Wielki Szlak Wschodni ma tu swój najcięższy odcinek, ale kupcy niewiele sobie z tego robią. Towar płynie nieprzerwanym strumieniem, dając miastu ogromne zyski,

A.P. Powtarzasz się.

gdyż każdy kto chce przedostać się z centralnej części gór ku Wschodnim Stepom, skazany jest na Szeol i jedyną bezpieczną drogą na wschód, zdatną do jazdy wozem, prowadzącą przez Przełęcz właśnie. Miasto jest wręcz nie do ominięcia - i któż by je zechciał mijać? Niewiele jest w tym niegościnnym regionie miejsc gdzie można pożywić się i wypocząć. Nie bez powodu towary na jednym końcu doliny bywają i dwakroć cenniejsze na drugim i nie bez przyczyny wahania cen żywności w Szeolu odbijają się długotrwałą czkawką tak w stolicy Imperium, jak i Cesarstwa - dolina leży nieomal w połowie drogi między nimi.

A.P. Bzduuura. Jeśli żywność się tam dowozi - bo nic sensownego w okolicy nie rośnie to raczej wahania w cesarstwie i imperium odbijają się czkawką w Szeolu.

Surowe warunki mają też dobre strony. Tylko szalony herszt mógłby poważnie rozważać zbójcki żywot wśród skał Przełęczy. Nie przeżyłby tu jednego sezonu - bynajmniej nie za sprawą szeolskiego, nielicznego wojska. Niepodległe od chwili powstania Szlaku miasto, mimo swojego bogactwa, nie potrzebowało armii - niejedna wyginęła do nogi, próbując oblężenia. Dość było mieszkańcom dotrwać zimy, by ta zrobiła swoje. Mawiają o Przełęczy - jedyne co może cię tam zabić, to zima i twoja własna głupota. Gwarantuję, to szczerza prawda.

A.P. Oblęgający mogą sobie żywność dowozić. Miasto które całe żarcie importuje podczas oblężenia będzie miało problemy. Ja bym poprowadził armię podczas przednówku - kiedy magazyny w Szeolu są opróżnione, a kupcy liczą już na wiosenne dostawy ; -P

Po obu stronach, z grubsza od południa i północy - gdyż dolina Szeolu swym wschodnim krańcem skierowana jest lekko ku południu - Przełęcz zamykają dwa ciągnące się na tysiące stają pasma gór w górach.

A.P. O w mordę ; -P

Mówią na nie Bariery. Wiele takich barier przecina Góry Graniczne, lecz w północnej i wschodniej ich części moce Świata wypiętrzyły je wyżej niż gdziekolwiek indziej. Bariera na północ od Przełęczy nie jest ani szczególnie groźna, ani uciążliwa w przeprawie

A.P. To słowo kojarzy się raczej z pokonywaniem przeszkody wodnej.

- przecina ją nawet kilka bocznych dróg, łącząc ze szlakiem nieliczne, leżące za nią krainy i izolowane w nich miasteczka,

A.P. Czy można coś izolować w górach? Zły związek frazeologiczny.

przycupnięte niebezpiecznie blisko północnej granicy gór. Dalej znajdują się już tylko dzikie, opanowane przez orki,

A.P. Uwolnić orkę ; -)

Północne Stepy, a za nimi - pustynie Korieselu. Lecz południowa Bariera... to nie są żarty.

Nie prowadzi przez nią ni jedna droga - bo jakżeby mogła? Wiecznie skuta lodem kraina, Barierą Wewnętrzną lub jakże złudnie Małą Barierą zwana,

A.P. Uuu... patetyczne.

jest zamarznięta chyba do samego korzenia Gór. Wspinająca się w niebo skalna masa niewiele ustępuje najwyższemu szczytom Świata - tylko odgraniczająca góry od Wschodnich Stepów Wielka Bariera Wschodnia jest wyższa i groźniejsza, choć ku północy obniża się, by u wylotu Przełęczy Szeolskiej utworzyć łagodne przejście. Tylko krasnoludy są tu w stanie przetrwać, a i to nie na powierzchni, lecz w wykutych w głębinach masywu korytarzach i podziemnych komnatach.

A.P. Znaczą się nigdy nie wychodzą na powierzchnię?

Klany ze wschodnich części gór, żyjące pod Barierą Wschodnią, zdołały przekuć ją w poprzek, lecz Bariera Wewnętrzna jest kilka razy rozleglejsza. Znam krasnoludy dość by wiedzieć kiedy coś ukrywają. Uwierz moim słowom - nie istnieje żaden korytarz prowadzący z jednej strony Małej Bariery na drugą.

A.P. Aaaa... ok. Człowieku masz tu 100 linijek jednego bloku opisu. Zero akcji, zero dialogu - kto ci to przeczyta? 99% czytelników uśnie zanim dojedzie do tego miejsca.

*

Długi czas trzymaliśmy się głównego traktu, aż dotarliśmy do rozstajów, gdzie ciągnący się dotąd wzdłuż północnej krawędzi Bariery Wewnętrznej, Szlak szerokim łukiem omija wcinający się tu ku północy, niższy i mniej surowy, lecz wciąż niegościnnym masyw, pełen głębokich, wąskich dolin i wysoko położonych przełęczy. Miejsce to zwano Krainą Wyjątych Dolin - od dźwięków, jakie wywoływały wpadające tu, pędzące przez Szeolską Przełęcz szybkie, zimne wiatry na początku zimy i ciepłe u jej schyłku. Tę niewielką krainę szczególnie umiłowali sobie górnicy i kowale,

A.P. Kowale - znaczą się kuja na zimno skoro węgiel drogi? Co kuja jak się z rud nie da wytopić bo opału nie ma?

a to za sprawą bogactw, dorównujących tym z głębin Bariery. Choć kryjąca w swych dolinach liczne kopalnie, ziemia ta, przez częste i znaczne zmiany wysokości, przeciętnemu kupcowi zdawała się ucieleśnieniem koszmaru. To wspinające się ku wysokim przełęczom, to opadające na samo dno doliny drogi

A.P. Doliny opadały czy drogi? Mętne.

zakręcały tak ostro iż co większe wozy ledwie unikały upadku z pnących się przy ścianach serpentyn. Jednak prowadzący tędy trakt, wbrew tym niedogodnościom, był całkiem wygodny.

A.P. Eee? Jak to?

Podróżując głównym Szlakiem, wędrowiec tracił kilka dni. Przejście w poprzek od zawsze kusiło drobnych handlarzy, czy podróżników, jak my, nie obciążonych wozem, za to z zimowymi saniami wyładowanymi niewielkim, wspólnym dobytkiem.

A.P. Sorry - zimą ten szlak byłby kompletnie nie do przejścia - w Norwegii jest Trolstigvegen (drabina troli - poszukaj w sieci zdjęć) - coś podobnego - różnica poziomów 300 metrów, 18 serpentyn. Do czasu budowy przed wojną asfaltówki prowadzono tamtędy wyłącznie objuczone konie i to przez nie więcej jak 6-7 miesięcy w roku.

Góry potrafią fascynować, nawet gdy są obleczone niebezpiecznym majestatem zimy. Jedni podróżnicy lubują się w dalekich, rozległych panoramach; rozkoszują się widokami z wysokich szczytów, gdy świat zdaje się leżeć u ich stóp. Dla mnie piękno kryje się w krętych niczym węże dolinach, masywach pociętych gigantycznym nożem wytrwałych strumieni i w wąskich przełęczach, przeciskających się między udającymi baszty lub barbakany, wyniosłymi i stromymi szczytami. Myślę że Noram podzielał moją fascynację, lecz śpieszący się człowiek niewielką zwraca uwagę na skały, a większą na kryjący pod sobą zdradliwe placki lodu śnieg, czekający tylko by, na podobieństwo pułapki, poślizgiem posłać nieuważnego przechodnia na dno przepaści. Zimą nie było o nie trudno.

A.P. Znaczy się w innych porach roku o przepaście było dużo trudniej? ; -P Ten kawałek to koszmar. Spróbowałeś kiedyś przeczytać to na głos?

Mieliśmy szczęście. Zima była niezwykle sroga, lecz ostatnie dni naszej przeprawy przez Krainę Wyjących Dolin obdarzyły nas piękną, słoneczną pogodą. Lód na drodze topił się od rozgrzanych ciepłymi promieniami skał,

A.P. Eee? znaczy się skały są ze światłowodów. Absorbują światło wyżej i przewodzą pod lód żeby się topił?

ogromnie ułatwiając nam przeprawę,

A.P. Odwilż na szlaku wysoko w górach... Lód bardziej śliski niż zwykle, pełno kałuż - przemoczone byty, ślizgające się w kałużach konie, błoto, obrywające się lawiny... ułatwienie jak cholera.

lecz ja, choć młody, znałem już góry na tyle by czuć

A.P. Przewidywać?

rychłą i gwałtowną zmianę. Zbyt wiele ostatnich dni było pięknych i słonecznych. W powietrzu czułem to coś, coś ulotnego, czego górale nie potrafią wskazać, lecz wiedzą że nadciąga. Noram czuł to samo.

Pewnego dnia nasze szczęście się skończyło. Zamiast świecącego nad północnymi szczytami słońca pojawiły się chmury. Najpierw rzadkie i nieśmiałe, rychło z całą bezczelnością

A.P. Złe słowo.

przesłoniły niebo. Zaczęło delikatnie prosić. Zmiana była tuż-tuż. Dzień, dwa, myślałem, i ta część gór stanie się nie do przebycia, nawet na Szlaku, dla nikogo. Jednak za wszelką cenę chciałem dostać się do miasta, choć Noram kręcił na to głową.

- Jeszcze dwa dni! - powtarzałem mu - Dwa dni i będziemy u celu! Talary muszą być nasze.

Noram wciąż kręcił głową, ale szedł.

A.P. Znaczy się jak nie dojdą do miasta w dwa dni spadnie śnieg i utkną na szlaku? młody nalega na pośpiech starszemu się to nie podoba. Masochista? ; -P

Był starszy może o rok, może dwa - w górach tylko wielmoże i władcy dolin przykładali wagę do dokładnego liczenia lat - ale z nas dwóch to ja lepiej znał góry. Szkoda że moja wiedza przybłądła wtedy w obliczu zarobku.

A.P. Raczej wizja forsy instynkt przytłumiła...

Następnego dnia śnieg począł się wzmaczać.

A.P. Wow.

Słaby jeszcze, ale chłodny i przenikający do szpiku kości wiatr zaczął dąć wprost w nasze otulone futrzanymi kapturami twarze. Wspinając się na przełęcz mineliśmy jakąś niewielką osadę. Jej mieszkańcy wydawali się spokojni, tym mocniej uwierzyłem że nie będzie tak źle, lecz gdy parę godzin później weszliśmy wyżej...

Z przełęczy rozpościerał się wspaniały widok na sąsiednią dolinę. Trakt serpentyną schodził w dół, by jakieś pół godziny marszu dalej zniknąć pod śniegiem. Wiatr był tu silniejszy; co rusz gwałcił śnieżnymi wirami w górę, ku nam, ku przełęczy. Dolina za naszymi plecami zdała mi się wręcz oazą spokoju. Noram powiódł wzrokiem po skalnych krawędziach i pełnych śniegu zboczach. Niech no tylko wiatr się nasili, a zejść w dół lawinami...

Linia 158 - pierwszy dialog pod koniec 3 strony kobylastych opisów. Przeróżające. Potworny kobylasty opis jakiego nie darowano by chyba nawet Tolkienowi z Sapkowskim. Dwaj bohaterowie o których niewiele wiemy. Porażająca liczba powtórzeń dyskwalifikująca z miejsca tekst. Sypiąca się logika. Inne błędy językowe. Straszliwie długie zapętłone zdania - 4 linijkowe nie stanowią wyjątku... Chłopaki zasuwać szlakiem na piechotę - co z nich za kurierzy? Spiesz im się, a nie mają koni? Mają przekazać informację o cenie zboża - dokąd? Do miasta które będzie przez kilka najbliższych miesięcy odcięte od świata? Po co?

Co z tym fantem zrobić?

Pisać od nowa - przynajmniej tę partię.

Jak? No to jedziemy:

Zaczynasz od ekspozycji - to scena - kawałek tekstu gdzie pokazujesz i przedstawiasz czytelnikowi bohaterów oraz dokonujesz zawiązywania akcji. Zaczynasz np. od sceny w mieście skąd ruszą w góry z misją (litości niech to nie zaczyna się w knajpie). Jeden siedzi czekając, drugi staje w drzwiach - tu możesz wpleść opis postaci. Czytelnik wie już jak wygląda starszy. Jedziemy dalej. Starszy wraca z rozmowy z kupcem. Jest robota - trzeba dostarczyć wiadomość. Rozkładają mapę i kombinują - zwykłym szlakiem do Szeolu nie zdążymy, idzie zima, pójdziemy na skróty. Młody ma wątpliwości dzieli się z braciszkiem - czytelnik dowiaduje się o zaletach i wadach obu szlaków.

Można dać coś takiego - jeden ma duże doświadczenie, drugi zielony - starszy wprowadza młodszego w tajniki zawodu, zasady łażenia po górach. Stary chwył, prymitywny ale skuteczny. Pogadają sobie tak przez kilka stron i mogą iść dalej. Czytelnik wie już co ich czeka i teraz niecierpliwie czyta, przeżyją czy nie. Można dodać scenę jak kiwają koleśki których wysłano aby nie dostarczyli informacji. Jeszcze jedno - ekonomia. Talar to moneta o nominale 90 groszy srebrem. Wykwalifikowany robotnik zarabiał ok 1 grosz dziennie. Czyli 4 talary to roczny zarobek murarza. Ci mają dostać kupę talarów do podziału na dwu?

Andrzej Pilipiuk

A dla tych którzy nie wiedzą kim jest Andrzej Pilipiuk kilka informacji z Wikipedii...

Pilipiuk najbardziej znany jest ze swojego kultowego, wykazującego w pewnym stopniu cechy gawędy, cyklu opowiadań o przygodach Jakuba Wędrowczy- zamieszkującego w Starym Majdanie koło Wojśławic plugawego degenerata, bimbrownika i egzorcysty.

Debiutował opowiadaniem Hiena („Fenix” 2/1996), w którym po raz pierwszy pojawiła się postać Jakuba. Od tego czasu Pilipiuk napisał kilkadziesiąt innych opowiadań z tego cyklu, wydanych w pięciu zbiorach (Kroniki Jakuba Wędrowczy (2002), Czarownik Iwanow (2002), Weźmiesz czarno kure (2002), Zagadka Kuby Rozpruwacza (2004) i Wieszać każdy może (2006). Żartobliwie nazywany największym piewcą polskiej wsi od czasów Reymonta.

Oprócz licznych opowiadań (również spoza cyklu o Wędrowczy) napisał też, pod pseudonimem Tomasz Olszakowski kilkanaście tomów kontynuacji przygód Pana Samochodzika.

Innymi znanymi dziełami Pilipiuka jest cykl o kuzynkach Kruszewskich oraz Michale Sędziwoju, alchemiku który zgodnie z legendami zapewnić miał sobie nieśmiertelność dzięki odkryciu tajemnicy kamienia filozoficznego, gdzie Pilipiuk umiejętnie połączył elementy fabularne oparte na wiedzy historycznej z najnowszymi osiągnięciami naukowymi i technologicznymi, oraz cykl Norweski dziennik, opowiadający o przygodach Tomasza Paczenki, cierpiącego na amnezję młodego uciekiniera z Polski Ludowej, który usiłuje odnaleźć prawdę o sobie i otaczającej go rzeczywistości. Cykl ten jest najstarszym w dorobku autora, prace nad nim rozpoczął Pilipiuk będąc jeszcze nastolatkiem.

W utworach Pilipiuka często pojawiają się gościnnie postaci z innych jego cykli. Tytułowe bohaterki serii Kuzynki pierwszy raz pojawiły się w jednym z napisanych przez niego tomów Pana Samochodzika. Zarówno w cyklu Kuzynki jak i Pan Samochodzik pojawia się również przelotnie Jakub Wędrowczy.

Popularność twórczości Pilipiuka w dużej mierze wynika z nieszablonowych, często nieco szokujących rozwiązań fabularnych, ciekawej i oryginalnej kreacji bohaterów, łamaniu schematów narracyjnych i konwencji literackiej, specyficznemu humorowi, umiejętnemu budowaniu klimatu utworów oraz niezwyklej erudycji autora.

Nagrody

Dziewięciokrotnie nominowany do nagrody im. Janusza A. Zajdla, uhonorowany nią w 2002 roku za opowiadanie Kuzynki, które w 2003 roku rozwinął w powieść. Dwukrotnie zajął trzecie miejsce w głosowaniu na nagrodę Nautilus. Ponadto uhonorowany Pucharem Bachusa i Srebrną Muszlą. W 1998 roku nominowany do Śląkwy, nagrody Śląskiego Klubu Fantastyki w kategorii pisarz roku.

BIBLIOGRAFIA

Cykl o Jakubie Wędrowczy

- * Kroniki Jakuba Wędrowczy, Fabryka Słów 2002
- * Czarownik Iwanow, Fabryka Słów 2002
- * Weźmiesz czarno kure, Fabryka Słów 2002
- * Zagadka Kuby Rozpruwacza, Fabryka Słów 2004
- * Wieszać każdy może, Fabryka Słów 2006

Cykl Kuzynki

- * Kuzynki, Fabryka Słów 2003
- * Księżniczka, Fabryka Słów 2004
- * Dziedziczki, Fabryka Słów 2005

Cykl Norweski dziennik

- * Tom 1: Ucieczka, Fabryka Słów 2005
- * Tom 2: Obce ścieżki, Fabryka Słów 2006

Inne

- * 2586 kroków, zbiór opowiadań, Fabryka Słów 2005 (opowiadania: Atomowa ruletka, Samolot z dalekiego kraju, 2586 kroków, Teoria pola, Parszywe czasy, Szansa, Mars 1899, W moim bloku straszny, Wieczorne dzwony, Wiedźma Monika, Griszka, Bardzo obcy kapitał, Vlana, Szambo, Strefa)
- * Operacja Dzień Wskrzeszenia, Fabryka Słów 2006
- * Największa tajemnica ludzkości, 3 tomy (?)

Cykl Pan Samochodzik

- * Pan Samochodzik i... Arka Noego, rubinowa tiara, tajemnice warszawskich fortów, zaginiony pociąg, sekret alchemika Sędziwoja (pierwsze pojawienie się bohaterów cyklu Kuzynki), zaginione poselstwo, łup barona Ungerna, zagubione miasto, wynalazek inżyniera Rychnowskiego, potomek szwedzkiego admirała, ikona z Warszawy, Czarny Książę, więzień Jasnej Góry, brązowy notes, Adam z Wągrowca, diabeł wiano, mumia egipska, Relikwiarz świętego Olafa, Zamek w Chęcinach.

Evolva ::: Drabina

Dwaj przyjaciele przechodzili przez chmury. Oglądali słońce i głaskali latające konie. Po chwili jeden z nich wykrzyknął:

- Patrz!
- Gdzie?
- Nawet niebo w swym uśmiechu...
- Płacz?
- W swym zwątpieniu.

Przeglądali się jeszcze słońcu i postanowili zejść na ziemię. Powoli spadali z nieba, trzymając się drabin, chwytając za motyle. Upadli delikatnie na pole. Przechodzili przez łąny zbóż. Widzieli żmiję pożerającą małe myszy i ich matkę, która próbując ratować swoje dzieci sama skończyła w żołądku gada. Najedzona żmija wypełzła na polną drogę, a tu nagle złapał ją myszołów. Tak oto skończył się żywot bezwzględnego węża, a ptak niczym triumfator powracający z bitwy dumnie leciał nad żytem.

Wędrowcy szli wzdłuż polnej drogi. Widzieli rolnika jadącego ciągnikiem. Zauważyli, że z wozu leci dym. Pojazd stanął. Wyszedł z niego rolnik, który przeklinał wszystkie świętości. Zajrzał do silnika, zakaszał. Wziął jakieś narzędzia i zaczął szperać. Złapał się za głowę i przypomniał sobie, że miał coś naprawić w silniku. Kopnął kamień, wziął z ciągnika butelkę wody i zaczął iść w kierunku wioski. Czeką go długa droga. Jeden z przyjaciół westchnął i odrzekł:

- Przyjacielu, najmniejszy błąd to największe nieszczęście.

Następnie zaglądali do małej chatki. Zobaczyli tam poznanego wcześniej rolnika. Słyszeli jak krzyczy na żonę, że nie przypominała mu o przeglądzie pojazdu. Ona broniła się jak mogła. Myła naczynia. Po chwili, nie zwracając już uwagi na męża poszła kroić pomidory. Sok z warzyw prysnął jej jak dłonie, przypominał krew. Rolnik po chwili wrzasnął i popchnął małżonkę. W tym momencie kroila pomidora, a siła uderzenia zepchnęła ostrze na dłoń. Krzyknęła. Krew sączyła się obficie z rany. Mężczyzna zbłądł, lecz po chwili poleciał po bandaż i troskliwie, przepaszając, począł opatrywać żonę. Jej delikatna dłoń drżała. Jeden z przyjaciół schował twarz w dłoniach, a drugi mruknął pod nosem:

- Własnym gniewem najbardziej krzywdzi się najbliższych...

Wędrowali przez dłuższy czas. Widzieli wiele, nie mogli powiedzieć nic. Dotarli aż na koniec świata. Stanęli nad wielką skarpią. Jeden z przyjaciół spojrzał na swojego towarzysza i odrzekł:

- Będziesz wyzwolony?
- Nie. - odpowiedział śmiejąc się donośnie. - Jestem tylko stracony. - i po tych słowach oboje skoczyli w bezkresną przepaść. Tuż przed zejściem drabiną krzyknęli razem radośnie:
- Nigdy nie byłem zagubiony.

KONIEC

Minashi ::: Pierwszy raz

Nie wiedziałam jak się zachować. Panikowałam. Wymyślony przeze mnie scenariusz tej właśnie chwili, leżał w gruzach. To był mój pierwszy raz. Zdjął bluzkę i powoli dobierał się do mojej. Wahałam się. Co chwila łapałam jego dłonie zatrzymując je, na co drugim guziku mojej koszuli. Nie byłam do końca pewna czy tego chcę. Ale to dziwne, nieznane mi dotąd pragnienie podpowiadało mi, że jednak powinnam to zrobić tu i teraz. Mogę więcej nie znaleźć tak odpowiedniego faceta. Całe moje ciało drżało nie z zimna, ale z gorąca. Zauważył to. Uśmiechał się do mnie jakby mówił, że nie mam się, o co martwić i wszystko będzie dobrze. Miał takie łagodne oczy. Wyczytałam z nich, że tak naprawdę jest z niego kawał bydlaka, który uwielbia zaciągać do łóżka niewinne maślaki. Fakt. Miałam tylko 15 lat, ale wcale nie byłam taka niewinna jak mu się wydawało. Gdy o tym pomyślałam poczułam się pewniej i posłałam w jego stronę delikatny uśmiech. Pozwoliłam mu się rozbić. Pozwoliłam mu się całować. Pozwoliłam mu się dotykać. Ciepło w moim ciele rozlewało się coraz bardziej pulsując w opuszkach palców tętniącą w podnieceniu krwią. Oddałam się temu pożądaniu. Zamknęłam oczy i odpłynęłam w rozkoszy. Masowałam swoimi ustami jego rozżarzone wargi, spływając po jego szyi i ramionach. Miętko kasałam jego skórę. Wtedy oprzytomniałam. To nie mogło się skończyć tak pięknie. Na pewno będzie boleć. Będzie krew i wstyd. Bałam się tego. Trzeźwo powróciłam myślami do jego pokoju. Wiedziałam, że będziemy sami aż do rana, że nikt nam nie przeszkodzi, że nikt nie musi o tym wiedzieć. Spojrzałam zamglonymi oczyma w moje odbicie w oszklonym regale z książkami. Popędzało mnie do uczynienia kolejnego kroku.

- A co jeśli nie będę wystarczająco dobra? Co jeśli sobie nie poradzę? W końcu on jest ode mnie o 10 lat starszy i jakieś 40 kilo cięższy.

- Poradzisz sobie. To twoja jedyna taka szansa. Tą chwilę zapamiętasz na całe życie. Musisz się tylko postarać.

- Może masz rację. Może będzie wyrozumiały. Może mu się to nawet spodoba. Musze być silna.

Jednak odbicie w szybie ma siłę przekonywania. Wzięłam głęboki oddech i wymykając się z jego ramion powiedziałam, że jestem tego pewna. Ucieszył się, gdy usłyszał, że chce to zrobić.

Zrobiłam to. Co prawda nie trwało zbyt długo, ale i tak byłam zadowolona. Miałam to w końcu za sobą. Cieszyłam się niemal tak samo jak wtedy, gdy straciłam dziewictwo.

To był mój pierwszy raz. Pierwsze ugryzienie, pierwsza zasmakowana krew, pierwszy ból, że ktoś umiera w moich rękach i pierwszy wstyd po spojrzeniu w lustro, które już nie pokazuje mojego odbicia. Pierwszy poranek spędzony w cieniu, pierwsza noc spędzona na ukrywaniu się przed ludzkim wzrokiem. Pierwsze kłamstwo rzucone prosto w błękitne oczy mięśniaka, który myślał, że chce iść z nim do łóżka. Pierwsza chwila, kiedy poczułam, co to znaczy być wampirem.

4 września 2006

Tajga1805 ::: Diana

Czy mam prawo się nią chwalić? Może tak, a może jednak nie... Nie wiem. Dla innych są lepsze, i co z tego? Dla mnie ona jest najcudowniejsza, najwspanialsza.

Ona jest...

Drobna w swojej naturze, nie pragnie mnie pozbawić przestrzeni życiowej. Jej wystarczy choćby odrobina miejsca...

Zgrabna? Pewnie tak, pod palcami przesuwają się jej zgrabna postać, krągłości, płaszczyzny. Rzecz pewna, nawet w naszym roz-
wiązłym świecie, gdyby wypadało, nosiłbym ją na rękach! Ale nie wypada, a szkoda.

Sam serwuję chłodny prysznic, odświeżona, jasnością swoją wabi, wabi... Wabi... A ile to razy oblewałem się przy niej rumień-
cem? Rozpala, rozgrzewa, emanuje.

Mężczyzna jest głową rodziny, kobieta zaś jej szyją. Ona swoją prostotą, i mocą jednocześnie, no cóż, uzależniła mnie od siebie. Ma takie przepiękne imię, takie dziewczęce, dźwięczne, przejmujące: Diana. Czy porzucę ją dla innej? Oszalałbym chyba. Nigdy!

Moja najwspanialsza przyjaciółka...

Kuchenska dwupalnikowa.

Sagitarus ::: Liście

Z dedykacją dla wszystkich fanów gry Still Life.

Był chłodny jesienny poranek. Młoda dziewczyna podążała pewnym krokiem mijając jakby na pamięć w skupieniu kolej-
ne kręte ścieżki opustoszałego parku.

Liście, co jakiś czas drgały na wietrze, niektóre zaś postanowiły opuścić dostojne korony drzew. Niesione wiatrem sprawiały miłe
dla oka złudzenie „liściowego deszczu”.

Nie umiał powstrzymać tego dreszczyku emocji. Odczuwał go w każdej części ciała. Ręce drgały niespokojnie a twarz wykrzywia-
ła się, co jakiś czas w dziwaczny nerwowy uśmiech. Nie umiał się powstrzymać. Zachowywał się jak małe dziecko, które czeka na
pierwszą gwiazdkę w dniu Bożego Narodzenia. Doskonale wiedział, że nie jest to jego „pierwszy raz”. Mimo to sprawiał wrażenie
dzieciaka. W istocie nim jednak nie był. Należał do tych, których lepiej omijać w ciemnych uliczkach. Dwutygodniowy zarost,
niespokojne niebieskie oczy świdrujące non stop to w prawo to w lewo no i ubiór.

Nie wyglądał na normalnego człowieka, przynajmniej teraz. Cała postać była ubrana na czarno. Jedynie biały pasek na wikto-
riańskim cylindrze stanowił kontrast dla reszty. Stojąc w ukryciu płaszczy, co jakiś czas podrywał się niespokojnie. Przedziwny to
był osobnik. Cały strój był nieskazitelnie czysty, lecz sam mężczyzna skazitelnie brudny. Założył maskę. Była biała posrebrzana,
miała w sobie coś ukrytego, tajemniczego. Wszakże skrywała liczne tajemnice wiążące się ze sprawami tak obszernie opisywanymi
przez prasę.

Trzymał kurczowo dwa sztylety wykonane ze srebra z połączoną rączką i przedziwnym kształtem. Zakończone szpiczastym koń-
cem nie wyglądały jak ozdoby ściennie. Usłyszał ją. Teraz już dobrze wiedział. Wracająca z lekcji muzyki. Miał wszystko zapla-
nowane. Zresztą robił to już tyle razy, że jakakolwiek pomyłka czy uchybienie nie wchodzi w grę. Przez chwilę zastanawiał się
nad tym, kim tak naprawdę jest. Śledził ją od dawna, ale jak to zwykle bywało nie wiedział zbyt wiele, oprócz tego, że jest to
stuprocentowy cel. -Może nie warto tego robić? Potrzęsnał głową chcąc oddalić „zbędne myśli”.

-Gówno mnie to obchodzi jak ma na imię. Sram na to, kim jest, czy ma psa i czy ktoś będzie za nią płakał. Liczę się ja, tylko
ja. Mam w dupie życie. Życie chyba też ma mnie w dupie. Wcale nie musiał tak być. Ale jest. I taki jestem. Taki zostanę! Na
zawsze! No. Tak trzymać!- Te słowa, a w zasadzie tok myślenia wyraźnie podniósł go na duchu.

Odgłosy kroków nasilały się z sekundy na sekundę. - Nie patrz na wygląd... Nie patrz na wygląd... Nie patrz na wygląd... powta-
rzał tak w kółko. Liczy się to, co zrobisz! Jesteś najlepszy w swoim zawodzie! Sam się go nauczyłeś! Widzisz tylko jedno. Cel.
Zdobycz. Zdobycz...

Teraz! Wyskoczył przed nią zza krzewu. Ostentacyjnie oparł dłonie na biodrach. Uśmiechnął się wzgardliwie, choć nie było tego
widać przez maskę. Widział ją już dokładnie. Oglądał swój „cel”. Dziewczyna zatrzymała się niepewnie.

- Dziwne - pomyślał. Jego „zdobycz” zawsze uciekała, a on zawsze ją musiał gonić. Ku jego zaskoczeniu, nawet się nim nie za-
interesowała. Nawet nie patrzyła w jego stronę. Zakaszał ochryłym głosem. Najwyraźniej kilka miesięcy noclegu w nieczynnej
kamienicy zrobiło swoje. Podszedł do niej dostojnie, niczym mistrz ceremonii. Towarzyszył temu głośny stukot staroświeckich
butów, które jeszcze niedawno były krzykiem mody dla bogatych pań. Wyciągnął sztylety. Uniósł powoli nad dziewczyną. Dziwne
- pomyślał.. -Nie bała się ani trochę! Naćpana czy co?!

-Kim pan jest? Podniosła głowę a niedoszły morderca stanął jak wryty w miejscu. Białe oczy dziewczynki wpatrywały się chłodno
w pustkę. Serce zaczęło mu bić szybciej. Teraz waliło już jak ciężki dzwon wybijający niespokojny rytm. -Chciałeś zabić niewido-
mą! Ty skurwysynu! Matole!- Mówiąc to szlochał głośno nie zdając sobie z tego sprawy.

-Dlaczego pan płacze? - spytała niepewnie. Spojrzał na nią ponownie. Dostrzegł w niej coś, czego nie widział nigdy wcześniej. Od
jej osoby wprost emanowała dobroć. Współczuła mu. Zabijał, nie miał litości a tym bardziej współczucia. Nie umiał tego zrozu-
mieć. Przecież on jest ten zły. Jemu się nie okazuje uczuć. To jest nielogiczne!

-Wiesz mała...- wymamrotał przez zęby gdy już otrząsnął się z szoku... - Dobra z ciebie dziewczynka! - Mówiąc te słowa gwał-
townie podniósł obydwa sztylety i z całej siły wbił w brzuch. Upadł bezwładnie na kolana. Widział jej twarz..

-Ale proszę pana!? Nic panu nie jest! Ja nie widzę... Chcę jakoś pomóc! Coś się stało?! Nie czuł bólu. Widział tylko jej twarz.

Chciała mu pomóc. Tylko to chciał zapamiętać ze swojego życia. Zamknął oczy. Serce przestało bić. Wiatr zerwał się gwałtownie
niosąc ogromną ilość złotych liści. Po chwili opadły spokojnie, ale on już tego nie widział. Nie chciał.

ANTOLOGIA

„Młotem i Piórem” Część druga.

Oto część druga (i niestety ostatnia) antologii, która ledwie się rozpoczynając zakończyć się musi...

Obiecałem wam najlepsze opowiadanie... (Jak pewnie również pamiętacie subiektywna ocena...) No i publikuję je... Jak dla mnie jest nim opowiadanie Leszka Baczyńskiego „4” albo po prostu „Zwyczajna opowieść”... Bardzo dobrym opowiadaniem jest również „Niech opadnie Młot!”

Nie byłbym sobą gdybym nie wspomniał o opowiadaniu „Jesienne Dolegliwości”... Nie wiem dlaczego, ale przypomnia mi jedną z wielu moich sesji RPG... No cóż... Ale przeczytajcie sami...

Reszta opowiadań to również świetne pozycje... Zresztą nie dawałbym wam kiczu do czytania... A Shiro tym bardziej...

No nic... Antologia była... I się skończyła... Czekamy na teksty do następnych... Teraz już typowo naszych...

Zapraszam do czytania... Wrażeń nie życzę, bo wiem że będą.

Stay tuned and Sodomized.

Janek Enem [enem@storytellers.pl]

Leszek Baczyński ::: „4” albo po prostu „Zwyczajna opowieść”

1.

Krew, zmieszana z kawałkami wybitych zębów, płynęła wolno po zarośniętej brodzie Vaurien’a. Jej leniwe brunatne strumyki, niczym sennie wodospady, opadały na jego wychudzoną pierś wystającą spod nabijanego żelaznymi bretnalami kaftana. Gdzieniegdzie prawie już niewidoczne, gdzie indziej nad wyraz nabrzmiałe, kończyły swą wędrówkę pod postacią ciężkich kropel lądujących wprost pod jego nogami, gdzie tworzyły kałużę lepkiej i cuchnącej mazi.

Uderzenie okutej w żelazo pięści przywróciło mu świadomość. Potworny ból ze zdwojoną siłą eksplodował w zdeformowanym potężnymi ciosami czerepie, a tętniąca niczym rota galopujących ogierów krew rozděła żyły do granic ich wytrzymałości.

Umęczone ciało pozostające w bezruchu. Bezwład w lewej ręce, prawa przybita do drewnianej ściany zardzewiałym kawałkiem żelaza. Łapany i osaczony parszywy pies przykuty do muru grubym na palec łańcuchem.

Vaurien otworzył oczy. Właściwie jedno, gdyż drugie, prawe oko zostało uszkodzone na skutek poprzednich brutalnych uderzeń. Jakby tego było mało, olbrzymi krwiak rozciągnął skórę powieki niczym skórzany wór napełniony wodą, który lada chwila zostanie rozerwany na strzępy rosnącym ciśnieniem.

Uniósł wolno głowę, która do tej pory bezwładnie zwisała mu na piersi, i rozejrzał się próbując ogarnąć okaleczonym wzrokiem swe bezpośrednie otoczenie. Znajdował się w jakimś pomieszczeniu, którego wielkości nie był w stanie ocenić na skutek panującego półmroku. Powietrze było gęste i ciepłe, przepełnione zatęchłą i prawie namacalną wilgocią. Mieszanina rozkładającej się posoki i potu tworzyła odór wprost nie do wytrzymania. Wśród cuchnących oparów, jego rozbity i złamany nos wyłowił jednak znajomy zapach przywodzący na myśl wspomnienie cudownych chwil wolności - zapach siana. Tak... Znajdował się w jakiejś starej, zapomnianej przez bogów szopie. Bogowie, cóż za ironia losu!

Panujący półmrok rozświetlała zaledwie jedna świeca, umiejscowiona na strzaskanej krawędzi potężnego kamiennego koryta, znajdującego się na lewo od Vaurien’a. Drgający płomień rzucał słabe światło na siedzącą w jego bezpośredniej bliskości postać mężczyzny. Vaurien nie widział jego twarzy ukrytej pod grubym wełnianym kapturem. Był jednak pewny, że mężczyzna ów wpatruje się w niego z uwagą. Ten przesuwając wolno swą dłoń po długiej i bujnej brodzie. Zastanawiał się pewnie nad kolejnym swym posunięciem. W pewnej chwili odwrócił głowę i skinął nieznacznie, dając tym samym wyraźny znak swemu kompanowi. Kolejne uderzenie...

-To koniec - pomyślał Vaurien. Jak mogłem być takim głupcem i dać się schwycić tym oprawcom?

Powrócił myślami do wydarzeń poprzedzających sytuację, w jakiej aktualnie się znajdował.

2.

Miarowy rytm końskich kopyt wypełniał senną atmosferę upalnego popołudnia. Okoliczne pola zbóż kołysały się leniwie w rytm delikatnych podmuchów wiatru. Nad spaloną słońcem ziemią unosiły się drobiny wirującego kurzu. Jechał wolno pogrążony w myślach, z opuszczoną na piersi głową, nie dostrzegając otaczającego go świata. Niczym duch błakający się po bezmiarze otchłani, szukający celu swej wędrówki. Ot, jeszcze jeden zbrojny na zagubionym szlaku Imperium. Kilka dni wcześniej opuścił ostatnią znaną mu osadę i udał się w kierunku bezkresnego oceanu pól i stepów - królestwa nietkniętego zarazą ludzkich ambicji i żądz. Przynajmniej tak miał nadzieję.

W pewnej chwili jego koń przystanął i zarżał cichutko. Spokój wędrowca został zakłócony. Wyrwany z rozmyślań nad pewną sprawą, zajmującą jego umysł, podniósł głowę i skierował wzrok ku ginącej na horyzoncie polnej drodze, którą właśnie podążał. W dali dostrzegł maleńki, zniekształcony falującym rozgrzanym powietrzem, kształt. Zmierzająca w jego kierunku postać człowieka.

Mężczyzna rozejrzał się. Do tej pory nie zwracał uwagi na to, gdzie się znajduje. Teraz jednak sytuacja zmieniła się diametralnie. Trzeba przygotować się na spotkanie. Jeżeli jest to zwykły wędrowiec tym lepiej dla niego. Gorzej, jeżeli okaże się on szukającym łatwej zdobyczy łotrem. Wtedy trzeba będzie stoczyć walkę na śmierć i życie, której jedynymi świadkami będą świerszcze i robaki, których z czasem przybędzie tu wiele zwabionych zapowiedzią krwawej uczty nad padliną.

Dotychczas nie został zauważony. Lecz nie ma się gdzie ukryć. Wokół tylko pola. Walka w zbożu w letnim upale to pewna śmierć. Może by tak... Pozostałe rozważania nie miały już większego sensu. Postać dostrzegła go i zatrzymała się.

Stali tak patrząc na siebie wśród kołyszącego się morza zieleni, złota i srebra.

Nie pamiętał ile trwało to oczekiwanie, gdy wreszcie ruszyła wolno w jego kierunku. Więc jednak ma przewagę. Gdyby obawiała się spotkania zapewne by uciekła. Chwycił mocno lejce i ruszył w stronę nadchodzącej postaci. W miarę jak zbliżali się do siebie rozpoznawał coraz więcej szczegółów jej ubioru i wyposażenia.

W końcu wiedział już dokładnie, z kim ma do czynienia. Była to kobieta. Prosta chłopka wracająca z pola. Zapewne gdzieś tutaj w okolicy ma swą chatę, choć do tej pory nie zauważył jakichkolwiek oznak ludzkiej bytności w tej okolicy. Któż jednak zawracałby sobie głowę takimi drobiazgami. Wspaniale było by odpocząć w cieniu domostwa, napić się chłodnego mleka i obmyć ciało z trudów podróży wiadrzem wyciągniętej ze studni orzeźwiającej wody. Zmęczenie upałem i nadzieja na rychły odpoczynek przyćmiły zdrowy rozsądek.

- Kim jesteś Panie? - rzekła kobieta opierając się jedną ręką na stylisku swej kosy, a drugą osłaniając twarz przed bezlitosnymi promieniami słońca. Widać było, iż utrzymywanie pozycji stojącej sprawia jej olbrzymią trudność.

- Co robisz na tej bezludnej drodze?

Jeździec przyglądał jej się w milczeniu. Brudna twarz nosząca ślady zmytej niedokładnie krwi, potargane szmaty stanowiące jej odzienie. I ta wielka zardzewiała kosa. Widok ten nie napawał go optymizmem.

- Zważ mnie Marsouin - odparł zsiadając z konia i podchodząc do niej wolnym krokiem.

- Posłuchaj kobieto. Chciałbym chwilę odpocząć i napić się wody, o ile pozwolisz mi pójść ze sobą do twojej chaty... - mówiąc to uśmiechnął się szeroko, ukazując zniszczone szkorbutem resztki zębów i kładąc swą dłoń na rękojeści ogromnego miecza zwisającego u jego boku.

- Tak. Odpocząć - wyszeptała. - Zatem ruszaj za mną. Niedaleko stąd stoi stara szopa - mówiąc to odwróciła się do niego plecami i ruszyła we wskazany przez siebie kierunek. Poszedł za nią pieszo, prowadząc konia za uzdę.

3.

Biegł dysząc ciężko. Co parę chwil potykał się o wyschnięte kawały nieoranej od wieków ziemi, rozchylając na boki kaleczące jego twarz wysokie łądygi dzikich zbóż. Dotknięty grozą obrazów, jakie przed chwilą zobaczył, roztrząsał galopujące z prędkością szarżującej kawalerii myśli, pragnąc odnaleźć w ich natłoku właściwe rozwiązanie. Co powinien teraz zrobić w tej sytuacji? Wszystko poszło nie tak jak to sobie zaplanował. A plan był doskonały i prosty. Tak prosty jak jego zwyrodniały chłopski umysł, który ukrywał się pod pokrytym wrzodami czerepem, górującym nad znaczną bliznami, strupami i śladami syfilisu parszywą gębą.

Potknąwszy się zapewne o jakiś kamień, upadł ociężale na ziemię. Przez chwilę leżał nieruchomo, łapiąc powietrze zmęczonymi potwornym wysiłkiem płucami. Gonitwa myśli powoli zaczynała odchodzić w spokojny i niczym niezmacony sen. A więc stało się. Od tej chwili świat, który znał, nigdy już nie będzie taki sam.

Dlaczego? Dlaczego tak się stało? Jak mógł spóźnić się na spotkanie w umówionym miejscu? Dotychczas nigdy mu się to nie zdarzyło. Wszak jako były żołnierz Imperium, lata spędził na doskonaleniu swego żołnierskiego fachu. I dyscypliny. Przede wszystkim dyscypliny. To ona decydowała o tym, czy jutro będzie można zanurzyć się w radościach życia, czy też pogрузić swe istnienie w kłóaczny dole wypełnionym rozkładającymi się resztkami kości.

A radości tych było wiele. Największą zaś z nich była ona. Jego nagroda za pełne trudów wojenne życie. Pamiętał, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Słowa, gesty, pocałunki. A potem te wszystkie chwile, które na dobre i na złe ich złączyły. Dwie słabe nitki cudem unikające niebezpieczeństw targających wichrami pożogi Stary Świat. Aż do teraz...

Teraz ona nie żyje. Leży tam w szczerym polu, zimna jak trup. Trup, jakich wiele widział w swym życiu. A on nie może jej pomóc. Nie może nawet przytulić jej do siebie. Ohydny morderca zabił jego szczęście, jego świat, jego życie. Widział to na własne oczy. Pochylający się nad ciałem jego ukochanej kat. Zemści się. Dopadnie psa i zatłucze go na śmierć. Będzie wiedział, że umiera. Ale wprawdzie musi znaleźć sposób, by go pojąć.

Gdyby chciał ruszyć teraz na parszywca w pojedynkę, nie miałby najmniejszych szans. Potrafił oceniać swych przeciwników. Ten wydał mu się nad wyraz niebezpiecznym łotrem. Zadźgałby go niechybnie swym sztyletem. Tak jak przed chwilą zadźgał jego ukochaną Fauchon. W dodatku ten skórzany kaftan, nabijany bretnalami. Zapewne wytrzyma niejedno uderzenie chłopskiego kordelasa.

Kiedy już ta hiena zadowoli się łupem, wróci do Fauchon, pochowa ją i ruszy śladem psubrata. Na bogów! Czy nikt mu nie pomoże w zemście?!

- Wody!- Ledwie słyszalne stęknienie dotarło do jego uszu. Czy zdawało mu się tylko, czy jednak bogowie usłyszeli jego wołanie o pomoc? Podniósłszy swą głowę zaczął chodzić na czworakach rozglądając się dookoła. Wtem dostrzegł leżący obok puklerz. A więc to nie był kamień! Potknął się o porzucony fragment zbroi. Skąd on się tu wziął? W szczerym polu pośród dzikich zbóż? Powoli podniósł się i stanął na nogach. W blasku gasnącego słońca dostrzegł wreszcie ślady świadczące o tym, co rozegrało się tu przed jego przybyciem. Połamane łądygi, ślady krwi, zgnieciona stopami trawa... Stoczono tu pojedynek.

Obchodząc powoli pole walki odnalazł wreszcie to, czego szukał. Przed nim leżało ciało. Wyglądało na trupa, choć nie było nim w istocie. Leżący uniósł powiekę, a z jego rozbitych ust wydobyło się raczej rżenie niż głos ludzki. Nie dziwota - jego szyję przeszył wystrzelony z kuszy bełt.

- Pomóż mi...- wyszeptał zbrojny i stracił przytomność.

- Ja pomogę tobie, a ty pomożesz mnie - wyszeptał do siebie chłop i jego parszywy pysk rozjaśnił szydery uśmiech...

Siedziała pochylona, z rękami opartymi na kolanach, na jednym ze szczebli starej drabiny i uważnie wpatrywała się w stojącą po przeciwnej stronie postać mężczyzny, który łapczywie opróżniał dzban wody. Ubrany był jak przeciętny mieszkaniec Imperium. Poznaczona bliznami łysa czaszka, gruby skórzany kaftan i średniej wielkości kusza stanowiły najważniejsze atrybuty jego wyglądu. Być może był myśliwym, a może zbiegłym dezertorem z jakiejś armii, których nie brakowało na niezmiernych polaciach Starego Świata? Prawdę mówiąc nie wiele ją to obchodziło. Najważniejsze, że wyglądał na zdecydowanego na wszystko łotra. Idealne wprost narzędzie do zrealizowania jej planu i szansy na odmianę jej dotychczasowego beznadziejnego życia. Spotkała go kilka godzin wcześniej na drodze, która przebiegała niedaleko miejsca, w którym przebywali. Było to jej aktualne schronienie - stojąca samotnie w szczerym polu stara zniszczona szopa. Kto ją postawił na tym odludziu i po co, tego, niestety, nie wiedziała. I nie chciała wiedzieć.

Mężczyzna skończył pić, odstawił od ust dzban i wycierając rękawem zarośnięte usta spojrzał podejrzliwym wzrokiem na kobietę. Zastanawiał się, co robi tutaj ta dziewczyna i czy przypadkiem w pobliżu nie czai się jej kompan, czekając tylko na okazję by poderżnąć mu gardło. Okoliczne szlaki pełne były rozmaitych morderców polujących na samotnych podróżnych. Sam był zresztą jednym z nich.

- Dobijmy targu. Czego zatem chcesz kobieto w zamian za ten dzban wody, który być może uratował mi życie na tej spalonej słońcem przeklętej ziemi?

- Uwolnij mnie z tej matni, a przysięgam, setnie Cię wynagrodzę. Usiądź na tym kamiennym korycie i posłuchaj tego, co mam Ci do powiedzenia...

Mijały minuty, kiedy wyjawiała mu szczegóły swego planu. Układała go w głowie od wielu miesięcy. Żyła nim każdym dniem, każdą godziną swego marnego żywota, czekając cierpliwie na moment, kiedy wreszcie będzie mogła go zrealizować. I oto, w jej mniemaniu, nadszedł wreszcie odpowiedni czas. Kiedy skończyła, mężczyzna potarł ręką swoją szpetną mordę, przeżuając wolno to wszystko, co właśnie usłyszał.

- O ile dobrze Cię zrozumiałem, chcesz bym zamordował tego szubrawca i pozwolił Ci pójść ze mną? Jesteś albo strasznie głupia, albo naprawdę zdesperowana i wściekła jak rozdrażniona kobra. Nawet mnie nie znasz, nie wiesz, kim jestem i czym się zajmuję, a chcesz powierzyć swój los w moje ręce?

- Jestem gotowa nawet Ci się oddać, byle tylko zobaczyć tego wieprza leżącego u mych stóp z poderżniętym gardłem - wycedziła.

Spojrzał na nią lubieżnym okiem.

- Mogę wziąć już teraz, co chcę. Jesteśmy tutaj tylko ty i ja.

- Gdybyś chciał zadać mi gwałt, zrobiłbyś byś to już dawno, tam na drodze, gdzie Cię spotkałam. Nie mam pojęcia, co Cię powstrzymało, lecz wiem jedno. Dzięki swej powściągliwości otrzymałeś szansę przeżycia i poznania mego sekretu. Decyzja należy do Ciebie.

Miała rację. Choć to, że wciąż jeszcze żyła, zawdzięczała jedynie ślepemu przypadkowi. Gdyby nie ten przeklęty paniczek, którego dopadł tydzień temu i zaatakował. Bronił się niczym kociak, lecz nie miał większych szans na przeżycie. Zadusił go rękami, lecz nie docenił jego woli przetrwania. Chłopiec w przedśmiertnym odruchu rozpaczony zadał mu swym sztyltem potworne cięcie w pachwinę. Cudem tylko nie przeciął tętnicy. Ale wystarczyło to zupełnie, by pozbawić go rozkoszy zadawania gwałtu na następne kilka tygodni. Utraciwszy zbyt wiele krwi, nie odzyskał jeszcze pełni sił vitalnych. Snuł się, zatem bezdrożami, unikając imperialnego traktu i wściebskich oczu podróżnych. I kiedy wydawało mu się, że pomału wraca do zdrowia, ta harpia dopadła go w szczerym polu. „...Nie wiem, co Cię powstrzymało?..”, „...Dzięki swej powściągliwości...” - dobre sobie. Naturalnym jest, że kiedy ktoś przystawia człowiekowi do gardła zardzewiałą kosę, ten staje się wtedy nad wyraz spokojny i powściągliwy.

- Zgoda. Zapolujemy razem na tego psa.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz. Wstała i podeszła do niego, chcąc okazać mu swoją radość. I gdy właśnie wyciągała swe dłonie w jego kierunku, niespodziewanie zaatakował. Błyskawicznym ciosem w głowę powalił ją na ziemię, po czym poprawił solidnym kopniakiem wymierzonym prosto w brzuch. Stęknęła głucho i straciła przytomność.

- Wredna suka - wydyszał stojąc nad nią. Splunął z pogardą, po czym odwrócił się i pchnąwszy ręką drewniane wierzeje szopy wyszedł na zewnątrz.

- Cóż za podły świat, pełen morderców i dziwek gotowych sprzedać ludzkie życie za garść dukatów lub chwilę rozkoszy - pomyślał. Z niedowierzaniem pokręcił głową i ruszył przed siebie, zastanawiając się, co miała na myśli, mówiąc o nagrodzie za zabójstwo swego towarzysza.

Otworzył wolno oczy i rozejrzał się. Leżał na stercie ściętych zbóż mając nad sobą sklepienie pełne gwiazd. Do jego uszu dochodził dźwięk strzelającego ogniska, nozdrza zaś wypełniał zapach dymu. Z najwyższym trudem podniósł głowę. Na wprost niego, przy ogniu siedział mężczyzna i wpatrywał się w niego przekrwionymi oczami. Jego wredna morda mogłaby przestraszyć najwaleczniejsze serce Imperium.

- Widzę, że wracają Ci siły panie - odezwał się chłop i splunął siarczyście prosto w ogień.

- Zważ mnie Degout. Miałeś sporo szczęścia, że przeżyłeś. Bogowie widać darzą Cię szczególnymi względami.

- Gdzie jestem? Co się stało? - Wyszeptał, krzywiąc się z bólu, który powoli wracał w jego ciało.

- Sam chciałbym wiedzieć, co tu się stało - odparł jakby do siebie Degout. - Znalazłem Cię w kałuży krwi z przestrzelonym gardłem. Zanim jednak dokończę, powiedz, czy nie spotkałeś na swej drodze kobiety...?

Błyskawica przemknęła przez obolały umysł rannego przywracając na chwilę wspomnienie minionych zdarzeń. Morderczy upał... polna droga... kobieta... - wlepił swój wzrok w sparszywiałą mordę chłopskiego szubrawca i poczuł jak zimne krople potu zlewają mu kark.

Szli w milczeniu przez pole dzikich zbóż walcząc każde z myślami.

Cholerny psubrat zdrowo jej dokopał. Nie wiedziała ile czasu leżała w szopie nieprzytomna. Wciąż ją młdliło. Na domiar złego czuła dziwną słabość - pewnie coś jej pękło i teraz wewnętrzny krwotok wypełniał podbrzusze. Za chwilę straci przytomność i cały plan jej męża weźmie w łeb. Przed oczyma wciąż miała jego wredny pysk, kiedy powrócił wczoraj z osady i opowiadał jej o podróżującym samotnie konnym, na którego chciał napaść. Tak. Napadali na podróżnych i mordowali ich bez litości. Miała tego dość. Dlatego oszczędziła tego przeklętego łysego bękarta, który w efekcie okazał się zwykłą szują. Taką samą jak jej mąż. Ból przywrócił ją do rzeczywistości. Trzeba działać szybko. I tak nie ma innego wyjścia. Jeżeli zawiedzie, Degout tak się wścieknie, że połamie jej wszystkie pozostałe żebra. Zagryzła wargi aż do krwi i mocno ścisnęła stylisko swej morderczej broni...

„...Rada nadaje ci prawo do pozbycia się okolicznych morderców działających w okolicy. Kontrakt zostanie spisany jutro. Jutro także otrzymasz rysopisy tych łotrów...” - myśli rozsadały mu czerep, kiedy szedł tak za nią. A więc wreszcie dopadłem te wszy - śmiał się w duchu Marsouin. Teraz już tylko pozostaje wybrać odpowiedni moment do ataku. Zetnie jej plugawy łeb zanim zdąży nadciągnąć jej kompan. Pewnie prowadzi go teraz w pułapkę, wprost w objęcia kostuchy. Nie ma chwili do stracenia. Dłoń Marsouin'a zacisnęła się na rękojeści ogromnego miecza...

Uderzyli niemal jednocześnie, nie spodziewając się swych ataków. Kosa Fauchon zakreśliła łuk, minawszy o centymetry Marsouin'a i wbiła się całym swym impetem w koński łeb. Śmiertelnie ranne zwierzę szarpnęło się w konwulsjach, wytrącając z równowagi łowcę, którego mordercze cięcie olbrzymiego miecza zmieniło trajektorię. Zamiast w szyję trafiło Fauchon nieco wyżej, pozbawiając kobietę dolnej szczęki. Z okropnej rany trysnęła krew. Pomimo tego Fauchon nadal walczyła. Panując dookoła ciszę przeszywały raz po raz odgłosy uderzającego o siebie metalu. W milczeniu przesuwali się krok po kroku wśród falujących zbóż. Fauchon traciła jednak siły. Przeklęty Degout powinien już dawno tu być! Chciała krzykiem przywołać go, lecz głos uwiązł jej w gardle. Pomoc nie nadeszła. Oprócz nich w pobliżu nie było nikogo.

Walka nie trwała długo. Kilkadziesiąt metrów dalej Marsouin, lubujący się w zadawaniu mąk zwyrodniałym łowcom głów, dopadł ją i w okrutny sposób dokończył swego dzieła. Umorusany krwią ofiary wstał powoli i ciężko oddychał. O mało, co nie stracił życia. Nie docenił jej. Przebiegła żmija mimo widocznej słabości miała jeszcze sporo sił. Ależ była niebezpieczna. Na dodatek ukatrupiła jego konia.

Marsouin postanowił wrócić do martwego zwierzęcia. Gdy po kilkudziesięciu krokach dotarł tam, pochylił się nad końskim trupem i sięgnawszy ręką po bukłak z wodą, odpiął go. Wpierw wytarł twarz z posoki, która zlepiła włosy jego bujnej brody, a następnie wyprostował się i przechylił naczynie. Strumyki wody obmyły jego głowę i twarz. Ależ to cudowne uczucie.

Musi uważać. Gdzieś w pobliżu czai się jeszcze jeden morderca. Gdy już odnajdzie go i zabije, wróci do swych zleceniodawców i odbierze lukratywną nagrodę. Marsouin uśmiechnął się szyderczo pod nosem i w tym samym momencie żelazny belt trafił go prosto w szyję.

7.

- Kobieta...- szepnął mimowolnie.

- A więc spotkałeś ją - wycedził Degout i opuścił swą głowę między ramiona. Widać było, że walczy z bólem i z trudem powstrzymuje swe emocje. Zdławił jednak rozpacz i podnosząc swój prymitywny łeb odparł:

- Ta kobieta, to moja ukochana... Fauchon...Niestety nie żyje...Jego ciało leży kilkaset metrów stąd...Nie miała szans...Oboje nie mieliście...Podły morderca napadł na Was...Nie oszczędził nawet konia...Ty miałeś więcej szczęścia...Przeżyłeś...Opatrzyłem Twoją ranę...Chciałbym jednak byś pomógł mi dopaść tego psa. Gdy go złapiemy, obaj zadamy o to, by nie nudził się w ostatnich chwilach swego żywota...

Marsouin powoli opuścił swą głowę na posłanie i spojrzał swym zimnym wzrokiem w gwiazdy. Leżał tak przez chwilę i rozważał wszystko to, co przed chwilą usłyszał od chłopca.

Jego twarz rozjaśnił ledwo dostrzegalny uśmiech. Prawdziwie musiał być wybrańcem bogów, skoro ci tak hojnie go obdarowali. Przez chwilę myślał, że oto nadszedł jego koniec i przyjdzie mu umrzeć w straszliwych mękach. Znalazł się, bowiem w rękach bandyty, na którego właśnie polował. A teraz nagle dowiaduje się, iż ten łotr, myśląc, iż ktoś inny zabił jego żonę, prosi go o pomoc w ujęciu szubrawca, który w dodatku chciał zabić i jego!

Postanowił wpierw ująć swego potencjalnego mordercę, a kiedy już się go pozbędzie, przyjdzie kolej na niczego niepodważającego prostaka. Marsouin nie wiedział jednak, jak bardzo się mylił.

8.

Ze snu wyrwał go niedaleki odgłos kroków i łamanych łodyg zbóż. Błyskawicznie chwycił swą kuszę i ostrożnie wysunął głowę patrząc w kierunku skąd dochodziły. Vaurien zobaczył brodatego mężczyznę, który szedł wolnym krokiem kilkadziesiąt metrów dalej wycierając w poły swej tuniki skrwawiony miecz. W pewnej chwili mężczyzna przystanął, przykleknął i po chwili wyprostował się zraszając twarz wodą z bukłaka. Vaurien'a paliło pragnienie, a tu bogowie zsyłają mu taki dar! Samotny głupiec zgubił pewnie drogę pośród tych pól. Szkoda czasu. Zabije go i weźmie sowity łup. Nie namyślając się długo, strzelił z kuszy mierząc dokładnie w szyję przeciwnika.

Chwilę później, zaspokoiwszy pragnienie kilkoma potężnymi chaustami wody, obszukał ciało ofiary leżące obok końskiego trupa. W skórzanym torbie odnalazł kilka kartek pergaminu. Ponieważ nie potrafił czytać rzucił je niedbale na bok. I pewnie gdyby nie ślepy przypadek, który sprawił, że jedna z nich padła mu wprost przed jego pochyloną nad łupem głowę, jego losy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Na owym kawałku podniszczonego papieru widniała twarz kobiety, którą tak okrutnie potraktował dzisiejszym rankiem.

Vaurien zrozumiał, iż upolował właśnie łowcę głów! No proszę, myśliwy stał się zwierzyną. Teraz wszystko stało się jasne. Rozejrzał się po okolicy, dobrze rozumując, iż gdzieś niedaleko powinien znajdować się trup jakiegoś łotra, którego zabił łowca. Wszak wycierał on swój ogromny miecz ze świeżej krwi. Vaurien ruszył śladami pozostawionymi przez Marsouin'a. Szedł znajdując poszczególne dowody stoczonej walki, aż wreszcie odnalazł ciało Fauchon. Pochylił się nad nią, dotykając ręką jej twarzy. Bynajmniej nie z litości. Na szyi kobiety lśnił w słońcu kawałek szlachetnego metalu, który bardzo spodobał się Vaurien'owi. Wyjął z za pasa sztylet i przeciąwszy rzemień, zabrał zdobycz, chowając ją za połami swego kaftana.

Nie było mu żal. Ostatecznie spotkała ją to, na co sobie zasłużyła. Wyprostował się, rozejrzał i ruszył wolno przed siebie ku swemu przeznaczeniu.

Ogromne czarne chmury przewalały się nad stojącą samotnie w polu starą zniszczoną szopą. Nadchodziła burza. W oddali widać już było rozbłyski gromów z wściekłością przecinających nieboskłon. W naelektryzowanym do granic powietrzu unosił się zapach ozonu.

- Powiem Ci, za co umierasz parszywy psie - Degout zbliżył swą szkaradną mordę do tego, co jeszcze kilka godzin temu było twarzą Vaurien'a. Pojmali go wieczorem, gdy zatrzymał się, by odpocząć. Nie wiedział nawet, jak to się stało. Gruby sznur zarzucony mu na szyję przez napastnika błyskawicznie pozbawił go przytomności. Fragmenty nieba pełnego ciemnych chmur, niewyraźne sylwetki postaci, grzechot łańcucha i odgłos wbijanego w ciało żelaza składały się na fragmenty świadomości, jakie był sobie w stanie przypomnieć. I oto znajdował się w tej samej szopie, w której jeszcze rankiem rozmawiał z wredną babą o zabójstwie jej męża. Ciekawe gdzie on teraz jest? I co robi? Dobrze by było, gdyby pojawił się tutaj rychło, być może mógłby mu pomóc wydostać się z opresji. Vaurien był, bowiem przekonany, iż został pojmany przez tych dwóch za zabójstwo ich kompana - brodatego łowcy głów.

- Zabiłeś ją wszarzu i teraz odpokutujesz za swoje winy - wycodził przez zaciśnięte zęby Degout.

Vaurien wolno przetrawił to, co właśnie usłyszał. Jego nadzieja na przeżycie zniknęła w jednej chwili. Ależ się mylił. Oto stoi przed nim przeklęty kompan tej wrednej suki, którego chciała się pozbyć. Żałował teraz, że nie przyjął jej propozycji.

Degout sięgnął swą okrwawioną dłonią po leżący nieopodal sierp i chwyciwszy go mocno spojrzał ponuro na przykutą do ściany ofiarę.

- Wstrzymaj się głupcze - wycharczał drugi oprawca, wstając ze swego miejsca i zbliżając się do nich. Ja również chciałbym „podziękować” naszemu „przyjacielowi” za „opiekę”, jaką mnie obdarzył podczas naszego ostatniego spotkania. Ciało Vaurien'a przeszedł lodowaty chłód. Gdyby miał włosy, zapewne wszystkie byłyby teraz uniesione strachem.

Owym drugim kątem był łowca głów. Ten sam, którego, wydawało mu się, zabił w polu.

Jakimś cudem przeżył jego morderczy strzał! Przez okrwawioną głowę Vaurien'a przebiegały teraz tysiące myśli. A więc jest jeszcze szansa! Teraz albo nigdy. Wypluwając wypełniającą jego usta krew, Vaurien odezwał się do Degout'a.

- Posłuchaj mnie kundlu. Nie zabiłem tej kobiety. Wiesz, co znalazłem w torbie tego łajdaka, gdy napadłem na niego? - tu wskazał na Marsouin'a. Kontrakt na Ciebie i na tę przeklętą dziwkę. Tak, dobrze słyszysz! Tę cholerną dziwkę, która rankiem błagała mnie bym poderznął Ci gardło. Twój kompan natomiast, to nikt inny, jak sparszywiący łowca głów, który przybył tu w jednym celu - by zarznąć Cię jak świnię. Dokładnie tak samo, jak zarznął i zgwałcił twoją kobietę...

Tu urwał, bo wściekły do nieprzytomności Degout potężnym uderzeniem sierpa odciął mu przykutą do ściany rękę. Ciało Vaurien'a zwiisało teraz bezwładnie na drugiej, wyrwanej ze stawu kończynie. Z okropnej rany tryskało morze krwi...

Degout błyskawicznie odwrócił się w stronę Marsouin'a. A więc tu wszystko się kończy. Ten zbity pies miał rację. Dowiedziawszy się w osadzie o samotnym konnym podróżnym, wraz ze swą żoną szykował na niego pułapkę. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to polujący na nich najemnik. Przypadek sprawił, że zobaczył kontrakt na siebie, gdy znalazł go rannego tam w polach. Gdyby tylko wtedy wiedział, że to on zamordował jego ukochaną...

Na zewnątrz rozszalała się burza.

Marsouin wolnym ruchem wyjął swój ciężki miecz. Ten prymityw wie już, kim jest. Pora dokończyć dzieła. Stali teraz naprzeciw siebie, dysząc wściekle, gotowi w każdej chwili uderzyć.

Wtem drzwi szopy otwarły się szeroko, brutalnie pchnięte ostrym podmuchem wichru, który wdzierając się do wewnątrz zgasił swym oddechem jedyną znajdującą się w pomieszczeniu świecę. Potężny grom uderzył nieopodal rozświetlając horyzont. Degout i Marsouin mimowolnie odwrócili głowy w kierunku otwartych na oścież wierzei szopy i zamarli z przerażenia. Stała w nich dobrze znajoma im zakrwawiona postać ściskająca w swych dłoniach olbrzymią zardzewiałą kosę. Była to Fauchon...

- I co? Co było dalej? Opowiadaj starcze! - ciżba gromadnie obiegła sędziwego barda, który w tym właśnie momencie przerwał swą opowieść, i powiodłszy jednym okiem po twarzach słuchaczy, sięgnął po kufel zimnego piwa.

- Ja wam powiem - odezwał się siedzący najbliżej bazarza potężny chłop. Przeklęta wiedźma ścięła wszystkim łby z karków swą piekielną kosą. To musiała być strzyga. Mówię wam, pełno ich szwędą się po świecie polując na niewinne dusze...

- Bzdury gadasz - odparł jego kompan - Wydaje mi się, że łowca wykończył ich wszystkich. Jego miecz widział już niejedno...

Po paru chwilach wszyscy zgromadzeni w gospodzie przekrzykiwali się nawzajem. Chłop poderznął gardło łowcy... Wszyscy wytlukli się nawzajem... Domysłem nie było końca.

Podniósłszy się ciężko z ławy, chwycił mocno swój kostur, popatrzył na otaczającą go gromadę przekrzykujących się nawzajem wiejskich głupków, pokręcił lekko głową i ruszył w kierunku drzwi. Otworzył je szeroko wyszedł przed budynek. Spojrzał w niebo pełne gwiazd, splunął siarczyście i kuśtykając na swej jednej nodze ruszył przed siebie. Stary okaleczony szubrawiec, któremu pozostało tylko szwędąć się po gospodach i bawić tłum opowieściami. Kiedy tak szedł w milczeniu na jego szyi kołysał się uwiązany na rzemieniu kawałek szlachetnego metalu, w którego posiadanie wszedł dawno dawno temu.

Ale to już zupełnie inna opowieść...

Leszek Baczyński

Daniel Nogal ::: Płatki Śniegu

Skrzące się w porannym słońcu płatki śniegu tańczyły na wietrze.

Jedyny gość gospody Pod Zielonym Kurem zaprzestał wpatrywania się weń, słysząc, iż zbliża się ku niemu śniadanie, niesione przez niecodziennie chudego karczmarza.

- Zacny panie, chleb i twaróg, jako prosiliście. I piwo najprzedniejsze.

- Zacny gospodarzu, dziękuję. A skoro już strawę podaliście, bądźcie łaskawi wziąć swą zacną gębę daleko ode mnie, bo czosnkiem parszywie cuchniecie.

- Tak, panie. Jako sobie życzycie. - Karczmarz zdusił w sobie niechęć do gościa, rozmyślając o srebrze otrzymanym z góry. Spokojnie powrócił za szynkwasa.

Wtem, zima wprosiła się do gospody (wraz z wiernymi towarzyszami - wichrem i śniegiem), korzystając z otwarcia drzwi przez nowych gości. Dość szczególnych, trzeba przyznać, jak na Zielonego Kura.

- Braciszkwowie zakonni, nie łaska szybciej włączyć? Całe ciepło z izby ucieka! - zawołał im na przywitanie ten, który do niedawna był jedynym klientem czosnkowego gospodarza.

Czterej zakonnicy spojrzeli na niego. Potem na siebie wzajem. Po chwili, nie wymieniając ni słowa, ruszyli wprost w jego stronę.

Uniósł głowę znad spożywanego posiłku.

- Czym mogę służyć zacnym sigmarytom?

- A możesz służyć, synku, możesz - niemal szeptem odezwał się najstarszy z nich, zgarbiony dziadyga z oczyma jak ze stali.

- Reinhold Schwarzeinstein cię wołają, nieprawdaż?

- Zdarza się czasem. To chyba jeszcze nie grzech?

- Nie, synku, to jeszcze nie. Grzechem byłoby, gdybyś nie zechciał odpowiedzieć na moje kolejne pytanie. A brzmi ono tak: gdzie ukrywa się twój przyjaciel, czarownik Adelbert Hamann?

- Musicie mi w takim razie, ojcze, grzech niewiedzy wybaczyć. Nie znam osoby, o którą zapytujecie.

- Znasz, magiku, oczywiście, że znasz! I powiesz nam o nim! Po dobroci lub nie, jeśli wolisz! - zawołał zakonnik stojący po prawicy staruszka.

Magik odwrócił ku niemu głowę. Przyjrzał się czerwonemu od świętego gniewu obliczu wiejskiego prostaka, którego do zakonu przyjęto chyba przez pomyłkę. Uśmiechnął się tak złośliwie, jak tylko potrafił. A był w tym niezły.

- Ojcze, kogoście tu przywieźli? Na cóż takich od pługa odrywać i w habity przyodziewać?

Oderwany od pługa zareagował natychmiast. Złapał czarodzieja za kubrak i pchnął na ścianę. A że był od niego ze dwa razy potężniejszy, tamten wpadł na nią z łoskotem i osunął się na podłogę.

- Dość! - zawołał starzec, gdy wściekły zakonnik ruszył ze stołkiem w rękę ku sięgającemu po sztylet czarodziejowi. - Dość!

Zydel upadł na podłogę, ostrze wróciło za pas.

- Synku, niepotrzebnie z brata Helmuta kpiłeś. Skory on do gniewu, jak widzisz. Niefortunnie nam się spotkanie ułożyło, więc mam propozycję: gdy tylko przypomnisz sobie coś o Adelbercie, z którym przecież swe sztuki tajemne studiowałeś, świątynię odwiedź i tam nam o tym opowiedz. Czekać będziem ciebie z niecierpliwością. Niech Sigmar ma cię w opiece, synku. Do zobaczenia. Oby rychłego!

Braciszkwowie opuścili gospodę, nie doczekawszy się pożegnania.

- Pocałuj się w rzyć, chędożony klecho. A najlepiej Helmuta w rzyć pocałuj - zamruczał pod nosem czarodziej, masując obolałe plecy. - Zacny gospodarzu! Uprzątnijcie tu natychmiast! Stołki powywracane, cóż to za gospoda... I piwa więcej przynieście!

„Srebro, srebro, srebro...”

- Tak, panie. Wedle życzenia.

Skrzące się w porannym słońcu płatki śniegu tańczyły na wietrze.

Zadumany Reinhold wyglądał przez okno. Patrzył na przechodzących zaśnieżoną Langen Strasse mieszczan szczelnie okrytych grubym odzieniem, na miejskich strażników marzących o zakończeniu patrolu i na tych nielicznych szczęśliwców, którzy dzięki wierzchowcom sami nie musieli brnąć w śniegu. Takich szczęśliwców, jak jeden z lokalnych szlachciców wraz z eskortą, dwu uzbrojonych po zęby najmitów, czy trzech Templariuszy Białego Wilka...

„Templariusze Białego Wilka?! W Bögenhafen?! Zimą?!” - Schwarzeinstein wyrwał się z zamyślenia i przysunął twarz bliżej brudnej szyby, by obserwować, gdzie zmierzają ulrykańscy rycerze.

Mineło kilka chwil, które pogłębiły stan zaskoczenia, w jakim znalazł się czarodziej. W tym czasie Templariusze weszli do karczmy i jeśli zbliżyć się powoli ku Schwarzeinsteinowi.

- Witajcie, mości Reinholdzie - odezwał się niskim, donośnym głosem jeden z nich, rosły rudzielec z brodą zaplecioną w liczne warkoczki.

- Witam, rycerzu znający moje imię. W czym mogę pomóc?

- W spełnieniu mej misji.

- Tak?

- Tak, mości czarodzieju.

- Jakże ja mógłbym wspomóc takich rycerzy w wykonywaniu ich świętych zadań? Sądzę, iż mnie przeceniacie. Jedyne, co zdolny jestem wam zaoferować, to dobra rada, co byście w innej gospodzie na spoczynek ostali, bo tu jadło kiepskie, a karczmarz czosnkiem okropnie woni.

„Srebro, srebro, srebro...” - myślał ktoś za szynkwasem.

- Nie czas nam jeszcze na spoczynek, mości czarodzieju. Czas nam zadanie wypełniać, w którym pomoc wasza może być wręcz niezbędną. Takoż, uniżenie proszę, byś szedł teraz z nami.

Reinhold miał już na końcu języka odpowiedź, którą nieskromnie uznawał za nieprzeciętnie błyskotliwą. Ale plecy wciąż bolały, a ściana, równie twarda jak wcześniej, była niedaleko za nim. Spojrzył na stojącego naprzeciw wielkiego rudzielca - i na dwu pozostałych, blondyna i łysiego, nie mniej potężnych. Jeszcze krótki rzut oka na ciężkie topory i poczuł się przekonany.

- Skoro tak bardzo prosicie, rycerzu, chodźmy.

Wyszli z gospody na zaśnieżoną ulicę. Rudy Templariusz prowadził.

Reinhold intensywnie myślał. Nie wiedział, czy sytuacja jest na tyle poważna, by planować ucieczkę, czy też nie powinien czuć się zagrożony - bo właściwie i czemu? Po dłuższej chwili namysłu odrzucił, przynajmniej na pewien czas, pierwszą możliwość.

Gdy rycerze wprowadzili go w bezludny zaułek pełen brudnych zasp, przyszło mu do głowy, że podjęta niedawno decyzja mogła być najgłupszą w jego życiu. Któż wiedział, czy nie ostatnią.

- Dobrze, Schwarzeinstein. Przejdźmy do sedna. Przebyliśmy szmat drogi, żeby dorwać człowieka, do którego właśnie ty musisz nas doprowadzić. Nie traćmy więc czasu. Mów, gdzie ukrywa się Adelbert Hamann.

- Jak widać, rycerzu, miałem słuszość, gdy rzekłem wam, iż nie mam jak wspomóc waszej świętej misji. - Reinhold z trudem utrzymywał spokojny, hardy ton.

- Nie kpj czarownikowi i nie marnuj naszego czasu. Nazbyt on cenny. Raz jeszcze spytam: gdzie jest Hamann?

- Nie kpię, rycerzu, zaś marnowania czasu sami jesteście sobie winni. Adelberta od lat nie widziałem i nie mam pojęcia czemuż z takim poświęceniem, w środku zimy, go szukacie. Co więcej, nie obchodzi mnie to wcale.

- Drażnisz mnie, Schwarzwstein. Cholernie mnie drażnisz. Tak bardzo, że najchętniej tu i teraz rozwaliłbym ci łeb. Ale powiedzmy, iż rzeczywiście nie wiesz, gdzie skrywa się Hamann. W takim razie, dowiedz się jak najszybciej. A my wrócimy, by spytać.

- Dzięki za twą wiarę w mą prawdomówność, łaskawco - sarkazm Reinholda, trzymany dotąd skutecznie na wodzy, zerwał pęta nałożone mu przez instynkt samozachowawczy.

Rudy rycerz nie zdobył się na błyskotliwą kontrę. Miast tego, pchnął szczupłego czarodzieja wprost w wielką zaspę.

- Do zobaczenia, Schwarzwstein.

Templariusze odeszli.

Reinhold wyczołgał się z zasy. Wstał. Strzepnął z odzienia cuchnący podejrzenie śnieg.

- Ja wam wszystkim, kurwa, pokażę.

Skrzące się w porannym słońcu płatki śniegu już nie tańczyły na wietrze.

Raz - bo już nie padał śnieg.

Dwa - bo nie było już wiatru.

I trzy - bo było już po południu.

Ubity puch, który zdążył zatracić swą nieskalaną biel, skrzypiał żałośnie pod stopami maszerującego żwawo czarodzieja. Reinhold miał rozliczne kamienice, wybierał kolejne, coraz węższe uliczki, aż dotarł do malutkiej oberży z nieczytelnym malunkiem na drewnianym szyldzie.

- Łeb Knura. Tak, jestem na miejscu - szepnął sam do siebie, wypuszczając z ust obłok pary, po czym pchnął nędzne drzwi. Ostrożnie, żeby nie przestały działać.

Ze względu na wczesną porę ciemna izba gospody była nieomal pusta. Zważywszy na kategorię gości, jacy zwykle nawiedzają przybytki tej klasy, wcale nie martwiło to czarodzieja.

- Witajcie, gospodarzu.

- Nu. Co dać?

- Piwa nalejcie.

- Nu.

Mały, brudny oberżysta nalał małymi, brudnymi rękoma piwo do kufła. Małego i brudnego.

„Jak za dawnych lat.” - pomyślał z nostalgią Reinhold.

- Przednie, gospodarzu, przednie - pochwalił czarodziej, krzywiąc się nad kwaśnym paskudztwem.

- Nu. Dwa pensy.

- Już, już. Ale powiedzcie mi jeszcze, gospodarzu, czy goście tu może może Adelberta?

- Żadnych izb dla gości nie ma.

- Jak nie ma, to coście tak krzywo na mnie spojrzeli? Oj, gospodarzu, przecież od lat dla Adelberta zawszeście pokoik znaleźli.

Wiem, bom u niego nocował niegdyś, nie spamiętaliście?

- Brednie gadacie. Piwo szybko kończcie, bo zamykać i posprzątać muszę.

Kilka chwil później Reinhold stał przed zamkniętą gospodą i wyliczał intrygujące zjawiska, jakie właśnie miały miejsce.

„Gospodarz mnie nie pamiętał - dziwne, acz możliwe. Nie pamiętał Adelberta - bardzo dziwne i bardzo nieprawdopodobne. Zamknął gospodę popołudniu - niecodzienne. Ktoś rzucał zaklęcia w piwnicy - więcej niż niecodzienne...”

Czarodziej ruszył powoli przed siebie.

Nagle przystanął.

- Oberżysta nie upomniał się o zapłatę! Coś tu naprawdę śmierdzi...

Przyszli, gdy znużony dumanie Reinhold właśnie układał się do drzemki. Leżąc w izbie na piętrze Zielonego Kura, bez trudu rozpoznał docierający z dołu donośny głos rudego rycerza. Usłyszał też wyraźnie, iż Templariusze zbliżali się ku schodom.

Nie spodziewał się następnego spotkania tak szybko i nie miał pojęcia, jak się zachować. Przeklął po raz kolejny swoje mierne, jak na razie, magiczne zdolności i zaczął myśleć nad tym, co powiedzieć ulrykanom.

Wtem usłyszał, że rycerze zatrzymali się jeszcze przed drewnianymi stopniami na górę. Zaraz po tym, gdy ktoś wszedł do gospody.

- Witajcie w Bögenhafen, dzielni rycerze Białego Wilka.

Głos, który przerwał trwającą przez dłuższą chwilę ciszę, również był Reinholdowi znany. Ale te słowa, wypowiedziane cicho przez starego zakonnika, dotarły do czarodzieja tylko dlatego, iż nasłuchiwał już przy uchylonych drzwiach.

- Witaj, czcigodny ojcie - zabrzmiał mocny głos Templariusza.

- Zdziwionym niezwykle waszą obecnością. W Bögenhafen. Zimą. W takiej karczmie.

- Cóż, ojcie. Wędrownym rycerzom w różnych miejscach pisane spocząć. Dziwić raczej może, co czcigodni słudzy Sigmara robią w tej gospodzie. - Także i ulrykanin nie przejął się tym, iż właściciel przybytku był świadkiem rozmowy.

- I nam czasem w gardle zaschnie, rycerzu. Nalej piwa, gospodarzu.

Braciszkowie zasiedli nad kufłami. Templariusze spojrzeli po sobie, jednak w chwilę później poszli za ich przykładem.

Zaczajony na piętrze czarodziej wsłuchiwał się w ciszę, która zapadła w jadalnej izbie i wyobrażał sobie spojrzenia wymieniające przez przedstawicieli dwu (jakże sobie niechętnych) kościołów, którzy przypadkiem przyszli nękać go w tym samym czasie. Uznał ten zbieg okoliczności za prezent od kapryśnej fortuny. Postanowił podarunek ów wykorzystać natychmiast, gdyby fortuna miała za chwilę zmienić zdanie.

Zbliżył się do okna i spojrzał w dół, na zaspę okazałej wielkości. Nabyta niedawno niechęć do nurzania się w śniegu wprawiła go w chwilową wątpliwość. Lecz tylko chwilową. Zaraz spakował swe rzeczy, zarzucił na plecy sakwę. Wrócił do okna, otworzył je szeroko i jął ostrożnie opuszczać gospodę. Po chwili wisiał już nad zaspą, by następnie wpaść w sam jej środek.

Wyrzebał się ze śniegu, uważnym spojrzeniem zlustrował podwórze.

- Pora wyschnąć w jakiejś lepszej karczmie, w której nie bywa tak szemrane towarzystwo - zwrócił się sam do siebie, jak czasem miał to w zwyczaju.

Skierował swe kroki ku wyjściu na ulicę.

Czarodziej stał w zaułku, skryty za dziurawymi beczkami. Właściwie to nie stał, ale kulił się z zimna, mimo kilku warstw wełnianego odzienia.

Przeżywał właśnie chwile zwątpienia. Był coraz bliższy uznania, iż czajenie się nieopodal Knurzego Łba nie przyniesie mu nic, prócz przeziębienia. A na to zdecydowanie nie miał ochoty.

Lecz z drugiej strony, coś musiał zrobić, by dowiedzieć się wreszcie czegośkolwiek o tym, co działo się wokół i w co go wmieszano. By znaleźć przyjaciela z młodości i sprawić, żeby paru natrętów dało mu spokój. Przy okazji, licząc na to, że nadarzy się sposobność dania natrętom nauki.

Łeb Knura był jedynym punktem zaczepienia. Właściwie, nie tyle sama gospoda, co raczej związane z nią wydarzenia sprzed kilku godzin - szczególnie bijąca z piwnic magia. Dokładnie taka, jak ta, którą Reinhold właśnie wyczuwał, choć (zważywszy na pewną odległość od karczmy) znacznie słabiej. To przekonało go, by jednak zostać, mimo mrozu i ciemności, i dalej obserwować wszystkich kręcących się wokół oberży.

Nagle z mroku przeciwległej uliczki wyłoniła się potężna postać. Szła powoli, bacznie się rozglądając. Przystanęła pod kamienicą sąsiadującą z Łbem Knura. Czekala, a skryty nieopodal Schwarzstein przyglądał się jej. Wielce był zaskoczony, gdy w bladym księżycowym blasku rozpoznał człowieka opartego o ścianę czynszówki.

„Templariusz!”

I w rzeczy samej, był to ulrykański rycerz. Tym razem bez topora i okryty grubą opończą, lecz bez wątpienia Templariusz - łysy, jeden z trzech przybyłych ostatnio do Bögenhafen.

Jednak w stan głębszego jeszcze osłupienia wprawiło Reinholda rozpoznanie osoby, która wyszła tylnymi drzwiami karczmy na spotkanie ulrykaninowi. Choć również odziana była całkiem inaczej niż kilka godzin wcześniej.

„Braciszek Helmut!”

Dwaj rośli słudzy zwaśnionych świątyni przyglądali się sobie wzajem przez dłuższą chwilę. Pierwszy przemówił sigmaryta:

- Witaj w Bögenhafen, bracie.

„Bracie?!”

- Witaj.

- Długą drogę przebyłeś, by dotrzeć do mistrza.

„Mistrza?!”

- Bez wątpienia. Długą. I mam nadzieję spotkać go pierwszy, nim dotrą do niego Fritz i Kohler.

- Spotkasz, bracie. Zaraz spotkasz, gdyż uznał, iż można ci ufać. Uważa również, że musi porozmawiać z tobą o pozostałych Templariuszach... Fritzu i Kohlerze, tak? I o pewnym czarowniku. Chodź ze mną.

Sigmaryta i ulrykanin (choć kwestia wyznań stawała się, w świetle zaistniałych przypadków, niezwykle wątpliwą) weszli tylnym wejściem do gospody Pod Łbem Knura.

Czarodziej stał w zaułku głęboko zadziwiony. Po chwili uznał, iż dzienny limit zdarzeń niezwykle po prostu musiał być już wyczerpany, postanowił więc zasiąść w cieple i pomyśleć. Miał o czym.

Obudziło go donośne pukanie do drzwi.

Otworzył oczy. Rozejrzał się po izbie wynajmowanej Pod Zielonym Kurem, do której przez nieszczelne okiennice sączyły się pierwsze promyki zimowego słońca.

- Kto tam?

- Brat Helmut, panie magu. Wpuście mnie, proszę. Porozmawiać chciałem. I przeprosić.

„Tak, jasne!”

- Zaraz, odziać się muszę.

Minęło kilka chwil. Czarodziej odsunął zasuwę, uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz.

- Witajcie, panie Schwarzstein - zakonnik, tym razem znów w habicie, przemówił niezwykle grzecznym (jak na chłopca ode-
rwanego od pługa) tonem.

- Witam.

- Wpuście mnie do izby, panie?

- Skoro nalegacie, wpuszczę.

Reinhold szerzej otworzył drzwi i odsunął się, robiąc miejsce bratu Helmutowi. Zakonnik powolnym krokiem wszedł do środka.

W pewnej chwili czarodziej dostrzegł coś niepokojącego. Błysk metalu u krańca rękawa porannego gościa. Nie był zaskoczony. Więcej nawet, spodziewał się. I postanowił nie czekać na to, by łże-sigmaryta miał okazję skorzystać ze skrywanego ostrza. Skoczył ku niemu, kierując kolano prosto w krocze. Zakonnik zareagował błyskawicznie. Usunął się, unikając kopnięcia. Wyciągnął sztylet z rękawa i, mając poczucie miazdzącej przewagi, uśmiechnął się paskudnie.

Ale i Reinhold miał już w ręku ostrze, które wsunął za pas, nim wpuścił Helmuta. Stali teraz obaj, czarodziej i zakonnik, z bronią w dłoniach - nadal jednak to poranny gość miał przewagę. Był po prostu znacznie większy.

I to właśnie on zaatakował pierwszy. Wciąż z wrednym uśmieszkiem na obliczu wiejskiego prostaka, rzucił się ku czarodziejowi... I potknął się o stołek, który kopnął mu pod nogi Reinhold. Miał wpaść na Schwarzsteina, Helmut wyładował na ścianie. Utrzymał się na nogach i natychmiast odwrócił. Cóż, prawie natychmiast.

Czarodziej prędkim ruchem wbił ostrze pod żebra zakonnika.

Sztylet z brzękiem upadł na podłogę, braciszek osunął się na kolana. Klęczał przez chwilę, obficie brocząc krwią z boku i z ust. Wreszcie, przewrócił w szkarłatną kałużę.

- I co ja mam, do cholery, teraz z tobą zrobić?!

Reinhold postawił kopnięty niedawno żydel. Usiadł. Zaczął myśleć.

Wstał. Zamknął drzwi. Zasunął zasuwę.

Wrócił do rozmyślań.

Ubity śnieg skrzypiał żałośnie pod stopami maszerującego żwawo czarodzieja. Reinhold mijał rozliczne kamienice, wybierał kolejne, coraz węższe uliczki, aż dotarł do malutkiej oberży z nieczytelnym malunkiem na drewnianym szyldzie.

Zapadał zmierzch.

Tymczasem martwy brat Helmut leżał na sienniku w izbie Pod Zielonym Kurem, od stóp do głów okryty kocem - tak, jakby mógł jeszcze zmarznąć...

O dziwo, tego dnia nikt już nie niepokoił czarodzieja. Ani ulrykanie domagający się informacji o Hamannie, ani sigmaryci, którzy spytać mogliby również i o Helmuta. Ale to nie mogło trwać zbyt długo, dlatego Reinhold postanowił o zmroku zacząć działać. Martwy zakonnik w jego izbie stanowił wystarczającą motywację do pośpiechu.

Zbliżający się ku wejściu do Knurzego Łba czarodziej usłyszał, jak ktoś skrada się za nim po zmarzniętym śniegu. Skrada dość nieudolnie. Reinhold postanowił nie wchodzić do oberży. Minął ją i skierował swe kroki ku głównym ulicom Bögenhafen.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, iż popełnił błąd. Pomylił uliczki i znalazł się w takiej, z której nie było drugiego wyjścia. A ktoś się zbliżał... Schwarzstein odwrócił się i zobaczył kroczonego ku niemu powoli, acz zdecydowanie, człowieka, który już wcale się nie skradał. Człowieka potężnego, z pasującym doń jak ulał toporem w ręce.

- Witajcie, rycerzu.

Łysy Templariusz, zamiast odpowiedzieć, przyspieszył kroku.

Reinhold nie zastanawiał się długo, nie było na to czasu. Zaczął inkantować zaklęcie.

Słyszac szepty czarodzieja i widząc jego gesty, rycerz przyspieszył jeszcze bardziej. Zaczął biec.

Reinhold czarował.

Templariusz biegł.

Czarodziej niemal skończył, wykonywał ostatni gest.

Rycerz niemal dobiegł, wznosił ciężki topór.

Z dłoni Reinholda wystrzelił ku Templariuszowi kulisty płomień, w zaułku zrobiło się jasno jak za dnia. Rycerz natychmiast przemienił się w żywą pochodnię i pofrunął do tyłu, pchnięty mocą zaklęcia. Skończył swój żywot nim zdążył wrzasnąć z bólu.

Zwężone szczątki upadły na śnieg. W powietrze wzbily się kłęby pary, uliczka wyglądała jak spowita albiońską mgłą.

Lecz czarodziej już tego nie widział. Biegiem oddalał się od miejsca zdarzenia, słyszac nadchodzący patrol miejskiej straży.

Reinhold przystanął i oparł się o wilgotną ścianę. Spoglądał na pobliskie drzwi, wypaczone i pełne szczelin, przez które sączyło się blade światło. Myślał o tym, jak właściwie udało mu się tu dostać. Bez wątpienia, miał wiele szczęścia.

Oddalił się z miejsca starcia z Templariuszem, po czym określną drogą powrócił Pod Łeb Knura, nie napotykać po drodze strażników. Potem, w gospodzie pełnej najbardziej parszywego elementu miejskiej społeczności, nie został przez nikogo zaczepiony. Nawet wtedy, gdy (korzystając z zamieszania powstałego podczas bójki) zakradł się do kuchennej izby. Stamtąd do spiżarni, następnie do piwnicy, gdzie odnalazł skryte za beczkami małe drzwiczki. A za nimi krótki i wąski korytarz o ociekających wodą, tu i ówdzie pokrytych pleśnią ścianach.

Czarodziej lekko pchnął drzwi. Były otwarte.

Znajdowała się za nimi niewielka piwniczna izba, już na pierwszy rzut oka przywodząca na myśl pracownię alchemiczne, których Reinhold tak wiele w swym krótkim życiu widział. Pełna była szklanych naczyń o przeróżnych, egzotycznych kształtach, wypełnionych kolorowymi płynami; zagadkowych pudełeczek, skrzynek i beczulek; zasuszonych fragmentów roślin i zwierząt...

I zwierzoludzi.

Ich paskudne łby szczyrzyły się ze wszystkich stron do nieproszonego gościa, a łapy, szpony i macki wiszące u ścian, wyglądały, jakby chciały sięgnąć ku jego gardłu.

Pośrodku tego wszystkiego stała zakapturzona postać okryta ciemną opończą. Nawet nie odwróciła się w stronę nieproszonego, niewzruszenie pochylając się nad blatem i mieszając coś energicznie.

- Witaj, Reini.

- Witaj, Bert.

Zapadła cisza. Kapturnik wciąż stał odwrócony plecami do czarodzieja.

- Skoro już tu jestem - odezwał się wreszcie Reinhold - może mi powiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

- W czym?

- Bert... - Schwarzsztajn westchnął. - Czemu szukają cię sigmaryci i rycerze z drugiego końca Imperium? Co robisz w tej piwnicy? Czemu mnich i Templariusz gadają o jakimś mistrzu, a potem rzucają się na mnie z nożami i siekierami?

- Jak rozumiem, obaj nie żyją?

- Nie żyją.

Znów cisza.

- Cóż... Wiele pytań zadałeś, Reini. Aż nie wiem od czego zacząć.

- Od początku.

- Od początku? Dobrze - wciąż odwrócony plecami Adelbert zdjął z głowy kaptur.

Reinhold cofnął się o krok. Zamrugał, ale to, co widział, wcale nie było złudzeniem. Dwa niewielkie, jakby kozie rogi wyrastające z głowy Hamanna były jak najbardziej rzeczywiste.

- No widzisz, Reini, to już wiele wyjaśnia, prawda?

Schwarzsztajn milczał.

- Okropność, nieprawdaż? Zaczęło rosnąć, gdy byłem w Middenheim. Przez długi czas, rzecz jasna, ścierałem je, a to, co zostawało, kryłem pod włosami. Później rogi przestały być największym problemem... Musiałem znaleźć lekarstwa na stałe. I szukałem. W różnych miejscach, u różnych ludzi. Sam wiesz, jak to się kończy, tyle się w młodości nasłuchaliśmy...

- Kultysty?

- Spytałeś retorycznie, prawda? Cóż, oni pomagali mi, a ja im. Dostawałem księgi, rzadkie składniki do mikstur, czego tylko sobie zażyżyłem. A oni dostawali pomoc maga. Właściwie nie obchodziło mnie wiele więcej, poza poszukiwaniem sposobu na pozbycie się tego paskudztwa. Nawet nie wiedziałem, że wciąż zyskiwałem w ich oczach. I nie zdawałem sobie sprawy, jak wielu wrogów narobiłem sobie w Mieście Białego Wilka. Właśnie z tych powodów, któregoś dnia wyekwipowali mnie w sakiewkę wypełnioną złotem i skromną eskortę, po czym wysłali do Bögenhafen. Ach, i zaczęli nazywać mnie mistrzem. Tu miałem zajmować się ich nową, jak zwykli to określać, komórką. Cóż, o zdanie mnie nie pytali, pojechałem.

- Chcesz mi wmówić, że, niemal przypadkiem i bez wiedzy i chęci, zostałem mistrzem jakiegoś chaosyckiego kultu? Bert...

- Dobrze, może nie do końca bez wiedzy i chęci... Ale to nieważne. Ważne, że zostałem. Że dotarłem do Bögenhafen i zorganizowałem sobie kryjówkę. I że z pomocą kilku sług zjednałem sobie nieco tutejszych mieszkańców. Potem spokojnie mogłem zająć się dalszym poszukiwaniem leku.

- Nieco tutejszych mieszkańców? W tym zakonników Sigmara, tak?

- Jednego zakonnika.

- Więc urządziłeś się tu miło, ale coś zaczęło się sypać. Sigmaryci się wywiedzieli, przypominano sobie o tobie w Middenheim.

- Zbyt wiele rzadkich manuskryptów i egzotycznych składników płynęło z różnych okolic do Bögenhafen. A później zniknęło bez śladu... Ja już prawie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić, Reini!

- A co na to twoi współtowarzysze? Przecież nie przybyłeś tu, by zająć się sobą na ich koszt.

- I nie tylko sobą się zajmowałem. Wiele tu się działo z moim udziałem. A swoje koszty pokrywałem sam, o to również potrafiłem się zatroszczyć.

- Tak jak i o to, żeby na przyjaciela nasłać zabójców.

- Reini... Nie będę się tłumaczył. Zresztą, nie musiałem nikomu niczego nakazywać. A powstrzymywać nie miałem zamiaru.

- Cóż, oni nie żyją i nie myślę, że to przewidziałeś. Ale przecież pozwoliłeś mi tu dotrzeć. Nawet nie zamknąłeś drzwi. Czemu, Bert?

- Nie przewidziałem, że zginą. Ale chyba... Chyba chciałem, żeby tak było... I chciałem, żebyś tu przyszedł. Bo widzisz, Reini, jak już wspominałem, naprawdę myślałem, że wiem, jak rozwiązać mój paskudny problem. Lecz to jednak okazało się niemożliwe. Nie ma na to szans, zwodzili mnie inni i sam się zwodziłem. Teraz już straciłem złudzenia. Więc co mam robić? Siedzieć jak rogata maskara w podziemnej jamie, czekając, aż upoluje mnie jakiś paladyn? Nie przewidziałem, Reini, że zabijesz Helmuta i Jensa i nie przewidziałem, że znajdziesz się tutaj. Ale, do cholery, chciałem tego! I chciałem, żeby było właśnie tak, jak teraz, żebyś stał za mną ze sztyltem, gotów do zadania śmiertelnego ciosu.

Zapadła cisza. Słychać było tylko krople kapiące z sufitu pobliskiego korytarza.

- Zrób to, Reini. Zrób to teraz. Natychmiast!

Skrzące się w porannym słońcu płatki śniegu tańczyły na wietrze.

Jedyny gość gospody Pod Zielonym Kurem zaprzestał wpatrywania się weń, słysząc, iż zbliża się ku niemu śniadanie, niesione przez niecodziennie chudego karczmarza.

Gospodarz postawił strawę na stole, po czym oddalił się bez słowa. Ponura i zmęczona twarz czarodzieja przekonywała do milczenia.

Reinhold znów zwrócił głowę w kierunku okna. Ale nie skupiał uwagi na zaśniewionej ulicy, ani na przechodzących mieszczach. Nie przyglądał się niczemu. Rozmyślał. Miał za sobą ciężką noc.

Właściwie, powiedziała by ktoś, powinien się cieszyć. Był już po spotkaniach z sigmarytami i ulrykanami, którzy nie mieli powodu, by go dalej dręczyć. Na piętrze nie leżał już trup zakonnika-chaosyty, a sprawa Adelberta była rozwiązana.

Właśnie, sprawa Adelberta. Tego, którego Reinhold znał niemal od dziecka. Tego rudego, piegowatego młodzika, zawsze skorego do najgłupszych żartów. A nieco później, do pochłaniania każdej ilości piwa, kiedy tylko im obu udało wyrwać się spod nadzoru

mistrza Wolfganga. Tego Adelberta, z którym Reinhold po raz pierwszy w życiu wybrał się na dziwki.

Tego, któremu wbił w plecy nóż.

Nie mógł inaczej i nie żałował, lecz to wcale nie poprawiało mu grobowego nastroju.

A do tego ten koszmar, który nie dał mu się wyspać. Najgorszy z możliwych koszmarów, bo wcześniej widziany na jawie, później dopiero we śnie.

Twarz Adelberta...

Nie, mimo największych chęci, Reinhold nie mógł nazwać tego twarzą.

Odrażający półzwierzęcy pysk Adelberta...

„Dosyć!”

Czarodziej sięgnął po kufel. Pociągnął kilka potężnych łyków i uznał, iż najwyższa pora zająć się posiłkiem. Ale i tym razem przerwano mu śniadanie.

- Witaj, Schwarzstein - powiedział nowoprzybyły, przysiadając się bez pytania.

- Witaj, Templariuszu. Czego chcesz tym razem? Myślałem, że wszystko sobie wyjaśniliśmy ostatniej nocy.

- Mów mi Kohler. Cóż, może i wyjaśniliśmy, lecz uznałem, że coś należy dodać.

- Tak?

- Tak. Ale przy piwie. Oberżysto!

Po chwili na stole stał drugi kufel i dzban pełen złocistego napitku.

- Więc co chciałeś dodać, Kohler?

- Że porządny z ciebie człowiek, Schwarzstein. -le cię oceniłem. Porządny, jak na czarownika, oczywiście. - Rudy rycerz uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście. A czy pozwolisz, że i ja coś dodam?

- Śmiało.

- Kawał sukinsyna z ciebie, Kohler. Jak na Templariusza, oczywiście. - Tym razem czarodziej wyszczerzył zęby.

Rycerz wbił groźne spojrzenie w oczy Reinholda... Po czym roześmiał się gromko.

- Schwarzstein, brak mi słów.

- To u ciebie typowe, prawda? Jaka szkoda, że nie ma w gospodzie żadnej zasy. - Czarodziej nie przestawał się uśmiechać.

- A co, masz ochotę znów ponurzać się w śniegu?

- Nie, ale ciebie z chęcią rzuciłbym w jakąś zaspę. Szkoda, że taki duży urosłeś. To się właśnie nazywa kawał sukinsyna. Jak już wspomniałem.

- Po takich słowach, albo muszę obić ci mordę, albo więcej z tobą wypić.

Reinhold uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Gospodarzu, więcej piwa! - zawołał.

- Słuszna decyzja, Schwarzstein. Jednak zdarza ci się być rozsądnym.

Karczmarz pojawił się z dwoma kolejnymi dzbanami.

- Piwo, jako sobie życzyliście, zacni panowie. - Skłonił się i wrócił za szynkwas.

- Schwarzstein?

- Co?

- Miałeś rację.

- Tak?

- Ten karczmarz okropnie cuchnie czosnkiem.

Tym razem obaj roześmieli się jednocześnie.

„Srebro, srebro, srebro...” - pomyślał ktoś.

Daniel Nogal

Ar'this ::: Kaprys bogów

„...i nadejdzie czas wielkich zmagają, kiedy księżyce związane ciemnością, przywiodą martwych na ziemię ponownie...”

*Z przepowiedni Vorstera,
Arcymaga Collegium Celestium.*

Dla Marcela i Filipa, bo wiem, że w rzeczy samej wystraszyli się Nurglingów.

Sala, komnata zbudowana na planie okręgu. Puste ławy ustawione są w łuki. Pomieszczenie wysokie, o stropie żebrowym, wypełnia po każdy zakamarek niezmacona cisza. Półmrok rozpraszany gdzieś tam przez mętne smugi purpurowego światła, wpadającego przez wąskie szczeliny okien. Wstawione weń witraże, przedstawiają sceny z życia Magnusa Pobożnego.

Na środku sali pojawia się głębszy cień, a zaraz po nim oślepiający błysk bieli. Oba zjawiska materializują się w dwie zakapturowane sylwetki.

Persona w czarnych szatach wskazuje wyższemu od siebie o głowę towarzyszowi miejsce, na wysuniętym przed ławami podwyższeniu. Ten posłusznie, z cichym szelestem swych mlecznobiałych szat wychodzi marmurowymi schodami na mównicę. Zatrzymując się na niej, sam wygląda jak posąg, stojąc w milczeniu pośród alabastrów. Wtem w komnacie pojawiają się kolorowe błyski - każdy z nich okazuje się inaczej zabarwionym gemem, utkwionym w zwieńczeniach lasek, dzierzonych przez starców. W większości ludzie ci w powłóczystych stułach, o długich, siwych brodach, są przygarbieni i sprawiają wrażenie niedołężnych, podpierając się kurczowo o kostury. Kilku z nich nosi szaty w kolorze khaki, pozostali mają na sobie odzienia krwistoczerwone, lub w barwach wieczornego nieba.

Jegomość w czarnych szatach siada w pierwszej, półokrągłej ławie. Zsuwa kaptur. Błyska połyskliwie wyglansowana powierzchnia jego ciemienia. Łysy i bardzo przystojny, jak się okazuje arcymag podnosi na mównicę wzrok. Jego oczy błyszczą jak u drapieżnego ptaka. Ich kolor jest jakiś dziwny, przywodzący na myśl gnijące jesienią liście. Lekkim skłonem zachęca stojącego na podwyższeniu, by rozpoczął. Tenże jak na komendę również ściąga kaptur, ujawniając swą młodzieńczą facjatę, z niezgorzej ogoloną co u arcymaga głową. Wsłuchując się do ostatniej chwili w szelest wielu szat, zaczyna przemowę:

- Dziękuję za tak liczne przybycie, w tak ważnym dla mnie momencie! Nie sądzę, żeby to czcigodną radę zdziwiło, co zaraz powiem. Jestem gotów do odbycia finalnego testu, w pełni świadom, że niepowodzenie może oznaczać dla mnie tylko koniec.

Wszyscy zgromadzeni usłyszeli w swych umysłach przekaz arcymaga, skierowany do młodego adepta sztuki: „Wyjaw nam prośbę, jaką to drogę obrałeś młody adeptcie.”

Młodzieniec w odpowiedzi wybucha niespodziewanie śmiechem. Ten niepohamowany atak dziwnej wesołości tłumi szybko dłonią. Chrząka po dwakroć i mówi pewnie, z siłą: - moja ścieżka będzie dążyć przez chaos, gdyż z niego się wywodzi. Świat i społeczeństwo walcząc z chaosem, walczy z sobą samym.

Słuchający potakują w milczeniu głowami zafrasowani, gdy mówca zrobił wymowną przerwę. Jegomość w czarnych szatach

potrzęsa dłońią, aby kontynuował.

- Poza kręgiem tym, każdy żyje w pełnym przeświadczeniu, że chaos będzie odpierany, gdyż nie należy do tego świata, i tak ma pozostać. Jest to fakt niezaprzeczalny. Podam wynik moich obserwacji: oba bieguny globu są skupiskiem i źródłem wszelkiego spacenienia, jak wiadomo. Jednakowoż spacenie to, nic innego, jak materia wydzielająca się gwałtem z innych wymiarów do naszego, poprzez bramy Dawnych Ślannów. Ta koneksja pomiędzy mnogością światów jest ogromna. Można czerpać z niej nieograniczone moce, ale tylko wtedy, gdy użyjemy właściwych sformułowań - na ostatnie słowo mówca położył wyraźny nacisk. - inaczej nie widzimy nic, tylko chaos i jego deformacjom się poddajemy. Ład bowiem wywodzi się z chaosu, a porządek zawarty w nim jest, gdyż jedno bez drugiego się wyklucza.

Światy pozbawione transcendencji w swym wymiarze, opartym z grubsza na realiach takich, co nasz, wywodzą się z tegoż potencjału twórczego, jakim jest chaos. Można śmiało rzec, że wszelkie takowe uniwersum, znajduje się na najniższym poziomie wśród...

Jegomość w czarnych szatach nie słucha wyводу chłopca, wzrok ma wbity gdzieś w przestrzeń. Dobrze pamięta czasy, gdy piętnaście lat temu zaprowadził adepta do akademii.

*

Tamtego piekielnego lata słońce grzało niemilosierdzie, a susza dawała się we znaki, niszcząc rolnikom plony.

Chłop opadał zupełnie z sił, jego lemiesz się zniszczył i nie było co ze sobą do zagrody zabrać, jak tylko samą złość na suchą, kamienistą glebę. Podrapał się po szczeciniastej, nieogolonej od tygodnia szczęce, spojrzał na bezchmurne niebo i ruszył do domu spękaną polną ścieżyną, pośród wyprażonych w słońcu traw. Na miejscu czekało go jeszcze gorsze.

Poborcy siedzieli w jego chacie, w izbie przy stole. Ubrani byli w grube kontusze, pomimo skwaru. Częstowali się bez żenady tym, co jego żona im serwowała z ostatnich zapasów. Wokoło kręciła się dwójka rodzeństwa - mały chłopczyk, może pięciolatek i nieco od niego starsza, śliczna ciemnowłosa siostra. Ojciec widząc na co się zanosi, wygonił kijem dzieci na pole.

Jeden z poborców oznajmił chłopu, żeby zapłacił daninę, którą zalega. Rolnik zaczął się skarżyć to na pusty spichlerz, to na bydło, co prawie wszystkie padło (a rogacizna zaprzęgowa całkowicie), i że ogólnie wszyscy cierpią przez wielki nieurodzaj. Tłumaczył, że nienormalny skwar sięga pewno samych Gór Krańca Świata, a pewnie i poza nie. Błagał w końcu „dobrych panów” na kolanach, aby zrozumieli nieszczęście plagi, jaka nastąpiła. Usłyszał tylko urzędniczą odpowiedź, plus zimne i lekceważące: „że to bojara nie obchodzi”. Na domiar złego dostał pogroźkę, że pan bojar weźmie sobie jego żonę w zamian za nieuregulowane długi.

Zadowolony z siebie imć poborca powstał od stołu i udał się do wyjścia, a zaraz za nim jego towarzysz. W drzwiach przystanął jeszcze ten, co się dotąd nie odzywał. Powiedział chłopu na odchodne, że ma z łaski bojara czas podarowany na zebranie daniny, do końca zniw. Odszedł po tak miłym komunikacie, nie zamykając za sobą drzwi.

Rozległ się tętent kopyt, a po nim zawiśła w izbie grobowa cisza.

Chłop popatrzył to na żonę, to na swe dzieci zaglądające do środka przez niedomknięte drzwi. Zaciśnął usta w gorzkim grymasie. Oparł się o krzesło ciężko, chwytając się mocno oparcia, jak tonący deski, aż jego kłykcie na dłoniach pobieły. Na skroniach nabrzmiały żyły, czoło zroszone było potem. Ojciec tego, jak dobrze dotąd prosperującego gospodarstwa, załamał się całkowicie. Był świadom, że nic tu nie wskóra. Już dawno postanowił...

*

„...Możliwości płynące z pełnego, nieokiełzanego oddaniu się magii, przynoszą nie tyle satysfakcję z efektu, co umożliwiają przejście na wyższy stopień energetyczny, bez konieczności utraty powłoki, jaką jest ciało. Niektórzy jednak nigdy do tego nie dostępują, jak tylko poprzez dotyk bożego palca”.

W tym miejscu wykładu, mag w czarnych szatach z zaciekawieniem przenosi uwagę na prelegenta.

*

Gęsta ciecz z pluskiem padała na deski, skapując z noża. Bursztynowo mieniła się na ostrzu, w świetle wzrastających płomieni. Morderca nie upuścił narzędzia zbrodni, lecz trzymając je kurczowo w dłoni, energicznie kopnął w drzwi. Delikatnie rozlała się po izbie jedwabista poświata nocy, subtelnie podkreślając twarde rysy rolnika. Przechodząc obok obory, chłop ściągnął linę z haka i udał się w ciemność.

Raz ostatni.

Poszło gładko - krąg szyjny pękł w momencie. Jego zwłoki podrygiwały jeszcze w szalonym, szubienicznym tańcu, wisząc na gałęzi wdzięcznej brzozy, a na wszystko lunął oczyszczający deszcz.

Nad ranem, gdy chmury rozwiął wiatr, ptactwo zleciało się na ramiona nieboszczyka. Przy pierwszych blaskach jutrzni, przysiadły na wisielczym ramieniu kruk zerwał się jak porażony i odleciał - zamknięta powieka trupa, gwałtownie się podniosła. Za krukiem, ze strasznym wrzaskiem, odleciała reszta ptactwa, byle dalej w stronę budzącego się słońca. Tymczasem zwłoki niemrawo zabrały się za przecinanie liny swym nożem, który utrzymany został przez nie w dłoni w pośmiertnym skurczu. Ruinę nieszczęsne ciało beładnie, w zroszoną trawę. Powstały z martwych zebrał swe doczesne szczątki z ziemi i niezgrabnie ruszył nimi, kierując się w kierunku dogasającego domostwa. Nad stygącymi, nadpalonymi mocno ścianami chaty pojawiła się kula ognia. W jej złotym blasku urzędowały niewielkie istotki. Wielkością dorównywały dziecku. Miały zielonkawą skórę, mocno przysmażone, a z resztek ich nosów ciekła ropa. W pustych oczodołach świeciły się małe słońca, miast oczu. Żywy trup podszedł do nich, a te gulgotając i potupując przycupnęły przy jego nogach, jakby je obwąchując. Ożywiec wydobył z siebie urywany szep, z wyraźnym wysiłkiem: „g..gdzie maat..kaaa”. nie uzyskał odpowiedzi, począł żwawo rozrzezywać gruz, używając noża, jak pogrzebacza. Znalazł sam jeno popiół i gdy już miał się odwrócić, chwyciła go za łydękę zwęglona dłoń, wystająca ze zgłiszcz. Jego twarz nienaturalnie wykrzywiła się na ten widok, w morderczym grymasie; ciął nożem trzymającą go rękę w łokieć. Staw chrupnął, złamał się ale nadal był w mocnym uścisku trzymającej go kostuchy. Nieumarły zrobił zamach nogą, wyszarpując z podłoża całą upierdliwą rękę, wraz z łopatką. Z niezmiernym wręcz rozpaczliwym skowyt, obkładał potężnymi ciosami miejsce pochówku, które sam sprawił. Wrzask i pisk potępieńczy dosięgnął rozjaśniającego się nieba na zachodzie.

Odgłosy chrzęstu kości i pomlaskiwania wielu zombie, zbliżały się do miejsca rzezi. Otaczały go, narastając jak brzask świtu. Nieumarły siedząc wśród zmasakrowanych ciał swojej rodziny, pomału przechylił głowę na swym złamanym karku. Ujrzał niemały korpus, przyzwanych do ponownego życia szkieletów i rozkładających się zwłok. Człowiek w purpurowej szacie, będący na jego przedzie, skierował dłońią w kierunku spalonego domostwa. Oddziały gnijących żołdaków posłusznie ruszyły z miejsca. Jak w odpowiedzi, z torsu siedzącego ożywienia momentalnie wystrzeliła trzecia ręka, którą machinalnie pochwycił kawałek ściany i wyrwał z niej pokaźnych rozmiarów szczapę drewna. To co nastąpiło chwilę później, przeszło wszelkie oczekiwania nekromanty. Trzyręka istota wymachując nożem i oburęczną maczugą na przemian, dokonywała czystek w szeregach atakujących ją zewsząd, nieczułych na ból, ni strach. Mroczny mag był zmuszony do natychmiastowego odwrotu. Zrozumiał, że ten trzyręki osobnik nie należy do gromady przez niego przyzwanych martwiaków i stawiając jemu czoła, przeciwstawia się sile znacznie przewyższającej jego możliwości.

*

„...Bogowie są jeno wytworem ludzkich pragnień. Iskierką nadziei dla słabych i strapiionych. My wiemy, że jedynym bogiem jest nasza moc, która nas na zawsze ochroni...”

*

Dotarło to do niego, że człek, co kochał swą żonę i dzieci umarł. Doprowadzało go to do skrajnej depresji. Mimo iż nie był już sobą, doskonale pamiętał z jakiego powodu i w jakim czasie to się stało. Dokonywał wciąż i wciąż zamach na swe nieumarłe ciało, więc z jego noża nieprzerwanie lała się krew. Wszystkie samobójcze akty kończyły się fiaskiem. Nieumarły czuł głód poznania tajemnicy swej nieśmiertelności. Poszukiwania rozpoczął w lasach, obrastających wzgórzka w pobliżu Kisleva. Przyłączały się do niego całe stada zwierzolutdzi, i pomniejszych grupki innych odmieńców. Wszyscy oni świadomi byli jego siły i traktowali go, jako swego herszta. Wspólnie dokonywali spustoszenia na gościńcach wzdłuż rzeki Urskoj, raz po raz mordując dla łupu i z czystej żądzy krwi. Najbardziej lubowali się w wyrzynaniu strażników patrolujących drogi i wszelkiej maści przejezdnych - bez różnicy czy były to karawany kupieckie, czy inne opryszki, przygodni skaveni, czy dumni banici. Szybko rozeszła się zła sława wieść po Kislevie, o grasującym hordzie. Mówiono po wioskach i tawernach, że zwierzolutdzie mają za przywódcę bestię straszliwą - Trzyrękiego, zwanego też czasem Bestią, bądź Pomiotem Nurgla, gdyż powodował strach i odrazę swym rozkładającym się wiecznym ciałem.

Prowodyr nienawidził tegoż przydomku. Brzydził się ożywieńcami i ich cuchnącym bogiem. Wciąż tropił nekromantę, który uciekł pamiętnego poranka z pola walki. Cały czas był przekonany, że to za jego przyczyną przeżywa katusze.

Car Putio wynajmował tuziny najemników, obiecując śmiałkom góry złota za głowę Pomiotu, ale ochotnicy ze swej wyprawy nie wracali w ogóle.

...Czasem tylko o niesamowitej sile potwora przybiegł donieść jakiś niedobitek.

Szybko o niechęci Trzyrękiego do nieumarłych dowiedzieli się kultysty Nurgla działających w zachodnich rubieżach Kislev. Postanowił kult ten działać szybko, aby się pozbyć potencjalne zagrożenie. Dwukrotnie Wielki Siewca Zarazy zaatakował jego obóz i po dwakroć przegrał batalię, tracąc swe cenne baterie dział zarazy i kilka z demonicznych bestii. Trzyręki nadal bez przeszkód plądrował i mordował.

W końcu car nie wytrzymał tego stanu rzeczy i wysłał po najbardziej kompetentnego człowieka - swój zapas „na czarną godzinę”. Był nim łowca czarownic, Albert Schnurrbärten, naczelny inkwizytor władcy zachodniego imperium, mającego w Kislevie swą „puryfikacyjną” misję. Wąsaty (gdyż tak go zwano na Wschodzie) już od jakiegoś czasu tropił kryjówkę kultystów Nurgla, więc dowiedziawszy się ze swoich źródeł o planach Trzyrękiego, postanowił ugotować dwie pieczenie na jednym ogniu. W dniu ataku hordy Pomiotu na obóz nurglitów, zasadził się łowca z pułapką.

Niepokonany dotąd potwór znalazł się w potrzasku - z jednej strony miał broniących się zaciekłe kultystów Nurgla, z drugiej szarżującą ekspedycję znanego łowcy czarownic. Został rozniesiony wraz z resztą swoich odmieńców na strzępy, przez magię kapłańską towarzyszących łowcy rycerzy Sigmara, oraz siłę zaklętego ostrza, dzierżonego przez sławnego krasnoludzkiego zabójcę.

Gdy zmora Kislevskich gościńców zamykała swe przeklęte oczy, wielobarwny dym i pył wydostał się z niej, jak z pękniętej purchawki i osiadł jak kurz na okolicznych drzewach, kamieniach i pancerzach wojowników. Rycerze wykonali znak błogosławieństwa, odpędzający złe moce chaosu.

W drodze powrotnej do miasta rozbito jeden obóz na noc. Wtedy to w dziwny sposób sigmaryci zniknęli, co mocno zaniepokoiło łowcę. Krasnolud wyruszył, by ich odszukać i tyle go już widziano. Prócz tego, nie wydarzyło się nic godnego uwagi, a głowa Trzyrękiego została nonszalancko rzucona na posadzkę, przed oblicze cara.

*

„...Jakże błędnym jest myślenie, że to wszystko, co nas otacza jest czarne i białe. Nie ma kolorów ani szarości. Jest tylko chaos. Nazwijcie to przypadkowością...”

*

Pełniący swą służbę na murach obronnych sierżant straży bramy północnej, Hoćław Pierpiej, był bardzo trzeźwo myślącym gwardzistą. Wiedział, że krótkie przyśnięcie na warcie może grozić utratą nie tyle stopnia, czy stanowiska, ale nawet życia. Jako sierżant bramy nie mógł sobie na takie coś pozwolić. Nie zdzierzył więc widoku, jak jeden z jego ludzi służbę ma za nic. Jak grom ryknął wprost w ucho podwładnego. Tamten zupełnie zdziwiony i zaskoczony widokiem wściekłego sierżanta, stanął na baczność jak struna. Przełożony, wracając na swój posterunek, rozniewany jak zbliżająca się burza, wykrzykiwał raz po raz: „po prostu same głąby i gamonie”. Tamta szelma nic sobie z tego nie robiąc, wygodnie oparła się na toporzystku halabardy, pomrukując: „po prostu, po prostu.. a czemu nie po krzywu!”

Gdzieś nad pobliskimi wzgórzami błysnął piorun i zawtórował mu grzmot głośny, jak huk spadającej lawiny. Rozpoczął się spektakl światła - sucha burza. Błyskawice uderzały w drzewa i domostwa rozpętując lokalne pożary gdzie popadnie. Strażnik Hoćław zwołał zbiórke swych gwardzistów, do pomocy gaśniczej. Wtem rąbnął jasny szlak w fortyfikacje bramy. Buda przy baszcie zajęła się ogniem. Jednakże jeden z jego ludzi już nie stawiał się na komendę, bynajmniej nie z powodu swojej beztroskiej drzemki, czy z porażenia piorunem. Z o wiele gorszego...

Stacjonował bowiem tuż przy natkniętej na pal głowie Trzyrękiego i jak stał, tak padł kuląc się w kłębek - przy nadjeździe przez wrony czaszką, trzepotał swymi błoniastymi skrzydłami, w aureoli błysków i dziwnej mgły demoniczny upiór. Na jego długiej, pomarszczonej szyi mieściła się ptasica głowa. Wyciągnięta w stronę resztek Bestii, nieprzerwanie kłapała dziobem. Resztę plugawego ciała osłaniała mieniąca się tęczowo zbroja płytowa. Demon w jednym ręku trzymał potężny miecz, falujący wielobarwnie, jak płynna stal. Drugą, wolną dłoń pochwycił głowę nadzianą na pal. Delikatnie zsunawszy ją z niego, odleciał.

Nad miastem Kislev błyskało, a pioruny śmiały się swym charkotliwym, ogłuszającym rechotem, z bezradności malutkich ludzi.

Demoniczny sługa wzbił się ponad chmury i przedostając się na osłonecznioną stronę niebios, zatoczył łuk nad fantazyjnym, rozbielonym świetliście kłębem. Poniżej głucho pomrukiwała burza. Potworny maszkaron wyciągnął przed się otwartą dłoń na której spoczywała głowa Trzyrękiego. Wypuścił ją, a ta zawisła w powietrzu; na wpół obdarta ze skóry szczyrzyła zęby w martwym uśmiechu, na wysokości ptasich oczu upióra, jakby szydząc z jego mrocznego majestatu. Wokół niej zatańczyła purpurowa runa chaosu, która brzmiała: „ZACHOWAJ NIENAWIŚĆ”, po niej zaorbitowała wokół głowy karmazynowa - „SZUKAJ ZEMSTY W MORDZIE”, trzecia w złotym kolorze znaczyła: - „B'D-MĘŻNY”. Demoniczny sługa splunął na zmasakrowaną czaszkę, z nozdrzy jego dzioba wydobyły się kłęby różowego dymu, obejmując swymi woalami ludzki strzęp. Gdy pomiędzy jego i trupim czołem utworzył się mglisty pomost, zazgrzytał on serią skrzeków, w nieznanym żadnemu śmiertelnikowi języku. Podczas tej przedziwnej inkantacji, z dryfującej w powietrzu czaszki wydobył się smoliste czarne miazmat, który układał się na kształt ludzkiej istoty. Twór oblekł się w nowe ciało młodego, przystojnego mężczyzny. Człowiek zamrugał oczami o dziwnym kolorze wędnących liści i pomacał się rękoma po łyszej kopule głowy. Demoniczny sługa chwycił go swą opancerzoną dłoń i cisnął w dół, w chmury, wypowiadając jedno słowo we wspólnym: „znajdź go”.

Odnowiony człowiek przebił grubą warstwę chmur; z wielkim pędem zbliżając się ku ziemi. Wtem, wprost z góry nadleciały dwie istoty. Podleciały one do spadającego i uchroniły przed niechybnym rozplaskaniem, przechwytyjąc go na swe skrzydła.

Wedle kształtów mogłyby uchodzić za stwory pływające w wodach basenu tileańskiego - ciała miały spłaszczone, zakończone długim, kolczastym ogonem. Uskrzydłone były w mocno ukrwione nibypletwy, a z ich paszcz wystawały cztery ostre kolce. Były o zabarwieniu różowo-granatowym. Skórę pokrywały krosty i łuski.

Istoty łagodnie spłynęły wraz z pasażerem, pomiędzy grupę rosnących, młodych świerków, w pobliżu stolicy Kislev. Gdy dotknęły podłoża, zamieniły się w dwójkę ubraną w proste, lniane odzienia ludzi - starca z długą, siwą brodą i urodziwą kobietę.

Starzec podał nagiemu mężczyźnie złożone w kostkę białe szaty, a gdy już młodzian się przyodział, nakazał mu iść za sobą. Niewieście nakazał zostać samej, w smrekowym zagajniku. Zmiennokształtny skierował się ku murom miasta, skąd dobiegał straszny harmider. Jedna z baszt zajęta była ogniem.

Stary wskazał na orszak paskudnie zniekształconych jeźdźców, znajdujących się pod bramą północną. Dzierżyli młoty bojowe, otoczone aureolą czerni, a z ich gardzieli wydobywał się piekielny śmiech. Wokół nich wałała się w krwawej mazi sterta trupów, wypełniając też fosę masą porozgziatanych i poodrywanych, pomieszanych wzajem, różnorakich członków.

Rycerze chaosu zasypywani byli nieprzerwanym, aczkolwiek nieskutecznym gradem bełtów wystrzeliwanym desperacko z murów obronnych. Kilku magów rzucało w ich stronę magiczne pociski. Zaklęcia odbijały się od zbroi upiornych jeźdźców, nie wyrządzając im żadnej szkody. Ich piekielne rumaki, parszając w podrażnieniu, wydumuchiwały z nozdrzy kłęby zielonego dymu. Młodzieniec widząc to, podbiegł do orszaku, podkasując łopoczące szaty. Rycerze podnieśli swą broń, odwracając ku nowo przybyłemu swe makabrycznie powykręcane spaczeniem oblicza. Wyglądało to tak, jakby mieli się rzucić na chłopaka w morderczym szale. W rzeczywistości oddali mu hołd, wznosząc jeszcze wyżej upojony krwią oręż. Młodzian wystawił przed nich swe dłonie i wypuścił z palców wiązkę bładożółtej energii, która objęła cały orszak migoczącą sferą. Młody mag kierując dłońmi, podniósł ponad ziemię dwunastu zbrojnych i wykonując ruch samymi koniuszkami palców, wystrzelił kulę energii wraz z całym jej ładunkiem ku chmurom, na północ. Chmury się rozwarły, po przyjęciu złotawego pocisku, ukazując nieboskłon. Cała okolica rozjaśniała promienię. Kopuła na szczycie carskiej cytadeli ponownie zaświeciła złotem. Strażnicy, widząc całe zajście z blanków, otworzyli bramę i z radosnym okrzykiem tryumfu pobiegli ku swemu wybawcy. Chcieli go zanieść jako zwycięzcę i triumfatora do sali tronowej. Młody jednak wyciągnął przed się otwartą dłoń, wciągając tym samym na powrót zwodzony most, pozostawiając zdziwionych ludzi po drugiej stronie.

Car Putio, będący pod wielkim wrażeniem wyczynu nieznanego maga, posłał po łowcę czarownic, w chęci konsultacji. Podejrzał, że ma on do czynienia z imperialnym przybyszem. Jeszcze przed zgładzeniem szalejącego po gościach potwora, otrzymał od imperatora list, w którym poinformowano go, że do Kislevu zmierza elitarny mag, do pomocy przeciw Trzyrękiemu.

Władca nie doczekał się łowcy, a miast tego otrzymał przerażającą wiadomość, o nagłym samobójstwie Schnurrbärtena, które popełnił tuż po odparciu ataku rycerzy chaosu. Zdarzenie to wstrząsnęło władcą, całkowicie zbijając z tropu.

Tymczasem mag w białych szatach powróciwszy pod smrekowy zagajnik, otrzymał od starca niewielki kuferek, z tajemniczą zawartością.

- Wewnątrz ukryte jest archanielskie pióro, którego masz strzec - poinstruował go charkotliwym głosem siwobrody, uśmiechając się dobrotliwie. - Schowaj puzderko dobrze. Znajdź kryjówkę dla niego. Naucz go. Odnajdź go.

*

...Nie jest wiadomym do końca, z czyjej woli powołano nas do tej marnej egzystencji. Obleczeni w ludzkie ciała, sami raczej zgottowaliśmy sobie ten los. Z ciekawości - powodowanej monotonią wieczności. Jak to jest być śmiertelnym? Otóż teraz wszyscy doskonale wiemy jak. Będąc świadomym swej nieśmiertelności, nie obawiam się porażki.

Jestem gotowy przyjąć zadanie.

Osobnik w czarnym suknie powstaje na te słowa.

- Zabij mnie - wydaje krótkie polecenie i wydobywszy nóż spod rękawa, rzuca go pod nogi adepta.

- Mam zabić cię TYM, mistrzu?! - wykrzykuje uczeń z niedowierzaniem. - po latach studiów nad arkanami Sztuki, mam wymachiwać czymś takim?

- Nie zrozumiałeś polecenia. Na nic nauka cała. „Korzystaj z tego, co los daje ci!” Zapomniałeś? Teraz ciągnij losy od nowa.

Młodzian wyraźnie zakłopotany, machinalnie wydobywa jakąś ingrediencję z torebki przy pasku, rozpoczynając inkantację magii wojennej. W tymże momencie z ław wyskakują długimi susami magowie, przekształcając się w powykrzywiane groteskowo karykatury ludzkich ciał. Szponami i kłami rozrywają swe tuniki i kaptury. Wywijając długimi jęczorami w morderczym szale, ruszają zewsząd na chłopca, wokół którego coś powstaje - zaporą z oślepiającego światła rozwija się szeroki wachlarz, szczelnie osłaniając maga przed wrogiem. Bestie będące do tej pory jego przyjaciółmi i nauczycielami, wyją zwierzęco, zasłaniają się przed rażącą ich boleśnie światłością. Z ciała adepta wystrzeliwiają smugi wyładowań elektrycznych, po których następuje wichura; miota ona ławami jak zabawkami, rozbryzgując je po ścianach katedry. Niszczy wszystko, co stanie na jej drodze.

Zawierucha gaśnie, a powietrze komnaty mile zabarwia woń wiosennego deszczu. Po chwili zapach ozonu zastępuje smród przypalonego mięsa. Na kamieniach posadzki walają się poskręcane szczątki mutantów (jak nieszczęsnych odmieńców nauka zwykła określać).

- Zabij mnie - ponawia polecenie arcy maga, już pozbawiony swych czarnych szat. Leży na plecach, wśród zdemolowanego sprzętu i rozlanej krwi. Na jego ciele nie ma śladu ran, ni zmeżenia. Na tyśej głowie tańczy jeno jasny promień światła, co figlarnie wpada przez ufamany witraż, jakby kpiąc sobie z dokonanej tu kaźni.

Leżący na zimnym kamieniu, podnosi lewą dłoń. Z palca wskazującego wystrzeliwuje żółty promień, który uderza w sklepienie sufitu, w sam środek żebrowania. Wiązką energii wysuwa jeden z bloków kamiennych, odrzuca go pod ścianę.

Zgrzyt czegoś, jakby zawiasów.

Z wnętrza u góry opada białe pióro, miękko ląduje na posadzce.

- Podnieś je - komenderuje łagodnym głosem pozbawiony odzienia człowiek, z utkwnionym w sklepienie wzrokiem. - Napisz na moim ciele to, czego cię uczyłem, dziecko. Własną krwią.

Adept posłusznie wypełnia prośbę. Przebija skórę na swoim palcu serdecznym i kreśli czerwienią zawile symbole na tułowiu leżącego. Pochylając się nad mistyczną pracą, zdaje się być odbiciem własnego mistrza - tak samo młody, pozbawiony zarostu i włosów. Równie misternie wypowiada, co i kreśli sygile.

Z arcy maga dobiega syk. Jego ciało szarzeje i zaczynają pojawiać się na nim bąble. Cała skóra faluje jak wzburzona woda morska. W głowie ucznia rozlega się czyjaś myśl: Wolny! nareszcie! Jam jest kamieniem węgielnym, pod którym powstanie nowe dzieło. Za twym przewodem. Teraz idź! Miejsce to zaraz przestanie istnieć, a ty wybudujesz swą nową siedzibę. Pan Przemian niech prowadzi cię ścieżką chaosu, synu.

*

Gdy resztki słów kończyły wirować w umyśle Vorstera, zwanego później prorokiem Akademii Celestiańskiej, u jego stóp już leżała bryła stygnącej lawy.

Młody adept magii jednym stuknięciem swej laski o podłogę, wywołał olbrzymi wstrząs, w skutek którego ziemia zaczęła drgać. Odczuł to każdy mieszkaniec Altdorfu; gdy zestaw unikalnej kitajskiej porcelany pękał, spadając z podrygujących kredensów, a koło dorożki utknęło w rozstępującej się kostce brukowej.

Odwrócił się na pięcie, z grymasem pełnym obrzydzenia na twarzy. Żeby tak przywiązywać się do tego miejsca i istot które nim władały przez tyle lat! Jak mógł być tak ślepy! Gdy obok niego potężne bloki sklepienia wbijały się w posadzkę z hukiem, wzbijając przy tym tumany pyłu, tysiącem ostrych jak brzytwy odprysków, postanowił.

Obiecał sobie że od tego dnia będzie pilnie strzegł, aby żadna forma chaosu nie miała go swymi obietnicami, widząc jaki koniec w gruncie rzeczy czekałby go niechybnie. Nie był wtedy jednak świadom tego, że kiedyś przyjdzie mu przepowiedzieć najgorszą od trzystu lat plagę: żywą śmierć, mającą nadejść z Arabii - zagładę dla żyjących.

Lord Vorster stanął na straży ładu, pilnując przez wszystkie dni swego życia, aby mroczna moc uśpiona w nim, była zapieczętowana raz na zawsze. Taka była wola nieba.

Ar'this

Czerwiec-lipiec 2006 Tyniec-Zakopane

W opowiadaniu, przed dedykacją wykorzystano cytaty, jak i imię własne Lorda Vorstera, z gry taktycznej WFB Warhammer Dark Omen.

Marcin Piotrowski ::: Płatny Krueger

Deszcz lał jak z cebra. Miasto pokryło się mrokiem i jedynie okna domostw stały się przystanią dla lepszego światła, które przywarło do okiennic. Odgłos spadających kropeł przypominał Vienceowi uderzenia cygańskich kołatek, w które wsluchiwał się jako dziecko. Przycupnął przy kominie jednego z rzędowych domków, wspierając się ramieniem o ścianę. Kafle dachu błyszczące w świetle uderzających co rusz piorunów przypominały przyczepnością lodowisko w jego rodzinnym Vaerhoren. Tylko, że wtedy w powietrzu nie unosił się smród ulic. Wówczas godziny na dachu spędzał czerpiąc przyjemność z oglądania gwiazd, uśmiechów dzieciaków z sąsiedztwa i zapachu trawy. A dziś budząc się w posłaniu pełnym robactwa w małej klitce przydrożnej karczmy, zdał sobie sprawę jak bardzo za tym tęskni. Zamienił miękkie siano i ciepłe powietrze słodzone prądnym uśmiechem ukochanej na kruche, oślizgłe kafle dachu i płynącą z nieba fontannę. Zawsze zadziwiał go jak to możliwe, że woda spada z nieba? Widocznie bogowie mieli w tym jakiś swój interes. Zmrużył oczy i wyteżył wzrok wypatrując czegoś przy drzwiach karczmy „Rumiane Bułeczki Eldy”. Co za kretyńska nazwa - pomyślał. Tylko pies jego babki, o którym mówiono, że potrafił mówić, mógłby wpaść na coś równie głupiego. Miasto, które stało się dziś tylko tłem, widział równie dobrze jak ulicę poniżej. Rozlane i gasnące gdzieś daleko w ciemności świeciło tysiącami małych ogników a ponad nim, niczym góra wyrastał Imperialny Pałac Jego Ekscelecencji Karla Franza, Chędożonego Opiekuna Imperium i jego obywateli. Że też żaden zbłąkany piorun nie pośle go na łono pięknego Morra - pomyślał. Zaraz po tym, jak otrzyma zapłatę za swoją „ciężką aczkolwiek chwalebłą pracę” oczywiście. Powinien siedzieć przy kamiennym kominku a w miseczkach dłoni winny falować mu kobiece piersi wypełniając je po brzegi. W ustach chciałby czuć słodkie wino a duszę karmić drobnymi dźwiękami lutni. Ale komin ma. Komin jest, jak w mordę strzelił - pomyślał spoglądając z wyrzutem na kamienną ścianę o którą się opierał. Trząchnął głową i pozbył się nadmiaru wody z kaptura, chwycił go i naciągnął mocniej na głowę. Twarz mimo wszystko nie uniknęła deszczówki. Na chwilę sięgnął do pasa by upewnić się, że sztylety znajdują się w pochwach. Powolnym ruchem pomacał głownię jednego z nich. Po drugiej stronie wisiała skórzana torba przewieszana przez jedno z ramion. Zużyta ale poręczna. Niejedno widziała, i przeżyła to, czego większość z karczemnych zapitych mord dowiaduje się z zabajonych opowieści. Skulił się bardziej, gdy na brukowanej ulicy usłyszał odgłos nadciągającego oddziału straży miejskiej z lokalnego garnizonu. Z nimi lepiej nie zaczynać. Nie są co prawda większym zagrożeniem, nawet w liczbie pięciu, ale mogliby popsuć to na co czekał od dwóch tygodni. Poprawił brudny, zielony płaszcz i wzrokiem odprowadził patrolujących ludzi.

Karczma nosiła dość nietypową nazwę. Było to, w iście komicznym stylu, prześmiewcze zdanie wypowiedziane niegdyś w kierunku właściciela lokalu. Jedyny chyba i ostatni raz, kiedy ktoś odważył się na tak szaleńczy krok. Nazwa jednak przyjęła się jako dwuznaczna zachęta dla strudzonych podróżnych. Wielu obcych w potrzebie świeciło oczami na widok tak misternie ułożonego zdania, ale zapal ich gości zaraz po tym, jak dotarli do nich właściwe przeznaczenie, wciśniętego między domostwa niewielkiego budynku. Właścicielka Elda, niczego sobie kobieta o czerwonej, uśmiechniętej twarzy, nie młoda ale wciąż wdzięczna, głosem wesołym jak trel słowika wiosną, dawała ulgę bawiącym tam przejeżdżnym. Trzeba jej jednak przyznać, że ceny, którymi raczyła klientów musiały być odzwierciedleniem jej urody, lub rozmiaru bielizny. A Jedno i drugie miało swoją wartość.

To właściwie przesądziło o losie zebranej tu dziś grupy ludzi. Łatwo ich było wysledzić. Nie chcieli się chyba ukrywać tak bardzo, choć mogli, lub był to ich pierwszy pobyt w stolicy. Był to lokal od którego zaczyna się chyba wszystkie poszukiwania w Wielkim Bagnie Altdorf. Trafił na nich bez trudu i gładko się ich pozbędzie. Rozkład pokoi zna jak własną kieszeń. Nie ma skrytki wśród tych ścian czy piwniczek, o której by nie wiedział bo Elda... - Eldę poznał za młodu tracąc za nią głowę jak każdy podrostek. Chyba miał wtedy więcej szczęścia - pokazała mu niejedną ścianę i podłogę.

Przed wejściem pojawił się rosły mężczyzna. Wąsaty, silny w barkach i pomimo niepogody z odsłoniętym torsem, przepasanym jedynie niedźwiedzim futrem. Długie włosy spięte w warkocz, opadały gdzieś na plecy. O mięsiste uda obijał się przypięty u skórzanego pasa toporek, lekko przyrdzewiały i wyszczerbiony. Mężczyzna rzucił okiem na zmoczoną okolicę. Zlustrował groźnym wzrokiem przemysłującego wieczorową porą mieszczanina, przemokniętego do nitki i pożegnawszy go niezrozumiałym warknięciem spojrzał w niebo przeciągając się tak bardzo, aż ścięgna wydały z siebie zaspany jęk. Spokój. Dokoła tylko szum deszczu i zapach uśpionego miasta. - Świnie. Mieszkają z własnym gównem pod nosem - skomentował spływające do ciągnących się pod miastem kanałów ścieki i wypełzające niedaleko, w poszukiwaniu pożywienia, szczury. Kątem oka zauważył cień spadający z dachu a ciche chłupnięcie wystrzyło zmysły. Szybko rozejrzał się po okolicy, spojrzał przed siebie gdzie ostatnio nieznaną kształt przeciął powietrze jakby spadając z nieba. Zmrużył powieki i niepewnie wyszedł przed siebie. Nie pierwszy raz przychodził mu w tej pogodzie pilnować swej pani. Był przekonany, że nie jest sam a upewnił się rozszyfrowując nieudolnie rzucone przed nim zaklęcie. Ściana, która stała naprzeciw lekko falowała i w żaden sposób nie mogła przypominać tworu ludzkich rąk. Iluzja - warknął. Chwytając za broń starał się określić odległość do napastnika. Lata praktyki podpowiedziały by nie czekać zbyt długo, nie dawać czasu temu drugiemu i nie wystawiać się na ciosy. Pochodzący z Norski ochroniarz wiedział doskonale, że to jak zawsze może być jego ostatnia walka, a gdyby się taką stała, musi walczyć jak lew. Od tego być może zależała jego kolejna wypłata. Być albo nie być w Imperium i kto wie, może odwiedzić w ramionach tej słodczy Elany, z którą zapoznał się w Przybytku Mamy Kornelli. Czuł pismo nosem. Marzenia prysły razem z padającym na czoło deszczem. Żeby je dogonić, będzie musiał dać wycisk temu małemu spryciarzowi, który pokazał się nareszcie w mroku. Kolejna błyskawica pomogła mu zrozumieć jak bardzo się mylił. Krew, która nagle buchnęła na zewnątrz z całą pewnością należała do niego, zakrzuszył się nią. W tej całej głuszy nie zdążył się zdziwić ani pomyśleć o tym, że drgająca jeszcze przez chwilę, olbrzymia dłoń już nigdy nie dotknie Pachnących Wypieków Velthana.

Sztylet wszedł gładko. Nie było żadnego problemu. Wbił się i zatrzymał niemal natychmiast. Czaszka, mimo wszystko okazała się zgrabnym i łatwym celem. Krew, która sączyła się teraz leniwie, rozmazana przez deszcz ozdobiła całą twarz. Zdziwienie zadowoliło się w oczach zastygłego w bezruchu draba z toporkiem. Wyglądał jak śpiące dziecko. Bezbronny, śpiący

maluch, skulony, leżący bokiem na drodze. Ten już nigdy się nie obudzi z wiecznego snu, którym poraził go Vience. Znalazł dla niego lekarstwo na wszystkie problemy egzystencjalne. Był w tej dziedzinie wyśmienitym znachorem.

Wewnątrz nie było poruszenia. Złote światło wylewało się przez podłużne otwory okiennicy. Zniknął nawet gwar, który zawsze dochodził ze środka. Tylko przekłety przez wszystkich deszcz, tłustymi kroplami bębnił po okolicy. Taal najwyraźniej przagnął zemsty na całym mieście za grzechy nie tylko ludzkiej chciwości. Vience szybkim susem skoczył przez małe schody i minąwszy niewielką barierkę przycisnął się plecami do ściany. Odrzucił kaptur i rozejrzawszy się po okolicy, puścił trupowi spojrzenie. Trzeba będzie popracować nad tym zakłębieniem - uchylił, gdy na ustach przemknął grymas zniesmaczenia. Upewniwszy się, że nie będzie przez nikogo niepokojony przyłożył ucho do solidnych drzwi i przez szpary pomiędzy drewnem nasłuchiwał tego, co działo się w środku. Przez hałas panujący na dworze, ciągle jęki duszonego ulewą świata, słyszał wyraźnie co drugie zdanie ale rapier w serce temu, kto wyjąwił w tym momencie jego imię. Oczy otworzył szeroko a twarz przybrała wygląd błazna. W jednej chwili stracił pewność siebie i przywarł mocniej do kamiennego muru. Co to ma być do jasnej cholery? - próbował zebrać myśli błędząc oczami w pustce. Nie trwało to długo i gdy tylko skreślił krótki plan postanowił nie czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Karl Franz nie płacił pięciuset koron za zajmowanie się sobą. Próbował na siłę odegnać od siebie uczucie niepewności, które napłynęło do niego wraz ze słowami tajemniczej kobiety - Krueger musi umrzeć.

Nic w jego życiu nie trwało dłużej, niż chwila, kiedy w słodkim i ciepłym głosie przypomnienia usłyszał swoje nazwisko. Wydało mu się wielce nieprawdopodobne aby się pomylił. Nigdy nie zapomniał westchnień, którymi napępiała drżąca chwila kiedy się kochali i tak samo nie zapomni dnia, w którym musiał wyjechać. Takiego pożegnania nie mógł zgotować mu nawet Solkan. Nie dziwił się, przecież zostawiając kobietę, której serce wypełnił czymś co zwykła nazywać miłością w środku gorącej nocy i uciekając, zasłużył na najgorsze męki ze strony nadwornego kata, który bądź co bądź znał się na swoim rzemiośle. Musiał przyznać, że podobnej kobiety nie widział nigdy wcześniej. Oprócz uścisków i rozkosznych słówek cieplejszych niż najgorętszy krasnoludzki spirytus, posłała mu jeszcze kilka grotów na odchodne i zapewniła wiele dni uciechy w przybytku o wątpliwej reputacji, cyrulika Jurgena. Takich bab ze świecą szukać. To było to, co targało nim od wielu lat. Namietność w kierunku jej charakteru. Zawsze w niewłaściwym kierunku i z niepewnym skutkiem, jak dryfujący po Morzu Szponów szkuner „Licha Radość”.

Znów nasłuchiwał. W sumie trzy osoby w tym jedna kobieta. Starał się kalkulować na zimno. Może jednak ją oszczędzić - przemknęło mu przez myśl. Mogłby przecież ranić ją w nogę, albo zwyczajnie ogłuszyć. Przy odrobinie szczęścia nie zorientuje się co się stało, odbierze listy, które polecono mu zdobyć „wszystkimi możliwymi drogami” i wróci do domu bogatszy o kilkadziesiąt brzęczących monet. Tylekroć odstawał ten cyrk, że brakło mu palców na rękach, aby zliczyć wszystkie zlecenia. Przechylił się jeszcze przez barierkę, która wbijała się w jego pośladki i kątem oka rozejrzał się, czy w pozostałej części domu paliły się lampy. Miał szczęście, najwyraźniej byli tutaj sami. Machinalnie sięgnął do torby by przygotować zakłęcie, wymacał mały, owalny przedmiot o silnie drażniącym zapachu. Jeszcze nikt się nie oparł małej kulce ognia - wysapał po cichu uśmiechając się do niewielkiego przedmiotu trzymanego w dłoni.

Drzwi ustąpiły gładko a stare, niezbyt solidne zawiasy wpadły razem z nimi do środka, brzęcząc jak bransolety. Nim ostatnie strzępy rozdartego drewna zdążyły opaść na podłogę, stał mrugnęła w powietrzu i dwa rzucone sztylety przeniosły rosnącego, rudego mężczyznę prosto na spotkanie ze stwórcą. W tym samym czasie ognista kula poprzedzona krótką, rzuconą naprędce inkantacją, wyrwała się spod płaszcza by położyć krępego, niskiego brodacza. Krasnolud zdążył jednak rzucić się w kąt i przy akompaniamencie kanonady krzesel runął przy sąsiednim stole, kryjąc się za nim. Stojąca przed nim zgrabna kobieta bez większego wzruszenia wyprostowała się i uśmiechnęła.

- Najwyraźniej nie musimy cię szukać Vience! - rzuciła niedbale - Przychodzisz w najciekawszym momencie zabawy, jakbym tylko wystosowała życzenie. Cóż, za zbieg okoliczności.

- Nie wierzę w takowe - rozejrzał się nerwowo po pomieszczeniu. Było dość duże. Niski sufit wspierało kilka czworokątnych, grubych filarów na których paliły się lampy. W oddali drewno tliło się spokojnie mrugając światłem po całym pomieszczeniu. Kilka porozrzucanych krzesel i dopiero co opróżnionych butelek przewracających się pod nogami, świadczyło o tym, że kolejny wieczór w Rumianych Bułeczkach należało do udanych. Trochę pozostawionej broni, kilka srebrnych monet, garść papierów z których część wyglądała jak mapy, trup z oświata miną wyglądający jakby dwie wajchy wystawały z jego klatki piersiowej i nieprzytomny krasnolud z popalonymi butami to obraz dopełniający chwili.

- Mam do ciebie sprawę - rzuciła oschle sięgając po miecz wiszący u pasa - ale nie obraż się.

- Co takiego moja droga? - Wycedził zajęty szykowaniem dwóch sztyletów. Skórzane rękawice jęknęły napinane na dłoniach zaciśniętych wokół rękojeści.

- Czas cię odprawić w zaświaty.

-Masz jakiś szczególny powód? Nie powiesz mi chyba, że to co było kilkanaście lat temu aż tak zalało ci za skórę - grał na zwłokę by wybrać odpowiedni moment do ataku.

- Tobie zalało coś więcej - wybuchła rubasznym śmiechem. - Nie, już prawie zapomniałam jaki byłeś żaloszny. Masz pecha być bardzo ważną postacią na drodze do mojego szczęścia. Widzisz, papiery, które leżą na podłodze mogą zmienić władzę w tym kraju.

- Zawsze miałaś wielkie plany ale teraz postradałaś zmysły. Dobrze, że nie jestem z zakonów. Musiałbym cię aresztować - a jednak w głowie narodziła się wątpliwość. Ona może mieć rację. Pomiędzy nimi czekała niewielkich rozmiarów, czarna torba, której zawartość znacznie bardziej przewyższa oferowanych wcześniej pięćset koron.

- Procesy zostaw innym. Tobie nie będzie potrzebny żaden - przez krótką chwilę zmagali się wzrokiem.

Taboret, który kopnął, poszybował w jej kierunku szybko i lekko jak w teatralnej sztuce. Zaraz za nim wyprowadził atak chcąc jednym pchnięciem zakończyć tę sprawę. Odeszły mu chęci na ratowanie coraz mniej naiwnych kobiet. Ona jednak uskokczyła i wybroniła się blokiem z nadchodzącego pchnięcia. Vience zatoczył się, potknął o taboret i niemalże upadł na kolana.

- Żaloszne - skomentowała i zaatakowała cięciem z góry. Zepchnął uderzenie w bok, potem drugie, trzecie. Zaczął cofać się rozpaczliwie parując każdy cios. Uchyłając się przed kolejnym morderczym cięciem błyskawicznie schował się za wąską kolumnę wspierającą sufit, zbił szybko uderzenia i pchnął prosto w gardło. Unik. Znów wymiana ciosów, tym razem on nacierał z morderczym zapalem. Obydwoje spoceni przypominali bardziej tańczącą parę niż próbujących pozbawić się życia kochanków.

- Dobrze walczysz - wysapał zatrzymując się na chwilę. - Musiałaś spotkać hardego mentora.

- W istocie tak właśnie było - błysnęła wymuszonym uśmiechem. - Teraz nie ma to żadnego znaczenia. Nie żyje.

- Nie spodobały ci się jego rady? - Starał się aby jego uwaga zabrzmiała jak najbardziej złośliwie, na pierwszy rzut oka udało się, ale jego pewność siebie została rozbita.

- Nie. Zabiłeś go rok temu.

Zamilkł. W jej oczach zobaczył dwa błyskające wściekłością ognie i przygaszający je żal. Wiedział, że ta walka nie skończy się na klepaniu, będzie chciała dopiąć swego. Jeśli jej dziś nie zabije, to na pewno wkrótce zginie. To tylko kwestia czasu. W międzyczasie szukał w pamięci wydarzeń sprzed roku. Intensywnie odświeżał sobie wspomnienia. Tylko raz spotkał wystarczająco dobrego szermierza, który o mały włos nie skrócił go o głowę. Całe szczęście miał w cholewie dodatkowy argument. Dopiero coś zaświłało mu w głowie. Pamięta. Facet nazywał się Herzig. Mieszkał w okolicach Talabheim, w ruinach jakiejś niewielkiej baszty. Noc była prawie taka jak dziś, co za ironia, dobra pora na zemstę. Padał intensywny deszcz a on obserwował okolicę z wysokiego drzewa.

Kilka błyskawic, walka na miecze, dramatyczna ucieczka na wieżę. Ten nieprzyjemny typ rozbroił go i kiedy chciał zakończyć wszystko, uratował się wyciągnięty z cholewy sztyletem. Jeden gładki cios w serce, głęboki pocałunek śmierci i oprawca ucichł, czy zrobił się szklany. Przez chwilę czuł ciepłą krew spływającą po rękach, którą tak jak dziś rozchłapywał nacinający deszcz. Tylko za nic nie pamięta kobiety.

Ciszę przerwał złowieszczy świst strzał. Jedna wbiła się tuż obok niego w drewnianą podpórę, Dwie kolejne wylądowały na ścianach naprzeciwko. Uskoczył. Kątem oka zobaczył jak w gradzie śmierci ona sięga po milczącą na podłodze torbę. Złapała mocno, posłała mu przestraszone spojrzenie i odwracając się rzuciła się do ucieczki. Próbował ją dogonić jednym ze swoich sztyletów. Chwycił głównię, wymierzył i rzucił. Zimno rachując koszty tego co robi, zacisnął zęby i wymierzył w plecy. Już po niej.

Chwilę przed tym jak broń padła w ciemność ona zniknęła przebiegając przez framugę otwartych drzwi, ale po jej drugiej stronie nie zobaczył już nikogo. Zamiast tego błękitny rozbłysk chwilowo oświecił wnętrze karczmy po czym zgasł jakby zdmuchnięty powieką. Portal.

- To już przestaje być zabawne - skrzywił się na ten widok.

Z letargu osłupienia, w zupełnie nowe wprawiła go strzała, która przeznaczona dla niego, wylądowała tuż nad głową. W drzwiach stanął postawny łucznik. Z daleka zobaczył przedzierające się przez jasne włosy, szpiczaste uszy.

- Dobry strzał - skomentował, podnosząc ręce do góry.

- Celowałem w głowę - odparł, elf z trudem śmiejąc się przez zawieszoną na twarzy czerwoną chustę. Zaraz za nim do pomieszczenia wkroczyła pewnym krokiem kobieta w podniszczonym, podkreślonym błękitami, podróżnym ubraniu. Iris. Miała z całą pewnością swoje lata ale cera wciąż jędrna i ciemna nadawała jej młodzieńczy wygląd. Nie zmieniła się niemalże od ich ostatniego spotkania. Długie włosy falowały swobodnie.

- Nadal trzymasz z tym Elfem? - Zapytał nie zmieniając miejsca.

Spojrzała na elfa i unosząc brwi odparowała - Asamir jest mi bliski - uśmiechnęła się na to zdanie po czym spoważniała patrząc na Viencea.

- Też kiedyś byłem.

- Stare czasy, teraz nadeszły nowe, nigdy nie potrafiłeś doceniać tego co masz... Lub czego nie masz.

- Masz zamiar dawać mi lekcje? - Zapytał znudzony.

- Opuść te dłonie Vience, znamy się od dawna, nie wywiniesz mi numeru chyba, że chciałbyś sprawdzić swoją siłę woli - uśmiechnęła się ironicznie mocniej podkreślając ostatnie słowa. Jej pamięć najwidoczniej zabłądziła na chwilę gdzieś w przeszłości.

- Uciekła przez portal - wskazał drzwi. - Ani ja, ani ty nie będziemy mieli z tego pożytku. Wzięła ze sobą torbę - Mówił to spoglądając spode łba na elfa. Wiedział, że nigdy nie będzie tak przystojny jak ten długowieczny. - Musi być gdzieś w pobliżu. Przed rankiem nie wyślijnie się z miasta.

- Wiem o tym mój drogi - rzuciła mimochodem oglądając pobojuwisko. - Ta kula ognia była niepotrzebna, narobiłeś więcej złego niż dobrego. Te papiery mogły się przydać, w szczególności mapy - wskazała palcem resztki papirusów - a teraz leżą skopcone w połowie.

- Bez przesady, słyszałem o czym mówili - zatrzymał się na chwilę tracąc pewność. - Nie miało to związku z mapami. Mogli najwyżej planować wypoczynek. - Ciągnął stąpając ponad zniszczonymi sprzętami i kierując się do wyjścia.

Przeglądała mu się milcząc. Westchnęła ciężko i podeszła do drzwi, których framuga jeszcze niedawno świeciła się niebieskim blaskiem. - Ten portal nie wyprowadził jej za miasto. Mogła tu zginąć przez ciebie. Całe szczęście, jesteście tak samo kiepskim zabójcą jak i kochankiem. - Nie skomentował tego, ale wyraźnie go ubodła ta nowina. Rzucił na nią tylko przelotnym spojrzeniem, które miało mówić „Jest mi to obojętne”. Obydwoje wiedzieli, że nie było.

- Znam tylko jedno miejsce gdzie może znaleźć azyl tej nocy, osoba, z którą współpracuje ktoś posługujący się magią tak sprawnie - oznajmił. - Rozstajemy się. Pewnie nie na długo moja miła. - Skarciła go wzrokiem, a ten spojrzał tylko na zaciskającego szczękę Asamira. Odpowiedział bezczelnym uśmiechem. Nim wyszedł przez drzwi zaczęła go - Wygląda na to, że polujemy na tę samą osobę, choć z dwóch różnych powodów.

- Zauważyłem, że zależy ci na jej życiu - oznajmił nie odwracając się plecami.

- Tak bardzo, że postanowiłam pomóc twoim sztyletom, by nie padały tam gdzie powinny. Uważaj na siebie. Ta sprawa może cię przerosnąć. W Bogenhaffen nie przepadają za włóczykami od Imperatora.

- W Bogenhaffen, od pewnego czasu, panuje nagonka na wszelkie przejawy magii - odparował i wyszedł przez milczące ciemnością drzwi. Oszołomiony krasnolud chrapał donośnie.

Marcin Piotrowski

Piotr Orliński ::: Niech opadnie młot!

Tupot ciężkich, podkutych żelazem buciórów przebrzmiał i ucichł. Gottlieb przyklejony do chłodnej, popękanej ściany zrujnowanego budynku westchnął z ulgą, ale jeszcze nie odważył się poruszyć. Wciąż bał się, że ścigający go orkowie mogli się rozdzielić i kiedy tylko wystawi głowę ze swojej kryjówki, spadnie na niego cios. Przez chwilę starał się zapanować nad przyspieszonym oddechem tłapiąc w płuca rozgrzane letnimi upałami powietrze. Ubranie kleiło mu się do ciała, a na umorusanym czole szklily się kropelki potu. Czuł potworne zmęczenie i najchętniej położyłby się tutaj gdzie się zatrzymał, i odpoczął chociaż przez chwilę. Wiedział jednak, że nie może sobie na to pozwolić. Pościg mógł w każdej chwili zawrócić i znaleźć go w tej prowizorycznej kryjówce. Musiał się ruszyć i musiał to zrobić szybko. Zastanawiał się, gdzie mógłby uciec, gdzie znalazłby schronienie na zbliżającą się noc. Zdawał sobie sprawę, że nie ma najmniejszych szans, aby wydostać się z miasta i dotrzeć do jednego z otaczających go obozów, które powoli same zaczynały przypominać małe miasteczka. Można w nich było znaleźć niemal wszystko, nie tylko schronienie, ale również strawę i najróżniejsze towary z całego Imperium, a także spoza jego granic, często z tak odległych krain, jak Kitaj, czy Arabia.

W jednej chwili zdecydował, że musi się ruszyć. Z każdą chwilą niebezpieczeństwo, że jego prześladowcy wrócą, wzrastało. W ruchomy cel trudniej trafić i jeśli dopisze mu szczęście, to znajdzie jakieś schronienie gdzieś po drodze. Mordheim oferowało wiele opuszczonych, zrujnowanych budynków, o które ich dawni lokatorzy na pewno się nie upomną. Odkąd miasto zostało niemal w całości zmiecione z powierzchni ziemi przez gniew niebios, które zesłały na nie kometę, można było je określić tylko jako pole bitwy, nieustającej walki każdego dnia o pogrzebane w ruinach skarby, bogactwa i najcenniejszą rzecz, jaką można tu było znaleźć, czyli wyrdstone. Kawałki meteorytu rozrzucone były po całym Mordheim, zagrzebane w zwalach gruzu, ukryte w podziemiach, kanałach, piwnicach domów i rezydencji bogaczy, których tutaj nie brakowało. Teraz działało niczym magnes na wszelkiej maści poszukiwaczy przygód i osobników różnego pochodzenia, którzy liczyli na szybki łup. Ściągali tutaj nie tylko ludzie, ale również przedstawiciele innych ras i kultur, a nawet najgorsze bestie, wysłane z misją zleconą przez ich władców - zdobyć jak największe ilości tajemniczych odłamków komety, których moce nie zostały jeszcze do końca poznane i chyba już nigdy się to nie uda. Każdy miał jakiś cel, każdy wierzył, że w Mordheim odnajdzie to czego szuka i dlatego każdego dnia na ulicach i placach miasta, pośród ruin budynków, pośród powalonych pomników, połamanych drzew, między nagrobkami toczyły się niezliczone potyczki, walki i zwykłe bijatyki.

Gottlieb przemykał ostrożnie wzdłuż naznaczonej pęknięciami ściany budynku, w którym przed chwilą znalazł tymczasowe schronienie. Przybył do Mordheim nieco ponad dwa tygodnie temu i już zdążył się wpakować w nieliczne kłopoty i narazić kilku niezbyt przyjemnym typkom, a także bandzie orków noszących na tarczach znak czerwonego półksiężyca. Tutaj każdy szybko uczył się zasad panujących w mieście i jego okolicach. Jeśli ktoś był zbyt oporny na wiedzę na temat niepisanych praw i zwyczajów Mordheim, prędko kończył gdzieś między kamieniami rozpadającego się budynku lub w jakimś cuchnącym rynsztoku. Jemu, jak do tej pory sprzyjało szczęście i dziękował za to wszystkim dobrym bogom spoglądającym na niego z góry. On nie szukał tutaj bogactw. Miał inny cel, na którym zależało mu bardziej niż na garści złotych koron, czy jakichś błyskotkach. Szukał swojego brata, skuszonego tak jak wielu innych sławą i łatwym łupem. Wiedział tylko tyle, że wybrał się on tutaj z grupą kilku podobnych sobie podrostków z różnych części Imperium, którym marzyło się, że staną się częścią historii opowydanych przy obozowych ogniskach, a przy tym niewyobrażalnie bogaci.

Gottlieb czuł jednak, że nie poszczęściło im się, zresztą tak, jak wielu innym przedtem. Kilka razy miał sny, w których widział swojego brata cierpiącego, który próbował mu coś powiedzieć, ale on nie słyszał jego głosu. Wreszcie postanowił, że może zrobić tylko jedno - wyruszyć do Miasta Przeklętych i odnaleźć brata. To dodawało mu siły i utrzymywało przy życiu. Mocno wierzył, że mu się uda, nawet jeśli cena będzie wysoka. Ale jedyną rzeczą, jaką udało mu się do tej pory znaleźć były kłopoty, w które z każdym dniem pakował się coraz głębiej.

Narobił już sobie kilku wrogów, o co wcale nie było trudno w mieście, gdzie każdy myślał i troszczył się tylko o siebie. Tutaj każdy miał jakiegoś wroga, każdy miał z kimś zatargi, ale wszystko dzięki temu pozostawało w równowadze.

Teraz Gottlieb puścił się biegiem wąską uliczką pomiędzy stojącymi po obu stronach budynkami, które zachowały się w stanie niemal nienaruszonym. Biegł przed siebie w jedyne bezpieczne miejsce, które w tej chwili przychodziło mu do głowy.

###

Niebo miało kolor, jakby je ktoś podpalił; mieniło się czerwienią, żółcią i złotem. Tam, gdzie zachodziło słońce, kolory były najintensywniejsze. Jego ostatnie promienie podświetlały sunące powoli skłębione chmury i nadawały całemu, rozpostartemu w dole wzgórze obozowisku piękna, którego nigdy tam nie było i nigdy nie będzie. Pośród wozów, straganów i namiotów kręciły się ludzie, elfy, krasnoludy, a nawet niziołki; to przy ich ogniskach, co wieczór gromadziły się największe tłumy. Kto jak kto, ale niziołki znają się na gotowaniu lepiej niż krasnoludy na wojaczce, czy elfy na magii. Dla strudzonych całym dniem pracy, miska pożywnej i co najważniejsze smacznej stawy, była ważniejsza niż wszystko inne.

Siedzący na powalonym pniu Wolf Schuster spoglądał na zachód słońca i wszystko, co działo się w dole, poniżej wzgórza, na którym się znajdował. Widział płonące, migotliwe ogniska, przy których gromadził się osoby różnego pochodzenia i różnych profesji. To było jak mała oaza spokoju i bezpieczeństwa, niczym ziemia neutralna, na której nie toczy się wojny, nikt na nikogo nie poluje i nie morduje. Dla tych rzeczy przeznaczone było Mordheim, które znajdowało się po drugiej stronie wzgórza, za wypalonym niemal do cna laskiem, gdzie teraz pełno było połamanych i okopconych resztek drzew. Tam jednak wzrok Wolfa nigdy nie kierował się, gdy nadchodziła noc, kiedy miał szansę obejrzeć zachód słońca. Poza tym jego obowiązkiem, jako strażnika, było pilnowanie porządku w obozie, po zapadnięciu zmroku, a ten zbliżał się nieubłaganie.

Słońce zniknęło już za postrzępionym, nierównym horyzontem, a ze wschodu nadciągała powoli ciemność, która wkrótce miała przykryć swoim rozgwieżdżonym płaszczem wszystko dookoła. Wolf powoli podniósł się z leżącego drzewa i nabrał w płuca ciepłe, wieczorne powietrze. Czuł w nim było ogniska, strawę i wszelkie inne obozowe zapachy; ale nawet te, których się nie toleruje miały dla niego znacznie. Po tylu latach spędzonych pośród obozowisk wokół Mordheim, jak i na ulicach Miasta Przeklętych, wszystko to miało dla niego znaczenie, potrafił wyczuć wszystkimi zmysłami, kiedy coś działo się nie tak jak powinno, kiedy zbliżało się jakieś niebezpieczeństwo, a kiedy z kolei można było spać spokojnie, bez obawy o własne życie.

Mordheim było najlepszą szkołą życia, jaką mógł sobie tylko wymarzyć i nie wyobrazić sobie, że mógłby znaleźć się w innym miejscu i robić coś innego, nawet prowadzić spokojne życie, gdzieś na farmie w samym sercu Imperium. To nie było życie dla niego. Ciągała obawa, że każdy następny dzień może się okazać tym ostatnim, że może skończyć gdzieś pomiędzy zrujnowanymi budynkami, albo w opuszczonych kanałach pod Mordheim, wszystko to sprawiało, że czuł pełnię życia, że każdy dzień przeżywał tak, jakby miał być jego ostatnim.

Wąska ścieżka poprowadziła go pomiędzy starymi, nagimi drzewami, które nigdy nie kwitły, w dół wzgórza niemal na sam skraj obozowiska. Pomimo zapadającego zmroku panował tutaj gwar, tak jak w dzień, a miejscami może nawet głośniejszy. Każdy miał gdzieś tutaj swoje lokum, swoje miejsce, do którego wracał, kiedy czuł, że szczęście na ulicach Mordheim chwilowo odwróciło się od niego. W takich momentach lepiej było przeczekać, odzyskać siły, może nawet zwerbować nowych członków do bandy, aby po jakimś czasie wrócić do miasta w poszukiwaniu fortuny. W obozowiskach takich jak to, którego pilnował Wolf i kilku innych strażników, zaczynała się kariera, to stąd wyruszały wszelkie wyprawy do ruin po złoto i wydrżone'a. To były oazy, do których wracało się aby odpocząć. Tutaj obowiązywało zawieszenie broni i choć zdarzały się przypadki, że dwie wrogi sobie bandy spotykały się w obozie i rozpoczynała się potyczka, to jednak były to wyjątki i większość respektowała „neutralność” obozowisk. Tworzyły się nawet rady obozowe, które miały sprawować pieczę nad przestrzeganiem tych wszystkich praw i zwyczajów, które wydawały się odpowiednie.

Wolf był przedstawicielem takich władz i do jego obowiązków należało kontrolowanie, czy w obozie panuje spokój, a pewnych przypadkach wkraczanie do akcji i zaprowadzanie porządku. Nie była to praca lekka, ale dawała przynajmniej minimum spokoju. Kiedy mężczyzna miał ochotę na większą dawkę emocji, wynajmował swój wysłużony, ale budzący respekt miecz, którego z bandą i razem z nią ruszał do Miasta Przeklętych. Z każdym dniem przychodziło mu to jednak coraz ciężiej i ostatnimi czasy niechętnie zaciągał się jako najemnik. Wolał spokojnie spędzać czas w obozie i rozstrzygać spory pomiędzy Niziołkami kłócącymi się o miejsce przy stole. Coraz częściej wybierał się na samotne wędrówki po okolicach i chociaż często nie było to najbezpieczniejsze - zwłaszcza, gdy w pobliżu pojawiały się bandy zwierzołudzi, albo zielonoskórych - to podejmował ryzyko. Czasami po prostu chciał być sam, odpocząć od zgiełku i hałasów, tych małych miasteczek, w które powoli zamieniały się obozowiska.

Wreszcie wszedł powoli pomiędzy namioty, drewniane chaty i kryte wozy, między którymi kręcili się ludzie i nieludzie. Był w domu.

###

Czyjaś szorstka, wielka dłoń zakryła mu usta i stłumiła okrzyk przerażenia. Gottlieb targnął się, ale drugie ramię obcego objęło go w pół mocnym uściskiem; poczuł się tak, jakby ktoś ścisnął go żelaznymi kleszczami. Tuż przy lewym uchu ktoś wionął mu nieświeżym oddechem, w którym można było wyczuć woń cebuli i podłego alkoholu.

- Nie ruszaj się i ani słowa, jeśli chcesz przeżyć. Mamy towarzystwo.

Kątem oka Gottlieb dostrzegł, jak głowa obcego mężczyzny kiwnęła wskazując brodą coś przed nimi. Młody mężczyzna podążył wzrokiem w kierunku wskazywanym przez obcego. Przez dziurę ziejącą w ścianie budynku, w którym na noc schronił się Gottlieb, w półmroku mglistego poranka poruszały się jakieś postacie. Jednak w ich ruchach było coś nienaturalnego, jakby nie robiły tego z własnej woli, ale wykonywały czyjeś rozkazy. Były jak kukiełki zawieszone na sznurkach; przy każdym ruchu podrygiwały i powłóczyły nogami. Gottlieb widział już wcześniej postacie, które poruszały się w podobny sposób i miał nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie ich musiał oglądać, że już nie staną mu na drodze.

Obcy mężczyzna powoli odsłonił usta młodzieńcowi i poluzował chwyt. Gottlieb nabrał w płuca powietrza i wypuścił je najciszej jak tylko potrafił. Mężczyzna przysunął się i kucnął obok niego. Teraz młodzieniec miał możliwość przyjrzeć mu się; mężczyzna miał zmęczoną, nieogoloną twarz, pooraną bruzdami i bliznami, i jedynie głęboko osadzone ciemne oczy błyszczały mu ogniem mimo panującego dookoła półmroku. Ubrany był w znoszone, skórzane spodnie i narzuconą na czarną koszulę przeszywanicę, a przy pasie miał młot bojowy, po którym widać było, że nie służy tylko jako ozdoba.

- Pomożesz mi, a ja pomogę tobie - powiedział szeptem mężczyzna. Gottlieb czuł jego wilgotny oddech tuż przy uchu, ale bał się odsunąć czy choćby poruszyć.

Kolejne pokraczne postacie przesuwały się przed jego oczami rozdzielając powłóczącymi nogami mgłę na długie, wąskie pasma snujące się tuż nad ziemią. Skoro byli tutaj ożywieńcy, gdzieś w pobliżu powinien być kontrolujący ich czarodziej, albo istota o wiele straszniejsza, mająca nad nimi władzę. Gottlieb wzdrygnął się na samą myśl o tym, ale szybko zapanował nad uczuciami, kiedy zobaczył przycupniętego tuż obok mężczyznę, który zachowywał zupełny spokój i nie okazywał żadnych emocji.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Gottlieb. Miał dziwne przeczucie, że odpowiedź obcego wcale mu się nie spodoba. I nie mylił się.

- To grupa Hansa Zimmermanna, nekromanty z Nuln, którą tropię już od dłuższego czasu - mężczyzna mówił szeptem. - Niejednego udało mi się już ubić, ale widzisz chłopcze z ożywieńcami jest ten problem, że łatwo uzupełnić straty. Dlatego jedynym sposobem jest dorwanie tego, kto ich przywołuje i ożywia. Mam przeczucie, że dzisiaj wreszcie się do mnie uśmiechnęło i Zimmermann jest tutaj razem ze swoimi sługami. Tylko na nim mi zależy i tylko jego chcę mieć.

- A co to ma wspólnego ze mną? - zdziwił się Gottlieb, a niepokój stopniowo narastał w jego sercu.

- Ty mi w tym pomożesz - odparł mężczyzna. - Sam nie dam sobie rady, a widzę że ty nie jesteś ułomkiem i poradzisz sobie z niejednym. Poza tym widzę, że masz przy sobie miecz i pewnie wiesz jak się nim posługiwać? Pewnie, że wiesz, inaczej nigdy nie zawitałbyś do Mordheim - uśmiechnął się mężczyzna.

- Szukam brata. Tylko po to tutaj jestem.

Obcy zajął młodzieńcowi głęboko w oczy, jakby chciał w nich wyczytać, czy to, co przed chwilą powiedział było prawdą, czy zmyśleniem, a potem powiedział:

- Ty pomożesz mi, a ja pomogę tobie. Stary Klaus wie o wielu rzeczach i ma wielu znajomych. Mordheim to mój dom. Razem znajdziemy twojego brata, ale najpierw pomożesz mi pozbyć się tego przeklętego nekromanty. Zgoda?

Gottlieb przez chwilę zastanawiał się nad słowami mężczyzny. Prawdę mówiąc nie miał innego wyjścia, jak wejść z nim w spółkę. Był w Mieście Potęgą od ponad dwóch tygodni i tak naprawdę nie wpadł jeszcze na żaden trop, który choćby w minimalny stopniu przybliżyłby go do odnalezienia brata. Teraz, z pomocą obcego, który twierdził, że doskonale zna Mordheim, miałby przynajmniej jakieś szanse na powodzenie swojej misji.

- Zgoda - powiedział wreszcie. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na mężczyznę, który uśmiechnął się tajemniczo i klepnął młodzieńca w ramię.

- Dobry chłopak z ciebie. Razem damy radę, czuję to w kościach. A teraz łap za miecz, czas zacząć zabawę - po tych słowach wyciągnął zza pasa swój wysłużony młot i mocno uchwycił go obiema dłońmi.

Gottlieb sięgnął po miecz, a jego wzrok skierowany był już w stronę, gdzie człapiące nienaturalnie istoty, które kiedyś były ludźmi, powoli znikwały za zrujnowanym murkiem jakiegoś rozsypującego się domu. Czuł, jak zimny pot występuje mu na czoło, jak dłoń zaciśnięta na rękojeści miecza robi się śliska, a w ustach zaczyna brakować śliny. Ale wiedział, co musi zrobić, jeśli nie dla tego obcego mężczyzny, czy dla siebie, to przynajmniej dla swojego brata.

###

Wolf odepchnął na bok jednego z dryblasów starego kowala Schulza i przecisnął się pomiędzy pozostałymi dwoma i resztą cisnących się ze wszystkich stron gapiów. Gdyby to zrobił ktoś inny w te samej chwili leżałby na ziemi żałując, że w ogóle przyszło mu do głowy rodzić się. Ale Wolf znał tutaj każdego, kto przebywał w obozie dłużej niż tydzień, a większość stałych mieszkańców traktowała go niemal jak członka rodziny. Dlatego, gdy wielkolud Schulz zatoczył się do tyłu, a miecz strażnika ze zgrzytem wysunął się z pochwy, reszta całkiem sporego tłumu rozstała się potulnie, chociaż Wolf wolałby, żeby wszyscy zniknęli zupełnie.

Po środku tłumu leżała na ziemi stara, pomarszczona i powykęcana przez reumatyzm kobieta, którą Wolf rozpoznał od razu, jako wiedźmę Margarit. Nie podobało mu się określenie „wiedźma”, ale wszyscy w obozie tak o niej mówili, a ona nigdy nie protestowała. Zajmowała się przygotowywaniem leczniczych ziół dla wszystkich, którzy wierzyli w działanie takich specyfików, opiekowała się również chorymi zwierzętami, a czasem nawet odbierała porody, co było nie lada wydarzeniem w okolicach Mordheim. Jednym słowem nigdy nikomu nie przeszkadzała i nie wadziła. Teraz zaś leżała na ziemi, umorusana i potargana, w swoich zwykłych zniszczonych ubraniach, na które składała się sukienka wykonana chyba z parcianego worka oraz leżąca teraz tuż obok kobiety chusta o wyblakłych kolorach. Na jej szarej twarzy Wolf dostrzegł wielkiego siniaka. Z wściekłością obrócił się dookoła mierzając wszystkich zebranych wzrokiem, który ciął skuteczniej niż jego wysłużony miecz. Zgromadzeni z trwogą zrobili jeszcze jeden krok do tyłu, odwracali oczy i większość z nich udawała, że ich tutaj nie ma, albo że znaleźli się tutaj zupełnie przypadkiem. Ale Wolf nie wierzył w takie przypadki, znał na tyle dobrze tych wszystkich ludzi, że wiedział, co tak naprawdę ich tutaj sprowadziło i czemu wyciągnęli starą, schorowaną kobietę z jej nędznego szałas. Wiedział, że to nie mógł być ich pomysł i że gdzieś wśród tych twarzy znajduje się przynajmniej jedna obca, ta która jest odpowiedzialna za podjudzenie tłumu, za posianie ziarna niepewności, zwątpienia i nienawiści do wszystkiego co obce i niezrozumiałe. Ktoś taki zawsze czerpał przyjemność z obserwowania, jak tłum potrafi w jednej chwili odwrócić się plecami do kogoś, kogo zna i szanuje, aby go znienawidzić.

Większość twarzy była znajoma, część z nich Wolf znał lepiej, część widział po raz drugi czy trzeci, ale dostrzegł też kogoś, kto był tutaj zupełnie nowy. Młoda kobieta o ostrych rysach twarzy i długich, czarnych włosach opadających swobodnie na ramiona, ubrana w skórzany kubraczek, obcisłe spodnie i wysoki jeździecki buty. Ponad prawym ramieniem sterczała rękojeść zakrzywionej, przewieszanej przez plecy szabli. Tylko ona, jako jedyna osoba spośród całej tej tłuszczy nie spuściła wzroku i wytrzymała spojrzenie strażnika. W jej oczach nie było strachu czy obawy, ale pewność siebie, a nawet rodzaj buty. Zgromadzeni zauważyli, że Wolf przypatruje się kobiecie i ostrożnie rozsунęli się tak, że po chwili została ona sama. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersi i wyzywająco patrzyła na strażnika.

Wolf schował miecz do pochwy i powoli podszedł do niej. Część ze zgromadzonych zaczęła się rozchodzić do swoich zajęć. Strażnik zatrzymał się o kilka kroków od kobiety i nie spuszczać z niej wzroku zawołał do pozostałych gapiów, rozkazującym tonem:

- Wracajcie do swoich zajęć. Nikt nie będzie wymierzał samosądów, kiedy ja jestem na służbie. Macie szczęście, że trafiliście na kogoś takiego, jak ja, a nie jakiegoś bardziej popędliwego. Rozejść się!

Tłum zaszemrał, ale ruszył się, najpierw powoli i z ociąganiem, ale po chwili już nikogo nie było, pozostał tylko Wolf i dwie kobiety - jedna leżąca na ziemi, a druga stojąca przed nim. Strażnik nie mógł nie zauważyć, że stojąca przed nim kobieta jest niesamowicie piękna ze swoimi połyskującymi włosami i piwnymi oczami. W kąciu pełnych, kształtnych ust igrał uśmiešek, który w innych okolicznościach pewnie byłby zachętą do czegoś więcej, ale teraz działał na niekorzyść kobiety. Zamiast niego Wolf widział naigrywanie się z jego postępowania i rodzaj pogardy.

- Lepiej, żebyś miał coś na swoje usprawiedliwienie - powiedział strażnik, po czym wskazując na leżącą za jego plecami Margarit, dodał. - Nie pozwolę, żeby takie rzeczy działały się w obozie, gdzie ja jestem strażnikiem. Nie wiem kim jesteś, ale jeśli

chcesz podburzać tłum i zwracać jednych przeciwko drugim, to powinnaś jak najszybciej stąd odejść. Bo ja nie pozwolę na takie zachowanie.

Kobieta przestąpiła z nogi na nogę i nie spuszczać wzroku z mężczyzny odparła dźwięcznym głosem, w którym słychać jednak było, że nie lubi kiedy ktoś zwraca się do niej w ten sposób, albo sprzeciwia się jej.

- Jestem Andrea Wellenstein i to, gdzie się zatrzymuję, na jak długo i co robię, jest moją prywatną sprawą, panie strażniku.
- Nie wydaje mi się, żeby to, co się tutaj odbywało było twoją prywatną sprawą, skoro zaangażowało się w to tak wiele osób - rzekł Wolf. Zaczynał mieć dość tej panienki i sposobu w jaki się do niego odnosiła. Czuł się przy niej jak ktoś z najniższych warstw społeczeństwa stojący przed obliczem samego imperatora. - Jeśli Margarit zrobiła coś nie tak, to powinna się tym zająć rada obozowa, a nie osoba z zewnątrz.

- Nie wiesz z czym masz do czynienia, strażniku - przerwała mu Andrea. - Ta kobieta jest czarownicą. Praktykuje zakazaną magię i kontaktuje się z siłami ciemności, o których pewnie nie masz zielonego pojęcia. Ale uwierz mi, lepiej dla ciebie będzie, jeśli dasz mi wolną rękę i przestaniesz przeszkadzać.

W jej słodkim głosie zabrzmiała groźba, tym mocniejsza, że kobieta była przekonana i wierzyła w to, co mówiła. Wolf zawałał się słysząc ton jej głosu. Ostrożnie obejrzał się na starą kobietę, która podniosła się z trudem z ziemi i spoglądała na nich swoimi zapadniętymi, błyszczącymi oczami.

- Margarit żyje w tym obozie odkąd tylko pamiętam i nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy. Wręcz przeciwnie. Pomogła tylu osobom, że bez jej opieki, ziół i lekarstw, pewnie nikogo by już tutaj od dawna nie było. A co do ciebie, panienko, to lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną i wszystko mi opowiesz. Nie chcę podejmować pochopnych decyzji, tak jak ci nieszcześni ludzie, którzy cię posłuchali i zrobili całe to przedstawienie - powiedział Wolf. Jego zaciśnięta na rękojeści miecza dłoń była dość czytelnym znakiem, że odmowa nie wchodzi w grę.

###

Gottlieb z obrzydzeniem odepchnął nogą martwe ciało ożywieńca, którego przed chwilą przebił na wylot mieczem. Rozkładające się zwłoki opadły na wilgotną od cuchnącej posoki ziemię tuż obok innych bezwładnych ciał. Jego przypadkowy towarzysz Klaus stał tuż obok, ciężko łapiąc oddech. Na jego czole perlił się pot, a policzki płonęły czerwienią. Walka nie była długa, ale męcząca. Zombie nie stanowili specjalnego zagrożenia dla kogoś, kto wiedział jak posługiwać się bronią, a zaskoczenie zadziałało jeszcze na korzyść dwóch mężczyzn. Nawet nekromanta, który ukrywał się pośród swoich podwładnych był tak zaskoczony tym nagłym atakiem, że nie zdążył zareagować, nie miał chwili czasu na przygotowanie czaru, który w jakikolwiek sposób pomógłby mu.

Młodzieniec dziękował bogom, że nie doszło do użycia magii. Nie cierpiał wszelkiej maści magików i nie miał zaufania do ich sztuki. A kiedy przychodziło do konfrontacji z kimś, kto posługuje się zakazaną magią i igra z mocami, których żaden człowiek nie jest w stanie pojąć, czuł się zupełnie bezradny. Dlatego był wdzięczny, że miał przy boku doświadczonego łowcę czarownic, który wiedział niejedno o wszelkiej maści czarodziejach i ich sztuczkach, i co najważniejsze, potrafił się przed nimi skutecznie bronić.

Teraz Klaus stał nad nekromantą na szeroko rozstawionych nogach i spoglądał na niego z góry. W jego płonęły ogniki podniecenia. Po tylu miesiącach poszukiwań i łowów w końcu udało mu się dopaść czarnoksiężnika. Teraz miał go na swojej łasce i nie pozwoli mu uciec z tego cała. Potrzebował go jednak na razie, żeby dowiedzieć się, czy przypadkiem Zimmermann nie pracował dla kogoś innego, czy nie był po prostu zwyczajną marionetką w rękach istot potężniejszych i dysponujących o wiele potężniejszymi mocami, niż zwyczajni ludzie parający się magią, którzy, aby w ogóle poznać jej tajniki, muszą poświęcić długi lata żmudnej pracy.

Wampiry, o których krążyły niezliczone opowieści, często wysyłały swoje sługi do Miasta Potępionych, aby zdobywać wyrdstone'a. Te pełne tajemnych mocy kamienie były najbardziej pożądaną rzeczą, która dawała niesamowitą potęgę, pod warunkiem, że wiedziało się jak z niej skorzystać i ukierunkować. A „dzieci nocy” poznały sekrety, o których ludzkim czarodziejom tylko się śniło.

- Zbliża się twój koniec, Zimmermann - warknął Klaus. Jego młot kołysał się tuż przed twarzą leżącego na ziemi nekromanty, który nie ośmielił się nawet poruszyć. - Nie ocalisz już swojego ciała, o nie, ale możesz jeszcze uratować swoją duszę. Wystarczy, że powiesz mi komu służyłeś. Wyznaj mi to i nie pozwól, aby twoja śmierć była bezcelowa.

Gottlieb dostrzegł, jak na bladej, wychudłej twarzy czarodzieja pojawił się grymas trwogi, jak jego ciało wydawało się kurczyć, a długie palce macały podłogę, jakby w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby go ocalić. Również młodzieniec zbliżył się do nekromanty z mieczem w dłoni. Zimmermann nerwowo spojrzał na niego, a jego oczy błysnęły. Wydawało się, jakby zobaczył kogoś, kogo nie spodziewał się spotkać w takim miejscu i takich okolicznościach. Również Klaus dostrzegł reakcję nekromanty. Szturchnięciem nogą zwrócił jego uwagę na siebie i zapytał:

- Coś się stało? Wyglądasz jakbyś zobaczył ducha.
- Widziałeś mojego brata? - krzyknął Gottlieb, któremu przyszła właśnie do głowy szalona myśl i postanowił się jej uchwycić.
- Odpowiadaj, nekromanto, albo posmakujesz stali! - ostrze jego miecza dotknęło nagiej szyi leżącego mężczyzny, po której po chwili pociekła wąska stróżka ciemnej krwi.

Zimmermann znieruchomiał i spoglądał to na jednego, to znów na drugiego mężczyznę. Wiedział, że nie ma najmniejszych szans na atak, czy wykonanie jakiegokolwiek akcji, która ocaliłaby mu życie. Musiał grać na zwłokę i liczyć na to, że dzięki temu młodemu człowiekowi, który pytał o swojego brata, uda mu się zyskać na czasie, a może nawet ocalić życie.

- Widziałem kogoś podobnego do ciebie - powiedział drżącym głosem czarodziej. Z trudem przełknął ślinę i kontynuował.
- Kilka dni temu, przy południowej bramie dopadliśmy bandę jakichś nowicjuszy, którzy w ogóle nie byli przygotowani na nasz atak.

- Zupełnie jak ty dzisiaj, co? - uśmiechnął się Klaus.
- Gdzie jest mój brat! - Gottlieb robił się coraz bardziej nerwowo.
- Większość z nich wycięliśmy, ale kilku zostało przy życiu, między innymi ten podobny do ciebie - odpowiedział Zimmermann.
- Nasza pani chciała kilku zwich.
- Wasza pani? O kim mówisz?
- Mówię o lady Katrinie Mallendorf - słowa zabrzmiały niczym syk węża, a błysk w oczach czarnoksiężnika stał się jeszcze bardziej intensywny, jakby imię, które wymówił dodało mu siły. - Nasza pani lubi świeżą krew - dodał z satysfakcją widząc wyraz twarzy obu mężczyzn.
- Wampirzyca - jęknął cicho Klaus, jego oblicze wyraźnie poszarzało.

Gottlieb przestąpił nerwowo z nogi na nogę. W jednej chwili zrobiło mu się chłodno pomimo ciepłego poranka, który zwiastował naprawdę pogodny i upalny dzień. Jeśli było coś, czego nie lubił bardziej niż magii, były to z pewnością wszelkiego rodzaju istoty nadprzyrodzone, których nie można było nazwać ludźmi. Miał przecucie, że jego brat wpakował się w naprawdę poważne kłopoty i że potrzebuje jego pomocy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, ale gdzieś w głębi serca Gottlieb czuł, że jeszcze nie jest za późno i że jeszcze może go ocalić przed losem gorszym niż śmierć.

- Co z moim bratem? - zapytał drżącym głosem młodzieniec.
- Kiedy widziałem go po raz ostatni, jeszcze żył - nekromanta wykorzystał chwilę, aby nieco się odsunąć od obu mężczyzn, ale zamarł z szelmowskim uśmiechem na ustach, kiedy ostrze miecza ponownie znalazło się przy jego gardle. - Od tego czasu

minęły przynajmniej trzy dni. Nie wiem, co się z nim dzieje teraz. Przysięgam.

- Gdzie jest legowisko twojej pani, Zimmermann? - Klaus kucnął tuż obok leżącego nekromanty. Mocno uchwycił jego szatę i docisnął go do ziemi. - Lepiej będzie dla ciebie, jeśli mi to powiesz, zaoszczędzisz sobie niepotrzebnych cierpień, a uwierz mi, potrafię wymyślić naprawdę ciekawe sposoby na zakończenie czyjegoś życia.

Uśmiech zniknął z ust czarownika. Wiedział, że przegrał i że nawet atut jakim była osoba brata młodszego z mężczyzn, na niewiele mu się teraz przyda. Musiał teraz grać na zwłokę i jak najdłużej odwlekać to, co wydawało się już nieuniknione. Tylko on znał drogę do siedziby lady Katriny i tylko on mógł dostać się tam bez problemów. Jeśli chcieli dopaść jego panią, on był jedyną osobą, która mogła ich do niej zaprowadzić.

- Zaprowadzę was do niej - rzekł wreszcie Zimmermann. - Zaprowadzę was.

###

Mimo, że kobiecie udało się przekonać do swojego postępowania całą radę obozu, to Wolf nadal jej nie ufał, a przynajmniej nie ufał jej do samego końca. Andrea okazała się być łowcą czarownic, która przybyła do Mordheim na łowy. Jej celem była wampirzyca, która od kilku lat ciągle wymykała się łowczyni, myliła tropy, zostawiała fałszywe ślady. Ale teraz, po kilku miesiącach poszukiwań, tutaj w ruinach Miasta Potępionych, wreszcie odnalazła to, czego szukała. Ślad był wyraźny i nie mogło być wątpliwości, że znalazła tą istotę, której tak długo szukała. Z informacji, które Andrea przekazała radzie, a o których nikt wcześniej nie poinformował strażnika, stara Margarit od jakiegoś czasu kontaktowała się z wampirzycą i udzielała jej pomocy. Najgorsze w całej tej sytuacji było jednak nie to, że łowczyni czarownic działała za jego plecami, ale że nie był świadomy, że nie wyczuł, jak stara wiedźma utrzymuje kontakty z taką istotą. Przez cały czas Wolfowi zdawało się, że we o wszystkich sprawach dziejących się w obozie, a często i poza jego granicami, że wie kto obecnie stanowi najsilniejszą grupę w Mordheim. A pomimo to nie wiedział, co działa się niemal pod samym jego nosem.

Strażnik był na siebie zły. Kiedy opuszczali wraz z Andrea obozowisko w drodze do miasta, czuł na plecach spojrzenia osób, które poprzedniego dnia odganiał od starej Margarit. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może jednak nadszedł najwyższy czas i trzeba pożegnać się z Mordheim, poszukać innego miejsca, gdzie mógłby wykorzystać swoje umiejętności. W tych ponurych czasach nie było wcale trudno znaleźć zajęcie dla miecza, zwłaszcza jeśli posługiwało się nim z wprawą. Tutaj jego reputacja nieco się pogorszyła i wiedział, że nieprędko ją odbuduje. Miał tylko nadzieję, że teraz, kiedy zdecydował się towarzyszyć łowczyni czarownic w jej polowaniu na wampirzycę, ludzie przynajmniej na jakiś czas zapomną o tym, co zrobił, jak się ośmieszył.

Andrea wyciągnęła ze starej wiedźmy wszelkie potrzebne jej informacje i miała już przygotowany plan działania. Wiedziała, gdzie w ruinach Miasta Przeklętych znajduje się siedziba wampirzycy i czego się spodziewać. Mimo młodego wieku wykazywała zdumiewającą wiedzę na temat tych nadprzyrodzonych istot, ich zwyczajów i słabych punktów. To miało dać im nie tyle przewagę, co raczej cięń szansy w walce z potworem.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy postawili pierwsze kroki w Mordheim.

###

- Księżyc jest w pełni - zauważył Klaus spoglądając w bezchmurne, granatowe niebo. - Z jednej strony to dobrze, bo nie będziemy potrzebowali pochodni i nie zostaniemy zbyt szybko wykryci. Z drugiej jednak, podczas pełni wampiry dysponują większą mocą i są silniejsze. Będziemy musieli działać szybko i zdecydowanie, nie możemy sobie pozwolić choćby na odrobinę zwłoki. Inaczej marnie skończymy.

Gottlieb również spojrzał na lśniący jasno księżyc, który stał wysoko na niebie rzucając w dół blade światło. Stojące dookoła budynki wyznaczające kiedyś uczęszczaną ulicę odcinały się czernią na tle nieba, ich cienie kładły się przed dwoma mężczyznami i nadawał wszystkiemu upiornego wyglądu. Większość z budynków w ogóle nie miała dachów, a część była pozbawiona również ścian. Tu i ówdzie na drodze leżały sterty gruzu, nie wszystkie uprzątnięte i zgarnięte w jedno miejsce.

Droga nie była łatwa. W Mordheim nie było łatwych i bezpiecznych dróg, ale kiedy szło się zapolować na wampira wszystko stawało się wielokrotnie trudniejsze i nawet zwykła sterta kamieni mogła okazać się śmiertelną pułapką, za którą mogli ukrywać się przeciwnicy.

- Jesteśmy już blisko - powiedział szeptem Zimmermann. Przez cały czas szedł przed dwoma mężczyznami z rękami skrepowanymi na plecach i z powrozem na szyi. - Widzicie tamtą pochyłą wieżyczkę na budynku przed nami - wskazał kiwnięciem głowy duży dom stojący w pewnym oddaleniu od pozostałych budynków. - To jest kryjówka lady Katriny. Znajdźcie ją w środku, ale na waszym miejscu w ogóle bym tam nie wchodził. Nie uda wam się jej zaskoczyć, nie teraz kiedy jest pełnia, nie na jej terytorium - nekromanta umilkł powalony na ziemię kopniakiem wymierzonym przez Klausa.

- Zamknij się, Zimmermann - warknął mężczyzna i pociągnął za sznur. Nekromanta zacharczał, zakrzuszył się własną śliną i potoczył po ziemi. - Teraz już nie jesteś nam do niczego potrzebny, przeklęty magiku. Masz szczęście, że ta suka jeszcze żyje. Najpierw skończę z nią, a dopiero później zajmę się tobą.

Klaus podszedł do leżącego czarnoksiężnika, który z trudem próbował złapać oddech, co nie było wcale takie proste, zważywszy na fakt, że leżał z twarzą skierowaną ku ziemi. Mężczyzna pochylił się nad nim i zamachnął się ręką ubraną w czarną, skórzaną, nabijaną ćwiekami rękawicę. Gottlieb usłyszał głucho uderzenie, kiedy pięść z mocą opadła na głowę nekromanty. Zimmermann jęknął krótko i stracił przytomność. Po chwili leżał ze związanymi rękami i nogami oraz z kneblem w ustach. Dwaj mężczyźni wspólnymi siłami przywiązali go dodatkowo do jakiejś drewnianej belki sterczącej z kupki gruzu - jedynej pozostałości po ścianie budynku, który tutaj kiedyś stał.

- Na razie mamy go z głowy - powiedział lekko zziębnięty Klaus. - Teraz możemy zająć się tym, po co tu tak naprawdę przyszliśmy. Nie możemy pozwolić, żeby wampirzyca się nam wymknęła. To może być jedyna szansa na unicestwienie tej istoty i nie możemy jej zaprzepaścić. Wiem, że chcesz ocalić brata, jeśli oczywiście jeszcze żyje, ale aby to zrobić musimy pokonać wampirzycę. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Tak - odparł Gottlieb. Doskonale wiedział, co trzeba zrobić. Bał się jednak, że przybył za późno i że jedyne co mógł jeszcze zrobić dla brata, to pożegnać go i pochować w godny zmarłego sposób. - Zróbmy to.

Widział jak oczy Klausa uśmiechnęły się w świetle księżyca. Był to uśmiech osoby, która doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że mogą to być jej ostatnie chwile na tym świecie, a mimo to nie traci wiary w powodzenie przedsięwzięcia.

- Ruszajmy - skinął na młodzieńca. - Tym nędznikiem zajmiemy się później - dodał i szturchnął nogą nieprzytomne ciało nekromanty.

###

Nie był to zwyczajny dom, jakich pełno było w Mordheim przed uderzeniem komety, ale raczej dworek, otoczony murem, z bramą z metalowych prętów, której jedno skrzydło leżało teraz na ziemi, a drugie smętnie zwiisało na jednym, dolnym zawiasie. Do samego budynku prowadził wysypany żwirem szeroki podjazd, w którym odcisnięte były świeże ślady kół powozu. Księżyc wisił niemal nad samą posiadłością, nadając jej upiornego wyglądu. We wszystkich oknach panował zupełny mrok i wyglądało na to, że posiadłość jest zupełnie opustoszała. Jednak Andrea twierdziła, że wiedźma Margarit nie kłamała i że w środku ukrywa się wampirzyca. Wolf nie miał innego wyjścia, jak tylko uwierzyć w słowa łowczyni.

Skradali się ostrożnie wzdłuż muru, a w miejscu gdzie przy budynku sterczały z ziemi uschnięte krzaki i kilka połamanych drzew, skrzyżowali się prosto w stronę głównego wejścia. Kiedy byli niemal przy samym dworcu, gdzieś pomiędzy otwartych na oścież, powiewających strzępami firanek okien, wystrzelili w noc nietoperze i przemknęły chaotycznie nad dziedzińcem posiadłości, aby zniknąć daleko w mieście.

- Wcale mi się to nie podoba - szepnął Wolf. Miecz w jego dłoni wydał mu się niesamowicie ciężki i nieporęczny.
- Nikt ci nie kazał tutaj przyłączyć ze mną - warknęła również szeptem Andrea. - prawdę mówiąc wołałabym, żebyś w ogóle ze mną nie szedł. Będziesz mi tylko przeszkadzał. Zawsze pracuję sama. Nie wiem czemu się na to zgodziłam.

- Może dlatego, że nie miałas innego wyjścia - odparł strażnik. - Ty wiesz jak się rozprawić z wampirem, a ja znam Mordheim. Gdyby nie ja nigdy byś tutaj nie trafiła.

- W porządku, rozumiem - burknęła nieco już poirytowana kobieta. Powoli miała dość przedłużającej się rozmowy, która nie prowadziła do niczego. - Jesteśmy sobie potrzebni. Ale teraz musimy zachować szczególną ostrożność. Polowanie na wampira to nie zwyczajne podchody. Łatwiej upolować smoka niż taką istotę. Uwierz mi. Dlatego rób, co ci powiem, a może dożyjemy poranka.

- Miejmy nadzieję - westchnął Wolf i poprawił uchwyt na rękojeści miecza.

Ruszyli dalej posuwając się wzdłuż ściany budynku. I wtedy nagle nocne powietrze i głuchą ciszę nad Miastem Potępionych rozdarł potworny, rozedrgany krzyk. Było w nim słychać nie tylko ból, ale przede wszystkim przerażenie i niewyobrażalną grozę. Krzyk trwał i świrował uszy łowców. Andrea puściła się biegiem w stronę wejścia do dworku, a Wolf cedząc niezrozumiałe przekleństwa biegł za nią.

Kiedy wpadli do środka pogrążonego w niemal zupełnych ciemnościach ogromnego holu, krzyk wzniósł się jeszcze bardziej w górę, zawirował i ucichł. Przed sobą mieli rozległą przestrzeń z niknącym gdzieś wysoko w górę sufitem. Po obu stronach znajdowały się schody prowadzące na górę, gdzie była otoczona barierką galeria. Przez chwilę stali zdezorientowani i nerwowo rozglądali się na wszystkie strony szukając jakiejś wskazówki, która pomogłaby im określić skąd dochodził krzyk, który przed chwilą słyszeli.

W tej samej chwili z góry, tam gdzie po środku galerii znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do pokoi na piętrze, dały się słyszeć czyjeś szybkie kroki, które w momencie umilkły. A potem drzwi eksplodowały i razem z resztkami barierki oraz ciałem mężczyzny przeleciały w powietrzu i opadły na ziemię kilka stóp od pary łowców. W dziurze po drzwiach pojawiła się bladolica piękność o ostrych rysach twarzy, które wyraźnie odznaczały się w ciemności. Jej długa, sięgająca ziemi suknia poruszała się przy każdym kroku. Kiedy kobieta dostrzegła dwie stojące na dole postacie z jej płuc wyrwał się warkot, jakby wcale nie była istotą ludzką, ale jakimś dzikim zwierzęciem.

- To ona! - krzyknęła Andrea. - Nie pozwól jej uciec, Wolf!

I niemal w tej samej chwili kobieta biegła już w stronę schodów i zaczęła się po nich wpinać na górę. Ale wampirzyca syknęła tylko i jednym miękким, pełnym gracji skokiem znalazła się na dole, tuż obok ciała mężczyzny, który leżał pośród resztek drzwi i barierki z szeroko rozrzuconymi ramionami. W prawej dłoni wciąż ścisnął młot, tak jakby miał go przyrośnięty do niej.

Dzika piękność otworzyła usta, w których błysnęły idealnie białe, długie kły. Jakaś dziwna moc odepchnęła Woltę do tyłu i zachwiała nim. Z trudem udało mu się zachować równowagę, ale nie przez to nie był w stanie zaatakować, czy zrobić cokolwiek innego. Przeżył na tym świecie niejedną wiosnę i widział wiele naprawdę okropnych rzeczy, ale w tej chwili strach zupełnie zawładnął jego ciałem i kompletnie go sparaliżował. Słyszał krzyk łowczyni czarownic dobiegający gdzieś z połowy schodów, która już zawróciła i biegła w dół, ale nie potrafił rozróżnić słów. Stał wpatrzony w hipnotyzujące, wielkie, piękne oczy wampirzycy, które przypominały bezdenną studnię, w której chciałoby się utonąć. Tak też się czuł, jakby się zapadał coraz głębiej i głębiej.

Wampirzyca zbliżała się do niego, nie poruszała przy tym nogami i wyglądało to tak, jakby płynęła w powietrzu podczas gdy cały świat się zatrzymał. Andrea krzyknęła jeszcze raz. Wiedziała, że nie zdąży i że jedyną szansą na ocalenie dla strażnika będzie wyrwanie go spod hipnotycznego działania wampirzego spojrzenia.

Wtedy jednak stało się coś niespodziewanego. Leżący do tej pory mężczyzna podniósł się z głośnym stęknieniem. Kawałki drzwi opadły z niego na ziemię, a on odwrócił się i zamachnął swoim młotem. Zimna stal świsnęła w powietrzu. Wampirzyca zdążyła odwrócić głowę, ale tylko po to, aby opaść na nią druzgocący cios. Jej czaszka eksplodowała strzępami zimnego ciała i fontanną krwi. Smukłe ciało osunęło się na podłogę podrygując spazmatycznie. Andrea dopadła do niego i wyciągnęła zza paska na plecach kołek, który z rozmachem wbiła w pierś wampirzycy. Ciało znieruchomiało w jednym momencie, a Wolf z głośnym westchnieniem, jakby wypłynął na powierzchnię wody po zbyt długim wstrzymywaniu powietrza, odzyskał władzę nad swoim ciałem.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Łowy zakończyły się powodzeniem.

###

W sali na piętrze znaleźli martwe ciało młodego mężczyzny, niemal chłopca, nad którym pochylał się inny młodzieniec. Trwał w milczeniu tuląc do piersi głowę martwego. Klaus, Wolf i Andrea stali przez chwilę nieruchomo i w zupełnej ciszy. Przez otwarte okno, w którym poruszały się leniwie delikatne jak pajęczyna firanki, wpadał do wnętrza blady blask księżyca. W jego srebrzystych promieniach widać było wirujące drobiny kurzu.

- Już po wszystkim, Gottlieb - przerwał ciszę Klaus. Wspierał się na swoim młocie i spoglądał zmęczonym wzrokiem na kłęczącego młodzieńca. Miał wrażenie, że boli go każda kość i każdy mięsień w ciele, ale oddychał z ulgą.

- Tak - odezwał się bardzo cicho młodzieniec. - Już po wszystkim. Już po wszystkim.

###

W miejscu, gdzie zostawili nieprzytomnego nekromantę, znaleźli jedynie poprzecinane sznury i ani śladu Zimmermanna. Klaus przez długą chwilę przeklinał głośno i miotał się wściekle zły na cały świat, ale przede wszystkim na siebie. Nie mógł sobie darować, że popełnił taki błąd okazując miłosierdzie czarnoksiężnikowi. Wiedział jednak również, że któregoś dnia ich drogi znowu się skrzyżują i tym razem nekromanta nie będzie miał tyle szczęścia. Zwłaszcza, kiedy jego tropem ruszy nie tylko Klaus, ale również jego nowi towarzysze, wszyscy skazani na życie i śmierć w Mordheim, Mieście Przeklętych.

Piotr Orliński
Bembridge, lipiec 2006

Wojciech „Rugnar” Janowski ::: Jesienne dolegliwości

Był chłodny, pochmurny poranek 18 dnia Czasu Warzenia. Szare niebo zwiastowało kolejny deszczowy dzień spędzony w siodle. Na razie przynajmniej nie padało. Rudiger skończył swoją wartę, przeciągnął się i podrapał po nieogolonej twarzy. Popatrzył zmęczonym wzrokiem na pusty trakt, po czym wyciągnął zdobioną piersiówkę i wlał sobie do ust resztkę wódki. Była to parszywa Staroimperialna, ale młody najemnik nawet się nie skrzywił. Pił dużo i często, bo była to jedyna rzecz, która pozwalała mu nie myśleć o przyszłości; miał dopiero 23 lata, a zdążył już zobaczyć i doświadczyć więcej potworności tego świata niż jego ojciec w całym swoim nędznym życiu dokera. Rudiger rozmasował prawe ramię poznaczone blizną. Ręka zawsze bolała go na zmianę pogody.

- Spanie na gołej ziemi, tułanie się po traktach i bezdrożach Stirlandu, nędzna wódka w jeszcze nędzniejszych zajazdach - rozmyślał Rudiger - A wszystko to przez młodego barona von Schteiner. Znowu trzeba bawić się w mamkę i doprowadzić rozwydrzonego dzieciaka do domu. Chłystek zapewne siedzi teraz w zamtuzie „Czarna róża” i popija stirlandzkie czerwone.

Najemnik splunął w dogasające ognisko, podniósł swój koc i podszedł do dwóch mężczyzn skulonych na ziemi. Każdego szturchnął butem w bok, po czym poszedł zając się końmi.

Magnus wychylił nos spod koca. Jesienny krajobraz wyssał z niego resztki sił i pozbawił ochoty do robienia czegokolwiek. Już chciał położyć się z powrotem, kiedy Konrad chwycił go za dłoń i wyciągnął z posłania. Młody czarodziej zachwiał się lekko i zamrugał. Chłodne powietrze i krople wody spadające na niego z drzew obudziły go ostatecznie. Poprawił swoje nowe szaty, chwycił kostur i kuśtykając poszedł przygotować posiłek z kurczących się z dnia na dzień zapasów. Reumatyzm nie dawał mu spokoju i czarodziej krzywił się przy każdym kroku. Mruczając pod nosem przekleństwa pod adresem matki Konrada, chwycił kociołek i udał się nad strumień. Nie miał wcale ochoty jechać do Fauenhof po młodego barona, ale sakiewka, z dnia na dzień, stawała się lżejsza.

- Cóż - pomyślał - Lepsze to niż odstawianie kuglarskich sztuczek w gospodzie.

Konrad niechętnie zajął się zwijaniem obozowiska i pakowaniem wszystkiego do sakw, plecaków i juków.

- Hej, Rudigerze! - krzyknął Konrad - Może choć raz zająłbyś się czymś pożytecznym i pomógł mi przy jukach?

Młody najemnik nie zwracał uwagi na swego kompana i dalej siodłał konie.

- Do ciebie mówię, pijanico! Ogłuchłeś!?

- Dobrze wiesz, kurduplu - odezwał się Rudiger - Że zwijanie obozu to twoje zadanie. Moją rzeczą jest dbać o to, żeby Twój koń nie zdechł po drodze.

Konrad odwrócił się zrezygnowany i dociągnął rzemienie swojego plecaka. Najemnik miał rację. Podróżowali razem od dwóch lat, pracując dla tego, kto zapłaci więcej. Już na początku znajomości podzielili się obowiązkami. Magnus znał się całkiem nieźle na gotowaniu. Wiele lat spędził na terminie u swojego mistrza, a ten lubił dobrze zjeść. Jeszcze niedawno Rudiger pomagał Konradowi przy obozowisku, ale od kiedy udało im się zdobyć konie zajmował się tylko nimi.

- Siedem lat nauki u Hansa „Lepkie Palce”, wyrzeczenia, tygodnie spędzone w lochach - mruczał Konrad dopinając ostatnią sprzączkę - I po co? Tylko po to, by teraz upychać ich brudne koce w zawszonych plecakach.

Był złodziejem od szóstego roku życia. Od początku był w tym dobry, nawet bardzo dobry. Wróżył mu błyskotliwą karierę, do czasu gdy został złapany. Kara była lekka. Połamano mu wszystkie palce. Mógł dziękować Ranaldowi. Innym ucinali ręce. Jednak od tego czasu stracił dawne wyczucie. Mimo że udało się nastawić połamane palce, które zrosły się całkiem dobrze, Konrad stracił część swojej wprawy. Zamki nie otwierały się już tak szybko, a bogaci kupcy często chwyтали go za nadgarstek kiedy grzebał w ich pękatych sakwach. Dłonie bolały go najbardziej podczas zimnych, deszczowych dni, takich jak kilka ostatnich.

- To już nie jest to samo - wymruczał. Ponure rozmyślanie przerwał zapach stawy.

Po śniadaniu dosiedli koni i ruszyli w drogę. W nikłym świetle słońca wszystko przybierało szary kolor, a unosząca się mgła czyniła widok jeszcze bardziej deprymującym. Wierchowce poruszały się powoli i ociężale. Pierwsze krople deszczu poczęły rozbijać się na kapturach wędrowców. Małe, spadające gęsto, przenikały przez ich płaszcze, zbroje, ubrania i docierały do ciał. Chłód sprawiał, że wszyscy trzęśli się jak osiki na wietrze. Mokre drewno dawało niewiele ciepła w czasie popasów, wielce rzadkich zresztą i nieprzyjemnych. Od czterech dni podróżowali na południowy-wschód do zapomnianej przez Bogów miejsciny zwanej Fauenhof. Od czterech dni siał deszcz. Od czterech dni nie mieli w ustach prawdziwego posiłku, a spali na ziemi. Od czterech dni klócili się, narzekali i psioczyli na pogodę....

Po pięciu godzinach podróży w siąpiącym deszczu, we mgle przed podróżnikami zamajaczył kształt budynku. Po przejechaniu jeszcze kilku metrów ich oczom ukazała się stara, rozpadająca się krypta. Jej szare mury lśniły w deszczu, pokryte mchem i porostami. Zdobienia już dawno straciły swój kształt poddane wpływowi czasu, wiatru i słońca.

- Magnusie, gdzie jesteśmy? - zapytał Rudiger zmęczonym głosem - Nie pamiętam tej krypty, a jechaliśmy tym traktem co najmniej dwadzieścia razy. Zajrzyj do swojej mapy.

Mag podrapał się po nosie, chrząknął i spojrzał w szare niebo, jakby zauważył tam coś wielce interesującego. Potem wyjął usta, westchnął i powiedział.

- No tak, mapa. Hmm. Jakby wam to powiedzieć. Otóż, widzicie, drodzy przyjaciele, podczas naszej ostatniej wizyty w Kemperbadzie sprzedałem ją.

- Co zrobiłeś?! - zakrzyknęli chórem kompani.

- Potrzebowałem pieniędzy na nową szatę. Poprzednia była w opłakanym stanie. Nie patrzcie tak na mnie, przecież muszę jakoś wyglądać. Jestem magiem, do stu goblinów! - próbował bronić się Magnus.

- Pięknie, po prostu cudownie! Zgubiliśmy się, bo szacowny pan Magnus musi wyglądać! Czy szata dobrze leży, czy nie uwiera pod pachami?! Coś Ty narobił, durniu! Miałeś pilnować drogi! - krzyczał Konrad, wymachując rękami i czerwieniejąc na twarzy ze złości.

- Dajcie spokój. W zasadzie, to mamy niepowtarzalną okazję trochę dorobić. Ta krypta wygląda na nienaruszoną. - Bronił się mag.

- Nie mamy na to czasu, strojnisiu. Musimy zabrać młodego von Schteiner'a do tatusia - stwierdził Rudiger, masując bolące ramię.

- Młody baron nigdzie nie ucieknie - wymruczał Konrad uspokoiwszy się nieco - a taka okazja może nam się już nie trafić. Kto wie, może to grób jakiegoś znaczniejszego pana? Przynajmniej sprawdźmy, nie zajmie to dużo czasu.

Rudiger spojrzał zrezygnowany na kompanów i machnął ręką. Złodziej, uśmiechając się, zsiadł z konia i podszedł do dużych, kamiennych drzwi. Obejrzał je dokładnie i odczytał, z niemałym trudem, zatarty napis.

- Coś takiego! - westchnął Konrad, odwracając się w stronę kompanów - To grobowiec Lupolda von Konigsamen, jednego z kapitanów Magnusa Pobożnego!

- Lupold von Konigsamen? Przecież on zginął w bitwie u bram Praag - zdziwił się Magnus.

- Zginął, nie zginął - denerwował się Rudiger - Jakże to ma znaczenie!? Otwórz ten grobowiec i sprawdźmy co też zostawił dla nas szacowny pan Konigmansen.

- Konigsamen - poprawił go Magnus z westchnięciem.

Konrad zbadał dokładnie zamek i po chwili zauważył mechanizm uruchamiający pułapkę. Uśmiechnął się do siebie, dziękując w duchu Ranaldowi za poskapienie inteligencji budowniczemu.

- To banalnie prosta pułapka. Nawet dziecko by się nie nabrało. Zaraz otworzę - powiedział złodziej. Poruszył kilka razy bojącymi, pokrzywionymi palcami i wyciągnął zza pasa swój skarb: komplet wytrychów. Włożył delikatnie jeden do otworu i począł manewrować ostrożnie. Po chwili usłyszał ciche kliknięcie. Uśmiechnął się, wyciągnął wytrych...i zbladł. Na palcu pojawiła się mała kropelka krwi; jego krwi. Spojrzał zdziwionym wzrokiem na zamek, z którego sterczała mała igielka. Najprostsza pułapka. Jak to się stało?

- To już nie jest to samo - wyszeptał. Co by o nim teraz pomyślał Hans „Lepkie Palce”? Dać się złapać na tak oczywistą pułapkę. Po chwili Konrad był już martwy.

Jego kompani zdążyli tylko zsiąść z koni, gdy drzwi starego grobowca rozwarły się powoli i stanął w nich trup dawno zmarłego wojownika odziany w niemal antyczną, przerdzewiałą zbroję płytową. Kościstą dłoń pokrytą resztkami skóry zaciskał na rękojeści starego, wyszczerbionego miecza. Wierzchowce zakwicały przerażone, wyrwały się jeźdźcom i pogalopowały traktem. Magnus zaklął szpetnie i począł gorączkowo szukać w swej sakwie komponentów do rzucenia jakiegoś czaru, który mógłby zniszczyć ożywieńca. Nieumarły zwrócił swe niewidzące oczy na Rudigera i zaatakował wściekle. Najemnik chwycił swój pałasz i wyszarpnął go z pochwyt...i poczuł przeszywający ból w ramieniu. Pogoda miała się zmienić, ale on miał już tego nie doświadczyć. Trwało to tylko ułamek sekundy, dość długo jednak by Lord Konigsamen mógł ominąć niezręczną zastawę i ugodzić najemnika w sam środek klatki piersiowej. Rudiger wyzionął ducha z wyrazem bezbrzeżnego zdziwienia na twarzy.

Magnus opanował się tymczasem i rozpoczął inkantację. Miał szansę; miecz ożywieńca utkwiał w kręgosłupie Rudigera. I kto wie, może zaklęcie, które chciał rzucić młody czarodziej, pozwoliłoby na uniknięcie losu kompanów. Kiedy jednak zimny, jesienny wiatr przeniknął przez odzienie maga, odezwał się ból w kolanach. Czarodziej padł na ziemię jak ścięte drzewo.

- Moje nowe szaty - pomyślał. Nieumarły tymczasem wyrwał oręż z martwego ciała Rudigera i zatopił ostrze w brzuchu Magnusa. Ten plunął krwią i spojrzał zaskoczony na swego adwersarza. Szkielet wyszarpnął miecz i powolnym krokiem wrócił do swej krypty, zabierając ze sobą dusze trzech podróżników. Ich ciała zgniją wkrótce a bielejące kości rozwłóczą po lasach dzikie zwierzęta.

Młody baron von Schteiner miał jeszcze przez kilka tygodni pławić się w rozpuście, póki jego ojciec osobiście po niego nie przyjechał z oddziałem zbrojnych i nie wywłókł w samej bieliźnie z zamtuza w Faunehof. Wcześniej jednak, stary Baron rozesłał listy gończe za trzema podróżnikami, którzy wzięli od niego zaliczkę i ukradli bele najlepszego materiału na szaty reprezentacyjne, po czym znikli bez śladu. Co do starej mapy południowej części Stirlandu, z zaznaczonym na niej czerwonym atramentem miejscem pochówku Lupolda von Konigsamen... Być może ktoś odnalazł ją w jukach Magnusa razem z kilkoma łokciami pięknego, czerwonego materiału, w sam raz na szaty reprezentacyjne.

Wojciech „Ragnar” Janowski

Tomasz Dziedzic ::: Blady Świt

Przy głównej miejskiej bramie z rana zawsze panował gwar i tłok. Wozy taborowe kupców oraz chłopskie furmanki grzęzły w błocie i miejskich odpadkach tamując raz po raz ruch na wąskiej uliczce prowadzącej do bydłęcego targowiska. Pomiedzy wozami przepychali się okoliczni chłopci taszczyący w wiklinowych koszach to, co udało im się uzyskać od Matki Ziemi. Wśród miejscowych, którzy tak tłumnie przybywali dzisiejszego dnia do miasta byli również wędrowcy, których można podzielić na dwie kategorie. Pierwszą grupą są pielgrzymi, czyli między innymi zakonnicy przybywający złożyć swe modlitwy i prośby Morrowi, a także prosić Ranałda o bezpieczną podróż w rodzinne strony. Pozostałych podróżnych można zakwalifikować do grupy włóczykiów, powsinogów oraz podrzynaczy gardel szukających tymczasowego zajęcia w obrębie murów miasta.

* * *

Blady Świt, czyli przybytek uciech cielesnych wszelkiego rodzaju (od picia zaczynając na chędożeniu kończąc) należał do jednego z najbardziej znanych i renomowanych lokalów w całym mieście. Karczma była spora z dużymi oszklonymi oknami, a każdy słup podtrzymujący piętro przyozdobiony był estetycznym, choć nieco cuchnącym wiankiem czosnku bądź cebuli. W południowym rogu karczmy znajdowało się podwyższenie dla artystów wszelkiej maści, którzy chętnie grali, tańczyli bądź zonglowali dla uciechy spragnionych rozrywki gości.

O poranku karczma była nadzwyczaj pusta, a nieliczni goście, którzy pozostali byli zajęci leczeniem kaca. Większość klientów, która wczoraj zabawiła się w tym przybytku rozpusty dziś wyruszyła w dalszą drogę bądź skierowała się w kierunku Altdorfskiej Bramy, by na własne oczy ujrzeć wspaniałości corocznego jarmarku.

Wtem drzwi frontowe budynku uchyliły się, a do środka weszła grupka utrudzonych drogą pielgrzymów, oraz snujący się za nimi niczym cienie, dwie postacie odziane w szare płaszcze. Jedną z nich był wysoki i szczupły mężczyzna o nieco szpakowatej twarzy uślicznionej długą szramą na prawym policzku, mierzący na oko sześć stóp. Jego kompanem był niewysoki, aczkolwiek bardzo krępy krasnolud z równo przystrzyżoną czarną brodą, w której gdzieś nie gdzie można byłoby się dopatrzeć kilku siwych włosków.

* * *

- Mówię ci pani, że tako wyglądali jak wam opisuję, bo nieśmiałybym wam kłamać w żywe oczy gadość! - zaklinał się nieco przestraszony szynkarz.

- Nu i ten szpakowaty kiwnął głową temu, temu... no... - Kontynuował.

- Krasnoludowi... - rzekła nieco znudzonym tonem.

- No! I wtedy ten wysoki z blizną zaczął leżać w moją stronę; od razu poczyniłem znak Młota i splunąłem przez lewe ramię żeby się uroków wszelakich ustrzec, bo niechaj mi pani wierzy wyglądali jako upiory! Nu! I gdy on podszedł, ten szpakowaty rzecz jasna, to on do mnie, że pani dobrodziejki szuka, i że ma jakąś pilną sprawę...

- Rzekł coś jeszcze?

- Ano, że spotkanie ma się odbyć tutaj po zachodzie słońca. Aaa i byłbym zapomniał gadość jeszcze, że „Tylko barany trykają się wierchem”.

* * *

Pod wieczór w karczmie tłumnie zgromadziła się średnio zamożna część społeczeństwa, czyli ludzie głównie trudniący się handlem i lichwą. Jakiś bezzębny żebrak powiedział kiedyś, że „tfu szerają sze szysze szery”, co prawdopodobnie miało znaczyć „tu zbierają się wyższe sfery”. Przechodzący ze swoją gwardią nieopodal szlachcic miał nieco inne zdanie na ten temat. Bezzębne ciało ogryzione przez szczury znaleziono w rynsztoku następnego dnia nad ranem.

Obaj siedzieli przy podłużnej sosnowej ławie umieszczonej przy dużym oknie. Płomień świec w kandelabrze rzucał słabą poświatę, która potęgowała wrażenie bladej twarzy dwóch nieznanym. Siedzieli spokojnie, krasnolud popijał jakiś trunek z dużego dzbanka, a jego szpakowaty znajomy lustrował wzrokiem okolicę.

* * *

- Nu pani... tam bodajże siedzą - karczmarz wskazał skinięciem głowy ławę z nieznanymi.
- Co mi możesz o nich rzec? - zapytała łagodnym lecz wykluczającym odmową tonem.
- Ano, jakby tak upiornie nie wyglądali to rzekłbym, że to dobre pany. Najlepszy towar wybierają, a i złotymi karłami płacą. No, bo bretońska brandy to najlepszy nektar, jaki mam na stanie! - opowiadał rozentuzjowany szynkarz szybko zacierając ręce.
- No dobra idę z nimi zamienić słówko - rzekła na odchodnym.

Zbliżała się do nich ostrożnym, ale zdecydowanym krokiem. Była szczupła i stosunkowo wysoka, a jej mały i lekko zadarty nos podkreślał pewność siebie. Była odziana w jasno-brązową skórzaną kurtę, która w połączeniu z gorsetem doskonale podkreślała jej biust, a śnieżnobiałe mankiety wystające z pod rękawów przyozdobione były srebrnymi spinkami w kształcie wijących się węży. Długie spodnie wykonane z sarniej skóry były wpuszczone w wysokie, czarne buty. Długie włosy o ognistej rudym odcieniu opadały kaskadą przykrywając jej uszy.

Gdy zbliżyła się do ławy, przy której siedzieli, szpakowaty jegomość wstał i uklonił się. Odpowiedziała mu lekkim ukłonem głowy.

- „Tylko barany trykają się wierzchem...” - to powiedziałszy z lekkim niepokojem oczekiwała na reakcję przybysza.

- „...bo tylko ptaki i gady mają skrzydła” - uśmiechnął się po czym wskazał miejsce u stołu.

- Jak mniemam pani nazywa się... - zawiesił na chwilę głos

- Eva Brethold - wypaliła bez ogródek, choć w chwilę później zdała sobie sprawę, że jeśli przyszedł po nią to wydała na siebie wyrok.

- Ależ przepraszam gdzież moje maniery, jestem Gustav Mayer posłaniec Karmazynowych Sztyletów z Tilei, a to (wskazał na złośliwie łapczywie brandy krasnoluda) mój krasnoludzki przyjaciel zwany Gasparem z Barak Varr. Przybywamy z polecenia naszych wspólnych przełożonych, a ich poleceniem było, by dostarczyć pani ten list. - chwycił przytroczoną do pasa tubę i wyjął z niej zapieczętowany zwój pergaminu.

Bez zbędnych ceregieli złamała czerwoną pieczęć przedstawiającą dziwne połączenie wagi i sztyletu. Rozłożyła pismo i rozpoczęła wertowanie listu. Jak się okazało list był rozkazem odbicia kogoś o nazwisku Rugenfog więzionego w kazamatach zamku Pferldorf. Pod koniec czytania dowiedziała się jeszcze jednej ważnej rzeczy - rozkaz nie był kierowany do niej tylko do posłańca i jego towarzysza. Adresat wiadomości pozostał prawie anonimowy - tylko pieczęć Karmazynowych Sztyletów z Tilei zdradzała ewentualnego nadawcę.

- Panowie, w związku z tym pismem przechodźcie pod moją komendę - uśmiechnęła się zdradzając swe zadowolenie z uzyskanej władzy.

- Zajmiecie się sprawą dotyczącą Herr Rugenfoga niegdyśszego posiadacza ziemskiego, a dzisiejszego więźnia tutejszego zamku.

- Zamieniamy się w słuch - odrzekł posłusznie szpakowaty.

- Pan Rugenfog jest widocznie bardzo cenny dla gildii, ponieważ już wcześniej zlecano jego uwolnienie. Przez ten czas udało mi się zebrać nieco przydatnych informacji. Do zamku nie można się dostać od wejścia frontowego, zresztą to chyba logiczne. Pełno tam straży i gwardii, a na zamek wpuszczani są tylko goście dobrze znani miejscowemu władcy, poza tym i tak muszą zapowiadać się z wizytą na trzy tygodnie wcześniej. Te warianty jak na razie odpadają.

- A może dać się złapać miejscowej straży? - walnął nieco pijackim głosem krasnolud.

- Ten fortel wymyślił i przeanalizował jeden z moich wcześniejszych agentów. Wywołał burdę na targowisku, a potem dał się pochwycić straży, co niestety było jego życiowym błędem. Następnego dnia jego zatknięta na bramie głowa witała gości wjeżdżających przez Altdorfską Bramę do miasta. - zakończyła szelmowsko się uśmiechając. Widząc zdziwienie rysujące się na twarzach przybyszy, z zadowoleniem dodała: - I tak go nigdy nie lubiłam.

Chwilę przesiadzieli w milczeniu wpatrując się w płomień świec tańczące w rytm ich oddechów, po czym po chwili rozmowę wznowił Gustav.

- Hmm... a czy były próby przekupstwa?

- Owszem, kolejny z moich ludzi stracił język, który jak powiedział sędzia „mamił”, oraz dłoń, która „dzierżyła trzos”.

- Wyglądacie tak, jakbyście się nieco zniechęcili - to mówiąc roześmiała się perliście.

- Jakoś nam się za bardzo nie uśmiecha tracić głów, języków czy dłoni - rzekł dobitnym głosem Gaspar.

- Istnieje jeszcze jedna możliwość jednak nie mniej ryzykowna od tamtych. Powiadają, że halfing imieniem Garret Hedgill był niegdyś więźniem zamczyska, ale udało mu się stamtąd zbiec. A jak wieść niesie uciekł kanałami Pisku rozciągającymi się pod całym Pferldorfem.

- Co to są te całe Kanały Pisku? I jak tam dotrzeć? - dopytywał się Gustav.

- Otóż przed dwoma laty, na jesień zaczęli ginąć mieszkańcy miasta. Najpierw ginęli zwykli śmieciarze i żebracy. Władze miasta za bardzo się tym nie przejmowały, bo w końcu, po co się przejmować jakimś moczomordą czy łachmaniarzem. Na ogół znajdowano ich kilka dni później w wieloma małymi rankami na ciele w licznych towarzystwie szczurów uczęszczających na zwłokach. Rada i straż miejska zwróciły uwagę na ten problem dopiero, gdy wieczorami zaczęli ginąć przechodnie. Po około tygodniu od pierwszych ataków na mieszczan do straży zgłosił się ktoś, kto przeżył atak na swoje życie. Opowiedział, że wracał po całonocnej pracy w magazynie do domu i wtedy z okolicy najbliższej kraty ściekowej usłyszał liczny i bardzo potężny szczurzy pisk. Podczas ucieczki kątem oka zauważył jak z kanałów wyszedł szczur przypominający człowieka. Dwa dni później Rada Miejska wydała dekret nakazujący zapłombować na amen wszystkie włazy prowadzące do kanałów.

- Czyli, że jak mamy zleźć do tych rynsztoków? - zapytał nieco rozeźlony krasnolud.

- Pierwszą waszą misją będzie odnalezienie mapy, którą sporządził, dla Garreta Johann Tolzen. Zaczniemy od wypytania Garreta mieszkającego w domu przy...

- ...Alei Wilhelma III Zwycięzcy Śmierci mieszkania 18c/2. Po prostu już tam byliśmy...

- I znaleźliśmy tam martwego Hedgilla z tym cacuszką wbitym w pierś - dodał Gaspar rzucając na blat stołu ciemny jak smoła nóż.

Eva pobladła, po czym pochwyciła nóż w swoje ręce. Nóż w całości był ciemny jak smoła, a rączka wydawała się być wykonana z jakiegoś ciemnego drewna. Przejechała palcem po ostrzu i wyczuła jakieś niewielkie wypukłości. Zbliżyła nóż do światła i dzięki świetlnemu refleksowi ujrzała wygrawerowany znak trójzębu, na którego trzech ostrzach spoczywały czaszki.

- Znak Czaszkowego Trójzębu! - niemal wykrzyknęła.

- Taaa... no i co z tego paniusiu? - zapytał krasnolud.

- To, że tym znakiem posługuje się miejscowa konkurencyjna gildia złodziei! Nie ma czasu na namysły, trzeba działać! - to mówiąc poderwała się od stołu. - Udajcie się do karczmy „Pas Grunganiego”. Wejście do prawdziwego wnętrza budynku powinno znajdować się na zapleczu. Tam szukajcie mapy.

* * *

Szli wąską i ciemną alejką. Z bezgwiezdnego nieba padał nieprzyjemny deszcz. Dookoła panował mrok i cisza. Minęli kilka kamieniczek i skręcili w nadrzeczną uliczkę. Nim doszli do celu minęli jeszcze dwa magazyny należące do Averlandzkiego Zrzeszenia Kupców. Wraz z mocnym światłem dochodziły ich odgłosy zabawy.

Karczma była spora i zadymiona, ale wyglądała na zachęcającą i przytulną. W środku przy muzyce pisały, bębnow i dud bawiła się uboższa część miasta. Słudzy i służki obsługiwali rozradowany tłum, więc piwa lało się też nie mało. Wszystkie pieniądze inkasował gruby krasnolud siedzący na skrzynce za ladą. Ruszyli w jego stronę.

- Witam pana właściciela - rzekł Gustav na powitanie trochę oficjalnym tonem.
- Czego chcesz czelczyno? - odpowiedział mu gardłowo krasnolud dalej namiętnie liczący pieniądze.
- Jesteśmy z urzędu celnego i chcielibyśmy obejrzeć pański towar trzymany na zapleczu.
- Nie wyglądasz mi na urzędasza czelczyno, poza tym cały ten „wasz” urząd je mi z ręki, więc wychodzi na to, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz. - oderwał wzrok od pieniędzy i przeniósł go na Gustava. - jeżeli nie chcesz kłopotów łapserdaku to won z mojej karczmy.

Gustav odwrócił się już plecami do wyjścia i miał zamiar iść do drzwi, gdy usłyszał gardłową przemowę w języku, krasnoludzkim swego kompana.

- Nu braciaczku wpuść go do tej piwniczki swojej... nie widzisz, że to czubek? - Gaspar spojrzał wymownie na swego kompana.
- Nu, bo on to jest takie duże dziecko, ludzie czasem mówią na ten przypadek „kompletny kretyn”. Bo widzisz braciaczku, on jak wchodzi do przybytku jakiegoś to zawsze wymyśla kretynską historijkę po to żeby wleźć na zaplecze.
- A po co on na zaplecze chce wleźć? - zaintrygował się karczmarz.
- Aaa po to, żeby beczki po obmacywać. - na twarzy karczmarza odmalowało się olbrzymie zdziwienie - Nu mówiłem ja ci, że to czubek, ale nie szkodliwy. Dasz mu te beczki po obmacywać chwile, to potem pada na ziemię i zasypia. Nu polituj się nade mną braciaczku, bo dzisiaj nie zasnę przez tego barana.
- Hmm...a na pewno nic się nie stanie jak was tam wpuszczę?
- Ależ skąd! Pomoca trochę, usnie to potem go wyniesiemy.
- A nie zmoczy mi się tam przypadkiem? - dalej lekko nie dowierzał krasnolud
- I tak ma grube wełniane spodnie i gatki...

Zaplecze było zawałone beczkami i skrzynkami. Gdzie nie gdzie zwiisały grube i bardzo stare pajęczyny. Ułożenie towarów wyglądało na bardzo przypadkowe, a wręcz chaotyczne. Worki z kaszą leżały na beczce ciemnego piwa, a na regale z winem zamiast glinianych amfor z tymże trunkiem, leżały szklane butelki z bretońską brandy i kislevską wódką.

- No w tym bałaganie to ciężko będzie coś znaleźć - trochę zrezygnowanym tonem rzekł Gustav
- Nie po to z siebie durnia zrobiłem żebyś teraz taką szansę marnować! - oburzył się krasnolud
- Wszystko w porządku? - usłyszeli stłumione wołanie właściciela przybytku.
- Tak! On jest w niebo wzięty! Takich zbiorów to on nigdy jeszcze nie widział! - zakrzyknął po krasnoludku Gaspar
- Co ty mu właściwie nagadałeś?
- Lepiej nie pytaj, tylko szukaj jakiegos przejscia.

Gustav przywarł z pochodnią do ściany i zaczął ją pracowicie obmacywać w poszukiwaniu dźwigni bądź przekładni. Krasnolud nie wiedząc, czemu zarżał ze śmiechu. Po kilku minutach, Gustav natrafił na wystający element w ścianie i bez większego namysłu wcisnął go. Jedna z beczek zaczęła odjeżdżać, a na odsłoniętej części podłogi pojawiła się zionąca czeluścią dziura. Gdy przyswiecili pochodnią okazało się, że nieco niżej przymocowana jest drewniana drabinka prowadząca na dół. Po chwili byli już na dole. Stali w korytarzu wydrążonym w skale wapiennej. Było stosunkowo wąsko, a w miarę dalszego marszu korytarz prowadził ich głębiej. Po kilkunastu minutach trafili do dużej groty.

Grota wyglądała na wydrążoną naturalnie przez wodę. Z góry zwiisały niewielkie stalaktyty, z których czasem ciekła woda. Grota w pewnej części była zalana, a na skraju ładu leżało kilka łodzi. Przy jednej z nich stały trzy postacie, z czego dwie uwiyały się przy łodzi szukając ją do wypłynięcia. Trzecia postać odziana w czarny całun okrywający całe jej ciało przyglądała się pracy. Pomieszczenie oświetlały pochodnie umieszczone na ścianach.

- Trza ich najpierw ostrzelać, a potem wyciąć w pień - rzekł krasnolud ładując kuszę.
- W sumie to nie mamy wyboru, bo jak nie zaatakujemy to nam zwieją.

Gaspar z nabiałą kuszą oparł się o ścianę i wymierzył w gościa w czarnym całunie. Gustav chwycił miecz i zerwał z pleców tarczę. Bełt śmignął prosto do celu jednak drasnął tylko ofiarę. Gaspar odrzucił kuszę, wyrwał zza pazuchy topór i popędził za szarżującym Gustavem.

Gustav z całym impetem szarży wpadł tarczą w jednego z marynarzy i zepchnął go do wody. Gaspar pędzący tuż za nim ciosem topora rozłupał czaszkę drugiego marynarza. Postać okryta całunem w jednym skoku znalazła się przy krasnoludzie. Gaspar nieco zaskoczony szybkością człowieka machnął toporem na oślep. Trafił, lecz udało mu się tylko zedrzeć i zrzucić czarne lachy. Ich oczom ukazał się człowiek o potwornie wykręconym grymasie twarzy. Zamiast rąk w stronę krasnoluda poleciały czarne macki. Pierwszą z łatwością zbył uderzeniem topora, lecz druga z olbrzymią siłą wyrzwała w ramię krasnoluda. Ten zawył z bólu i złości, po czym okręcił się i z półobrotu rąbnął potwora w korpus. Topór wbił się głęboko łamiąc siłą rzeczy kilka żeber. Z ust potwora najpierw wydobył się dziwny gulgot, a potem pociekła czarna strużka krwi. Stwór zmrużył oczy, po czym wpadł w niekontrolowany amok młócąc mackami na ślepo. Gaspar odeskoczył przed pierwszym ciosem, jednakże drugi z potworną siłą uderzył go w podbródek. Krasnolud polecał do tyłu niczym ścięte drzewo zwalone przez doświadczony drwala. Nie stracił przytomności, ale mimo to zmarli członkowie klanu latali mu przed oczami. Cofał się na czworaka aż natrafił jeden z tych przeklętych stalagmitów. Oparł się i odparował toporkiem z ledwością cios macką wymierzony prosto w głowę. Stwór stał nad nim śliniąc się obficie i pastwił się psychicznie nad prawie bezbronny krasnoludem. W jednej chwili krasnolud wrzasnął z całej siły:

- Czeczyno pomocy!

!wist bełtu spotęgowany echem jaskini był zniewalający prawie jak sam pocisk. Mutant zamarł w bezruchu, rozwarł szeroko oczy, po czym zwał się wprost na krasnoluda przygniatając go swym cielskiem.

- Czeczyno zabieraj ze mnie to ścierwo! - wydarł się rozeźlony Gaspar.

Gustav podszedł posłusznie do przybitego krasnoluda i zdjął z niego trupa. Ten, rozgniewany usiadł i dyszał ciężko.

- A już myślałem, że nie poprosisz o pomoc.

- Zamknij się! Idź szukaj tej choleralnej mapy, chociaż taki będzie z ciebie użytek.

- Mapa jest tutaj w tubie wraz z jakąś jeszcze inną wiadomością. Znalazłem ją przy szmatach, które zerwałeś z tego - wskazał końcem buta zabitego potwora.

- No to fajrant, idziemy do karczmy lulu.

Te słowa krasnoluda były wypowiedziane w wybitnie złą porę. Obaj w jednej chwili usłyszeli wrzask krasnoluda-karczmarza mniej więcej w korytarzu, z którego przyszli. Łomot podkutych butów był na tyle donośny, że dodatkowo przyspieszył ich reakcję. Zerwali się i popędzili niczym bełty wystrzelone z kusz. Wpakowali się do łodzi przygotowanej wcześniej do wypłynięcia i mimo, że nie byli żeglarzami, ani nie mieli żeglarskiego doświadczenia wiosłowali szybko i równo. Gdy wypływali z zalanej groty usłyszeli śmiernictony świst bełtów. Dwa wbiły się w burtę łodzi, a jeden śmignął Gustavowi nad głową. Za sobą słyszeli tylko ponowne ładowanie kusz i dziki wrzask krasnoluda:

- Ty podły dwulicowy oszuście, mogłem ci wybaczyć tą wyssaną z palca historijkę, ale żebyś mnie okradał z mojego najlepszego trunku?!

Gustav wymownie spojrzał na swojego przyjaciela.

- No co? Po prostu nie mogłem się oprzeć.

* * *

Opijali swój pierwszy sukces przy zdobyczym Reitenburdzkim czerwonym piwie. Śmiali się, pili i rozmawiali na przemian obficie zakrapiając zwycięstwo nad przeciwnikiem.

- Wiecie, co chłopaki? No Ranałd mi was zesał! Mamy mapę, a ja znalazłam stare niezaplombowane wejście do kanałów.

- Nu tak, ale jest jeszcze ta wiadomość - Gaspar sięgnął do sakwy i wyciągnął zmiętą kartkę.

- Hmmm, co my tu mamy?

- Przeczytaj na głos - rzekł Gustav dolewając piwa do kufli.

- No dobrze, a więc:

Kargunie!

W zamian za dostarczenie nam trzystu imperialnych złotych karłów zaliczki najbliższym czasie spodziewaj się mych sług, które znacznie wesprą twą działalność w Pfeldorfie. Moi słudzy wpłyną do miasta pod osłoną nocy na statku „Stary Sternik”. Z ich siły korzystaj roztropnie, bo wolałbym cię nie widzieć na jednym z inkwizycyjnych stosów.

Niech Potęgi Chaosu prowadzą cię do zwycięstwa!

Xilwanter

- Nie wygląda to za dobrze - rzekł nieco przepitym głosem Gaspar

- Nie nam się tym teraz martwić, bo przede wszystkim musimy przejść Kanały Pisków i uwolnić Herr Rugenfoga. - hardo dokończyła Eva.

- Jakie MY? - Gustav spojrzał na nią zdziwiony.

Westchnęła głęboko czyniąc znak Ranałda i rzekła:

- Po prostu idę z wami.

* * *

Padła deszcz, a od rzeki wiał jeszcze porywisty i lodowato zimny wiatr. Była noc, a w dodatku od strony rzeki podniosła się mgła. Pomimo tych wszystkich złych czynników pogodowych kilku pracowników portu z nocnej zmiany i jakiś pijaczek-przybłęda siedzieli na mostku i wpatrywali się na cumującą krypę. Żagle miała szare i porwane, a mimo to się poruszała. Odór zbutwiałego drewna i zdechłych ryb był prawie nie do wytrzymania. Gdy dziób krypy przebił się przez unoszącą się mgłę ludzie dojrżeli inskrypcję „Stary Sternik”.

Koniec.

Tomasz Dziedzic

Mikołaj „Vino” Winiarski ::: Myśl i Echo

Tego roku biała pani przybyła rychło niczym grom, spowijając swymi lodowymi ozdobami całą krainę, w której przyszedłem na świat, nadając jej niebywałego uroku. Oczywiście Averland piękny jest cały rok. Uwielbiam go wiosną, gdy przyroda wyrwa się z kajdanów założonych przez lodową królową, gdy pierwsze kwiaty wychylają swe główki spośród traw, gdy pierwsze ptaki snują opowieści o dalekich podróżach, krajach południa i bezkresnym błękitie odległych oceanów. Lato... apogeum rozkwitu, zwierzęta buszujące pośród traw, kłosa zbóż wznoszące swe złote twarze ku niebu, strumyki wesoło chlupoczące w swych korytach. Chciałbym żeby trwało wiecznie, jednak przyroda nie pozwala sobie na marazm artystyczny, ponieważ po wesołej, ciepłej porze nadchodzi złotobrazowa zadumana pani - Jesień. Jest piękna, pachnąca, wydaje soczyste owoce, tak jak poprzedzające ją młodszy brat i siostra, jednak mają one smak finezji, z którą wykonują swe zadania istoty doświadczone przez los. Uwielbiam potrzebę na stada odlatujących ptaków na tle chylącego się ku zachodowi słońca, gdy zimny wietrzyk delikatnie rozwiewa me włosy. Lecz teraz ziemia znajduje się pod rządami Zimy, białej pani przychodzącej po ostatnim tchnieniu Jesieni, po tym dniu kiedy każda roślina, każdy opadły liść wydają ostatnią woń przed nieubłagane nadchodzącym stanem zniewolenia, wegetacji w oczekiwaniu na wyzwolenie.

- Albert! Czy wykonaliście powierzone wam zadania!? - po tych słowach z zajęczą zręcznością wstałem z mej derki i stanąłem twarzą w twarz z istotą która uzurpowała sobie prawo do absolutnej władzy nade mną. Kreatura owa nosiła dziwny, wręcz śmieszny kostium o niebiesko czerwonej barwie, z przyczepionymi doń skrawkami metalu o różnych kształtach, jednak w większości przesłonięty zwierzęcą skórą. Jej twarz była naznaczona podłużnymi śladami, co czyniło ją podobną do świeżo zaoranego pola. Na jej brwiach i rzęsach zdążyły się wytworzyć grudki lodu.

- Można powiedzieć że tak... W każdym razie poprosiłem te oto istoty, by... - zacząłem odpowiadać ze znamienitym dla mnie opanowaniem, gdy w pół zdania wygłoszoną sentencję przerwał uzurpator o rozoranej twarzy.

- Verloren!!! Po pierwsze baczność, po drugie masz mówić „melduję”, po trzecie to nie żadne istoty tylko twoi podwładni! Jak już zdążyłem zauważyć rozpalili ogniska, wystawili strażę i przygotowali obóz na noc, i właśnie taki stan rzeczy powinien być przedstawiony mi w krótkich słowach. - istota mówiła jak w transie, do utraty tchu, z godną podziwu pasją dla tak błahej sprawy. Skinąłem znacząco głową i wyruszyłem skoncentrować w jednym miejscu trochę zaczątków wielkich konarów, które zostaną niebawem wydane na spopielenie czerwono żółtym tancerzom. Owi wirtuozi ruchu powinni pomóc nam w ogrzaniu się, jak i przyrządzeniu wieczornej strawy. I rzeczywiście, po jakimś czasie ja i reszta istot siedzieliśmy dookoła wielkiej góry usypanej z darów lasu, które były w bestialski, bezpardonowy sposób niszczone przez czerwono żółte języki, jakby innowymiarowych bestii. Cała ta ceremonia przebiegała w ciszy, nikt nie wydobywał z siebie żadnych dźwięków, prócz mlaskania przy spożywaniu strawy. W końcu wszyscy, w tym ja, oczywiście prócz istot przypatrujących się nocnemu światu w poszukiwaniu czających się niebezpieczeństw,

udali się do namiotów na spoczynek. Jednak w środku tej pory, której domeną jest czerń, z której drwią sobie jedynie fikuśnie mrugające do nas gwiazdy i czasem srebrnolicy, byłem zmuszony powstać i zasiąść przy dogorywającym już ognistym stosie wypatrując zagrożenia. Bezszykownie próbowałem przebić wzrokiem ciemność, w końcu, w akcie rezygnacji zacząłem spoglądać tylko na przyozdobiony złotem firmament, jedynie nasłuchując, czy aby nic się nie dzieje. Las szumiął niespokojnie, jakby chciał mnie ostrzec przed śmiertelnym zagrożeniem. Leżąc zasłuchany w apokaliptyczne prorocтва moich liściastych i iglastych braci, usłyszałem parę trzaśnień, bezspornie nie współgrających z treścią ich monologu. Powoli, ale i tak nietaktownie, odwróciłem głowę od adorujących i mrugających do mnie dam, kierując ją w stronę, z której ktoś zakłócił wywód moich, sięgających do nieba rozmówców. W lekkiej poświacie ujrzałem zarys dwóch pochylonych postaci. Podczas gdy jedna stała i najwyraźniej lustrowała wzrokiem miejsce, gdzie spłonęła cząstka lasu i gdzie leżała moja postać, wyglądająca zapewne jakby uśpiona pocałunkiem Morra, drugi zaczął zbierać coś z miejsca w którym podróżujące ze mną istoty pozbyły się resztek po zjedzonych mieszkańcach kniei. Istota przez chwilę kucając, zebrała owe pozostałości i wraz z drugą zniknęła w mroku. Nie podniosłem alarmu, ponieważ ci przybysze nie mieli najwyraźniej wrogich zamiarów, przed którymi przestrzegali mnie drzewa. Byli zastraszeni i spanikowani, w pośpiechu zabrali resztki i nawet nie ważyli się podejść bliżej. Chwilę jeszcze przesiadywałem przy najjaśniejszym miejscu w naszej chwilowej osadzie, po czym obudziłem kolejne istoty z mego lnianego domostwa niezwłocznie kładąc się spać. Rankiem obudził mnie specyficzne „krzykocharczenie” mego świniopodobnego uzurpatora:

- Na święty młot Sigmara!!! Cóż za straceniec dopuścił by orkowie podeszli pod obóz. Przecież to definitywnie ślady tego pieprzonego, pałającego się po okolicy gówna! Całej warcie zmniejszam racje żywnościowe! Żadnego alarmu! Nic!!! Tak po prostu wrogowie mogą sobie spokojnie wpięprzyć kolacyjkę w naszym obozie, po tym jak wszyscy, włącznie z wartą ślicznie zrobić „lulu”! To jest nie dopuszczalne!

- To nie byli nasi wrogowie. Posilili się tylko tym co my odrzuciliśmy, a nie jest to chyba wielkim zaszczytem...

- Zamilcz Verloren!!! Zamilcz!!! Nie jesteś normalny, więc nie masz prawa głosu w moim oddziale. Jeszcze jeden taki wyskok i czeka cię sąd wojenny. Jesteś na wyprawie wojennej mającej wyniszczyć orkowe robactwo na tych ziemiach. Ludzie muszą poczuć się choć po części bezpieczni, a my musimy wypełniać rozkazy. Nie oszczędzimy żadnego z tych potworów. Na ziemiach imperium zapanuje ład i porządek! Wyruszamy, i niech Sigmar nas prowadzi.

* * *

Lasy i pola! Jak czujecie się pod białym płaszczem nadanym wam przez lodową księżną? Zapewne lepiej niż ja. Wszakże możecie się pod nim ukryć, a do tego w jakimś stopniu jesteście przezeń nobilitowani. Ja nie mam się gdzie ukryć, a do tego jestem najniżej postawiony. W zasadzie jestem tylko marionetką dla której jedynie słuszną formą egzystencji zdaje się być wykonywanie rozkazów. Podróż była męcząca, nie dostałem jeść, długo siedziałem nocami wypatrując niebezpieczeństw, ale już nigdy sam. Po kilku dniach spotkaliśmy na drodze grupę zbrojnych otaczających dwie przerażone istoty przyciśnięte do ściany powozu. Świński uzurpator i reszta moich kompanów dobyli mieczy. Nasz dowódca rozpoczął:

- Rzucić broń w imię Cesarza! Na terenie Imperium nie ma miejsca na łupieżcze napady.

- Panie dowódcu... - rozpoczęła istota z kuszą w rękę, przyodziana w skórzany strój oraz metalowy napierśnik. Wyróżniała się z grupy ogólnym zadbanym wyglądem, jak i wyśmienicie rozwiniętą sztuką oratorstwa - proponuję zostawić na boku oficjalne sformułowania. Ci ludzie w całej swej głupocie myśleli, że pomożemy im bezpiecznie przetransportować cały dobytek. Wynoszą się stąd oczywiście z obawy przed orkami. - istota wyciągnęła z powozu dwa worki i potrząsnęła nimi - Złoto, szlachetne kamienie... czego chcecie więcej? Dostaniecie połowę.

- Nie bądźź zuchwały bandyto! - z początku wydawało mi się że świński uzurpator właściwie zareaguje na próbę przekupstwa, lecz prawie od razu się zawiodłem - Tak nisko cenisz mój oddział. Dasz mi ten i jeszcze połowę twego worka.

- Daję ten worek, piątą część naszego i ... tę dziewczę - dowódca zbrojnych wskazał na jedną z istot trzęsącą się z zimna i strachu. - Jest zmarznięta i na pewno twoi ludzie zechcą ją ogrzać zanim ruszycie dalej. - jegomość miał na twarzy tajemniczy uśmiech.

- Zgoda - odpowiedział świński uzurpator, a w grupie w której się znajdowałem dały się słyszeć pomruki zadowolenia. Dwoje z bandytów podeszło do rozdygotanej dziewczki i podczas prób spętania rzuciła się na nich druga istota stojąca przy niej. Po chwili szarpaniny zaszedł go od tyłu jeden zbrojny i poderżnął mu gardło. W powietrzu zadrgało obrzydliwe, wbijające się w uszy charknięcie.

- Mężu!!! - wrzasnęła pełna żalości dziewczka. Mężczyzna padł na ziemię wijąc się i charcząc przez jakiś czas. Kobieta została zakneblowana i spętana, natomiast bandyci po oddaniu części łupów odjechali razem z powozem.

- No to teraz się zabawimy - świński uzurpator pomimo mrozu zaczął rozsznurowywać swoje bufiaste spodnie, a dwóch żołnierzy zdarło ubranie z dziewczyny. Musiałem to zatrzymać. Dobiegłem do dowódcy.

- Melduję, że nie masz prawa tego zrobić przebrzydła istoto!!!

- Zamilcz Verloren - słowa te były pełne nienawiści, choć nie wiedzieć czemu właśnie w tej sytuacji stłumił krzyk. Odwróciłem się od niego i gdy przykrywałem dziewczynę wełnianym płaszczem coś ciężkiego uderzyło mnie w głowę

* * *

Zimno... po uderzeniu pamiętam zimno i światło usilnie próbujące sforsować me zamknięte powieki. Byłem przywiązany do grzbietu jednego z koni. Przeszywały dreszcze i prawie nie mogłem się ruszać. Falujące ciało świadczyło o tym że już dawno powinienem leżeć blisko tancerzy popielających drewno. Koń przeszedł do galopu, co boleśnie odbiło się na mych żebrach. Otworzyłem oczy. Jechałem na końcu oddziału który teraz gnał za kilkoma pieszo uciekającymi istotami. Dopadło ich czoło mego oddziału - kilkanaście ciosów mieczem kawaleryjskim i było po wszystkich. Nawet się nie zatrzymaliśmy, a reszta oddziału stratoła wijące się w cierpieniu ciała. Byli to przedstawiciele ludu zwanego orkami, którzy prawdopodobnie zeszli z niedalekich gór ze względu na bardzo ostrą zimę. Odwróciłem głowę i patrzyłem na ich zmasakrowane ciała, zanim znikły za zakrętem. Nie wyglądał na oddział wojowników nastawionych na rabunek. Kilku z nich niosło wiązanki chrustu, a dwóch zabita sarnę i jakieś rośliny. Zastanowiłem się nad sensem twierdzeń dowódcy o wyprawach łupieżczych. „Ten chrust na pewno zabrali ze spalonej wioski” - pomyślałem z przekorą. Jadąc dalej usłyszałem rozmowy pomiędzy zbrojnymi z mego oddziału.

- Dobrze żeśmy se tę dziewczę wychędożyli, brakowało mi tego jak dobrego piwa. - powiedział jeden do drugiego z wyraźną satysfakcją

- -le prawisz, że to my, toć to orkowie sami zeszli z gór bo im się bogactw i chędożenia ludzkich dziewczek zachciało - w całym oddziale wybuchł śmiech gromki jak podczas występów dobrego kuglarza.

- Taaaa - dodał trzeci - a jak już nasi pokrzywieni wrogowie pochędożyli, to wymyślili że wezmą tą dziwkę, rozetną brzuszek, przybiją jelita do drzewa i zatańczą z nią kółko graniaste dokoła. Niestety przyjechaliśmy za późno... Ależ paskudni ci orkowie!

- śmiech rozległ się ponownie.

- Na szczęście jesteśmy na tropie i niedługo weźmiemy odwet na tych strasznych potworach - dyskusje o mordach i gwałtach trwały jeszcze przez długi czas. Nienawidziłem z całego serca ich wszystkich, zacisnąłem pięści i zwiesiłem głowę. Zdałem sobie sprawę że faktycznie kluczowym jakimś tropem niedawno pozostawionym na śniegu. Z racji, że niedaleko już było do pierwszych łańcuchów górskich, ten porośnięty lasem teren obfitował w różnego rodzaju głązy i jaskinie. Ów trop którym podążaliśmy doprowadził nas do dość dużej groty, przed którą uważny tropiciel mógł dostrzec ślad po ognisku. Wszyscy zeszli z koni dobywając

mieczy oraz pochodni. Dwóch osiłków odwiązało mnie od konia. Musiałem iść w ciemność przed wszystkimi mając spętane ręce, nieco światła rzuciły tylko pochodnie ludzi idących za mną. Ściany pokrywały malowidła i wyryte inskrypcje, a dalej dostrzegłem wywieszoną zwierzęcą skórę. W końcu ujrzałem mieszkańców owej groty. Większość z nich była mniejsza od tych spotkanych na drodze, ale były z nimi też większe, które otulając je rękoma w drżeniu czekały na nasz ruch. Ktoś popchnął mnie w ich stronę. Mały ork rzucił w mą głowę kamieniem, paskudnie ją rozcinając. Straciłem równowagę i upadłem. Wtedy to moi kamraci natarli na orków, a dokładnie rzecz biorąc orczyce które kamiennymi toporkami próbowały bezskutecznie ocalić siebie i swe potomstwo. Zostały wybite w mgnieniu oka, tak jak większość orcząt. Waleczniejsze jednostki, które próbowały nawiązać jakikolwiek rodzaj walki, „moi” rozbijali, łapali za powykrzywiane nóżki i tłukli nimi o ściany i kamienie tak długo aż z porozbijanych główek nie zaczęły odpryskiwać fragmenty mózgów. Po tej obrzydliwej masakrze ktoś do mnie podszedł, postawił mnie na nogi i rozciął krępujące mnie więzy. Odwróciłem się i ujrzałem stado obrzydliwie dzikich, zakrwawionych bestii, którym zaistniała sytuacja sprawiała niebywałą radość i satysfakcję. Podeszedłem do dowódcy którego wcześniej nazywałem świniopodobnym uzurpatorem i doszedłem do wniosku że nie zasługuje na to miano, wszakże świny są od niego wiele piękniejsze... Stałem wyprostowany i patrzyłem się mu prosto w oczy.

- Nienawidzę cię - wycodziłem przez zęby - jesteś najgorszym zwierzęciem jakie widziałem. Ty i cały twój oddział. Poniesiesz karę...

Nie dokończyłem myśli, gdyż on zatopił sztylet w mój brzuch. W jakimś stopniu odniosłem sukces, ponieważ udało mi się prze-mówić doń językiem który potrafił zrozumieć. Zatoczyłem się i upadłem, a dowódca po chwili swym mieczem przebił me serce. Potem wbił kolejny przeszywając prawe płuco. Leżałem powalony u ich stóp, cały odrętwiały z bólu, przygwożdżony pięknie wykutymi narzędziami mordu. Ale czy przegrałem? Zabili me ciało, lecz nie zmienili mych zapatrywań. Zakuli poetę w dyby wojny, lecz on się z nich uwolnił. Przysporzyli tylko cierpień niewielkiemu plemieniu orków, niczego nie zmieniając w życiu tutejszych ludzi. Ukazali za to bezmyślność, okrucieństwo, chciwość, bezsens wojny powstałej z założenia i wiele innych zjawisk które niszczą naszą rzeczywistość. Chaos nacierający z północy to przeszłość. Dziś chaos jest wszędzie, a każda walka z chaosem to chaos. By się obronić musimy wyrzec się chaosu, obstając przy naszych ideałach. Mój światopogląd nie umarł razem z ciałem. Została myśl która zrodziła istotę. Niektórzy mówią „duch” - tak - jestem duchem, a duch jest myślą, która jest echem mego życia. Skoro echo powraca, tak i ja powracam by opowiedzieć wam co wydarzyło się onegdaj na pewnej wyprawie przeciwko orkom.

Artykuł z pewnej gazety drukowanej w Altdorfie:

„Chwała mężnym”

Kilka dni temu do Altdorfu przybył oddział cesarskiej kawalerii, która broniła zimową porą ludność zachodniego Reiklandu przed najazdami krwiożerczych, rządnych mordu orków. Dowódca, herr Heinrich Besitznehmer tak oto relacjonuje wyprawę: „Walka z orkami to nie szereg krótkich potyczek tylko prawdziwa wojna. Nigdy nie wiadomo kiedy zaatakują. Jako jedna z najlepiej wyszkolonych jednostek, w czasie ostatnich dwóch miesięcy straciliśmy tylko jednego żołnierza, nowicjusza w naszych szeregach, Alberta Verlorena, który zginął walcząc dzielnie w imię Cesarza. Choć z taktycznego punktu widzenia straty są niespotykane małe, biorąc pod uwagę również fakt walki z wielkimi hordami przeciwnika, śmierć naszego świeżo upieczzonego kamrata, jest dla każdego z nas cierniem w sercu. Przekazałem już kondolencje krewnym Alberta i złożyłem miecz którym walczył na ręce głowy rodziny.” Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że herr Heinrich Besitznehmer ma otrzymać order za odwagę i oddanie Cesarzowi.

Mikołaj „Vino” Winiarski

OPOWIADANIA

MarcinD ::: Ostatni zachód słońca...

Na skraju gęstego, dębowego lasu pojawił się duży wóz, zaprzężony w dwa kasztany. Za nim jechały jeszcze dwa inne. Szerokie, białe namioty rozłożone na wozach ani chybi znaczyły o kupieckim życiu podróżujących. Tym bardziej przekonywał o tym duży napis na każdym z wozów: „Jan i Synkowie”. Woźnica, siedzący na pierwszym wozie, rozejrzał się. Przed nimi, w dolinie rzeki, rozłożone były spore pola uprawne, na których z rzadka pracowali ludzie. Między polami prowadziła długa, kręta droga, idąca prosto do dużego, warownego grodu. Został zbudowany na okazałym półwyspie, wchodzącym głęboko w wielkie jezioro, przez które z wolna przetaczała się rzeka w leniwym biegu. Gród był postawiony za wysokim wałem ziemnym, wzmocnionym mocnymi, dębowymi palami, pochodzącymi zapewne z drzew wyciętych w pobliskim lesie. Na wale ziemnym stała wysoka, drewniana palisada, a za nią gruba ściana, również z dębowych pali i ziemi, po której wolno spacerowali wojowie. Szeroka, mocna brama z drewnianych bali była szeroko otwarta, wszakże dopiero co dochodziło południe. Przed bramą stali dwaj wojowie trzymający długie włócznie i małe tarcze okrągłego kształtu. Przez palisadę widać było, poza strzechą wielkiej chaty kasztelana, także wysoką świątynię Świętej Marianny - Bogini Lasów. Za palisadę wystawały także strzechy jeszcze dwóch innych chat, jedna zapewne była karczmą, zaś druga zapewne służyła jako dom mieszkalny dla mieszkańców kilkunastu chat, rozłożonych nad brzegiem jeziora, w chwilach, gdy trzeba było schronić się w grodzie. Kasztel zwano po prostu Sędogrodem - od imienia kasztelana - Sędomira, co można było odczytać na niewielkiej tablicy umieszczonej niecałe pół dnia drogi wcześniej, przy rozstajach. Trzy wozy wjechały już na szeroką drogę, wysypaną małymi kamyczkami i końskie kopyta zachrząściły. Teraz trakt prowadził między polami, na których dopiero co zieleniły się rozsiane zboża. Nad samym brzegiem rzeki pasły się łaciate krowy. Wreszcie kupcy zatrzymali się pośrodku największego skupiska chat, tuż przed grodem, obok studni. Na pierwszy rzut oka widać było, że umknęli jakimś napastnikom - woźnica pierwszego wozu, najstarszy, miał na głowie białawą opaskę, na której z rzadka przebijały się małe plamki dawno zaschniętej krwi, pozostali dwaj, faktycznie wyglądający na jego synów, także mieli nieznaczne rany, jak ojciec, zabandażowane. Ojciec, jadący na pierwszym wozie, zeskoczył z kozła i ponownie poprawił opaskę na głowie. I rozejrzał się po osadzie. Jedyными ludźmi w zasięgu jego wzroku była mała grupka dzieci, nieśmiało wychylających się zza jednej z chat oraz dwóch wojów, którzy jak na razie, nie ruszyli się z miejsc przy bramie. Dzieci natychmiast po poznaniu, że zostały zauważone, zniknęły w popłochu za ścianą z nieheblowanych, dębowych zapewne, bali. Po chwili zauważył, że od strony grodu ktoś do nich się zbliżał. Dwóch mężczyzn.

- Witamy was serdecznie w naszej osadzie, zwanej Sędogrodem - powiedział jeden z nich. Był starszym, niskim mężczyzną, z siwymi włosami i równie siwymi wąsami, nieco przygarbiony. Popatrzył na trójkę mężczyzn - mieliście jakieś kłopoty po drodze? - zapytał.

- Owszem - przyznał ten z opaską na czole - po drodze mała grupka leśnych skrzatów najpierw myta za przejazd zażądały, jakoby to były ich lasy, a potem, gdy odmówiliśmy, zaatakowały. Mój najmłodszy syn ciężko ranny został, my się tylko z lekkimi ranami ostaliśmy. Ja jestem Jan, a oto moi dwaj starsi synkowie, Stanisław i Mirosław.

- Ja kasztelanem Sędogrodu jestem. Sędomir mi na imię. A to syn mój, Mirko, zwany Cichostopym - wskazał na mężczyznę stojącego obok - rad bym wielce ugościć was w mojej chacie, zaś sędogrodzka kapłanka Jadwiga zajmie się waszymi ranami i twoim młodszym synem - dodał.

- Jakże to, że na szlakach bezpiecznie nie jest? - zapytał Jan, patrząc na wysoką wieżę, wystającą zza palisady wokół grodu, na której stali dwaj strażnicy, rozmawiając cicho - jakim to sposobem skrzaty sobie roszczą jakiekolwiek prawa do lasów? - dwie takie same wieże minął, jadąc między polami.

- Żadnym. Książę głosił, że w całym księstwie pokój ze skrzatami podpisał i że można swobodnie po księstwie się poruszać. Ale prawda taka, że ostatnimi czasy się skrzaty rozbawiły, ataki się coraz częściej zdarzają i coraz są zuchwalsze. Patrząc tylko, jak we wsiach zaczynają puszczać czerwonego kura - westchnął kasztelan.

- Atoli czemu, kasztelanie, porządku nie uczynicie? Wszak wojsko to macie pewnikiem - powiedział Jan.

- Wojsko! - zaczął się kasztelan - nasz gród bardzo mały, ledwo dwudziestu chłopów i drugie tyle, co w chatkach mieszkają. A mi tu trzeba osady i ludzi we wsi bronić. Trudno jeszcze zbrojne wycieczki do lasu urządzać - Jan raz jeszcze się rozglądnął po jednej z trzech wiosek. Właściwie, nazwanie ich wioskami, było mocno przesadzone - były to po prostu trzy skupiska chat, które razem liczyły jakieś piętnaście, szesnaście chat - mała ta nasza osada.

- A jakże, mała - przyznał Jan - ale konie i jadło macie? - zapytał po chwili.

- I konie i jadło i pokoje na noc. Ale, ale, my tu nadaremno rozprawiamy przy studni stojąc, a w chacie pieczeń już dochodzi. Zapraszam, Mirko zaś zwoła pacholców, co by się końmi zajęli i po uzdrowicielkę zabiegli. Zapraszam, czym chata bogata - powiedział kasztelan i z uśmiechem pierwszy ruszył do grodu...

...tego samego dnia, wieczorem...

- Kiedy zostaliście zaatakowani? - pytanie to padło z ust wysokiej, szczupłej kobiety o brązowych oczach. A skierowane zaś było od Jana, który wraz z dwójką synów wnieśli do chaty uzdrowicielki najmłodszego, rannego w nogę, syna. Był nieprzytomny.

- Zeszłego dnia, pod wieczór - odparł Jan.

- Cóż... - westchnęła kapłanka - sama rana nie byłaby groźna, ale... - kapłanka Sędogrodu raz jeszcze spojrzała na niewielką ranę chłopca tuż nad kolanem, najpewniej po kamiennej włóczni bądź nożu. Oparła dłoń na czole kilkunastoletniego chłopca. Było mokre od potu - niestety wdało się już zakażenie...

- Ale jakże to? - zapytał zaskoczony Jan - dokładnie przemyliśmy i opatrzyliśmy ranę. Zaczął chorować dopiero kilka godzin po ataku.

- Wdało się zakażenie. Będę walczyła przez noc, ale jeżeli nic nie pomoże, będę musiała... odciąć nogę.

- Nie pozwolę na to! - powiedział, niemal krzyknął Jan.

- Więc twój syn umrze. Choroba ma swoje źródło w ranie. Jeżeli nie zwalczę jej innymi sposobami, to...

- Jesteś kapłanką - przerwał jej Jan - rozmawiasz z bogami. Proś ich o łaskę dla mojego syna.

- Jestem kapłanką Bogini Lasu. Idźcie teraz, będę za niego się modliła i użyję wszelakich znanych mi środków - Jan wraz z synami wyszedł z chaty kapłanki postawionej tuż obok świątyni. Spojrzał w zachodzące słońce.

- Cóż, możemy wracać do gospody, gdzie mamy najęte pokoje - westchnął i wraz z synami ruszyli do gospody. A kilkanaście chwil później, gdy zdążyli już nieco posilić się i teraz wolno popijali korzenne piwo z wysokich kufli, dosiadł się do nich Sędomir.

- Dobry wieczór gościom - powiedział - jak z waszym rannym? - zapytał.

- Nijak - westchnął Jan - kapłanka mówi, że nogę trzeba odciąć... Dziś przez noc walczyć będzie, ale mówi, że jak bogowie zde-

cydowali, to nawet i jej modły nie pomogą.

- Nasza kapłanka dobra jest w ratowaniu ludzi. W dobre ręce wasz syn trafił. Dobrej i spokojnej nocy życzę. A pomnijcie, by okna w pokojach zamknąć starannie, nim się spać położycie - powiedział kasztelan i wstał od stołu.

- Atoli z jakiego powodu? - zdziwił się Jan.

- Blisko grodu rzeka. Głęboka. Utopce i wiry są. I las też blisko. Gęsty i niebezpieczny. Tam też się czają różnaki upiory. Niby to na wieży i przy palisadzie wojowie są, ofiary składamy i Bogini o ochronę prosim, to bezpieczni. Ale toć nic nie wiadomo. Strzeżonego i bogowie strzegą, jak powiadają. Ale pewne to, że do chaty, ba nawet do grodu, nic nie zaproszonego nie zajrzy, a wapierszów nie było jak dotąd. Przeto okna zaryglować, drzwi pozamykać i bezpiecznie spać można. Noce u nas i tak zimne, chłód od rzeki ciągnie. A o konie też się wasze nie strachajcie. Nocą warty po grodzie i wiosce krążą, dlatego też mało mam wojów do leśnych jeszcze patroli. Ale powiem wam, panowie, że dzisiejszego wieczora wiec się u nas we wiosce odbył, na którym zacydowano, że syn mój, najlepszy łowczy w grodzie, do lasu ruszy, by grupkę nieznosnych skrzatów odnaleźć, a potem wojów na nich poprowadzić. Tak czy inaczej, spać możecie bezpiecznie. Dobrej nocy wam życzę - powiedział kasztelan i po skłonieniu głowy, wyszedł z karczmy. A w kilka chwil później w wiosce rozległo się bicie dzwonu, oznaczające nadejście nocy. Karczmarz, w osobie grubego, łysego mężczyzny, zamknął wszystkie okna i zaryglował je, tak samo po chwili czyniąc z drzwiami. Jan natomiast z dwoma synami ruszył na poddasze karczmy, gdzie mieli dwa pokoje na noc najęte. W całej osadzie z wolna gasły świece widoczne tu i ówdzie przez szpary między nieheblowanymi balami drewna i po chwili trzy nieduże wioski i gród pograżyły się w ciemnościach. W jednej tylko chacie kapłanki Jadwigi nadal płonęły świece, w blasku których to kapłanka zmwiała kolejne modlitwy za życie rannego i trawionego choroba chłopca, równocześnie podając mu suszone zioła i eliksiry z nich sporządzone...

...następnego dnia, wczesnym rankiem...

Mocny, cisowy łuk trzeszczał cicho, gdy Mirko, niemal bezszelestnie przedzierał się przez gęsty las, trzymając na cięciwie strzałę. W pełni zasłużył na swój przydomek Cichostopogo. Był najlepszym łowczym w całej osadzie, a w lekkim, obcisłym ubraniu i lekkich butach poruszał się niemalże bezszelestnie. Spokojnie szedł wzdłuż rzeki, idąc w cieniu drzew. Co chwilę przystawał i kucnął, szukając małych, ale zazwyczaj bardzo wyraźnych śladów ciężkich butów. Skrzaty, mimo nikłego wzrostu (bo wszakże wśród nich za wysokiego mógł się uważać ten, co sięgał głową do pasa dorosłego mężczyzny) były bardziej grube, niż szczupłe, ponadto, gdy nie skradały się, nie uciekały ani nie czuły się zagrożone w żaden inny sposób, zawsze maszerując tupająco, zostawiając głębokie ślady, co (tylko w ich mniemaniu) upodabniało ich do wojska. Tym razem jednak Mirko nie zauważył żadnych świeżych śladów. A koniecznie były mu potrzebne świeże, gdyż leśne skrzaty, mimo swych ciężkich „wojskowych” kroków po lesie poruszały się nad zwyczaj szybko i w ciągu jednego dnia umiały zrobić całkiem niezłą drogę. Gdy zbliżył się wolno do niewielkiej polanki, opadającej ku niewielkiemu jezioru, jakie tutaj tworzyła rzeka, do jego uszu doleciał śpiew. Nie widział jednak polanki na razie, osłoniętej gęstymi krzakami jeżyn i borówek. Zrazu myślał, że to wodne rusałki bawią się na brzegu, ale gdy wolno wysunął głowę zza krzaków, poznał błąd. Tuż nad brzegiem rzeki stała młoda dziewczyna i śpiewała pod nosem melodyjną piosenkę, ani chybi, by przebłagać żyjące w toni jeziora rusałki, topce i wiry. Z pewnością w tym samym celu puściła na wodę grubą pajdę pszennego chleba, posmarowaną leśnym miodem. Ofiara dla wodnych rusałek wypłynęła wolno na środek jeziora i po chwili popłynęła z prądem rzeki. Dziewczyna uśmiechnęła się. Miała nadzieję, że wodne rusałki ochoczo popłyną za miodem. Po chwili wstała i teraz dopiero Mirko mógł ocenić, jak była wysoka. A dziewczyna, w której plecy patrzył teraz z zaskoczeniem Cichostopy, była strzelista niczym topola, szczupła, o miłej dla oka linii, podkreślonej obcisłym ubraniem. Stała tyłem do niego i odrzuciła jednym ruchem długie, proste niczym postronki i czarne jak krucze pióra, włosy. Uniosła dłonie, które wyglądały wręcz śmiertelnie bledo na tle czarnej koszuli i drobnymi palcami jąla odpinać liczne guziki koszuli. W chwilę potem położyła koszulę na trawie i białą opaskę, przechodzącą przez jej piersi również zdjęła, unosząc ręce do góry. Wreszcie rozpięła pas, przy którym wisiała pochwa z krótkim nożem. Pozwoliła, by skórzane spodnie zsunęły się z niej i przez chwilę stała zupełnie naga, skąpana jedynie w promieniach słońca, wielokrotnie odbitych w toni jeziora. Mirko nie mógł jednakże zbyt długo podglądać nieznajomej, bo ta wyprężyła się nagle i zerwała do skoku jak kocica, broniąca swych kociąt, by zaraz po wyskoku zniknąć pod powierzchnią wody. Wynurzyła się po chwili i przez chwilę pływała wzdłuż brzegu, to na brzuchu, płynąc sprawnie niczym młoda żabka, to na plecach, młócąc wodę niby wodny młyn. Płynęła teraz właśnie na plecach i Mirko mógł ocenić, że pięknem ciała nieznajoma mogła konkurować z najpiękniejszymi nawet rusałkami. Jej piersi, teraz unoszące się nad wodą i kołyszące w rytm jej ruchów, w oczach Mirka wyglądały wręcz na idealne; kragle, niezbyt duże, ale wyraźne. Mirko wycofał się nagle zawstydzony własnymi myślami, skarcił się w myślach za nieuwagę i nierozsądne zachowanie. Po wielokroć samotnie włóczył się po lesie za zwierzyną i po wielokroć wcale nie szpetne rusałki kusiły go, by zwabić w rozmaite bagniska czy rozpadliska, a jednak żadna z nich nigdy nie przykuła jego uwagi tak mocno, jak kąpiąca się w jeziorze nieznajoma. Ale może właśnie dlatego, że owa nieznajoma była prawdziwą kobietą, która nie kusiła go, by zwabić na pewną śmierć, lecz po prostu kąpała się nago. Tak czy inaczej, Mirko opuścił łuk i pocałunkiem w łótkę z gęsiego pióra przeprosił strażę za ponowne schowanie jej do kołczanu, by nie przyniosła na niego żadnego nieszczęścia. Wreszcie cofnął się nieco głębiej w las. Najpierw zaczął gwizdać głośno skoczną melodię, a później dopiero wszedł wolno na polankę, gdzie zostało ubranie kąpiącej się dziewczyny i, co ze złością na siebie, dostrzegł dopiero teraz, czarny jak noc, koń. Nim cokolwiek zdołał powiedzieć, nieznajoma zatrzymała się i unosząc w jednym miejscu, odezwała się pierwsza:

- Witam, już myślałam, że nigdy nie wyjdiesz z tych zarośli - Mirko popatrzył na nią zaskoczony.

- Ale... To panna cały czas wiedziała, że tu się kręcę w pobliżu? Zabawne, ja pannę dopiero teraz dojrzałem... Szukałem śladów leśnych skrzatów i...

- Oczywiście - westchnęła i zaczęła z wolna płynąć do brzegu - zechcesz się odwrócić? Chciałabym założyć coś na siebie, a myślę, że dość już widziałeś - Mirko zaczerwienił się na twarzy okrutnie i natychmiast odwrócił się plecami do nieznajomej. Ta wyszła szybko z wody i na mokre jeszcze ciało nałożyła spodnie i koszulę, uprzednio nakładając białe, bawełniane przepaski na piersi i biodra. Zapięła pas i ruszyła w stronę Mirka.

- Możesz już się odwrócić - powiedziała. Mirko posłusznie odwrócił się i skamieniał, czując pod brodą ostrze noża, trzymanego w delikatnej dłoni nieznajomej kobiety. Nie, nie kobiety. Z bliskiej odległości Mirko mógł ocenić, że dziewczyna widziała w swoim życiu co najwyżej dwadzieścia wiosen. Była wręcz młodzieńcem. Szczególnie w porównaniu z nim, bo Mirko liczył już prawie dwadzieścia siedem lat. Nie był młokosem i nie jeden raz był w gorszych sytuacjach, niż nóż na gardle, w dodatku trzymany przez młodzieńką niewiastę. Odważnie popatrzył w jej ciemno szare, niemal czarne oczy.

- Co zamierzasz? - zapytał.

- Nie lubię być obserwowana z ukrycia - warknęła.

- Już mówiłem pannie...- urwał, gdy mocniej nacisnęła nożem na jego gardło.

- Już dawno nie jestem panną - powiedziała - zdradź mi, dlaczego to nie miałabym cię zabić?

- Bo jestem Mirko Cichostopy, syn...

- Cichostopem z całą pewnością nie jesteś - przerwała mu - poza tym, nie obchodzi mnie, czyim synem jesteś. Ja na przykład jestem kobietą, która trzyma właśnie w dłoni twoje życie. I imię twojego ojca wiele tutaj nie zmienia - powiedziała i jedynym, błyskawicznym ruchem, tak szybkim, że Mirko ledwo go dostrzegł, wsunęła broń do pochwy przy pasie - idź, puszczam cię wolno - dodała i ruszyła do dużej sakwy leżącej nad brzegiem jeziora. Ukłękła przy niej i ze środka wyciągnęła pół sporego bochenka pszennego chleba. Odczęła z niej grubą pajdę tym samym nożem, którym przed chwilą groziła Mirkowi, po czym schowała chleb z powrotem. Z dużego, glinianego dzbanka wylała na kromkę nieco miodu i podeszła do brzegu. Ukłękła na drobnych, małych kamieniach i puściła kromkę chleba na wodę.

- Dziękuję wam, wodne rusałki, za spokojną kąpiel - szepnęła i pchnęła kromkę po wodzie. Ta odpłynęła nieco i szybko zatoneła. Zapewne wodne rusałki, zwabione jej kąpielą, przypląnęły i zajęły się podarkiem. Szybko wstała i odwróciła się.
- Jeszcze tu jesteś? - zapytała, widząc, że Mirko nie ruszył z miejsca. Wzruszyła tylko ramionami, nawet nie czekając na jego odpowiedź i ruszyła do swojego wierzchowca.
- Chcę wiedzieć, kim jesteś - powiedział - ja jestem Mirko Cichostopy i...
- Już mówiłam, Cichostopy, to ty raczej nie jesteś - powiedziała - ale skoro tak bardzo jesteś ciekawy, zwą mnie Joanną z Lasu. Jestem kobietą, która trzymała w dłoni twoje życie - dodała i jednym skokiem dosiadła wierzchowca, uprzednio zapinając sakwę przy siodle. Nim Mirko zdążył się odezwać, zniknęła już za drzewami, jadąc szybkim kłusem. Mirko wzruszył ramionami i po chwili zniknął w cieniu drzew, ponownie rozglądając się za śladami skrzatów...

Joanna powoli wjechała między chaty środkowej wioski i zatrzymała się obok dużej studni. Rozejrzała się po wiosce i jej wzrok spoczął na warownym grodzie na dużym półwyspie. Niestety, poza dwoma wojami na wieżach, jakie minęła, oraz tych dwóch przed bramą nie widziała nikogo, nie licząc oczywiście ludzi, pracujących w polu i gromadki dzieci, wyglądających na nią zza rogu jednej z chat. Szybko przełożyła nogę nad łbem jej kłaczy i sprawnie zeskoczyła z siodła. Rozejrzała się raz jeszcze.

- Co to, osada wymarła, czy jak? - burknęła pod nosem i podniosła dwa palce do ust. Kilka gołębi zerwało się do lotu po tym, jak w wiosce rozległ się donośny, przeciągły gwizd. Dzieci uciekły z popiskiwaniem, a Joanna roześmiała się, widząc, jak strażnicy na wieży zrywają się równe nogi ze snu. I wreszcie, po kolejnych kilku chwilach, podszedł do niej nieco przygarbiony, wąsaty mężczyzna. Joanna ziewnęła ze znużenia i otworzyła jedną z sakw. Z niej wyciągnęła skózaną tubę. Z kilku ciasno związanych pergaminów, wybrała jeden. Rozwinęła go i gdy Sędomicz podszedł do niej, powiedziała:

- Zważ mnie Joanną z Lasu. Czy możesz zaprowadzić mnie do wójty tej wioski?

- Nazywam się Sędomicz. Nie jestem wójtem, lecz kasztelanem i nie wioski, lecz grodu.

- Jak zwałeś, tak zwałeś - powiedziała krótko Joanna - jestem wysłanniczką księcia. Ponadto z rozkazu tegoż księcia masz obowiązek pomóc mi w sposób, jaki tyłko będę potrzebowała w wykonaniu powierzonego mi zadania. Ten dokument - podała Sędomiczowi zwinięty pergamin - potwierdza, co powiedziałam - kasztelan wzięł go do ręki, rozwinął i popatrzył. Po czym szybko oddał Joannie.

- Wierzę pannie na słowo - powiedział i aż zadrżał pod wpływem spojrzenia jej szarych oczu. Było w nich coś dziwnego... Coś, co Sędomicz widział tylko w oczach ich kapłanki. Coś, co kazało mu powiedzieć - wybacz, pani - domyślił się bowiem, że wysłanniczka księcia była czarodziejka.

- Nie ma czego, kasztelanie - uśmiechnęła się i martwy wyraz jej oczu zniknął natychmiast, a Sędomiczowi czarodziejka znów wydała się sympatyczna i przyjacielska - jest tutaj w grodzie gospoda? Głodnam, a i wypić co trzeba by mi było.

- Naturalnie, gospoda mieści się za palisadą, na terenie chronionym przez gród. To ta chata, której z komina dym leci. Ale rad będę mógł gościć...-

- Zatem będę w gospodzie - powiedziała - niech ktoś szybko zajmie się moją kłaczą - dodała i pierwsza ruszyła w stronę karczmy...

Joanna weszła do pogrążonej w półmroku gospody. Usiadła przy jednym z wolnych stołów i westchnęła ciężko. Zdmuchnęła ze stołu okruszki po poprzednim posiłku. Kiwnęła po chwili na grubego mężczyznę stojącego za szynkiem. Ten klepieniem w pośladek popchnął w jej stronę nastoletnią dziewczynę.

- Co tu można zjeść? - zapytała Joanna, nim dziewczyna zdążyła się odezwać.

- Pieczone prosię, pieczony kurczak, wątróbka z cebulą przysmażana na oleju, zupa piwna, do wszystkiego chleb a z napojów wino i korzenne piwo - Joanna westchnęła.

- Wierzę, wezmę pieczonego kurczaka. Dokładniej, połowę pieczonego kurczaka. I wino.

- Ale za połowę kurczaka i tak trzeba będzie zapłacić jak za całego...

- Przynieś, nie gadaj. Połowę - zbyła ją Joanna i oparła się wygodnie o oparcie ławy. Rozejrzała się. W całej gospodzie było dziesięć stołów, a przy każdym z nich po dwie ławy. Ale tylko przy jednym ze stołów siedziała trójka mężczyzn. Dwóch z nich było w podobnym, wieku, trzeci zaś wyraźnie starszy, zapewne był to ojciec z synami. Tymczasem przed nią dziewczyna usługująca klientom postawiła glinianą miskę z połową kurczaka oraz antałek wina z małym pucharkiem. Joanna popatrzyła na nią wyczekująco, ale dziewczyna tylko się uśmiechnęła i odeszła, by po chwili donieść płaski talerz z chlebem. I nic więcej. Joanna sięgnęła z westchnięciem do pasa i z małej, skórzanej torebki wyciągnęła niewielkie zawiniątko. Położyła je na stole i rozwinęła. Po czym po chwili chwyciła swój własny nóż i widelec. I, wywołując serię zaskoczonych spojrzeń zarówno od strony karczmarza i pomagającej mu dziewczyny, jaki i trzech klientów karczmy. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Sędomicz. Rozejrzał się po karczmie i po chwili dosiadł się do stolika, przy którym siedziała Joanna. Patrzył z konsternacją, jak Joanna posila się, używając tylko noża i widelca.

- Nie przypominam sobie, abyś mówiła mi, w jakim celu książę cię tutaj przysłał... - powiedział Sędomicz. Joanna odłożyła nóż do miski i sięgnęła po pucharek, który wcześniej napełniła winem dziewczyna.

- Trudno przypomnieć sobie coś, czego się nigdy nie słyszało, kasztelanie - powiedziała i pociągnęła łyk wina. Jej oczy zrobiły się jeszcze większe i Joanna na chwilę wstrzymała oddech. Po czym z wyraźnym wysiłkiem przełknęła napój - cóż to za paskudztwo? - jęknęła. Zdarzało jej się w długich podróżach pić wina gorszej jakości, ale to... było wyjątkowo podle w smaku. A jeszcze do tego mocno rozcieńczone wodą.

- Pijesz najlepsze wino, jakie jest w osadzie - powiedział, nieco oburzony, kasztelan.

- Gorszego chyba używacie do trucia szczurów - burknęła pod nosem Joanna i odkroiła kawałek kurczaka, by zabić smak wina krzącący jeszcze w jej ustach.

- Słucham...? - zapytał kasztelan, nie dość wyraźnie słysząc jej słowa.

- Nic, nic - odparła szybko - masz może do mnie jakąś konkretną sprawę, czy też tylko przyszedłeś potowarzyszyć mi przy posiłku? - zapytała i nóż wraz z widelcem otarła z resztek mięsa o chleb. Po czym odsunęła od siebie misę znaczącym ruchem. Kasztelan popatrzył na resztki po połowie kurczaka, jakie w misie pozostawiła. Może i jedzenie przy użyciu narzędzi, jakimi się posługiwała Joanna, było o wiele czystsze, niż jedzenie palcami, lecz z całą pewnością mniej wydajne, na kościach bowiem zostało jeszcze dużo mięsa i kasztelan był pewien, że zajmie się nim dziewczyna pracująca w gospodzie.

- Chciałem zapytać o zadanie, jakie przydzielili ci książę - powiedział.

- Wino też zabrać możesz. I przynieś mi proszę wody. Mniemam, że wodę tutaj macie zdatną do picia? - powiedziała Joanna do dziewczyny i dodała do kasztelana - ach, pytać wolno zawsze i o wszystko - westchnęła - prawie zawsze - dodała po chwili.

- Więc nie dowiem się, jakie zadanie przydzielili ci książę?

- Łatwo się domyśleć, kasztelanie... bardzo łatwo....

- No tak, chodzi o skrzaty leśne... Twój przyjazd, okazuje się, niepotrzebny zupełnie jest. Z tego, co mi wiadomo, w głębi kraju skrzaty przestrzegają paktu, nawet udanie z ludźmi współżyją - powiedział - zaś ja tutaj organizuję już wojów, którzy się chętnie z nimi rozprawią - Joanna uśmiechnęła się. Owszem, w głębi całego księstwa, skrzaty rzeczywiście przestrzegali paktu. Ale na wszystkich traktach biegnących wzdłuż całej długości zachodniej granicy księstwa napady zdarzały się coraz częściej. Zaczęły się jednak w okolicach Sędomicz, dlatego Joanna została wysłana właśnie tutaj. I jasne było, że w jakiś sposób było to wszystko ze sobą powiązane. Choćby dlatego, że kupcy, przybywający zza zachodniej granicy, nie byli w ogóle niepokojeni. Drzwi karczmy otworzyły się.

- Więc swych wojów możesz już powiadomić o tym, że z mojego polecenia są z tego zwolnieni. Ja przejmuję tą sprawę - powiedziała i zerknęła na stojącego w progu karczmy mężczyznę. Kasztelan poszedł za jej wzrokiem i kiwnął zapraszająco dłonią na mężczyznę.

- Poznaj mojego syna...

- Znow się spotykamy, Mirko - przerwała kasztelanowi Joanna, patrząc jadownicę w oczy Mirka.

- Znać się? - zapytał kasztelan, patrząc zaskoczony to na Joannę, to na Mirka.

- Widzieliśmy się - odezwała się znow Joanna - choć nie wiem, kto kogo widział lepiej - dodała. Mirko zaczerwienił się po same uszy, samego siebie zaskakując swoją reakcją. Miał w końcu ponad dwadzieścia siedem lat i nie jeden raz odwiedził co najmniej kilka co ładniejszych dziewczek w ich osadzie, a teraz czerwienił się przed ledwie dwudziestoletnią młodką.

- Ojczy, ślady odnalazłem, ale dość stare... Musimy...- Mirko zerknął szybko na Joannę - ...odłożyć to na kilka dni. Może się znow pojawią.

- Sprawę skrzatów nie musisz się już więcej kłopotać, o Cichostopy - powiedziała, w przydomku Mirka słychać było wyraźną ironię - z rozkazu samego księcia ja się tym zajmuję.

- Ojczy, kapłanka Jadwiga prosiła, bym zawiadomił Jana i dwóch jego synów. Życie chłopaka jest poważnie zagrożone, mówiła, że trzeba będzie odciąć jego nogę.

- Nie widziałam jeszcze, by taki zabieg komukolwiek uratował życie - powiedziała Joanna - chętnie zobaczę tą... operację. Kim jest ta kapłanka Jadwiga?

- To nasza uzdrowicielka i kapłanka. Jest czarodziejką, jak i ty. Myślę, że nie będzie miała nic przeciwko twojej obecności, o ile zgodzą się na to ojciec i bracia rannego chłopca - powiedział kasztelan.

- Na pewno nie tak, jak ja - powiedziała z uśmiechem Joanna, pamiętając, o czym mówili jej inni czarodzieje, gdy pobierała nauki magii w stolicy księstwa. Zawsze słyszała, że była wyjątkowo silną magiczką - chodźmy - dodała, wstając od stołu...

- Cieszę się, że przy zabiegu będziesz obecna - powiedziała Jadwiga, patrząc na Joannę. Wraz z Joanną w chacie kapłanki byli także dwaj synowie Jana z nim samym oraz kasztelan. Jan nie był do końca przekonany co do obecności Joanny, ale gdy usłyszał, że i ona jest czarodziejką, uznał, że będzie to bezpieczniejsze dla jego najmłodszego syna. Jadwiga podeszła do stołu i otarła pot z rannego chłopca. Nie był przytomny.

- W zeszłym roku przeprowadziłam identyczny zabieg. Udany. Niestety, kilka dni później operowany zmarł.

- Zabieg udany, a człowiek zmarł - powiedziała Joanna z ironią - zabawne - podeszła do stołu i popatrzyła na ranę tuż nad kolanem - to z powodu tej rany chcesz odciąć mu nogę? - zapytała.

- Owszem, jest źródłem choroby - odparła Jadwiga - odsuń się od stołu, wątpię, byś znała się na ranach - Joanna popatrzyła na nią i bez słowa uniosła obie powieki chłopca. Popatrzyła w jego nieprzytomne oczy.

- Rana na jego nodze rzeczywiście była źródłem choroby - powiedziała spokojnie Joanna - ale obcięcie nogi nie uratuje życia temu chłopcu - dodała, a Jan popatrzył na nią czujnie. A zaraz po tym gniewnie popatrzył na Jadwigę.

- Mówiłaś pani, że uratujesz mojego syna!! - warknął.

- Oczywiście, że uratuję - powiedziała, nieco zmieszana, kapłanka i popatrzyła na czarnowłosą nieznajomą z wściekłością.

- To Joanna, wysłanniczka księcia - wyjaśnił kasztelan.

- Może być kimkolwiek, Sędmirze, ale niech nie przeszkadza mi w działaniach.

- Chłopiec został ranny i trawi go choroba. Nie trzeba ucinąć jego nogi, by go z niej wyleczyć. A raczej, nie należy, bo to tylko pogorszy jego stan. Jeżeli jego ojciec i bracia się na to zgodzą, zajmę się nim w imieniu księcia - Jan poparzył na Joannę i skłonił się nisko.

- Będę wdzięczny, gdy uratujesz mojego syna - powiedział.

- Ja tutaj jestem uzdrowicielką i to mi bogowie wyznaczili rolę opieki nad ludźmi - oburzyła się kapłanka.

- Z całą pewnością tak. Ale Sędogród to tylko mała osada. W stolicy księstwa, skąd pochodzę, byłam szkolona w zaawansowanym ziołolecznictwie - powiedziała Joanna - więc dokładnie umyć czystą wodą jego ranę i zabandażuj. A następnie niech chłopak zostanie przeniesiony do swojego pokoju w gospodzie. Tam go będę doglądała.

- Nie zamierzam wykonywać twoich poleceń - warknęła Jadwiga. Joanna nawet nie popatrzyła na nią.

- Kasztelanie, proszę wyjaśnić kapłance, dlaczego powinna zastosować się do mojego polecenia. Gdy wrócę, proszę oddać pod moje polecenia pachółka. Jak wrócę, od razu pójdę do pokoju chłopca w karczmie - powiedziała Joanna i ruszyła do drzwi.

- Gdzie się wybierasz? - słowa kasztelana powstrzymały ją w pół kroku.

- Do lasu - powiedziała Joanna, wyszła i z hukiem zamknęła za sobą drzwi...

- Kim ona jest, że się jej wydaje, że może kapłance rozkazy wydawać? - zapytała z oburzeniem Jadwiga.

- Ona jest wysłanniczką księcia. Przybyła tutaj w sprawie skrzatów. Jest ze stolicy, ja wierzę, że jesteś dobrą i skuteczną uzdrowicielką, Jadwigo, ale Joanna ma rację, Sędogród jest tylko małą osadą, może w stolicy ziołolecznictwo stoi na wiele wyższym poziomie - powiedział Sędmir. Jadwiga prychnęła tylko jak zgniewana kotka i podeszła do rannego z wiaderkiem czystej wody, po czym zaczęła przemywać nogę chłopca...

Czarny jak noc wierzchowiec wpadł między chaty w pełnym galopie i zatrzymał się przed gospodą. Przed jej drzwiami stała już Jadwiga i Mirko. Joanna przeniosła sprawnie nogę nad łbem klaczy i zeskoczyła z siodła. Odpięła obie sakwy i popatrzyła na Mirka.

- Każ komuś zająć się moim wierzchowcem - powiedziała i bez słowa ruszyła do karczmy.

- Chętnie popatrzę, jak sobie radzisz, może się nauczę czegoś nowego - powiedziała kapłanka.

- Dobrze, zatem będziesz mi pomagała - odparła Joanna i weszła do gospody. Po czym szybko weszła po schodach na piętro. Młody, może dziesięcioletni chłopak, czekający pod drzwiami wyprostował się.

- Kazano mi tu przyjść i być na każde pani skinienie - powiedział do Joanny. Ta kiwnęła głową i weszła do pokoju, w którym złożono rannego chłopca.

- Zostawcie nas - powiedziała do Jana i dwóch jego starszych synów - ale nie martwcie się, twój syn i wasz brat jest w dobrych rękach bogów - Joanna wymownie popatrzyła na Jadwigę - i ludzi. Mimo to muszę powiedzieć, że chłopiec może umrzeć. Ja nie jestem wszechmocna. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy. Obie zrobimy wszystko - Jan kiwnął głową i w chwilę potem wraz z synami wyszedł. Joanna popatrzyła na chłopca. Po czym położyła na stole sakwę i wyciągnęła z niej zioła.

- Też mam zioła w swojej chacie, nie musiałaś do lasu...- powiedziała Jadwiga - wystarczyło powiedzieć.

- Suszone. A świeże mają najsilniejsze działanie - powiedziała Joanna i do oddanego na posługę chłopaka rzekła - niech gospodarz w małym garnku wleje wody na cztery kufle i te zioła posieka na drobno. Potem niech wrzuci do wrzątku. I niech gotuje pod przykryciem aż zawołam - rozkazała, podając mu zioła. Poza nimi na stole było też kilkanaście kwiatów o pomarańczowych płatkach.

- A nagietki jakie mają działanie? - zapytała Jadwiga - my ich używamy głównie do upiększania oraz dla ich zapachu.

- Łagodzą obrzęk i przyspieszają gojenie ran - powiedziała spokojnie Joanna i rozłożyła na stole dużą, białą chustę - ale tylko ich płatki, więc pomóż mi - dodała Joanna i obie zaczęły zrywać płatki...

Dwa dni później stan chłopca poprawił się. Na tyle dobrze, że odzyskał świadomość. Mimo to jednak Jan pozostał w osadzie, za

radą cały czas czuwającej przy dziecku Joanny. Dopiero piątego dnia od przejęcia opieki nad dzieckiem przez Joannę...

- Wypada mi tylko podziękować po stokroć - powiedział Jan, stojąc już przy swoim wozie, na którym siedział najmłodszy syn. Joanna dała mu na drogę zapas eliksirów, jakimi miał co dzień przemywać ranę jeszcze przez jakiś czas.

- Ja tylko trochę pomogłam - powiedziała Joanna z dumą w głosie - w tej wiosce ziołolecznictwo jest mocno zacofane - dodała, mimo, że stał przy niej zarówno kasztelan, jak i kapłanka Jadwiga, która popatrzyła na nią ze złością i zawiścią.

- Cóż, zbierać się już będziemy - powiedział Jan i wdrapał się na kozła. Cmoknął na konie i trzy wozy wolno wyjechały z grodu. Joanna odwróciła się, by ruszyć w kierunku gospody, ale słowa kasztelana wstrzymały ją w pół kroku.

- Chciałbym raz jeszcze podziękować...

- Och, skończcie już z tymi podziękowaniami - przerwała mu - pomogłam, bo tutaj chłopak nie mógł liczyć na pomoc, jakiej potrzebował - dodała, znacząco patrząc na Jadwigę, czerwoną z wściekłości. A w chwilę potem Joanna zniknęła za drzwiami karczmy.

- Ależ ona jest zadufana!! - warknęła Jadwiga.

- Joanna pochodzi ze stolicy - powiedział kasztelan - pewnie w głębi kraju jest inaczej, niż tutaj, w lasach, ponoć ludzie w głębi kraju mieszkają w wiele większych domach, a i demonów czy złych zjaw ta nie ma.

- I wszyscy tacy zadufani w sobie, jak ona? - zapytała Jadwiga - przecież to dziecko jeszcze, a zachowuje się jakby wszelkie rozumy pozjadała. Co najmniej dziesięć wiosen mniej ode mnie ma!!

- Ciekaw jestem, dlaczego taki nosi przydomek, jakim mi się przedstawiła - powiedział Mirko obecny przy pożegnaniu. Jadwiga popatrzyła na niego.

- Jaki przydomek? - zapytała z zaciekawieniem - Joanna Wspaniała? - w jej głosie słychać było ironię.

- Nie. Joanna z Lasu - odparł Mirko spokojnie, choć i on w duchu przyznawał Jadwidze rację co do Joanny. W końcu Joanna było znacznie młodsza od niego. I w końcu Mirko nie jeden raz odwiedzał nocą inne kobiety w wieku Joanny. I te były znacznie skromniejsze od Joanny...

Joanna tymczasem usiadła przy jednym ze stołów w gospodzie. Było w niej kilkunastu chłopów i kilka niewiast. Domyśliła się już, że tutaj gospoda była głównym miejscem spotkań w chwilach wolnego czasu. I wyłapywała co chwilę skryte spojrzenia w jej stronę. Bo wieść o tym, że wyleczyła chłopca z choroby, wywołanej ani chybi zatrutą bronią, rozeszła się po całej osadzie błyskawicznie i Joanna była pewna, że w tej chwili chłopiec chorował już w opowieściach wieśniaków na wszelkie znane ludziom choróbstwa, z opętaniem i rozwolnieniem włącznie. Ona sama, popijając tylko czystej wody, czekała na zachód słońca. Zmarnowała tutaj już pięć dni i więcej nie zamierzała. A dostała przecież od księcia wyraźny rozkaz. Miesiąc. Postanowiła więc, mimo zmęczenia i ryzyka nocnego włóczenia się po lesie, wyruszyć na poszukiwania skrzatów już dziś, zaraz jak tylko zapadnie mrok. Wiedziała zresztą, że skrzaty najłatwiej wytopić było w nocy. Choćby dlatego, że nocą gromadziły się one przy dużych ogniskach, śpiewając, popijając korzenne piwo marnej jakości, jakie same warzyły w swoich jaskiniach i ogólnie hałasując jak banda pijaków wyrzuconych z karczmy przez straż. A poza tym ona przecież wyczuje energię ogniska z bardzo daleka. W końcu przecież jest silną czarodziejką. Drzwi gospody otworzyły się i wszedł do środka Mirko z jakąś kobietą. Oboje rozejrzeli się, Mirko zaraz kiwnął głową na Joannę i oboje podeszli.

- Joanno, mąż tej kobiety ciężko zaniemógł i...

- I co? - przerwała mu Joanna - Mirko, owszem pomogłam handlarzowi, lecząc jego syna. I zmarnowałam na to niemal tydzień. A mnie tutaj przysłano z konkretnym zadaniem. Na którego wykonanie dano mi miesiąc. Odliczając od tych trzydziestu dni drogę do stolicy, zostaje mi równo dwadzieścia dni. I tym zadaniem nie jest bynajmniej leczenie z wszelkich chorób mieszkańców osady. Od tego jest kapłanka Jadwiga.

- Ale pani, mąż mój choruje...- kobieta urwała, gdy Joanna spojrzała na nią zimnym, niemal nieludzkim wzrokiem. Jak niemal każda czarodziejka, w swoje spojrzenie Joanna umiała wpleść emocje, bądź całkowity ich brak. Ale spojrzenie, jakim Joanna zmierzyła nieznaną kobietę, było gorsze od najgorszej iluzji. Bo oczy Joanny naprawdę były pozbawione jakichkolwiek uczuć. Mirko nagle pomyślał, że tak puste spojrzenia, pełne niechęci i oziębiającej złości widział tylko u leśnych rusałek, gdy te żegnały go wzrokiem, nie mogąc skusić ani śpiewem ani pięknem ciała.

- Więc trzeba nie do mnie iść, a do kapłanki - powiedziała Joanna i przez ramię spojrzała w okno gospody. Słońce już prawie zaszło - ja zresztą czasu i tak nie mam, ruszać mi trzeba - dodała i wstała. Mirko teraz dopiero zauważył, że do pasa, poza pochwą z małym sztyletem, z którym, czego Mirko nie mógł wiedzieć, nigdy się nie rozstawała, wisiała również pochwa z mieczem.

- A gdzie ty teraz się udajesz? - zapytał Mirko - noc zapada - Joanna bez słowa ruszyła do drzwi gospody. Mirko ruszył za nią. Czarodziejka stanęła przed gospodą i wsunęła dwa palce do ust. W odpowiedzi na jej gwizd ze stajni doszło ją rzenie i huk otwieranych drzwi. Po chwili pod karczmę przybiegła klacz Joanny, niemal niewidoczna w półmroku nadchodzącej nocy.

- Do lasu, skrzatów szukać - powiedziała spokojnie Joanna i jednym susem dosiadła klaczy.

- Na bogów, o życie się nie boisz?! - krzyknął zaskoczony Mirko. W osadzie bowiem mówiło się: „niech bogowie mają w opiece tych, co lasy za dnia odwiedzają, bo nocą i bogów opieka na wiele się nie zdaje”.

- Czemuż to miałabym się obawiać? - zapytała Joanna - przecież w lasach tutejszych jeno rusałki, borowi, dziwożony i błędniaki się kręcą - dodała z lekceważeniem w głosie.

- Jeno...? - zapytał - po stokroć możesz życie stracić - jęknął Mirko. Nie, żeby jakoś specjalnie się bał, ale nigdy nie ryzykował niepotrzebnie.

- A o wapiarach słyszałeś? O wilkoludach? O drzewcach? Z rusałkami czy błędnikami nie ma obawy. A w zasadzie... Tylko obawa jest. Lata to-to po lesie i straszy podróżników o lękliwych sercach, ot co - powiedziała - a poza tym... Wszelkie rusałki i demony leśne mnie nie tykają - dodała i ścisnęła klacz delikatnie udami, ruszając z wolna w mroczną bramę grodu, przy której czekali już wojowie, by ją zamknąć. To akurat była prawda. Nigdy w życiu jeszcze nie miała żadnych kłopotów od strony rusałek czy innych, niezbyt groźnych leśnych demonów...

Las szumiał złowieszczo, a trawa i liczne krzaki falowały na lekkich powiewach wiatru. Joanna nie widziała gwiazd; widok nieba zasłaniały jej rozłożyste korony drzew. Otaczały ją zupełnie niemal ciemności. Gdzieśgdzie przez liście przebił się tylko wąty promień księżycowego światła, sprawiając, że grube pnie drzew rzucały niesamowite cienie. Joanna czuła strach, a oczami wyobraźni widziała wszędzie, za każdym drzewem, czające się na nią demony i bestie. Choć z drugiej strony wiedziała, że jako czarodziejka, najpierw by je wyczuła. Mroczna atmosfera lasu działała na nią jednak tak mocno, że patrzyła jak zahipnotyzowana przed siebie, bojąc się nawet obejrzeć. Czuła na plecach zimne dreszcze i ból w dłoni, zaciskającej się niemiłosiernie mocno na rękojeści miecza, czuła nieznosne napięcie wszystkich swoich mięśni i czuła, że jej ruchy teraz nie są miękkie i dokładne, ale sztuczne i zesztyniałe, jak na solidnym mrozie. Jednak mimo tych uczuć mroczny las wywoływał w niej jeszcze jedno uczucie, którego jednak nie potrafiła wyjaśnić, ani nawet pojąć. Czuła pewną dozę... przyjemności. To uczucie przypominało jej okres jej młodości. Bardzo wczesnej młodości, bo wszakże i teraz była bardzo młoda. Choć i tak nie pamiętała wiele. Była sierotą, znalezione w lesie, gdy jeszcze była kilkumiesięcznym dzieckiem. Ponoć póki nie skończyła pięciu lat, wokół chaty jej przybranych rodziców nocą krążyły leśne rusałki. A rano ponoć na progu chaty zawsze były świeżo zebrane grzyby, jagody i inne owoce. Od czasu, gdy w kilka lat później, zaczęła uciekać do lasu, przy którym leżała jej wioska, do jej imienia, jakie nadali jej przybrani rodzice, dołożyli przydomek. I została Joanną z Lasu. A pewnego dnia, po raz drugi została sierotą. Gdy miała dziewięć lat. I od tamtego dnia została sama. By odkryć swój wielki dar - magię - krótko przed jedenastymi urodzinami. Oras by w trzy lata

później znaleźć się na dworze księcia. Teraz miała zaledwie osiemnaście lat. I za sobą prawie trzy lata służby. Westchnęła cicho i rozluźniła nieco dłonie. Ci, którzy choć trochę ją znali, z miejsca uznawali ją za zadufaną w sobie, pełną dumy i nadętą czarodziejką, patrzącą na wszystkich z góry... Tak jak, nie przymierzając, zapewne już teraz cały Sędogród. Ale tak naprawdę była bardzo samotna. I chyba dlatego na co dzień była taka szorstka dla innych. Bo sama nigdy nie była traktowana delikatnie. Choć w głównej mierze przez los. Ostrożnie rozejrzała się i otarła moką od potu dłoń o spodnie. Nagły impuls, a właściwie cień impulsu, sprawił, że natychmiast zapomniała o swoich myślach krążących wokół tajemniczej przeszłości. Wyczuła słaby impuls ogniska. Rozpalonego gdzieś daleko. Ale teraz czuła już w miarę ciągły strumień energii od ognia. Pospieszyła klacz i jak po sznurku pojechała prosto w stronę ogniska. W samym środku nocy tylko leśne skrzaty mogły rozpaść ognisko. To znaczy... mogli być to także i ludzie, ale wtedy musieliby być szaleńcami. Tak, czy inaczej, kilka chwil później daleko, między drzewami, dostrzegła światło ogniska...

Mirko spokojnie wyszedł przed dużą chatę kasztelana i odetchnął zimnym, nocnym powietrzem. Jak zawsze, mocno wilgotnym, przepętnionym zapachem pobliskiego jeziora. Rozejrzał się, po czym ruszył w stronę wysokich schodów prowadzących na wąski, drewniany pomost na samym niemal szczycie wysokiej palisady otaczającej cały gród. Podeszedł do jednego z wojów, spokojnie krążącego wokół grodu.

- Noc spokojna? - zapytał.

- Tak, panie, cisza i spokój - powiedział uzbrojony w łuk mężczyzna - ta kobieta... sama w las pojechała?

- Tak, sama - powiedział z westchnieniem Mirko i wychylił się przez palisadę. I krzyknął z zaskoczenia. Pod bramą stała spokojnie czarna klacz Joanny.

- Jak pilnujecie grodu, głupcy, że byle klacz podejdzie pod sam gród? Oj, porozmawiam sobie ze strażnikami z wież - warknął Mirko i szybko szedł po drewnianych schodach. Dwaj wojowie otworzyli bramę i klacz spokojnie weszła do grodu. Mirko obejrzał ją dokładnie. Nigdzie nie spostrzegł śladów krwi. Naturalnie, o niczym to nie świadczyło. Joanna świadomie mogła zwolnić klacz, ale równocześnie mogła być już martwa od dawna.

- Zajmijcie się klaczą - powiedział Mirko i ruszył do dworku kasztelana. Po kilku chwilach wyszedł, z przypasanym krótkim mieczem i kołczanem pełnym strzał, przewieszonym przez plecy. W dłoni trzymał swój łuk.

- Przyprawcie mi konia - powiedział Mirko do jednego z wojów - a ojcu powiedzcie, że wyruszyłem na poszukiwanie Joanny

- dodał i szybko dosiadł kasztana. I gdy tylko wojowie otworzyli bramę, zniknął w środku nocy...

Joanna tymczasem, z krótkim sztyłem w dłoni, skradała się w stronę dużego ogniska rozpalonego na środkowej polanie. Słyszała już z daleka gromkie śmiechy skrzatów, choć przecież był środek nocy. Wcześniej całą polankę otoczyła w bezpiecznej odległości. Ale jak zawsze w przypadku skrzatów, nie było żadnej straży. Na razie jednak i tak nie miała zamiaru ujawniać swojej obecności. Choćby dlatego, że na polanie była nie, jak zawsze grupka pięciu, sześciu skrzatów, ale cała piętnastka. A wiedziała, że z piętnastką raczej już sobie nie poradzi. Czterech, góra pięciu, których już by nie zdołała zabić, z pewnością już zabiliby ją. O ile by nie uciekli. Ale z tego, co wiedziała o skrzatach, były bardzo lojalne wobec ziomków. Więc na razie tylko ostrożnie obserwowała grupkę...

Mirko szedł wolno, trzymając w dłoni uzdę swojego konia. Był najlepszym łowczym w całej osadzie. I w pełni zasłużył na tą opinię. I nawet w bladym świetle księżyca wyraźnie widział ślady, jakie zostawiła Joanna, opuszczając gród. Widział dokładnie, gdzie się udała i sprawnie szedł jej śladem. Daleko przed sobą zobaczył światło sporego ogniska. Zbliżył się do jednego z drzew i o grubą gałąź zaczepił wodze, po czym ruszył dalej sam, zaciskając dłoń na łuku. Jednak gdy przechodził obok pnia grubego drzewa, czyjeś silne, choć drobne ręce chwyciły go i pociągnęły w cień. Jedną ręką zatkała jego usta, drugą mocno chwyciła go w pasie. Mirko szarpnął się mocno, ale nieskutecznie. Poczul przy uchu ciepły oddech i zrozumiał, że trzymał go wapiersz i że za chwilę poczuje na szyi podwójne uklucia kłów bestii. Szarpnął się znów, ale nieskutecznie. I usłyszał tylko cichy szept..

- Uspokój się, bo oboje zginie - Mirko odetchnął, rozpoznając głos, a Joanna puściła go. Odwrócił się i spojrzał w jej oczy.

- Co tu robisz? - zapytała gniewnie - omal nie sprowadziłeś na nas śmierci.

- Twój koń powrócił... Myślałem, że... na ratunek ci ruszyłem.

- Mi na ratunek? - zapytała - a to dobre - westchnęła - to ja zwykle bywam na ratunek posyłana - dodała z tonem pełnym dumy - wynośmy się, nim nie nadjedzie poranek, nie mamy tu czego szukać - i zaczęła z wolna cofać się, by po chwili odwrócić się i wraz z Mirkiem oddalić się na bezpieczną odległość od ogniska, do którego skrzaty co rusz dorzucały suche drwa, zwiększając tylko ognisko. Po chwili Joanna usiadła pod jednym z dębów, do którego był przywiązany koń Mirka i oparła się o pień plecami.

- Co ci naszło, że w las nocą ruszyłeś? - Joanna gniewnie ofuknęła Mirka - sam mówiłeś, że to niebezpieczne, że po stokroć, na ile dobrze twoje słowa spamiętuje, życie można stracić - popatrzył jej w oczy.

- Nie chciałem, by ci się co złego przytrafiło. Poza tym, twój koń...

- Klacz - poprawiła go Joanna.

-...twoja klacz sama wróciła do grodu, pomyślałem o najgorszym.

- I co, po trupa przyjechałeś? Oj, staryś, a głupiś. Ojcu tylko zmartwień przyprawiasz.

- Bałem się o ciebie - powiedział - poza tym ja mam dwadzieścia osiem lat, niejedno już widziałem - dodał - podróż nocą po lesie dla mnie to nie pierwsza - gdzieś niedaleko trzasnęła sucha gałąź i Mirko drgnął gwałtownie, sięgając po miecz, leżący obok niego. Joanna natomiast tylko spokojnie popatrzyła w miejsce, by się upewnić, czy dobrze wyczuła energię żywej istoty. Dobrze. Mały królik po chwili zniknął w zaroślach.

- Wiek zupełnie o niczym nie świadczy - powiedziała - ja mam tylko osiemnaście lat, a bez mała więcej od ciebie widziałam. I nie bój się, to był tylko królik.

- Nie boję się - powiedział Mirko dumnie.

- Nie boisz się? - zapytała, patrząc w jego oczy. I znów Mirko miał wrażenie, że nie patrzy w oczy kobiety, ale w oczy ześlonej, leśnej rusałki.

- Nie, znam okoliczne lasy - domyślał się już, że jej oczy rzeczywiście musiały wiele widzieć. O wiele za dużo, jak na jej wiek. Tak przynajmniej myślał.

- Tylko głupcy i szaleńcy się nie boją - powiedziała - strach, trzymany w ryzach zdrowego rozsądku jest dobry.

- Do licha, Joanno, od dnia, w którym się spotkaliśmy, po stokroć dałaś mi odczuć, że ty, pochodząca ze stolicy, jesteś, od nas, mieszkańców Sędogrodu, lepsza we wszystkim. I udało ci się zrazić do siebie co najmniej połowę osób z osady, łącznie ze mną. Nie musisz bez przerwy udowadniać mi, jaka to jesteś wspaniała - warknął - martwiłem się o ciebie, ale widzę, że nie potrzebnie.

- Nie uważam się wcale za lepszą - powiedziała spokojnie Joanna, choć nieco dotknęły ją słowa Mirka. Tym bardziej, że wiedziała, że ma rację.

- Oczywiście - powiedział Mirko - tylko że przez ciebie kapłanka Jadwiga niepotrzebnie nosa z chaty nie wystawia, a jak do niej przyjdź, to wściekła jak osa chodzi, po tym, jak ją poniżyłaś przed tym kupcem, że o moim ojcu nie wspomnę - Joanna popatrzyła mu w oczy.

- Wkrótce wyjadę i zapomnieć o Joannie z Lasu - powiedziała - zawsze wszyscy zapominają - dodała ze smutkiem w głosie - śpij - w stronę Mirka wysunęła dłoń szepcząc jednocześnie zaklęcie. Mirko bezgłośnie osunął się na trawę, a Joanna otarła dwie łzy, jakie nagle napłynęły do jej oczu.

- Zawsze wszyscy zapominają... - powtórzyła własne słowa do samej siebie...

Mirko podniósł się gwałtownie i rozejrzał. Obok niego siedziała Joanna.

- Co się stało? - jęknął i przetarł twarz.

- Nic, po prostu zasnąłeś - powiedziała - czas wstawać. Myślę, że leśne skrzaty z wolna też będą się budzić po całonocnych harcach - dodała, wstając z trawy - a ty wracaj do wioski, kasztelan się będzie niepokoił - Mirko prychnął.

- Ja jestem już dorosłym mężczyzną, moje dziecko - powiedział i znów, jak kiedyś nad rzeką, nawet nie dostrzegł jej ruchu. Poczł tylko ostrze sztyletu na swojej szyi.

- Nie jestem dzieckiem - warknęła - a na pewno nie twoim.

- Bawi cię to? - zapytał - przykładanie noża do gardła każdemu, kto tylko da ci na to szansę? - zapytał. Joanna błyskawicznie schowała nóż.

- Nie jestem dzieckiem - warknęła gniewnie.

- Nie musisz się od razu tak unosić - powiedział - a twoi rodzice? Jak to się stało, że jesteś tym, kim jesteś?

- Którzy? - zapytała, znów patrząc mu w oczy - bo ja zostałam sierotą dwa razy - dodała. Mirko patrzył jej w oczy. Przywykł do jej pustego spojrzenia. A raczej... nie tyle pustego, co tak bardzo podobnego do tego, jakim darzyły go rusałki. Joanna rzeczywiście potrafiła spojrzeć, tak, jak patrzy tylko leśna rusałka. I był pewny, że mogłaby skusić dowolnego mężczyznę równie skutecznie, co ona. O ile tylko by chciała - chociaż... pamiętam tylko tych drugich.

- Wiem, że jesteś czarodziejką - powiedział spokojnie - więc nie strasz mnie iluzorycznym wzrokiem - Joanna uśmiechnęła się.

- Jestem. Mam osiemnaście lat. Ale nie myśl, że straszę ludzi iluzorycznymi spojrzeniami. Może i mam dopiero osiemnaście lat, ale naprawdę nie jedno przeżyłam - znów popatrzyła mu w oczy zimnym jak lód spojrzeniem - do zobaczenia w osadzie - dodała i ruszyła w stronę ogniska, jakie zeszłej nocy rozpały leśne skrzaty.

- Do zobaczenia - odparł Mirko i dosiadł konia. I po chwili zniknął między drzewami...

Leśne skrzaty rzeczywiście zbudziły się ze snu, w większości. Jeden z nich, z najdłuższymi, szpiczastymi uszami wystającymi spod zielonej, jak jego skóra, czapki, gęstymi kopniakami rozbudzał pozostałych. Wreszcie z trawy powstały już wszystkie skrzaty i natychmiast kilku z nich rozbiegło się w różnych kierunkach. Joanna wiedziała, że polanka znajdowała się stosunkowo niedaleko rzeki, była więc pewna, że kilku z nich pobiegło właśnie nad brzeg rzeki po świeżą wodę. W tym czasie pośrodku polanki znów zapłonął ogień i Joanna poczuła energię bijącą od ogniska. Przyjemnie ciepła. Ułożyła się na trawie i wsunęła żdźbło trawy do ust. Prawdę powiedziawszy, to leśne skrzaty, poza tym, że potrafiły bardzo szybko maszerować, potrafiły również całymi godzinami leżeć bez ruchu, pod warunkiem, że miały pod dostatkiem jedzenia. A sądząc po zapachu, jaki zaczął docierać do Joanny (była pewna, że nad ogniem wolno piecze się sarna) poznała, że czekają ją nudne, długie i przede wszystkim głodne godziny. Ale z zaskoczeniem przyznała, że grupka, jaką obserwowała, była bardzo bogata. Zamiast prymitywnych, topornie zrobionych broni, zazwyczaj kamiennych, nosiły z dumą bojowe, topory, jakby robione właśnie dla nich. A także nosiły lekkie, skórzane pancerze. Joanna widziała także z rzadka błysk złota, czy to na palcach, czy też w uszach co niektórych skrzatów. Nawet Joanna nie nosiła żadnych ozdób, poza jednym srebrnym kolczykiem w lewym uchu o kształcie półksiężyca. Który zresztą zazwyczaj był zasłonięty jej zawsze rozpuszczonymi, kruczocarnymi włosami. Takie bogactwo było podejrzane, wiedziała bowiem ze skarg i donosów napadniętych kupców, że leśne skrzaty zwykle poprzestawały na samym ataku, nie zabierając zbyt wiele. Zresztą, nawet wtedy musiałyby sprzedać zrabowane przedmioty. Więc o ile skrzaty, które obserwowała, nie miały prywatnej kopalni złota, to nie miała pojęcia, skąd miały takie drogie, bądź, co bądź, a szczególnie dla nich, rzeczy. Zastanawiała się, co będzie się działo dalej. Ze sobą nie miała zbyt dużych, a właściwie, żadnych zapasów jedzenia. A magią nie mogła przez długi czas usuwać głodu i zmęczenia. Chyba jednak bogowie zlitowali się nad nią. Bo z lasu wytoczył się wolno duży wóz kupiecki. Joanna, zaskoczona, uniosła się nieco na łokciach. Z kozła zeskoczył mężczyzna w średnim wieku. Joanna magią wzmocniła swój słuch. Mężczyzna przywitał się z przywódcą grupy. Mówił w języku... księstwa graniczącego z księstwem Joanny od zachodu. Na szczęście, Joanna знаła podstawy obcego języka.

- Witam was - powiedział nowo przybyły mężczyzna.

- Przywiozłeś? - nawet w obcym języku głos skrzatów brzmiał gardłowo i twardo. Mężczyzna skinął głową i ruszył na tył wozu. Wyciągnął z niego dużą, drewnianą skrzynię. Po czym położył ją na trawie pod nogami dowódcy skrzatów i jednym ruchem wysypał całą jej zawartość. Joanna pozwoliła sobie tylko na ciche westchnięcie. Z donośnym brzdękiem na trawę wysypały się złote monety. Dużo złotych monet. Joanna uniosła brwi. A skrzaty, mimo wielkiego skąpstwa, z jakiego słynęły, nie drgnęły. Patrzyły tylko za zawartość skrzyni wybałuszonymi, żółtymi oczyma.

- Już po wszystkim wasza grupa dostanie jeszcze dwie takie - powiedział mężczyzna - wasze będzie też to, co sami zdobędziecie.

- Rozumiemy - odparły skrzaty chórem. Za to Joanna nie rozumiała nic. Po wszystkim? Czyli po czym? Na razie, na tą chwilę rozumiała tylko tyle, że wzdłuż całej zachodniej granicy jej księstwa nagle wystąpiły ataki skrzatów na ludzi. I tylko po stronie jej księstwa, z tego, co się wiedziało książę.

- Więc żegnam - odparł mężczyzna i wskoczył na wóz. Joanna zaczęła się wycofywać, by po chwili podnieść się na nogi. Znała mniej więcej kształt traktu, biegnącego niedaleko polanki, na której zebrały się skrzaty. I jeżeli mężczyzna wybierał się do Sędogrodu, nie miała zbyt wiele czasu. Zakłębem usunęła zatem swoje zmęczenie i znacznie zwiększyła swoją szybkość. I po prostu zaczęła biec na skróty. Dzięki magii poruszała się niemal trzykrotnie szybciej od zwykłego człowieka. Niestety, zdawała sobie sprawę z konsekwencji, jakie będzie czuła następnego dnia. Ale dzięki temu znacznie wyprzedziła wóz. Wreszcie między drzewami zobaczyła trakt. Zwolniła nieznacznie i zatrzymała się na wąskiej, leśnej drodze. Dyszała ciężko i szeroko otwartymi ustami łapała hausty powietrza. Wreszcie jej serce powróciło do normalnego rytmu i Joanna ruszyła wolno, kierując się w stronę Sędogrodu, by po chwili zatrzymać wóz handlarza, którego widziała, gdy płacił za coś skrzatom.

- Witaj, dokąd zmierzasz? - zapytała.

- Znasz mój język? - zapytał mężczyzna w odpowiedzi w swoim języku.

- Tak, mówię w twoim języku - powiedziała Joanna w jego języku nie bez trudu składając zdanie. Dopiero od niedawna uczyła się obcych języków. Po chwili ponowiła swoje pytanie.

- Jadę do Sędogrodu. A ty co robisz? Konno nie podróżujesz? - zapytał.

- Podróżowałam... Ale koń mi zbiegł. Czy możesz mnie zabrać ze sobą? - zapytała. A mężczyzna skinął głową. I Joanna usiadła na kozle. Wiedziała, że nie ma zbyt wiele czasu i dlatego rzuciła na mężczyznę silne zaklęcie. Któremu poddał się bez oporów.

- Za co płaciłeś leśnym skrzatom? - zapytała, patrząc mu w oczy. Zaklęcie opanowało jego umysł, sprawiając, że na chwilę stracił uczucia i własną wolę.

- Za napady kupców podróżujących przez tutejsze lasy - powiedział bezbarwnym głosem, patrząc tępo przed siebie.

- Za co mają dostać dwie skrzynie pełne złota, gdy będzie po wszystkim? Odpowiadaj! - z jej ust padło kolejne pytanie.

- Król mojego państwa wyrusza z wyprawą wojenną przeciwko twemu księciu. Za pięć dni nasze wojska przekroczą wasze granice. Leśne skrzaty mają nam pomóc w wojnie. Mój król chce sobie twoje księstwo podporządkować.

- Gdy zdejmę z ciebie za chwilę zaklęcie, nie będziesz pamiętał niczego o tej rozmowie. O tym, że w ogóle na ciebie rzuciłam zaklęcie, także, rozumiesz?

- Tak.

- Dobrze - powiedziała Joanna i zdjęła z niego zaklęcie. Mężczyzna podskoczył na kozle i przetarł oczy.

- Co się stało, gdzie ja...? - zapytał, rozglądając się wokół.

- Spokojnie - powiedziała z uśmiechem Joanna - zdrzemnąłeś się - dodała z uśmiechem - dojeżdżamy już - rzeczywiście, już było

widać wioskę, leżącą w dolinie...

Wóz wjechał wolno do grodu. Joanna zeskoczyła z kozła. Już czuła lekki ból głowy po dużej ilości zaklęć, jakie rzuciła. Zagraniczny handlarz także już zeskoczył. Do wozu podszedł kasztelan z synem.

- Witaj, kasztelanie - powiedziała Joanna i jednym uderzeniem pozbawiła handlarza przytomności - tego tu trzeba zamknąć tak, żeby nie uciekł. I zabrać mu wszystko, co ma, by nie mógł żadnej wiadomości przesłać poza osadę. Mirko, zajmij się tym proszę - dodała - a ciebie, kasztelanie, proszę na prywatną rozmowę - Joanna pierwsza ruszyła do grodu Sędomira.

- I co my teraz zrobimy? - zapytał Sędomir, gdy Joanna przekazała mu to wszystko, czego dowiedziała się od szpiega zza granicy. - My? - zapytała Joanna - ty możesz zacząć myśleć o przygotowaniach grodu do wojny.

- Joanno... Chciałbym zaproponować ci, byś została w osadzie. Chętnie wynajmę cię jako naszą uzdrowicielkę. Osoba z twoimi umiejętnościami i doświadczeniem byłaby bardzo mile widziana w zbliżającej się wojnie. Dostaniesz u nas posiłek, dach nad głową i wszystko inne, co ci będzie potrzebne - Joanna roześmiała mu się w twarz.

- Jestem na służbie u księcia - powiedziała - i nie mogę tutaj zostać. Muszę ponadto zawiadomić księcia o obecnej sytuacji. Czy możesz wezwać Jadwigę do mojego pokoju w gospodzie? Będzie mi potrzebna.

- Powiem natychmiast.

- Dziękuję - powiedziała Joanna i wyszła z chaty Sędomira i szybko ruszyła do gospody. Potrzebowała Jadwigi, by móc nawiązać kontakt z czarodziejem w stolicy księstwa. Joanna potrzebowała pomocy, bo... Taka była natura magii. Czarodziej mógł ściągnąć w ciągu doby określoną ilość energii. Dla każdego czarodzieja limit ten był inny, ale był. A przekroczenie go groziło nawet śmiercią. Po prostu nie wytrzymał tego umysł. Czary wymagały odpoczynku. A Joanna czuła już, że tego dnia niebezpiecznie blisko zbliżyła się do swojej granicy...

- Kasztelan mówił, że mnie potrzebujesz - drzwi pokoju wynajmowanego przez Joannę otworzyły się. W ich progu stała Jadwiga. - Tak, potrzebuję twojej pomocy - powiedziała Joanna, stojąc do niej plecami. Patrzyła w okno. Za niecałą godzinę miało zająć słońce.

- Gdy mówił to kasztelan, nie wierzyłam, ale jednak, wielka uzdrowicielka Joanna potrzebuje pomocy, skromnej, wioskowej...

- Daruj sobie ironię - powiedziała Joanna odwracając się w stronę kapłanki. A Jadwiga aż zadrżała na jej widok. Joanna była śmiertelnie błada, oczy miała silnie podkrążone, a czoło pokryte perlistym potem.

- Natura magii? - zapytała. Joanna potwierdziła skinieniem głowy.

- Nie spałam od zeszłego poranka. A pilnie potrzebuję nawiązać kontakt ze stolicą - powiedziała Joanna. Jadwiga uniosła bezradnie dłonie.

- Nie jestem aż tak potężna. Nie dam rady. Nie mam aż takiej mocy - Joanna westchnęła. Za pięć dni jej księstwo zostanie najechane. Jej kłacz, wzmocniona magią, w ciągu trzech dni dojedzie do połowy dystansu między Sędogrodem a stolicą. Nawet jak po prostu zajędzie na śmierć swoją kłacz, nie dotrze na czas. A teraz liczył się każdy dzień. Po prostu nie mogła przekazać tej wiadomości nawet jutro. Książę musiał dowiedzieć się o tym teraz.

- Więc zrobię to sama - powiedziała Joanna i spod łóżka wysunęła glinianą misę, przeznaczoną do mycia.

- To cię zabije - powiedziała Jadwiga - nie możesz!!

- Wypełnij ją wodą, proszę - powiedziała spokojnie Joanna, siadając na podłodze i ustawiając przed sobą misę.

- Nie pomogę w samobójstwie.

- Przecież pragniesz, bym zniknęła z wioski - powiedziała Joanna - wypełnij, albo sama to zrobię, ale wtedy umrę jeszcze szybciej i mogę nie zdążyć wszystkiego przekazać - Jadwiga westchnęła i rzucając zaklęcie, wypełniła wodą misę.

- Jeżeli mogę ci jakoś pomóc...

- Możesz - powiedziała Joanna - możesz spróbować uratować moje życie jak będzie po wszystkim. A teraz mi nie przeszkadza

- Jadwiga usiadła w kącie pokoju a Joanna nachyliła się nad misą. I ostrzem noża ukuła się w palec. Po chwili trzy krople jej krwi rozmyły się w wodzie. I Joanna, patrząc w wodę, westchnęła. I zmówiła zaklęcie. Natychmiast poczuła ból, gdy energia zaczęła przepływać przez jej umysł. Zdała sobie sprawę, że wkroczyła właśnie na drogę bez powrotu. Po kilku chwilach w wodzie, zamiast swojego odbicia, Joanna ujrziała brodatą twarz starszego mężczyzny.

- Witaj, Zdzisławie - powiedziała Joanna i zacisnęła obie pięści z bólu, aż trzasnęły stawy - nic nie mów, słuchaj, nie mam wiele czasu - dodała, nim czarodziej po drugiej stronie odezwał się - za pięć dni wojska zza zachodniej granicy wkroczą do naszego księstwa... Tą informację...- Joanna przełknęła ślinę. Ból stawał się coraz silniejszy i Joanna z trudem skupiała się na tym, co chce powiedzieć -...zdobyłam zaklęciem. Jest pewna... i musisz...

- Natura magii...- westchnął smutno mężczyzna - ty przekroczyłaś granicę...

- Przekroczyłam... Musiałam... mam nadzieję, że zrozumiesz...- jęknęła cicho Joanna.

- Asiu, dlaczego? - uśmiechnęła się przez ból. Nikt nigdy tak jej nie nazywał. Nikt, poza nim. Dla innych zawsze była Joanną. Joanną z Lasu. Obcą, nie lubianą. Wręcz nienawidzoną. Ale wiedziała, że nie dla tego jednego mężczyzny po drugiej stronie.

- Wiesz... że musiałam... nie było czasu... nie wiem, czy... czy... jeszcze się zobaczymy... Zawiadam księcia... To najważniejsze... powiedz mu, niech szykuje wojska do wojny. Ma pięć dni. To... to całkiem dobra śmierć...

- Asia!! - mężczyzna po drugiej stronie dotknął wody dłonią, ale to tylko nieco zniekształciło obraz, gdy tafla płynu zafalowała lekko. Joanna odchyliła głowę do tyłu. Teraz była już pewna, że nawet nie musi rzucać kolejnego zaklęcia, by przerwać połączenie. Bo to za chwilę zerwie się samo.

- Wybacz mi... Zawiadam... księcia... Pięć dni...- Joanna popatrzyła w oczy Zdzisława - będę... czekała na... ciebie... Gdzieś tam...

- Asia!! - krzyknął mężczyzna. Nawet Jadwiga usłyszała jego krzyk wydobywający się z misy. Z obu dziurek w nosie Joanny spłynęły dwie krople krwi. Wpadły do miski i rozmyły się w obrazie Zdzisława. Czarodziejka osunęła się na podłogę półprzytomna, a obraz w misce wody rozmył się.

- Mirko!! - krzyknęła Jadwiga, ruszając do leżącej na podłodze Joanny. Mirko wszedł szybko do pokoju i z pomocą Jadwigi ułożył Joannę na łóżku. Kapłanka otarła krew Joanny z jej twarzy i nosa. Żyła, ale miała zamknięte oczy.

- Uratujesz ją? - zapytał Mirko.

- Nie wiem, jej serce jeszcze bije...- westchnęła kapłanka i zaczęła szeptać leczniczą formułę.

- Mirko...- szepnęła Joanna, półprzytomnie otwierając oczy - otwórz okno... Chcę... chcę widzieć ostatni zachód słońca...- jęknęła. Mirko i Jadwiga popatrzeni sobie w oczy. I gdy syn kasztelana wykonał prośbę, do pokoju dotarło smutne zawołanie leśnych rusalek niesione od strony lasu. Dla Joanny brzmiało dziwnie znajomo...

MarcinD

Maestro ::: Bez Tytułu

Akt pierwszy - „Powrót do korzeni”

Nowy Jork, 12 lipca, godzina 23:36, pada lekki deszcz, pomimo późnej pory po chodnikach nadal chodzą ludzie, w kałużach odbijają się światła neonów. Wśród spacerujących znajduje się też pewien młody człowiek, na pozór niczym niewyróżniający się z tłumu. Tak samo jak wszyscy podąża swoją, własną ścieżką, kroczy gdzieś w odmętach życia, stawia czoła trudnością, tak samo jak inni marzy, pragnie, śni, czuje, kocha, cierpi, nienawidzi... lecz czy na pewno tak samo? Mężczyzna podąża przed siebie. Nagle zatrzymuje się słysząc cichą muzykę.

(Mężczyzna) „Och... co to? Czy mnie słuch nie myli? Już gdzieś słyszałem tę melodię. Nie dam głowy, ale brzmi bardzo znajomo.”

Człowiek skręcił w zaułek. Uliczka, była ciemna, gdzieś po lewej stronie stał kontener na śmieci. Mężczyzna szedł dalej, mijając starą, niedziałającą latarnię. Dźwięk nasilał się coraz bardziej i bardziej. Im głośniejsza była muzyka tym bardziej Człowiek przyspieszał. Nagle dźwięk ucichł.

(Mężczyzna) „Zaraz... gdzie muzyka?! Dźwięk dobiegał mniej więcej z tego miejsca.”

Mężczyzna zrobił jeszcze parę kroków, zrobiło się zupełnie ciemno, Księżyc został zasłonięty przez ciemne chmury. Zaczął wiać silny wiatr, zgiełk miasta stał się niemal niesłyszalny... nastała cisza... Mężczyzna stał w bezruchu, niczym sparaliżowany, wpatrując się gdzieś w bezgraniczną ciemność. Krople deszczu spływały po jego twarzy. Najpierw powoli niczym mała, leniwa rzeka, by wreszcie przyspieszyć niczym rwący potok. Wtem znów... znów dało się słyszeć muzykę, tę samą co wtedy. Człowiek zaczął biec w stronę dźwięku. Wreszcie zatrzymał się, źródło dźwięku było dokładnie przed nim. Nagle zza chmur przebiły się promienie Księżycy skupiając się na małej rzeczy przez Mężczyznę. Człowiek podszedł bliżej, jego oczy nabrały blasku, nie spodziewał się znaleźć czegoś tak pięknego w tak ponurym, zdający się zapomnianym miejscu. Postać nachyliła się i podniosła przedmiot. Była to mała, lekko zabrudzona pozytywka.

(Mężczyzna) „Hmm... więc to ty mnie tu przywiodłaś, lecz w jakim celu? Może to przypadek, ale równie dobrze może być to przeznaczenie, które w końcu przyciągnęło mnie do Ciebie.”

(Człowiek #1) „Hej koleś uważaj, bo się rozplączę!”

(Mężczyzna) „Kto tu jest?!”

Z ciemności wyłoniły się dwie postacie. Pierwsza w szarym płaszczu, trzymała rękę w kieszeni, druga postać stała gdzieś z tyłu nie ukazując swojej twarzy, jak gdyby bojąc się, że ujawniając swe oblicze otworzy są duszę i zatraci skrywane tajemnice.

(Człowiek #1) „A teraz grzecznie oddasz nam pieniądze, prawda?”

(Człowiek #2) „Odda, odda, nie wygląda na takiego, który chciałby przyspieszyć swoją śmierć.”

(Człowiek #1) „Więc jak będzie? Uprzedzam, że potrafimy być bardzo niemili”.

Mówiąc te słowa napastnik wyciągnął z kieszeni stary, zardzewiały rewolwer. Skierował lufę ku przestraszonemu Mężczyźnie. Deszcz nasilił się, gdzieś w oddali dało się słyszeć dźwięki grzmotów, nadejście burzy było nieuniknione.

(Mężczyzna) „Nic wam nie oddam! Zostawcie mnie w spokoju!”

Facet stojący z tyłu podbiegł do Mężczyzny uderzając go metalową rurą w twarz. Mężczyzna padł na ziemię uderzając głową w bruk, pozytywka upadając na kamień pękła, muzyka jednak grała nadal. Po twarzy Mężczyzny spłynęła krew mieszając się ze strugami deszczu. Facet z metalową rurką nachylił się nad „ofiara”, zaczął szybko przeszukiwać kieszenie kurtki rannego.

(Mężczyzna #2) „Ech... mamy dzisiaj pecha, nasz przyjaciel ma tylko kilka drobnych, nie przydał nam się zbytnio”

(Człowiek) „Nie ujdzie wam to na sucho” - wycodził kilka słów z ust pełnych krwi.

(Mężczyzna #2) „Milcz psie!”

Facet trzymający rurkę wyrwał rewolwer z ręki kompana i wymierzył w leżącą na bruku ofiarę... pociągnął za spust. Kula trafiła prosto w głowę. Strugi krwi rozprysły się wokół ochlapując twarz postaci, która nadal trzymała rewolwer skierowany w stronę Mężczyzny, ścianę budynku oraz pozytywkę. Głowa Mężczyzny leżała w kałuży krwi spływającej strumieniem do studzienki kanalizacyjnej kilkadziesiąt centymetrów dalej. Deszcz jakby ustawał, muzyka pozytywki była jedynym dźwiękiem dającym się słyszeć.

(Człowiek #2) „Chodźmy stąd. Nie znoszę widoku krwi. Nie jestem przecież sadystom, nie?”

Obaj napastnicy obrócili się odchodząc w otchłań ciemności. Gdzieś w oddali słychać było dźwięk dzwonu, był to dzwon kościoła... dzwon obwieszczający zakończenie i początek, kolejność niektórych rzeczy jest niezaprzeczalna... wybija północ. Pozytywka umilkła. Znikąd zaczęło pojawiać się światło, które wypełniło całą przestrzeń, biel... świetlista biel wypełniła cały obszar, przyćmiewając wszystko wokół. Gdy światło przygasło w miejscu tragedii stały trzy postaci. Były to Mężczyzna z pozytywką oraz dwóch bandziorów - jeden z rewolwerem, drugi z metalową, zardzewiałą rurką.

(Mężczyzna) „Co-co się dzieje?! To już się stało wcześniej!”

(Człowiek #1) „Patrz, jakiś psychol nam się trafił!”

(Człowiek #2) „Nie marnujmy czasu. Rozwal mu łeb!”

Facet z rewolwerem pociągnął za spust. Mężczyzna skierował ręce ku przeciwnikom jakby naiwnie wierzył, że kruche, ludzkie ręce są w stanie osłonić go przed śmiertelnym niebezpieczeństwem niesionym przez pocisk.

(Mężczyzna) „Nieeeeeeeeeee!!!”

Wtem znikąd znów pojawiło się oślepiające światło, pochłaniające wszystkich i wszystko wokół. Oślepiająca, przenikająca całość jasność... Po kilku sekundach światło zniknęło, trójka ludzi leżała na ziemi. Nikt się nie ruszał. Młody mężczyzna, dwóch bandziorów, wszyscy nieżywi. Ten mały, ciemny zaułek stał się ich grobowcem... przynajmniej do rana, kiedy to śmieciarze odwiedzą tę okolicę. Czy naprawdę wszyscy oni zasłużyli na taki los?... Co właściwie się wydarzyło?... Nagle jeden z ludzi gwał-

townie się podniósł... to ten młody mężczyzna, ten który został wybrany by istnieć ponownie. Dlaczego on? Co jest w nim takiego silnego? Tak silnego, że dostał jeszcze jedną szansę. Szansę na powrót.

(Mężczyzna) „C-co się...” - nie mógł wykrztusić słowa, był zupełnie wycieńczony niczym wojownik po wygranym starciu.

(Mężczyzna) „Czy to wszystko jest prawdziwe? Jeśli tak, to co się tak właściwie stało? Chyba nie może być to...” - mężczyzna urwał wypowiedź kierując wzrok w stronę pękniętej pozytywki. Było w niej coś tajemniczego, coś czemu nie można było się oprzeć.

(Kobięcy głos) „Nie lękaj się”.

(Mężczyzna) „Zaraz, zaraz, kto tu jest?! Pokaż się!”

(Kobięcy głos) „Nie lękaj się. Zapamiętaj moje słowa i zapamiętaj je dobrze, wszystko ma swoją przyczynę, nic nie jest bezcelowe. Spadający liść, każda fala na wzburzonym oceanie, każda kropla rosy na porannej trawie. Każdy szczegół ma swój cel, jedna kropla deszczu może zmienić wszystko.

(Mężczyzna) „Pokaż się, proszę”.

(Kobięcy głos) „Weź pozytywkę, weź ją, niech jej muzyka ukoji twą zmęczoną duszę”.

Nastąpiła cisza.

(Mężczyzna) „Hej! Odezwiij się! Gdzie jesteś?! Potrzebuję pomocy, nie zostawiaj mnie tu, proszę nie zostawiaj mnie, potrzebuję twojej...” - Mężczyzna upadł na ziemię, nie miał siły wstać...

Akt drugi - Pytanie za 100 milionów dolarów

Nieduże mieszkanie w starej zabytkowej kamieniczce, gdzieś w Nowym Jorku, 13 lipca, godzina 11:36. Poranne promyki Słońca wdzierają się poprzez brudne okna czule pieszcząc twarz leżącego na kanapie mężczyzny. Wygląda na to, że pokój nie był sprzątnięty już od dłuższego czasu. Porozrzucone książki i ubrania, kurz na meblach, resztki jedzenia na klawiaturze komputera, który stał przed łóżkiem. Promienie Słońca skupiły się na oczach leżącego człowieka. Mężczyzna powoli otworzył oczy, lecz zaraz je zamknął. Nie przyzwyczał się jeszcze do rannego Słońca, nie był na nie gotowy. W końcu postać podniosła się i usiadła na kanapie wpatrując się w ekran komputera.

(Mężczyzna) „Ech... co za koszmarny sen, a jaki realistyczny, naprawdę wydawało mi się, że tam jestem. Cóż czas stawić czoło rzeczywistości. Praca, znajomi... ech... czasem odechciewa mi się wszystkiego, chciałbym kiedyś to wszystko rzucić i odejść. Lecz nic... trzeba dalej nieść swój krzyż poprzez życie.”

Mężczyzna wstał i skierował się do pomieszczenia na lewo. Była to kuchnia. Usiadł na krześle i włączył ekspres do kawy.

(Mężczyzna) „Hm... strasznie mnie boli głowa, pewnie trochę wczoraj przesadziłem w barze. Jezu, muszę z tym skończyć. Mocna kawa na pewno postawi mnie na nogi.”

Po chwili kawa była gotowa. Mężczyzna wziął dzbanek i skierował się w stronę szafki, otworzył ją i wyjął filiżankę, do której wlał zawartość dzbanka. Postać skierowała się z powrotem do pokoju. Człowiek już miał usiąść na kanapie, gdy rozległ się dźwięk dzwonka.

(Mężczyzna) „A to znowu, kto?” - powiedział pod nosem, stawiając filiżankę na stole.

Mężczyzna podeszedł do drzwi, o dziwo, nie były one zamknięte na klucz, jak to zawsze było. Za drzwiami stał młody chłopiec o brązowych włosach, na ramieniu trzymał plecak wypełniony gazetami.

(Chłopak) „Dzień dobry, świeża gazeta dla Pana”

(Mężczyzna) „Dzięki mały” - rzucił mężczyzna odbierając zwiniętą w rulon gazetę.

Mężczyzna zamknął drzwi i skierował się na kanapę, usiadł, chwycił filiżankę i wziął dwa łyki.

(Mężczyzna) „Cholera! Ta przeklęta kawa znowu mi wystygła! Nic, to zobaczymy co tam w prasie.”

Człowiek rozwinął gazetę i zaczął ją energicznie przeglądać, gdy dotarł do jednej ze stron momentalnie zamarł. Wyglądał jakby zobaczył ducha, niepokój emanował z jego spojrzenia. Wpatrywał się tak przez kilka chwil nim złapał oddech.

(Mężczyzna) „Nie... nie... to... nie może być prawda... przecież... to był tylko sen. Dwóch martwych mężczyzn zostało znalezionych dzisiaj wczesnym rankiem. Nie odnieśli żadnych powierzchownych ran. Policja nie chce udzielić żadnych informacji na ten temat. Śledztwo jest w toku... ale to był tylko sen, tylko sen...”. To wszystko nie miało miejsca, ciemny zaułek... pozytywka... to tylko moja wyobraźnia”.

Wybiła godzina 12:00, wtem skądś zaczęła płynąć muzyka.

(Mężczyzna) „Nie. Nie! To nie może być...”

Mężczyzna gwałtownie poderwał się z kanapy i podbiegł do czarnej kurtki wiszącej na wieszaku obok drzwi. Szybkim, energicznym ruchem ściągnął ją z wieszaka i zaczął ją skrupulatnie przeszukiwać szukając źródła dźwięku. Gdy mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni zatrzymał się, powoli wyciągnął rękę wraz ze starą, pięknie zdobioną pozytywką. Była ona wykonana z pięknego szlachetnego, czerwonego drewna. Gdzieś niegdzie można było zauważyć złote dodatki dodające majestatu kosztownemu drobiazgowi. W miejscu służącym do otwierania pozytywki znajdował się mały medalion pokryty różnymi symbolami.

(Mężczyzna) „To niemożliwe...” - powiedział z trudem przełykając ślinę.

Mężczyzna usiadł na kanapie cały czas trzymając grającą pozytywkę w rękę.

(Kobięcy głos) „Nie bój się swojego przeznaczenia. Dostałeś wielkiego zaszczytu, dostałeś wielki dar... dar o którym ludzie mogą tylko śnić”.

(Mężczyzna) „A-ale, co to... co to wszystko znaczy? Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz?”

(Kobiety głos) „Nie obawiaj się wszystko będzie dobrze. Jestem Jej sercem, sercem Tej, dla której istniejesz. Zostałeś hojnie obdarowany przez Wszechświat. Nawet nie wiesz, jak bardzo.”
(Mężczyzna) „Nie, nie, to nie dzieje się naprawdę. Boże! Chcę się obudzić! To tylko sen, tylko sen...”

Akt trzeci - Figle życia

Wtem muzyka ucichła i rozległ się dźwięk pukania do drzwi. Mężczyzna powoli położył pozytywkę na stole. Powolnym krokiem zbliżył się do drzwi. Pukanie nasiliło się.

(Mężczyzna) „Przecież idę!”

Gdy mężczyzna dotarł do drzwi skierował rękę w kierunku klamki, gdy ją złapał poczuł przeraźliwe zimno przeszywające całe jego ciało. Człowiek otworzył drzwi. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, a oczy zaczęły bić ciepłym blaskiem.

(Kobieta) „Witam. Dawno cię nie widziałam. Byłam ciekawa, dlaczego się do mnie nie odzywasz, nie odpowiadasz na e-maile?”

(Mężczyzna) „Wiesz, jak to jest. Nigdy nie ma czasu, nieważne jak dokładnie rozplanujesz każdy dzień, każdą godzinę, czy każdą sekundę to i tak nie jesteśmy w stanie niczego przewidzieć, figle, które za każdym razem płata nam los skutecznie niweczą każdy nawet najbardziej skrupulatnie przygotowany plan.

(Kobieta) „Wiesz... te „figle losu”... to chociażby dla nich opłaca się żyć... żyć, aby być zaskakiwanym na każdym kroku. Niezależnie od tego, gdzie jesteśmy możemy liczyć na to, że wydarzy się coś, co zmieni nasze życie, wpłynie na nas, na nasze emocje, nadzieje, pragnienia... to wszystko sprawia, że życie nie jest tylko zlepkiem beznamiętnych powtarzających się zdarzeń... A tak w ogóle to może zaprosisz mnie do środka głuptasie...” - powiedziała z uśmiechem.

(Mężczyzna) „Ach... idiota ze mnie, proszę wejść, rozgość się.”

Kobieta weszła do mieszkania. Ubrana była w dość krótką białą sukienkę, na jej ramieniu wisiała kremowa torebka. Swobodnie płynęła poprzez pokój na swych nieziemsko zgrabnych nogach zakończonych gustownymi szpilekami. Gdy kobieta usiadła na kanapie, woń jej perfum rozprzestrzeniła się po całym pokoju tworząc tajemniczą lecz przyjemną aurę.

(Mężczyzna) „Napijesz się czegoś? Pewnie jesteś zmęczona po podróży.”

(Kobieta) „Tak chętnie, wiesz co najbardziej lubię, prawda?”

Mężczyzna podeszedł do stojącej nieopodal szafki, schylił się, otworzył drzwiczki i wyciągnął butelkę czerwonego wina, którą położył na stoliku.

(Mężczyzna) „Kieliszki mam w kuchni, zaczekaj chwilkę”.

Kobieta wygodnie rozsiadła się na kanapie, mężczyzna skierował się do kuchni, po chwili ciszę przerwał głos rozbijającego się szkła.

(Kobieta) „Nic ci się nie stało?” - zapytała wyraźnie zaniepokojona.

(Mężczyzna) „Cholera! Wszystko jest dzisiaj takie dziwne! No i masz ten swój przeklęty los!”

Słyszając te słowa kobieta zaśmiała się, wstała z kanapy i ruszyła do kuchni. Jej oczom ukazał się widok zranionego odłamkiem szkła gospodarza.

(Mężczyzna) „Jeszcze poprzecinałem się przez to draństwo! Szlag by to wszystko trafił!”

(Kobieta) „Spokojnie, spokojnie nie takie rany już widziałam. Pomogę ci. Najpierw musimy przemyć ranę, myślę, że gorąca herbata będzie bardziej odpowiednia od naszego wina. Nastawię wodę na gaz.

Kobieta podeszła do starej kuchenki gazowej, przekręciła zawór... ze stojącej w pokoju pozytywki zaczęła płynąć muzyka.

(Kobieta) „Co to?”

(Mężczyzna) „Aaa... stara pozytywka, znalazłem ją niedawno, nic szczególnego.”

(Kobieta) „Kocham muzykę, a ta jest wyjątkowo piękna, czuję, że ma w sobie to ‘coś’ co sprawia, że czujesz się... wiesz, jak, prawda?”

(Mężczyzna) „Tak, tak, co z tą herbatą, pamiętasz?”

(Kobieta) „Dobrze, spokojnie, nie zachowuj się jakbyś miał zaraz umrzeć, to tylko niewielkie nacięcie”.

Kobieta nalała wody do czajnika i postawiła go za palnika kuchenki. Podeszła do nadal kłęczącemu przy rozbitym kieliszku mężczyźnie i pomogła mu wstać. Muzyka pozytywki umilkła... kuchenka znajdująca się tuż przy głównej rurze transportującej gaz po kamienicy... ona... eksplodowała niszcząc doszczętnie całe mieszkanie. Huk wybuchu sprawił, że z budynku naprzeciwko powypadały szyby...

Akt czwarty - Zagubienie

(Kobiety głos) „Nie obwiniaj się, to nie twoja wina... nie możemy przewidzieć wszystkiego, nie ma żadnego celu w obwinianiu się”...

W małym ciemnym pomieszczeniu, na krześle siedział skrzepowany mężczyzna. Dało się zauważyć, że był oszołomiony. Z trudnością zachowywał trzeźwość umysłu.

(Mężczyzna) „Zaraz, zaraz, gdzie ja jestem? Czy to wszystko naprawdę się wydarzyło, może to tylko figle płatanie przez chory umysł bezsilnego człowieka”

Do pokoiku weszła młoda kobieta ubrana w czarną, poszarpaną suknię ślubną, w ręku trzymała bukiet ususzonych kwiatów, jej oblicze skrywało się za czarnym, długim welonem, lecz jedno było w niej znajomego: zapach perfum, przepiękny, delikatny i subtelny.

(Mężczyzna) „Kim... kim ty jesteś?”

(Kobieta) „C-co? Nie poznajesz mnie? Po tylu wspólnie spędzonych latach masz chęć pytać mnie ‘kim jestem?’.

(Mężczyzna) „Naprawdę... naprawdę nie wiem, kim jesteś? Zdradź mi swe imię...”

(Kobieta) „Ty cholerny łajdaku” - mówiąc te słowa kobieta spoliczkowała mężczyznę - „Już cię nie potrzebuję, twoich kłamstw, twoich cholernych kłamstw, tak długo żyła w przekonaniu, że ty... - kobieta zamilkła na chwilę spoglądając na uschnięty bukiet kwiatów - ale widocznie pomyliłam się. Nigdy nie widziałeś sensu życia. Wieczny poszukiwacz prawdy o tym co się stało, prawda?! Tak, teraz nic nie mówisz! Wiesz o czym mówię... tylko ty jesteś temu winny, nie ma co do tego wątpliwości... gdyby nie ty... No cóż. Widocznie taki już twój los: zgnieć tu w odmętach ludzkiej świadomości, bez wytchnienia cofając się do tamtego wydarzenia... a, i jeszcze ta twoja głupia pozytywka. Ładny prezencik mi sprawiłeś... jakieś tandetne gówno z przeceny. Ale czego mogłam się spodziewać po kimś takim jak ty. A z resztą nic mnie to już nie obchodzi... Żegnam...”

Mówiąc te słowa kobieta wyszła z pomieszczenia pozostawiając na ziemi niewielki przedmiot, była to elegancka pozytywka. W miejscu gdzie znajdował się przełącznik służący do jej otwierania znajdował się niewielki medalik. Słowa były na tyle czytelne by je zrozumieć.

(Mężczyzna) „Aaaaaa! O co w tym wszystkim chodzi?! Ratunku! Nich mi ktoś pomoże!”

Mężczyzna zaczął się szarpać, próbował się uwolnić ze wszystkich sił, które mu pozostały. W końcu szarpnął krzesłem tak mocno, że przewróciło się ono w raz z nim. Upadek był bolesny. Mężczyzna upadł na wprost znajdującego się na pozytywce medalionu. Skrępowana postać wytrzymała wzrok próbując odczytać zapisane słowa.

(Mężczyzna) „Symbol naszych zaręczyn... niech nasze uczucie trwa po wieki”.

Po twarzy mężczyzny spłynęła gorzka łza żalu i rozpacz.

(Mężczyzna) „Boże! Boże, co ja narobiłem?! Jak mogłem?!”

(Kobiety głos) „To nie twoja wina, czasami Opatrzność ma wobec nas różne palny, które z pozoru bezsensowne stają się z czasem zrozumiałe, lecz nie każdy od razu dostrzega to co najważniejsze: sens przeznaczenia, znaczenie słów, kolejność rzeczy. Wszystko i wszyscy mają swoje miejsce i cel.”

(Mężczyzna) „Ale co to wszystko znaczy? Co mam zrobić? Między czym mam wybierać?”

(Kobiety głos) „Ty... nie musisz wybierać... ty już dokonałeś wyboru... znasz już wszystkie odpowiedzi... musisz po prostu je dostrzec... dostrzec to co jest tuż pod twoim nosem”.

Nagle pomieszczenie zaczęło wypełniać się białym światłem, światło wypełniło całe pomieszczenie, przysłaniając wszystko wokół...

Akt piąty - Brak tytułu oznacza jego brak

Nowy Jork 13 listopada, godzina 12:00. Wielki biały budynek będący gmachem szpitala. Przed budynkiem znajduje się mały park ze stawem, w którym chorzy odpoczywają po przeprowadzonych operacjach, rehabilitacjach. Na jednej z ławek siedzi znajomy mężczyzna, zamyślony. Jego puste oczy wpatrują się w dzikie kaczki pływające po stawie. Obok niego na ławce stoi mała pozytywka, jej muzyka wspaniale współgra z kompozycją krajobrazu. Ten młody mężczyzna jest kompletnie bez życia. Przez okno obserwuje go dwoje ludzi kobieta i mężczyzna.

(Mężczyzna w oknie) „I co tam u naszego pacjenta. Znowu ma te koszmary?”

(Kobieta w oknie) „Tak. Nadal obwinia się za to co się stało”.

(Mężczyzna w oknie) „Boże, przecież to nie była jego wina. To ta cysterna uderzyła w ich samochód”

(Kobieta w oknie) „Cały czas to mu tłumaczę, a on tylko gapi się w tą przeklętą pozytywkę.”

(Mężczyzna w oknie) „Myślę, że to nie był dobry pomysł, aby mu ją zostawić. Dał jej to przecież w dniu, w którym to się stało. On za wszelką cenę chciałby wszystko odwrócić... odwrócić to, co się stało...”

(Kobieta w oknie) „Oboje wiemy, że to niemożliwe, a dopóki on tego nie zrozumie musi pozostać u nas”.

(Mężczyzna w oknie) „Siostró, proszę zapisać go dzisiaj na spotkanie terapeutyczne o 17:00.”

(Kobieta w oknie) „Dobrze zaraz go powiadomię”.

Kobieta wyszła z pomieszczenia, po chwili znajdowała się już w parku.

(Kobieta) „Dobrze, koniec na dzisiaj tego siedzenia. Masz spotkanie z doktorem o 17:00” - powiedziała wyraźnie znudzona.

Mężczyzna podniósł się z ławki, wziął pozytywkę i skierował się w kierunku budynku.

(Mężczyzna) „Figle umysłu... koszmar... sen na jawie... tępy dzieciak żyjący snem... brak odpowiedzi... czy na pewno? Może to jednak prawda?... gdzie jest rzeczywistość? Gdzie jestem w tym wszystkim ja? Kiedy nadejdzie mój czas?... nie znam odpowiedzi na te pytania, ale... wiem jedno: kiedyś nadejdzie czas, gdy wszystko stanie się jasne...”

Maestro [cheatmaster@op.pl]

Tatjana ::: Grzesznik

Słońce zniknęło za horyzontem. Rzucało jaskrawe, żółtawo - czerwone światło odbijające się ostatnich rzędach okien wieżowców. Sierpniowe ciepło odchodziło. Do miasta, wolno krocząc, nadchodził przyjemny chłód.

Otworzył oczy. Zauważył natychmiast, że leży na dywanie. Musiał tak spać już bardzo długo, gdyż czuł się tak, jakby w plecy i pośladki wbijały mu się kamienie. Chwile popatrzył w sufit, który na początku był jakby rozmyty mgłą. Było na nim kilka złowieszczych kropel zaschniętej krwi.

Przetarł oczy. Wstając poczuł nagły, silny ból w tylnej części czaszki. Syknął z bólu przeklinając wszechświat. Gorący, pulsujący odłamek szkła w głowie zniknął tak niespodziewanie jak się pojawił. Co u diabła?! Pomyślał.

Tak. To jednak nie było sennym koszmarem. Nie obudził się jak co dzień obok swojej żony we własnym łóżku. To się zdarzyło. Rzeczywistość. Pieprzona, kurwa, rzeczywistość! Krzyczał w myślach.

Ubrał zabłocone buty i chwycił szybko skórzana kurtkę z antycznego wieszaka. Nie obejrzał się za siebie. Nie potrafił... Po prostu wyszedł zamykając za sobą orzechowe drzwi.

Szedł wolnym krokiem przez park, starając się omijać rozległe kałuże. Nagle zatrzymał się osłupiały. Ujrzał przed sobą kobietę. Była naga. Miała smukłe, długie i zgrabne nogi. Bose stopy miała zakrwawione. Wyglądało to tak, jakby wcześniej chodziła po odłamkach potłuczonych butelek. Nie byłby to aż tak dziwny widok, gdyby ta postać miała... głowę. Potrząsnął głową i zacisnął powieki. Gdy je otworzył, upiór zniknął. Zdawało mi się, pomyślał.

Jakieś sto metrów przed nim wznosiła się katedra. Spowiedź, pomyślał.

Szybszym krokiem ominął miejsce, w którym stała bezgłowa postać. Zauważył jak szybko się ściemniło. Jakby czas nie znał litości i robił mu psikusa.

Na ławce przed katedrą siedziała jakaś staruszka. Zgarbiona, w ciemnych płachtach otulona. Pochylała się nad swoimi stopami trzymając się niepewnie rzeźbionej laski, pomarszczoną niczym stare jabłko, którego nikt nie chciał zjeść, dłonią. Nagle dobiegł go jakiś szepot:

- Niech będzie potępiony...

Co to? Pewnie znów mi się zdaje, pomyślał. Nie ma nic przyjemniejszego niż zwidy po ciężkim dniu. Jednak gdy przeszedł kilka kroków, głos powtórzył swe zdanie:

- Niech będzie potępiony... niech będzie potępiony...

Podszedł do zgarbionej staruszki.

- Przepraszam, czy pani coś mówiła? - zapytał. Kobieta nie odpowiedziała. Zdawało się, że śpi. Była pochylona i nie poruszyła się nawet o milimetr.

- Przepraszam, czy pani mnie słyszy? Halo, proszę pani? Wszystko w porządku? - mówił coraz głośniejszym głosem. Wtem staruszka gwałtownie uniosła głowę. Odskokczył z przeraźliwym krzykiem. Kobieta nie miała twarzy. Pod kapturem była pustka. Głęboka niczym studnia czerń.

- Przeklęty! Przeklęty! - powiedziała szybko.

Zaczął uciekać. Biegł ile sił pod katedrę, nie oglądając się za siebie.

Podbiegł do ogromnych drzwi. Wyciągnął rękę do klamki. Nie zdążył jej dotknąć, znów usłyszał szepot:

- Niech będzie potępiony... niech będzie potępiony... niech... potępiony... będzie... niech... niech... potępiony...

Co się tu dzieje u licha?! Krzyczał w myślach.

Otworzył śpiesznie mosiężne drzwi świątyni. W środku, pomiędzy tonącymi w półmroku, rzędami dębowych, długich ławek, rozpościł się krwistoczerwony dywan. Witraże pochłaniając ostatnie blaski słońca rzucały na marmurową podłogę tęcze refleksy.

Wszedł do konfesjonału. Ciemno. Za kratką ledwo widział księdza.

- Niech będzie pochwalony. - powiedział.

- Na wieki wieków. Amen. - usłyszał.

- Ja... - mówił drżącym głosem.

- Tak, synu?

- Ja chciałbym wyznać swoje grzechy.

- Tak.

- Właściwie to... jeden. Zgrzeszyłem ojcze. Ciężko. - ledwo przechodziło mu przez gardło. Chciał opowiedzieć to jak najszybciej. Mieć już za sobą. Uwolnić się.

- Bóg słucha cierpliwie, dziecię boże. - uspokajającym tonem odparł duchowny.

- Nie pamiętam kiedy To się zdarzyło. Wiem, że brałem w Tym udział, lecz nie potrafiłem kontrolować siebie. Pamięć mnie zawiodła co do czasu. Pamiętam tylko, że wszedłem do domu bardzo późno. Dzieci spały, a żona brała prysznic. Wyszedłem na balkon zaczerpnąć świeżego powietrza i... koniec. Straciłem kontrolę nad własnym umysłem, ciałem... uczuciami. Poczulem silny, ale krótki ból głowy. Działy się ze mną rzeczy, jakie w najgorszych snach mnie nie spotykały. Coś kazało mi... Pchało naprzód. Zawładnęło mną. Gniew. Ból. Krzyk. A raczej ryk z mego gardła wydobywający się przerażał. Poszedłem niekontrolowanie do pokoju córki i synka. I... Nie pamiętam co się stało. Wyszedłem stamtąd jeszcze bardziej rozjuszony. Żona krzyczała w łazience. Chciała wybiec, lecz ja (a może nie ja?) już ją uprzedziłem. Pamiętam tylko, że płynęła wszędzie krew. Wyrwałem jej włosy... Jej piękne, jasne jak żyto włosy. Krew. Nie wiem jak i skąd tyle bestialskiej siły we mnie było... Wszystkie włosy.

- Okropne... - szepnął do siebie ksiądz. Przeraził się. Chciał uciec, ale nie mógł tak po prostu. Był przecież księdzem.

- Była przerażona - mówił łamiącym się głosem - Nie miała siły płakać. Gniew. Ból. Krzyk. Całą swą mocą wbiłem rękę w jej pierś. Krew. Po kilku sekundach zobaczyłem jej serce na swej bestialskiej dłoni. I znów nic nie pamiętałem. Obudziłem się dziś z tym samym bólem głowy co na balkonie. Nie oglądałem Tego czynu. Bałem się. I wiem, że ich zabiłem. To nie było snem... Zabiłem ich. To mój grzech ojcze. Nie będę błagał o odpuszczenie...

Ksiądz zaniemówił. Nie mógł zrobić nic. Tak po prostu nie mógł.

Grzesznik nagle bezszelestnie wstał. Wyszedł z konfesjonału. Wolno kroczył ku otwartym drzwiom zaciemnionej już katedry.

Ksiądz wyjrzał z konfesjonału zdumiony. Mordercy już nie było. Zza otwartych drzwi wdierało się do środka światło jasnego jak nigdy, wielkiego księżycy. Ksiądz spojrzął w dół. Na posadzce nie tańczył już witrażowy blask. Zobaczył za to błotne, wilcze ślady prowadzące ku wyjściu.

- Potępiony...

Tatjana

Misiael Pierwszy ::: Buziol wraca do kraju.

*„Nad moim niebem zebrały się chmury tak ciemne, jak nigdy dotąd,
Ani promień słońca, ani nadzieja przebić się nie mogą,
I tak wiszą,
A ja trwam tu lewitując pomiędzy niebem, a ciszą
Wiszą,
To co tak gładko mówione szybko minęło z martwą ciszą,
Niech to usłyszą,
Ci co nam piachem w oczy sypią.
I nie ma na to żadnej rady i nie sposobu
Aby iść wciąż do przodu
Aby postawić na swoim...”*

Ri!codeh „Przez mgłę”

Prolog

Koniec wakacji. Dokładnie trzy lata temu. To wtedy właśnie wyjechał. Jego rodzice wyjechali do Stanów w sprawie podziału majątku jakiegoś tam wujka. To nieistotne. On nie mógł zostać. A szkoda, bo może gdyby został z nami to nie doszłoby do tego, do czego doszło.

Nie powiem Wam, czy ta historia jest prawdziwa. Sami musicie to ocenić. Wysłuchajcie mnie więc, a już niedługo wszystko stanie się jasne. Zaczęło się od telefonu...

ROZDZIAŁ I

Podniosłem słuchawkę.

- Halo?

- Michał - usłyszałem dobrze mi znany głos Anety. Sęk w tym, że ostatni raz rozmawiałem z nią dobre trzy miesiące temu. - Posłuchaj...

- O co chodzi? - zaniepokoiłem się, bowiem głos Anety zabarwiony był jakąś dziwną nutą. Co się mogło stać, skoro odzywa się do mnie po tak długim czasie?

- Och... Chyba nie uwierzysz - usłyszałem w słuchawce - Buziol wraca do kraju.

Przez dłuższy okres czasu nie mogłem wykrztusić z siebie głosu. Buziol wraca do kraju. Antek Budziński, lider naszej paczki, po trzech latach nieobecności wraca! Po chwili jednak usłyszałem od Anety pytanie, którym sam siebie zadreczę przez ostatni rok.

- Michał... Co my mu powiemy?

- Prawdę - odparłem po prostu - Aneta, ja nie mam zamiaru nic przed nim ukrywać! Bo niby co mu mamy powiedzieć?

Cisza po drugiej stronie przedłużała się nieprzyjemnie. Zrobiło mi się głupio. Czemu, u diabła, się na niej wyżywam?

- Aneta - powiedziałem - Przepraszam. Kiedy przyjeżdża?

- Jutro - padła odpowiedź - Wiesz, dostałam od niego maila i...

Odsłuchałem jej wypowiedzi i odłożyłem słuchawkę. Walnąłem się na łóżko i pograżyłem w niewesołych rozmyślaniach.

No bo widzicie - Buziol był przywódcą naszej dziecięcej paczki od zawsze. Jego uczciwa, budząca zaufanie twarz i iście szatańskie pomysły sprawiły, że wszyscy - koledzy, nauczyciele, rodzice, pani w sklepie - nazywali Antka Buziolem.

Ech - chyba nie było drugiej takiej ekipy w mieście. Gdy Buziol był w pobliżu, nie było dla nas rzeczy niemożliwych. Antek był ogniwem spinającym nas wszystkich w dobrze zgranej grupie. Gdy go zabrakło - zabrakło i zgrania.

Rodzice Buzioli musieli pojechać do USA w jakiejś sprawie majątkowej. No i wszystko zaczęło się sypać już po dwóch miesiącach. A Antka nie było przez ponad trzy lata. Po takim okresie nawet on nie zdoła naprawić tego, co udało nam się spieprzyć. Dlatego niezbyt cieszyłem się z takiego obrotu sprawy. Kapitalnie, że Buziol wraca, ale... To co się stało - nawet on tego nie odkręci.

Bo śmierci Piotra raczej nie da się odkręcić.

Wstałem z łóżka, otworzyłem szafkę i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu wyjąłem z niej zdjęcie - jedyną fotografię, na której byliśmy my wszyscy: Ja, jeszcze z długimi włosami, długowłosa blondynka z wiecznie zatroskaną twarzą - to Aneta. Zuzka, ściskająca w dłoniach jakąś książkę Katarzyny Grocholi, Piotrek o dziwnie zmęczonej twarzy. Obok niego stała wiecznie roześmiana Karolina. No i Buziol.

Kogoś brakuje. No tak - w tle, oparty o drzewo stoi Karol. On jeden się nie uśmiecha. Rzadko kiedy widywałem uśmiech na jego twarzy. Bardzo rzadko.

Cała nasza grupa.

Chyba coś mi wpadło do oka.

ROZDZIAŁ II

Nie zmienił się. No, może trochę. Urósł, włosy nabrały kasztanowego poblasku (wcześniej był rudzielcem) ale uśmiech - ten szczerzy, pocziwy uśmiech - pozostał taki sam. Jak tylko wysiadł z samochodu, Aneta podeszła do niego i mocno się przytuliła. Buziol pocałował ją w policzek i podeszedł do mnie.

- Świetnie znów was widzieć - powiedział wesołym głosem. Podając mu dłoń, usiłowałem się roześmiać. Bezskutecznie. Buziol zauważył wyraz mojej twarzy i wyraźnie się zaniepokoił.

- Gdzie reszta? - zapytał lekko zbity z tropu - Karolina, Piotrek, Zuzka? A Karol?

Opuściłem głowę i zapytałem cicho:

- Możemy pogadać?

Antek porozmawiał chwilę ze swoimi rodzicami i już w parę minut potem siedzieliśmy w altance, na działce należącej do rodziców Buzioli, a którą Antek urządził wedle swojego uznania. Stała tam lodówka (pilnowaliśmy, by zawsze była wypełniona), wysiedziały fotele, a nawet stół do ping-ponga.

Ostatni raz byłem tam trzy lata temu.

Usiedliśmy. Buziol popatrzył na mnie wyczekująco.

- No?

Westchnąłem.

- Zupełnie nie wiem, jak ci to powiedzieć. Od czego zacząć...

- Może od początku? - wszedł mi w słowo Buziol.

- No dobra - odparłem po chwili - Lepiej, żebyś dowiedział się od razu, bo ktoś inny mógłby ci sprzedać zniekształconą wersję zdarzeń.

Po miesiacu od twojego wyjazdu wszystko zaczęło się sypać. Jasne, spotykaliśmy się cały czas, ale z coraz mniejszym entuzjazmem. No, a potem wszystko pochrzaśniło się pernamętne.

Pierwszy był Karol. Coraz częściej spotykał się z Siwym i jego bandą - Buziol skrzywił się zaskoczony.

- Z siwymi? - upewnił się. Siwy to najgorszy menel w całej okolicy, będący na najlepszej drodze prowadzącej do poprawczaka.

- Tak. Karol zaczął mieć coraz poważniejsze zatargi z prawem. Wiesz - napady na ulicach, „czyszczenie” kiosków, krojenie w szkole - to, co zwykłe Siwy. Karol w końcu przestał się z nami spotykać. Nawet nam ulżyło... Po paru wyskokach dostał kuratora, ale... - tylko machnąłem ręką - Igrał, igrał no i się doigrał. Stało się w końcu, że Siwy i paru innych napadło i zgwałciło jakąś dziewczynę. Podobno i Karol był z nimi. Nie wiem. Ja w to nie wierzę. A raczej nie chcę wierzyć.

Spojrzałem na Buziola. Milczał.

- To żart, prawda? - zapytał wreszcie - Głupi, nie na miejscu żart. Powiedźcie, że to nieprawda. - dodał cicho, widząc nasze miny. Skłoniłem głowę.

- Niestety. Przykro mi - spojrzałem w ciemnoniebieskie oczy Buziola i po raz nie wiem który zaskoczył mnie ich odcień. Te oczy - tak nieludzko spokojne i tak ludzko ciepłe, mimo ich niesamowitej barwy.

Teraz już nie mogłem w nie patrzeć. Sprawiała to utrata tej dziecięcej niewinności, którą miałem jeszcze trzy lata temu. Czy to jest dorosłość, pytałem sam siebie, czy to musi oznaczać kłamstwo, wstyd i ból?

- Dostał pół roku poprawczaka. Kiedy wrócił, nie zostało w nim już z tego dawnego Karola - zakończyłem - Od roku nie utrzymuję z nim żadnego kontaktu. Nie mówimy sobie nawet „Cześć” jak mijamy się gdzieś na ulicy.

Milczenie wylewało się z nas, niczym miód z rozbitego słoika. Kiedy stało się ono nie do zniesienia, ciszę przerwała Aneta.

- Karolina jest w szkole z internatem, gdzieś w Siedlcach. Jej rodzice uznali, że po tej sprawie z Zuzią i Piotrkim... - spojrzała na mnie prosząco. Westchnąłem. Muszę mu to powiedzieć, pomyślałem, muszę, nawet jeśli on mnie za to znienawidzi.

- Piotrek brał narkotyki - szybki oddech Buziola - i to od dobrych pięciu lat. Zaczął chyba jak miał dziesięć lat. Palił haszysz, potem wziął się za heroinę... Ale zapadł się dopiero po twoim wyjeździe. Co gorsza, wciągnął w to Zuzkę.

- Niemożliwe - przerwał mi gwałtownie Buziol - Potrafię jeszcze sobie wyobrazić, że sam brał to świństwo, ale nie wierzę, że namawiał do tego Zuzę. Przecież oni... - przerwał.

Tak, łączyło ich więcej, niż przyjaźń. Poprawka - łączyłoby ich coś więcej, gdyby grupa nie rozleciała się, jak domek z kart.

- Właśnie to sprawiło, że sięgnęła po prochy. Chciała... Sam nie wiem, czego chciała. Wiem tylko, że zaczęła brać rok po twoim wyjeździe - zabrzmiało to jak oskarżenie, mimo że oskarżeniem nie było - Jakieś osiem miesięcy temu przyłapali Piotrką. Jakoś się wywinął, ale uznał że robi się niebezpiecznie, a może po prostu miał już dosyć...? W każdym razie już wtedy był wrakiem, bez perspektyw... Władował sobie w żyłę cały swój miesięczny zapas heroiny. Fundnął sobie odlot na maksa. Nie miał najmniejszych szans.

- Mówię ci, to była sądna noc - kontynuowałem - lekarze twierdzili, że taką dawką można by położyć słonia. Teraz Zuzka siedzi na odwyku, a Piter... - żal ścisnął mi gardło. Nie dokończyłem. Buziol jakby wcale tego nie zauważył. Wpatrywał się nieobecny wzrokiem w bliżej niesprecyzowany punkt na ścianie.

- Dobrze - powiedział nagle, dziwnie spokojnym i opanowanym głosem - A teraz powiedźcie mi, że to idiotyczny dowcip, który wymyśliście pod wpływem impulsu, dowiedziawszy się o moim przyjeździe.

Milczałem, milczała Aneta. Buziol też nic nie mówił. Krępująca cisza wlewała się do pomieszczenia i lada chwila groziła zatonięciem.

Antek wstał, spojrzał na mnie i odwrócił się. Ruszył w stronę drzwi.

Buziol! - zawołałem za nim. Odwrócił głowę i powiedział - pogadamy jutro - trzaśnięcie drzwi. Aneta ukryła twarz w dłoniach. Zawiedliśmy.

ROZDZIAŁ III

Krzna rzeką jest tylko z nazwy. Bardziej przypomina ściek. Spoglądałem w gęstą, szarozieloną toń, mając sklep Adidasa po swoim prawym ramieniu, a bibliotekę po lewym. Był chłodny wieczór.

Szkoda, że nie mieszkałem w Paryżu, albo Rzymie. Tam moje niewesołe rozmyślanie miałyby romantyczne odbicie w Sekwanie, czy Tybrze. Spacerowałbym po tętniącym życiem mieście, zwiedzając, oglądając, podziwiając po raz nie wiem który chłonąc w siebie atmosferę niezwyklej metropolii.

Żeby chociaż Kraków...

Z punktu widzenia Wszechświata moje rozterki są czymś śmiesznie nieważnym. Niczym ziarenko piasku na Saharze, czy atom wodoru w głębi Oceanu Atlantyckiego. Gwiazdy nie zgasną z powodu rozpadu paczki przyjaciół z dzieciństwa.

Tylko czemu tak cholernie mi żal?

Zaśmiałem się gorzko. Zacząłem filozofować, a to oznacza że pora wracać. To to miasto tak na mnie działa. Ten cudownie zmęczony Łuków, to atmosfera mnie zabija. Powoli, ale skutecznie. Tak jak ten preparat do czyszczenia kibli. Popatrzyłem na zegarek. Dziewiętnasta trzydzieści. Idę do Buziola. Powinien już ochłonać.

- Jest u siebie - powiedziała mi jego mama. Antek zawsze miał świetny kontakt z rodzicami. Zazdrościłem mu tego.

- Antoś - zastukałem w drzwi jego pokoju - Antoś, otwórz. To ja.

Zgrzyt zamka, twarz Buziola

- Chodź - powiedział po prostu.

Pokój Buziola. Prosty, ale przytulnie urządzony. Modele samolotów zawieszono pod sufitem.

- Cieszę się, że wróciłeś - słowa wypowiedziane tak nieszczerym tonem, że sam w nie nie wierzyłem. Buziol milczał.

- Powiedz coś - poprosiłem.

- Coś.. - zamyślił się - Coś się kończy. Z roku na rok życie staje się coraz bardziej przejebane.

Pokiwałem głową. Smutny Buziol, to niecodzienne zjawisko. Buziol przeklinający, to zjawisko niespotykane. Przynajmniej do teraz.

- Żle się stało. I co ja mam zrobić? - w tym momencie uświadomiłem sobie, jak wielką nadzieję pokładałem w Antku. Myślałem, że po jego przyjeździe wszystko się jakoś ułoży. Zawsze tak było. Buziol sprawiał, że wszystko zawsze jakoś się układało. Jego pocziwy uśmiech był niczym promień słońca przebijający się przez burzowe chmury. Ale teraz...

Teraz stałem przed zmęczonym, przegrzanym człowiekiem. Blask w oczach przygasał, a rysy twarzy stężały w idealnie obojętny grymas.

Do tej pory Buziol wydawał mi się ludzkim odpowiednikiem Titanica. Do tej pory był niezatapialny.

W tych smutnych oczach wyczytałem coś więcej, niż rany po wczorajszych ciosach. Coś, co utkwiło mu w sercu na długie lata. Może na zawsze. Dawniej spotykaliśmy się, a każdy opowiadał o swoich porażkach, niepowodzeniach, potknięciach i upadkach.

Zwierając się, wiedzieliśmy, że Buziol wysłucha i zrozumie. Pomoże.

I pomagał. Pomagał ciepłym głosem, uspokajającym uściskiem dłoni, kojącym spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu.

To było dawniej. Głos i dłoń stwardniały, oczy zbladły. Przypominałem sobie, że Antek nigdy nie zwierzał nam się nie zwierzał ze swoich problemów. Naiwnie zakładaliśmy, że Buziol nie ma żadnych problemów, że nie może ich mieć. Nie on.

Kto wie, może naprawdę tak było? Nieważne - teraz gnębiło go coś, z czym sobie nie poradził. Titanic zderzył się z górą lodową.

I nagle zapragnąłem wysłuchać tego, co wydarzyło się za Oceanem - bo że coś się wydarzyło, nie miałem już żadnych wątpliwości. Chciałem dać mu pocieszenie i siłę tak potrzebną mu w tym momencie.

Siłę, z której obecności w sobie, do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy.

- Powiedz - poprosiłem. Buziol opuścił głowę. Zналиśmy się już tyle lat. Od urodzenia, od kołyski. Antek to mój brat - to, że posiadamy różnych rodziców, to nic nie znacząca pomyłka losu. Łącząca nas więź jest w jakiś sposób silniejsza, niż nam się do tej pory wydawało.

Sam Buziol - inteligentny, wygadany, bystry - z powodzeniem mógł dołączyć do „elity” wśród rówieśników. Nie dołączył. Zamiast tego zebrał nas - odszczepieńców, samotników - i zrobił coś wspaniałego. Odkrył w nas talenty, o które sami siebie nie podejrzewaliśmy. Dał nadzieję na lepsze jutro. Pod jego wpływem stawaliśmy się lepsi. Gdyby ktoś zapytał mnie, czy są na tym świecie są jeszcze niezwykli ludzie - tacy na miarę Mahatmy Gandhiego, czy Jana Pawła II - bez wahania powiedziałbym, że nie ma. Ale jest Buziol, więc jakoś pójdzie. To było nasze powiedzenie: „Jakoś pójdzie”. No i szło. Zawsze.

Aż do teraz.

- Dobra - zdecydował się Antek. Westchnął cicho.

ROZDZIAŁ IV

- Chcesz wersję skróconą, czy pełną? - zapytał opierając się łokciami o blat biurka. Wzruszyłem ramionami.

- Czyli mieszaną - uśmiechnął się, a w tym uśmiechu nie było nic, absolutnie nic buziolowego. - No dobra. Od początku. W USA mieszkaliśmy w Stanford - takie miasto niedaleko New York City. Chodziłem tam do szkoły. Miałem wielu kumpli, oczywiście to nie to, co wy - dodał szybko - Ale... żyć trzeba. No i się żyło. Tam jest całkiem podobnie, jak w Polsce. Ale nie tak samo. Impreza goniła imprezę, mało kto się uczył. Chyba że przed egzaminami, a i to niewiele. Na jednej takiej party... - Zamilkł. - Była taka dziewczyna - zaczęła znowu - Kate. Ja... My... No wiesz - Pokiwałem głową. Buziol zawsze musiał nieomal odganiać się od dziewczyn, te jednak nigdy specjalnie go nie interesowały. - Na jednej takiej imprezie oboje wypiliśmy trochę za dużo i... - przełknął ślinę - Potem obudziłem się obok niej. Ja jej... Ja... - spojrzał na mnie bezradnie. Pod wpływem jego rewelacji przez mój umysł przetoczyła się potężna fala szoku. Buziol upił się i przeleciał dziewczynę. Buziol - abstynent. Buziol, który nigdy ... o w dupę! Przecież to niemożliwe. Nie wierzę. Zerknąłem na Antka. Nie żartował.

- To jeszcze nie wszystko - oznajmił, gdy zebrałem już myśli - w tydzień później powiedziała mi, że jest w ciąży.

- O kurwa - powiedziałem dziwnie bezbarwnym głosem. Koniec świata. Buziol zbrzuchacił dziewczynę. w ciągu paru minut w mojej głowie dokonana się diametralna metamorfoza Antka - z półboga, a co najmniej proroka, w jednego z tych małych i niedoskonałych ludzików, jakie gromadnie zasiedlają naszą planetę.

- Usunęła płód - te słowa ponownie zburzyły tamę w mojej duszy i rozlały się po niej lodowatym strumieniem. Buziol ukrył twarz w dłoniach, tak jak wczoraj Aneta. Obojętnie patrzyłem na łzy skapujące na blat biurka.

- Co się z nami stało? - podniósł na mnie swoje błękitne oczy - Co się z nami, do cholery ciężkiej, stało?!

- Nie wiesz? - odparłem beznamietnie - To się nazywa dorosłość. Jesteśmy, kurwa, dorośli.

„Piotr Kowalewski. Żył 15 lat, zm. 11.06.2008. Pokój jego duszy”

Przeżegnałem się i drżącymi dłońmi postawiłem znicz na nagrobku. Aneta westchnęła. Buziol sięgnął po zapalnik.

Byłoby ciepło, gdyby nie ten przenikliwy, marznący wiatr. Aneta przytuliła się do mnie. Objąłem ją ramieniem - zwykły, przyjacielski gest. Płomień drżał, targany podmuchami lodowatego powietrza. Parokrotnie wydawało mi się, że lada chwila zgaśnie, lecz zawsze rozbłyskał na nowo.

Buziol odwrócił się:

- Co teraz? - zapytałem. Antek objął wzrokiem niedobitki dawnej paczki przyjaciół z dzieciństwa. Z siódemki zrobiła się trójka. Karol pewnie pił z kumplami pod sklepem. Karolina zakuwa w tej swojej prywatnej szkole. Zuzka przemycza prochy do zakładu. A piotrek jest już po drugiej stronie. On jeden nie ma żadnych problemów. Nie musi patrzeć, na to, co ja - na klęskę Buziola. Coś, co nie miało prawa nastąpić.

- Teraz? - zaśmiał się gorzko - Nie ma żadnego teraz. Wszystko się skończyło. Teraz każde z nas pójdzie w swoją stronę. Ekipa się rozleciała. This game is over.

- Nie wierzę - uniosła głowę Aneta - ta cicha, nieśmiała istotka, która nigdy na nikogo nie podniosła głosu - Każdy na twoim miejscu by się poddał Ale nie ty. Ty nigdy się nie poddawałeś. Nie wierzę, że teraz odpuszcisz! - mówiła coraz szybciej i głośniejsze.

- Zawsze nam pomagałeś, pomóż i teraz. Karol i Zuzia potrzebują cię tak, jak jeszcze nigdy dotąd. Nie możesz teraz odejść!

Przekreśliłbyś to, co było dawniej, te wszystkie lata! - nie wytrzymała i rozplakała się.

Zerknąłem na Antka, ciekaw jego reakcji. Buziol wpatrywał się we mnie z niemym pytaniem w oczach.

- Ona ma rację - przyznałem wreszcie - nie możemy tak po prostu odpuszczać. To się nie może tak skończyć. Tylko ty masz szansę odbudować to, co spleprzyliśmy. Nie będzie to łatwe. Ale wierzę, że następnym razem przed grobem Piotra będzie modliło się sześć osób, a nie trzy.

Dostrzegłem w oczach Buziola zmianę - jakby zza tej twarzy-maski wychyliło się prawdziwe oblicze Antka. Takie, jakie zapamiętałem z tych szczęśliwych lat dziecięcej beztroski.

- Myślicie, że... może się udać - spojrzał na nas z niedowierzaniem.

- Łatwo nie będzie - powiedziałem - Ale jakoś pójdzie.

- Jakoś pójdzie - przytaknęła Aneta.

Buziol uniósł głowę i po raz pierwszy od wielu lat zobaczyłem na jego twarzy szczerzy, pocziwy, „buziolowy” uśmiech.

- Jakoś pójdzie.

„Bez opamiętania

Pożera wszystko bez wyjątku

Prócz tego co dla Ciebie jest fundamentem

Bo tego nic w stanie nie jest zniszczyć

To pewność siebie

Świadomość swej kruchości

Daje mi nadzieję

Dodaje siłę dodaje wielkości

Jak zdjęty z pleców ciężar...”

Rilcodeh „Przez mgłę”

*„Gdy nagle zmienia się Twój świat,
Traktuj to jako znak,
Dowód na to, że jesteś nawet jeśli wniosków brak.
Zawsze trochę czasu trzeba aby dostrzec znak przez mgłę,
Pokonałem problem, czy to on pokonał mnie?”*

Rilcodel „Przez mgłę”

ROZDZIAŁ V

Wieczorną ciszę zakłócał jedynie trzask ognia. Słup dymu unosił się w powietrzu, po czym zanikał w ciemności. Było to zapewne ostatnie w tym roku ognisko - na następny tydzień zapowiadano z dawno oczekiwanego śniegu.

Siedzieliśmy we trójkę, blisko siebie, grzejąc się ciepłem swojej obecności i żarem ogniska. Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w trawiące szczapy drewna płomienie, siedząc na granicy ciepła, jakie daje ogień czułem jednocześnie żar i przenikające do szpiku kości zimno.

Panowało między nami milczenie - ten rodzaj ciszy, która mówiła więcej, niż najbardziej żywiołowa dyskusja.

A jednak kiedyś było inaczej. Śmiech, zabawa, żarty. Przekomarzanie się Piotrka i Zuzki. Długie dyskusje pomiędzy Karolem, a Buziłem. Dowcipy wyrzeliwane przez Karolinę z częstotliwością jednego na minutę, przez co niemal zataczaliśmy się ze śmiechu. I cichy śpiew Anety, nucone pod nosem piosenki, zawsze pod koniec spotkania.

Teraz jednak panowała między nami niemal uroczysta cisza. Zastanowiłem się, czy jeszcze kiedykolwiek tamto wróci. Czy kiedyś jeszcze wdam się w sprzeczkę z Karolem? Padnę ze śmiechu, słysząc kolejną rozbijającą anegdotę Karoliny? Czy cichy śpiew Anety ponownie rozleje się po mojej duszy, uspokajając burzę w sercu, gasząc pożar umysłu? Czy Piotr...

Zacisnąłem powieki, nie pozwalając łzom wydostać się na zewnątrz. Wstrzymałem oddech, dławiąc szloch narastający mi w gardle. Piotrek nie żyje, już nigdy nie zobaczę jego zmęczonego uśmiechu, nie usłyszę zaskakująco dojrzałego głosu. Żal ponownie zaatakował moje serce. Tym razem nawet nie próbowałem hamować cisnących się spod powiek łez. Otarłem dłonią wilgotne policzki.

Jakoś pójdzie.

Buziol wrócił ze Stanów. Na pewno uda mu się naprawić naszą paczkę. Paczka z przyjaciółmi przestała działać, bo zabrakło najważniejszego trybika. Trybik jest już z powrotem, ale cóż z tego, skoro paczka się rozsypała?

Nie, nie wolno mi tak myśleć! Owszem, Buziol to tylko człowiek - ale niezwykły człowiek. Często zastanawiałem się - w czasie tych bezsennych nocy, które sprowadzają nam najbardziej niepokojące myśli - ile zła wyrządziłby Buziol, gdyby nie był, jaki był - pocziwy, dobroduszny. Osoba z jego darem gromadzenia wokół siebie ludzi i wpływania na nich może dokonać wielu rzeczy. Zarówno dobrych, jak i złych. Widząc to, można jedynie cieszyć się, że Buziol ma taki, a nie inny charakter.

Antek patrzył, jak ogień trawi drewno. Aneta siedziała, opierając się ramieniem o drzewo i sprawiając wrażenie, że śpi.

- Buziol... - zacząłem.

- Aha?

Zamilkłem. Nie miałem pojęcia, co mógłbym powiedzieć. Antek nawet tego nie zauważył. Dalej wpatrywał się w ognisko.

- Zaśpiewasz nam coś? - zapytał Aneta nieoczekiwanie. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, uśmiechnęła tak smutno jak tylko ona potrafi. Ponownie przymknęła powieki i zanuciła:

*Nasze kolorowe życie jest,
Takie szare.
Twoje młode oczy są,
Takie stare.
Ktoś białe nazwał czarnym,
Choć mówią, że się nie starał.
Tylko czemu mu wierzymy,
Kto nas będzie za to karał?*

Zamknąłem oczy. Głos Anety jak zwykle uspokoił moje myśli. Nie znałem tej piosenki, ale wątpię, by oryginalny wykonawca zaśpiewał ją lepiej.

Buziol uśmiechnął się po swoim, a ten uśmiech przegnał z mojej głowy resztki wątpliwości. Wiedziałem, że znów - tak jak kiedyś - wstanie i poprowadzi nas drogą ku szczęściu.

Nie wiedziałem jednak, że droga ta jest tak kręta i wyboista.

I że biegnie nad przepaścią.

ROZDZIAŁ VI

Nareszcie sobota. Przez cały tydzień nie miałem okazji odwiedzić Piotrka. Już o siódmej wstałem, zjadłem lekkie śniadanie i wyszedłem.

Było upiornie zimno. Śnieg jeszcze nie spadł, jedyną oznaką nadchodzącej zimy było ogromne nagromadzenie błota, zalegającego głównie przy krawężnikach. Taki już był Łuków - ze zbyt ciepłą zimą, zbyt mroźnym latem i zupełnym brakiem rozróżnienia, pomiędzy wiosną, a jesienią.

Minąłem grupę spieszących gdzieś nastolatków. Paru chłopaków popisywało się przed dziewczynami, z których każda nadawała się na okładkę wysokonakładowego pisma dla młodzieży.

Też mógłbym tam być, pomyślałem. Gdybym nie poznał Buziola moje życie mogłoby być cudownie miłe, bez tego całego zła, jakie narosło wokół mnie, bez dręczących bezustannie rozterek moralnych. Karol, Piotrek, Aneta - byłiby dla mnie tylko statystami na planie życia, twarzami w tłumie obcych mi ludzi.

Ale czy byłoby to moje życie?

Bez Buziola? Jak w ogóle mogłem tak pomyśleć?

W kiosku kupiłem czerwony znicz - jeden z tych najtańszych, bo przecież liczy się sam gest.

Odemknąłem furtkę oddzielającą nekropolię od reszty świata. Furtka nie zaskrzypiała - w Łukowie nic nie działa tak jak powinno. Przecież każdy wie, że cementarna furtka powinna skrzypieć tak, jakby nikt jej nigdy nie oliwił.

Ktoś stał przed grobem. Jasne włosy, pociągła, niemal trójkątna twarz. Przez jedną niesamowitą chwilę przekonany byłem, że to sam Piotrek modlił się nad własnym grobem, jednak za moment dostrzegłem że to nie on, lecz ktoś bardzo do niego podobny.

Tak podobny, że postronni ludzie widząc ich razem, często brali tych dwu za braci.

- Karol - powiedziałem cicho, stając obok. Karol drgnął i gwałtownie odwrócił głowę.

- Co ty tu robisz? - zapytał ostro, tonem narzucającym dystans do rozmówcy. Parę lat nasze rozmowy zaczynały się nieco inaczej. Jak to się stało, że prawdziwi przyjaciele nie potrafią ze sobą rozmawiać?

- Chyba to samo, co ty - dotknąłem zimnego jak lód nagrobka. Karol odwrócił wzrok.
- Buziol wrócił - oznajmiłem. Karol gwałtownie poderwał głowę.
- Kiedy?
- Dwa tygodnie temu - powiedziałem i spojrzałem w jego oczy. Błysnął w nich strach. Strach? Karol boi się Buziola? Niemożliwe
- Antek to nie Siwy, nie zdobywa posłuchu za pomocą brutalnej siły. Nigdy nie słyszałem, żeby mówił w gniewie.
Boi się odrzucenia, pomyślałem nagle, boi się, że Buziol nie zechce go znać po tym, co zrobił. Kim się stał.
- Karol, on chce nam pomóc - odezwałem się - zbiera nas z powrotem.
- To się nie uda - przerwał mi - Zuzka siedzi w tym swoim pierdolonym zakładzie i nie zanosi się na to, żeby szybko wyszła. Piotr poszedł do piachu. Jak on chce to naprawić?
- Wątpisz w Buziola? - zapytałem cicho.
- To wszystko jego wina! - wybuchnął Karol. Wyrzucał z siebie krótkie urywane zdania - Zostawił nas. Spierdolił do tej swojej jebanej Ameryki! Tchórz! Pierdolony kutas! - opuścił głowę i zapłakał. Cały żal, cała nagromadzona przez lata gorycz wypływała z niego niczym lawa z eksplodującego wulkanu. Twarz zmarszczyła się i zaczerwieniła się, na wargach pojawiły się kropelki śliny. Pragnąłem objąć go w przyjacielskim geście, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że to już koniec naszych kłopotów. Zamiast tego stałem, obojętnie wpatrując się w tego, który jeszcze tak niedawno był moim przyjacielem, a teraz lży i znieważa Buziola - jedyną nadzieję na powrót tego, co było kiedyś, a w którą to nadzieję i ja sam powoli zaczynałem wątpić. Antek zapytał mnie niedawno, co się z nami stało. Odpowiedziałem, że to dorosłość. Nie wiem, czy to do końca prawda, ale jeśli tak - to ja pierdołę taką dorosłość. Na taką dorosłość to ja się wypinam.
Jesteśmy nieczułymi dorosłymi, czy tylko dziećmi, które zagubiły się we mgle?

ROZDZIAŁ VII

Rozeszliśmy się, każdy w swoją drogę. Karol poszedł zapewne do swoich kumpli dokujących gdzieś pod sklepem. Ja - do Buziola, powiedzieć. Ja - do Buziola, powiedzieć mu, że dla Karola nie jest jeszcze za późno. Płakał - więc żałował. A żal jest znakiem skruchy, skrucha - pragnieniem przebaczenia.
Dopiero siódma trzydzieści, ale wiedziałem, że Buziol już nie śpi. zawsze wstawał dobrze przed szóstą, sam nie wiem po co. Stałem przed drzwiami i zapukałem.
Kiedy teraz wspominam to wydarzenie, sędzę że gdybym wpadł pół godziny później cała sprawa potoczyłaby się zupełnie inaczej. Może nawet - choć to mało prawdopodobne - korzystniej, a już na pewno nie tak żywiołowo.
Otworzył mi Buziol, ubrany w szorty i przepocony podkoszulek. Słowo powitania zamarło mi na ustach w chwili, w której spojrzałem w jego oczy. Spozstrzegłem w nich dokładnie to, co przed niespełna kwadransiem widziałem w oczach Karola - wstyd i strach. Była to zapowiedź katastrofy, początek końca, błysk przed uderzeniem pioruna.
Z jego pokoju wyszła Aneta. Widząc mnie, zamarała w pół kroku. Ubrana była w sięgającą połowy ud koszulkę.
I w nic więcej.
Przez trzy, straszliwie długie, głuche tyknięcia stojącego w kącie przedpokoju antycznego zegara świat dla mnie zamarł. Po czym ruszył z miejsca.
Obróciłem się na pięcie i pobiegłem w dół klatki schodowej. Obijałem się o ściany i barierkę, jak bąk złapany w szklaną pułapkę. Parokrotnie potknąłem się na schodach, jednak mimo to biegłem coraz szybciej. Uderzyłem w drzwi wejściowe całym ciałem i wypadłem na zewnątrz. Zwolniłem. Roztrzęsionym krokiem opuściłem błotnisto-betonowe osiedle.
Dotarłem do przedmieścia. Idąc coraz wolniej podszedłem do barierki oddzielającej Krznę od reszty miasta. Popatrzyłem w dół. W tym samym momencie mój żołądek zerwał współpracę z resztą organizmu, uczciwie zwracając zaliczkę w postaci dzisiejszego śniadania. Przechodzący ludzie mijali mnie z obrzydzeniem.
Naraz poczułem coś zimnego na policzku. Łza? Niemożliwe, wylałem w swoim życiu wiele łez, one są ciepłe, nawet gorące.
Spojrzałem w niebo. Na tle szarych chmur tańczyły drobne, białe płatki śniegu. Jakie to piękne, pomyślałem, po czym ponownie puściłem pawia. Wprost do Krzny. I tak nie ma szansy, bym zanieczyścił ją jeszcze bardziej.
Podobnie rzecz ma się z moim życiem.
Śnieg przestał padać już po dwóch minutach.
Powlokłem się do domu. Brnąłem po kostki w błocie, nawet nie próbując omijać gigantycznych kałuż.
Po wejściu do mieszkania zatrasnąłem drzwi, wyłączyłem telefon komórkowy i wyciągnąłem wtyczkę ze stacjonarnego. Zjadłem dwie kanapki z serem, potem wyrzygałem je do zlewu. Coś dziwnego działo się z moją głową - kiedy tylko chciałem pomyśleć o tym, co dzisiaj zobaczyłem, moje myśli odbijały się od mózgu, jak kauczkowa piłka. Czułem się, jakby ktoś wcisnął mi w tryby umysłu gruby, metalowy pręt. Zamiast tego, nie wiadomo skąd, przypominałem sobie akcję „Smacznego!” - jeden ze zwariowanych pomysłów Buziola, tego dawnego.
Akcja polegała na tym, że w piątek Zuza, Aneta i Karolina wyprodukowały olbrzymi stos kanapek, w sobotę cała nasza siódemka ruszyła w miasto i każdemu przechodniowi wręczała kanapkę, wraz z zawołaniem „Smacznego!”. Idiotyczny pomysł? Zapewne, ale w wykonaniu Buziola i spółki zabawa była naprawdę przednia. Rozdaliśmy przeszło dwieście, w ciągu niecałych czterech godzin. Cały Łuków zajał się naszymi kanapkami. Niektórzy chcieli dawać nam pieniądze. - odmawialiśmy. Wtedy jeszcze liczyła się dobra zabawa, a nie chajs. Buziol potrafił z szarego i nijakiego na co dzień Łukowa uczynić miejsce, w którym jednak może cię coś pozytywnie zaskoczyć.
Ale teraz...
...pręt wyskoczył z trybów, wszystkie przekładnie, osie i koła zębate ponownie ruszyły z miejsca...
...teraz straciłem już nadzieję. To, co zdarzyło się dzisiaj... Było w tym coś niesamowicie bluźnierczego, bezbrzeżnie ohydного. Nie w samym akcie, ale w oczach Buziola i Anety. Wyczytałem tam wstyd, wstyd jakiego musieli doświadczyć Adam i Ewa, gdy odkryli że są nadzy.
Tu nie chodzi nawet o to, że czułem coś do Anety. Bo czułem - silne więzy przyjaźni i coś na kształt braterskiej miłości - ale o to, że w tym incydencie było coś... Kazirodu, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.
W tym momencie brzęczyk w przedpokoju wyrwał mnie z zamyślenia. Podszedłem do drzwi. Mój umysł wrzeszczał, żebym nie otwierał, bo przecież wiem, kto stoi po drugiej stronie.
Położyłem dłoń na klamce. Po sekundzie wahania nacisnąłem ją i pociągnąłem w swoim kierunku.
Buziol.
- Won - powiedziałem i zatrasnąłem mu drzwi przed nosem. Stałem przez chwilę bez ruchu, jeszcze z dłonią na klamce, jeszcze z beznamiętnym „Won” na ustach. Potem pobiegłem do łazienki. Nie miałem już czym wymiotować, więc z mojego gardła wydobyło się tylko stłumione beknienie i trochę zepsutego powietrza.
Karol ma rację - to wszystko wina Buziola. Zostawił nas na pastwę losu. A teraz, kiedy wrócił, niszczy nawet tę odrobinę, która przetrwała. W tej chwili nienawidziłem go z całego serca, nienawidziłem za to, że połączył nas więzami przyjaźni, a teraz sam, własnoręcznie przecina te więzy, które jeszcze istnieją.

Ta rana boli. To ból stokroć gorszy od jakiegokolwiek innego, jaki znałem do tej pory. Szarpie serce, znaczy duszę krwawymi bliźnami. Znałem doskonale ten rodzaj cierpienia. Doświadczyłem go mnóstwo razy - Gdy Piotrek zaaplikował sobie złoty strzał;

gdy przypadkiem usłyszałem jak rodzice Karoliny mówili jej, że nie pozwolą by ich córka zadawała się z „narkomanami i menelstwem”. Mówiła to jej matka, która jeszcze trzy lata wcześniej zapraszała nas na wspólne wakacje.

Zastanowiłem się, jak musi czuć się Aneta. Jej obraz stanął mi przed oczyma. Z pewnością znacze ten typ dziewczęcej urody - długowłosa anioł o sarnich oczach i oszałamiająco nieśmiałym uśmiechu. Aneta zawsze odczuwała wszystko silniej, niż inni. Była bardzo wyczulona na cierpienie drugiego człowieka. Pomyślałem, że skoro ja czuję się wybitnie paskudnie, to ona... Wstałem z łóżka. Samotna, wrażliwa dziewczyna. Nie może znieść obecności Buzioli, nie teraz, cierpi w odosobnieniu, płacząc gdzieś w kącie swojego pokoju...

Jak w transie wsunąłem na siebie kurtkę i buty. Nie mogę jej teraz zostawić. Do cholery, jesteśmy przyjaciółmi, niezależnie od tego, jak infantylnie to brzmi!

Szybkim krokiem mijałem kolejne osiedla, coraz głębiej pogrążając się w gąszczu betonowej dżungli. Wreszcie dotarłem do bloku Anety.

Pukanie nic nie dawało. Tknięty bardzo złym przeczuciem nacisnąłem klamkę. Ustąpiła. Wszedłem do mieszkania.

Do dnia dzisiejszego odczuwam coś w rodzaju traumy, gdy myślę o tym wydarzeniu. Zlewa mnie zimny pot, gdy to wspominam.

Na myśl, że mógłbym przyjść pięć minut później robi mi się słabo.

Od razu zobaczyłem Anetę. Stała na taborecie, który chwiał się niebezpiecznie. Na szyi miała bardzo niefachowo zaplecioną pętlę.

Podniosła oczy. Nasze spojrzenia spotkały się.

Stółek wypadł jej spod nóg.

- Nie!!! - wrzasnąłem. Podbiegłem i błyskawicznie chwyciłem ją w pasie. Dłonią zszarpałem pętlę. Aneta kaszlała, krztusiła się i płakała. Objąłem ją.

- Michał... - histerycznie łkała mi do ucha - Ja... O Boże... Naprawdę nie chciałam... To samo... Nie ma...

- Ćśśśś... - uspokoiłem ją - Już dobrze.

Odprowadziłem ją do pokoju. Wyjąłem telefon i zawahałem się. Po chwili jednak wybrałem odpowiedni numer i nacisnąłem zieloną słuchawkę.

- Michał - usłyszałem głos Buzioli - Słuchaj, muszę ci...

- To już nieważne - przerwałem martwym głosem - Jestem u Anety. Przyjdź najszybciej, jak tylko się da.

* * *

Bardzo delikatnie zamknąłem drzwi pokoju Anety. Obok siedział na podłodze, opierając się o ścianę Buziol. Widząc mnie, zerwał się na równe nogi.

- Zasnęła - powiedziałem. Antek spojrzał mi w oczy.

- To wszystko moja wi...

- Zamknij się - przerwałem mu.

- Słuchaj, ja napraw...

- Zamknij się, powiedziałem!

Umilkł.

- Możemy porozmawiać? - zapytał cicho. Westchnąłem.

- Chyba powinniśmy - przyznałem po chwili. Dłuższej chwili.

- To się wymknęło spod kontroli - odezwał się Buziol - Wszystko się rozpada, a ja nie potrafię temu zapobiec. Coś się z nami stało. Coś się skończyło. Urwało. Nie wiem co robić. Poddaję się.

- To wypierdalaj stąd - rzuciłem.

- Co?

- Głuchy jesteś? Won! - powiedział moimi ustami ktoś, kogo nie dotąd nie znałem i kogo z miejsca znienawidziłem. Buziol stał przez chwilę, potem odwrócił się i podeszedł do drzwi.

- To się nie musi tak skończyć - powiedział jeszcze.

- To się skończyło trzy lata temu - odparłem - A teraz, kiedy się poddałeś, skończyła się nawet ta odrobina, która miała szansę przetrwać. Zejdź mi z oczu.

Wyszedł.

Rozpłakałem się.

Łzy płynęły mi po twarzy, a ja stałem na środku przedpokoju mieszkania Anety i płakałem, płakałem nad swoim losem, nad losem Buzioli, Karoliny, Zuzy, Karola, Piotrka, Boże, jak to boli!

Dlaczego?

EPILOG

- Aneta chciała do ciebie dołączyć - rzuciłem w stronę przysypanego grubą warstwą śniegu grobu - Kto wie, może to jest rozwiązanie?

Grób milczał, jak to grób. Leżący w ziemi Piotrek nie był w stanie udzielić mi odpowiedzi, a ta z pewnością byłaby interesująca..

Zachrząścił śnieg. Obok mnie pojawił się Karol.

- Znowu się spotykamy - powiedział cicho. Uśmiechnąłem się ponuro. Razem staliśmy przed mogiłą. Nieoczekiwanie pojawił się ktoś jeszcze.

- Buziol - Karol utkwiał wzrok w Antku, który z kolei unikał mojego spojrzenia.

- Odzyskałeś nadzieję? - zapytałem łagodnie. Antek zaskoczony uniósł głowę

- A ty? - odpowiedział pytaniem.

- Chyba tak - odparłem - To prawdziwa próba naszej przyjaźni. Postaram się przeżyć ją pomyślnie.

- A wtedy, u Anety..?

- Ktoś musiał tobą potrząsnąć. Zmobilizować. Rozpalić ten ogień, który masz w sobie. Bo ty niepowodzenia przebijasz triumfem

- Co nie znaczy, że nic mnie to nie kosztowało, dodałem w myślach - Jeśli to przetrwamy, to nic nas nie rozbije. Było ciężko. Jest ciężko. I będzie ciężko. Ale wytrwamy.

- Wytrwamy - przytaknął Karol. Na jego twarzy dostrzegłem uśmiech, taki jak kiedyś.

Oczy Buzioli zaślnęły dziwnym blaskiem. Dostrzegłem tam coś podobnego do dawnego ognia, ognia który rozpalał niegdyś nasze dusze. Ale to było dojrzsze. Inne. Ale, mimo tego, było to takie...

Buziolowe.

Antek wyprostował się.

- Wytrwamy.

Od Autora: Nazywam się Michał Ochnik i mam 16 lat. Ta historia zdarzyła się naprawdę.

Co z tego, że tylko w mojej głowie?

Listopad 2006. W opowiadaniu wykorzystano fragment utworu „Kolorowe życie” zespołu NAIIV.

Misiael Pierwszy [misiael1@o2.pl]

Kot z Cheshire ::: Zegar

Wszystko zaczyna się od Zmiany.

Wtedy zupełnie nowe powstają ścieżki; rzeczy nigdy nieoczekiwane rekonstruuja zaśnieżone już stelaże i konstrukcje. Tak było, tak jest. Będzie natomiast do momentu, w którym możliwości przejdą w stany rzeczywistości i osiągnąć; wtedy coś się skończy. A przyszłość nigdy nie będzie mniej pewna.

I

W ten późny wieczór miasto lśniło jedynie kulami gorących od światła przestrzeni. Uliczkami akustyki rozchodziły się krzyki i głucho uderzenia. Krótkie serie ostrzału przemykały rwanymi partiami głosów, wchodząc na wyższe i bliższe tony, by znów, po chwili ledwie, oddalać się bezpostaciowo. Ciemnymi uliczkami miasta skradał się Strach.

Słomiana jego głowa obracała się co parę koślawych kroków, wynaturzone barki przyjemnym skrzypem słomy. Podniszczona marynarka zwisała wesolutko. Lewy but, więcej brązowy niż drzewo, kłapał wywieszonym jęzorem podeszwy.

Kuśtykając, Strach wpatrywał się nieco chciwie - o ile szkło kulek może tak się wpatrywać - w ciemność. Pryzmaty oczu rozświećlały refleksami warstwy słomy, omiały niepewnie jaśniejsze zakątki.

- Psia wasza mać, swołocz, zakutwione rzymy - mrucał pod nosem - w taką noc takie fajerwerk, takie strzały w podbok. Strach uszedł w roztargnieniu bezwładnego drewna jeszcze parę metrów, po czym zatrzymał się i rozłożył w jednym z brudniejszych zakątków. Poderwał się zrazu, psiocząc na naburmuszonego kota, któremu usiadł na łbie. Kot obrzucił go pełnym pogardy uśmiechem i spod pyszczka powiedział, co następuje:

- Strachu na wróble, nie psioch na kota, brzydko to tak. Rewolucja wokół nas, Ty mi bratku na rewolucjonistę nie wyglądasz. Ty raczej blaszanym jesteś. - rzekł kocur, zamilkłszy wraz.

Strach podskoczył parę razy na jednej z łamliwych kończyn, przykucnął, strzepnął drobny pył ze słomianego puszczela. Wyprężył się po tym wszystkim, charknął i splunął tuż obok kociska.

- Panie, mi tu wraz z ostrzem się nacinasz na honor. A blaszanym to może i jestem. - dumnie rzekłszy, spuścił niżej brodę - Nie czas mi na pogaduszki. Znasz Ty może okolicznego rycerza, króla, lwa, kogokolwiek z głową wykręconą na cztery fajery? - zapytał, mieniając swoją mowę ozdubnikami w przestrzeń.

- A weź Ty mi z ogona zejdziesz. Zjazd. - odparł kocur, rozpychając się w swoim ciemnym kącie. Po chwili zaś wskoczył na przeciwpożarowe schody, niby gałąź zwieszająca, by przypatrywać się w jeszcze większym a równie błogim spokoju. Podniósł łapkę, przewieszając srebrną tasiemką z zegarkiem, po czym dodał - Zaraz trzecia. Chwila jeszcze i kolejki będą na ulicach. Spiesz się pan. Bo na ogniocho, relikcie, idziesz.

Strach przykucnął, by podskoczyć do drabinki schodów. Zaprotestowała w cichym skrzypnięciu i nie drgnęła ani o milimetr. Kot parsknął nieukrywany śmiechem.

- Co, uciekamy? No nie, tyle lat na posterunku, teraz kiwamy się z odpowiedzialnością?

- Chyba obywatelską. - wyskrzypiał Strach - Ty masz w ogóle pojęcie, co się szykuje? Wy, Koty, macie jakieś mgliste kontakty z tymże to miastem, tymże światem - roztoczył za sobą, smukłym szczudłem ramienia, półkole. Kot mrucał cicho, nie zwracając zbytniej uwagi na skierowane do niego słowa.

- Takie życie. - mruknął w końcu, odwinąwszy ogonek z łapek, i wskoczył na wyższą kondygnację. Zaczerniał sierścią na tle nocy. Strach został sam. Obejrzał się przez ramię w uliczkę, z której przyszedł. Obrzucił szybkim spojrzeniem swoje ubranie, poprawił je, naciągając na drzewiaste kikuty materiał, po czym wyruszył w zajaśniały gradient wylekłych podwórz miasta.

Wszedł w wyłożony czerwoną kostką plac. Otaczały go zewsząd stare, późnojesienne kamieniczki. Na przecięciu się przekątnych placu krzywił zęby ku obserwatorowi ekwilibrystyczny wytwór architektoniki, zlepkiem masywnych płyt, wysadzanych miłą zielenią kamieni, łączonych z lekkim i skromnym błękitem setek brzegowych zębów, sterczących na wszelkie strony. Kontrastowe to połączenie nie wzruszało teraz biwakujących pod nim ludzi, którzy okopawszy się czekali na pierwsze wojska. Plac przepełniony był wonią strachu.

Strach przemykając od jednego głębszego cienia do następnego, myślał o zaistniałej sytuacji. O jakimś rozwiązaniu. Królu, może, rycerzu dzielnym. Księżniczka zbędna, chyba, że do małżeństwa; ale nie unia teraz potrzebna. Noc rozświećliły grzmoty; z machin czerepnych lały się na miasto traumy dzieciństwa, koszmarny nocne. Wszystko spowite w ciężkich inercjach, rozszepiało się nad takim domkiem i tłoczyło duszę; towarzyszyły temu zielenie i fioleto, rozświećlające teraz niebo jak żadna z gwiazd. Z szepkami i cichymi chichotami wkładały się do domów złe myśli i gorsze od nich sny. A Strach na to patrzył, nieufny snom. Okopani pod placowym pomnikiem ludzie z wrzaskiem wytaczali się z zajętych pozycji. Dwóch obaczyło w sobie wroga; gruchnęły zenity skal, by po chwili starcia przejść w głuchą ciszę. Obydwaj leżeli martwi. Paru rozbiło sobie mózgozczaszki na kamiennych płytach, inni uciekli, opętani własnymi duchami przerażenia. Strach jest najwspanialszą bronią, jaką można sobie wyobrazić - mówiły mocarstwa. Tak było w istocie. Strach Na Wróble wiedział o tym równie dobrze.

Zza najbliższej, najbardziej też żałośnie wyglądającej kamieniczki, wytoczył się młody chłopiec w stanie ciężkiej paniki. Skomlał, płacząc, rozdrapał sobie do połowy olbrzymią kurczając na twarzy. Krew ściekała po młodej skórze.

- M-mamo! - pisał cienko, w swej piżamce w misie - Nie ma-mamy!

Strach przykląkł na jedno zbutwiałe kolano i przyciągnął chłopca do siebie. Malec patrzył całkiem nieprzytomnie, nieświadom tego, co wokół niego i w nim.

Nagle ocknął się, a widząc w tej sekundzie rozszalałą twarz, splecioną ze słomy, szklanych kulek i kapelusza, tuż przy swojej własnej, zawył, i począł ze złością kopać. Ugniatana słoma trzeszczała cicho. Po chwili jednak chłopiec osłabł, zawisł na wygiętych pod ciężarem drewnianych rękach. Z pobliskiej kamienicy unosił się zapach spalonych włosów. Dom huczał ogniem, a z okiennic wytaczały się zwały ciężkiego dymu, zakrywające przeraźliwie jasne niebo, które wygasało w oczach jeszcze długie sekundy, zostawiając pod nieistniejącymi powiekami masę roztańczonych świetlików.

Strach upuścił chłopca na ziemię. Upadłszy, malec stęknął cicho. Z ucha cieć zaczęło mu wino, lśniąco odbiciach. Zakapeluszony Strach odszedł dalej. Poprawił sobie tym razem rękaw, by ocenić go krytycznie, poprawić raz jeszcze, po czym osunąć się w świat rozmyślań.

Nad miastem cisza rozcapierała pazurki i rozpuszczała włosy. Strach Na Wróble stał nieruchomo, a placu nie opuszczał wiatr.

Do swojego kokonu ze słomianego jedwabiu wrócił Strach dopiero nad rankiem. Rozchylił skrzydła rozprostowując parę chwil zastałe miejsca. Wymodelowawszy tułów i poprawiwszy rękawy marynarki, rozejrzał się po mieście.

W jaśniejące niebo wzbijało się parę kominów dymu. Ciszę rozpychały nawoływania, krzyki i przekleństwa. Chłopiec znikł, widać - jego ciało było bardziej potrzebne gdzieś indziej. Jego myśli, jego duch. Też gdzie indziej.

Strach Na Wróble przez całą noc kojarzył znanych mu mniej lub bardziej rycerzy miasta. Nie inaczej myślał także o innych, a niezbędnych osobach. W chwilach tak znamienitych dobrze jest czuć nad wszystkim osobiście.

Pamiętał, że przed wieloma laty, daleko, za siedmioma kamienicami i czterema studniami, pewien dom zamieszkiwał rycerz może nie największej sławy, nie najbardziej ostrego miecza ani nie najmężniejszy, ale zacny, swojski i w ogóle chłop na schwał. W chwilach zagrożenia postąpił zapewne najrozsądniej - czyli siedział w domu, nosa nie wyściubiając na zewnątrz. Szukać go można w progach domu, a przypuszczać należy, że jest tam, trwający na skromnym posterunku dziedzica.

Strach koślawym krokiem tworów drewnianych przemierzył plac, by dotrzeć do pobliskiego ciągu kamieniczek i innych budynków. Skręcały one wraz z miastem w wielkiej ośmiorniczej spirali zabudowań. Zza barykad, wąziutkimi przejściami, przebiegały małe dzieci, niosące zapewne przesyłki do następnych stanowisk. Niejeden poeta niesłusznie zginie dziś w młodym wieku - pomyślał Strach. Otwarte często na oścież okiennice wylaniały zawzione łby mieszkańców. Był wczesny ranek, którego niebieska poświata nie pozwalała jeszcze na wnikliwe badanie wszystkich przechodzących. Zakapeluszony i złachmaniony Strach powoli kuśtykał do swojego celu. Obserwował rannych, jak wybałuszali w przedśmiertnym rozżaleniu oczy; nie pamiętał, czy kiedykolwiek widział człowieka pogodzonego ze śmiercią. Wiary do tego trzeba, wiary, powtarzał, wędrując kiedyś późną wieczorową porą.

Dżungla miasta? Kiedyś, może, gdy budynki pięć się zaczęły wśród chmur - myślał Strach - ale będzie to prawda. Dżungla to mieszanina, nawarstwianie. Tak też jest z tworem człowieka: kultura, więc i architektura, więc i miasta; żyjące, oddychające kruszeniem się kamieni i zapadaniem budynków. Były Strachowi obce; zimny kamień tak dalece inny od drzew, liści, słomy. Myśli przetrwał zimnymi nocami i wtedy, gdy stał otulony kożuchem, czy to liści, czy śniegu. Teraz jednak starał się skupiać na człowieku.

Stada ptaków kołowały nad miastem; jeszcze nieprzetrzebione stałym ostrzałem, lecz zrozpaczone, bo bez jakiegokolwiek celu.

Strach wznosił lekko w geście pozdrowienia kończynę drewnem wyrosłą.

Gdy w końcu stanął przed zapamiętą i szukaną kamienicą, minęły krótkie kwadransy, a ludzie, zachęceni względnym spokojem, przemykali u jego boku. Jednak stare miejsce, siedziba rycerza, było wylękłe i wymarłe. Wybite okna. Strach obszedł budynek dookoła; wyrwana pociskiem ściana, stukające jeszcze na chłodnym wietrze kawałki tapety, boazeria z każdym silniejszym podmuchem zlatywała płatami. Tynk upadły w beładną kupkę gruzu. Strach milczał. Czuł się wykpiony. Przez własną pamięć, trochę bardziej statyczną niż świat, przez wydarzenia ostatnich dni. Pochyliwszy głowę, zdjął i przycisnął do piersi spłowiwały kapelusz.

Jakieś dzieci wesoło przebiegły za jego plecami. Rozbudziło go to z niemal melancholijnego letargu. Dzieci stanowiły niezbywalny element czasów; gdy braknie dzieci, nie tylko potomków i szans braknie - brakuje serc i motywacji. Otrząsnął się z przygnębienia i ruszył w głąb spiral miasta.

Czego teraz szukać? - myślał Strach. Jego pamięć to biblioteki białych kruków, uginające się od zapisków życia i doświadczeń.

Doświadczenia zbiorowe jakkolwiek - myślał Strach - pozostają poza skrajem przyswajalności; zbyt wiele pojedynczych osobowości.

Skrzypiąc kuśtykał przed siebie. Mijał następne wielkie budynki, niektóre liczące nawet dwa piętra, jak i małe, ledwie wybudowane kamieniczki, ornamentowane na modłę geometryczną - obłej nowoczesności. Czerepie zeszłej nocy w całym mieście naznaczyły zniszczeniami swą obecność. Front idzie burzą - myślał Strach Na Wróble - zapewne wieczorem przeprowadzą się przez północny brzeg rzeki. Dziś też - relacjonował sobie prawdopodobieństwa - upadną najdalsze prowizoryczne fortyfikacje. Z jedną przerwą między załogami miasto zostanie zdziesiątkowane. Niewesoły wykrzywieniem słomy Strach wędrował przez miasto tego zimnego poranka. Ludzie układali małe stosy trupów; płonąć zaczęła nocą. Dla wielu nie będą rozświetlały ciemności.

Dotarł do starówki, przecinanej szerokimi krawężnikami ulic. Wznoszący się niewysoko ratusz ucierpiał nocą; osmalone ściany wyzierały wśród przyjemnej bieli.

Kocury przesiadywały zapewne godzinami na parapetach wysokich okien, leniwie czekając na niezbyt mądre gołąbki. Z okien dobywał się gwar rozmów. Strach przystanął przed strzelistymi, choć teraz zamurowanymi progami, i nasłuchiwał. Miasto zdawało się nie trwać długo w stanie podniecenia; rozleniwienie było najgorszym wrogiem rewolucji. Tu i ówdzie mruczały Kocury, gdzieś słychać było przyspiwy wróbelków. Strach zaskrzypiał z niecierpliwości; nikt, jak widać, nie pamięta o wiszącej nad miastem zagładą. Czemuż to nikt na koń nie wsiada, szabelką nie tryfuje? zapytywał siebie. Na kapeluszu przysiadł mu ptaszek; zegnawszy niepożądanego gościa, Strach trwał przez niezręczną chwilę w zamyśleniu. Poruszył się dopiero, drgnął właściwie, gdy Kot jakowy wyrzucił mu, że zacytuje:

- Panie, tu się nie stoi, tu irytuje Panżesz nasz pokarm - rzekł bez pośpiechu, i choć nieszczególny, to odznaczający się odpowiedzią prezencją. - Pragniemy się pożywić, a że jest to całkiem zrozumiałe, sugerujemy wypad pańskich krzywych w bliżej nieokreślone miejsce. Tak rzekłszy, przymknął kot swe żółtawe oczęta i zapadł w błogi letarg.

Strach z obrzydzeniem wpatrzywał się chwilę w wygodnickiego zwierzaka.

Wszedł jeszcze po schodach pod drzwi, zapukał. Odczekawszy stosowną chwilę a nie słysząc odpowiedzi, zszedł z powrotem i powlókł się nierówno przed siebie. Cały świat stał przed nim zamknięty. Jednak czekał; czekał tak Strach Na Wróble, jak i świat - na nową możliwość, możliwość zmiany w sklepieniu zdarzeń. Nie minęła nawet godzina, gdy słomiana postać zaczęła już wychodzić poza obręb zabudowań miasta: rzęda się budynków, ulice przeistaczały się w wolne od traw szlaki piasku i kamyków. A Strach szedł, skrzypiało drewno, chrzęściła słoma. Kapelusz chybołał się niepewnie osadzony. Pobrmiewały cicho noże w pochwie słomianego tułowia.

Jest pewien paradoks w świecie natury i żyjącego z nią równolegle człowieka. - myślał Strach Na Wróble - Nie przyzna człowiek, że znalazł się wśród zieleni drzew i krzewów dopóty, dopóki nie odezwie się pierwszy wróbel, skowronek, sroka nawet. Dziwne więc jest, że pozwala sobie przyrównywać miasto do żyjącego organizmu. Miasto kamienia i stali z definicji jest martwe.

Strach dreptał niespiesznie. Poranek przeszedł w chłodne popołudnie. Czasami na horyzoncie pojawiały się płoty i ogrodzenia, by okazać się pozostałościami opuszczonych gospodarstw, często spalonych, ze zwęglonymi pozostałościami uwięzionych wewnątrz zwierząt. Gdzieś pobłyskiwał wytopiony tłuszcz.

Front zbliżył się tej nocy o parę kilometrów; znać to było po pnącej się do nieba sieci snopów fioleto. Najpóźniej jutrzejszym rankiem dotrze do miasta. Strach Na Wróble nie wróżył niczego dobrego; nawet w chłodnych podmuchach wiatru widział zjawę pogromu. Szczerzyła swoje płaskie oblicze płaskorzeźby na murach antycznych świątyń.

Parę razy minął się z uciekającymi; tobołki, naprędce spakowane wozy, niedożywione konie. Dzieci o bystrych spojrzeniach. Do-

rośli żujący kłosa zbóż. Strach spuszczał wzrok, gdy przejeżdżali. Czym różnią się od siebie wojny? - Zapytywał wtedy powietrze - Niczym. - Odpowiadał sobie po chwili milczenia. Z bezzilną irytacją poprawiał co chwilę rękawy marynarki.

- Zesz wy wszyscy rdza by w was wżarła, wyzierała, szczeźła, schamiała, szczury - wyklinał cichym głosem. Przyznawał przed samym sobą, że nigdy mu to nie pomagało. Niektóre nawyki jednak trudno wypłenić. Inne zbyt łatwo. Szedł skrzypiąc. Szedł wierząc.

Zbliżał się wieczór, gdy Strach Na Wróble dochodził do granicy pokoju i wojny; znaczyła się ona w ciemności błysnięciami światła, głuchymi eksplozjami blasku, echem szczeknięć broni. Od wielu godzin nie spotkał już żadnych uciekinierów. Po prawdzie znał powód: nie miał już kto uciekać. Wojna to cierpienie ludzi, ich życie i śmierć.

Front zatrzymał się na rzece. Tylko ta trwała na posterunku; gdy ludzie nie mają sił, szukają ich w tym, co relatywnie wieczne. Dlatego też broniący się wszystkie siły oparli na naturalnej przeszkodzie, zakolu rzeki. Spalone mosty można odbudować. Tu jednak rozdeptuje się najtrwalsze twierdze przyrody; czego ludzie oczekiwali, budując swe miasta i ryjąc tunele pod górami?

Nad doliną, w której horyzont przedzielało nierówne zakole rzeki, czerniało roziskrzone gwiazdami niebo. Resztki dogasającego światła dnia, wychwytywane przez pryzmaty oczu Stracha Na Wróble, lśniły jak tanie błyskotki. Droga wiała się między niewysokimi pagórkami, łączyły się kolejne wstęgowe odnogi by doprowadzić podróżnych do starych mostów Mocarstwa. Mosty istniały jeszcze kilka dni temu - teraz i one odeszły do krainy wspomnień, legend i baśni. Wcześniej jednak stanowiły o świetności, glorii zdobywców, chwale minionych czasów. I choć Mocarstwo nie przetrwało, choć lud ten nie przetrwał - istniały mosty, niezamierzono pomniki.

Strach Na Wróble poruszył się; drgnął, zaskrzypiał, spojrzał przez ramię za siebie. Poczuł nowe zawirowanie, zmarszczenie na polach intuicji. Nic jednak nie dostrzegł; wrócił myślami do rozłożystych ramion rzeki. Poprawił szybko rękawy marynarki. Schodził wolno po stale pochylonym zboczach. Konturem zespolonych czerni ukazywały się drzewa i krzaki, pola zbóż chwiejne od wiatru. To nocy rozlewało się na otoczenie.

Mijały kwadranse; Strach doszedł już do pierwszych zabudowań, wyrosłych na naturalnym przegubie materiału ludzkiego, okalającym przerzucone tu mosty. Szum wiatru i wody przedzierany był przez krótkie szczeknięcia rozkazów i wystrzały. Niedaleko ktoś jęknął syci bruchatą rozkosz. Strach wszedł między niskie, rozłożyste fortyfikacje. Wszędzie przemykały często przgarbione ludzkie postacie.

- To Ty?... - spytał jakiś dziewczęcy głos w ciemnościach.

- Mhm. - mruknął ktoś w odpowiedzi. Oba głosy zamikły po chwili w ciche, ledwie słyszalne szepty. Strach szedł, skrzypiąc i szeleszcząc.

Fiolet drugiego brzegu wykwitał przed oczami słupami skondensowanego koloru. W jednej chwili przygasł; ktoś krzyknął, ktoś zaczął głośnie. Fiolet zamroczył, by wytrysnąć w ciemny nieboskłon, rzygać nasyceniem koloru. Strach dostosował wzrok i podniósł rondo kapelusza; widać było poruszenie wśród obrońców. Nad doliną uniósł się obłok zieleni i fioletu; opadał ciężko, kłębam kolorów. Blisko rozległy się krzyki. Ludzi ogarniało przerażenie. Fiolet konsumował rzekę; fiolet odparowywał wodę. Wroga najlepiej pokonać własną bronią; nic nie sieje większej paniki, mówią pokolenia zdobywców. Rzeka umierała.

Ludzie nie czekali. W stronę miasta zaczęły wyruszać najbliższe jednostki; padały chaotyczne rozkazy, zdzierano gardła nawołując najbliższych. Kłęby fioletu, smród i duchota odparowanych hektolitrow wody wysane do płuc dusiły i drażniły, zdawały się rozognić gardło. Grzywy pary parzyły skórę, przesycali powietrze; po chwili spadały, zatrute fioletem, w deszczu. Prowizoryczne fortyfikacje pustoszały w krzyku, harmidrze i rozgardiaszu, a wszystko to trwało parę krótkich chwil. Strach, pociągnięty przez jakiegoś starszego mężczyznę, biegł, by nie zostać zdeptany lub przejechany. Nad doliną zasunęła się fioletowa noc.

Zatrzymali się w grupie liczącej może dwadzieścia, może trzydzieści osób. Oddaleni o pół godziny marszu czuli się bezpieczni. W takich ciemnościach - ledwie trzy kieszonkowe latarki oświetlały twarze - nikt nie był obcy.

- Wszyscy cali? Bielec? Mikołaj?... jest? Jagoda? - spytał ktoś; inny charczał ze zmęczenia, narzekając na ból w piersiach.

Strach Na Wróble nie czuł zmęczenia; nie mógł nawet. Głuchy był na ból drewnianą wrażliwością.

Jakaś kobieta, której krótko, chłopięco obstrzyżone włosy opadały grzywką na twarz, śmiała się głośno; rozmawiające z nią dziewczęta wydawały się obce wojnie, obce rewolucji - jak nieznające jesieni, pomyślał Strach. Rozglądał się. Miasto znajdowało się bardzo daleko; sam swoim rytmem dotarł tu przecież po długich godzinach. Front posuwał się może i wolniej - jednak i tak zbyt szybko.

Nad horyzont fioletu wypłynęły brzęczące motyle.

- Czerepie!.. - krzyknęła jakaś kobieta.

- Zrzuć psy. - dokończyła inna. Ludzie zamarli w miejscu. Motyle rosły, zbliżając się z każdą sekundą. Wytrawiały w chmurze fioletu ścieżki, odsłaniając niebo.

- Moment, ej, tu przecież chyba są gdzieś bunkry!.. - krzyknął ktoś. Kiloro par oczu zwróciło się w jego stronę. Młody niedojrzałością chłopiec. - No, gdzieś w pobliżu! Na pewno!

- Zgoda. - powiedział jeden ze starszych mężczyzn. - Musimy. Mi... ludzie, podzielcie się na dwie grupy. Biegiem! Mikołaju, zachodni jest bliżej miasta. Weź kobiety, paru mężczyzn, swojego syna. - wskazał palcem na chłopca. - Ja będę we wschodnim. Tam coś jeszcze chyba zostało, jakieś resztki... nie wiem... Po prostu nie stracamy tego czasu.

Mikołaj okazał się podstarzałym mężczyzną. Rude włosy przechodziły w rudą brodę. Ubrany był w sztruksowe spodnie, robocze buty i gruby sweter w paski.

- Dobrze. Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. Łużny... chciałbym powiedzieć... do zobaczenia. - Wzniósł latarkę ponad głowę i zaczął wołać - Do mnie! Ludzie, słyszeliście go! Do mnie!..

Strach Na Wróble stał w chwiejnych cieniach, utworzonych przez światła latarek. Ludzie przebiegali i w tych ciemnościach byli ledwie widoczni. Brzęczące motyle jednak zbliżały się zdecydowanie zbyt szybko. Strach nie wątpił również, że mimo nocy widzą znacznie lepiej niż można się było spodziewać. Poprawił rękaw marynarki. Zadzwieczyły ciężko noże.

Grupa Mikołaja wyruszyła prędko, rozproszona na parędziesiąt metrów; pozostali ludzie tłoczyli się przy Łużnym. Strach pozostał wraz z nimi, choć słomiane serce podpowiadało mu, że nie byłoby głupim jednak trafić do miasta. Na razie front był ważniejszy. Łużny, nic nie mówiąc, patrzył jeszcze nędzną chwilę na grupę Mikołaja, po czym odwrócił się, by ocenić ilość pozostałych przy jego boku.

- Za mną, kto jeszcze dyszy. - rzucił w powietrze. Brzęczące motyle rozpełzły się po fiolecie.

Ciąg dalszy nastąpił.

- kim jesteś?

- I'm complicated.

Kot z Cheshire

Dr. Agon ::: Ratując w biegu...

Akcja opowiadania ma miejsce między 14:50 a 17:30

Albert Vits był zwykłym mężczyzną po trzydziestce. Nie palił, pił alkohol tylko w święta i w czasie urodzin swoich bliskich. Był redaktorem naczelnym gazety jednego z wielu wychodzących w River City dzienników. Właśnie pił kawę w oczekiwaniu na swoją narzeczoną, Juliet Connor. Albert bardzo się cieszył, że się z nią spotka. Juliet była piękną kobietą, stworzoną dla Alberta. Miła, sympatyczna, pracowita, a co najważniejsze, kochała Alberta. Za trzy miesiące mieli się pobrać. Można powiedzieć, że Albert był najszcześliwszym mężczyzną w mieście. Dochodziła godzina piętnasta. Albert wybrał numer do swojej oblubienicy.

„Abonent jest czasowo niedostępny, proszę spróbować później”. Albert trochę się denerwował. Położył telefon, na blacie stolika, po czym poprosił kelnera o następną kawę. Przez chwilę bawił się aparatem. Może utknęła w korku, i telefon jej się rozłądował. –Pan Vits?– Spytał młody człowiek, noszący strój kuriera. Albert odpowiedział skinieniem głowy. –Mam list do pana, oraz przesyłkę. Proszę podpisać.– Gdy Albert wziął kopertę, podpisał się w podanym miejscu. Mężczyzna w tym czasie położył mały pakunek na blacie stołu. Albert dał chłopakowi 30 dolarów napiwku. Gdy kurier się oddalił, Albert najpierw otworzył małą paczuszkę. W środku znajdowała się pozytywka z małą figurką baleriny. Zabawka wygrywała smutną melodię, która wypełniała przestrzeń wokół Alberta. Mężczyzna otworzył kopertę. W środku znajdowała się mała karteczka.

„Pozbądź się nogi, nie jest do niczego potrzebna.”

Albert potrząsnął głową. Cały czar prysł. Pozbądź się nogi? Cóż za dziwactwo. Po chwili zastanowienia, Albert chwycił pozytywkę, zapłacił za kawę, po czym wyszedł z restauracji. Było piętnaście po trzeciej. Juliet trochę się spóźnia, poczekam na nią w samochodzie, pomyślał Albert. Gdy siedział w aucie, z pozytywką na kolanach, rozmyślał o wiadomości. Przeanalizował ją kilkakrotnie, zawsze dochodząc do tego samego wniosku. Nie zastanawiając się dłużej, chwycił ciało baleriny prawą ręką, a lewa złapała za nogę postaci. Przez moment Albert miał wyrzuty sumienia, przed tym co chciał zrobić. Zamknął oczy. Przekręcił lewą dłoń. Trzask przerwał melodię. W samochodzie nastała cisza. Albert otworzył oczy. Okazało się, że noga baleriny jest wydrążona. W środku znajdowała się mała karteczka. Mężczyzna delikatnie wyjął zwitek, po czym odczytał napis na nim zamieszczony.

„Maleros Place, 42”

Przecież to mój adres, zdziwił się Albert. Położył wszystko na sąsiednie siedzenie. Odpalił wóz po czym ruszył w kierunku swojego miejsca zamieszkania. Po drodze próbował dodzwonić się do Juliet, jednak bez skutku. Wpół do czwartej był już pod swoim domem. Ale nie wysiadł od razu. Rozejrzał się, czy nikogo nie ma na ulicy. Nie musiał tego robić, jednak coś mu kazało to zrobić. Ulica, o dziwo, była pusta. Zabrał telefon, pozostawiając pozytywkę i liściki w samochodzie, po czym wyszedł z auta. Podeszedł do swoich drzwi. Nacisnął klamkę, jednak drzwi si nie otworzyły. Poszukał kluczy w kieszeni. Znalazł je. Po chwili był w środku. Nie miał pojęcia, czemu jest taki rozkojarzony. To jakiś dowcip Juliet, pomyślał. Chce mnie nastraszyć, albo coś w tym stylu. Rozejrzał się po domu. Nie było żadnych oznak włamania, kradzieży. Ogólnie rzecz biorąc, jego dom wyglądał tak samo jak w chwili wychodzenia do pracy. Albert dla rozluźnienia atmosfery włączył radio. Nowy utwór zespołu Outlandish wypełniał cały dom. Mężczyzna skierował się do kuchni. W restauracji wypilem tylko kawę, pomyślał Albert. Trzeba wrzucić coś na ruszt. Otworzył lodówkę, po czym zamarł. Cała lodówka, od góry do dołu, po brzegi, była wypełniona kartonami z mlekiem. Prawie sto litrów mleka. Sam fakt wyglądałby jak głupi żart, jednak to co wcześniej przytrafiło się Albertowi w połączeniu z tym, nie było wcale śmieszne. Mężczyzna dostrzegł białą karteczkę, podobną do znalezionych wcześniej.

„Szukaj jej w mleku.” Jakiej Jej?

–Juliet, jesteś tu?!– Krzyknął Albert. –To wcale nie jest śmieszne! Wyjdź proszę.– Jednak nikt nie wyszedł. Cholera, pomyślał Albert. Co to za głupia gra? Kogo mam szukać? Albert miał już tego powyżej uszu. Otworzył pierwszy karton, po czym wylał zawartość do zlewu. To samo stało się z następnym i następnym. Przy dwudziestym z rzędu kartonie, przerwana została dziwna rutyna. W czasie wylewania mleka, z kartonu wypadła mała, szczelnie zamknięta saszetka. Albert natychmiastowo sięgnął po pakunczek. Wytarł mokre dłonie, po czym otworzył saszetkę. Znowu karteczka.

„Komputer, Zdjęcie.rar, hasło to twoje imię” Albert ruszył po schodach na górę. W swoim pokoju znajdował się komputer, z którego często korzystał. Uruchomił urządzenie. Po kilku minutach, gdy system Windows zdążył się załadować, Albert od razu znalazł mieszczący się na pulpicie plik „Zdjęcie. Rar.” Przed wypakowaniem pliku, program spytał o hasło. Tu Albert musiał chwilę pomyśleć. Hasło to twoje imię. Wpisał „Twoje imię”. Złe. Ponownie musiał wydać polecenie wypakowania pliku. Tym razem wpisał swoje imię. Albert. Po sekundzie na pulpicie pojawiły się dwa nowe pliki. Plik tekstowy i plik graficzny. „Przeczytaj najpierw to” oraz „Obrazek 1”. Albert nie wiedząc czemu, postąpił zgodnie z instrukcją.

„Drogi Albercie!

Gdy czytasz ten plik, twoja narzeczona siedzi w ciemnej piwnicy, z workiem na głowie, zakneblowana i związana. Gdy ty na nią czekałeś w restauracji, moi ludzie przygotowywali dla ciebie niespodzianki które masz już za sobą, oraz te które są przed tobą. Jeśli nie wierzysz, otwórz plik graficzny, który zapewne wypakowałeś na swój komputer.”

Albert przerwał czytanie pliku. Szybko kliknął na ikonę pliku. Po kilku sekundach, na ekranie komputera Albert zobaczył swoją ukochaną Juliet, siedzącą w ciemnym pomieszczeniu z płóciennym workiem na głowie. Rozpoznał ją po jej ulubionych spodniach, i małej, srebrnej bransoletce na lewej ręce. Na zdjęciu widniała data. 15.10.06. 15:05. Złany potem, że łzami w oczach powrócił do pliku tekstowego.

„Szokujące prawda?

Jest możliwość, abyś uratował swoją ukochaną, jednak będziesz musiał dotrzymać tajemnicy. Nie możesz się nią z nikim podzielić. Gdy policja dowie się o tym, Juliet zginie. Udać się natychmiast do budki telefonicznej na rogu Clinton Road i River Ave. Dotrzesz tam w ciągu 15 minut biegiem. Tylko biegiem, nie możesz używać samochodu. Ani swojego, ani taksówki. O godzinie 16:05 zadzwoni telefon. Dostaniesz dalsze wskazówki.

Troublemaker.”

Teraz sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Jego narzeczona została porwana. W jego rękach jest jej życie. Albert nawet nie wyłączył komputera, tylko od razu zbiegł po schodach. Zamknął drzwi z hukiem i ruszył przed siebie. W college’u był dobry w biegach, szczególnie na długie dystanse. Trochę wyszedł z wprawy, jednak po chwili złapał odpowiedni, wyuczony rytm. Wdech, wydech, wdech, wydech. Niech no dopadnę tego, co nam to zrobił, myślał Albert. Ja się okazało, Troublemaker miał rację. Dobięgnięcie do budki zajęło mu niecałe 13 minut. Dochodziła godzina czwarta. Albert rozejrzał się po ulicy. Było względnie spokojnie jak na O równiej szesnastej zadzwonił telefon. Albert szybko odebrał słuchawkę.

–Jestem!

–Stacja metra Blackpound, na piechotę, za 10 minut.– Odpowiedział chrapliwy, jakby modyfikowany komputerowo głos. Połączenie zostało przerwane. Albert nie miał możliwości zapytać się o zdrowie żony. Położył słuchawkę na widelcu, i pognął prędko ulicą. Mijał mężczyzn i kobiety, dzieci i starszków. Wszyscy trochę dziwnie przypatrywali się gnającemu chodnikiem dorosłemu mężczyźnie. Pot zaczął łać się po czole Alberta. Jeśli porywacz będzie kazał mu biegać po mieście, to czy starczy mu sił? Czy zdoła uratować Juliet? Tego nie wiedział, był jednak pewny, że zrobi wszystko by ocalić narzeczoną. O godzinie 16:11, był już na

stacji metra. Kręcił się przez chwilę po stacji, po czym podszedł do budki telefonicznej. Po chwili oczekiwania, z głośników rozległo się ogłoszenie.

-Pociąg trasy Blackpound - Graystone odjedzie o godzinie 16:15. Pan Albert Vits proszony jest o zgłoszenie się do punktu informacji.- Albert usłyszawszy swoje imię i nazwisko, spytał przechodzącego stróża gdzie znajduje się biuro informacji. Gdy dotarł do niego, czarnoskóra kobieta z obsługi wręczyła mu kopertę. Otworzył ją. „Wsiądź do pociągu.” Mężczyzna zrozumiał, że chodzi o pociąg który odjedzie za... Niecałą minutę. Albert ruszył natychmiast. Pociąg linii Blackpound - Graystone stał jeszcze na stacji. Albert dziękował swojemu szczęści. Dwa dni wcześniej, gdy jego samochód się zepsuł, wykupił tygodniowy bilet za 10 dolców. Jeszcze obowiązywał, i Albert zawsze nosił go w kieszeni. Po chwili, pociąg ruszył wraz z mężczyzną. Był kwadrans po szesnastej. Albert miał możliwość odsapnąć. I obmyślić całą sytuację. Jego narzeczona została porwana, przez osobnika ukrywającego się pod pseudonimem „Troublemaker”. Została porwana między godziną 14:40 a 15:00. Albert przeszukał kieszenie. Guma do życia, koperta z wiadomością ze stacji, bilet tygodniowy i telefon komórkowy. 2 połączenia nieodebrane. Albert przejrzał listę. I zamarł. Juliet dzwoniła do niego dwukrotnie. Ostatnie połączenie było o 14:55. Jeśli została wtedy porwana, to zapewne wzywała pomocy. Chciała się z mną skontaktować, a ja miałem wyciszony telefon, myślał Albert. Ustawił profil w telefonie, na „Głośny”. Na drugim końcu wagonu, mężczyzna odebrał telefon.

-Witaj kochanie. Tak, sprawdziłem. Zaraz dojadę na stację. Czekaj tam na mnie. Kocham cię!- Albert zastanawiał się, czy przeprowadzi tą rozmowę z Juliet, kiedy ją uratuje. Już nie myślał „jeśli”. Był zbyt zdesperowany, mógł teraz zrobić wszystko. Spełni każde żądanie porywacza. Z rozmyślań wyrwał go pisk kół i małe zatrzęsienie. Pociąg dojechał na stację „Graystone”. Albert jako ostatni wysiadł z pociągu.

-“Pan Albert Vits proszony jest do stanowiska informacji”. - Odezwał się męski głos. Jako, że stację w River City zbytnio się nie różniły od siebie, Albert z łatwością trafił do informacji. Pięćdziesięciolatek wręczył mu kopertę, identyczną z tą, którą dostał na stacji Blackpound. Otworzył ją. „Budka telefoniczna przed kamienicą na Baker Street. 16:35”. Znowu to samo. Musiał spełniać żądania porywacza. Albert wziął głęboki wdech i ruszył schodami w górę. Z tego co pamiętał, Baker Street jest dosłownie rzut beretem od stacji metra. Była godzina 16:32. Dwie minuty później dobiegł do budki. Jednak, o zgrozo, ktoś już siedział w niej. Zastukał w drzwiczki. Mężczyzna w środku dał znak ręką, że już kończy. I rzeczywiście, dziesięć sekund później, mężczyzna wyszedł z budki. Albert wszedł do środka i zamknął drzwi. Telefon zadzwonił równo o 16:35. Albert jednak nie podniósł od razu słuchawki. Po dwóch dzwonek, uczynił to. I z nerwów puściły mu wszystkie nerwy.

-Posłuchaj sukinsynie, chcę się dowiedzieć jak się czuję Juliet?! Czemu nam to robisz?- Koniec. To już koniec. Zaraz w słuchawce rozlegnie się ogłos wystrzału i nie będzie więcej wskazówek. Po chwili ciszy, odezwał się głos w słuchawce. Nie był to jednak ten sam zmieniony głos. To była Juliet.

-Za sobą masz kamienicę. Pójdź schodami na samą górę, potem na dach, za pomocą schodów przeciwpożarowych. - Mówiła łamiącym się głosem. Albert prawie płakał, gdy słyszał jej głos. Żyje.- Na dachu, w walizce znajdziesz kopertę i narzędzia. Klucz do walizki jest w książce telefonicznej.- Głos Juliet się urwał. Jakies nikle szepty dochodziły do ucha Alberta.- Kocham cię. - Dopowiedziała Juliet. Koniec połączenia. Albert odłożył słuchawkę. Otworzył książkę telefoniczną i wyjął z niej srebrny klucz. I zaczął płakać. Sam z siebie, a może na widok kluczyka. Ze łzami w oczach i na twarzy, wyszedł z budki i wszedł do kamienicy. Uspokoił się w czasie wchodzenia po schodach. Dy był na piątym piętrze, przez okno na klatce schodowej, wszedł na schody przeciwpożarowe. Po nich wszedł na sam dach kamienicy. I rzeczywiście, leżała tam srebrna, metalowa walizka. Włożył kluczyk w zamek i przekręcił. Otworzył ją. Koperta, oczywiście taka sama jak poprzednie, leżała na... Rozmontowanym karabinie snajperskim. Prawdziwy, nie jakaś podróbka dla dzieci. Albert usłyszał czyjeś kroki za sobą. Szybko się odwrócił. Na dachu, oprócz niego był jeszcze ktoś. Mężczyzna był wysoki, ubrany w garnitur, i miał maskę clowna na twarzy. Przemówił do Alberta niskim, trochę chrapliwym głosem.

-Witaj Albercie. Cieszę się, że się spotkaliśmy. Mam nadzieję, że jesteś w dobrej formie.

-Gdzie jest moja narzeczona? Co z nią zrobiłeś?- Krzyknął mężczyzna.

-Zaraz się dowiesz. Wiesz jak złożyć zawartość walizki?- Spytał Troublemaker. Albert kiwnął głową i zabrał się do składania broni. Tłumik, magazynek, luneta. -Pamiętasz mężczyznę z wagonu? Tego co rozmawiał przez telefon?- Albert przerwał na chwilę. Nie patrząc na porywacza odpowiedział, że pamięta. - To był mój człowiek. Składał mi meldunek, czy zdążyłeś na pociąg. Natomiast facet w budce to również mój podwładny. Gdy dobiegłeś do budki, miał włożyć kluczyk do książki. Obserwowałem cię cały czas. Gdy biegłeś na stację, gdy siedziałeś przed komputerem, gdy wchodziłeś na dach. Byłeś cały czas obserwowany i...

-Skończyłem.- Przerwał mu beznamiętnie Albert. Troublemaker podszedł do Alberta i przystawił mu pistolet do głowy.

-Żebyś nic nie kombinował. Odwróć się w stronę ulicy.- Alberta przeszył dreszcz. Co on takiego będzie mi kazać zrobić?- Za pięć minut, z szkoły naprzeciwko wyjdą uczniowie. W karabinie masz jeden nabój. Spudłujesz, nie żyjesz. Zabijesz kogoś dorosłego, nie żyjesz.- Albert poją sytuację w jakiej się znajdował.

-Mam zabić... Dziecko?- Wydukał. Ciska, która otaczała jego i porywacza, dawała mu jednoznaczną odpowiedź.

-To twoje ostatnie zadanie. Jeśli to zrobisz, będziesz wolny i dostaniesz cynk, gdzie znajduje się twoja narzeczona. Wystarcz, że naciśniesz spust i trafisz w jakiegoś dzieciaka.- Albert zacisnął zęby. Co za potwór! Nie dość, że bawi się mną, to jeszcze chce śmierci niewinnej osoby, na dodatek dziecka, myślał. Nagle, usłyszał dzwonek. Przez lunetę, zobaczył, że z szkoły powoli wychodzą pojedyncze dzieciaki.

-Widzę, że już wychodzą. Masz okazję. - Jednak Albert nie szykował się do oddania strzału. Usłyszał trzask odbezpieczanej broni.

-Masz dziesięć sekund.- Coraz więcej uczniów pojawiało się na zewnątrz budynku. Albert spojrzał przez lunetę. Siedmiolatek z bluzą w Myszke Miki, ośmiolatek z słomianymi włosami, nastolatek żywo dyskutujący z koleżanką. Kogo miał wybrać?

-Pięć sekund.- Strzelić? Nie mogę. Nie mogę zabić dziecka.

-Cztery... Czas ucieka... - Rzekł Troublemaker.

-Trzy...Dwa...- Wybacz mi Juliet. - Jeden... - Cichy strzał przerwał odliczanie. Albert zabrał palec z spustu. Odłożył broń na bok. I zapłakał, nad martwym chłopcem.

-Spójrz.- Powiedział Troublemaker podając Albertowi lornetkę. Mężczyzna niechętnie wziął przedmiot do ręki i przyłożył do oczu.

Trzecie klasy wyszły na dwór pod komendą pani Ruth. Gdy schodzili po schodach, kobieta zauważyła jak jeden z chłopców z klasy upada na ziemię i zaczyna płakać. Kobieta podbiegła do niego, spytała co się stało. Nie musiała czekać na odpowiedź.

-Ethan! Mówiłam ci żebyś nie strzelał do kolegów z pistoletu na farbę!

-Farba... Ty sukinsynu! To był pocisk na farbę!- Krzyknął Albert. Puściły mu wszelkie hamulce i rzucił się na porywacza. Troublemaker zgrabnym ruchem uniknął ciosu, po czym ogłuszył Alberta kolbą pistoletu.

Gdy Albert odzyskał przytomność, spojrzał na zegarek. Był nieprzytomny 15 minut. Troublemaker zdążył już zwać. Na ziemi, pod lornetką leżała koperta. W środku siedziała karteczka i banknot 20 dolarowy. „Hangar C, w Dokach. Weź taksówkę.”

Niewielka świątynia była pogrążona w półmroku. Był środek bezksiężycowej nocy. Na szerokiej, kamienistej ścieżce rozległy się kroki. Świątynny strażnik ziewnął i uniósł głowę, rozglądając się wokół. Oparł dłoń na rękojeści miecza, tkwiącego w pochwie przy pasie. Gdy w krąg światła rzucanego przez niewielką pochodnię weszła jakaś postać, długa katana wysunęła się nieco z pochwy w ostrzegawczym geście.

- Stój, kto idzie? - strażnik rzucił groźnym tonem. Stał przed nim przygarbiony staruszek, wspierający się na drewnianym, dużym kosturze. Miał na sobie długi do ziemi habit, na głowie zaś kaptur. Zaciśnął dłonie na kosturze i zawisnął na nim. Słychać było świszczący oddech.

- Starzec przybył się modlić do boga starych i zmęczonych życiem - powiedział, a raczej wycharczał. Strażnik popatrzył na niego niechętnie. Starzec najwyraźniej pomylił drogi. Bóg, do którego modlili się starzy ludzie, prosząc o spokojną śmierć miał swoją świątynię kilka dni drogi stąd. Świątynia, przed którą teraz stał staruszek, nie była dostępna dla ludu. W ogóle nie była dostępna dla nikogo, a jej wrota były zapieczętowane. Sam strażnik nie wiedział nawet, co znajduje się w niewielkiej świątyni. Inni strażnicy opowiadali tylko o jakimś ponurym sekrecie, opowiadali, że niewielki budynek krył coś potężnego i strasznego zarazem. To mogło wyjaśnić położenie świątyni - była ona wystawiona z dala od traktów, w gęstym lesie, a prowadziła do niej tylko jedna ścieżka, wydeptana przez zmieniających się strażników.

- Pomyliłeś się, starcze - westchnął strażnik - to nie jest świątynia boga, którego chcesz prosić o pomoc - gdzieś między drzewami odezwał się puchacz. Wyjątkowo ponuro i złowroźnie.

- Nie...? - zapytał starzec i odkaslnął głośno. Wychudzoną, starą dłonią opuścił kaptur na plecy. Strażnik popatrzył na dziadka. Nie mógł mieć mniej, niż osiemdziesiąt lat. Naprawdę był starcem. Siwe, zaniedbane włosy opadały na twarz pokrytą zmarszczkami.

- Nie, dziadku - powiedział strażnik - pomyliłeś drogi. Świątynia, której szukasz, jest o dwa dni drogi stąd.

- Och... - westchnął starzec. W jego westchnięciu było tyle smutku, że strażnik poczuł współczucie.

- Więc cóż to jest za świątynia? - zapytał starzec - nie mogę w niej poprosić boga o litość...? Wszak szczerą modlitwą zawsze dotrze do boga, nie ważne, w jakim jest miejscu wypowiedziana...

- Świątynia, przed którą stoisz, to prywatne miejsce pana tych ziem, tylko on ma do niej dostęp - dłoń starca zaciśnęła się na kosturze. Kilka nocnych ptaków zerwało się do lotu, gdy rozległ się odgłos tępego uderzenia. Strażnik osunął się na ziemię, brocząc krwią z rozbitej głowy, a starzec trzymał w wyprostowanej dłoni kostur. Po chwili znów oparł się na nim i dyszał ciężko. Podszedł pod drzwi i rozbił wiążącą je pieczęć. Powoli wszedł do środka...

Wnętrze świątyni było pogrążone w mroku. Jedynie przez niewielki otwór w dachu wpadało do środka światło księżyca. Srebrna poświata okalała ołtarz. A na ołtarzu leżał ON.

- Mój Skarb... - westchnął starzec. Ruszył do środka, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z miecza. Broń, z obnażonym ostrzem, pokrytym na całej długości starożytnymi znakami, leżała na podstawie. Klinga, lekko wygięta, miała prawie metr długości. Rękojeść była pięknie zdobiona, pokryta czarną skórą. Starzec stanął niespełna metr od broni. Zawahał się. Patrzył na miecz, wodząc po nim oczami, od rękojeści po koniec klingi i z powrotem. Milczał. Przymknął oczy.

- Zakończ to - szepnął - zakończ to, odwróć się i wyjdź - przed powiekami pojawił się obraz: on, młody, silny, idzie przez wioskę. Ludzie ustępują mu drogi, kłaniając się nisko. W jego dłoni miecz. Ten miecz. Z ostrza kapie krew. Krew. KREW. Starzec gwałtownie otworzył oczy. Jego czoło było zroszone potem. Wysunął dłoń i wstrzymał się w połowie ruchu. Tak, mógłby to teraz zakończyć. Mógłby. Naturalnie, że mógłby. To on panował nad tym. Mógłby, ale nie chciał. Miecz kuśił mocą. „Zabierz mnie”. Cichy szep. Gdzieś głęboko w jego głowie. Zimny, przeszywający głos, nie znośący sprzeciwu. Starzec delikatnie dotknął palcem ostrza i syknął. Z przeciętej skóry spłynęło kilka kropel krwi, ale nie opadły na podłogę. Pozostały na ostrzu i po chwili wsiąkały w nie. Znaki na mieczu rozjarzyły się bladoróżowym cieniem. „Jeszcze. Więcej. Daj mi więcej”. Znowu ten sam głos.

- Tak, panie - powiedział starzec i szybkim ruchem sięgnął po miecz. Prawa dłoń zaciśnęła się na rękojeści, aż pobieleły palce. Starzec upadł na kolana i krzyknął, gdy rękojeść zaczęła palić go, niczym żywy ogień. Ale nie puścił broni. Nawet nie rozluźnił palców. Trzymał z całych sił. I nagle stała się rzecz dziwna. Nie było już starca. Na podłodze świątyni, tuż przed ołtarzem leżał młody mężczyzna o kruczoczarnych włosach. Miał silne, szerokie ramiona i umięśnione ręce oraz przystojną, ogorzałą twarz. Silne piersi unosiły się w spokojnym oddechu. Zbyt ciasny habit wyglądał śmiesznie. „Daj mi więcej. Teraz! Natychmiast!!!” To już nie była prośba, lecz rozkaz, któremu mężczyzna nie chciał i nie mógł się przeciwstawić. Ruszył ku drzwiom.

Strażnik jęknął cicho. Dotknął się obolałej głowy i wstał. Nagle doszło do niego, co się stało i sięgnął do pochwy. Nim jednak zdążył wyrwać miecz z pochwy i ruszyć do świątyni, poczuł silny uścisk na karku. Mężczyzna, trzymający w dłoni miecz wykradziony przed chwilą ze świątyni bez trudu uniósł strażnika w powietrze, trzymając go za kark. Jednym uderzeniem miecza zrzucił pochodnię zostawiając w drewnianym pału hak. Strażnik zawył, gdy hak na pochodnię przebił jego plecy. Młody mężczyzna spokojnie powiesił go na haku i rozerwał koszulę na piersi. Do skóry przyłożył ostrze miecza...

Do niewielkiej chaty położonej na samym środku sporej wioski wpadł sługa. Stary samuraj, będący panem okolicznych ziem, właśnie spokojnie jadł śniadanie. Trzech strażników natychmiast wstrzymało mężczyznę.

- Pan tych ziem, samuraj Shirosumo teraz jest zajęty. Przyjdź później - powiedział jeden z nich i chwycił mocno sługę.

- Panie!! - krzyknął sługa, nie zwracając uwagi na szarpiących ich strażników. Wyrwał się im jakimś cudem i rzucił się do jego stóp - tragedia! Świątynia została ograbiona tej nocy! - umięśniona dłoń wstrzymała się i dwie paleczki spoczęły z powrotem w porcelanowej misie. Samuraj popatrzył na niego spokojnie.

- Mów - rzucił krótko.

- Dziękuję, panie - powiedział sługa - tej nocy obrabowano świątynię. Strażnik, który jej pilnował, nie żyje. W jego ciele... w jego ciele nie znaleziono ani kropli krwi - brwi samuraja zmarszczyły się gdy w jego głowie przebiegło tysiąc myśli. Miał już ponad pięćdziesiąt lat. Nie myślał nawet o tym, by samemu stawić czoła temu, co właśnie się rozpoczęło. Zrozumiał, że popełnił błąd wiele lat temu. Powinien był to zakończyć. Westchnął cicho - możesz odejść - spokojnie wstał od stołu, zostawiając niedokończony posiłek i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Siedzący na podłodze wojownik uniósł głowę.

- Słucham, Panie - powiedział. Stary samuraj westchnął.

- Potrzebuję wojownika. Doskonałego wojownika, jakiemu nic nie jest straszne. Roześlesz wieści, że szukam kogoś takiego. Jeżeli jednak chce pracować dla mnie, musi skontaktować się ze mną osobiście - powiedział samuraj. Wojownik skłonił się nisko.

- Tak będzie, panie...

Niewielka sowa zahuczała głośno. Rosły mężczyzna wstrzymał się w pół kroku i popatrzył w górę, ponad siebie. Przez rzadkie korony licznych bambusów przebiegały się promienie księżyca. Sam zdecydował się na tą noc, spokojną, z pełnią księżyca, bez wiatru. Samuraj, do jakiego zmierzał, szukał wojownika na służbę. Jednak stawiał warunek, by skontaktować się z nim osobiście. Straż samuraja wyrzuciła go z wioski. Jego! Najlepszego wojownika w tych stronach. Wszyscy o nim słyszeli i drżeli przed ostrzem jego mieczy. A jednak samuraj rozkazał mu włamać się do własnego domu, przyjść w nocy jak zabójca. Trzydziestolatek nastroszył brwi. To było poniżej jego godności. Nigdy nie działał jak ninja - ci płatni zabójcy napawali go wstrętem. A jednak właśnie tak musiał podejść. Dłoń zaciśnęła się na rękojeści krótkiego miecza z gniewem. Czuł, że każdy krok w stronę spokojnie

śpiącej w dolinie wioski był kolejną plamą na jego honorze. Miał nadzieję, że trud walki z samym sobą teraz się opłaci - liczył na stałą posadę u samuraja, był przecież roninem - doskonałym wojownikiem bez pana. Chciał pracować dla samuraja jako ochroniarz. Spokojnie westchnął. Szybkie zejście ze wzgórza zajęło mu niewiele czasu. Czekał, aż jego oddech nieco się uspokoi, kucając na wielkim głazem, leżącym tuż na skraj lasu. Ostrożnie wychylił głowę. Wioska, składająca się z kilkunastu domów, zbudowanych z drewna, stojących na kamiennych fundamentach, dawno spała. Spokojnie uniósł się zza kamienia i szybkim krokiem ruszył w stronę najbliższego domu. Oparł się o ścianę i spokojnie oddychał. Nadal była cisza. Ostrożnie podszedł do krawędzi domu i wychylił głowę ostrożnie. Na jego oczy spadła zasłona ciemności i ronin osunął się na ziemię.

Wiadro zimnej wody sprawiło, że mężczyzna zaczął parskać i uniósł głowę. Nad sobą zobaczył strażników i samuraja. Szybko wstał z drewnianej podłogi i rozejrzał się.

- Panie, chciałbym dla ciebie pracować. Chcę zostać twoim ochroniarzem - powiedział spokojnie, jakby nie pamiętając tego, że strażnicy bez trudu pozbawili go przytomności. Samuraj uśmiechnął się tylko z ironią.

- Jak chyba się przekonałeś, nie potrzebuję ochroniarzy - powiedział - potrzebuję zabójcę - dodał - a ty jesteś zabójcą? Nie wydaje mi się.

- Nie, panie - ronin skłonił głowę - nie jestem zabójcą. Jestem roninem i szukam pracy. Jestem znany w tych stronach, może o mnie...

- Tak - przerwał mu samuraj - poznałem cię i słyszałem o tobie. Miesiąc temu wygrałeś turniej walk. Ale ja nie potrzebuję usług ronina. Możesz odejść - dodał i wskazał na drzwi. Brwi ronina zbiegły się w gniewie, ale ten ruszył jednak we wskazanym kierunku...

„Podczas deszczu umysły funkcjonują inaczej”. Tak zawsze mówił jej mistrz. Dlatego od zawsze działała w deszczu. A dziś aura wyjątkowo jej sprzyjała. Bezksiężycowa noc i rzęsyty deszcz stanowiły wprost idealne połączenie. Dzięki temu mogła poruszać się szybkim truchtem. Chrzęst kamieni pod jej butami zanikał w szumie deszczu. Gdy osiągnęła szczyt niewielkiego wzgórza, przystanęła na chwilę. Nie musiała się bać, że ktoś ją spostrzeże - gęsty las dawał jej pewną kryjówkę. Wioska leżała w dolinie, tuż obok dużych pól obsadzonych ryżem. Raz jeszcze sprawdziła ekwipunek. W wysokich cholewach ciasnych butów miała schowane dwa sztylety. W kieszonkach przy pasie było siedem gwiazdek, a na plecach miała pochwy z kataną, kilkoma cienkimi rzymkami mocno przyciśniętą do ubrania. Doskonale. Podciągnęła kołnierz wyżej, zasłaniając twarz i nałożyła ciasny kaptur, kryjący włosy. Dodatkowo związała kaptur ciasnymi rzymkami pod brodą. Teraz widać było tylko jej oczy. Raz jeszcze popatrzyła na wioskę. Kilkanaście drewnianych domów było postawionych centralnie wokół jednego. Jej celem był mieszkaniec domu postawionego w centrum wioski. Wiedziała o nim tylko tyle, że kiedyś był samurajem. A cała wioska należała do niego, tak samo, jak pola ryżowe. Zabójczyni westchnęła cicho, zacisnęła dłoń na jednym ze sztyletów wydobytych z pochwy w bucie i weszła w las. Jej strój był wykonany z czarnego, śliskiego materiału, a teraz, nasiąknięty wodą, sprawiał, że nawet kolczaste krzaki tylko ślizgały się po niej, gdy schodziła stromym zboczem ku wiosce. Szła powoli, ale ostrożnie, spokojnie, długotrwałe zejście było wliczone w jej plan. Gdy kilka chwil później przycupnęła za dużym głazem u podnóża wzniesienia, oddychała spokojnie. Wyćwiczona kondycja teraz okazywała swoją wartość. Rozglądała się czujnie i nasłuchiwała, ale deszcz zagłuszał wszystko, mocno też ograniczał widoczność. Od najbliższej chaty dzieliło ją ledwie kilkanaście kroków. Oceniała odległość i zerwała się do biegu, by w chwilę później leżeć już na ziemi pod cienką ścianą w zupełnej ciszy. Spokojnie podczołgała się do krawędzi chaty i spojrzała na swój cel. Zmrużyła oczy, gdy ujrzała niewyraźnie kilka postaci. Miało nie być strażników. Wyczołgała się ostrożnie, zastanawiając się, co powinna zrobić. Nie mogła sobie pozwolić na żadne ofiary postronne. Niedługo myślała. Spojrzała nad siebie. Chaty były wysokie, miały dwuspadowe dachy kryte strzechą z bambusowych witek. Ściany były cienkie, ale w rogu każdej chaty były ustawione grube, drewniane bale. Wróciła do rogu chaty, wsunęła sztylet do pochwy w bucie i mocno chwyciła się drewnianej krawędzi dachu. Bez jęknienia podciągnęła się wyżej, oparła ostrożnie stopy na krawędzi dachu i kucnęła. Wszystko bez najmniejszego szmeru. Uśmiechnęła się z satysfakcją. W swoim klanie była najzwinniejszą zabójczynią i pewnie dlatego właśnie ona mogła się teraz tutaj znaleźć. Sięgnęła do kieszeni przy pasie i wyciągnęła małą, ośmioramienną gwiazdkę. Chwyciła ją pewnie, wsuwając palec do otworu w jej środku i położyła się na dachu, wystawiając głowę powyżej. Nadal nie dotarło do jej uszu zupełnie nic. Sąsiednia chata była ledwie dwa metry od niej. Szybko przeszła na drugą stronę dachu, cicho zbiegła ku krawędzi i wybiła się w powietrze i wylądowała na krawędzi chaty w przysiadzie. Chwyciła się bambusowych witek, by nie spaść i znów położyła płasko na dachu. Ostrożnie wychyliła głowę. Widziała już dach chaty, która była jej celem. Przed każdą ze ścian był strażnik. Wszyscy czterej ubrani w kimona, z katanami przy pasach. Jednak będzie musiała jednego usunąć. Ale po chwili zawahała się i mała metalowa gwiazdka, którą trzymała w dłoni, znalazła się z powrotem w kieszeni. Wyciągnęła niewielki kamień. To też jedna z lekcji jej mistrza. Już miała rzucić, ale w ostatniej chwili spostrzegła zagrożenie. Dach chaty samuraja był bardziej stromy, a mokre bambusowe witki gwarantowały poślizg, nie zdołałaby się utrzymać na takim dachu. Nagle popatrzyła na duży komin chaty. Nie wydobywał się z niego dym. Chwilę patrzyła, oceniając odległość, po czym rzuciła kamieniem tak, by upadł blisko strażnika. Podziałało. Gdy zrobił kilka kroków, wtedy ona szybko zbiegła z dachu, wybiła się z jego krawędzi i przeskoczyła na drugi niemal tuż za jego plecami. Natychmiast odbiła się w stronę komina. Zdała sobie sprawę, że źle oceniła odległość. Ledwie koniuszkami palców sięgnęła krawędzi komina, ale to wystarczyło. Podciągnęła się w górę, gładko przełożyła stopy nad krawędzią komina i zniknęła w nim, utrzymując się tylko na dłoniach trzymających krawędź. Z zewnątrz doszły ją tylko słowa strażników, upewniających się, że wszystko jest w porządku. Nie zdradził ją żaden szmer. Uśmiechnęła się znów z satysfakcją. Była naprawdę dobra. I już była w środku. Nie wisiła jednak zbyt długo na dłoniach, nie pozwalając by pojawił się choćby ślad odrętwienia. Komin był wąski, ale dzięki temu potrafiła utrzymać się, opierając się o jego ścianki plecami i nogami. Opuściła ręce, dając im chwilę odpoczynku. Spodziewała się walki i nie chciała, by cokolwiek ją zawiodło. Poparzyła w dół. Palenisko było otwarte tylko z jednej strony, ale nie było wysokie, co stawało przed nią kolejne zadanie. Poza tym pod nią był tylko popiół, nie było ułożonych suchych drew, które mogły wypaść z paleniska z hałasem. Doskonale. Westchnęła cicho i przycisnęła nogi do klatki piersiowej, przesuwając je ku górze i po chwili wysiłku oraz naciągania stawów i ścięgien utrzymywała się głową w dół stopami zahaczonymi o krawędź komina. Westchnęła z wysiłku. W czasie takich zadań po stokroć dziękowała za treningi, do jakich zmuszał ją mistrz. A teraz czekało ją chyba najbardziej ryzykowne zejście w dół. Do paleniska brakowało jej może z półtora metra, ale nie chciała ryzykować upadku i hałasu. Wiedziała, że teraz powinna być zachować szczególną ciszę. Mocno zaparła się łokciami i kolanami o boczne ściany komina. Gwałtownie przesunęła się w dół, ale po chwili utrzymała się w kominie i zaczęła spokojnie zsuwać się w dół, kawałek po kawałku. Wreszcie, po jak się jej wydawało, wiecznym schodzeniu ku palenisku, oparła się dłońmi o dno komina i powoli, znów nieludzko naciągając stawy, przeszła do kucnięcia. W pomieszczeniu panowała cisza i całkowita ciemność. Dłonią przetarła dokładnie maskę, zdejmując z niej popiół, który w połączeniu z wodą utworzył na niej kleistą maź. Powoli i ostrożnie wyczołgała się z kominka i rozejrzała się. Duży pokój był pusty. Spokojnie sięgnęła za plecy. Chwyciła pewnie rękojeść miecza i kciukiem odsunęła blokadę trzymającą broń w pochwie. Katana wysunęła się bez szmeru. Zabójczyni podszedła do białych, cienkich drzwi i zaczęła je przesuwac. Mimo ciemności, widziała dokładnie niskie łóżko i mężczyznę, okrytego kołdrą. Wyglądał, jakby spał. Leżał na plecach, z twarzą zwróconą ku sufitowi, z dłońmi pod kołdrą. Piersi unosiły się w spokojnym oddechu. Ruszyła w jego stronę kocimi krokami, nie robiąc najmniejszego szmeru. W jej lewej dłoni błysnął sztylet, w prawej nadal trzymała katanę. Stała tuż obok łóżka i uniosła prawą rękę ku górze. Ostrze katany opadło, rozległ się głośny brzdęk, gdy uderzyło o ostrze samurajskiego miecza skrytego pod kołdrą. Zabójczyni zauważyła kątem oka jakiś ruch na wysokości swoich kolan, ale jej odruch był szybszy niż myśl i sztylet mężczyzny zatrzymał się na jej ostrzu, pewnie trzymanym w lewej dłoni. Nim zdążyła zadać drugi cios, mężczyzna podniósł się z łóżka, rzucając ku niej kołdrę. Z gracją wyminęła płachtę i znów rozległ się brzdęk stali, gdy sa-

murajski miecz zatrzymał się na blokadzie zabójczynie. Dopiero teraz do środka wpadli strażnicy. Jeden z nich miał pochodnię. W jej świetle zabójczynie dostrzegła, że jej przeciwnik nie mógł mieć mniej, jak czterdzieści lat i był słusznej postury. W jego oczach odbijało się światło pochodni, gdy znów zmierzył ją wzrokiem.

- Nie wiem, jak się tutaj dostałeś, ale już jesteś martwy - warknął i zaatakował cięciem. Uśmiechnęła się. Ciasno opinający ją strój nie pozwalał poznać, że była kobietą. Z gracją ominęła jego ciosy i zaatakowała. Nie odpowiedziała, nie miała zamiaru tracić niepotrzebnie siły i oddechu. Rozejrzała się spokojnie po pomieszczeniu, było małe, nie nadawało się do walki zupełnie. Ale właśnie dlatego wołała walczyć tutaj. Do takich walk była trenowana. Tym bardziej, że czterech strażników nie ruszyli się z miejsca, obserwując tylko w milczeniu pojedynek. Z gracją uniknęła cięcia samurajskiego miecza a zaraz po tym sparowała cios sztyletu. Zaatakowała wściekle, zadając cios za ciosem, wyraźnie przejęła inicjatywę i samuraj zaczął się cofać. Nie składała parady, bo samuraj nie miał nawet kiedy wyprowadzić ataku.

- Kto cię napał? - zapytał znów samuraj, opierając się plecami o drewniany bal stojący w rogu pomieszczenia i oddając ciosy. Zabójczynie zastanawiała się, dlaczego strażnicy jej nie zaatakowali. Zupełnie, jakby usłyszeli jej myśli, bo jeden z nich odezwał się: - Nie baw się z nim, panie - uśmiechnęła się przez maskę i nadal atakowała samuraja. Pojęła nagle, że po prostu nie potrafiła przebić się przez jego osłonę. Nawet, gdy wyprowadzała bardzo trudne, skomplikowane cięcia, potrafił ją zablokować. Nagle zrobił to tak skutecznie, że sztylet zabójczynie wypadł jej z ręki. Nim zdołała się zorientować, jego ręka pacnęła ją w twarz i zabójczynie poleciała na papierową ścianę, bez trudu ją przebiła i wylądowała w pomieszczeniu z piecem, przez który weszła do środka. Miecz wypadł jej z rąk, a zabójczynie upadła na brzuch, ale przetaczając się na plecy, wyciągnęła drugi sztylet z buta. Leżała teraz na plecach, patrząc, jak samuraj, z opuszczonym mieczem, idzie w jej kierunku. Popatrzyła na swój miecz, leżący ledwie pół metra od niej.

- Tak, jak ci mówiłem, zginiesz - powiedział, po czym zamachnął się. Zabójczynie w ostatniej chwili wysunęła rękę zza pleców, parując cios sztyletem, jednocześnie kopnęła mocno, podcinając samuraja. Skoczyła na lewo, wstając i jednocześnie podnosząc swój miecz. Nim samuraj się podniósł, oparła ostrze miecza na jego piersi. Strażnicy nadal nawet nie drgnęli. Popatrzyła w jego oczy z satysfakcją, po czym cofnęła miecz. Samuraj wstał.

- Nadajesz się. Przyjmę cię do zadania - powiedział - a teraz powiedz mi, kim jesteś - zabójczynie z satysfakcją zdjęła kaptur, po czym wsunęła miecz do pochwy na plecach - kobieta? - zdziwił się samuraj. Zabójczynie zauważyła, że strażnicy również są zupełnie zaskoczeni.

- Zważ mnie Sho. Pochodzę z Klanu Czarnego Deszczu - powiedziała i skłoniła się nisko.

- Dobrze zatem. Od dzisiaj będziesz moją zabójczynią - powiedział samuraj...

Cienkie, białe drzwi otworzyły się. Samuraj wszedł do środka i popatrzył na Sho z podziwem. Teraz dopiero mógł ocenić jej wiek, gdy miała na sobie jedynie krótkie, kończące się w połowie łydek spodnie, obcisłą koszulę z jedwabiu i czarne włosy spięte w kok. Jej twarz była odsłonięta, a na pobliskim łóżku leżał jej strój zabójcy. Sho trzymała się drewnianej, pionowej belki sięgającej od podłogi do sufitu w taki sposób, że jej ciało utrzymywało się równoległe do podłogi tylko na sile jej ramion. Dziewczyna uśmiechnęła się i zeskoczyła na podłogę. Jej białe stopy pewnie oparły się na drewnianej podłodze. Oparła się plecami o belkę i popatrzyła w oczy samuraja. Gdy skrzyżowała ręce na klatce piersiowej, dostrzegł jej podwójny tatuaż - na obu ramionach miała wytatuowaną czarną kropkę.

- Jakie masz dla mnie zadanie, panie? - zapytała. To uświadomiło mu, że Sho nadal nie знаła jego imienia.

- Możesz się do mnie zwracać imieniem Shirosumo - powiedział i usiadł na piętach na niewielkiej poduszce przy stole. Popatrzył na miseczkę ryżu, jaką Sho dostała na śniadanie. Popatrzył na nią. Sho trenowała uderzenia, delikatnie i pewnie krążąc po podłodze na linii kręgu. Shirosumo patrzył na nią przez chwilę, ale rozpoznał bez trudu w jej ruchach doskonale wyuczony Styl Tygrysa.

- Więc, jakie będzie moje zadanie? - zapytała, nie przerywając ćwiczeń - bo nie wierzę, że samuraj potrzebuje stałych usług zabójcy - dodała, zatrzymała się w bezruchu i popatrzyła mu w oczy. Shirosumo się uśmiechnął.

- Zostałem okradziony. Jedna ze świątyń należąca do mnie została ograbiona. Masz to odzyskać. I... - westchnął cicho.

- Zabić złodzieja - dokończyła za niego.

- Tak - powiedział spokojnym tonem - a ten przedmiot musisz przynieść mi z powrotem - Sho podeszła do łóżka i chwyciła pewnie swój miecz. Wysunęła sztylet z pochwy w jednym z butów i teraz trenowała walkę z bronią białą.

- Co to za przedmiot? - zapytała.

- Miecz - przerwała na chwilę walkę i popatrzyła na niego ciekawie - ale nie taki całkiem zwykły miecz.

- Domyślam się, że jeden zwykły miecz raczej nie mógłby być wart ludzkiego życia - powiedziała, nie przerywając walk.

- Jeden miecz. Ale to groźny miecz.

- Każdy miecz jest groźnym w rękach dobrego szermierza - powiedziała.

- Tak, ale ten miecz jest groźny dla samego wojownika. Gdy już go odzyskasz, nie wolno ci go użyć. Nie możesz nawet spróbować wyciągnąć go z pochwy. To skończy się tragicznie - zabójczynie odłożyła miecz i sztylet, po czym usiadła naprzeciw Shirosumo.

- Czy ten miecz jest zatruty? - zapytała spokojnie.

- W pewnym sensie. Jest po prostu niebezpieczny. Gdy go zdobędziesz, owiniesz go w specjalne sukno, jakie ci dam. Jest to konieczne. Wyruszysz jutro rano. Dostaniesz rączego ogiera oraz wszystko, czego będziesz potrzebowała.

- Gdzie znajdę złodzieja? - zapytała.

- Kradzież wydarzyła się kilkanaście nocy wcześniej. Przy świątyni nie znaleziono śladów końskich kopyt, tym niemniej jednak złodziej może być już daleko. Jak zapewne się domyślasz, nie wiem, gdzie złodziej się udał.

- Jak mam go odnaleźć? - zapytała ponownie - jak się nazywa?

- Nikt nie zna jego prawdziwego imienia. Sam siebie jednak nazywa Okuro-San. I z całą pewnością go znajdziesz. Pytaj o mordercę. Ludzie wskażą ci drogę. Ślad jego wędrówki znaczy krew - powiedział spokojnie samuraj.

Koń zarżał, gdy młody mężczyzna o kruczoczarnych włosach zeskoczył z siodła. Śródleśna tawerna nie była zbyt duża. Zresztą nawet „tawerna” była słowem mocno przesadzonym. W zasadzie było to tylko zadaszenie, opierające się na dziewięciu grubych palach. Dach, pokryty grubymi bambusowymi polanami wyglądał na przestarzały. Duże palenisko znajdowało się pośrodku, a w jednym z rogów tawerny były poustawiane pękate beczki. Nad paleniskiem wisiała metalowa płyta, na której smażyły się kawałki ryby i dziczyzny. Przy dziewięciu ławkach siedzieli jacyś ludzie, ubrani, podobnie jak nowo przybyły, w podróżne kimono. Mężczyzna spokojnie poprawił pochwę z kataną wiszącą na szerokim pasie i wszedł pod dach. Usiadł przy jednym ze stołów i obrzucił pozostałych gniewnym spojrzeniem. Niemal natychmiast podeszła do niego młoda kobieta, ubrana w skromne kimono. Była jedyną osobą obsługującą klientów i zapewne też jedyną właścicielką. A może prawdziwy właściciel skrył się gdzieś w cieniu pobliskich drzew? W każdym razie nikogo innego nie było widać.

- Co podać, panie? - zapytała. Mężczyzna obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- Jadło i sake - burknął pod nosem. Kobieta skłoniła głowę a mężczyzna usiadł na ławie, opierając dłoń na udach. Zdobiona rękojeść miecza błysnęła we wschodzącym słońcu. Gładził miecz spokojnie dłonią, czując jego zbawienny wpływ. Nie czuł zmęczenia, choć jechał całą noc, nie czuł głodu ani pragnienia. Popatrzył spokojnie na miecz, leżący na jego udach, ogrzewany promieniami słońca.

- Mój przyjaciel... - wyszeptał cicho. Kobieta podeszła do jego ławy i położyła na blacie sake oraz miseczkę ryżu wraz z pałeczką

mi. Mężczyzna spokojnie chwycił pałeczki i zaczął jeść ryż.

- Zabij ich - usłyszał znany głos. Miecz pragnął krwi. Popatrzył ukradkiem na niego, ale nadal jadł ryż - zabij ich - głos się powtórzył. Mężczyzna zignorował rozkaz. Spokojnie unióś pałeczki z ryżem do ust, ale gdy miecz stał się niewiarygodnie ciężki, jęknął tylko i pałeczki wypadły mu z rąk. Miecz spadł z jego ud na podłogę z hałasem a zarówno kobieta z karczmy, jak i pięciu jej gości popatrzyli na niego zaskoczeni. Mężczyzna upadł na kolana i odsunął stół. Chwycił mocno miecz i usiłował go podnieść, ale nie był w stanie. Miecz był niesamowicie ciężki.

- Zabij ich - głos się ponowił - zabij ich wszystkich.

- Nie!! - krzyknął mężczyzna, nie zwracając uwagi na pozostałych obecnych. Kobieta podeszła do niego.

- Coś się stało, panie...?? - mężczyzna zignorował ją i patrzył na miecz.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział twardo, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

- Zabij ich wszystkich - rozległ się głos. Mężczyzna poczuł, że długo nie będzie się mógł mu opierać. Znowu miecz zyska nad nim władzę i zmusi do kolejnych morderstw. Po raz kolejny przeklął dzień, w którym trafił na miecz. Poczuł dłoń na ramieniu.

- Panie, coś się stało? - zapytała kobieta.

- Zabij ich!! Teraz!! Natychmiast!! - powtórzył głos. Teraz już mężczyzna nie był w stanie się mu przeciwstawić. W żaden sposób. Wstał gwałtownie, odpychając kobietę.

- Nazywam się Okuro-San. Uciekajcie, psy, bo zabiję was wszystkich!! - krzyknął a miecz, lekki niczym pióro, gładko wyskoczył z pochwy. Sam rwał się do walki. Pięciu mężczyzn zerwało się na nogi a w ich dłoniach błysnęły miecze. Okuro-San popatrzył na nich gniewnie, a potem na kobietę, która leżała na plechach i odczołgiwała się od niego powoli. Jednym skokiem dopadł ją i uniósł rękę w górę. Ostrze spadło ze świstem, przeszło przez skórę i nawet nie jęknęło przechodząc przez kości. Odcięta głowa kobiety potoczyła się po deskach.

- Morderca!! - ryknęli mężczyźni. Okuro-San patrzył na nich przez chwilę. Trzymał opuszczony miecz, a krew na jego ostrzu spokojnie wsiąkała w stal.

- Zabij ich - odezwał się znów głos - wszystkich pięciu.

- Naprawdę muszę? - zapytał właściciel przekłętego miecza. Czuł, że miecz trzymany w dłoni prawie rwał się do walki - nie chce tego robić - dodał, patrząc na miecz. Mężczyźni patrzyli na niego nieco zaskoczeni, widząc, że nie mówi do nich, lecz do miecza.

- Zabij ich natychmiast - padł rozkaz, któremu Okuro-San nie mógł się przeciwstawić. Popatrzył na piątkę mężczyzn.

- Chodźcie psy - warknął i ruszył na nich. Nim ci zdolał zareagować, w dwóch krokach był już przy nich. Jego miecz, lekki teraz jak pióro, pchnął dodatkową siłą tkwiącą w przekleństwie przeciął ze świstem powietrze. Nawet na chwilę nie zwolnił, przechodząc przez żebra pierwszego z mężczyzn i ten, przecięty w pół, upadł na deski. Pozostali zaatakowali go, ale Okuro-San bez trudu wyminął ich ostrza. Miecz dodawał mu sił, zwinności, sprawiał, że poruszał się o wiele szybciej. Jeden z mężczyzn zaszedł Okuro-Sana od tyłu, ale jego miecz sam pociągnął rękę za plecy i rozległo się tylko brzdęknięcie, gdy zdradziecki atak zatrzymał się na ostrzu. Okuro-San odwrócił się natychmiast i ciął płasko a kolejna głowa potoczyła się po deskach. Trzej mężczyźni jeszcze bardziej zmrużyli oczy z gniewu i rzucili się na obcego. Nie wiedzieli jednak, że ich los był już przesądzony...

Jechała całą noc. W dodatku nie była pewna, czy wybrała dobry kierunek. Ale cóż miała zrobić...?? Jej nowy pan najwyraźniej też nie wiedział, gdzie należałoby szukać złodzieja. Ale nie dalej, jak dwa, trzy dni temu nadeszła dziwna znajomość z południa, gdzie okoliczne stráže poszukiwały mordercy, z którego ręki poległa kobieta mająca niedużą karczmę na skraju jednego z duktów oraz pięciu klientów, którzy akurat w niej byli. Miała nadzieję, że to był dobry ślad. Poklepała czarną klacz po czyi. Jej wierzcho-wiec był naprawdę wspaniały. Ale i tak potrzebował odpoczynku, a zbliżała się noc. Zjechała z leśnego traktu na dużą polanę. Przydałaby się karczma, ale w końcu... Wiele razy nocowała pod gołym niebem...

Duże miasto było przepełnione ludźmi. Najwidoczniej Okuro-San trafił na dzień handlowy. Martwiło go to. Co chwilę zerkał na miecz, ale ten milczał, przytroczony do siodła. Popędzał konia. Nie chciał, by chęć krwi pchnęła go do mordu w środku miasta. Już wewnątrz ochronnych murów. Popatrzył na strażników, spokojnie chodzących po fortyfikacjach. Każdy z nich miał przy boku kataną, ale w dłoniach trzymali naciągnięte kusze. Okuro-San zdawał sobie sprawę, że nawet moc jego miecza nie mogła dawać mu zwycięstwa. W dużym mieście z całą pewnością stacjonował garnizon wojska. Zastanawiał się, czy gdyby miecz rozkazał mu walczyć, ilu ludzi musiałoby zginąć, zanim by go zabili. Ale miecz się nie odzywał. Milczał. Okuro-San znowu popędził konia. Ludzie nieco odsunęli się z drogi i mógł kilkanaście stóp przejechać nieco szybszym tempem. Nie zawiął tutaj przypadkowo. Jakis czas temu posłyszał na trakcie, że pan z tego miasta szukał kogoś, komu nieobca była rękojeść miecza. W informacji, o jakiej słyszał, było tak wiele wątpliwości, że mógł mieć pewność, iż chodzi o zabójcę. Cesarz dawno już wydał dekret o zakazie korzystania z płatnych zabójców, tym niemniej zawsze znajdowali się tacy, którzy chcieliby skorzystać z takich usług. Odetchnął, gdy zostawił za sobą zgłębienie zatłoczonej uliczki. Jechał teraz prosto do pałacu, powoli wyłaniającego się zza drewnianych domów mieszczan. Zatrzymał konia tuż przed bramą i zeskokczył z siodła. Spokojnie przytroczył do pasa pochwę z mieczem i popatrzył na dwóch strażników. Stali bez ruchu, z dłońmi opartymi na rękojeściach katan, patrząc na nieznanego. Gdy ruszył w ich stronę, ostrzegawczo wysunęli katany z pochew na szerokość kilku palców. Okuro-San poczuł, że jego miecz właśnie się obudził...

- Pani, mógłbym cię wyśmiać głośno na całą moją tawernę - powiedział spokojnie stary, gruby właściciel dużej tawerny - bo wszak takich, jak ty, jest na pęczki. Każdy wojownik szuka kogoś, komu chce coś odebrać. Nieważne, czy to jest dziewczyna córka, złoto, czy życie... Tak już ten świat jest złożony. Nic nie poradzisz. Długo żyję, niejedno widziałem, niejedno słyszałem. Każdy kogoś ściga - Sho skrzywiła się. Znalazła ruiny tawerny, o jakiej słyszała i świeże groby przy niej. Cóż z tego, skoro nikt z pobliskiego miasta nic nie słyszał. Jej jedyną nadzieją jeszcze chwilę temu był starzec, z którym właśnie rozmawiała - ale jeśli mówisz, że szukasz bezlitosnego mordercy, który nie zawaha się zabić każdego i jest bardzo dobry w tym, co robi... Nie wiem, czy to tylko urojenie starca, czy też coś, co można połączyć w całość. Trzy dni drogi stąd ku zachodzącemu słońcu jest miasto. A w nim pałac Hiroshamo-Sana. Jest panem tamtejszych ziem. Od lat toczył spór z sąsiadem o jakiś tam kawałek gruntów. Ten spór miał toczyć się aż po nieskończoność, choć obaj wysyłali na siebie zabójców raz po raz. Nieskutecznie, obaj byli chronieni solidnie. Ale mówię ci, że ostatnio przeciwnik Hiroshamo-Sana poległ. I ponoć zabił go wojownik, nie zabójca. W biały dzień wszedł do jego twierdzy, po prostu przebijając się przez jego żołnierzy, aż dotarł do niego samego i przyniósł Hiroshamo-Sanowi jego głowę. Zabił prawie wszystkich ludzi z pałacu, to znaczy tych, którzy nie zdolali zbiec. Ze setkę trupów wynieśli podobno z pałacu. Więc, jeżeli powiadasz, że szukasz tego, który jest naprawdę niezwykły, może być, że to ten - starzec skończył i patrzył w oczy Sho. A młoda wojowniczką milczała.

- Jakże to? - zapytała w końcu - jeden człowiek mógł zabić tylu?

- Ja tam nie wiem - starzec wzruszył ramionami - mówię tylko, co słyszę, gdy po odrobinie sake ludzie przy stołach za głośno gadają. Czy to prawda, nie wiem sam. Prawda jest tylko, że przeciwnik Hiroshamo-Sana, nie żyje.

- Hiroshamo-San... - powtórzyła cicho dziewczyna - on niezbyt honorowy jest, skoro zabójcę nasał?

- Nie, on naprawdę był jednym z bardziej honorowych wojowników. Słowo. Zawsze honorowy. Ale nie wobec Aishimmo Koturo, tego, co już nie żyje, a z kim się wyklócał o tą ziemię. Ale co ci z jego honoru? - zapytał starzec.

- Bo mnie nie zależy na śmierci tego wojownika. On coś ukradł, ja to mam odzyskać. I nic więcej - starzec wzruszył ramionami.

- Nie liczyłbym, że Hiroshamo-San ci pozwoli zabrać to tak jednemu ze swych ludzi cokolwiek. Ale jeśli dobrze ci przyjmie na początku, może pozwoli ci z nim porozmawiać. To dawny samuraj. Kto ci przysłał w pogoni za skradzioną rzeczą? - Sho zastanawiała się, czy może zdradzić nazwisko swego pracodawcy. W końcu doszła do wniosku, że zabójca zawsze musi być dyskretny i

pamiętać, że słowa zawsze łatwo powiedzieć, ale gorzej z ich cofnięciem.

- Tak się składa, że także stary samuraj. Ma wioskę kilkanaście dni drogi stąd na wschód - powiedziała w końcu. Starzec uśmiechnął się.

- Dbasz o dyskrecję. A pewnie, rozumiem. Ale to może ci pomóc, stary samuraj zawsze pomoże drugiemu w rozwiązaniu problemu. O ile tylko masz coś, co by ci mogło pomóc w udowodnieniu swoich słów.

- Mam - powiedziała i wstała od stołu, patrząc raz jeszcze na wystygłą już miseczkę po ryżu - dzięki za ryż - prawie nie czuła posiłku w żołądku. Ale być może już wkrótce jej zadanie będzie zakończone i nie będzie musiała się tak spieszyć - będę ruszała. Spiesz się z zakończeniem tej sprawy - starzec pokivał głową ze zrozumieniem.

- Jak mówiłem, wszyscy wy młodzi gonicie ciągle za sobą, ścierając się na śmierć i życie - westchnął filozoficznie - bywaj. Masz dobre oczy. Bacz, by zło nie splamiło twojego serca - dodał. Sho uśmiechnęła się na odchodne i wyszła z karczmy...

Jeżeli samo miasto zrobiło na niej wrażenie, to sam pałac Hiroshamo-Sana tym bardziej. Przybyła do miasta w trzy dni po rozmowie ze starcem, ale zdecydowała się złożyć wizytę Hiroshamo-Sanowi dopiero dwa dni później. Tłumaczyła się sama przed sobą potrzebą odpoczynku, choć w głębi wiedziała, że w taki sposób chciała odsunąć uczucie zawodu i konieczność dalszych poszukiwań. Nie sądziła, by ten, którego szukała, był tutaj. Tym niemniej jednak siedziała w siodle swojego wierzchowca przed pałacem i patrzyła na niego z podziwem. Był ogromny, wielki, a w pełnym słońcu prezentował się wysmienicie. Dwaj strażnicy stojący przed bramą patrzyli na nią spod okrągłych kapeluszy, a trzeci stał na pobliskiej, nowo wybudowanej wieży, z kuszą w dłoni. Zeskoczyła z konia i stanęła naprzeciwko niej. Zobaczyła, jak strażnicy wysunęli ostrzegawczo miecze, a z wieży doszedł do niej szcęk odbezpieczanej kuszy. Uśmiechnęła się łagodnie, opuściła dłonie wzdłuż ciała i skłoniła się nisko.

- Zważ mnie Sho. Przysłał mnie mój pan, samuraj znany dla mnie imieniem Shirosumo. Prosił, bym odzyskała pewną rzecz, jaka została mu skradziona, a jaka być może znajduje się w rękach jednego z ludzi waszego pana - powiedziała, nadal schylając się nisko i dopiero teraz uniosła głowę. Strażnicy wolno wsunęli miecze do pochew, a z wieży dobiegł jej cichy trzask. Kusza znów była zablokowana. Uśmiechnęła się nieznacznie. Prawdopodobnie zdołałaby dobiec do strażników i zabić ich szybkimi cięciami a w stronę strażnika na wieży posłać shurikena. Tylko po co?

- Nie każdy może ot tak widzieć się z Hiroshamo-Sanem gdy tego chce - powiedział spokojnie jeden ze strażników.

- Doskonale o tym wiem. Dlatego właśnie proszę, by Hiroshamo-San przychylił się do mojej prośby i pozwolił mi powiedzieć kilka słów w wygodnym dla siebie czasie. Pragnę, by dowiedział się o mojej wizycie i powiadomił mnie, kiedy będzie miał dla mnie czas. Zamieszkuje w Tawernie pod Purpurowym Lotusem - powiedziała. Jeden ze strażników, ten, który wcześniej się do niej odezwał, uśmiechnął się pod nosem. Sho sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnęła z niej niewielkie, podłużne zawiniątko. Wsunęła je na dłoniach.

- Mój pan szuka miecza, jaki został mu skradziony. Podejrzewa, że miecz ten został wykorzystany do wielu niegodnych jego ostrza czynów. Ponad wszelką cenę chciałby go odzyskać - strażnik podszedł do niej i rozwinął papier. Popatrzył na rysunek miecza. To był jej jedyny ślad, jaki miała. Sama Sho знаła go już na pamięć, a w trakcie dwudniowego odpoczynku wykonała niemal idealną kopię rysunku. Strażnik patrzył chwilę na rysunek, a jego brwi zeszyły się mocno. Szybko zwinął papier.

- Przekażę twoje słowa memu panu. Oczekuj odpowiedzi - powiedział, zastanawiając się, czy miecz, który widział w rękach nowego zabójcy na usługach swego pana nie był przypadkiem mieczem, którego szukała dziewczyna. Sho skłoniła się nisko.

- Będę czekała na odpowiedź - powiedziała, po czym odwróciła się i szybko odeszła.

- Powiedz mi, Okuro-Sanie, skąd masz miecz, którym tak doskonale władasz i mając go w dłoni jesteś niepokonany? - Okuro-San popatrzył na Hiroshamo-Sana nieco zaskoczony.

- To bardzo długa historia, panie - westchnął - jest ze mną od wielu, wielu lat - dodał. Okuro-San stał właśnie w prywatnym gabinecie swojego pana, zjawiwszy się na jego wyraźne polecenie - co jest celem mojego wezwania? Czy masz dla mnie nowy cel? - zapytał.

- Interesuje mnie twoja broń - powiedział Hiroshamo-San - jako że nie dalej, jak dzisiaj rano była u wrót młoda dziewczyna. Szukała tego - położył na stole papier z bardzo dokładnym rysunkiem miecza, jaki Okuro-San miał właśnie w pochwie przy pasie - powiedziała strażnikowi, że jest wysłanniczką samuraja imieniem Shirosumo i że pragnie odzyskać skradzioną swemu panu rzecz, którą miały być twój miecz - Okuro-San poczuł, jak katana przy jego pochwie zadrżała nieznacznie. Poczuł, że moc miecza obudziła się. Teraz był pewien, że miecz zaczął przysłuchiwać się rozmowie.

- Ten miecz należy do mnie - powiedział spokojnie Okuro-San - sam mnie wybrał. Jest przeznaczony mi, nikomu innemu.

- Tym niemniej jednak jest to pomówienie, jakie może splamić twój, a zatem i mój honor. Dziewczyna wspomniała także, że miecz ten mógł zostać użyty do dokonania wielu złych i niegodnych czynów. Wiem, że to ja rozkazałem ci zabić mego odwiecznego wroga, Aishimmo Koturo, tym niemniej nie chciałbym, by na mieczu mego sługi ciążyły inne morderstwa, by plamiła jego ostrze krew niewinnych - Okuro-San uśmiechnął się nieznacznie.

- Zabij ją - usłyszał głos miecza i uśmiechnął się ponownie.

- Są to czcze pomówienia, mój panie - powiedział spokojnie Okuro-San - które z wielką chęcią rozwiążę i wyjaśnię z ową dziewczyną. Gdzież ona jest, bym mógł się udać do niej natychmiast w twoim imieniu? - kąciaki ust Hiroshamo-Sana uniosły się nieznacznie w górę. Nie chciał pokazać, jak bardzo to rozwiązanie jest mu na rękę.

- Doskonale. Przedstawiła się jako Sho. Mieszka ponoć pod Purpurowym Lotusem. Tam ją znajdziesz - westchnął.

- Czy mogę ruszyć natychmiast? - zapytał Okuro-San. Jego pan skinął tylko głową - znajdź ją i zabij - Okuro-San usłyszał znajomy wewnętrzny głos, gdy wychodził z gabinetu swego pana.

Drzwi tawerny otworzyły się. Okuro-San rozejrzał się wokół. Było późne popołudnie i niewiele osób w niej przebywało. Od razu zauważył młodą, czarnowłosą kobietę. Nie mogła mieć więcej, jak dwadzieścia kilka lat. Spokojnie ruszył w jej stronę. Usiadł obok niej i patrzył na nią przez chwilę, aż spojrzała w jego stronę.

- Przysłał mnie Hiroshamo-San - powiedział spokojnie - to chyba ty chciałaś zamienić z nim kilka słów na temat pewnego miecza - Sho uśmiechnęła się. A więc jednak trafiła. Chyba.

- Tak - powiedziała - wynajął mnie pewien samuraj. Mam dla niego odzyskać pewną rzecz - dodała i z kieszeni wyciągnęła zwinięty ciasno w rulon kawałek papieru - to rysunek miecza, jaki szukam - podała. Okuro-San rozwinął podany kawałek papieru i popatrzył na rysunek miecza. Był bardzo dokładny. Od razu poznał miecz, jaki wisiał u jego pasa.

- Zabij ją - usłyszał - zabij ją natychmiast - uśmiechnął się pod nosem, zwinął papier z powrotem i podał jej.

- Widziałeś panie taki miecz? - zapytała Sho, chowając papier do kieszeni. Okuro-San tylko na nią patrzył. Gdy na chwilę spojrzała na kieszeń, uderzył ją płaską dłonią w twarz. Uderzenie było zupełnie niespodziewane i tak silne, że spadła z krzesła i wyłożyła się na podłogę. Nim jednak zdołał cokolwiek innego zrobić, wstała błyskawicznie i poparzyła na niego z gniewem, ocierając rozbity nos wierzchem dłoni.

- Podły psie!! - krzyknęła - nie masz honoru, uderzając w ten sposób? - zapytała. Okuro-San spokojnie stanął przed nią i wydobył miecz. Sho natychmiast poznała broń - to ten miecz. Ty go masz. Oddaj go, bowiem jest skradziony.

- Ten miecz należy do mnie. Nigdy go nie oddam. Nigdy, chyba, że mi go odbierzesz, ale zrobisz to dopiero wtedy, gdy będę martwy - warknęła.

- Niech tak będzie - powiedziała i sięgnęła po swoją katanę wiszącą u pasa.

- Nie w mojej karczmie! - wtrącił się do kłótni właściciel, widząc, jak inni klienci po prostu wychodzą, chcąc uniknąć zwady. Oku-

ro-San tylko na niego popatrzył i to wystarczyło. Sho zaatakowała pierwsza. Bez ostrzeżenia. Była zabójczynią, a nie honorowym samurajem. Poza tym już została uderzona. Zaatakowała szybkim cięciem, ale Okuro-San sparował cios bez trudu. Ominął jej atak i sam wyprowadził błyskawiczne cięcie. Ledwie uniknęła jego ciosu. Nim zdążyła zaatakować, znów musiała unikać szybkiego pchnięcia. Zaczęła się cofać. Okuro-San uśmiechnął się pod nosem. Atakował, krok za krokiem spychając Sho na ścianę. A ona tylko się cofała, z coraz większym trudem parując jego dzikie ataki. Wreszcie poczuła za plecami ścianę. Oparła się o nią plecami i odbijała tylko rozpaczliwie jego ataki. Nie rozumiała, jak można być tak szybkim, jak Okuro-San. Ledwie zdążyła złożyć parę na jego atak, a już jego ostrze znów mknęło w jej stronę. Po którymś z kolei ciosie mocno wybiła się w górę i chwyciła jedną ręką drewnianych bel podtrzymujących sufit. Dzięki temu mogła podkurczyć nogi i mocno się wybić ponad głowę Okuro-Sana. Rzuciła się przed siebie by przeskoczyć nad nim robiąc salto, ale zdołał pochwycić ją za kostkę, przez co wyrznięta na podłogę a katana wypadła z jej dłoni.

- Ty naprawdę myślisz, że jesteś w stanie mnie pokonać? - zapytał gniewnie, patrząc na nią. Sho przewróciła się na plecy i odczołgiwała od niego w stronę swojego miecza. Widziała w oczach Okuro-Sana zaleństwo. Zaczęła się bać o wynik walki. Nie pamiętała, by kiedykolwiek jeszcze spotkała na drodze takiego wojownika. W pewnym momencie jej dłoń smagnęła cholewkę buta, a Okuro-San nie dostrzegł delikatnego błysnięcia światła dobitego od ostrza sztyletu - teraz cię zabiję, suko. Nikt nie odbierze mi mojego miecza - syknął gniewnie i uniósł miecz do ciosu. Sho zacisnęła spokojnie wargi i czekała. Gdy ostrze runęło w dół, błyskawicznie wysunęła sztylet przed siebie i zablokowała cios. Jednocześnie mocno rzuciła nogi przed siebie i podcięła Okuro-Sana. Zauważył to i podskoczył, unikając pewnego upadku, ale to dało jej czas. Gdy wyładował, ostrze jej sztyletu mocno przejechało po jego nodze, zostawiając długą ranę. Okuro-San zawył z bólu a ona szybko wycofała się i gdy wstała z drewnianej podłogi, miała już swój miecz w dłoni. Popatrzyła na ranę Okuro-Sana i zamarta. Rana błyskawicznie się goiła. Przestała krwawić, choć Sho wiedziała, że musiała trafić w jedną z większych żył. Brzegi rany zeszyły się bez śladu a Okuro-San popatrzył na nią z satysfakcją.

- Tego się nie spodziewałaś, prawda? - zapytał z uśmiechem na ustach. Musiała przyznać, że nie. Zacisnęła jednak tylko mocniej wargi i zmrużyła oczy z gniewu.

- I tak cię zabiję - powiedziała. Nie odpowiedział. Ruszył na nią. Jednym gwałtownym skokiem znalazł się przy niej. Nim zdołała zareagować, poczuła ostry ból w okolicy lewego ramienia i cios w klatkę piersiową. Okuro-San jednocześnie pchnął ją, trafiając mieczem w lewe ramię, jak i uderzył w piersi. Cios był tak silny, że Sho poleciała do tyłu, wpadła na stół i przewróciła go z hukiem. Jej sztylet upadł na podłogę, a katana ledwie trzymała w dłoni. Dyszała ciężko, a ramię bolało ją niemiłosiernie. Wstała z trudem i popatrzyła na miecz Okuro-Sana. Jej krew spokojnie wsiąkała w ostrze.

- Już jesteś martwa - powiedział gniewnie Okuro-San - zabiję cię - dodał i uniósł rękę do ostatecznego ciosu. Nagle jego miecz stał się niewiarygodnie ciężki. Okuro-San jęknął cicho pod jego ciężarem a miecz upadł na podłogę.

- Dlaczego mnie zdradziłeś? - zapytał, patrząc na miecz, jakby zapominając o Sho. Patrzył a miecz, ale ten milczał. Nagle dostrzegł na ostrzu kilka kropel krwi należących do Sho. Zmrużył brwi i dlaczego mnie zdradziłeś? Nie smakuje ci jej krew? - zapytał znów. Miecz nadal milczał. Sho spokojnie wycofała się i zwinnym kopnięciem podrzuciła miecz.

- Poddaj się - Sho powiedziała spokojnie, opierając ostrze miecza na szyi Okuro-Sana. Ten odchylił głowę do tyłu i nadal siedząc na piętach, popatrzył na nią. W jego oczach tym razem dostrzegła rezygnację. Rozległ się brzdęk, gdy rękojeść miecza wysunęła się z dłoni Okuro-Sana i nagle Sho widziała już teraz przed sobą zgarbionego starca, z siwymi włosami, o pomarszczonej twarzy, w którym nie było niczego, co przypominałoby mężczyznę, który przed chwilą prawie ją zabił. Patrzyła na niego zaskoczona i opuściła miecz.

- Zdradził mnie - wybełkotał starzec - ciebie też zdradzi. To przeklęty miecz. Okrutny. Wykorzysta cię do własnych celów i zdradzi - dodał.

- Ten miecz należy do mojego pracodawcy, a ja zobowiązałam się go odzyskać - powiedziała spokojnie - teraz go zabiorę - Okuro-San spokojnie popatrzył na nią i zdjął z pasa pochwę na miecz.

- Noś go w pochwie, pochwę zawiń w płótno. Nigdy, przenigdy nie używaj tego miecza w walce. Pozbądź się go jak najszybciej - wystękał, nieco zaskoczony tym, że nie czuł już na sobie żadnego wpływu miecza. Teraz był dla niego zwykłym kawałkiem metalu. Sho wsunęła swoją katana do pochwy, po czym wsunęła leżący na podłodze miecz do pochwy. Z najbliższego stołu zsunęła obrus i zawięła w niego miecz. Wstała i popatrzyła na właściciela tawerny.

- Wyoście się - warknął - obaj się wyoście i nie wracajcie już nigdy - Sho uśmiechnęła się pod nosem. Jej wierzchowiec był gotowy, stał przed tawerną. Uśmiechnęła się znów. Jej zadanie było zakończone. Szybkim krokiem ruszyła w stronę drzwi...

Pięciu mężczyzn zaskoczyło ją niemal zupełnie. Musieli śledzić ją i planować atak w nocy. Dwóch z nich chwyciło ją mocno, gdy spała, a trzech pozostali zamierzali ją zgwałcić. Wyrwała się, ale teraz stała z katana w dłoni przeciw pięciu wojownikom. Jeszcze się trzymała, ale jej lewy bok nieco krwawił. Broniła się tylko, płuca kłuły boleśnie przy każdym oddechu. Kolejny atak sprawił tylko, że po raz kolejny się cofnęła. Zrobiła jeszcze jeden krok w tył i potknęła się o własne siodło. Upadła, ale zachowała na tyle siły przytomności, by szybko usiąść na piętach. Akurat w chwili, by ustawić blok dla cięcia na jej głowę. Ostrze jej katany z brzdękiem przyjęło potężny cios jednego z atakujących, po czym pękło z głośnym, metalicznym jękiem. Sho popatrzyła na śmieszne resztki miecza w swej dłoni i odrzuciła go od siebie. Cofnęła się do tyłu unikając kolejnego ciosu i jej dłoń przypadkiem trafiła na miecz, jaki wiozła dla swojego pracodawcy. Gdy tylko chwyciła rękojeść, poczuła na całym cieple przyjemne ciepło i odprężenie, ból i zmęczenie zniknął ustępując miejsca zęskłości i sile. Rana na ramieniu cudownie zniknęła. Bez trudu wstała błyskawicznie i sparowała atak jednego z mężczyzn. Miecz w jej dłoni był lekki i sterowny, niemal czuła, jak sam zrywa się do walki. Zaatakowała z furią jednego z przeciwników. Nie miał najmniejszych szans. Jego nieskładna parada nie stanowiła żadnej przeszkody. Jej nowy miecz odbił się z gracją od jego blokady i zanurkował pod jego rękę. Pozostali mężczyźni jakby obudzili się ze snu, zaatakowali ją ostro, ale było za późno - ostro zaatakowany przez nią mężczyzna leżał już u jej stóp z głęboką raną w brzuchu. Sho odbiła bez trudu atak zza pleców i zrobiła piruet z szybkim cięciem a odcięta głowa jednego z mężczyzn potoczyła się po trawie. Sho była diabelnie szybka, jej miecz błyskał tylko w półcieniu obijając światło księżyca a kolejne cięcia zostawiały na ułamki sekund zawieszoną w powietrzu pajęczynkę cienkich strumyków krwi. Walka trwała jeszcze tylko kilka chwil, po czym Sho popatrzyła na leżących w trawie pięciu mężczyzn. Byli martwi. Przeniosła wzrok na swój miecz. Krew zabitych mężczyzn szybko wsiąkała w ostrze miecza. Z każdą kolejną kroplą krwi, która zniknęła ze stali, Sho czuła się mocniejsza i silniejsza. Odetchnęła głęboko i przyjrzała się ostrzu, pokrytym licznymi rytami. Nie rozumiała słów, znaków, był to bardzo stary alfabet. Uśmiechnęła się do miecza.

- Mój jedyny przyjaciel - westchnęła - mój skarb... - dodała i... obudziła się. Usiadła na trawie i popatrzyła na siodło, o jakim opierała głowę. Rozejrzała się wokół. Był poranek. Słońce ledwie wzeszło i cała polanka wypełniona była słońcem. Kolejny sen. Odkąd wyruszyła w drogę powrotną, śniła tylko takie sny. W ciągu ostatnich dwóch nocy dokładnie to samo śniła się jej chyba czterokrotnie. Zdążyła już zapamiętać treść snu dokładnie. Ale najbardziej pamiętała tą dziką euforię wypełniającą ją za każdym razem, gdy chwyciła w dłoń miecz. Popatrzyła na swoją starą katana. Jej miecz towarzyszył jej od dobrych kilku lat, ściał już niejednego kark i był wielokrotnie ostrzony na nowo. Odłożyła swoją katana z niechęcią. Może rzeczywiście czas na odmiannę? Popatrzyła na miecz, który prześladował ją w snach, zawięty teraz w grube płótno, jakie dał jej Shirosumo. Sięgnęła po broń i ułożyła ją na udach. Wciąż świeże było wspomnienie mężczyzny, którego ten miecz doprowadził do zaleństwa. Patrzyła na zawiątko leżące na jej udach. Ona była kobietą. Była najsilniejsza w jej klanie. Była zabójczynią. Powoli zaczęła odwijać broń. Jej rozsądek walczył jeszcze z chęcią obejrzenia miecza, ale z każdym kolejnym ruchem odsłaniającym miecz jego głos był coraz cichszy. Wreszcie odwinęła sukno i popatrzyła na miecz. Rękojeść była pięknie zdobiona, pokryta czarną skórą. Delikatnie dotarła

ją opuszkami palców i natychmiast poczuła energię. Cofnęła rękę, wystraszona. Miecz zadrżał nieznacznie, zrobił się tak lekki, że niemal nie czuła go na udach.

- Czym ty jesteś...?? - zapytała, wcale nie oczekując odpowiedzi. Tym bardziej zaskoczył ją głos, jaki usłyszała gdzieś w swojej głowie, ale z całą pewnością pochodzący z miecza.

- Najlepszym mieczem, jaki kiedykolwiek widziałas. Razem będziemy niezwyciężeni - Sho nadal patrzyła na miecz, nie wiedząc, co zrobić. Ale w końcu chwyciła delikatnie rękojeść i zaczęła wysuwać ostrze z pochwy. Koniuszek ostrza delikatnie zahaczył o metalową obręcz tuż przy otworze pochwy i ostrze zabrzączało delikatnie. Patrzyła jak urzeczona na ostrze, które było o wiele piękniejsze, niż w jej snach. Nagle rękojeść zaczęła ją palić, ale w odpowiedzi na to tylko zacisnęła mocno dłoń. Czuła, jakby rękojeść była prawdziwym ogniem, ale nie wypuściła miecza z dłoni. Zacisnęła zęby i jęczała tylko cicho, dając sobie jedyny upust niewyobrażalnego bólu. Cały żar rękojeści zniknął tak samo gwałtownie, jak się pojawił, a Sho poczuła jak krople potu z jej czoła spływają na policzki. A zaraz po tym uderzyło ją ciepło i poczuła olbrzymi zastrzyk euforii, jak w swoim śnie. Olbrzymia energia i rozkosz wypełniły ją po brzegi i Sho popatrzyła na miecz z szerokim uśmiechem.

- Od dzisiaj jesteś mój - powiedziała - nie oddam cię nikomu - westchnęła z radością.

Stary, gruby właściciel dużej tawerny popatrzył z radością na nowo przybyłą kobietę. Poznał ją. Była u niego nie dalej, jak tydzień i kilka dni wcześniej, szukając kogoś, kto ukradł komuś miecz. Ona też go rozpoznała, uśmiechnęła się, podeszła do niego i usiadła naprzeciwko, na dużym krześle, tuż przy szynku. Mężczyzna popatrzył na jej bok, gdzie wisiał w pochwie miecz, jaki ongiś zdobił pas Okuro-Sana, po czym popatrzył w jej oczy. Były inne, nie takie, jakimi je pamiętał. Nie było w nich dobra. Na jego twarzy pojawiła się litość.

- Widzę, że znalazłaś to, czego szukałaś - Sho popatrzyła na swój miecz wiszący przy pasie, po czym znów popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Owszem. Miałeś rację. Tam był ten, kogo szukałam. Odnalazłam go.

- I odnalazłaś jeszcze coś. Nie masz już takich dobrych oczu - westchnął. Popatrzyła na niego zaskoczona.

- O czym mówisz? - zapytała.

- Doskonale wiesz, o czym - powiedział i odsunął się nieco od niej - proszę cię, odejdz stąd - dodał.

- Zabij go - usłyszała głos.

- Nie - Sho powiedziała twardo do miecza, choć nadal patrzyła na starszego mężczyznę - jesteś dla mnie nikim - dodała już do właściciela tawerny, po czym ruszyła do drzwi...

- Panie, zabójczyni wróciła!! - sługa wpadł do domu Shirosumo z uśmiechem na twarzy. Stary samuraj wstał od stołu.

- Doskonale - powiedział i ruszył do drzwi - gdzież ona?

- Czekaj na ciebie na zewnątrz - powiedział. Samuraj odesłał go gestem i przypasał miecz. W chwilę później wyszedł z chaty.

- Witaj - powiedziała Sho. Stała przed chatą samuraja, z rękami skrzyżowanymi na klatce piersiowej, z mieczem przy pasie - wróciłam.

- Doskonale - powiedział samuraj i ruszył w jej stronę, ale zawahał się, gdy zobaczył miecz przy jej pasie - to... ten miecz?

- Owszem - powiedziała z uśmiechem Sho - właśnie ten. Jestem przekonana, że właśnie tego miecza szukałaś. I wiem już, czemu tak bardzo chciałaś go odzyskać.

- Doskonale - powiedział samuraj i ruszył w jej stronę - oddaj mi go, a zapłacę ci za jego odzyskanie - Sho uśmiechnęła się, ale nawet nie drgnęła. Do samuraja podeszło pięciu wojowników stanowiących jego ochronę.

- Właściwie, przybyłam ci powiedzieć, że miecz zostaje u mnie - kąci jej ust uniosły się drwiąco w górę. Samuraj popatrzył na nią spode łba. Odruchowo zaczął oceniać, jak wielkie ma szanse w pojedynku z nią, ale dał sobie spokój. Doskonale wiedział, że przegra. Tak, jak jego ochroniarze. Popatrzył na nich.

- Możecie odejść - powiedział krótko - jesteście wolni. Uciekajcie, póki możecie - dodał. Sho znów uśmiechnęła się ironicznie.

- Mądra decyzja - powiedziała widząc, jak ochroniarze samuraja oddalają się szybko.

- Zabij go - usłyszała dobrze znany głos. Czuła, że miecz domagał się krwi.

- Z miłą chęcią - powiedziała i powoli wysunęła miecz z pochwy.

- A więc tak właśnie zakończy się moja historia - westchnął - ale wiedz, że nadejdzie dzień, w którym on cię zdradzi. Wybierz innego wojownika, który będzie nosił jego przekleństwo i który będzie wypełniał jego wolę. Ten miecz nigdy nie przestanie pragnąć krwi. Po tobie będą kolejni. Nikt nie jest w stanie powstrzymać jego pragnienia mordu - powiedział i wysunął miecz - ale wiedz też, że mojej krwi ten miecz nie zakosztuje - dodał, zatoczył długim mieczem młynka i jego ostrze bez trudu odcięło jego głowę. Sho tylko się uśmiechnęła. Wiedziała, że ledwie kilka godzin jazdy na północ jest niewielka wioska. Tam można zaspokoić pragnienie miecza...

Marcin D

Weber ::: Wolne myśli: samotność

„Samotność podąża za mną zawsze i wszędzie. Jest ze mną w barach, sklepach, w samochodach i na ulicach. Nie ma ucieczki. Jestem samotnym dzieckiem Boga”

Taxi driver

Szedłem ulicami miasta, które nigdy nie płacze, a mimo to wciąż jest obmywane deszczem łez. Łez nie pokazywanych nikomu, ronionych w ukryciu przez ludzi takich jak ja. Ludzi samotnych. Ilu ich minąłem w tłumie przechodniów? Sam nie wiem. Nie różniły się niczym od innych, niczym prócz oczu. Widać w nich głębię uczuć, które nie potrafią znaleźć ujścia. Kłębią się bezwiednie w duszy, trując powoli członki ciała. Czy ja miałem takie oczy? Już od dawna nie. Z czasem, nabrały wyrazu pustki, stały się martwe. Były jak uschnięte drzewo, jedynie śladem po czasach, które minęły. Wokół mnie swe panowanie zaznaczała jesień, rozkładając wszędzie złoty dywan.

Zawszą można było usłyszeć szelest liści poruszanych przy każdym kroku. Ten dźwięk nadawał mi kierunek. Chciałem odejść, chociaż na chwilę od tego gwaru. Czułem się przytłoczony, nie tylko stanem mojego ducha, ale i pogodą budzącą we mnie uczucia, o których istnieniu zapominałem. Jednak jesienna aura skutecznie starała się mi o nich przypomnieć. Zawszą wbijał się w oczy płomienny kolor jej włosów. Widziałem go na ulicach, drzewach i oczach przechodniów.

Z każdym krokiem chodnik zdawał się zrastać z moim ciałem, nakazując mi bym się zatrzymał. Nie mogłem się długo powstrzymać temu uczuciu. I tak, stanąłem, na środku chodnika, wbrew nurtowi mijających mnie ludzi. Stałem tam, jakby czas się zatrzymał. Mogłem bez przeszkód patrzeć w twarze mijających mnie osób, których wcale nie było mało. Niektórzy odwzajemniali moje spojrzenia, a inni szybko zwracali się ku ziemi omijając mnie szerokim łukiem. Zastanawiałem się, którzy z nich byli bardziej samotni. Jedni mieli w oczach obraz nawarstwiających się problemów, w rozwiązaniu, których biegli gdzieś przed siebie.

Byłem jedyną osobą w pobliżu, która odważyła się na chwilę przystanąć. Sam zresztą należałem, kiedyś do nich. Biegłem przed siebie, nie znając celu, w myśl słów-” Start biegu znam ja, a metę tylko Bóg”. Działo się tak do momentu, gdy poznałem ją. Nawet nie pamiętam jak to się stało. Po prostu się spotkaliśmy. Nie trwało to jednak długo i znów zostałem sam. Tym razem byłem inny, odmieniony. Nigdy nie wróciłem do wcześniejszego biegu.

Chyba tylko, dlatego, że miałem nadzieję na spotkanie jej jeszcze raz w tłumie. Powiedziałbym jej wtedy wszystko, co czuję... Co czułem. Od tamtej pory stałem się idealistą, romantykiem piszącym wieczorem wiersze. Z każdym zawartym w nich słowem wyrwałem kawałek serca. Aż w końcu nie zostało już nic, prócz pustki, której odbicie było widoczne w oczach.

Przymknąłem powieki, widząc jak otoczenie kreśli mi linie, którymi mam podążać. Podążać tak by poddawać się nakazom, by nie odstawać od reszty. Nie chciałem takiego życia, w którym indywidualność jest zbrodnią. Otwierając powieki napawałem się światłem w nie wpadającym, tak jakby to było nowe słońce oświetlające nowy, lepszy dzień. Wokół mnie nic się nie zmieniło. Ludzie dalej biegli w szaleńczym pędzie, ale tym razem widziałem wśród nich osobników nie poddających się temu tempu. Pozdrawialiśmy się nawzajem wzrokiem, przekazując sobie siły na każdy następny krok.

Z zamyślenia wyrwało mnie krakanie kruków, ledwo przebijające się przez szmer ludzkich głosów. Spojrzałem na zegarek. Wskazówki zbliżały się ku sobie-nadchodziło południe. Gdyby to był western, stałbym teraz naprzeciw swojego przeciwnika wyczekując bicia dzwonu by wystrzelić w niego cały magazynek. Zresztą rzeczywistość nie była aż tak różna od filmu, gdyż stałem na wprost wyzwania, na wprost życia. Nie było ono moim wrogiem, ale nie było też sprzymierzeńcem. Cały czas starałem się nadążyć za nim, lecz teraz ono musi gonić mnie. To ja biegnę szybciej, rzeczywiście stojąc w miejscu.

Przeglądając się krukowi, szybowiałem razem z nim. Chłonałem wolność, jakiej nie mogłem zaznać tutaj, na chodniku, otoczonym betonem. Zastanawiałem się czy podobne uczucie towarzyszyło Ikarowi. Jeżeli tak to chciałem być tak jak on, żyć i umrzeć będąc wolnym. Móc jak ten kruk płynąć w przestworzach, walczyć z wiatrem jak człowiek z niesprzyjającymi kolejami losu.

Kruk zniknął za horyzontem, a ja zostałem sam, jak Robinson samotny wśród ludzkiej gawiedzi. Postanowiłem podobnie jak mój chwilowy przyjaciel ptak, zwrócić swe kroki w kierunku domu. Ostoi, w której znajdowałem ukojenie i siły na walkę z kolejnym dniem.

Zdażyłem się tylko odwrócić, zwracając kroku, gdy usłyszałem:

- Miło jest czasem zamknąć oczy, nieprawdaż? Wtedy nie widzi się wad tego świata.- Wypowiedziane melodyjnym, kobiecym głosem
- Proszę?- Odpowiedziałem, szukając wzrokiem nadawcy tych słów.
- Powiedziałam, że... Zresztą nie ważne. Przepraszam, że cię zaczepiam.

Z przystanku, obok, którego stałem wychyliła się dziewczyna. Na początku myślałem, że w jakiś dziwny sposób otworzyły się wrota czasu i przeniosły mnie w przeszłość. Lecz to nie była prawda. Przede mną stała ładna brunetka, w wieku około dwiętnastu lat. Jej wielkie, zielone oczy tętniły głębią uczuć, której ja już nie miałem.

Przez moment stałem tak, wpatrując się w nią. Jej usta poruszały się nieznacznie, jakby chciała coś powiedzieć. Może to było moje wyobrażenie i to ja chciałem coś powiedzieć? Nie potrafiłem jednak zlepić słów w logiczną całość. To była nieodłączna cecha moich kontaktów z kobietami. Już nawet nie wiem czy to nieśmiałość czy po prostu strach przed odrzuceniem. Trwaliśmy tak patrząc na siebie, połączeni niemą więzią, której żadne z nas nie potrafiło przerwać.

Na chwilę odwróciła wzrok, patrząc w innym kierunku, w którym podążyły również moje oczy. Nadjechał autobus, a wraz z nim smutek. Widać go było nie tylko we mnie, ale i jej oczach, którymi obserwowała mnie, gdy szła powoli do swojego środka lokomocji. Chciałem krzyknąć coś w stylu: „nie odchodzi!” lub „jak masz na imię?”. Lecz tego nie zrobiłem. Ona również milczała. Wymieniliśmy się jeszcze ukradkowymi spojrzeniami zanim autobus odjechał, na zawsze nas rozdzielając. Nie znałem jej i już nigdy nie poznam. Kolejny raz zmarnowałem szansę na odmianę swego losu, na przerwanie niezdolnej samotności. Ta myśl przewijała mi się przez głowę przez całą drogę do domu. Przypomniały mi się słowa Jana Paul’a, brzmiące mniej więcej tak: „Porażka jest jedynie szansa na to, aby zacząć jeszcze raz - inteligentniej.”

Weber

Liftangel ::: Game over

Lena poruszyła się niespokojnie. Poczula ostry ból głowy, który odbierał możliwość racjonalnego myślenia. Spróbowała otworzyć oczy, lecz ostre światło wpadające do pomieszczenia przez otwór umieszczony wysoko na ścianie nie pozwalało ich otworzyć.

-Cholera, znów nie zasłoniłam żaluzji - pomyślała i zaklęła w duchu. Ból stawał się coraz mniej znośny, przeniósł się czoła na skronie. Przesunęła się w lewo, w miejsce gdzie światło jej nie dosięgało. Wyciągnęła rękę, by odszukać szlafrok, lecz dłoń tylko zamachała w próżni. Nie trafiła ani na nocny stolik, ani na śliski materiał. Uniosła głowę, próbując przykryć nagie ciało lekka puchowa koldrą, lecz pod palcami wyczuła jakiś gryzący cienki materiał. Coś jakby koc... Zdezorientowana usiadła i z wysiłkiem otworzyła oczy. Dopiero teraz zauważyła, że nie jest w swoim łóżku, tylko leży na jakimś cienkim materacu, z którego zaczęły wystawać sprężyny. Rozejrzała się dookoła. - Co jest... - powiedziała cicho, widząc, że znajduje się w jakimś dziwnym, nieznanym pomieszczeniu. Ściany były gołe, a jedyną „ozdobą” był mały otwór wysoko, przez który wpadała wiązka światła. Nawet gdyby chciała, nie dosięgnęła by. Wstała, odrzucając na bok stary koc. Było jej trochę zimno, bo stała boso na zimnej posadzce. W kącie zauważyła krzesło na którym leżało dokładnie ułożone ubranie, a obok na ziemi stała para wojskowych butów. Podeszła bliżej i przyjrzała się uważniej. Leżał tam jeszcze nóż, gdy tylko wyciągnęła ku niemu rękę usłyszała głos. - Witaj Leno. - Gwałtownie się odwróciła, lecz nikogo za nią nie było. Chwyciła leżący na ziemi koc i okryła się nim. - Zapewne zastanawiasz się, gdzie jesteś i co tutaj robisz - kontynuował tajemniczy głos. Dziewczyna uniosła głowę i spoglądała w sufit, mając nadzieję, że kogoś ujrzy. Niestety, była tam tylko kamera, która poruszała się za jej ruchami. - Kim jesteś? Pokaż się! - krzyknęła, patrząc niepewnie prosto w kamerę.

- Spokojnie. Chwilowo jest to nie ważne, ważna jesteś tylko Ty - powiedział nawet dość czule, lecz po chwili ton jego głosu się zaostrił - W przeciwnym rogu masz toaletę, odśwież się. Powinna być ciepła woda, więc możesz wziąć prysznic, byle nie za długo. Na krześle leży ubranie. Zrób to szybko. Nie mamy czasu. Nie zadawaj żadnych pytań. - Lena chwyciła ubranie i przerzuciła zasznurowane ciężkie buty przez ramię i ruszyła do łazienki. Gdy zamknęła za sobą prowizoryczne drzwi, najpierw rozejrzała się czy nie ma żadnej kamery. Odetchnęła z ulgą. Podeszła do lustra i przejrzała się w nim. Miała potargane włosy i zmęczona twarz. Wskoczyła szybko pod prysznic. Gorąca woda rozluźniła ją i pozwoliła na chwilę zapomnieć o tym, co się dzieje, lecz gdy wytarła mokre ciało w czysty ręcznik, rzeczywistość powróciła. Założyła sportowy czarny stanik i wygodne bawełniane damskie bokserki, również czarne. Na to wciągnęła zielonkawą obcisłą top i dopasowane brązowe spodnie, z szerokim pasem i kieszeniami. Znalazła się też miejsce na nóż, który jak sobie uzmysłowiła, zostawiła na krześle. Po co miała by go na dobrą sprawę nosić...? Naciągnęła na stopy grube skarpety i nasunęła ciężkie buty. Zrobiła kilka kroków, by sprawdzić, jak się czuje w nowym ubraniu. Zasznurowała je wysoko i wyszła z łazienki. Znowu znalazła się w obskurnym pomieszczeniu.

- 18 minut 36 sekund. Szybka jesteś. - niewiedomo dlaczego, ale uśmiechnęła się.

- Czy teraz dowiem się o co tu chodzi? - zapytała już nieco pewniejszym głosem. Usiadła na krześle i związała mokre wciąż włosy kawałkiem sznurka. Chwyciła do ręki nóż i zaczęła go oglądać.

- Nie zastanawiaj się, dlaczego tu jesteś. Zostałaś wybrana spośród tysięcy. Ogólnie rzecz biorąc, w Tobie łączy się takie cechy, które są nam potrzebne. Jesteś opanowana, lecz potrafisz wpaść w szal. Inteligencja i bystrość oraz wyobraźnia są bardzo przydatne. Do tego racjonalne spojrzenie i wytrwałość. Cierpliwość też jest tą cechą, która zadecydowała że to Ty będziesz Wybraną. To jest zaszczyt. Od dziś nazywasz się L88

Lena zamyśliła się, przesuwając palcem po ostrzu.

-A tak konkretniej? O co chodzi? Do czego jestem wybrana? - zapytała z nieukrywaną ciekawością

- Misja jest tajemnicą. Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie. A teraz... - głos na chwilę przerwał, a ściana znajdująca się naprzeciwko niej rozstała się, ukazując jakieś ciemne wnętrze.- życzę powodzenia - dokończył głos i zamilkł. Pomieszczenie wypełniała głucha cisza i rytmicznie przyspieszone bicie serca Leny.

- Zaczekaj! - krzyknęła - Wytlumacz mi co mam robić. Proszę - jej głos przerodził się w błaganie. Podbiegła do kamery i chwyciła stojące obok krzesło. Uniosła je i cisnęła nim w elektroniczny sprzęt, który upadł na ziemię roztrzaskując się. Dziewczyna zamarła. Nie wiedząc co robić, podeszła do otworu w ścianie. Wsuwając nóż za pasek, przekroczyła próg wkraczając do ciemności. Usłyszała tylko kilka słów wypowiedzianych gdzieś z oddali.

- Witaj w Nowej Rzeczywistości...

Niepewnie rozejrzała się dookoła, lecz wszędzie była tylko ciemność. Zrobiła kilka kroków w przód, próbując przyzwyczaić oczy do mroku by ujrzeć, gdzie się znajduje, lecz w zasięgu jej wzroku nie było nic, kompletnie nic. Schyliła się by dotknąć ziemi, sprawdzić na czym stoi. Jej palce napotkały przesypujący się drobnoziarnisty piasek. Był tak suchy, że na myśl jej przyszedł piach pustyni.

- Witaj w Nowej Rzeczywistości - powtórzyła jadowitym głosem. - A ja pieprzę taką rzeczywistość - krzyknęła po chwili podnosząc się i otrzepując rękę.

Odpowiedziało jej tylko echo, głuche i jakby ironiczne, dobiegające gdzieś z oddali. Lena ruszyła przed siebie, idąc wolno, krok za krokiem, nasłuchując i obserwując. Szła tak pogrążona w nieświadomości, dokąd zmierza. Jej stopy grzęzły w sybkim piachu, utrudniając marsz. Od ciągłego zapadania się zaczęły ją boleć mięśnie nóg. Po jakimś czasie rozjaśniło się nieco, wtedy Lena doszła do wniosku, że idzie po pustyni tak jak podejrzewała, tyle że teraz wiedziała też, że „spacer” rozpoczęła w nocy, a teraz już świtało. Zdąta sobie sprawę, że nie miała dziś nic w ustach. Wschodzące słońce zaczęło prażyć, powodując że męczyła się szybiej. Zimny pot oblał całe jej ciało, lecz to i tak nie pomogło. Ciągłe było jej gorąco, odczuwała coraz większe pragnienie... Widząc przed sobą jakiś majaczący obraz, ruszyła biegiem, lecz potknęła się o coś i upadła. Miękki piach zamortyzował upadek, lecz był tak rozgrzany, że nie sposób było na nim siedzieć. Jednak nie miała sił, by wstać. Obliznęła spierzchnięte wargi, głośno przełykając ślinę i położyła się z zamkniętymi oczami zanurzyła palce w piachu. Nagle jej dłoń natrafiła na jakiś przedmiot. Szybko zerwała się i zaczęła kopać. Robiła to szybko, aż dziw, że przed chwilą leżała zemdlona. Jej oczom ukazała się mała skrzyneczka. Wyjęła ją i przez chwilę przyglądała się z zainteresowaniem. Zastukała w wieko, przyłożyła ucho, sprawdzając, czy coś tam nie tyka.

- Jeszcze by tego brakowało, żebym wyleciała w powietrze - mruknęła i jeszcze raz obejrzała całą skrzyneczkę. Nie znajdując na niej żadnych podejrzanych zadrapań czy nalepek, spróbowała je otworzyć, lecz gołymi rękoma nie bardzo jej to wychodziło. Wyjęła nóż i podważały pokrywę, która po chwili odskoczyła, ukazując zawartość. Była to butelka wody mineralnej, chusta i jakaś koperta. Lena pospiesznie chwyciła butelkę i łapczywie upiła kilka łyków. Odetchnęła z ulgą czując jak płyn spływał powoli do żołądka. Zakreśliła mocno zakrętek, by nie uронić ani kropli i odłożyła na bok. Wyjęła ze skrzynki chustę w kolorze khaki i założyła ją na głowę, by choć trochę ochronić się przed słońcem. Gdy do ręki wzięła kopertę poczuła dziwne podniecenie. Gdyby nie ten żar i niepewność, zaczęło by się jej nawet podobać. Koperta była z pozoru zwyczajna, biała i zaklejona. Gdy dziewczyna przejechała dłonią po jej powierzchni, wyczuła jakieś żłobienia. Po chwili odczytała z tego palcami swoje imię oraz hmm... pseudonim. „Lena - L88”. Rozciąła nożem ostrożnie sklejoną brzeg, a ze środka wysunęła się kartka. Rozwinęła ją i zaczęła czytać:

„Droga Leno,

Zapewne dziwisz się temu co się dookoła Ciebie dzieje. I słusznie, bo gdybyś tego nie robiła, nie byłabyś sobą. Wtedy również nie wybraliśmy Ciebie do tego zadania. Pozwól że skrócie wyjaśnię Ci o co tu chodzi. Zostałaś wybrana do naszego eksperymentu, w którym uczestniczysz mimowolnie. Jest nam przykro, że musieliśmy Cię do tego zmusić, ale dobrowolnie nikt przy zdrowych zmysłach nie podjął by się tego, a tylko o takie osoby nam chodziło. Celem eksperymentu jest sprawdzenie zachowań ludzkich w różnych sytuacjach, często irracjonalnych, niewyobrażalnych. Dlatego nie zdziw się, spotykając na swojej drodze stworzenia,

które nie powinny istnieć czy uczestnicząc w sytuacjach, które nie miały prawa się zdarzyć. Dla nas wszystko jest możliwe...”

Tu Lena przerwała, gdyż zaczęło jej się kręcić w głowie. Sama nie wiedziała, czy to od słońca, czy od tej informacji. Wciągnęła głęboko powietrze, rozluźniając się przy tym i dając ukojenie zmęczonym mięśniom. Westchnęła i dokończyła list.

„Cały czas jesteś pod obserwacją, Twoje reakcje są zapisywane, każdy Twój ruch, słowo czy grymas twarzy są analizowane przez ekspertów tzn. światowej sławy znakomitych psychologów, fizjologów, a nawet wróżki. Staramy się przewidzieć, co zrobisz, jak się zachowasz. Uprzedzam, że jest to trudne zadanie, jednak myślę, że sobie poradzisz. Wcześniej o tym nie wspominałem, ale po zakończeniu eksperymentu będzie na Ciebie czekać zapłata. Jesteśmy Ci to winni. A teraz - żyć powodzenia”

Zmięta kartkę i odrzuciła ją za siebie. - Skoro tak, to się zabawimy - syknęła i podniosła się ciężko. Wsunęła nóż na swoje miejsce, poprawiła chustę i z butelką w ręce ruszyła przed siebie, na spotkanie z nieznanym.

Poczuła silny ból w lewej ręce, spróbowała ruszyć palcami, lecz to nasilało jego moc. Uniosła się lekko i jęknęła. Bolało ją całe ciało, jakby stoczyła walkę z całym pułkiem wojowników. W ustach poczuła krew. Nie zdawała sobie sprawy, że ten smak jest jak zbawienie. Oznacza, że ciągle żyje. Gdy pokracznymi ruchami usiadła w końcu i oparła się o ścianę, zorientowała się, że już nie jest na pustyni, lecz znajduje się w jakimś pomieszczeniu. Zimnym i mokrym, pełnym odłamków cegieł. - Widocznie ktoś próbował się stąd wydostać - pomyślała patrząc na małą szczelinę w ścianie naprzeciwko. Podczołgała się w tamtym kierunku i z twarzą tuż przy zimnym murze próbowała zobaczyć, co znajduje się na zewnątrz. Było jednak tak ciemno, że nie mogła rozróżnić żadnych kształtów. Westchnęła. Pustynia była już wspomnieniem. Jedynym namacalnym dowodem, że to nie był sen, był suchy złoty piasek wypełniający jej buty... Gwałtownie się odwróciła, słysząc szmer za plecami, co spowodowało chwilową utratę świadomości. Ból był okropny, jednak strach i ciekawość były silniejsze. Do pomieszczenia zaczęły wchodzić szczury. Po chwili było już ich pełno, gromadziły się pod ścianą, popiskując i przyglądając się Lenie. Cicho jęknęła, nie poruszając się zbyt gwałtownie. Była przerażona. Jedynym zwierzęciem, do którego czuła wielką odrazę i którego się bała, były właśnie szczury. Oparła się o ścianę i nerwowo rozejrzała dookoła. Jej wzrok zatrzymał się na jakimś przedmiocie, leżącym kilka kroków przed nią. Był to palnik do cięcia metalu. Poczuła chwilową ulgę, lecz kiedy pomyślała, że musi się zbliżyć do oblesnych i patrzących na nią czujnymi oczami szczurów, przerażała się jeszcze bardziej, jednak wiedziała, że musi to zrobić. Wolno nie wykonując prowokujących szczury gwałtownych ruchów przesunęła się do przodu. Schyliła się nieznacznie, sięgając palnik i chwyciła go szybko odsuwając się do tyłu. Nie miała już czasu na zastanawianie się, zwierzaki zaczęły iść w jej stronę. Jeden, największy, który prawdopodobnie był ich przewodnikiem, rzucił się przed wszystkimi, pędząc wprost na nią. Szybko odpaliła ogień i skierowała palnik przed siebie. - Albo ty albo ja - krzyknęła i zamknęła oczy nie chcąc patrzeć na to, co się stanie. Usłyszała tylko przeraźliwe piski konających gryzoniat, a po chwili straszny smród zaczął wypełniać całe pomieszczenie. Duszący odor sprawił, że zaczęła wymiotować. Po kilku minutach lekko wycierpana skierowała się do miejsca, z którego weszły szczury. Stąpając pomiędzy martwymi ciałkami znalazła się w kącie. Z obrzydzeniem odsunęła zwęglone kupki nie przypominające żywego zwierzęcia i zaczęła badać ścianę. Jej ręka wpadła w jakiś otwór. Mur wcale nie był z cegieł, była to tekturowa ściana, która sprawiała wrażenie grubego i odpornego muru. Rozpędziła się z całym impetem uderzyła w płaską powierzchnię, rozwalając ją na kawałki. Nagle znalazła się pośród pachnących kwiatów i szeleszczących liści, ból zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wszystko było by piękne, gdyby tylko nie to palące słońce i duszący zapach. Rozejrzała się dookoła, spostrzegając bajecznie kolorowe kwiaty. Aż ją zemdleło. Podeszła do jednego z kwiatów, który przewyższał ją o dobre kilkanaście cm i kopnęła go. Nieznacznie się poruszył, wydobywając z siebie dość oryginalny zapach. Zrobiła kilka kroków, jednak wszędzie były tylko kwiaty. Skojarzyła zapach kwiatów z zapachem opium, lecz było już za późno... Osunęła się na miękką trawę i zapadła w błogi, nieświadomy sen...

Kiedy otworzyła oczy, od razu spostrzegła, że nie znajduje się w ogrodzie, lecz jakimś pomieszczeniu. Początkowo pomyślała, że wróciła do siebie, gdyż znajdowała się na łóżku, lecz po chwili oczy przyzwyczajone do mroku zaczęły rozróżniać pozostałe kształty mebli. Przesunęła dłonią po podłodze i natknęła się bardzo miękkim i puszystym materiałem. To musiał być dywan. Nie, to na pewno nie był jej pokój... Zaczęła się przesuwając po omacku do przodu, lecz zastygła w bezruchu słysząc czyjeś kroki. Nagle z impetem otworzyły się drzwi a w nich stanął wysoki, barczysty osobnik. Wszedł do pomieszczenia nie zamykając drzwi, przez co do pokoju wpadało światło, rzucając cień. Dopiero po chwili upewniła się, że jest to mężczyzna. Cień nieznacznie przesunął się w jej kierunku, na co zareagowała gwałtownie. Zbyt gwałtownie. Barczysty typ podbiegł do niej i chwycił za ramiona, unosząc do góry, po czym bez pardonu upuścił na ziemię. Lena upadła boleśnie, tłukąc sobie ramię i plecy. Syknęła lecz nie chciała okazać bólu, jaki trawił jej ciało... Wstań - powiedział gromkim głosem, który nie pozwalał na żadne słowo sprzeciwu. Szarpnął ją za ramię ciągnąc gdzieś poza pomieszczenie w którym się znajdowali. Czuła przez skórę, że nie ma sensu się odzywać, a tym bardziej skarżyć na nasilający się ból w ramieniu, jednak jej ciało nie było przygotowane na tak wielki wysiłek, czuła, że omdlewa. Po chwili jednak otrzeźwiała, czując na sobie zimny podmuch. Dryblas postawił ją na ziemi i zniknął gdzieś, a ona osunęła się na ziemię; Słyszając dźwięk ocierających się o siebie ogniw łańcucha, szybko zebrała resztki sił i wstała, podpierając się o ścianę. Silne uderzenie w szczękę ponownie powaliło ją na podłogę. - To już koniec - pomyślała czując w ustach smak krwi. Zakrztusiła się, a ciemna mgła przesłoniła jej oczy. Jednak nie poddawała się, czując jak kopniaki spadają na jej ciało, raniąc nogi, brzuch i klatkę piersiową. Osloniła głowę rękoma, i przestała się ruszać, a napastnik na chwilę się odsunął, myśląc, że już po niej. Korzystając z okazji jego nieuwagi zerwała się na równe nogi i chwytając leżący nieopodal łańcuch, wzięła zamach i uderzyła. Reszta potoczyła się bardzo szybko. Zadawała ciosy z coraz większą zaciętością, aż w końcu z ogromnym trzaskiem dryblas upadł na ziemię, wydając z siebie gardłowy wrzask. Nie sprawdzając czy żyje wybiegła na korytarz, zatrzaskując drzwi. Biegła na oślep, objając się o ściany i potykając. Zwolniła nieco kroku, ponieważ ból w całym ciele był nieznosny, zbyt łatwo traciła teraz energię. Przystanęła na moment, słysząc dziwne dźwięki dochodzące gdzieś z ciemności. Podeszła cicho w kierunku, z którego się wydobywały i zamarła. Stała tuż przed szklanymi drzwiami, za którymi znajdowała się główna siedziba komputera. Tysiące kabli wiło się po podłodze, drukarka z nadzwyczajną szybkością drukowała jakieś papiery... Zauważyła mężczyznę siedzącego do niej plecami. Poczuła jak zbiera się w niej złość, miała ochotę go zamordować. Cofnęła się maksymalnie. Z rozpędu uderzyła w szklaną powierzchnię, rozsypując ją w drobny mak i raniąc przy okazji siebie nieosłonięte partie ciała. Zdezorientowany mężczyzna odwrócił się gwałtownie. - L88, co Ty tu robisz? Nie masz pra... - Nie zdążył dokończyć, gdy obuta stopa dziewczyny uderzyła go prosto w krocz. Jęknął i upadł na ziemię, kuląc się z bólu - Ja nie mam prawa? JA???? - krzyknęła i zaczęła okładać go pięściami, bijąc na oślep. Początkowo próbował się osłaniać, lecz widząc jej złość i determinację, poddał się. - Wybacz... - stęknął i rozplakał się jak dziecko. Lena zostawiła go i zajrzała na świeżo wydrukowane kartki. Widniały na nich cała jej przeszłość, od momentu narodzin, aż po zaistniałą sytuację. Mężczyzna zaczął coś szeptać, lecz nie rozumiejąc jego słów, podeszła bliżej. - Od początku byłaś eksperymentem, od kiedy wydałaś pierwszy krzyk Twoje reakcje, czyny i marzenia były rejestrowane. To dlatego nie masz nic. Jesteś dzieckiem poczętym sztucznie, Twoja matka sama się zgodziła, potrzebowała pieniędzy. Oddała Cię nam za dużą sumę - przestał na chwilę i wzięła głęboki oddech - Wszystko jest zapisane tam. - wskazał dłonią na stojący w kącie komputer opatrzony czerwoną etykietą z jej imieniem - Jesteś nikim - wyszeptał lecz nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo Lena zadała mu ostatni cios w serce, wyjętym wcześniej nożem. Nożem który on dla niej przygotował... Dziewczyna podeszła do sterty kartek, które ciągle były drukowane. Każda jej myśl, każdy dzień, opisane jak pamiętnik. Pamiętnik dziewczyny bez przeszłości. Z czułością spojrzała na stary komputer, lecz jej uwagę odwróciło zaprzestanie drukowania. Odwróciła się i wzięła do ręki ostatnią stronę. Widniały na niej tylko dwa słowa: Game over...

ODGRZEWANY KOTLET

Z ciemności wylania się postać w białym ubraniu...

W jej ręce lśni tasak... Nagle widzisz lecący w Twoim kierunku Kotlet... Odgrzany kotlet...



WITAJCIE TOWARZYSZE...

Może nie wyglądam jak Pascal i nie występuję w telewizji, ale mam dla was nielada gratkę...

Już widzę te naciągające się mięśnie twarzy starające się naciągnąć usta, tworząc coś przypominającego nędzną imitację uśmiechu...

Nie wiem czy to uśmiech zadowolenia, ale wiem na pewno że wywołany został przez kilkadziesiąt literek pogrupowanych w szeregi na ekranie monitora... Wiecie może czy jakiś naukowiec zajął się tym zjawiskiem? Rzesze ludzi niemiłosiernie gwałcących resztki swoich mięśni brzucha leżąc przed monitorem komputera... Tym powinien zająć się jakiś psychiatra...

Ale przejdźmy od medycyny niekonwencjonalnej do radości podniebienia... :D Albo dna oka... Jak kto woli.

Pora na małe co nieco. Jak zwykle oferuję wam dość smaczkowe kąski...

Na sam początek to, co Tygryski lubią najbardziej. „Opowieść o Obitanie...” to humorystyczne opowiadanie, przez które dostałem kiedyś uwagę na informatyce. No cóż. Nie codziennie człowiek wybucha panicznym śmiechem wpatrując się w monitor.

Następną propozycją jest „Jan i Małgorzata”. Tak poważne, że aż śmieszne... Na szczęście czytałem to w domu i tylko pies się na mnie dziwnie patrzył...

Daniem głównym jest opowiadanie Scootera Foxa „Odcienie Szarości”. Jest to przykład naprawdę starego i dobrego kotleta...

„Tryptyk Samobójczy” to majstersztyk w wykonaniu military’ego. Opowiadanie, na długie zimowe wieczory. Na pewno chwile wam zajmie jego czytanie. Nie należy sobie aplikować całego za jednym razem... Dawkować po troszkę. No i nie czytać z bananem na twarzy... Przydaje się lekko przysmutnawy nastrój...

I to by było na tyle. Mam nadzieję, że najedliście się wystarczająco i dotrwanie do następnego numeru... Bo za miesiąc znów odgrzewamy.

Z poważaniem

Josif Nikita Konstantynopolitańczykiewicz Nikiforowicz Mychajło
Stay tuned and sodomized...

Ted Undead ::: Opowieść o Obitanie, rycerzu nie całkiem bez skazy, czyli o tym, że rycerskie średniowiecze wcale nie było takie piękne

Obitan zaczął się w krzakach. Za nim gęsty las, przed nim mury szkockiego zamku i sad, z którego woda spływa do komnat niewieści. Królową, tak porwie królową! Na razie jednak trzeba mu czekać na zmrok. Obitan nie znał swojej biologicznej rodziny. Gdy miał dwa lata morze wyrzuciło go u brzegów Kornwalii. Znalazł go podstarzały rycerz, nie mający żony ani dzieci. Postanowił on wychować chłopca na prawego i honorowego rycerza. Właściwie, nawet jeśli mu się to udało, to tylko połowicznie. Obitan bowiem, rzeczywiście był rycerzem, na pewno jednak nie-honorowym (to jest, na tyle prawym, aby czerpać z tego jakieś korzyści). Słońce już zaszło, ale księżyc w pełni dawał dużo światła. Zimno nękało każdego, kto nie był na tyle mądry, by schować się do domu i ogrzać przy kominku. Obitan marzył na wietrze. Pośpiesznie rozpalone przez niego ognisko okazało się nie tyle nieskuteczne, co zbyt dymiące i rycerz musiał je zgasić. Teraz marzył.

Właściwie Obitan miał już żonę, poślubioną bardziej z chęci zysku, niż miłości. Za to królową Szkocji kochał od dawien dawna (była ona bowiem córką kornwalijskiego pastucha). Nieszczęśliwie dla rycerza, kiedy szkocki król ją zobaczył, zakochał się natychmiast. Czy z wzajemnością - tego nasz bohater nie wiedział i, szczerze mówiąc, niewiele go to obchodziło.

Obitan ostatni raz sprawdził zbroję i wszystkie rzemyki, oczyścił miecz, po czym uśmiechnął się szeroko. Była to jego pierwsza wyprawa rycerska, a już wyglądał znakomicie. Nasz rycerz poprzyglądał się jeszcze chwilę swojemu odbiciu w mieczu, a następnie, tak, jak we wszystkich rycerskich opowieściach, które słyszał od przybranego ojca - skoczył na konia. To jest - spróbował skoczyć, bo czynność ta, wykonywana z osiemdziesięciokilowym ciężarem na barkach, dobrym pomysłem raczej nie jest, nie była i nie będzie po wsze czasy. Nasz dzielny rycerz jednak wcale się tym nie przejął. Skoczył jeszcze raz. Nawet na centymetr nie odbił się od ziemi. Obitan jednak nie zrażał się niepowodzeniami. Wsadził prawą stopę w strzemień z zamiarem odbicia się lewą od ziemi i wskoczenie na konia. I rzeczywiście - odbił się. Niestety, jego zbroja była trochę za szeroka, więc odbijał się wewnątrz niej - a ona nadal stała w miejscu. Przypadkowy przechodzień mógłby stwierdzić, że w lesie stoi zbroja z jedną nogą w strzemieniu konia - przodem do niego. Co najdziwniejsze, hełm w tej zbroi co chwilę podnosi się i prawie natychmiast opada. Na szczęście dla Obitana żadnych przypadkowych (lub nie) przechodniów tam nie było.

Po około dziesięciu podskokach wewnątrz zbroi, nasz dzielny rycerz stwierdził, że tym sposobem na swego konia, Który Wyrazem Pyska Bardziej Przypominał Muła, nie wsiądzie. Do głowy jednak przyszedł mu kolejny tego dnia pomysł. Podstawił konia bliżej drzewa, z zamiarem zeskoczenia na niego. Niestety, nie wziął pod uwagę tego, że gałąź może nie utrzymać przez dłuższy czas ciężaru rycerza w pełnym rynsztunku. Tak też się stało. Obitan spadł na ziemię, po czym został kopnięty przez swojego przestraszonego konia, Który Wyrazem Pyska Bardziej Przypominał Muła. Jedyną rozsądną rzeczą, jaką rycerz mógł teraz zrobić było podniesienie się. Mimo jego wielkich chęci nie mógł tego zrobić. Nie z ciężarem osiemdziesięciu kilogramów na sobie. Obitan począł zdejmować z siebie zbroję, jednocześnie leżąc na ziemi. Gdy w końcu mu się to udało, cudem się z niej wytoczył, wstał i założył ją na siebie jeszcze raz. Wiedział, a przynajmniej wydawało mu się, że wiedział, co robił źle. Kiedy się ubrał, podstawił konia bliżej największego i najgrubszego drzewa w okolicy. Drzewo to miało bardzo grube gałęzie. Obitan cudem wszedł na jedną, lekko trzeszczącą gałąź i, wysilając wszystkie swoje mięśnie, skoczył. Przestraszony koń, Który Wyrazem Pyska Bardziej Przypominał Muła, odsunął się.

Gdy po około pięciu minutach nasz dzielny i jakże tępy rycerz odzyskał przytomność, wiedział już, co zrobić. Do głowy przyszedł mu podpatrzony, w czasach bycia giermkim u Arabów, sposób (oni to co prawda robili z wielbłądami, ale dla Obitana była to niewielka różnica). Oto co wymyślił: najpierw pociągnął konia w dół tak, że ten przysiadł na zadzie. Potem zaś, podciął mu przednie nogi. Biedne zwierzę położyło się na nich (tak, jak czasami czynią to domowe koty). W ten sposób grzbiet zwierzęcia był na wysokości ud rycerza. Obitan więc, po prostu przełożył nogę przez konia, usiadł i nakazał mu wstać. Zwierzę jednak stwierdziło, że ta pozycja, w jakiej zostało siłą ułożone, wcale nie jest taka zła. Nie musi przesadnie zginać szyi po świeżą trawę, wygodnie leży, może zasnąć, a jego głupi pan i tak go nie podniesie. Także, nie miało najmniejszej ochoty wstawać. Obitan tak się tym zezłościł, że jego hełm począł wznosić się i opadać, mimo że rycerz siedział. Po chwili, gdy się uspokoił przypomniał mu się kolejny szczegół podpatrzony u Arabów. Rozejrzał się, dojrzał to, co chciał, po czym wstał i ruszył w stronę kępy krzaków. Po chwili wrócił, niosąc w ręku gałązkę paproci. Usiadł na koniu, Który Wyrazem Pyska Bardziej Przypominał Muła i jął trzepać go po zadzie przyniesioną gałęzią krzycząc „Wio, wio!”. Zwierzę leżało nadal. Obitan zaś bił i bił, aż wszystkie liście opadły ze świeżo przyniesionej witki. Rycerz wstał i wpadł w szał. Jego hełm podnosił się i opadał szybciej niż wcześniej. W tym momencie w umyśle konia zrodziła się perfidna i bardzo brzydka myśl. Otóż, koń wstał. Obitan oszalał. Gdy się wreszcie uspokoił, stwierdził, że skoro tak, to trudno, ale on będzie musiał przejść pieszo te pięćdziesiąt metrów.

Po około dwóch minutach wytężonego marszu w swojej, ważącej osiemdziesiąt kilo zbroi, którą Obitan zdążył znienawidzić bardziej niż konia, dotarł do źródła. Na całe szczęście, rzeczka prowadząca do komnat niewiast sięgała rycerzowi tylko do pasa. Nasz dzielny bohater chyba spał na lekcjach swego przybranego ojca, bowiem zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że zbroja może zardzewieć. Tak więc, wszedł do rzeczki i ruszył przed siebie. Po około pół godziny marszu dotarł do rzeczonych komnat. Gdy wyszedł na brzeg, ze zdziwieniem stwierdził, że z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu wszystkie zawiasy jego rynsztunku od pasa w dół skrzypią niemiłosiernie. Jako że było to zagrożenie dla powodzenia misji, Obitan zdjął dolną część zbroi i tylko w samej górnej oraz płóciennych spodniach - ruszył przed siebie. Znalezienie drogi do królewskiej komnaty (samego króla i jego świty nie było, bowiem wyjechali na polowanie, a królowa nie cierpiała zabijania biednych zwierzątek) trudne nie było.

Obitan poznał swą ukochaną w kilka chwil. Kiedyś, kiedy był młody, kochał ją. Ożeniłby się z nią, gdyby nie Jakub, szkocki król. Nasz dzielny i jakże troskliwy rycerz wziął królową Helenę na ręce i ruszył w drogę powrotną. Na wszelki wypadek zatkał jej usta kneblem. I rzeczywiście, kiedy ukochana Obitana się obudziła (a stało się to wtedy, gdy nieuważny rycerz zmoczył jej nogi) zaczęła próbować krzyczeć. Gdy poznała, kto ją niesie, poczęła krzyczeć głośniej. Knebel jednak, przeszkadzał jej w tym skutecznie, także żaden ratunek nie przybył.

Obitan wyszedł na brzeg rzeczki w sady w pełnej zbroi (dolną część założył szybko w zamku) i ruszył do lasu. Każdy jego krok powodował coraz większy ból uszu królowej, zawiasy bowiem skrzypiały gorzej niż poprzednio. Po dotarciu do konia, Który Wyrazem Pyska Bardziej Przypominał Muła, nasz dzielny rycerz ułożył Helenę na ziemi i zdjął jej knebel. Szybko jednak założył go powtórnie. Ryku królowej nie mógł wytrzymać nawet koń. Lekko speszyony Obitan wziął się za kładzenie konia w pozycję wielbłądziej. Kiedy już tego dokonał, usadził królową w siodło, poczym zrobił to sam. Oczywiście trzepanie konia po zadzie gałązką paproci niewiele dało. Na szczęście dla rycerza zaczął padać deszcz. Mądre zwierzę stwierdziło, że nie ma sensu moknąć na deszczu na polanie, jeśli w głębi lasu jego głupi pan przygotował przytulny szałas. Wstało więc i ruszyło stępą przed siebie.

Po jakimś czasie szczęśliwy koń, Który Wyrazem Pyska Bardziej Przypominał Muła, ułożył się pod suchymi drzewami. Obitan zsiadł z niego, zdjął zbroję, wziął królową na ręce i wszedł do wcześniej przygotowanego lokum. Ułożył Helenę na posłaniu z

mchu oraz liści i zdjął jej knebel. Ona zaś zaczęła wyrzucać z siebie takie słowa pod adresem rycerza, że on czym prędzej za-kneblował ją powtórnie. Teraz miał poważny problem. Jego ukochana nie kochała go już (prawdę mówiąc to nigdy nie żywiła do niego żadnego uczucia). W pewnym momencie do głowy Obitana przyszedł kolejny tego dnia „genialny” pomysł. Napój miłosny! Napój miłosny jest zdolny do zauroczenia Heleny. Jedynym problemem w tym momencie było to, że nasz dzielny rycerz zupełnie nie wiedział jak coś takiego przyrządzić. Postanowił więc oprzeć się na rycerskich opowieściach. Po pierwsze: musiał mieć wino. Na całe szczęście miał trochę czerwonego w jukach. Po drugie: kielich. Tego nie miał, wykorzystał więc starą, znaną w sa-kwie glinianą miszkę. Po trzecie: czarodziejskie zioła. W tym już nasz pomysłowy rycerz zupełnie się nie orientował. Wziął więc co popadło: lubczyk, parę innych afrodyzjaków (na tych Obitan się znał) oraz kilka ziół, które widział pierwszy raz w życiu. Wymie-szał to wszystko porządnie i stwierdził, że jego wspaniałe wino w glinianej skorupie i z pływającymi na wierzchu ziołami wygląda zupełnie jak tani barszcz. Nie przejął się tym zbytnio. Zaniósł eliksir królowej i polecił wypić. Helena odrzekła, że nie ma zamiaru i na pewno nie będzie pić podejrzanego wyglądającego barszczu przygotowanego przez kucharza od siedmiu boleści. Obitan nie przejął się tym w ogóle. Stwierdził, że jego ukochana i tak wypije wino, nawet jeśli będzie musiała zrobić to pod przymusem. Na szczęście królowa wypila miłosny napój nie kaprysując więcej. Kiedy to zrobiła, miszkę wziął od niej Obitan z zamiarem wypicia eliksiru tuż po ukochanej, tak jak w opowieściach. Niestety stwierdził, że Helena wypila wszystko. „Trudno.” - pomyślał - „Ja i tak już ją kocham”.

Królowa po chwili milczenia spojrzała rozanielonym wzrokiem prosto w oczy rycerza i powiedziała:

- Kocham cię.

- Udało się, udało się, udało się! - wykrzyknął Obitan. - A jednak się udało!

- Kocham cię - powtórzyła Helena.

- Tak, tak, wiem. - powiedział rycerz. - A teraz poczekaj chwilę - nakazał i ruszył w stronę konia, Który Wyrazem Pyska Bardziej Przypominał Muła. Wrócił po chwili, niosąc w ręku zimną dziczyznę. Podał królowej kawałek i rozkazał jeść. Ta przełknęła kęs, po czym powiedziała:

- Kocham cię.

- Wiem, teraz jedz.

Kolejny kęs.

- Kocham cię.

- Dobrze! Zrozumiałem! Jeść!

Helena zjadła jeszcze trochę.

- Kocham cię.

- Oczywiście!!! Jedz!!!

Jedno ugryzienie mięsa.

- Kocham cię.

- Niech to wszystko piekło pochłonie! Zrozumiałem! - wykrzyknął Obitan i pomyślał: „Co zrobiłem źle? Może nie trzeba było do-dawać tego niebieskiego kwiatka?” Helena zaś zjadła kolejny kawałek dziczyzny i z całą pewnością stwierdziła:

- Kocham cię.

- Dob - rze!!! Zro - zu - mia - łem!!! Teraz, bardzo proszę, zamknij się!!!

Obitan wykrzyczał to tak głośno, że królowa, aż się przestraszyła.

- Kocham cię?

Nasz wybuchowy rycerz wpadł w szal. Kiedy się trochę uspokoił, zauważył, że jego ukochana naprawdę się go boi. Resztki ludz-kich uczuć, stracone przed chwilą, odezwały się w Obitanie. Podeszedł do królowej, pogłaskał ją po włoskach i uspokoił (siebie też). Ona zaś, z wyrzutem w głosie stwierdziła:

- Kocham cię!

Resztki ludzkich uczuć momentalnie uleciały z rycerza. Zakneblował królową, ułożył na pościeli, sam położył się obok i nakazał spać. Helena najpierw rzuciła się trochę, wydając przy tym bliżej nieokreślone dźwięki, po chwili jednak zasnęła. Obitan, z uczu-ciem ulgi, oraz przecuciem, że to jeszcze nie koniec, zrobił to samo.

Rano naszego dzielnego rycerza obudziła jego ukochana. Siedziała na ziemi, wpatrywała się w Obitana i co chwila powtarzała: „Kocham cię”. Nasz bohater pokręcił głową ze zrezygnowaniem. W pewnym momencie zauważył, że jego koń, Który Wyrazem Py-ska Bardziej Przypominał Muła, wpatruje się w niego z jeszcze większym wyrzutem niż królowa. Rycerz zrozumiał, że ona siedzi tak od dawna, powtarzając dwa fatalne słowa i że najwyraźniej obudziło to konia. „Biedne zwierzę” - pomyślał Obitan.

Mimo wszystkich nieprzyjemności doświadczonych ze strony królowej, Obitan ciągle ją kochał. Po przyrządzeniu śniadania skła-dającego się z zimnej dziczyzny i owsa (w przypadku konia) rycerz założył zbroję i oznajmił:

- Wyruszamy.

Odpowiedź królowej była tak oczywista jak reakcja Obitana na nią.

Nasz zatroskany rycerz wsiadł na konia (sposobem wielbłądzim), po czym ruszył w drogę (dlaczego zwierzę ruszyło przed siebie bez ponaglenia, tego Obitan zrozumieć nie mógł). Rycerz plan ucieczki miał już zaplanowany. Z lasu w dwa dni dotrze do wybrze-ża Szkocji. Tam już czeka na niego statek, który dowiezie go wraz z ukochaną do Kornwalii. Planem Obitan się nie przejmował. Wiedział, że się uda (a przynajmniej miał takie przecucie). Teraz miał inny problem. Jak odczarować królową? Na szczęście w jego zamku w charakterze medyka mieszkała pewna wiedźma, która mogła w tym pomóc.

Podróż do wybrzeża minęła tak jak spodziewał się Obitan - spokojnie. Kilka razy rycerzowi wydawało się, że słyszy jakieś nawo-ływania, ale niczego nie zobaczył. Królowa oczywiście umiała Obitanowi podróż uwagami: „Kocham cię”, intonowanymi na różne sposoby.

Na statku, na którym czekali na naszego bohatera zaufani przyjaciele (to jest, kilka najgorszych mend z okolicy) panowało po-ruszenie. Jakiś dziadek z miną konia rycerza demonstrował sztuczki. Zapalił małe ognisko, po czym wrzucał do niego dziwny, czarny proszek, który natychmiast wybuchał. Ludzie wydawali przy tym okrzyki zdumienia, a Helena z większą determinacją niż zwykle krzyczała: „Kocham cię!”. Obitan wszedł na statek, podeszedł do starca i spytał:

- Co to?

- To proch. - zadziamał dziadek. - Wynałazłem go. W umyśle rycerza zaświtała pewna myśl.

- Świetnie. - powiedział. - Kupuję cały zapas.

Starzec wyglądał na niezwykle szczęśliwego.

- Mam coś jeszcze. - stwierdził. - Coś dużo lepszego i... silniejszego.

- Co?

- Łaski z prochem. Wrzucone w ogień wybuchają z ogromną mocą.

- Biorę. - powiedział pewny swego pomysłu Obitan i krzyknął - Koniec przedstawienia dupki żółędne! Odbijamy od brzegu! Szyb-ciej, szybciej! Jeśli dotrzemy do Kornwalii za trzy dni otrzymacie premię!

Słowa te ożywiły załogę, choć statek dotarł na miejsce dopiero po czterech dniach. Podróż mimo to minęła bez żadnych nieprzy-jemnych (przyjemnych też) niespodzianek. Królowa nadal powtarzała swoją mantrę, co doprowadzało Obitana do szaleństwa.

Rycerz miał gotowe dwa plany: jeden na wypadek, gdyby królowej nie dało się odczarować i drugi, zakładający taką możliwość.

Nocą drugiego dnia od przybycia do Kornwalii nasz dzielny rycerz wraz z ukochaną dotarł do swojego zameczku. Swoją żonę Obitan zastał w niedwuznacznej sytuacji ze sługą. Oboje powieszono następnego dnia. Niestety, okazało się, że Heleny nijak nie da się odczarować, a przynajmniej nie jest w stanie dokonać tego wiedźma z fortecy rycerza. „Trudno.” - pomyślał Obitan - „Czas na plan B”. Oto jak przedstawiał się ten plan. Nasz pomysłowy bohater kazał wykopać przed zameczkiem rów i napęlić go chrustem. Tak też się stało. Następnie Obitan obdarował całą służbę i wszystkich obecnych na zamku wybuchowymi laskami. Reszty można się łatwo domyślić. Mijały dni, a króla Szkocji nie było. W końcu jednak przybył - wraz z niewielką armią. Poselstwo przybyło do rycerza w dzień po rozłożeniu się wojska pod twierdzą. Rycerz kazał powtórzyć Jakubowi, że jeżeli zostawi go w spokoju, to on odda mu Helenę po dobroci. Monarcha jednak odpowiedział, że będą walczyć. „Trudno, sam tego chciałeś.” - odpowiedział przez posłów Obitan.

Bitwa rozpoczęła się. Konie rycerzy króla Jakuba ruszyły przed siebie. To jest - ruszyły raczej powoli, bo kłusować, a galopować tym bardziej, z około stuśiesięciokilowym ciężarem na sobie nie mogły. Król był niezwykle zdziwiony, że z zamku nie leci na jego wojsko grad strzała. Ale nasz dzielny (?) bohater głupi też nie był.

- Zapalać! - krzyknął w odpowiednim momencie.

W tej chwili chrust w rowie został zapalony. Rycerze zobaczywszy ogień zaczęli się powoli i niepewnie wycofywać. Bardzo powoli.

- Rzucać!!!!

Setki wybuchowych lasek poszybowały w dół, prosto na rów. Eksplozje ogarnęły całą równinę. Wojsko króla Jakuba padało. Gdy deszcz lasek ustał, nasz jakże przebiegły rycerz zawołał z murów do szkockiego monarchy.

- Królu! Czy zgadzasz się na moje warunki?!

- Tak jest sługo szatana! - odkrzyknął ranny Jakub.

Tak więc, szczęśliwy Obitan pozbył się gadającej królowej-marionetki na rzecz naiwnego męża tejsze.

Koniec?

Miesiąc po oddaniu Heleny do naszego wrednego rycerza przybył posłaniec z wiadomością. Nadawcą był król Jakub, piszący, że może oddać Obitanowi królową, jeśli on przymknie oko na honor, tak jak rzeczony monarcha. Nic dziwnego - pomyślał rycerz - jego też z pewnością do szaty doprowadza „kocham cię”. Chociaż nie, ona pewnie mówi teraz „kocham Obitana”.

Nasz, powiedzmy, nie najuczciwszy rycerz długo myślał co odpisać królowi. W końcu zdecydował się na taką odpowiedź: „Ha, ha, ha, ha, ha, ha...”. Dał odpowiedź posłańcowi i poszedł przygotowywać się do kolejnej wyprawy. Znowu będzie musiał użerać się ze swoim koniem, Który Wyrazem Pyska Bardziej Przypominał Muła - ale co tam! Tym razem odnajdzie swoją miłość. Jeżeli ona go nie pokocha, przyrządzi napój miłosny. Tylko nie doda tego niebieskiego kwiatka. A jak nie... Mówi się trudno, szuka się dalej. W końcu w opowieściach...

Ted Undead

Szymon ::: Jan i Małgorzata

W przeszłości cokolwiek zamierzchłej, aczkolwiek bliżej nie sprecyzowanej, w okolicy odległej od definitywnych granic zasięgu zbawionego wpływu znanych ludzkości ośrodków cywilizacji miały miejsce poniższe wypadki.

Skromne domostwo zlokalizowane w pewnej bliskości od kompleksu leśnego stanowiło stałe miejsce zamieszkania 4 osób fizycznych:

A) Nieznanego z imienia technika obróbki materiałów drewnianych i drewnopodobnych, biologicznego ojca dwojga potomków

B) Jana i

C) Małgorzaty, oraz

D) Matki przyrodniej tychże, małżonki tegoż.

Poziom przychodów gospodarstwa od lat utrzymywał się poniżej wartości minimalnej dla realizacji potrzeb konsumpcyjnych członków rodziny. Gwoli odciążenia budżetu przybrana matka dwojga nieletnich podjęła wysiłki na rzecz zawarcia niejawnego umowy słownej ze współmałżonkiem, owocem której miała być fizyczna likwidacja rzeczonych. Mąż jej, nie wykazujący, co należy nadmienić, symptomów socjopatii tudzież innych anomalii psychospołecznych, wprowadził w życie alternatywny wariant rozwiązania wymienionej kwestii i ograniczył się li tylko do porzucenia latorośli na terenie okolicznych arealów zadrzewionych. Przeto, gdyż jako się rzekło, typem aspołecznym nie był, a jego budzące wątpliwości natury etycznej zachowanie spisać winno się na karb destrukcyjnego zdominowania przez współmałżonkę, przeto więc uposażył owoc lędwii swoich, Jana i Małgorzatę w naręczne produktów i półproduktów piekarskich, w tym okazały bochen chleba, albowiem życzeniem jego było by nasienie jego nie szczęło pośród kniei.

Jan, którego poziom intelektualny osiągnął już był stopień adekwatny dla osobników z rodzaju Homo Sapiens, polecił współtowarzyszącej bliskiej krewnej, Małgorzacie, aby poddała nadmienione pieczywo procesowi daleko posuniętej dezintegracji dla otrzymania stosunkowo nieznacznej objętości fragmentów, nadto aby pozostawiała po jednym z nich na podłożu w regularnych odstępach czasu, w miarę jak ulegał zwiększeniu dystans dzielący ich od posiadłości, w której dotąd wiedli swoją egzystencję. Niestety, ten rzadki w przemysłowości swej koncept został wniwecz obrócony przez niedożywionych reprezentantów awi-fauny leśnej, którzy to poddali wymienione fragmenty pieczywa nieodwracalnym metamorfozom. Jednakowoż, o moi nieocenieni nieletni czytelnicy, odetchnijcie z ulgą, wszakże oto równe wam wiekiem postacie teżę oto fabuły natknęły się na zgola niepospolitą osobliwość. Było to domostwo uczynione z rozmaitych artykułów chemicznych, wzięwszy produkty czekoladowe i czekoladopodobne, a przeto inne z cokolwiek znaczną zawartością sacharozy i glukozy.

Celem uzupełnienia nadwreżonych jeżeli idzie o obfitość, zasobów treści żołądkowej, a także skutkiem ulegania pospolitemu łakomstwu, Jan i Małgorzata zainicjowali ad libitum konsumpcję elementów konstrukcyjnych budowli. Piszący te słowa z niesmakiem, co więcej, z kategoryczną dezaprobatą odnotować musi, iż stopień demoralizacji, w jaką Jan i Małgorzata popadli skutkiem kilkudziesięciogodzinnego obcowania z li tylko nieprzetworzonymi chwalebą mocą cywilizacji przejawami przyrody zaowocował tym, że nieletni w chwili popełniania proprio motu jawnego aktu wandalizmu nie wykazywali moralnych skrupułów które w innych okolicznościach niechybnie odwiodłyby ich od poddania się irracjonalnym popędom destrukcyjnym.

Ten godny napiętnowania występki został wszelako odkryty przez właścicielkę posesji, kobietę w podeszłym wieku o nader niekorzystnej powierzchowności, która wyłoniła się z chaszczy. Zasięgnawszy z życiowych doświadczeń, słusznie skonstatowała iż nagana bywa mniej efektywna niż wypracowana w toku humanistycznego uszlachetniania ludzkości resocjalizacja. By zadość uczynić tej konkluzji, kobieta owa wystosowała w kierunku nieletnich werbalne zaproszenie do nieskrępowanej kontynuacji spożycia napoczętego posiłku we wnętrzu nieruchomości. Niestety światło dzienne wkrótce miało odsłonić faktyczny zamysł kryjący się pod tym nienagannym gestem. Otóż, wyżej wspomniana kobieta na skutek wieloletniego wyobcowania ze społeczeństwa zmuszona była przepędzać swój żywot w swym pozbawionym zdobyczy cywilizacji lokum w towarzystwie jeno zwierzyny leśnej, czego bezpośrednim następstwem było nabycie zespołu patologicznych aberracji, w tym niestety również kanibalizmu, przyczyny którego winniśmy szukać w skrajnej antypatii względem ludzkości.

Tak więc ta starsza osoba w psychopatycznym zatraceniu podjęła szereg działań zmierzających do zwiększenia objętości podściółki tłuszczowej nieletnich, celem uprzyjemnienia sobie przewidzianego aktu konsumpcji. Jednakże nieletni okazali się młodszy nie tylko wiekiem, ale i umysłem i w następstwie wprowadzenia w życie pakietu dezorientujących oprawczyń kroków doprowadzili do jej zgonu w trzewiach urządzenia grzewczego na skutek hipertermii, poprzedzonej nota bene całkowitą denaturacją białek organizmu, co zresztą nastąpiło jeszcze za życia denatki i co, dodajmy mimochodem, było w pełni zasłużone. Bo czyż buduje się domy ze słodyczy?

Nieletni zdołali powrócić do miejsca zamieszkania, który to fakt wprowadził ich bezpośredniego protoplastę w stan euforycznego uniesienia, w którym dokonał był przy pomocy dostępnych narzędzi, pro publico bono, eksterminacji swej małżonki.

Wszystkie pozostałe przy życiu osoby kontynuowały w powszechnej zgodzie swoje żywota, a nie musiały już wegetować w niedostatku, gdyż przecież budżet domowy został odciążony.

Szymon

military ::: Tryptyk samobójczy

Dedykowane ukochanej Monice (proszę, nie czytaj więcej tego opowiadania), Piotrowi Michałowi Grzegorzowi, Magdalenie gdzieś w mrokach pamięci oraz wszystkim bliskim mi osobom, z którymi musiałem lub muszę się rozstać. Dziękuję Wam za wszystko.

Część pierwsza

KLUB SAMOBÓJCÓW

- Napijesz się? - zapytał Jacek, najwyższy z naszej szóstki, podając mi butelkę z winem.
- Nie, dzięki. - odmówiłem, zaciskając ręce w kieszeniach kurtki. Wieczór był zimny, rzekłbym nawet: cholernie zimny, gdyby nie to, że nie lubię przeklinać. - Nie piję...
- Co, chcesz umrzeć jako zdrowy człowiek? - zadrwił Jacek, chowając butelkę za połą skórzanej kurtki. - Wy wszyscy jesteście tak samo beznadziejni. Zasługujecie na śmierć! - krzyknął, po czym wdrapał się na barierkę przy jezdni i roześmiał się w głos.
- Zasługujecie na śmierć!
- Zejdź stamtąd, na mózg ci padło? - syknęła Julia. - To wino cię kiedyś...
- Zabije? - dokończył Jacek, nie kryjąc wesołości, która była tak samo nie na miejscu, jak smutek, płacz czy jakakolwiek inna emocjonalna reakcja. Wiedziecie bowiem, iż wtedy, tam, byliśmy obojętni na wszystko. I obojętnym wypadało pozostać. - No cóż, więc powinnaś pić je również. - dokończył.
- Zamknijcie się! - uciął wysoki, barczysty chłopak. Momentalnie wszystkie spojrzenia powędrowały ku niemu. Nic dziwnego - miał posłuch, był kimś w rodzaju naszego duchowego przywódcy. Rodzice dali mu biblijne imię - Krzysztof, które miało symbolizować wielkie, zupełne i absolutne... nic. Uważacie, że imiona predefiniują charakter? Jesteście głupszy niż ja byłem... - A ty, nowy, słuchaj - zwrócił się do mnie i wskazał rozciągającą się przed nami kilkupasmową jezdnię, wilgotną i odbijającą pastelowe barwy świateł pędzących aut. - Jesteśmy tu tak samo, jak co wieczór. Codziennie ktośś z nas przechodzi przez to skrzyżowanie. Codziennie ktoś inny. Zasady są proste: nie biegniesz, nie uciekasz. Jeśli przejeździsz, czeka cię kolejny dzień życia. Jeśli nie - wygrasz główną nagrodę. Jeśli złamiesz zasady - działasz na własną rękę, do nas już nie wrócisz. Wchodzisz w to? Utkwiłem wzrok w czarnej wstędze szosy, patrząc beznamiętnie na przecinające rozedrgane kałuże samochody. Światła zlewały się w nieprzerwany strumień na moich skropionych deszczem okularach. Co wtedy czułem? Co myślałem?
Nic.

Po prostu zagapiłem się na jezdnię. Było mi wszystko jedno.

- Pewnie - rzekłem, wzruszając ramionami i szukając oznak jakichkolwiek emocji na twarzach moich towarzyszy. Lecz oni nie učinili nic. Stojący przy mnie i przemawiający - jak podobno zawsze, z niezamierzonym patosem i głosem podobnym do grzmiącego z ambony księdza - Krzysiek, kiwnął głową; reszta natomiast stała jak stała, opierając się o barierki. Jacek już z nich zszedł, gdyż opróżnił już butelkę z winem i usilnie starał się wsunąć ją w - jakże ruchliwy w jego stanie - betonowy kosz na śmieci.

I staliśmy, nie czekając na nic. Bo i nie mieliśmy na co czekać. Ktoś z nas mogło przecież dziś zginąć, więc lepiej nie zmarnować okazji.

Nie wiedziałem, czyja będzie dziś kolej; może moja - jako nowego członka grupy? Wyjątkowo by mi to opowiadało, przecież przyszedłem tu właśnie w celu przekroczenia - a może i nieprzekroczenia - feralnej jezdni, słynnej w mieście z ruchliwości oraz niezliczonej liczby wypadków.

Spojrzałem wyczekująco na Krzyska; ten, odgadnąwszy zapewne moje myśli, powiedział:

- Nie bój się, młody, jeszcze pożyjesz. Dziś moja kolej.

I wtedy towarzystwo nieco się ożywiło. Daniel schował ręce do kieszeni i zaczął nerwowo podrygiwać, czy to z zimna (a było zimno; słońce zaszło zupełnie i tylko blask latarni oraz pobliskich budynków oświetlał parę wydobywającą się z ust), czy też ze zdenerwowania. Raczej z zimna.

Jacek i Kamil coś do siebie szeptali; mogą przypuszczać, że robili zakłady - czy naszemu „szefowi” się uda? Nie myślcie sobie, że to było w jakikolwiek sposób dziwne. Nasze życie straciło znaczenie do tego stopnia, że i cudze nie przedstawiało żadnej wartości. A przynajmniej wartości nie miało ich życie - tych osób, z którymi się doskonale rozumiałem; ze zgromadzoną na skraju drogi, wyjątkowo nietypową grupką.

Julia, jedyna dziewczyna w towarzystwie... Nie zrobiła nic. Stała, wpatrując się w kruczoczarny horyzont, rozjaśniany siatką złotych punktów. Chyba nawet nie interesowała się próbą, jaką właśnie podejmował Krzysiek, ale tego nie mogę być pewny, gdyż po chwili spojrzałem właśnie na niego i już nic nie odwróciło mojej uwagi.

- Żegnajcie... mam nadzieję - rzucił przez ramię, po czym niespiesznym krokiem wkroczył na trzypasmową jezdnię.

Pierwszy samochód przejechał tuż przed nim, nawet nie zwalniając. Jednak chłopak nie mógł przyspieszyć ani zwolnić kroku - taka była zasada, którą sam niegdyś ustalił. Szedł więc dalej, a kolejne wozy mijały go o centymetry; z miejsca, w którym stałem, doskonale słyszałem oddalające się jęki klaksonów i urywki przekleństw rzucanych przez kierowców.

Krzysiek stąpał lekko, niewzruszony tym, co działo się dookoła niego. Samochody skręcały z piskiem opon w ostatnim momencie, nieomal nie wypadając poza jezdnię; inne hamowały, tworząc długi na kilkanaście pojazdów korek. Ważne jest jednak, że Krzysiek przeszedł. Stał po drugiej stronie, odwrócił się i otworzył oczy.

- Kolejny dzień na tym też padole - powiedział z krzywym uśmiechem i oddalił się.

Wszyscy pozostali - Julia, Kamil, Daniel i Jacek - bez słowa rozeszli się, każdy w swoją drogę. Byłem tym nieco zdziwiony, lecz kiedy z oddali dobiegł jazgot syreny policyjnej, wszystko stało się zupełnie jasne. Skręciłem w uliczkę pomiędzy dwoma wieżowcami.

- Hej - poczułem nagle czyjąś dłoń na ramieniu, omal nie przewracając się ze strachu. Usłyszałem cichy śmiech Julii. - Boisz się, że cię napadną i zabiją? - spytała z przekąsem.

- Pewnych odruchów się nie wyzbędziesz - odparłem, na co zareagowała tajemniczym spojrzeniem.

- Założymy się...?

Staliśmy tak przez chwilę i mogłem się dokładnie przyjrzeć mojej nowej znajomej. Miała około metr siedemdziesiąt wzrostu; niewiele niższa ode mnie. Była szczupłą, a postawę zawsze miała nienaganną. Włosy - do ramion, może trochę dłuższe. Związane w kitkę, czy też kucyk... Zresztą - do diabła z nazwami; pojedyncze, zawinięte do góry kosmyki delikatnie spływały spod uszu. Co ciekawe, ich kolor ciężko było określić. Bez wątplenia Julia była blondynką, lecz co chwilę zdawało mi się, że jej włosy to ciemnieją, to rozjaśniają się.

Twarz miała bardzo przyjemną, o bardzo jasne cerze; okulary przy brązowych oczach, intrygujące spojrzenie podkreślone zakrzywioną lewą brwią, kształtny nos oraz krytyczny wyraz twarzy jaki przyjęła sprawiały, że nie mogłem się nadziwić dlaczego taka piękna dziewczyna chce się zabić.

- Chciałaś mi coś powiedzieć? - zapytałem, potrząsając głową. Zauważyłem, i Julia zapewne też, że przez dłuższą chwilę się w nią wpatrywałem. Przygryzłem wargę, czując, że popełniam jakąś gafę i zacząłem przecierać chustką okulary, aby zająć czymś drżące ręce.

- Skoro należysz do klubu - powiedziała - to dobrze, żebyś wiedział gdzie się spotykamy...

- Jacek mi mówił - odparłem. - O osiemnastej, jutro, u Krzyska. A potem na jezdnię...

Uśmiechnęła się, lecz jej oczy wcale nie zdradzały radości. Odwzajemniłem uśmiech, po czym rozeszliśmy się, każde z nas w swoją - przeciwną - stronę.

Nazajutrz wieczorem, tak jak było umówione, stawilem się w pokoju akademika, w którym rezydował Krzysiek. Kiedy przyszedłem, zobaczyłem, że nie pojawiłem się jako pierwszy. Na pomiętej pościeli rozrzuconej na łóżku rozłożył się gospodarz. Twarde, drewniane krzesła zajmowali natomiast Jacek i Daniel. Julia rozgościła się na kilku poduszkach upchanych w kącie pokoju. Brakowało tylko Kamila.

Usadowilem się blisko dziewczyny, gdyż nie znajdowałem poza jej siedliskiem niczego, co nadawałoby się na spoczynek. Zauważyłem, że od chwili mego przybycia nikt nie powiedział ani słowa.

- Kontynuujcie rozmowę - rzekłem. - Nie przerywajcie sobie.

- Nie przerwaliśmy niczego... - powiedział Daniel.

Miał nieco zachrypnięty i nosowy głos. Musiał być przeziębiony - co nie jest niczym dziwnym, gdyż chodzenie podczas jesieni w równie luźnych ubraniach nie mogło się skończyć inaczej. Ale czy ciebie na jego miejscu interesowałoby, że złapiesz katar...?

Daniel był raczej niski, o twarzy świadczącej, iż los nie traktował go ulgowo. Podkrążone oczy, mocno brunatne - najpewniej z niewyspania - powieki, jak i nieogolony od dawna zarost nadawały mu aury jakiegoś nieuleczalnego smutku; sprawiał wrażenie człowieka, którego odarto z dumy, lecz wciąż starał się kroczyć prosto. A może odwrotnie - był osobą która pozbyła się wszystkiego, co w niej dobre, lecz stare nawyki nie pozwalały na całkowite zatracenie dawnego charakteru.

- Więc czemu się spotykacie, zamiast od razu iść na jezdnię? - spytałem.

- Nie sądzisz, że to byłoby zbyt łatwe? - rzucił Jacek, który wyraźnie nie doszedł do siebie po wypitych poprzedniego dnia trunkach. - W życiu nawet na śmierć trzeba zasłużyć.

Nie ukrywam, że zdziwiły mnie jego słowa. Przecież w każdej chwili mógł po prostu rozchlastać sobie żyły żyłką. Mimo starań, nie mogłem zrozumieć odwołania tego, do czego wszyscy tak zaciekle dążyliśmy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć - odparł Jacek, zerkając z ukosa na wpatrującego się w sufit Krzysztofa - że za cholerę nie wiem po co szefu- nio nas tu sprowadza.

Krzysiek wydawał się nieprzytomny; zaafierowany całkowicie pokrytym plamami wilgoci sufitem; w zwyczaju miał patrzeć na ludzi z góry, z pewną pogardą.

Wydawałoby się, że Krzysiek przez cały czas był nieobecny duchem, a jednak włączył się do rozmowy bez chwili wahania.

- No jak to, Jacku - powiedział - gdzieś indziej miałbyś okazję tak się nagadać i nie zostać wyrzuconym za drzwi?

Jak za machnięciem magiczną różdżką powróciło milczenie. Nikły uśmiech satysfakcji pojawił się na twarzy Daniela, Krzysiek wrócił do obserwacji sufitu, a Jacek spuścił wzrok, ni to się śmiejąc, ni wzdychając.

Jedynie moja sąsiadka siedziała cicho. I wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że coraz bardziej zaczyna mnie intrygować.

Miałem się już do niej odezwać, lecz wtem drzwi otworzyły się i Kamil, witając się cichym „cześć”, z impetem wpadł do pokoju. Zrzucił z ramion plecak i siadł pod drzwiami.

O nim, jak i o Julii, wiedziałem najmniej, choć nie mogę powiedzieć abym dobrze znał kogokolwiek z klubu. Z wyglądu mogłem stwierdzić, że chłopak pochodził z bogatej rodziny, a także, iż mógł z łatwością zjednać sobie towarzystwo. Ostre rysy twarzy, bystre spojrzenie, szczupła sylwetka - to cały on. Niemalże przeciwieństwo Daniela.

- Skoro jesteśmy już wszyscy - przemówił Krzysiek - to może ktoś chce zacząć?

- Myślę, że powiedzieliśmy wszystko, co było do powiedzenia - oznajmił niechętnie Daniel.

- Mamy nowego, on nie był na żadnym ze spotkań - wtrącił Jacek. - Młody, chcesz coś powiedzieć?

Pokiwałem przecząco głową.

- Na razie się poprzyglądam.

Jacek przytaknął i zaczął monolog. Z tego, czego zdołałem się domyślić, wynikało, że to właśnie on wiódł prym w klubowych dyskusjach, czym by one sobie nie były. A były, jak mi się zdawało, cowieczornym rytuałem wyrzucenia z siebie wszystkiego, czego nie można było dłużej znośić. Kółko wzajemnego wpędzania się w depresję.

- No bo zwróć uwagę - zaczął Jacek, jednak zrobił to jakby kontynuował przerwany przed chwilą monolog. To była jego cecha charakterystyczna; potrafił po trzech dniach wrócić do przerwanej nagle rozmowy, tak jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że między dwoma ostatnimi słowami minęły siedemdziesiąt dwie godziny. - No bo zwróć uwagę, że jak jedziecie autobusem, to ludzie dzielą się na siedzących i stojących. I nie ma tak, że raz ktoś siedzi, a innym razem stoi. Nie. On albo permanentnie usa- dza dupę, albo nawet gdy jest wolne miejsce - stoi jak kołek.

Spostrzeżenia Jacka niezbyt zainteresowały obecnych, wszyscy jednak skupiali się właśnie na nich, nie odzywając się ani słowem. Miałem wtrącić coś od siebie, ale zrezygnowałem. Na pierwszym spotkaniu wołałem się nie wychylać i najpierw poznać obyczaje, jakie panują w tej niezwykłej grupce. Wystarczyła mi gafa z wgapieniem się w Julię, toteż siedziałem, słuchając jednych uchem, a większość uwagi poświęcając na - o, ironio - wgapienie się w Julię. Milcząca, spokojna, piękna. Nic dziwnego, że mnie tak przy- ciągała.

- Zmierzam do tego, że autobus jest jak życie - kontynuował Jacek, pomagając sobie nerwową gestykulacją. - Popatrz tylko, człowieku. Ludzie albo siedzą przez cały czas, albo stoją, nawet kiedy jest wystarczająco dużo miejsc. Bo oni się boją. Boją się sięgnąć po coś, co jest blisko. Trud stał się ich przyzwyczajeniem.

- A co z tymi, co siedzą? - zapytał Daniel. Chodzący zbiór przeciwieństw. Ubrany po części jak radykalny, powiedzmy, metal, po części niczym szerokospodni fanatyk hip hopu. Zachowujący się tak, jakby nie istniało nic prócz niego samego, a jednak - jak się dowiedziałem od znajomych - opiekuńczy, pomocny, sympatyczny typ. Inteligentny, choć zapewne niezbyt odcytany.

- Jak to co? - obruszył się Jacek. - Oni siedzą od zawsze. Siedzieli u matki na kolanach, a wkrótce sami będą na nich trzymać dzieci. Siedzenie jest dziedzinne.

Na kilka minut zapanowało milczenie. Krzysztof poruszył się; łóżko skrzypnęło, przerywając ciszę.

- Ameryki nie odkryłeś - oświadczył znudzonym głosem - ale ciekawe porównanie z tym autobusem. Masz, wpisz się.

Wyjął z szafki przy łóżku opasy zeszyt, po czym rzucił go Jackowi. Ten z zadowoleniem zaczął coś w nim zapisywać; jak się domyślałem - wymyśloną właśnie autobusową teorię.

- O co chodzi? - szepnąłem do Julii.

- To taki... rytuał - odparła, szukając słów i powoli błędząc oczami to po mnie, to po pokoju. - Nie wiem, jak ci to wyjaśnić... Za- nim odejdziemy, chcemy coś po sobie pozostawić. W tym celu spotykamy się w mieszkaniu któregoś z nas i przedstawiamy to, co stworzymy, a następnie zapisujemy to w zeszycie. Jest tam właściwie wszystko. Poezja, sny, piosenki, złote myśli... Ostatni z nas weźmie zeszyt i przekaże go przed śmiercią komuś, kto zrobi z nim to, co należy.

Podziękowałem za wyjaśnienia skinięciem głowy. Zainteresował mnie tajemniczy notatnik; mógł odpowiedzieć na pytania o zgromadzonych tu ludziach. Mógł opowiedzieć... o Julii. I jeśli ci to brzmi jak początek historii miłosnej, to ochłoń trochę. Mówię o ludziach, nie o uczuciach. Głównie o ludziach.

Kiedy Jacek skończył pisać i oddał zeszyt Krzyskowi, spytałem nieśmiało:

- Będę mógł przejrzeć?

Krzysztof przewiercił mnie leniwym, choć świdrującym spojrzeniem.

- Pewnie - powiedział po chwili i podał mi gruby brulion. - Przynieś go na jutrzejsze spotkanie.

Zauważyłem, że wszyscy podzignęli się z miejsc i szykowali się do wyjścia. Odwróciłem się ku drzwiom w tym samym celu, lecz

przystanąłem, uderzony nagłą myślą.

- A skąd wiesz, że dożyję jutra?

Krzysztof roześmiał się w głos.

- Bo dziś nie twoja kolej, młody - rzekł, po czym dodał: - Dziś idzie Julia.

Serce załomotało mi w piersi. Zdenerwowała mnie ta wiadomość; możecie się domyślać - dlaczego. Chciałem coś powiedzieć, nie wiem nawet co... To bez znaczenia, i tak nie mogłem się wysłowić. Uśmiechnąłem się tylko krzywo, jakby z niedowierzaniem.

Widząc pytające spojrzenie przywódcy klubu, opanowałem się i wyszedłem za drzwi.

Zdałem sobie sprawę, że nagle zacząłem się martwić o zupełnie mi obcą osobę, a przecież tyle razy sobie udawałem, że nikt mnie nie obchodzi. Błąd - to los mi to udawał. Życie samotnika stało się dla mnie rutyną; przyzwyczałem się do niego i zaakceptowałem, a teraz przemknęło mi przez myśl, że można to zmienić. Postanowiłem na razie nie zaprzętać sobie tym głowy; nie lubiłem ludzi, którzy bez przerwy zmieniali poglądy.

Z zamkniętymi oczami i włosami rozwiewanymi przez wiatr, wyglądała, jakby spała... Kroczyła powoli, lekko, delikatnie. Była jak anioł... Jej odbicie falowało w kałużach, na twarz padało światło pomarańczowych i niebieskich żarówek latarni; wszystko wyglądało tak nierzeczywiście...

Jacek się uśmiechał. Nic go to nie obchodziło. Miałem ochotę go uderzyć za tę nieczułość, lecz starałem się nie dać po sobie poznać zdenerwowania. Zresztą - gdybym nawet się tam rozplakał jak dziecko, to pewnie nikt nie zwróciłby na mnie uwagi. Gdy słowo „nieczułość” wyjątkowo mało wtedy znaczyło. Panowała w klubie samobójców raczej nicość uczuciowa.

Julie miały kolejne samochody; jęk klaksonów był właściwie nieustający. Złał się w jeden gwizd, przeciągły i żalony. Niebieskie audi minęło dziewczynę zaledwie o centymetry...

Przypomniła mi się rozmowa z Dziwką. Dziwka była najporządniejszą dziewczyną, jaką znałem. Moją klasową koleżanką i zarazem najbliższą mi osobą. Wprawdzie tańczyła na stołach w zaplutych mordowniach, ale robiła to z klasą. Doskonale wiedziała, co robi; miała własny styl bycia i zasady, wedle których żyła. Współczesna dekadentka. Kiedyś, będąc w dyskotecie, w pijackim amoku wdrapała się na podwyższenie dla striptizerek i trzymając się kurczowo rurki - niemal bezwładnie z niej zwisając - zaczęła przekrzykiwać muzykę, cytując zdumionej, zaćpanej młodzieży poezję Tagore.

- Zdawało mi się, że mam jej coś do powiedzenia - wrzasnęła - kiedy oczy nasze zetknęły się po drodze! Lecz odeszła, i oto kołysz się jak próżnująca łódź na fali każdej z godzin to, co miałem jej do powiedzenia!

I padła. Podbiegłem do niej - był to jeden z niewielu razy, gdy pojawiłem się w miejscu podobnym do dyskoteki - chwytając Dziwkę w objęcia, nim uderzyła o parkiet. Była zupełnie nieprzytomna. Ludzie popatrzyli na nas, nie mogąc zrozumieć, co dziewczyna miała na myśli, po czym o salę rozbiła się fala gwizdów i oklasków. Oczywiście aplauz nie był efektem wyrecytowania znakomitego wiersza, lecz doprowadzenia się do takiego stanu, że zaczyna się mówić niezrozumiale - głupie - rzeczy; tak właśnie postrzegała postępek Dziwki bywalnia lokalu. I o to Dziwce chodziło - nawet będąc zalaną w sztok, wykpiwała głupotę otaczających ją ludzi.

Ze mną też nie było najlepiej, wypite wcześniej w parku tanie wino i dwa piwa z lokalu dały się we znaki. Dziewczyna zbłądła i było bardzo możliwe, że zaraz zwróci wieczorne delicje, a i ja czułem mdłości, toteż zawlokłem nas oboje do toalety. Wodą z kranu ocuciłem Dziwkę.

- Jak gdyby unosiło się w jesiennych chmurach w niekończącym się oczekiwaniu, jak gdyby się rozchyłało w wieczornych kwiatkach, jakby tych zagubionych słów szukało w świetle zachodu... - dokończyła wiersz, nie otwierając nawet oczu.

Posadziłem ją na sedesie; po chwili uniosła powieki. Wlepiła mętny wzrok w ozdobioną markerowym graffiti ścianę.

- Klaskali? - spytała.

- Klaskali - odparłem.

- Ignoranci - powiedziała ze smutkiem w głosie. Nie lubiła udawać sobie, że jest lepsza od innych; nigdy się za taką nie uważała, ale nie mogła powstrzymać się od unaoczniania ludziom ich własnej głupoty. - Pewnie myślą, że miałam jakąś wizję po trawie... Ale ja jestem trzeźwa. Wiesz, że jestem trzeźwa. Jestem trzeźwa, prawda?

- Prawie.

- Jestem absolutnie trzeźwa! Nietrzeźwość to kwestia psychiki. A ja czuję się trzeźwa, więc jestem trzeźwa - wybełkotała.

- Nie jesteś. Urwałaś wiersz przed końcem. Powinno jeszcze być „jak świetliki pełga mi w sercu i znaczenie swe próbuje dojrzeć to, co miałem jej do powiedzenia”.

- Prawda. Najwyraźniej jestem pijana.

- Dlaczego to robisz? - zapytałem, podtrzymując się ścianą.

- Dobrze wiesz. A jak ty nie wiesz, to kto ma wiedzieć?

Miała rację, byłem bowiem jedyną osobą, której powierzyła część ciężaru swojego życia.

- Ale wiesz dobrze, że nie musisz pić.

- Więc robię to z pieprzonej przekory - rzuciła. - Mogę wszystko. Ty pijesz, bo chcesz poczuć te swoje odmienne stany świadomości. Ja piję, bo mogę.

Do pomieszczenia chwiejnym krokiem wszedł znieczulony jakimś narkotykiem, barczysty chłopak w dresie. Zobaczył nas i z uśmiechem wycofał się, myśląc, że przeszkodził nam w zwyczajnym dla takich miejsc akcie kopulacji.

- Och, Barleycorn, powieki oczom duszy stul - zaintonowała Dziwka i wyjęła z kieszeni paczkę antybiotyków, które zażywała nie tylko ze względu na dolegliwości. - Chcesz?

Poczęstowałem się dwoma tabletkami; kilka minut później ledwie mogłem ustać na nogach.

- Dobrze - skomentowała. - Uczysz się żyć. Wierz mi, wariacie, masz dobrą nauczycielkę.

- Gdyby na świecie byli tylko tacy jak my - powiedziałem - byłoby dużo lepiej.

- Żartujesz? - roześmiała się. - Chciałbyś, aby świat był przepełniony romantycznymi idiotami z życiem tak gorzkim, że jedno spojrzenie nań powoduje ból?

- Chciałbym. Nie musielibyśmy wtedy słuchać tej ogłuszającej łupaniny, lecz siedzielibyśmy w zadymionej knajpie...

- W której z głośników jak gaz syczy się jazz, a ludzie piją dziwne alkohole, czyż nie?

Popadliśmy w najgorszy z możliwych nastrojów - poetycko-depresyjny. Nawet pomimo otaczającej ze wszystkich stron i bezlitośnie ogłuszającej kakofonii, która powodowała natarczywe pulsowanie w skroniach.

- Powiedz mi, wariacie - powiedziała Dziwka; zwykła mnie właśnie tak tytułować - dlaczego nie możemy się w sobie zakochać?

- Nie wiem.

Zapadło milczenie. To był najsmutniejszy aspekt mojej znajomości z Dziwką. Byliśmy do siebie podobni w tak wielu miejscach, ale jednocześnie bardzo się różniliśmy. Nie sposób dzięki temu było się nawzajem znudzić. Ja - jak sama powiedziała - „poeta, stroniący od ludzi ze względu na ich głupotę”. Ona - poetka, uwielbiająca ludzi za ich głupotę i tę naiwność, która pozwala im cieszyć się prostym życiem i nie zwracać uwagi na jego duchowy wymiar. Byłoby nam razem absolutnie wspaniale, tak bardzo chcieliśmy się związać...

Lecz żadne z nas nie czuło nic głębszego do tej drugiej osoby.

Do końca tego wieczora milczeliśmy. Wróciliśmy na parkiet, usiedliśmy przy naszym stoliku. Znajomi leżeli już nieprzytomni - czy to załani, czy zaćpani. Wkrótce zasnęła i Dziwka, opierając mi głowę na ramieniu. Spała ponad godzinę i najwyraźniej nie zamierzała się budzić tej nocy, więc ubrałem ją i zaniósłem do domu.

To był ostatni raz, kiedy z nią rozmawiałem.

Julia była już przy końcu drogi.

Przeszła.

Wszystko to trwało może piętnaście sekund, ale dłużyły się one jak całe godziny. Zauważyłem, że oblał mnie całego zimny pot. Poskręcałem w drżących dłoniach klubowy zeszyt; miałem nadzieję go rozprostować, gdyż w przeciwnym wypadku Krzysztof mógł zauważyć, że nie jestem wcale taki obojętny. Obojętność była wszak wymagana - przecież chciałem umrzeć, i to właśnie wśród ludzi, którzy mnie rozumieją. Rzucanie się samotnie do rzeki jakoś mnie nie bawiło. Czyniąc choć jedną rzecz w życiu chciałem czuć bliskość podobnych mi osób.

Ale nie chciałem, aby i ona ginęła...

Wszyscy rozeszli się spiesznym krokiem. Podążyłem za Julią; dogoniłem ją przy załomie ulicy.

- Hej, zaczekaj - zawołałem.

Odwrociła się i wtedy spostrzegłem, że ma bardzo smutny wyraz twarzy. Była wyraźnie zawiedziona.

- Będziemy musieli zmienić miejsce - powiedziała cicho. - Już czwarty raz przeszłam.

Na kilkanaście sekund zaparło mi dech w piersiach. Nie mogłem wypowiedzieć ani słowa. Julia zapewne wiedziała, że pobiegłem za nią, gdyż chciałem spytać o motywy samobójstwa i wykorzystała fakt, że nie mogłem nic wykrztusić. Po prostu odeszła.

Tamtego dnia nie przeglądałem już zeszytu. Wziąłem go nazajutrz do szkoły; zwykle lekcje spędzałem na słuchaniu walkmana albo na czytaniu rozmaitych książek. Spodziewałem się, iż brulion klubu samobójców nie będzie wcale gorszy niż Gombrowicz czy Heller. Przed pierwszą z lekcji usiadłem pod zieloną ścianą korytarza i, starając się nie zwracać uwagi na tłok, usiłowałem rozczytać się w niewyraźnym piśmie Krzyśka. Nie było mi jednak dane rozszyfrować ani jednego zdania, bowiem podszedł do mnie Anestezjan. Był on nieślubnym synem nieślubnego syna i to być może wpłynęło jakoś na jego ogólny wizerunek; w każdym bądź razie coś musiało tłumaczyć wygląd i zachowanie tego człowieka, a ja nie widziałem lepszego wyjaśnienia.

Anestezjan był rówieśnikiem Jacka - miał dwadzieścia lat i tak jak on wciąż tkwił w ostatniej klasie liceum. Na nieszczęście - w mojej klasie. Anestezjan, prócz osobliwego imienia, posiadał również spory zasób wiecznie nażelowanych włosów i całą kolekcję krzykliwych, zawsze modnych ubrań, które sprawiały, iż większość dziewczyn widziała w nim Apollina i Johnego Deppa w jednym. Inteligencji nie przejawiał, ale nie przeszkadzało mu to być jedną z najpopularniejszych osób w szkole.

- Widziałeś gdzieś Jacka? - spytał.

Pokręciłem przecząco głową. Nie chciało mi się mówić. A już na pewno nie miałem ochoty marnować słów na tego chłopaka. Nie rozumiałem, dlaczego Jacek utrzymuje z nim koleżeńskie kontakty; mimo wszystko, Jacek był inteligentnym człowiekiem, choć nie zawsze umiał się wysłowić czy stosownie dobrać porównania do swoich przemyśleń. Ale przynajmniej się starał.

Anestezjan, jak na złość, nie chciał odejść i na własną rękę poszukać kolegi. Usiadł obok mnie i zaczął snuć swe słynne opowieści.

- Raz byłem, wiesz, na imprezie, dwa gramy miałem, a obok stała taka dupa, że byś oślepnął na oczy jakbyś widział. No to podeszłem do niej i mówię - jak chcesz to stawiam, ale odlecimy razem...

Dupa zmierzyła Anestezjana wzrokiem i odmówiła, co w jego wersji wyglądało nieco inaczej. Jednak wiedziałem, jak było naprawdę. Dziewczyna bowiem przeszła do innego pokoju mieszkania, w którym odbywało się przyjęcie. Był niemal pusty; tylko ja leżałem samotnie na sofie, wgapiając się w wygaszony telewizor i słuchając przytłumionej muzyki i rytmicznego dyszenia, dobiegającego z sąsiedniego pomieszczenia. Spojrzałem na mojego gościa.

- Cześć, Dziwka - przywitałem się.

- A ty co tu robisz? - spytała. - Zwykle nie bywasz w takich miejscach.

- Odpoczywam sobie.

- Chyba też potrzebuję samotności... - szepnęła po chwili milczenia i wyszła.

Zaraz po niej pojawiła się Gadmara, trzymając w rękach dwie puszki piwa. Rzuciła mi jedną i zaczęła mówić, co było złym znakiem, bowiem gdy Gadmara zaczynała mówić, to nawet Anestezjan milkł.

- Porozmawiać możemy jutro - przerwałem jej monolog, traktując zwyczajowo o burzliwych związkach jej popularnych znajomych.

Gadmara była uważana za chodzącą definicję „słodkiej blondynki”. Jej największym problemem była opalenizna, a najwięcej uwagi przywiązywała do malowania powiek. Ładna, głupia, łatwa; na imprezie takiej, jak ta, każdy mógł ją mieć. Z tego też powodu czekałem na nią w pustym pokoju. W stanie głębokiej depresji jedynie cyniczne i hedonistyczne podejście do życia mogło mi dać jakąś przyjemność, więc nie widziałem nic złego w seksie z praktycznie nieznaną dziewczyną, która nawet nie była w moim typie.

Gadmara rzuciła swoją puszkę na łóżko i usiadła obok mnie, zdejmując obcisłą bluzkę. Miała kształtne piersi, które teraz mogłem podziwiać w całej okazałości. Zbliżyła się bardziej, przystawiając swoją twarz do mojej. Skrzywiłem się. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie może tego zrobić bez pocałunków; dotknięcie wargami było dla mnie wyrazem czegoś więcej niż chwilowego pożądania. Zrozumiałem wtem, co chciałem zrobić i nagle poczułem obrzydzenie zarówno do dziewczyny, jak i do siebie.

- Odsuń się - powiedziałem i odepchnąłem Gadmara.

Otworzyła szeroko usta ze zdziwienia; chyba pierwszy raz ktoś odrzucił propozycję spędzenia z nią upojnej nocy, a przynajmniej upojnego kwadransa.

- O co ci, do kurwy nędzy, chodzi? - spytała z wyrzutem. - Mówiłeś, że chcesz się pieprzyć.

- Nie z tobą. I nie w taki sposób.

Wziąłem kurtkę i, wymijając leżących na dywanie ludzi, opuściłem przyjęcie.

Rozległ się dzwonek i Anestezjan wreszcie zostawił mnie samego. Schowałem zeszyt klubu samobójców, a następnie udałem się na lekcję, gdzie wreszcie miałem trochę spokoju. Mogłem przejrzeć zawartość zeszytu, która nieco zmieniła mój pogląd na sam klub. To właśnie dzięki zeszytowi mogłem odbyć rozmowę z Danielem; kto wie, gdyby nie jego treść, może nie musiałbym z tym człowiekiem rozmawiać?

Daniel w całej swojej nieogolonej i niewyspanej okazałości był zwykle człowiekiem spokojnym, by nie rzec - anemicznym. Jednak tuż po mojej pierwszej próbie samobójczej, która nadeszła dwa wieczory po próbie Julii, kiedy byłem już po drugiej stronie zupełnie nieznanego mi autostrady i grupa rozbiegła się w sobie tylko znanych kierunkach, Daniel przebiegł na moją stronę jezdni i z wyrazem wyraźnego poirytowania zarzucił mi:

- Przyspieszyłeś.

- Nie przyspieszyłem! - zakląłem się, choć dobrze wiedziałem, że przyspieszyłem.

- Przyspieszyłeś. Widziałem. Nie szedłeś równo.

- A na cholerę miałbym przyspieszać? - krzyknąłem. - Myślisz, że po co tu przyszedłem? Żeby przed wami udawać?

W istocie tak właśnie było.

- Nie wiem, ale skoro masz ochotę oszukiwać, to lepiej w ogóle tu nie przychodź - zagrzmiał Daniel. - Zabierasz innym okazję do... do... - zawahał się - do niezobaczenia więcej całej tej chujni.

Trącił mnie ramieniem i odszedł. Był niski, ale zdenerwowanie najwidoczniej dodało mu siły, gdyż niemal się przewróciłem, gdy mnie pchnął. Utrzymałem równowagę i popatrzałem na niknącą w wieczornym mroku sylwetkę. Jak kowboj na zakończenie każdego spaghetti westernu Daniel zniknął za wzniesieniem, a mnie pozostał widok na wyblakły księżyc i lunę miasta w tle. Coś

mnie jednak tknęło i zamiast zastygnąć w tej pozycji już na zawsze, jak na kadrze taniego filmu, pobiegłem i dogoniłem Daniela, kiedy ten skręcał w ulicę wiodącą na jakieś blokowisko.

- Czego chcesz? - burknął.

- Chciałem się dowiedzieć, dlaczego, skoro tak ci na tym zależy, nie weźmiesz żyletki i nie potniesz się w tej chwili - wysapałem. Daniel zmierzył mnie wzrokiem obwieszającym, że obawiał się takiego pytania.

- Bo nie.

- Mów śmiało - zachęcałem go. - Skoro masz w dupie całe życie, to co cię obchodzi czy ktoś pozna tego powód?

Daniel zastanowił się chwilę, po czym powiedział:

- Bo to by bolało.

- Co?

- Pocięcie się żyletką.

- Ech... - westchnąłem. - Wiesz dobrze, że nie to miałem na myśli. Dlaczego nie załatwisz tego tu i teraz?

- Bo regulamin klubu jest nieco inny.

- Daj spokój. Przecież jakbyś chciał umrzeć, to byś się zabił.

Było ciemno, ale zdawało mi się, że Daniel poczerwieniał.

- Cholera, a po co ty to robisz?! - krzyknął.

Zdecydowanie poczerwieniał. Z oburzenia.

- Nie jest tak prosto się zabić, młody - kontynuował. - Myślisz, że nie chciałbym, żeby to wszystko już poszło w pizdu? - Daniel potarł zarost i wyglądał w tym momencie naprawdę tragicznie, jak ktoś, kto wykorzystał już wszystkie szanse w życiu.

- Skocz z dachu, zażyj truciznę, zapij się na śmierć, włóż palec do kontaktu... - wyliczałem propozycje głosem pełnym cynizmu; czasami i on się we mnie ujawniał.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo... to jest trudne.

Daniel spuścił wzrok. W jednej chwili zrobiło mi się go żal i chciałem móc cofnąć to, że przed chwilą naigrywałem się z jego niezdeterminowania.

- Chcesz powiedzieć, że dzięki klubowi jest ci łatwiej?

- Tak.

Zapadło kilkuminutowe milczenie. Szliśmy przez ponure osiedle i nie wiedziałem nawet gdzie jesteśmy.

- Twoja kolej - odezwał się w końcu Daniel.

- Na co?

- Na odpowiedzenie mi, dlaczego nie załatwisz tego sam.

- Niestety - zaśmiałem się - odpowiedź wymagałaby, abym opowiedział ci moją historię, a tego nie zrobię.

- Dlaczego?

- Nikt nie pozna mojej historii. Nikt.

- Rozumiem. To może powiesz mi, dlaczego przyspieszyłeś na jezdni? - zapytał, już zupełnie bez emocji, Daniel.

- Mam swoje powody.

„Ten zeszyt jest pozostałością po ludziach, którzy z różnych powodów nie chcieli dłużej patrzeć na świat” - pisał Krzysiek. - „Jednak byli jego częścią i jako zdrowi psychicznie ludzie chcieli pozostawić po sobie ślad, aby ich śmierć nie była równie bezsensowna, co życie. Na niniejszych stronach znajdziesz zapis myśli, utworów, snów czy czegokolwiek, co chciałby przekazać światu członek Klubu Samobójców. Podpisano: Krzysztof, Julia, Strofka, Daniel, Kamil, Jacek.”

Jeszcze chwilę po dzwonku wpatrywałem się w sześć podpisów, każdy nakreślony innym charakterem pisma. Gdybym mógł, zostałbym w klasie, aby uniknąć kolejnej rozmowy z Anestezjanem, jednak nauczycielka przepędziła mnie z ławki. Wyszedłem na zadymiony, zielony korytarz, trzymając w jednej ręce plecak, a w drugiej otwarty na pierwszej stronie zeszyt. Ze zdumieniem odkryłem, iż w klubie był członek, którego nie znałem. Którego, jak się okazało, nie zdążyłem poznać.

- Strofka była pierwszą, której się udało - uświadomiła mnie Julia na spotkaniu, które odbyło się wieczorem tego samego dnia.

- Wtedy jeszcze przechodziliśmy przez tory kolejowe, kiedy zamykał się szlaban. Po jej śmierci musieliśmy zmienić miejsce, bo nagle zaczęło tam być tłoczno od policji i ochotników pilnujących bezpieczeństwa dzieci. Poczułem się dziwnie nieswojo. Do tej pory myślałem, że znam całą paczkę i nie byłem świadomy, do czego wszyscy dążą. Kiedy okazało się, że był już kiedyś ktoś, kto cel osiągnął, przeszedł mnie dreszcz. Wstrząsnęła mnie obojętność, a może i zazdrość, z jaką Julia mówiła o Strofce.

- To jeszcze nie wiesz, jak Kamil o niej mówił - rzekła.

Mogłem się tego domyślać. Kamil był bowiem najbardziej cyniczną osobą, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia, może wyłączając Krzyska. Był bogaty, rozpuszczony i miał wszystko - i to stanowiło jego problem, gdyż nie mógł zaakceptować, że nie może nie mieć wszystkiego. Tym, czego chciał, było bowiem nie posiadanie wszystkiego, czego chciał; pragnął dążyć do osiągnięcia jakiegoś celu, lecz wszystkie cele osiągał w kilka minut. Kamil był znudzonym megalomanem i egocentrykiem i wolałby prowadzić żywot bezdomnego, byleby tylko choć raz w życiu zaznać słodczych wyzwania. Jego rodowód jednak nie pozwalał na proste, ciężkie życie i jedynym wyzwaniem, jakie mógł podjąć, było spojrzenie śmierci w twarz. Sam się do tego przyznawał i nie bał się własnej historii, ponieważ jako jedyny z Klubu Samobójców nie chciał popełniać samobójstwa. Przejście przez jezdnię traktował jako próbę, której przetrwanie dawało mu jakiś substytut satysfakcji. Kamil był najdziwniejszym samobójcą, o jakim słyszał świat.

- Ja was nie rozumiem - powiedział na spotkaniu tego samego wieczora, w którym po raz pierwszy zobaczyłem zawartość klubowego zeszytu i dowiedziałem się o Strofce. - Nie wiem, jak możecie chcieć umrzeć, skoro robicie wszystko, żeby czuć, że żyjecie.

- Po trzecie - nie będziesz znał motywów żadnego z klubowiczów, jeśli nie chcą ich zdradzić - wyrecytował znużonym głosem Krzysiek. - Skoro nie poznasz, nie zrozumiesz. Skoro nie zrozumiesz, nie warto próbować zrozumieć. Skoro nie warto próbować

zrozumieć, nie wiem, czemu mi przerywasz.

Rozmawiałem raz z Dziwką o Karolu Studnickim. Każdy z każdym rozmawiał kiedyś o Karolu Studnickim. Karol Studnicki bowiem był jedyną osobą w otoczeniu, która zdolna była popełnić autodefenestrację. Skoczył z okna jedenastego piętra i rozmazał się po całej długości chodnika na Katedralnej.

- Teraz będą mówić, że taki to był nieśmiały chłopaczek i nic nie zapowiadało tej okropnej tragedii - mówiła Dzwka. - A przecież od zawsze widać było, że to samobójca. Miał w oczach to samo, co...

- Wiem - odpowiedziałem cicho. - Ale Karol Studnicki sam odebrał sobie życie.

- Nie. To myśmy mu je odebrali. Rozmawiałeś z nim kiedyś? Chodził do naszej szkoły.

- Rozmawiałem.

- Co możesz o nim powiedzieć?

- Że nie umiał się wysłowić, był chorobliwie nieśmiały i zawsze czegoś szukał.

- Nie szukał. On był czegoś pozbawiony.

- Czego? - spojrzałem na nią, odrywając wzrok od kanionów miasta.

Siedzieliśmy tej nocy na dachu wieżowca, z którego wczorajszego dnia skoczył Karol Studnicki.

- Tego, czego i my - odparła Dziwka, pociągając łyk taniego wina.

Podawała mi butelkę i robiłem to samo. Tylko z nią mogłem pić, ponieważ tylko Dziwka potrafiła pić.

- Ale my jeszcze żyjemy - rzekłem.

- Na pewno?

- Przynajmniej fizycznie.

Dziewczyna roześmiała się.

- Słyszycie, ludzie? Żyjemy fizycznie! - krzyknęła, a echo poniosło jej głos po całej dzielnicy. - To prawie jak spełnienie marzeń. A teraz zastanów się, czy gdybyś był w takiej sytuacji, w jakiej jesteś teraz, ale nie mógłbyś swego stanu nawet nazwać, określić... czy ja wiem, może nawet nie mógłbyś pojąć tego wszystkiego i tego przyczyn... Nie miałbyś nikogo, z kim mógłbyś napić się wina, a potem wyzalić się na cały świat... Czy podołałbyś ciężarowi bycia?

- Nie wiem, jak byłoby w takiej sytuacji, ponieważ nie jestem w takiej sytuacji. Na dziś dzień mam z kim napić się wina, a potem wyzalić się na cały świat.

- Nic nie jest wieczne - rzekła Dziwka, patrząc mi w oczy ze smutnym uśmiechem. - A na pewno nie ja...

Dziewczyna przypominała mi się zawsze, gdy myślałem o Julii. A myślałem o Julii bardzo często; ta złotowłosa samobójczyni zainteresowała mnie w podobny sposób, co i Dziwka, lecz czułem, że w tym przypadku zainteresowanie może okazać się czymś więcej niż samym zainteresowaniem. Nie przykładałem do tego większej wagi; Julia miała własne życie i własną śmierć, a ja pragnąłem tego samego. Postanowiłem dać wolną rękę losowi i nie robić z własnej inicjatywy absolutnie nic, co mogłoby jakkolwiek wpłynąć na stosunki z Julią.

Los bywa złośliwy.

Ze szkoły do domu wróciłem wolnym krokiem, wciąż zaintrygowany tym, co znalazłem w klubowym zeszycie. Dwie godziny zajęło mi przeglądanie go i kolejne dwie godziny otrząśnięcie się z wrażenia, jakie na mnie wywołał. Na klatce schodowej skrzyknęła klamka i przekroczyłem próg drzwi, niemal wpadając na matkę.

- No nareszcie żeś przyszedł - westchnęła. - Gdzieżeś był?

- W szkole - odburknąłem niechętnie.

Sytuacja w domu wyglądała identycznie od kiedy tylko pamiętam. Matka wiecznie biegała z kuchni do pokoju, aby tylko znaleźć zajęcie i oderwać myśli od ojca, który wiecznie siedział w fotelu i irytował się z powodu wiecznego braku pieniędzy.

- Tak długo?

Wzruszyłem ramionami i wszedłem do swojego pokoju. Przesiedziałem tam aż do wieczora, kiedy to musiałem wyjść na spotkanie klubu. Na dworze akurat było całkiem ciepło, mimo późnojesiennej pory. Niespiesznym spacerem dotarłem do akademika Krzyska. Wchodząc, rzuciłem zeszyt na blat stolika. Tym razem stawiałem się jako pierwszy.

- I co? - spytał gospodarz.

- Co co?

- Zrobiło wrażenie?

Wzruszyłem tylko ramionami, ale Krzysiek zapewne wiedział - zeszyt zrobił ogromne wrażenie. Szczególnie wiersz Strofki, który wydał mi się jej cieniem, pozostałością, namiastką, która jest przeznaczona dla tych, którzy nie zdążyli jej poznać. To tylko słowa obecnej mi osoby, lecz dla kogoś o skłonnościach samobójczych, przebywającego w towarzystwie niezupełnie zdrowych psychicznie rówieśników, takie słowa mogą być czymś więcej niż kolejnym wierszem nieznanego grafomana. Strofką pisała:

Chcę wrzasnąć

Lecz pismo jest nieme

Chcę skoczyć

Lecz życie jest płaskie

Niewrażliwe

Puste

Nie ma nikogo

Kończą się ludzie

Otacza tylko głuchy szum

Brak przyszłości

Przeszłość zabiera wszystko

Przeszłość zabrała wszystko

Szczęście przybrało nowe imię

Śmierć

- Widziałeś jej zdjęcie - bardziej oświadczył niż zapytał Krzych.

- Widziałem.

Małe i niewyraźne, było przypięte zszywaczem do jednej ze stron. Ot, zdjęcie z legitymacji, jakich tysiące wykonuje się tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego. Ot, zwykła dziewczyna, ruda, nieco piegowata, uśmiechnięta. Ot, trup.

- Wciąż chcesz z nami zostać?

- Wciąż chcę z wami zostać - odpowiedziałem bez namysłu.

Mimo, że twórczość Strofki mną wstrząsnęła, nadal byłem pewien swojej decyzji. Co miało się wkrótce zmienić, jeszcze przed moją pierwszą samobójczą próbą.

- Dobrze - stwierdził Krzysztof z ociąganiem. - Był przed tobą jeden taki, co myślał, że chce do nas przystać, ale po zobaczeniu zeszytu zrezygnował. Ale skoro zostajesz, podpisz się na pierwszej stronie. Tam, gdzie wszyscy. A potem wpisz coś od siebie.

Rzucił mi długopis, którego nie złapałem i musiałem wczłochać się pod łóżko, aby po chwili wypełnić i podpisać się we wskazanym miejscu. Mój autograf nie pasował do reszty; był wykonany czarnym kolorem, podczas gdy pozostali podpisali się na niebiesko. Pomyślałem, że nawet u czubków nie mogę się stuprocentowo przystosować.

Tego wieczora wpisałem do zeszytu mój pomarańczowy sen, a Daniel przeszedł przez nowo wybraną autostradę. Krzysiek zdecydował, że należy zmienić miejsce i od tego dnia mieliśmy zabijać się gdzieś indziej. Co więcej - następnego dnia to ja miałem się zabijać. I kiedy stałem już na zaciemnionym wirażu niebezpiecznej drogi, nie wiedząc co czai się za zakrętami, myślałem tylko o tym, aby przeżyć. Serce waliło mi jak młot, pociełem się nieopisanie, a do tego czułem wyczekujące spojrzenia za sobą. Nie mogłem dać po sobie poznać, że się denerwuję. Musiałem z zimną krwią zatroszczyć się o przeżycie.

- No to idziesz! - krzyknął Jacek.

I poszedłem. Pierwsze kilka kroków nie zwiastowało niebezpieczeństwa, ale pędząca ciężarówka wyjechała nagle, a jej warkot

został przytłumiony przez hałasy dobiegające z pobliskiej elektrowni. Gdybym nie przyspieszył, nie pozostałby po mnie żaden ślad. Wiedziałem już dlaczego Krzysiek wybrał to miejsce. Nawet nie nadjechała policja, a wszyscy rozeszli się spokojnie do domów. Jedynie Daniel zauważył, że przyspieszyłem kroku na jezdni i zamiast odejść w mrok, zaczął ze mną rozmowę. A kiedy dotarliśmy do punktu, w którym miałem rzucić choć trochę światła na moje motywy, i gdy zamierzałem zmusić Daniela do tego samego, zaczęła nas pięciorosowa grupka młodzieńców. Nie było to położenie, w którym chciałem się znaleźć. Noc, blokowo-sko, skini. I Daniel, który uważał sytuację za uśmiech losu.

- Wyskakiwać z komórek, kurwa - zwrócił się do nas pierwszy młodzieniec.

- Wyskakiwać z kasy, kurwa - zwrócił się do nas drugi młodzieniec.

- Bo zapierdolimy, kurwa - zawtórowała reszta.

Tylko tego mi brakowało. Zostać zapierdolonym, kurwa, w nieznannej dzielnicy, akurat wtedy, gdy chciałem jeszcze trochę pożyć. Piątka młodzieńców otoczyła nas szczelnym kręgiem. Ale to nieważne, Daniel i tak nie chciał uciekać.

- Nic wam nie dam, wy tępe, pojebane chuje - powiedział z szelmowskim uśmiechem na ustach, prowokując rozjuszonych młodzieńców.

Niemal upadłem ze zdumienia. Zdałem sobie sprawę, że w ten sposób Daniel może umrzeć. To nawet było mu bardziej na rękę niż samobójstwo - przypadkowa śmierć, nieplanowana, do której się nie przyczynił. Dzięki klubowi było mu łatwiej zginać, a dzięki młodzieńcom nie miał już absolutnie żadnych trudności.

Przeszkodził jednak fakt, że młodzieńcy również się zdziwili. Ja się im nie dziwię - niski, niepozorny, prezentujący niepasujące do siebie pomieszczenie subkulturowe chłopak, któremu wprawdzie groźnie z oczu patrzy, ale na niebezpiecznego nie wygląda, groził grupie rosnących neonazistów, chcących go, kurwa, zapierdolić.

- No co, kaprawy wieprzu? - syknął Daniel. - Nie potrafisz wziąć się do roboty?

Zamachnął się i zdeptał najwyższego młodzieńca w twarz. Reakcja była natychmiastowa - cała piątka rzuciła się na Daniela, zupełnie mnie ignorując. Okładali go gołymi pięściami, ja natomiast mogłem tylko stać i się przyglądać, bo nawet jeślibym chciał, to nie umiałem pomóc. Podejrzewam zresztą, że Daniel nigdy by mi tego nie wybaczył.

Młodzieńcy nie zamierzali najwyraźniej użyć morderczych argumentów, więc Daniel bił młodzieńców, chcąc ich do tego przekonać.

- Noże, wyjmijcie noże! - proponował, kopiąc i gryząc dwa razy większych napastników.

Ci albo noży nie mieli, albo nie chcieli ciąć - efekt jednak był ten sam. W niedługim czasie Daniel pobił do nieprzytomności całą piątkę. Wyraźnie zawiedziony, otarł pokrwawioną twarz i ruszyliśmy w stronę znanych nam terenów.

Tego dnia, gdy obudziłem się i wciąż miałem pomarańczowo przed oczami, wciąż miałem nadzieję na śmierć. To wszystko śniło mi się bez wątpienia dlatego, że już jutro mogłem stracić życie. Dziś być może Daniel, a potem - być może - ja. Wiedziałem, że Krzysiek zaprowadzi nas w nowe miejsce - autostrada, przez którą do tej pory przechodziliśmy była zbyt bezpieczna, żeby przez nią przechodzić. Krzyż zapewniał, że następne miejsce jest mniej przewidywalne. Czulem dzięki temu, że może mi się udać. Wreszcie mogłem to wszystko skończyć. Lecz czekały mnie jeszcze prawie dwa dni pełne pustki i samotności. Tyle jednak mogłem wytrzymać; tym, który nie wytrzymał w podobnej sytuacji, był Karol Studnicki.

Rozmawiałem z nim kiedyś, gdy staliśmy na przystanku sami, wracając ze szkoły. Widziałem jego ponury nastrój i choć nie znałem go zbyt dobrze - czasem, dość rzadko zresztą, mówiliśmy sobie „cześć”, od kiedy poznała nas Dziwka - to jednak czulem, że powinienem go jakoś rozweselić.

- Co u ciebie? - spytałem.

Karol Studnicki spojrzał na mnie z niedowierzającym wyrazem twarzy. Nie rozmawiał z wieloma osobami, a takie pogadanki zwykle go peszyły, gdyż nie wiedział co odpowiadać. Był samotnikiem, a jeśli już z kimś rozmawiał, to na tematy głębsze niż „co u ciebie?”.

- Nic... - odpowiedział Karol Studnicki i wbił wzrok w żółte, blaszane ogrodzenie po drugiej stronie jezdni.

- Niewesoło wyglądasz.

- Mhm - mruknął.

- Masz jakiś problem? Coś cię gnębi?

- Bywa i tak.

Śluchając jego krótkich, urywanych odpowiedzi, poczułem się jak idiota. Naprawdę nie wiedziałem, o czym mówić.

- Jest piękna pogoda - wypaliłem. Co gorsza, dodałem - daj spokój, nie bądź taki przygnębiony! Słońce świeci, ptaki ćwierkają, uśmiechnij się! Zachowujesz się tak, że nic, tylko się zabić...

Nie odpowiedział mi; autobus przyjechał i wsiedliśmy w różne drzwi. A pojutrze Karol Studnicki skoczył z wieżowca i rozsmarował się po całej Katedralnej. Wtedy też powstała jego legenda. Policja znalazła w jego biurku wiersze, które z miejsca stały się przebojem sezonu; każdy czytał dzieła samobójcy! Nie wiem, czy ludzie czerpali z czytania poezji truposza jakąś perwersyjną przyjemność, ale już kiedyś Karol Studnicki publikował w gazetce szkolnej i absolutnie nikt nie zwrócił na to uwagi. Dziwka zwróciła mi na to uwagę i musiałem przyznać, że ma rację. Powiedziała mi też, wtedy na dachu wieżowca, przy winie:

- To nie jest Karol. Karolek. To jest Karol Studnicki! Nie był byle jakim Karolem, ale Karolem Studnickim. Nie wypada nazywać go inaczej, niż Karol Studnicki, słyszysz mnie, wariacie?

Słyszałem. Zastanawiałem się teraz, czy już wkrótce Dziwka też będzie mnie nazywać imieniem i nazwiskiem. I czy moje wiersze i opowiadania też staną się takimi przebojami. Na to jednak musiałem poczekać do jutra. Teraz był ranek, a ja, po wybudzeniu się z pomarańczowego snu, wyruszałem do szkoły. Pół godziny później, wysiadając z autobusu tuż przed szkołą, wpadłem na przepychającą się przez tłum Gadmarę. Wciąż była na mnie zła za potraktowanie jej na ostatniej imprezie. To niezwykle, jak długo można się wściekać na drugiego człowieka.

- Suń się, impotencje - syknęła do mnie i popędziła za budynek liceum, gdzie zwykle zbierali się palacze.

Na zielonym korytarzu zaczął mnie Jacek, którego trzeźwego można było zobaczyć tylko z rana, w szkole.

- Cześć, młody - rzucił. - Dziś zmieniamy lokację.

- Wiem.

- Nie widziałeś Anestezjana?

- Nie widziałem.

- To nic. Będę musiał zapalić sam. Ale, ale... Może masz ochotę spróbować? - zaproponował mi Jacek. - Mam niezły towar od Julki.

Przeszedł mnie dreszcz.

- To ona pali?! - wykrztusiłem.

Widok palącej Julii zupełnie burzył mi jej idealny obraz.

- Skąd. Nie pali. Ale potrafi załatwić zioło. Cud dziewczyna; gdyby nie to, że sam jestem samobójcą, za wszelką cenę starałbym się ją uratować.

- Wiesz coś o niej? - zainteresowałem się, co zwróciło uwagę Jacka.

- No, no. Widzę, że kolega się zainteresował... Ale to zwraca uwagę; zauważyłem, że ci się podoba.

Nie zaprzeczyłem. Więcej - jakby na potwierdzenie moich słów, zabrzączał dzwonek, ogłaszający początek lekcji. O ile dzwonek może potwierdzać jakiegokolwiek słowa.

- Czytałeś, co zapisała w zeszycie? - spytał Jacek.

- Czytałem.
- To powinienes wiedzieć o niej, co potrzeba.

Kiedy wszedłem do akademika Krzyska w dniu, w którym miałem podjąć pierwszą próbę samobójczą, Julia siedziała w kącie i czytała o moim śnie.

- Boisz się wieczoru? - zapytała cichym głosem, gdy usiadłem obok niej. Przez chwilę nie odpowiadałem, patrząc w brązowe oczy. Blask lampy odbijał się od szkielek okularów i nadawało to jej spojrzeniu jakiegoś nieziemskiego wyrazu; jakby sam anioł patrzył na mnie. Poczulem falę gorąca i bijące szaleńczo serce, nie mogłem jednak oderwać od Julii wzroku. Zauważyłem, że dziewczyna ma wyjątkowo bladą cerę; już wcześniej zwróciłem na to uwagę, lecz dopiero teraz wydało mi się to nienaturalne. Wydało mi się również, że wiem dokładnie, co się ze mną dzieje. W tym momencie wracała mi chęć do życia. Krótko mówiąc - zakochiwałem się.

- Na pewno bardziej się denerwuję, niż ty - wyjąkałem.

- To widać. Chcesz się rozmyślić?

- Nie - odparłem, dodając w myślach - chcę, żebyś to ty się rozmyśliła.

Przytaknęła i słuchaliśmy kolejnej pozbawionej sensu przemowy Jacka, przerywanej kąśliwymi, cynicznymi komentarzami Kamila. Zaczynałem chyba rozumieć jego podejście do życia - igraszki ze śmiercią pozwalały poczuć, że się oddycha, o czym przekonałem się, gdy uszedłem z życiem przed kołami ciężarówki tego samego wieczoru. Jednak z Kamilem rozmawiałem najmniej, nie znałem go prawie wcale - i to zapewne dlatego nie byłem zbyt wstrząśnięty, gdy kolejnego dnia wpadł pod koła autobusu.

Nawet nie krzyknął. Jego ciałem rzuciło jak szmacianą lalką; Kamil odleciał na pobocze i upadł w dziwnej pozycji. Autobus zahamował z piskiem opon i po chwili kierowca wysiadł, szukając ofiary. Członkowie klubu samobójców w tej chwili byli już daleko.

Ale wtedy, gdy siedzieliśmy u Krzyska, przyglądającego się poranionej po wczorajszym spotkaniu twarzy Daniela, Kamil wciąż żył i co chwilę przerywał Jackowi. Ja z Julią natomiast rozprawialiśmy o moim śnie. Widziałem w nim siebie w hotelowym pokoju, który był jakby odrębną całością; odrębnym światem. Dzieliłem pokój wraz z Dziwką i oboje przyglądaliśmy się pomarańczowemu niebu na zewnątrz, na którym świeciło pomarańczowe słońce i zalewało pomarańczowym blaskiem pomarańczowe pomieszczenie. W tym śnie byłem chory, Dziwka natomiast opiekowała się mną. Wspólnie było nam wspaniale, lecz co i rusz ktoś chciał się wdrzeć do pokoju, czy to przez okno, drzwi, czy balkon. Pukali, krzyczeli, prosili aby ich wpuścić, a my nie chcieliśmy do tego dopuścić. To był nasz świat i nikt nie miał prawa się w nim znaleźć.

- To był nasz świat i nikt nie miał prawa się w nim znaleźć? - zapytała Julia, zmieniając pozycję na kocu i opierając głowę o ścianę w ten sposób, aby mnie widzieć.

- To był nasz świat i nikt nie miał prawa się w nim znaleźć - potwierdziłem.

- Więc dlaczego pokazujesz nam ten świat? Dlaczego zapisałeś sen w zeszycie?

Może żebyś mogła się czegoś o mnie dowiedzieć w neutralny sposób, pomyślałem.

- Żebyś mogła poznać ten sen, ponieważ wydał mi się ciekawy - rzekłem.

- Kim jest Dziwka?

- Dziwka była moją bratnią duszą.

- Była?

- Była.

- A teraz?

- A teraz jej nie ma.

- Nie żyje?

- Nie wiem - wzruszyłem ramionami, patrząc bezmyślnie przed siebie.

- Opowiesz mi o tym?

Rozejrzałem się po pełnym samobójców pokoju i zastanowiłem się przez chwilę.

- Opowiem ci o tym jutro, ale pod warunkiem, że i ty mi opowiesz o sobie.

- Myślałam, że skoro czytałeś zeszyt, to już coś o mnie wiesz.

- Domysły.

Julia przytaknęła.

- Dobrze - powiedziała. - Jutro sobie porozmawiamy.

Wcześniej niż z Julią porozmawiałem sobie z Krzysztofem, gdy spotkałem go nieopodal mieszkania Jacka. Zeszli się tam wszyscy jego znajomi, gdy dowiedzieli się, że Jacek popełnił samobójstwo. Nie jestem pewny, czy ludzie chcieli potwierdzić straszne doniesienia, czy też zobaczyć jego wynoszone ciało, zakrwawione w okolicy nadgarstków. Nie jestem nawet pewny, który z tych powodów mnie tam sprowadził...

- Przejąłeś się - powiedział Krzysiek, widząc niedowierzanie malujące się na mojej twarzy, gdy ciało Jacka zostało przeniesione do ambulansu.

- Normalne, że się przejmuję. Znałem go od jakiegoś czasu.

- Nie przejąłeś się zbytnio tym, że z Kamila zostało mielone na kołach tamtego autobusu.

Co było niewiarygodne, Krzysiek mówił to ze zwyczajowym cynizmem, zupełnie bez uczuć, jakby był postawiony ponad wszystkie sprawy doczesne. Do tej pory nie zwracałem uwagi na jego wywyższanie się, lecz teraz zaczęło mi ono przeszkadzać. Szczególnie, że miał rację.

- Fakt, nie przejąłem się - odparłem. - Ale nie widzę, żebyś i ty z tego powodu rozpaczał.

- Ja przynajmniej jestem konsekwentny. Traktuję ludzi równo; nie wybieram tych, którzy są lepsi od innych i są warci łez. Wszyscy zasługują na jednakowe traktowanie.

Krzysztof włożył ręce w kieszenie i grymas znudzenia wykrzywił mu twarz.

- Chciałeś powiedzieć, na jednakową pogardę? - spytałem.

- To już jest kwestia subiektywna, jak odbierasz moje traktowanie. Wiedz, że żywię do ciebie głęboki szacunek.

Nawet na mnie nie spojrzął podczas tej rozmowy.

- Jeśli tak wygląda szacunek, to ciekawy jestem jak rozmawiasz z tymi, których nie szanujesz...

- Jak już mówiłem, wszyscy ludzie są równi - odpowiedział ze stoickim spokojem.

- Nie sądzisz, że ten cynizm nie jest właściwy we wszystkich przypadkach? Na przykład w przypadku śmierci kolegi?

- A co miałbym robić? Udawać, że mnie to przejmuje? Myślisz, że w jakim celu Jacek przystał do klubu? Chciał umrzeć i umarł, efekt jest ten sam, tyle, że jemu najwyraźniej zależało na tym, aby umrzeć szybko.

Czułem coraz większą niechęć do Krzysztofa, choć wiedziałem, że jego zachowanie musi być wygodne dla niego samego i może nawet przez moment chciałem być do Krzyska podobny. Jednak rzekłem:

- Nie uważasz, że Jackowi można było pomóc?

- Pomóc? - spojrział na mnie jednocześnie z zainteresowaniem i zdziwieniem, jakbym właśnie oznajmił, że za rogiem wylądowali kosmici.

- Pomóc. Wyleczyć z depresji.

- A po cóż miałbym mu pomagać? Jacek miał własną wolę i wykorzystał ją w najpełniejszy sposób - umarł, gdy sobie tego zażył. Nie powinno się odbierać człowiekowi prawa do śmierci.

- A co, jeśli powstrzymalibyśmy go, a za tydzień uznaliby, że samobójstwo byłoby złą decyzją?
- Nie gdybajmy, to nie ma sensu. Chociaż - dodał Krzysztof po chwili - powiem ci, że wiem, co by było. Co mogło być. Strofka kiedyś opowiedziała mi swoją historię. Ja już raz powstrzymano i sama wierzyła w to, że kiedyś będzie przekonana co do błędności decyzji o samobójstwie. Jednak po trzech latach jej ból, jej spleen, jak lubisz go określać, stał się nie do wytrzymania. I wtedy trafiła do nas. Miała ten fart, że zginęła właściwie kilka dni po przyłączeniu się do klubu. Podjęła więc dorosłą decyzją, którą podjął i Jacek. Nam się nie da pomóc.
Patrzyłem mu w oczy z nieukrywaną wrogością; Krzych natomiast wciąż gapił się w horyzont, jakby ta rozmowa nie miała wcale miejsca.
- Mów za siebie - rzuciłem i odszedłem szybkim krokiem.
- Nie jestem takim złym człowiekiem, za jakiego mnie uważasz - dodał jeszcze. - Szkoda, że nie potrafisz zaakceptować mojego podejścia do życia, bo moglibyśmy się dobrze porozumieć.

Kiedy z dziwną obojętnością, która udzieliła mi się od reszty, obserwowałem jak Kamila potrąca pędzący autobus, wciąż miałem przed sobą rozmowę z Julią. Widząc wypadek, rozbiegliśmy się we wszystkie strony; ja podążyłem tam, gdzie i dziewczyna. Nie mieliśmy latarek, więc potykaliśmy się w niby-lasku, pełnym gęstych krzaków, który znajdował się przy jezdni.

- Julia, czekaj! - zawołałem. - Jesteśmy już daleko, jesteśmy bezpieczni...

Julia zatrzymała się i skuliła. Podbiegłem do niej i zauważyłem, że bardzo ciężko oddycha, mimo, że nie przebyliśmy długiego dystansu. Ponownie twarz Julii wydała mi się bardzo blada. Dziewczyna dźwignęła się z trudem i stanęła wyprostowana, twarzą tuż przede mną. Nie miała na skroni ani kropli potu, lecz jej wzrok zdradzał wielkie zmęczenie. Zmęczenie i ból, o których pisała w zeszytach.

- Ani śladu emocji - zauważyła. - Stajesz się prawdziwym samobójcą.

Może i zmartwił mnie ten brak reakcji na śmierć Kamila, ale nie jestem w stanie tego powiedzieć z perspektywy czasu. Wiem, że wtedy powiedziałem:

- A myślisz, że dlaczego tu jestem?

Na co Julia odparła:

- Ze względu na mnie.

I miała rację. Ja natomiast stanąłem jak oszołomiony, bo jakim prawem ona mogła coś podejrzewać? Jednak to dobrze, że zauważyła moje zainteresowanie; spostrzegłem, że jedynie ci cyniczni członkowie klubu wciąż myśleli, że ze mną wszystko w porządku, naturalnie w ich skrzywionym pojęciu „porządku”. Jacek, Krzysiek i Kamil troszczyli się tylko o własne życie. A raczej o własną śmierć. Byli trochę jak Anestezjan, tylko bez tej jego naiwnej radości.

- Jacek jest dla mnie normalnie jak brat, ale bez tej rozpierdalającej od wewnątrz... Bez tej energii, co ją mam i przez to chcę ciągle łączyć po pubach czy po, na przykład, dyskotekach - powiedział mi kiedyś Anestezjan.

A było to przy okazji jednej z niewielu klasowych dyskusji na religii, kiedy to wszyscy byli tak znudzeni, że rozmawiali z osobami, z którymi zwykle nie rozmawiają, na tematy, których zwykle nie poruszają. I tak doszło do mojej rozmowy z Anestezjanem na temat naszego wspólnego znajomego.

- Bo widzisz - kontynuował - ja się trochę o niego martwię. Gość jest w porządku, ale taki niemrawy. Pije dużo. Ja nie mówię że to złe, ale my wszyscy pijemy po to, żeby... wiesz, żeby była zabawa. A Jacek pije, żeby się nie dołować.

Mimo tego, Jacek był pogrążony w depresji nawet wtedy, gdy ledwo trzymał się na nogach. Błąkaliśmy się kiedyś po mieście we dwójkę i jakimś dziwnym trafem obaj byliśmy zupełnie uwaleni, mimo, że nie miałem w zwyczaju pić z nikim prócz Dziwki. Gdy podtrzymywaliśmy się wzajemnie, Jacek powiedział mi coś, co zupełnie zignorowałem:

- Nie jestem menelem. Menele piją i żyją dalej, a ja piję, bo chyba należy mi się jakaś przyjemność przed śmiercią.

Zareagowałem śmiechem, bo jak inaczej mogłem potraktować te słowa, skoro nie rozumiałem jego sytuacji. Jednak dlaczego Jacek chciał umrzeć - tego nie wiem do dziś. Tajemnice trzymał przy sobie równie dobrze, co butelkę z piwem - i tak samo jak butelki, nie wypuszczał ich z garści nawet, gdy nie potrafił ustać.

- Miałeś mi opowiedzieć o Dziwce - powiedziała Julia, gdy tak stałem z otwartymi ustami, zapatrzonej w - tego byłem już pewien - moją pierwszą miłość.

I nie mogłem oderwać wzroku od wzroku.

- Dziwka to moja najlepsza przyjaciółka - mówiłem, kiedy niespiesznie opuszczaliśmy chaszcze. Tak, wtedy już zapominałem zupełnie, że przed chwilą mój znajomy wpadł pod koła autobusu. - Znałem ją w sumie od niedawna, ale znałem ją dobrze. Powiedziała, że jestem jedyną osobą, której mówiła pewne rzeczy, więc chyba nieźle się porozumiewaliśmy.

- Była twoją dziewczyną?

- Nie, nie... To była moja miłość, której nigdy nie było. To znaczy miała być, z obu stron, odwzajemniona. Ale jej nie było - rozłożyłem ręce, zakłopotany.

- Dobrze do siebie pasowaliście?

- Dobrze do siebie pasowaliśmy. Ale nie da się pokochać siłą woli...

Julia spojrzała na mnie ze zrozumieniem. Uśmiechnąłem się z wdzięcznością.

- Co się stało z Dziwką?

- Jednej nocy... spiliśmy się. - mówienie o tym sprawiło mi trudność, której się nie spodziewałem; później zauważyłem, że ze wszystkich sił starałem się odpędzać wspomnienia owej nocy, gdyż robiło mi się strasznie niewygodnie we własnej skórze, kiedy powracały. - Nie wytrzymała, padła, to zaniósłem ją do domu... I już jej więcej nie widziałem.

- Dlaczego? Co się stało?

- Dostałem od niej list pożegnalny. Wiersz. Napisała dla mnie wiersz... - uśmiechnąłem się gorzko. - Wyjechała, nie powiedziała nikomu, dokąd... Po prostu uciekła od swojego życia. Tym samym i ode mnie. Wiem, że już jej nie spotkam. Może to i dobrze... Może ona wybrała lepszą drogę niż my?

- Niż ty - poprawiła Julia.

- Niż ja?

- Tak.

- Posłuchaj, Julio...

- Nie, ty posłuchaj - wtrąciła. - Wiem, co chcesz powiedzieć.

- Wiesz?

- Wiem.

Chciałem jej na początek powiedzieć, że jest mi bliska.

- Dziękuję za to, co do mnie czujesz. W pewien sposób ty też... stajesz mi się bliski - niemal podskoczyłem z radości - ale...

Wtedy właśnie chciałem jej powiedzieć, że chcę, aby zrezygnowała z klubu.

- Wiem, że będziesz chciał, żebym zrezygnowała z klubu. Nie zrobię tego.

- Ale życie ma sens! - krzyknąłem z entuzjazmem. - Wiem, że czasem może przeszkadzać, może boleć to, że istniejesz, ale więcej jest pięknych chwil... No, jeśli nie więcej, to przynajmniej są one warte, by ich doświadczać.

Kiwała głową przecząco, uśmiechając się z politowaniem, a ja nadal próbowałem odwieść Julię od jej zamiarów. Najbardziej skutecznym argumentem, o którym pomyślałem, był pocałunek...

Ale oczywiście nie pocałowałem jej, to nie amerykański serial. Od myśli daleko do czynów. Zamiast tego wciąż rzucałem tanimi

hasłami rodem z Coelho.

- Nie wiesz, o co mi chodzi... - urwała mój monolog, stojąc na skraju jezdni.

- Wiesz, o co mi chodzi... - urwała mój monolog, stojąc na skraju jezdni.

Tego dnia przyszła kolej Julii na przekraczanie ulicy. Krzysiek postanowił nie zmieniać miejsca, więc byliśmy dokładnie tam, gdzie niedawno Kamil stracił swoje ryzykowne życie.

Julia powiedziała mi tamtej nocy o przyczynach jej decyzji. Zaraz po tym, jak wydostaliśmy się z lasku, a ja niemal gardło zdarłem próbując ją nakłonić do zaprzestania prób samobójczych, Julia opowiedziała mi o swojej chorobie. Wszystko, co pisała i mówiła o bólu, interpretowałem jako wyraz spleenu; nie pomyślałem, że jej ciało może być powoli i boleśnie zabijane przez nowotwór. Nawet wtedy, gdy zmęczyła się krótkim biegiem, nie przyszło mi to do głowy. Kiedy poznałem prawdę, cały następny dzień byłem nieobecny duchem. A kiedy przyszedł wieczór próby Julii, serce ze strachu waliło mi jak oszalałe. Pociłem się i czułem, że za moment stracę przytomność.

- Julia... proszę cię, odpuść, nie możesz...

- Lepiej, żebym umarła w męczarniach?

- W męczarniach, ale ze mną - rzuciłem bez zastanowienia.

Daniel przyglądał się zajściu z boku z rosnącą ciekawością. Krzysiek stał z rękami w kieszeniach, jak zwykle niewzruszony, zapatrzonego w odległy punkt.

- Jesteś egoistą - oświadczyła spokojnie Julia.

- A ty nie? Teraz, kiedy znalazłem sens życia, starasz mi się go odebrać!

Nie odpowiedziała.

- Julia, kocham cię... - powiedziałem z cichą rezygnacją, lecz buczenie pobliskiej elektrowni zagłuszyło moje słowa.

Nastała rokująca nadzieje cisza, którą brutalnie przerwał głos Krzysztofa.

- Nie przeszkadzaj jej, młody - powiedział, obrzucając mnie swoim typowym, cynicznym spojrzeniem.

Poczułem, jak z gniewu robi mi się gorąco; miałem już serdecznie dość tego człowieka.

- Och, daj spokój! - krzyknąłem, nie mogąc się pohamować. - Ty i twoja wielka idea bycia zapamiętanym po dramatycznej śmierci... Mam własną wolę, o nasz przywódco, i może nie wyrażam jej w tak patetyczny sposób, ale robię to chyba wystarczająco jasno. Chcę teraz porozmawiać z Julią, skoro to jest być może ostatni raz, gdy mogę to zrobić.

- Nie tylko ona jedna czeka na śmierć... - Krzysiek postukał znacząco w szybkę zegarka, uśmiechając się krzywo.

Chciałem go rozerwać na strzępy.

- Wiesz co? - syknąłem jadowicie. - Żałosny jesteś! Żałosny jesteś ty i to twoje ogromne jak balon ego, które najwyraźniej uszkodziło ci mózg!

Mówiąc krótko - dałem upust emocjom, gdyż jeszcze parę długich minut bluzgałem Krzysztofa, do czego prowokowało mnie to, że wciąż stał niewzruszony. Daniel nie wiedział co powiedzieć, więc nie mówił nic, a Julia nadal zastanawiała się nad wyborem. W końcu zakończyła nasze dyskusje:

- Zdecydowałam. Idę.

I nie czekając dłużej, wkroczyła na jezdnię.

- Wobec tego idę z tobą - rzuciłem i dogoniłem ją.

Chwyćcie Julię za rękę - tak złączeni, szliśmy. Czas jakby zatrzymał się w miejscu; nie patrzyłem na boki, gdyż i tak nie dostrzegłbym ukrytych za krzewami dalszych fragmentów drogi, jednak cały czas oczekiwałem wyłaniającej się błyskawicznie maski autobusu. Zobaczyłem wyraźnie przed oczami Kamila, którego ciało zostało rzucone na pobocze jak szmaciana lalka; zobaczyłem Jacka, podcinającego sobie żyły żyłką i wykrwawiającego się na śmierć w rytm rockowej muzyki; ujrzałem nawet Strofkę, oczyma wyobraźni widziałem jej smutną, piegowaną twarz...

Zamknąłem oczy i odliczałem kroki. Modliłem się, abyśmy bezpiecznie przeszli; zacisnąłem mocniej dłoń na dłoni Julii.

Czwarty, piąty, szósty...

Byliśmy już niemal na drugiej stronie, kiedy pojawiły się światła. Spojrzeliśmy w błyszczące oczy samochodu, który brał lekki zakręt z niemal pełną prędkością. Serce mi zamarło; poczułem, jak uścisk Julii zacieśnia się jeszcze bardziej. Zapiszczały hamulce. Polonezem zarzuciło i auto w ostatniej chwili wyhamowało, stając w poprzek drogi. Westchnąłem z ulgą i rozejrzałem się po okolicy. Krzycha ani Daniela już dawno tu nie było.

Na miejsce zdarzenia wezwano policję; wkrótce poddano nas ścisłej obserwacji psychiatrycznej w szpitalu. Julia, ze względu na wciąż pogarszający się stan zdrowia, już z niego nie wychodziła, więc i ja tam zostałem. Lekarze stwierdzili u mnie głównie zaburzenia systemu wartości; wyników badań Julii nie poznałem na jej życzenie. Doświadczenia ostatnich kilku dni zbliżyły nas do siebie i oboje czuliśmy upływający czas. Po niecałych dwóch tygodniach Julia czuła się tak źle, że nie mogła wstawać z łóżka.

Była cała biała i wychudzona, jej poduszkę wciąż zraszał zimny pot. W tamte dni czuwałem przy niej całą dobę bez przerwy i rozmawialiśmy o zupełnie banalnych sprawach. Bolał ją każdy dotyk, więc musiałem ograniczyć go do minimum. Nigdy nie zapomnę naszego ostatniego pocałunku, który wykrzywił jej twarz w bolesnym grymasie, jednak sprawił, że dziewczyna po raz ostatni się uśmiechnęła.

Julia zmarła po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu; zmarła we śnie, gdy i ja usnąłem przy niej. Odeszła, tak jak wcześniej odeszła Dziwka, jak odeszła Strofka; nie było jej tak samo, jak nie było Kamila i Jacka. Nigdy wcześniej nie czułem w sercu takiej pustki, choć kiedyś zdawało mi się, że gorzej być nie może.

Nie wiem, co się stało z Krzyśkiem i Danielem. Co zrobił Krzysztof - to mnie absolutnie nie interesuje, choć może kiedyś ktoś ujrzy w jakiejś książce mój pomarańczowy sen czy wiersze Strofki. Nie widziałem ich więcej od tamtej pamiętnej nocy. Daniel był dobrym człowiekiem i jeśli tylko znalazł kogoś, na pewno prowadził szczęśliwe życie. Potrzeba mu było drugiej osoby. Nie miał rodziny; wszystkich bliskich stracił w wypadku... Na jego miejscu też bym się załamał, lecz - być może - pojawił się w jego życiu ktoś, kto może dać mu poczucie bliskości i miłość.

Właśnie, przy okazji - słyszałem, że już krążą o mnie w szkole plotki... Nie dziwię się. Niedoszły samobójca, pobyt w szpitalu psychiatrycznym... A teraz to. Stałem się nie mniej sławny niż Karol Studnicki; może za parę dni ktoś znajdzie moje wiersze i opowiadania. Chociaż... nie wiem, po co wam to mówię. I tak wiadomo, jak to się skończy, a wtedy moja historia ani nic, co powstało ze mnie, nie będzie miało znaczenia.

Cholera, już mnie ręka boli; ze dwie godziny trzymam ten pistolet. No, ale kto powiedział, że śmierć jest lekka? Czas przekonać się, czy jest chociaż szybka.

Część druga

DZIWKA

Rzecz ma miejsce w Barze „Pirania” - zadymionej, oświetlonej mdławoniebieskim blaskiem mordowni, pełnej niebezpiecznych ludzi w wieku od 20 do 40 lat. Dziwka jest najmłodsza - ma 17 lat, jednak wyglądem i zachowaniem wtapia się w towarzystwo.

Mimo tego, wszyscy zwracają na nią uwagę i co jakiś czas padają na nią krzywe spojrzenia.

DZIWKA jest ubrana na czarno, tego samego koloru ma włosy. Na twarzy ma mocny makijaż. Siedzi przy barze, sennie opierając głowę na dłoni. Obok niej stoją dwa puste kufle po piwie i kilka kieliszków. Na blacie znajduje się rozsypany biały proszek.

Z głośników na ścianach speluny sący się jazz. W lewym rogu baru stoi kanapa. W tle trzy stoliki, przy nich troje ludzi siedzi, zajmując się swoimi sprawami. Nad ladą, pod sufitem miga telewizor, zagłuszany muzyką.

BARMAN

(przynosi DZIWCE kolejny kieliszek z wódką)

Mam nadzieję, że będziesz w stanie za to zapłacić.

DZIWKA kładzie torebkę na ladzie i wyjmuje z niej kilka portfeli; przy wykonywaniu tej czynności na ladę wypada również paczka tabletek. DZIWKA wybiera najgrubszy portfel, wyjmuje z niego kilka banknotów i niedbale rzuca je BARMANOWI; ten zabiera je i odchodzi, patrząc na dziewczynę z pogardliwym uśmiechem. Następnie DZIWKA, z trudnością pokonując senność, kieruje wzrok na ekran telewizora. Jej oczy otwierają się szeroko, kiedy dostrzega obraz - spikera, a za nim zdjęcie WARIATA. Wszystko ciemnieje i cichnie; widoczna pozostaje tylko twarz DZIWKI oraz telewizor.

SPIKER

...popelniał samobójstwo dzisiejszego popołudnia, strzelając sobie w głowę z małokalibrowego pistoletu. Nieznane są motywy, lecz wiadomo, że już miał za sobą próbę samobójczą i leczenie psychiatryczne.

DZIWKA

(szepcem)

Ech, wariacie...

(uśmiecha się smutno)

SPIKER

Pomimo przeszukania domu, nie znaleziono niczego, co pozwalałoby stwierdzić, dlaczego podjął tak drastyczną decyzję. Oto kolejny przykład brutalnego wpływu współczesnej kultury... (mówi dalej)

DZIWKA bierze opakowanie tabletek, które wypadło na bar z jej torebki; z niezdarnością, chwiejnymi ruchami wyłuskuje z niego kilka pigułek i łyka je szybko, popijając wódką. Odstawia ją, kołysze się chwilę i osuwa się bezwładnie, zasypiając oparta o blat baru.

Następuje zaciemnienie. Po chwili słychać cichą muzykę bluesową, która robi się coraz głośniejsza, aż przybiera optymalną głośność - nie zagłuszając rozmów, które nastąpią. Wraz z muzyką powraca stopniowo oświetlenie - tym razem silnego, czerwonego koloru. Wnętrze baru wygląda na niezmiennione; ci sami ludzie co wcześniej siedzą na swoich miejscach, lecz nie widać nic poza ich kształtami - reszta ciała pozostaje czernią. Na ekranie telewizora widnieje nieruchoma, czarno-biała twarz WARIATA. Na krześle obok DZIWKI siedzi WŁÓCZĘGA w wieku 42 lat, pijąc drinka i zagryzając co jakiś czas jabłko.

DZIWKA budzi się nieco oszołomiona, z bólem głowy. Mrużąc oczy wypija resztkę wódki, jaka została w kieliszku.

WŁÓCZĘGA

(nie patrząc na DZIWKE, z kawałkiem jabłka w ustach, niewyraźnie)

Nie warto.

DZIWKA

(lustrując WŁÓCZĘGĘ spojrzeniem, ostrożnie)

A skąd ty możesz wiedzieć?

WŁÓCZĘGA

(lekko, niemal z humorem)

Bo zjeździłem taki kawał świata, że wiem. Mówię ci, to mi wierz, bo nie mam z zwyczaju kobietom kłamać.

DZIWKA

(wzruszając ramionami)

Więc co według ciebie... warto?

WŁÓCZĘGA

Zjeść jabłko na przykład.

DZIWKA

(patrząc jak na człowieka niespełna rozumu)

W swoich podróżach nauczyłeś się, że to, co warto, to zjeść jabłko, tak?

WŁÓCZĘGA

Zawsze warto zjeść jabłko.

DZIWKA

Najwyraźniej mamy inne gusta kulinarne.

WŁÓCZĘGA

Jedząc jabłko masz przynajmniej pewność, że ono nie zje cię potem od środka.

DZIWKA wzdycha, gestem wskazuje, że ignoruje słowa WŁÓCZĘGI, po czym wpatruje się w jaśniejącą w telewizorze twarz WARIATA.

WŁÓCZĘGA

Niby on był czegoś wart?

DZIWKA
Nie twoja sprawa.
(z ociąganiem, kiedy milczenie się przedłuża)
Dlaczego miałabym ci odpowiadać?

WŁÓCZĘGA
(wzrusza ramionami)
Myślałem, że lubisz moje towarzystwo.

DZIWKA
Zatem mocno się przeliczyłeś. A teraz daj mi spokój.

WŁÓCZĘGA
Zawsze powtarzałaś, że lubisz moje towarzystwo.
(brak reakcji ze strony DZIWKI)
A można wiedzieć, co teraz zrobisz?

DZIWKA
(odrywając wzrok od ekranu)
Można wiedzieć. (grzebiąc w torebce) Zamówię sobie następny kieliszek, a po nim następny, a po nim jeszcze następny, aż będę tak pijana, że nie będę mogła cię widzieć.

WŁÓCZĘGA
Też tak kiedyś... Też tak podobnie jak ty myślałem.

DZIWKA
Czyli doskonale mnie rozumiesz.

WŁÓCZĘGA
Tak.

DZIWKA
Więc niepotrzebnie ze mną rozmawiasz.

WŁÓCZĘGA
(wzruszając ramionami)
Czy też znowu niepotrzebnie...

DZIWKA
Skoro jest tak, jak mówisz, powinieneś znać odpowiedź zanim zadasz pytanie. Jeśli nie znasz, to jednak nie myślałeś podobnie jak ja.

WŁÓCZĘGA
Ależ znam. W końcu... zważyć by się można z nóg...

DZIWKA
(po chwili, przytakując)
Co rusz...

WŁÓCZĘGA
Co krok.

DZIWKA
Co noc...

WŁÓCZĘGA
To szloch.

DZIWKA
I rozpacz.

WŁÓCZĘGA
Ale czy warto...?
(znacząco patrzy DZIWCE w oczy)

DZIWKA spogląda na WŁÓCZĘGĘ z malującym się w oczach zdumieniem i nawet przerażeniem. Teraz już rozpoznaje jego twarz.
WŁÓCZĘGA uśmiecha się, wyjmując z kieszeni jabłko i podsuwa DZIWCE.

WŁÓCZĘGA
Może się poczęstujesz? Wiem, że warto.

DZIWKA namyśla się chwilę i sięga po owoc, lecz zatrzymuje rękę, kiedy słyszy dobiegający głos.

WARIAT
(z ekranu telewizora)
Zastanów się dobrze. Chcesz do niego dołączyć?

DZIWKA nie dowierza własnym oczom. Mruży je, jakby chciała się obudzić. Wysiłki na nic się zdają.

WARIAT

On nie jest dobrym towarzystwem, Dziwka. Jeśli dołączysz do niego, dołączysz i do mnie, a nie chcę, abys do mnie dołączała.

DZIWKĄ

(nie bardzo wiedząc, co się dzieje)
Nie chcesz...?

WARIAT

Nie chcę. Zbyt dużo dla mnie znaczysz.

DZIWKĄ

Zbyt dużo... Ale...
(nagle przybierając zbuntowany wyraz twarzy; niemal ze złością)
Ale ty dla mnie już nic nie znaczysz. Ciebie już nie ma.
(sięga po jabłko)

WARIAT

Więc za chwilę i ciebie nie będzie, a tego żadne z nas by nie chciało.

DZIWKĄ waha się.

WŁÓCZĘGA

(nachyla się do DZIWKI; opiekuńczo)
Nie wahaj się. Wiesz, że zawsze robiłem wszystko, aby być szczęśliwym. Aby być wolnym. I ty zawsze tego chciałaś, tej wolności nieskrępowanej. Już jej nie pragniesz? Nie pragniesz niezależności, spokoju ducha?

WARIAT

(ze spokojem, acz stanowczo, do WŁÓCZĘGI)
Robiłeś wszystko, aby być szczęśliwym, ale to oczywiste, że nie byłeś szczęśliwy. Zawsze byłeś przegrany. Przyznaj, że mimo tej twojej... tej wolności, czy może raczej ucieczki, nigdy nie osiągnąłeś prawdziwego szczęścia.

WŁÓCZĘGA

(sarkastycznie)
Mówisz, że lepiej będzie, jak - zamiast ze mną iść - się zetnie do nieprzytomności każdej nocy, tak jak się ścinaliście wtedy, w różnych dziwnych miejscach? To jest twoim zdaniem sposób na szczęście - robić to, co ty od zawsze robiłeś? Więc proszę, weź jakiś kieliszek (wskazuje rząd pustych kieliszków na ladzie) i zrób to, co zawsze. Bo przecież bardzo lubiłaś dotychczasowe życie, prawda...?

WARIAT

Dziwko, nie musisz być taka jak ktokolwiek z nas. Zawsze możesz stąd wyjść. Po prostu zrób to. Opuść to miejsce, natychmiast.

WŁÓCZĘGA

Nie słuchaj go, taka okazja może się nie powtórzyć! Już nigdy możesz nie zaznać wolności!

DZIWKĄ przygląda się obu z niezdecydowaniem.

WARIAT

(wzdycha; spokojnie, z rezygnacją)
Decyzja należy do ciebie, Dziwko.
(zamyka oczy)

Telewizor gaśnie, wraz z nim muzyka.

DZIWKĄ

Czekaj, nie odchodź!
(cisza)
Wróć...

GŁOS WARIATA (cichnący)

Nie mogę wrócić. Sama mi napisałaś... w pożegnalnym liście - trzeba coś zakończyć, aby coś móc zacząć. Skończę się ja, zaczyniesz się ty - to jedyne, co mogę teraz zrobić...

Przedłużająca się cisza. WŁÓCZĘGA patrzy z wyczekiwaniem na DZIWKĘ. Ta powoli, z gorzką miną sięga po jabłko, ale ciszę przerywa odgłos trzaskających drzwi. Do baru wchodzi BARD - postawny, grubawy mężczyzna w wieku lat pięćdziesięciu pięciu. W jednej ręce ma gitarę, którą natychmiast odrzuca na kanapę. DZIWKĄ i WŁÓCZĘGA z ciekawością spoglądają na nowego gościa, zastygnąwszy w przyjętych pozach. Postaci w tle siedzą tak, jak siedziały.

BARD

(stoi przez chwilę, przyglądając się milczącemu otoczeniu; w końcu zdecydowanym krokiem przechodzi na środek sali)
To już nawet wieczorem obowiązuje codzienna depresja? Wieczory są od tang, od muzyki i od alkoholu! Dajcie sobie odpocząć, człowieki! Urządzmy sobie bal! Barman, wódeczka raz. Muzyka!

BARD podchodzi do DZIWKI i chwyta ją za rękę, wyciągniętą w kierunku jabłka. WŁÓCZĘGA jest zaskoczony, ale nie reaguje.

BARD

Panienska pozwoli do tańca!

Środek sali oświetlony zostaje strumieniem światła z reflektora, zaczyna grać muzyka - „W czarnej urnie” Stanisława Staszewskiego. BARD targa DZIWKĄ w dynamicznym walcu, będącym niejako parodią tego tańca, pełną szybkich i brutalnych obrotów. Taniec jest bardzo wyczerpujący dla DZIWKI, która co każdy piruet spogląda to na WŁÓCZĘGĘ i jego jabłko, to na kieliszki, to na

drzwi, chcąc się wyrwać w którąś ze stron, a jednocześnie nie wiedząc - w którą. BARD śpiewa:

BARD

Tylu istnień czas jak jedna chwila zbiegł,
Jak to dawno? Może tydzień, może wiek...
Na mój barłóg czas jak deszcz jesienny mży,
Zmywa ślady moich łez i Twojej krwi.
I okrywa z wolna zapomnienia płaszczy
Noc, gdy pierwszy raz pluliśmy sobie w twarz,
Śpiewaliśmy wtedy, szczęście - ja, Ty - fart,
Jak sztylety wbici w siebie, aż do gard.
Serce pękło z żalu, dłoni zimną kiść
Ogrzej nad popiołem - już możemy iść,
Ty - w swe zamki z błota, ja - w śmierdzący szynk,
A dom pusty jak pałacyk Mayerling.

BARD przestaje śpiewać, kończąc zwrotkę, lecz wciąż gra muzyka i wciąż trwa taniec. DZIWCĘ udaje się wyrwać z objęć.

BARD

(zawiedziony)

No jakże to? Nie lubisz się bawić, panienko?

DZIWCĘ

(pocierając skroń, nie mogąc utrzymać równowagi przez zawroty głowy)

Falszywa zabawa, fałszywi wy wszyscy ludzie!

(zmęczona pada na kanapę, obok gitary BARDA)

Zostawcie mnie już, po prostu mnie zostawcie...

BARD

(siadając przy DZIWCĘ; stanowczo)

Panienko, jesteście ludźmi tak prawdziwymi jak wszyscy inni i nie znajdziesz ani lepszych partnerów do zabawy, ani lepszej samej zabawy, więc zrzuć-no ten płaszczyk melancholii i pójdz ze mną w tan, tak jak nakazuje prawo piątkowych wieczorów...!

DZIWCĘ

(ze zmęczeniem, osuwając się sennie na kanapę)

Wy jesteście fałszywi, was nie ma, wy już nie żyjecie...

WŁÓCZĘGA

Że jak?

(obrażony, pogardliwie)

Znalazła się prawdziwa żyjąca... królowa życia... Skoro nie wiesz, co dla ciebie dobre, żyj dalej w tej beznadziei.

(zadziera głowę i wychodzi)

BARD

(wyraźnie rozbawiony)

Panienka chyba źle postrzega to, co ją otacza. Widzi panienka, my jesteśmy najbardziej ludzkimi ludźmi, jakich kiedykolwiek poznała, i sama panienka o tym wie. Może panienka myśli, że inni są w jakiś sposób lepsi od nas?

DZIWCĘ

Lepsi? Lepsi?! Wy jesteście gorsi niż wszyscy, wy jesteście czarniejsi niż wszyscy, bo wy jesteście inni niż wszyscy... Nie jesteście normalni...

BARD

Ha ha, nienormalni? Inni? A jakaż ty byś chciała być? Zwyczajna? Szara? Może jeszcze powiesz, ha ha, że w przeciętności siła?

DZIWCĘ

W przeciętności spokój!

BARD

(energicznie)

Niech zatem panienka spojrz na swoją spokojną i kuszącą przeciętność! Oto zwykły Jan Kowalski...

(wskazuje ręką na pierwszą z trzech czarnych sylwetek siedzących przy trzech czarnych stolikach; na postać kieruje się strumień światła, pokazując, że w istocie jest ona nieruchomą kukłą, umalowaną jak klaun)

A to jest szary Jan Kowalski...

(wskazuje drugą postać; drugi strumień światła pokazuje Śmierć w czarnym, długim płaszczu)

Natomiast to jest przeciętny Jan Kowalski.

(Wskazuje trzecią postać; strumień światła wyłania z mroku... pustkę; cień był tylko cieniem, na jego miejscu nikogo nie ma)

Oto i Normalność! Ecce homo!

DZIWCĘ łapie się za głowę, nie dowierzając. Jest coraz bardziej zmęczona. Zrywa się z kanapy i upada na kolana na środku sali, chowając głowę w ramionach i szlochając. BARD śmieje się wesoło, lecz jego śmiech cichnie w miarę, jak dalszy plan zasnuwa mrok. Wkrótce widać jedynie DZIWCĘ klęczącą w strumieniu światła, w którym tańczyła. Z mroku za DZIWCĘ wyłania się DZIEWCZYNA, wyglądająca dokładnie jak DZIWCĘ, lecz bez makijażu; w zwykłych, codziennych ubraniach.

DZIEWCZYNA

(klękając przy DZIWCĘ; z łagodnym uśmiechem)

Nie płacz. Tego zdecydowanie nie warto.

(kłada rękę na jej ramieniu)

DZIWKA
(patrząc na DZIEWCZYNE, powstrzymując szloch, ze zdumieniem)
Kim jesteś?

DZIEWCZYNA
Nie wiesz...? (uśmiecha się) Nie powinnam się dziwić. Niestety, ale duchem... Ja już nie jestem, umarłam kilka lat temu. Może mnie jeszcze choć trochę pamiętasz?

DZIWKA milczy, otwierając usta i przypominając sobie. Patrzy na nią pokornie załzawionymi oczami.

DZIEWCZYNA
Musisz wreszcie podjąć jakąś decyzję. To nie może czekać.
(przynosi kieliszek, gitarę BARDA i jabłko WŁÓCZĘGI)
Możesz również wyjść, tak jak proponował twój kolega. Wybór należy do ciebie.

DZIWKA
(z wahaniem)
A co ty byś zrobiła...?

DZIEWCZYNA
Nieważne, jaką decyzję ja bym podjęła. Poza tym moje zdanie nigdy się nie liczyło, pamiętasz? Musisz zdecydować sama, którą drogą pójdziesz.

DZIWKA patrzy niezdecydowanie to na drzwi, to na trzymane przez DZIEWCZYNE rekwizyty. Wydaje się sięgać wreszcie po któryś z przedmiotów, to znów cofa dłoń i spogląda w kierunku drzwi. W końcu bezradnie, po długim wahaniu, opada na podłogę i kiwa przecząco głową w kierunku DZIEWCZYNY, oznajmiając, że nie może podjąć decyzji. DZIEWCZYNA patrzy smutno i przytakuje ze zrozumieniem. Wszystko ciemnieje.

Słychać stłumione głosy; niebieskie światło rozjaśnia mrok. Po chwili bar wygląda tak, jak sprzed poprzedniego zaciemnienia, z tą różnicą, że wokół leżącej na ladzie DZIWKI zebrały się wszystkie osoby będące wcześniej w barze, natomiast dwaj sanitariusze przekładają ją na nosze. Obok stoją dwaj policjanci; jeden z twarzą BARDA, drugi z twarzą WŁÓCZĘGI. POLICJANT-BARD coś notuje.

POLICJANT-WŁÓCZĘGA
Pewnie przedawkowanie, tutaj często się zdarza...

POLICJANT-BARD
(odrywając się od pisania)
Taaak, niestety. Pewnie zabawiła się... aż za dobrze.
(po zastanowieniu)
Nie uważasz, że to mogło być samobójstwo?

POLICJANT-WŁÓCZĘGA
(patrząc na wynoszone ciało DZIWKI, przykryte białym prześcieradłem)
Samobójstwo? Kto wie...?
(uśmiecha się)
Pewnie ona sama tego nie wiedziała.

Wychodzą. Zaciemnienie.

część trzecia

KONIEC SNÓW

Na cmentarzu ciemno. Zimno. Na grobie znicz płonie i kwiatki gniją powoli, zmęczone nieustającym deszczem. Niewyraźna postać klęczy, wpatrując się w nagrobek. A gdzieś indziej, jakieś czterysta czterdzieści jeden kilometrów stąd, inna postać klęczy przy innym grobie, w takich samych ciemnościach i w takim samym chłdzie, tylko deszczu zdołała uniknąć. I wiatr jakby inny. Tylko śmierć niezmienna i ta sama.

Był sobie kiedyś wędrowiec, który życie spędził w marszu. Wiecznie podróżował, nigdy nie zatrzymując się na dłużej. Jego domem był cały świat i wędrowiec wrzeszczał o tym w licznych piosenkach i wierszach, które stały się drogowskazem dla wielu młodych ludzi. Jednak nie był on szczęśliwy, ponieważ w pewnym momencie zapragnął przystanąć; zapragnął założyć rodzinę, zatrzymać wreszcie swój nieustający marsz i resztę pozostałego mu czasu spędzić odpoczywając. Ale świat nie mógł go zaakceptować - po wędrowcu oczekiwano, iż będzie dalej wędrował, a i on sam tak się do tego przyzwyczaił, że trudno było mu żywić właściwe uczucia do osób, które kochał. Włóczęga wpadł we frustrację - i nie mogąc dłużej żyć w samotności, oraz nie umiejąc żyć inaczej niż samotnie - popełnił samobójstwo.

Był sobie kiedyś bard, który nie potrafił być szczęśliwy. Wpieroś osiągnął go kłótwa ciekawych czasów, następnie kłótwa szarej rzeczywistości. Bard miał rodzinę i kochał rodzinę, lecz opuścił ją dla jej dobra... A może i były inne powody. Wyjechał do obcego kraju wraz z przyjaciółmi, aby tam móc zarobić pieniądze, które następnie wysłałby żonie i synowi. Jednak i tak szczęścia nie znalazł, nawet mimo tego, że wciąż i wciąż szukał go w muzyce i kieliszkach. Dożył do końca swych dni, nigdy go nie zaznawszy. Był sobie kiedyś młody frustrat. Młody frustrat był z zupełnie innej rzeczywistości - z rzeczywistości ludzi wrażliwych, cichych i delikatnych. Zbyt wrażliwych, zbyt cichych i zbyt delikatnych. Takich, którzy od przedszkola nie mogą znaleźć nikogo, z kim mogliby porozmawiać. Młody frustrat cierpiał więc z samotności - i jedynym lekarstwem na to było pisanie wierszy, które następnie wędrowały pod łóżko, czekając na zjedzenie przez mole. Nie doczekały, bowiem wścibska ręka policjanta wyciągnęła je na światło dzienne, wpadające do pokoju przez otwarte okno, przez które młody frustrat wyskoczył był kilka godzin wcześniej, nie wytrzymałszy suchej atmosfery kolejnego samotnego dnia.

Była sobie kiedyś wesoła, wydawałoby się, dziewczyna. Wesoła dziewczyna, która pragnęła śmierci. I która wzięła sobie, czego

pragnęła. Ale i był sobie cynik, który szukał śmierci, a który jej nie dostał. Zawsze liczył na to, że koniec nadejdzie już za chwilę, i z upragnieniem tej chwili wyczekiwał. W ten sposób przeżył kilkadziesiąt smutnych lat.

Był sobie kiedyś młody pijak - hedonista, któremu rozkosze ziemskie nigdy nie wystarczały, ponieważ każda ich chwila była okupiona dwoma chwilami smutku. Pijak też pragnął śmierci. Pijak wziął sobie śmierć, tak jak śmierć wzięła sobie ryzykanta, który kiedyś sobie był.

Był sobie kiedyś dobry człowiek, któremu los zabrał rodzinę. Przez jakiś czas pragnął on ujrzeć koniec, lecz nikt nie chciał mu go ofiarować. Później dobry człowiek docenił ten fakt.

Był sobie kiedyś wariat - nie potrafiący czuć, choć bardzo tego chciał. Pustka uczuciowa zmęczyła go tak bardzo, że postanowił odpocząć na wieki. Dzięki pragnieniu śmierci nauczył się czuć i docenił tego wartość, lecz uczucia zostały mu szybko odebrane. A to był ciężki cios. Sfrustrowany wariat odebrał sobie życie, aby mieć pewność, że już nigdy nic nie poczuje.

Była sobie kiedyś dziwka. Dziwka uciekła od życia; życia pełnego głupoty, pełnego bezsensu, pełnego beznadziei i pełnego pustki. Uciekła tak daleko, że już nigdy nie zdołała doń powrócić.

Niewyraźna postać powstała i jeszcze chwilę patrzyła na wciąż świeży grób. Kiedy odwróciła wzrok, postanowiła już nigdy nie spoglądać na to miejsce. Jak postanowiła - tak uczyniła; nigdy więcej jej noga nie stanęła na cmentarnej ziemi, a grób został szybko zapomniany.

A echem rozbrzmiewały ostatnie słowa jednej z piosenek barda:

„i w ogóle wszystko, co przeszkadza nam spokojnie leżeć na słońcu, trzymając ręce na piersiach panienek, i patrzeć na chmury typu cumulus w kolorze białym...

Natomiast niebo jest przy tym niebieskie.”

military



Scooter Fox ::: Odcienie szarości

„Schowajmy się... Ukryjmy się... Zanim nas znajdą, zanim nas stąd zabiorą... Chodź, chodź za mną... Oni nas szukają, oni na nas polują... Chcą zabrać nam wszystko co mamy, chcą zabrać nam wszystko, wszystko...”

„Ale... ale ja ich znam...”

„Uciekajmy, ukryjmy się... Zanim nas skrzywdzą...”

„Ja ich znam, znam ich bardzo dobrze, oni nie zrobią mi... nam nic złego!”

„Schowajmy się, ukryjmy się, niech nas nie zobaczą, niech pójdą szukać gdzie indziej, niech opuszczą to miejsce...”

„...nie, ja chcę wrócić...”

- Naprawdę?

Cisza. Ledwie słyszalny szelest suchych liści kruszonych twardymi podeszwami butów wobec braku innych dźwięków potęgniał, drażniąc uszy niczym łomot pneumatycznych młotów. Liście drzew zaczęły nagle żółknąć - wszystkie, bez wyjątku. Trawa schła momentalnie, zamieniając się pod stopami w proch. Błękitne niebo przykryły ciężkie, niemal czarne chmury, zwiastując deszcz. Pierwsza kropla spadła nieśmiało na ziemię, a za nią podażyły miliony, lecz nie kropel, ale błękitnych iskier, palących wszystko wokół.

Postacie zbliżały się. Ich kroki odbijały się coraz głośniejszym echem. Las płonął bezgłośnie.

- Naprawdę chcesz wrócić?

Chwila zastanowienia.

„Nie... nie chcę...”

„Chodź, chodź za mną, zanim nas znajdą, zanim nas zabiorą...”

„Dobrze, chodźmy...”

Odeszli, a za nimi błękitne iskry zmieniały się z powrotem w krople krystalicznie czystej, ożywczej wody. Ogień zgasił po chwili; trawa, liście i drzewa odzyskały swój normalny kolor. Gdzieś w oddali dzieciół bojaźliwie stuknął w korę, lecz nie odnotowując żadnych oznak dezaprobaty śmiało powrócił do czynności, z której był najbardziej znany. Postacie zniknęły we mgłę snującej się tuż poza zasięgiem ludzkiego wzroku.

* * *

Godzina dziesiąta wieczorem. Słońce zaszło już dawno temu; w pokoju panowała ciemność, gdyby nie włączony telewizor, dający słabe, niebieskawe światło. W odległości dwóch metrów od odbiornika siedział rozparty na nieco już rozpadającym się fotelu młody mężczyzna o opadających na oczy blond włosach. Na oparciu leżała zaplamiona koszula; po podłodze walały się wśród resztek zamówionej pizzy stare skarpetki. Gdzieś obok fotela na stercie zeszytów leżała otwarta, odwrócona grzbietem do góry książka, kryjąc za sobą foliową siatkę wypełnioną pustymi puszkami po piwie. Pokój studenta.

Rozpoczął się serwis informacyjny. Strajk górników, odrzucenie kolejnego bezsensownego wniosku w sejmie, zamach w Izraelu, odwet w Palestynie i zapowiedź następnego zamachu... to go nie interesowało. Cekał tylko na jedną wiadomość, a był pewien, że nie zostanie ona pominięta. Nie mylił się.

- Dzisiaj rano znaleziono kolejną ofiarę tajemniczej epidemii nieznaną dotąd odmiany śpiączki. Tym razem choroba zaatakowała dziewczętnastolatkę z Koszalina, niedoszlą studentkę Uniwersytetu Warszawskiego, od niespełna miesiąca mieszkającą w stolicy. Lekarze, podobnie jak w poprzednich przypadkach, również teraz zaprzeczają istnieniu jakiegokolwiek epidemii i wstrzymują się od dalszych komentarzy...

Mężczyzna siedzący przed telewizorem uśmiechnął się pod nosem.

- Nie ma mowy o epidemii śpiączki. - Pokazywano teraz jakiegoś doktora medycyny. - Nic nie łączy owych przypadków ze sobą. U każdej z chorych osób...

Student, usłyszawszy to, co chciał usłyszeć, zaczął przełączać kanały dokładnie tak, jak ktoś nie mający niczego lepszego do roboty. Pokój oświetlały teraz blaski migających jedynie filmów, reklam, reportaży i wszelkiego rodzaju programów rozrywkowych. Mężczyzna zatoczył w ów sposób kilka kręgów wokół oferty lokalnej kablówki, aż wreszcie zatrzymał się na kanale, który oglądał jeszcze przed chwilą. Serwis informacyjny wciąż trwał, postanowił więc obejrzeć go do końca.

- Na tym niestety nie koniec tragicznych wypadków - mówił prezenter. - Pod Olsztynem Fiat Punto zderzył się z nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówką. Policja przypuszcza, że do wypadku mogło dojść wskutek nietrzeźwości kierowcy samochodu osobowego, który zginął na miejscu razem z dwójką pasażerów: żoną i synem. Trzecia pasażerka, siedemnastoletnia córka kierowcy z lekkimi obrażeniami została przewieziona do szpitala...

Student nie słuchał już dalej. Wstał z fotela i wyszedł do przedpokoju, gdzie stała stara szafka na buty. Wyciągnął z kieszeni długopis i otworzył zeszyt leżący przed nim. Zapisane w nim było ledwie parę stron; każda z nich zawierała listę kilku bądź kilkunastu nazwisk wraz z dołączonymi do nich podstawowymi danymi osobowymi. Obok każdego imienia widniały napisane ołówkiem dwie litery: „OK”. Wyjątkiem było ostatnie, lecz teraz właśnie tam mężczyzna umieścił analogiczny napis.

Przewrócił stronę. Powitały go rzędy nie wypełnionych jeszcze linii. Przytknął długopis do papieru, lecz wstrzymał się na moment, szukając czegoś w pamięci. Jednak już po chwili na kartce znajdowała się pierwsza pozycja kolejnej listy: Anna Szmid.

- Tym razem długo przyszło mi czekać - mruknął do siebie, wracając na fotel.

* * *

Rankiem następnego dnia przed drzwiami tego samego mieszkania stanęło dwóch ludzi ubranych w mundury policyjne. Jeden z nich zadzwonił, podczas gdy drugi uważnie obserwował korytarz. Jednak, a być może na szczęście, nikt w tym akurat momencie nie czuł potrzeby wyjścia z mieszkania czy też pojawienia się na klatce schodowej z tego czy innego powodu. Zza drzwi rozległo się standardowe „Kto tam?”, rzucone rozespanym głosem i poparte szuraniem kłapek po podłodze. Kiedy tylko padła oczywista odpowiedź („Policja!” naturalnie), wszelkie odgłosy dobiegające z mieszkania ucichły, lecz tylko na chwilę, gdyż parę sekund później dało się usłyszeć powolne otwieranie zamków. Drzwi otworzyły się i stanął w nich student o zmierzwionej blond czuprynie ze zdziwieniem i niewielką dawką ciekawości malującym się na jego twarzy.

Nie zdążył nawet otworzyć ust, gdyż jeden z mundurowych rzucił się na niego. Zanim się zdążył zorientować, leżał unieruchomiony na podłodze plecami do góry. Drugi z policjantów podszedł do niego, ukląkł, uniósł nieco jego głowę i spojrzał mu głęboko w oczy. Nie trwało dłużej niż parę sekund. Obaj napastnicy wymienili między sobą spojrzenia, po czym odsunęli się, pozwalając wstać studentowi. Ten nie mówił nic przez chwilę, oszołomiony, ale gdy tylko doszedł do siebie, wrzasnął:

- Co to ma znaczyć?!

- Prosimy o wybaczenie - odrzekł jeden z mundurowych. - Zaszła pomyłka.

- Nie możecie tak robić! To wbrew prawu!

- Przepraszamy za najście. Już wychodzimy - dodał drugi, po czym obaj wyszli z mieszkania i skierowali się po schodach na dół. Odprowadzały ich przekleństwa i złorzeczenia studenta.

- Nie zdążyliśmy - zaczął pierwszy, kiedy tylko opuścili klatkę schodową.

- Owszem. Musimy zacząć poszukiwania od początku. Trzeba zawiadomić pozostałych... Jak myślisz, gdzie on może teraz być?

- zapytał drugi.

- A gdzie go może teraz nie być? - prychnął w odpowiedzi pierwszy, wsiadając do samochodu. Po chwili obaj odjechali sprzed bloku.

* * *

Drobna brunetka stała na schodach wiodących do szpitala. Rozglądała się w nadziei, że ujrzy kogoś znajomego. Niestety, poza przypadkowymi przechodniami w pobliżu nie było nikogo. No, chyba że wziąć pod uwagę jakiegoś łysiego dresa stojącego obok białego malucha. Nie poprawiał jej samopoczucia fakt, że ów koleś wpatrywał się w nią cały czas. Założyła okulary, wyjęte przed chwilą z plecaka, i zaczęła schodzić na dół, starając się ignorować natręta. Gdy tylko zbliżyła się do niego (a musiała go minąć, bo stał jej na drodze), ten uśmiechnął się.

- Co robiłaś tam tyle czasu? - zapytał. Brunetka minęła go bez słowa, umyślnie zwracając wzrok w inną stronę. - Hej, poczekaj!

- zawołał, widząc że dziewczyna odchodzi.

Chciała uciec, taka była jej pierwsza myśl wywołana odruchem, ale stanęła, odwróciła się i poczekała na łysiego.

- Anna Szmid, tak? - Brunetka potwierdziła skinieniem głowy. - Możesz poświęcić mi chwilę swego cennego czasu? - zapytał, a wobec braku odpowiedzi, kontynuował. - Jestem, czy może raczej byłem przyjacielem twojego brata.

- Wątpię.

- Czemu?

- Mój brat nie zadawałby się z... kimś takim jak ty - dokończyła, próbując tak dobrać słowa, by nie obrazić dresa.

- No tak... - zaśmiał się. - Nie powinnaś oceniać książki po okładce. Zapytaj mnie o coś na jego temat, jeśli mi nie wierzysz - dodał.

- Jak się nazywał? - zaczęła Anka, ulegając ciekawości.

- Za proste. Piotr Szmid.

- Data urodzenia?

- Czternasty lipca 1982 roku.

Dziewczyna umilkła na moment, zaskoczona.

- No i co z tego? I tak ci nie wierzę. Ktoś mógł ci to powiedzieć. - Gdy skończyła, łysy roześmiał się szczerze rozbawiony.

- Rzeczywiście masz bujną wyobraźnię. Posłuchaj, i tak musisz jechać do Warszawy, tak? Mogę cię podwieźć.

W normalnych warunkach Anka za nic w świecie nie zgodziłaby się na taką propozycję. Coś jednak podpowiadało jej, że nie ma czego się obawiać. Zastanawiała się nad odpowiedzią, i to ją dziwiło najbardziej. W końcu, całkowicie wbrew swemu naturalnemu zachowaniu, wzruszyła ramionami i zgodziła się.

- Ale z Olsztyna do Warszawy jest sporo kilometrów. Jesteś pewien? - zapytała mimochodem.

- Specjalnie po to tu przyjechałem. Ach, właśnie, jestem Maciek.

* * *

Wszelchobecną zielen lasu wypełniały śpiewy wszystkich wymarzonych przez nią ptaków. Po błękitnym niebie płynęły powoli delikatne chmurki. Słońce pieściło delikatnie jej ciało, kiedy leżała na kwiecistej łące zatopiona w błogości. Motyl usiadł na jej dłoni, dając się obejrzeć w całej okazałości. Na gałęzi, dwa metry nad nią, usiadła sikorka i wpatrywała się w nią, przekrzywiając główkę. Żadnych trosk, żadnych zmartwień... Jakieś dziecko podbiegło do niej i podało jej duże, soczyste czerwone jabłko. Podziękowała mu uśmiechem i patrzyła, jak odbiega kryjąc się gdzieś wśród zielonej ściany liści. Raj na ziemi...

Usiadła, zobaczywszy pojawiającą się na polanie skrzydlatą postać. Motyl odleciał, ptaki umilkły, kryjąc się w koronach drzew.

Stał przed nią młody mężczyzna z niesamowicie białymi skrzydłami. Biła od niego aura spokoju i wyciszenia, a mimo to dziewczyna nie mogła pozbyć się niepokoju, zagnieżdżonego gdzieś na krańcach świadomości, a wychodzącego właśnie na zewnątrz.

- Nie obawiaj się mnie, Beato. - Jego głos brzmiał kojąco, a na jego twarzy trwał dobrośliwy uśmiech. - Przyszedłem ci pomóc.

„W czym?”

- Chcę cię stąd zabrać. - Zawiał lekki, ale chłodny wiatr. Dziewczyna zadrżała. - Chcę, byś wróciła do swych bliskich i zapomniała o tej iluzji, która cię więzi.

„Ale po co? Po co mam wracać?”

- Wróć do tych, którzy cię kochają, którym na tobie zależy.

„Im wcale na mnie nie zależy! Nie chcę tam wracać!”

W tym momencie za Beatą pojawił się drugi mężczyzna ubrany w sięgający ziemi ciemnobrązowy płaszcz. Podeszedł do dziewczyny i położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie musisz go słuchać - powiedział. - Pamiętasz? Wystarczy żebyś tylko chciała, a on, razem ze wszystkimi problemami, zniknie...

- Nie rób tego, Beato! Nie daj się oszukać!

„Podjęłam już decyzję...”

Skrzydlaty mężczyzna rozpylnił się w okamgnieniu. Przez chwilę brzmiał jeszcze w powietrzu jego niezrozumiały krzyk, lecz i po nim nie zostało śladu. Drugi zdążył w tym czasie odejść.

- Pamiętaj, nie daj nikomu zabrać ci twego szczęścia - rzucił za siebie i zniknął wśród drzew.

* * *

Jaki jest sens wracać, jeśli nie ma po co? Jaki jest sens zostawać i żyć, a może raczej egzystować, jeśli nie ma już nikogo, kogo chociaż trochę obchodził twój los? Jest jedno miejsce, gdzie możesz odejść. Miejsce, gdzie nie będzie żadnych trosk, bólu, cierpienia. Miejsce, gdzie nareszcie zaznasz spokoju. Miejsce, gdzie życie nie będzie już więcej rzucać kłód pod nogi. Miejsce, gdzie będziesz ponad wszystkimi i wszystkim. Czy... nie, ile razy marzyłaś o tym? Ile razy chciałaś rozwinąć swe skrzydła, lecz nie pozwalano ci na to? Ile łez uрониłaś nad tym światem, ile niepotrzebnych łez?

Wystarczy tylko chcieć, zaakceptować i uwierzyć. Trzeba odciąć się od całej reszty, uciec z mentalnego więzienia, w którym się urodziłaś, wychowałaś i w którym miałaś umrzeć. Masz wybór, moja droga. Masz szansę dostąpić zaszczytu pisanego nielicznym. Nie zmarnuj jej, Anno Szmid...

* * *

Anka otrząsnęła się. Musiała usnąć w samochodzie, gdyż wyjeżdżali właśnie z Mławy. Znała to miasto z licznych wizyt składanych ciotce od kiedy tylko pamiętała, aż do ostatniego roku. Wtedy ciotka zginęła w wypadku samochodowym... tak jak rodzice... Nie zdążyła wstrzymać łez cisnących się do oczu na samo wspomnienie o tych tragediach. Sięgnęła do kieszeni plecaka po chusteczkę i wytarła nią twarz. Spojrzała przy tym na Maćka, który, najwyraźniej będąc świadkiem tej krótkiej sceny, starał się jakby podnieść ją na duchu samym uśmiechem. „Dziwny facet”, pomyślała, patrząc na jego oblicze.

Błysk.

Zamknęła instynktownie oczy, lecz otworzyła je po chwili. Maciek kierował teraz całą swą uwagę na jezdnię. Przez ułamek sekundy widziała coś spoglądając na zwierciadła jego duszy. Coś, co miało związek z jej snem. Śniła o czymś, lecz nie potrafiła sobie w tym momencie tego przypomnieć. Różne wizje i słowa kłębiły się gdzieś w zakamarkach jej podświadomości, oczekując stosownej chwili na ujawnienie się; teraz jednak trwały skutecznie ukryte.

Anka spojrzała na drogę. Z naprzeciwka nadjeżdżał radiowóz. Zauważyła, że dwaj policjanci nim jadący zwracają szczególną uwagę na Maćka. Kątem oka dostrzegła, że ten nie pozostaje im dłużny. Nagle coś ją szarpnęło i wcisnęło w siedzenie. Małuch znacznie przyspieszył. Kilkanaście metrów za nimi rozległ się pisk opon - radiowóz efektownie zawrócił, rozpoczynając pościg. Uciekanie nie miało większego sensu. Stalowe pudło zwane inaczej małym fiatem radziło sobie jeszcze jakoś z małą prędkością, ale przy większej trzęsło się, krztusiło i wydawało z siebie inne złowieszcze dźwięki. Policja szybko nadrobiła dystans i wycie syreny stawało się coraz głośniejsze.

Po Maćku nie było wcale znać zastrzyku adrenaliny. Być może nawet go nie odczuł. Głuchy na krzykliwe pytania Anki cisnął przez jakiś czas do oporu pedał gazu, mimo że dobrze wiedział, jak się to wszystko skończy. W końcu, z widoczną rezygnacją malującą się na twarzy, przyspieszył nieuniknione, hamując gwałtownie. Nie czekał nawet, aż mundurowi podbiegną do niego, i samodzielnie, powolnym ruchem położył ręce na masce. Dał się obezwładnić i zaprowadzić do samochodu. Rzucił tylko dziewczynie na odchodnym przepaszające spojrzenie.

* * *

Spójrz, oto raj na ziemi. Raj, który modelujesz wedle swego życzenia, dopasowując go do swych marzeń. Będzie ci dane wszystko, czego tylko sobie zażyczysz. Oto miejsce, o którym ci opowiadałem, Anno. Podoba ci się? Czyż nie jest to lepsze od losu, jaki przygotowuje dla ciebie życie? Jaki już ci zgotowało? Zastanów się i podejmij dobrą decyzję. Pamiętaj, wystarczy chcieć i uwierzyć, a wszystko stanie się realne...

Masz tylko jedną szansę, nie zapominaj! Spiesz się, póki możesz jeszcze biec, moja droga, bo pewnego dnia obudzisz się zamknięta w celi własnej egzystencji bez nadziei na ratunek... Uciekaj!

* * *

- Wszystko w porządku?

Przez okno od strony kierowcy zaglądał do małego policjant, drugi zaś prowadził Maćka do radiowozu. Anka odruchowo rozeszła się nieprzytomnym wzrokiem tylko po to, by stwierdzić, że nadal jest tam, gdzie była. Coś znowu odcięło ją od rzeczywistości, tym razem jednak jedynie na moment. Ponownie obrazy i wizje ulotniły się gdzieś tak szybko, jak się pojawiły. Ich miejsce zajął natomiast, nie wiadomo skąd, tępy ból głowy.

- Tak, tylko trochę... boli mnie głowa - dziewczyna odpowiedziała powoli.

- Mam nadzieję, że nic pani się nie stało...

- Nie, skądże - zaprzeczyła ożywionym, zdawałoby się, głosem. - Właściwie to o co chodzi?

- Ma pani szczęście. Ten człowiek jest mordercą, a poza tym stwierdzono u niego schizofrenię.

Wbrew zamierzeniu owa wiadomość nie zrobiła żadnego wrażenia na dziewczynie, która wpatrywała się teraz w jakiś punkt na niebie. Policjant odchrząknął, lecz kiedy zauważył brak jakiegokolwiek reakcji, oznajmił tylko:

- Funkcjonariusze już tu jadą, by zabrać panią na komisariat. Proszę poczekać minutę lub dwie w tym miejscu i nie oddalać się. Przepraszamy za kłopoty... do widzenia - zakończył wreszcie, po czym wsiadł do radiowozu, który po chwili odjechał.

Anka nie poruszyła się nawet o milimetr, siedząc nieruchomo na swoim miejscu i patrząc, jak pojazd znika powoli za horyzontem, zostawiając ją zupełnie samą.

* * *

Na poboczu tkwiły nędzne szczątki policyjnego samochodu. Kierowca siedział na swoim miejscu, przecięty wpół nienaturalnie wygiętą blachą. Drugi funkcjonariusz leżał pod drzewem, które zakończyło ich trasę. Z szerokiego rozcięcia na czole i szyi krew nie płynęła już od jakiegoś czasu. Przestępca, którego przewożono, próbował najwyraźniej wyczołgać się z wraku, ale nie starczyło mu na to siły; jego ciało niemal pływało w szkarłatnej kałuży.

Trzy eteryczne postacie unosiły się nad ziemią w niewielkiej odległości od miejsca wypadku, obdarzając je ostatnimi spojrzeniami.

- A więc metody nie zmieniły się... - powiedział jakby sam do siebie jeden z duchów. - Dlaczego poświęciliście życia ludzkie?

- zapytał.

- Tak to już niestety jest. Nie ma bieli i czerni, są tylko odcienie szarości, sam wiesz - drugi westchnął. - Nie znoszę tego, ale...

- ...cel uświęca środki, tak? - dokończył pierwszy. Pozwoliłby sobie teraz zapewne na cyniczny uśmieszek, lecz jego obecna postać mu to uniemożliwiała. Nie uzyskał odpowiedzi. Poczekali jeszcze chwilę na efektowny wybuch samochodu rodem z filmów akcji i rozplnęli się w powietrzu...

...pojawiając się w miejscu niedostępnym dla śmiertelników. Wszystko tu zmieniało się nieustannie. Coś, co jeszcze ułamek sekundy temu mogło być ścianą, stanowiło w tej chwili nieokiełznaną, wielokolorową pustkę, by za kolejny ułamek sekundy zmienić się w następny wytwór chorej wyobraźni. Nic nie miało tu swego kształtu, będąc jedynie formą umowną. Każdy widział tu coś innego - swoje oczekiwania, a raczej niespełnione marzenia, na które nie starczyło już czasu, na które czasu już się nie znajdzie. W pewnym momencie coś mignęło przed nimi, podążając z jednego końca na drugi, gdzie pośród fal nieoznaczoności tkwił Końiec. Jak wszystko tutaj, i ten punkt z sekundy na sekundę atakował potencjalnego obserwatora szeregami przeróżnych obrazów. Stanowił jednak wyjątek pod jednym względem - miał określoną funkcję.

- Pójdiesz sam, czy mamy cię zaprowadzić? - spytał drugi z duchów.

- Pójdę sam - odpowiedział gorzko pierwszy.

Skoncentrował się, by móc przejść po drodze, jednocześnie nie będąc porwanym przez nurt. Poszczególne elementy otoczenia nabierały powoli stałej barwy i kształtu. Dwie postacie stojące tuż za nim były teraz młodymi mężczyznami ubranymi w białe szaty wyglądające na coś pośredniego między tuniką a kimonem. Z ich pleców wyrosły imponujące skrzydła. Wszechobecna furia kolorów stawała się jednolicie szarym tunelem z zawieszonymi w jego środku ciężkimi, marmurowymi płytami stanowiącymi powietrzny chodnik prowadzący prosto do Końca - nieskończenie czarnej materii.

Rozpoczął swój ostatni spacer. Nie spieszył się, nikt go też nie poganiał. Mężczyźni stojący za nim zniknęli po chwili, być może uważając to widowisko na nie nadające się do oglądania, wypełnili wszak swoje obowiązki. Spróbował nawiązać kontakt ze światem rzeczywistym, lecz ten został przerwany, nim zdołał osiągnąć cel.

* * *

Radiowóz zatrzymał się tuż przed białym Fiatem 126p, stojącym dokładnie tam, gdzie podano w niedawnym zgłoszeniu. Brakowało w nim jednak dziewczyny, która rzekomo nim jechała. Obaj policjanci wyszli z samochodu, rozglądając się wokół. Jeden z nich dostrzegł nareszcie Ankę, która szła rowem tuż obok szosy jakieś sto metrów przed nimi. Wymienili między sobą spojrzenia,

po czym puścili się za nią biegiem.

* * *

Był w połowie swej drogi, gdy tuż przed nim zaczęła materializować się jakaś postać. Kiedy tylko przeniosła się tu całkowicie, skupił się raz jeszcze, by wytworzyć jej prawdziwy obraz. Stał przed nim teraz mężczyzna o długich, prostych, kruczoczarnych włosach, w równie czarnym płaszczu. Widząc go sam postanowił przybrać jakiś określony kształt. Wybrał ten, jakim posługiwał się jeszcze kilkanaście minut temu - tysego dresa o imieniu Maciek.

- Kim jesteś? - zapytał, nie zatrzymując się.

- Nazywaj mnie Obserwatorem, Gabrielu - nieznajomy uśmiechnął się tajemniczo. Oczekiwał na kolejne pytanie, jednak żadne nie padło, ruszył więc za nim. - Nie zapytasz mnie skąd znam twe imię?

- Nie - uciął krótko, długowłose nie zraził się jednak jego postawą.

- Nie żal ci tych ludzi, których zabiłeś? - wytoczył najcięższe działo.

- Czemu chcesz to wiedzieć? - W głosie Gabriela czuć było bezsilną złość.

- Ciekawość, mój drogi. Widziałem już wiele rzeczy, lecz twoja postawa to coś nowego.

- Co masz na myśli?

- Zamiana nieśmiertelności na realizację własnych ideałów. Nikt inny nie zdecydowałby się na coś takiego. Niesamowite... - Obserwator zaczął najwyraźniej mówić do siebie.

- Po co mi to mówisz? - zapytał Gabriel z irytacją i zmęczeniem w głosie.

- Wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Nie żal ci tych ludzi?

Łysy uśmiechnął się z satysfakcją, nie przerywając swego marszu.

- Starannie ich wybierałem. Kompletne dno społeczne, oto czym byli. Kiedy zajmowałem ich miejsca, pomagałem ludziom podwójnie. Zdejmowałem ciężary z ich karków i pozbywałem się śmieci.

- A ten student?

- Żyje nadal, czyż nie? - padła szybka odpowiedź.

- Ciekawe podejście jak na kogoś takiego jak ty - Obserwator zaśmiał się cicho. - Naprawdę wydaje ci się, że im pomagałeś?

- Oczywiście - Gabriel nie powstrzymał swej dumy. - Popatrz choćby na tamtą dziewczynę, Beatę. Życie ją przytłaczało; wcześniej czy później i tak by się zabiła. Podcięte żyły, jakiś liścik na pożegnanie i koniec marzeń o lepszym jutrze. Ja ją uratowałem. Żyje teraz we własnym świecie, niezagrożona, z dala od jakichkolwiek niebezpieczeństw... ale proszę mi wybaczyć, bo mam właśnie coś do zrobienia. - Z tymi słowami przyspieszył kroku, zostawiając długowłosego mężczyznę za sobą.

- Poczekaj! - krzyknął za nim tamten. - A ostatnie życzenie?

Gabriel prychnął lekceważąco. Od niezmiernie czerni Końca dzieliło go już tylko parę kroków.

- A co ty możesz zrobić?

- Wszystko - odpowiedział spokojnie Obserwator, pojawiając się nagle tuż obok niego.

- To niemożliwe. Nie jesteś Bogiem.

- Rzeczywiście, nie jestem. I co z tego?

* * *

Przeciętny polski dom z przeciętną polską rodziną siedzącą przed przeciętnym zagranicznym telewizorem, oglądającą codzienny wieczorny serwis informacyjny. Dobrze ubrany prezenter podawał do wiadomości publicznej kolejne nowości z kraju i ze świata. - Dzisiaj miały miejsce kolejne wypadki drogowe. Samochód policyjny rozbił się o drzewo na drodze z Mławy do Przasnysza. Dwaj funkcjonariusze i trzeci pasażer zginęli na miejscu. Na tej samej trasie, kilkaset metrów dalej, Opel potracił siedemnastoletnią mieszkankę Mrągowa, która, natychmiast po przewiezieniu do szpitala, zapadła na nową, wciąż jeszcze nie zbadaną odmianę śpiączki, która zaatakowała ostatnio całą Polskę. Może czas podjąć odpowiednie...

Za kanapą, na której siedzieli ojciec, matka i ich czteroletnia córeczka, stał skrzydlaty mężczyzna w bieli, oglądając telewizję wraz z nieświadomymi jego obecności domownikami. W pewnym momencie dziewczynka wyjrzała zza oparcia i ujrzała swego stróża. Pomachała do niego rączką, on zaś uśmiechając się pomachał ręką do niej. Kiedy tylko odwróciła się do rodziców, wyszedł na balkon. Patrząc na ciemniejące stopniowo niebo szukając znanych mu gwiazdozbiorów, kiedy zauważył stojącego obok siebie znajomego, długowłosego mężczyznę w czarnym płaszczu. Powitał go w milczeniu.

- Dzięki za wszystko - powiedział. - Jak zdołam ci się...?

Obserwator powstrzymał go gestem dłoni.

- Nie musisz. Pamiętaj tylko, tak na przyszłość: świat nie składa się tylko z odcieni szarości. Jest też czysta biel i czysta czerń, trzeba je tylko umieć odnaleźć - rzekł.

- Tak, teraz już rozumiem - odparł Gabriel, lecz zorientował się, że mówi już tylko sam do siebie; jego rozmówca rozpląnął się w ogarniających świat ciemnościach. Został na balkonie jeszcze przez kwadrans, po czym udał się do pokoju dzieciennego, gdzie dziewczynka właśnie kładła się spać.

Scooter Fox

Konrad Staszewski ::: Opowieści z Przeklętej Doliny :: Część 3 i 4

Nie pamiętał nawet czy podziękował Simonowi. Chyba nawet się z nim nie pożegnał. Schował książkę, żeby nie zamokła i wybiegł z poczy. Skierował się w stronę biblioteki. Poślizgnął się na krawężniku i wyładował twarzą w kałużę. Nie zważał na nic. Wytarł rękawem twarz na tyle by widzieć drogę i pobiegł dalej.

Serce biło mu jak oszalałe. Jeszcze tylko dwie przecznice. Przebiegł już prawie całą drogę. Oparł się ciężko o barierkę. Już tylko trzy schody dzieliły go od drzwi. Wskoczył na nie bez namysłu. Chwycił klamkę i szarpnął - były zamknięte od wewnątrz. Uderzył w nie kilka razy pięścią ale grzmot go zagłuszył. Zaklął siarczyście i naparł na drzwi całym ciałem ale ustąpiły dopiero za drugim razem.

Błyskawica rozświetliła okolicę gdy wpadł do biblioteki. W przeblasku światła, błyskawice następowały jedna po drugiej już niemal bez przerwy, ujrzał Nikki stojącą w drzwiach prowadzących do głównej sali. Lampa trzęsła jej się w ręce.

Dziewczyna z przerażeniem w oczach spoglądała raz na wyłamane z zawiasów drzwi a raz na podnoszącego się z nich mężczyznę. Nie poznała go w pierwszej chwili i krzyknęła:

- Co Pan?! Biblioteka jeszcze zamknięta! Niech Pan wyjdzie albo wezwę żandarmów!

Odwrociła się i pobiegła do sąsiedniego pomieszczenia.

- Nikki!

Usłyszała krzyk i szybkie kroki zbliżające się w jej kierunku. Chwyciła stojący na szafce wazon ale nie zdążyła zacząć się za drzwiami.

Z początku myślała, że burza zniekształciła głos mężczyzny i upodobniła go do głosu Johna; że miała tylko przesłyszenia ale gdy stanął w progu i zapalił światło wazon wypadł jej z rąk i potłukł się na drobne kawałeczki. Oparła się o ścianę i zakryła twarz dłońmi.

Wyobrażał sobie jak tragicznie musiał wyglądać. Dopiero teraz zauważył krew na rękawie, jednocześnie poczuł dotkliwy ból nosa. Był cały zabłocony, brudny i śmierdząco od niego potem.

Nikki uchyliła nieco okno. Otrząsnęła się z pierwszego wrażenia.

- Jak Ty wyglądasz. Siadaj, - Przysunęła mu krzesło. - zaraz zrobię Ci okład.

Gdy wyszła z sali podniósł i dopasował wyłamane drzwi do zawiasów.

- „Prawie idealnie” - Pochwalił sam siebie półgłosem i wyjrzał zna zewnątrz ale nic się nie zmieniło - nadal padał śnieg z deszczem. W taką pogodę mało kto mógłby poznać, że drzwi są już tylko atrapą.

John zadowolony ze swego dzieła dopiero teraz usiadł przy stoliku. Dotknął złamanego nosa i pod palcami poczuł lepkać ciecz.

Jeszcze krwawił. W tej samej chwili usłyszał słowa nagany:

- Nie dotykaj. Trzeba to zdezynfekować bo wda się zakażenie.

Nikki zbliżała się do niego energicznym krokiem. W rękach niosła mały flakonik z jakimś nieznanym mu specyfikiem i kawałek czystego białego materiału. Wylała przezroczystą zawartość buteleczki na materiał i zbliżyła „opatrunek” do jego nosa.

- Z początku może troszkę szczytać ale wytrzymasz. Przyłóż go do nosa a ja wywieszę kartkę, że biblioteka dzisiaj będzie później otwarta.

- Dzisiaj zamykamy bibliotekę.

Chwycił ją tak zdecydowanie za rękę, że wypuściła z niej opatrunek. Zaskoczyło ją zachowanie brata.

- Dzisiaj nie otwieramy biblioteki. - Zadecydował. - Zapal więcej światła i siadaj.

Zawahała się ale zrobiła co kazał. Gdy już siedzieli naprzeciwko siebie John wyjął spod poły płaszcza książkę i w milczeniu, prawie z namaszczeniem położył ją na stole.

- To dla mnie? - Nikki prawie krzyknęła z radości i z nieukrywana nadzieją w głosie. W jej oczach znów tańczyły ciepłe płomyki szczęścia. Chciała podbiec i ucałować brata z radości, że jednak nie zapomniał o jej urodzinach. Ale nie wypadało jej tego robić, nie była już dzieckiem. Dzisiaj stała się kobietą, przynajmniej psychicznie a fizycznie - ciągle wierzyła, że znajdzie tego jedynego.

- To nie to co myślisz. - Odwrócił wzrok, żeby nie widzieć rozdzierającego serce zawodu w jej oczach i spojrzał na książkę. - To coś o wiele cenniejszego. - Powiedział jakby chciał się przed nią usprawiedliwić. - Wiesz co to jest?

- Książka. - Odpowiedziała lekceważąco. - Jak każda inna. Co może być w niej takiego interesującego?

Nie wiedział co jej odpowiedzieć, przecież nawet nie przejrzał tej książki, od razu przybiegł z nią do biblioteki. Ale...

- Popatrz na jej autora a raczej autorkę. - Poprawił się specjalnie podkreślając ostatni wyraz i wskazał na okładkę.

Nikki otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- To książka o naszej mamie. Kto ją napisał?

- To autobiografia. - Na potwierdzenie swoich słów pokazał jej tłoczony napis „Mary Mothman” na okładce.

- Pięknie zachowana. Skąd ją masz? Z jakiegoś muzeum? Musi być bardzo stara.

- Wręcz przeciwnie, Nikki. Ktoś mi ją przysłał. Książka jeszcze pachnie drukiem a raczej...

- Krwią. - Dokończyła przerażona. Wzięła książkę i szybko przewróciła kilka kartek. Johnowi mignęła przed oczami data jej wydania.

- To jej charakter pisma. Książka też wygląda jakby była nowa.

- Bo jest nowa.

Popatrzyła na niego.

- Chyba oszalałeś. Nasza matka nie żyje. Też do niedawna jeszcze się łudziłam. Ale to już dziesięć lat. John, ona już nie wróci. Musimy się w końcu z tym pogodzić.

- Nie znaleźliśmy ciała. - Upierał się John. - Śledztwo nic nie wykazało.

- Ty i to Twoje śledztwo. Wiedziałam, że kiedyś ta praca zacznie na Ciebie źle wpływać.

Powinieneś wyjechać gdzieś, odpocząć trochę.

- Tak, masz rację siostrzyczko, tak zrobię ale jak rozwiążę zagadkę jej zaginięcia.

Chciała coś powiedzieć ale nakazał jej milczenie przykładając palec do ust. Wziął książkę z jej rąk, odszukał datę, która wcześniej mignęła mu tylko przed oczami a gdy był już pewien, że się nie przywidział wskazał ją Nikki.

- Sama zobacz.

Dziewczyna nie wierzyła własnym oczom. Z wrażenia głos zamarł jej w gardle.

- Tak, ta książka została wydana w tym roku i nie mamy wątpliwości, że została ona napisana przez naszą mamę. Własnoręcznie. - Podkreślił. - Ale nie to mnie zastanawia. Wiemy już, że nasza matka żyje. - Zdawał sobie sprawę, że nie w pełni przekonał swoją siostrę ale... - Zastanawiają mnie tylko te znaki na rogach książki. - Wskazał je palcem.

- Może to jakieś symbole, też są napisane krwią. Myślisz, że to może być krew naszej mamy?

- Nie mam tej pewności. - Odpowiedział. - Dostałem też list z takimi samymi znakami. Przejrzałem książki w domu ale nie znalazłem w nich nic podobnego. Chyba, że poszukamy jeszcze tu, w bibliotece. - Zasugerował.

- A może ja Państwu w czymś pomogę?

Oboje jednocześnie spojrzeli w stronę skąd dobiegł ich nieznamy głos. Przed nimi stał mężczyzna. Cała jego postać była niesamowita. Ale najdziwniejsze były jego oczy - zdawały się zupełnie nie pasować do całej postaci, były to oczy bardzo starego człowieka, jakby sprzed wieków. Patrzył na nich spod szerokiego ronda czarnego kapelusza.

Pierwsza z wrażenia otrząsnęła się Nikki.

- Kim Pan jest? - Wstała z za stołu.

- Różnie mnie nazywają. Ale Wy mówcie na mnie Cagliostro.

Był wyższy od Johna o głowę a ubrany cały na czarno wyglądał na jeszcze wyższego. Popatrzył na stół i leżącą na nim otwartą książkę niby od niechcenia, po czym ponownie przeniósł wzrok na Johna i Nikki.

- Biblioteka dzisiaj zamknięta. - Odezwała się ostro Nikki.

- Zdaje się, że mogę Wam w czymś pomóc a Wy mnie. - Odparł gość zupełnie nie zwracając uwagi na jej słowa, jakby jej w ogóle nie było w bibliotece.

John nie odezwał się ani słowem, zmrużył tylko oczy. Nikki stanęła na wprost intruza a ten jakby dopiero teraz ją spostrzegł.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy. Jego oczy zatrzymywały się tylko na ponętniejszych częściach ciała młodej kobiety. Nikki czuła jak jej nogi uginają się pod spojrzeniem czarnych, nieprzeniknionych ale jakże czułych oczu gościa.

Może zapach jej perfum to sprawił a może dostrzegł co się dzieje, John otrząsnął się z marazmu.

- W jaki sposób?

Cagliostro w milczeniu siadł naprzeciwko niego.

- Jak już wspominałem jestem Cagliostro, a właściwie Hrabia Cagliostro Myślę, że Pan w swoim zawodzie spotkał się już z pewnymi informacjami na mój temat. - Dodał nieskromnie.

John próbował wrócić pamięcią do przeszłości. Faktycznie, raz czy dwa razy to nazwisko przewijało się w jego dokumentach.

Nawet jakaś grubsza sprawa była z nim związana ale teraz nie mógł sobie przypomnieć o co w niej chodziło, może o jakieś oszustwa albo uprawianie czarnej magii. Najpewniej o to drugie - zawsze na koniec wieku ludzie wracali do niebezpiecznych praktyk. Postanowił baczniej przyjrzeć się Hrabiemu.

Mogę się przyjrzeć księdze? - Cagliostro spytał dla formalności. Położył na niej dłoń i energicznie przysunął do siebie. W słabym oświetleniu komnaty Nikki dostrzegła sygnet, który odbijał się upiornym światłem. Nie wiedziała czemu ale poczuła jakiś niedający się wytłumaczyć pociąg do tajemniczego gościa. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana a serce chciało jej wyskoczyć z piersi. Wsłuchiwała się w każde wypowiedziane przez niego słowo, jego czuły namiętny głos rozpałał młode zmysły a oddech czuła na swoim ciele.

- To bardzo stare i prawie zupełnie już zapomniane pismo. - Cagliostro przeciągał każdą sylabę. - Te symbole, zwane runami, były używane zarówno jako zwykły alfabet i jako tajemny język magii. Dla wzmocnienia ich mocy często barwiono je własną krwią. Widzę, że ktoś próbuje wskrzesić starą tradycję. - Spojrzał czujnie na Johna. Ich oczy się spotkały i przyglądali się sobie w milczeniu jakby się badali, jak rewolwerowcy tuż przed pojedynkiem. Napięcie niebezpiecznie wzrastało. Nikki chciała przerwać irytującą ciszę i zwrócić na siebie uwagę Cagliostrowa ale Hrabia, jakby domyślając się jej zamiarów, zapytał nie spuszczać wzroku z przeciwnika.

- Skąd macie tę księgę?

- Dostaliśmy... - Zaczęła swym kuszącym głosem Nikki ale John natychmiast jej przerwał i sam dokończył:

- Dostaliśmy ją pomyłkowo. Listonosz nam dzisiaj przyniósł ale pewnie pomylił adresatów. - Gładko skłamał.

- Widocznie musiał ją dostarczyć zanim go widziałem, bo mnie mijał wyjeżdżając z miasta. Bardzo się śpieszył. - Mówiąc to Cagliostro nawet nie zmrużył oczu. Spojrzał na okładkę.

Nikki chciała coś powiedzieć ale John ponownie storpedował ją wzrokiem.

- Ciekawy zbieg okoliczności. Wygląda na to, że Mothman to dość popularne nazwisko. Rozumiem, że do tej książki był dołączony jakiś list. Mogę go zobaczyć? Choć pewno niejedna osoba Pańskiego nazwiska nosi także Pańskie imię. - Zastanawiał się głośno.

- Myślę, że w tej sytuacji nie powinna nas interesować treść listu a tylko miejsce zamieszkania adresata. Co nas interesuje czyjaś korespondencja?

- Słusznie, - Przytaknął Cagliostro. - ale w Pańskim zawodzie...

- Właśnie w moim zawodzie najważniejsza jest dyskrecja. - Uciął kategorycznie.

Wyjął z kieszeni zaadresowaną kopertę i położył ją tuż przed Hrabią. Ten tylko spojrzął na nią przelotem.

- Przekłeta Dolina. - Zamyślił się. - Kiedy chcieliby Państwo tam jechać? - Spojrzał znacząco na Nikki.

John szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Nie wiedział co odpowiedzieć. Kontem oka dostrzegł jak w oczach Nikki zapaliły się ogniki i cała jej twarz oblała się rumieńcem. Dobrze znał dziewczęce żądze, które w niej drzemały. Cagliostro miał ją na wyciągnięcie ręki.

- Pomyślałem, że najlepiej będzie osobiście przekazać tę księgę adresatowi. Nie możemy pozwolić, żeby znów trafiła w niepowołane ręce.

John miał dziwne przeczucie co do siedzącego naprzeciw niego gościa, ale nie mógł nie przyznać mu racji - lepiej jak sam odda list. Poza tym coraz bardziej intrygowała go ta sprawa.

Cagliostro, jakby odgadując jego myśli rzekł, znów patrząc mu prosto w oczy:

- Takie przypadki raczej rzadko się zdarzają. Pan jest dość znaną osobistością i często można o Panu czytać w różnych gazetach. Nie sądzę, żeby to był przypadek, a jeśli mam rację to sprawa godna kogoś takiego jak Pan.

- Ale wystarczy nas dwóch.

- Ta biblioteka, z tego co wiem z dobrych źródeł, jest Pańską własnością. Zgadza się?

- Ma Pan dobrych informatorów. Kim oni są?

- Nigdy nie zdradzam swoich mocodawców ale mogę Pana zapewnić, że udzielę nam wszelkiej pomocy. A to najważniejsze. Zdaje mi się także, że ta młoda kobieta może nam pomóc.

Johnowi zdawało się, że dostrzegł dwuznaczny uśmiešek na twarzy rozmówcy.

- Nikki, w żadnym wypadku z nami nie pojedzie.

- Niech Pan pomyśli rozsądnie. Ja mało wiem o tej sprawie - tylko znam to pismo, Pan ostatnio siedzi za biurkiem; z braku czasu to ona prowadzi bibliotekę. Jej wiedza na temat niektórych książek może nam się bardzo przydać.

- Wykluczone. - Powtórzył i tak spojrzął na Nikki, że spuściła wzrok i wolno wyszła do drugiej komnaty. Gdy zamknęła drzwi usłyszała jej cichy płacz. Też posmutniał. Żal mu jej było ale już podjął decyzję i nie zamierzał jej zmieniać.

Cagliostro także patrzył w ślad za nią. Może miał nadzieję, że jej ogniasty temperament weźmie górę. Że zbuntuje się, wróci i będzie walczyć ale nic takiego się nie stało - zamknęła za sobą drzwi i płakała. Hrabia był zawiedziony ale nie dał tego po sobie poznać.

- Myślę, że jutro moglibyśmy wyjechać. - Powiedział beznamiętnym głosem. - Spotkajmy się jutro w południe na stacji Jednego Szlaku. Odpowiada to Panu? Myślę, że zdąży się Pan spakować.

- Trzy dni urlopu dobrze mi zrobi.

Hrabia rzekł wolno, przeciągając każdy wyraz:

- Sprawa może wymagać od nas dłuższego pobytu w dolinie.

John chciał jeszcze coś powiedzieć ale Hrabia, zupełnie niespodziewanie, wstał od stołu i wyciągnął rękę na pożegnanie. John także się podniósł.

- A jaki Pan ma w tym interes? - Zapytał gdy się żegnali.

- Powiedzmy, że jest mi Pan zapisany w gwiazdach.

Nim zdążył zadać kolejne pytanie, Cagliostro omiótł swym długim płaszczem podłogę i wyszedł z budynku. Przy wyjściu rzucił tylko przez ramię:

- Do jutra John.

Nie wiedział czy to świst wiatru czy głos Hrabiego, ale zdawało mu się, że słyszał jeszcze:

- Do zobaczenia wkrótce Nikki. - i aż ciarki przeszły mu po ciele. Ten głos wydawał mu się jakiś taki inny, jakby nie ludzki.

Siedział jeszcze chwilę w milczeniu. Może był przeczulony ale Cagliostro mu się nie podobał. Ale nadal nie mógł sięgnąć pamięcią w przeszłość. Jakby ktoś wyciął z niego wiadomości tak jak kasuje się dane z komputera.

Wsluchał się w odgłosy pokoju. Na zewnątrz ustawała już burza. Mógł spokojnie iść do domu, zastanowić się nad zaistniałą sytuacją i przygotować się do wyjazdu. Dziwna cisza dochodziła z komnaty, w której zamknęła się Nikki. Czyżby zasnęła? Dzwini były zamknięte, chociaż wcześniej - był tego pewien - słyszał jak przekręcała klucz w zamku. Ale nie to było najdziwniejsze, ale to, że dziewczyny nie było w pomieszczeniu. Przeszukał wszystkie zakamarki. Ta komnata była właściwą biblioteką - ogromna, z kilkudziesięcioma szafami i regałami od podłogi do sufitu wypełnionymi najrozmaitszymi książkami, często nawet jemu niewiadomego pochodzenia. Nie wiedział jakie tajemnice kryją te alfabetycznie opisane półki, wiedział natomiast co ma zrobić. Tylko dla uspokojenia własnego sumienia podniósł książkę leżącą na najbliższej półce. Spojrzał na tytuł: „Zapomniane Symbole i Rytuały w Magii”. Nazwiska autora nie był już w stanie odczytać. Odłożył ją na miejsce i dopiero teraz dostrzegł postrzępioną kartkę. Jej róg ledwo był widoczny z pod wiekowej okładki. Szybko rozłożył kartkę i podszedł z nią bliżej światła. Stał pod samym żyrandolem. Na kartce były napisane tylko cztery słowa. Bez trudu rozpoznał pismo Nikki. Te cztery słowa wystarczyły, żeby kropelki potu wystąpiły mu na czoło i cały pobladł ze strachu. W jednej chwili stracił resztkę siły i ciężko opadł na krzesło. Kartkę położył na biurku i przyglądał się jej otępiały. Blask świec bijący z żyrandola tylko podkreślał, jakby patrzące na niego ironicznie litery. Przeczytał jeszcze raz wiadomość od Nikki.

- Jestem w Przeklętej Dolinie.

- „Czy to możliwe, żeby pojechała sama? Ale jak? Kiedy? Musiała się wymknąć jak był zaprzątnięty rozmową z Hrabią. Ale przecież trwało to bardzo krótko. A może ta biblioteka ma jakieś drugie drzwi, o których nic nie wiedział. Ale skąd wiedziała gdzie jest ta dolina i jak się do niej dostać? To pewnie sprawa tego Cagliostra. Nikki na pewno jest już w drodze a ja muszę się dowiedzieć z kim mam do czynienia”.

Zapiął płaszcz, schował książkę, żeby nikt jej nie widział i wybiegł z budynku. Nawet nie pogasił światła ani nie zamknął drzwi

- najwyżej zawistni ludzie puszcza bibliotekę z domem. Teraz najważniejsze było życie Nikki.

Wiedział co ma robić.

Słońce wolno wychodziło z za chmur. Może chociaż troszkę ogrzeje świat. John podszedł do rozmawiającego z kimś nieopodal jakiegoś woźnicy.

- Ma Pan teraz wolny Kurs?

Tamten spojrzał na niego groźnie. Nie był zadowolony, że ktoś mu przerywa opowiadanie plotek.

- Mam. - Odparł sucho i ponownie zwrócił się do swego rozmówcy.

- Niech mnie Pan zawiezie na Guardian Street.

- Panie... - Zaczął grubiańsko woźnica.

- Mothman. - To jedno słowo wystarczyło, żeby zmienił swój stosunek do Johna. Widocznie skojarzył fakty: miasto, ulicę i nazwisko. Mógł nie rozpoznać Johna, szczególnie, że teraz wyglądał jak żebrak a nie jak szanujący się stróż prawa - zresztą zawsze uchodził za ekscentryka. Przyzwyczał się do tego. Nawet był zadowolony, że wyróżniał się jakoś z tłumu.

Nie oglądając się dłużej na woźnicę, wskoczył na zydeł furmanki. Nie musiał długo czekać. Nim się obejrzał skonfundowany woźnica szybko pożegnał się ze swoim rozmówcą i energicznie chwycił lejce. Siadł przed Johnem i z miejsca ruszyli galopem.

Woźnica próbował się wytłumaczyć przed Johnem ze swojego zachowania ale ten słyszał tylko co któreś jego słowo. Zrozumiał, że tamten jest nowy w mieście i, że tylko dorabia jako woźnica. Tak naprawdę jest lekarzem i ma własną praktykę. Reszty nie dosłyszał ale nie pytał bo już dotarli do miejsca podróży. John zeskoczył lekko z wozu i poślizgnął się na zamrzniętej kałuży ale utrzymał równowagę.

- Ile płacę? - Zapytał sięgając do kieszeni płaszcza.

- Nic. - Woźnica uśmiechnął się przyjaźnie.

- Ale ja nie jestem żebrakiem.

- Wiem. Powiedzmy, że jest Pan moim honorowym klientem. Jeśli mi Pan zapłaci, będę czuł się zobowiązany osobiście zwrócić Panu pieniądze.

John wyjął z kieszeni ile uznał za stosowne i wręczył pieniądze woźnicy.

- Wspominał Pan, że jest lekarzem. To na praktykę.

Woźnica chciał coś powiedzieć ale John machnął tylko ręką i dodał:

- Poza tym Pańska wiedza medyczna może mi się kiedyś przydać.

Odwrócił się i zaczął wchodzić po krętych schodach do budynku. Usłyszał za sobą oddalający się chrzęst końskich kopyt na śniegu.

Pokonał kilkanaście schodów i znalazł się na wysokości drugiego piętra budynku. Zawsze wchodził do swojego biura tylnym wyjściem - omijał w ten sposób liczne korytarze, biura zazdrosnych pracowników i docinki i zaczepki ze strony współpracowników. Cenił sobie swój czas.

Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka. Cicho zamknął za sobą drzwi - nie chciał, żeby ktoś wiedział, że jest w pracy, żeby ktoś mu przeszkadzał. Zanim oczy przyzwyczały mu się do ciemności potknął się o coś, jakby krzesło leżące na środku biura ale nie przypomniał sobie, żeby je przestawiać. Po paru krokach dotarł do okna i otworzył okiennice. O mało nie krzyknął z przerażenia gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca ogarnęły pomieszczenie. Nie było go zaledwie dwa dni a nie poznawał swojego biura. Dokumenty potargane, niektóre pomięte leżały prawie wszędzie, gdzie się rozejrzył. Meble połamane, nie miał nawet na czym usiąść. Z każdym krokiem, gdy przemierzał biuro, słyszał pod butami chrzęst drzazg. Nawet metalowy sejf miał wytłamany zamek.

- „Ktoś się nieźle natrudził. Ale czego szukał? Może tego co ja”. - Pomyślał i zaczął grzebać w papierach. Szukał jakichś gazet, wycinków prasowych albo notatek służbowych. Nic, co mogłoby go naprowadzić chociaż na ślad Cagliostra.

Zawiedziony usiadł na podłodze i ukrył twarz w dłoniach. Nie miał już innego wyjścia, musiał jechać w ciemno i zaufać przeznaczeniu. Wszystkie możliwe dowody przemawiające przeciwko Hrabiemu przepadły. Podniósł z podłogi kawałek papieru i poszukał czegoś do pisania i do przytwierdzenia jej do drzwi. Znalazł ołówek, sam nie wiedział gdzie, jakby sam nawinał mu się pod rękę. Napisał kilka słów i przyczepił kartkę do futryny od strony korytarza. Ponownie zamknął okiennice i wyszedł z budynku tak jak wszedł. Nikogo nie zawiadomił o włamaniu - wolał wszystko załatwić osobiście.

Gdy zszedł po schodach, skierował się w stronę domu. Postanowił się przespacerować, może powiew świeżego powietrza podsunie mu jakiś pomysł do głowy.

Z drugiej strony Guardian Street do Budyńku Straży, zaprzągnięta w kilka koni zbliżała się furmanka. Siedzący w niej mężczyźni co i raz poganiali woźnicę okrzykami.

- Obyśmy tylko zdążyli! - Basowy głos dochodził z jej środka.

Konrad Staszewski

Tanatos ::: Plaga :: Część 3 (ostatnia)

Obudziły mnie czyjeś kroki. Otworzyłem oczy, przyzwyczajając wzrok do mroku rozświetlanego przez gwiazdy. Nikłe światło docierało do środka przez ogromne szyber dachy. Spojrzałem na podświetlaną ultrafioletem tarczę zegarka. 2.00 w nocy. Wstałem powoli z podłogi, rozprostowując kości. Zobaczyłem, że jeszcze trzy osoby śpią w tym samym pomieszczeniu co ja, na prowizorycznych posłaniach.

Wyjrzałem na korytarz drugiego piętra.

Zobaczyłem Radka wyłaniającego się z mroku..

- Nie śpisz? - zapytał.

- Właśnie się obudziłem.

- Odpocznij.

- Wszystko w porządku? - Spojrzałem na krótkofalówkę, którą trzymał w dłoni.

- Kilka potworów przechadza się wokół budynku. Szukają wejścia do środka. Bez obaw. Mamy na wszystko oko. Nie wedrą się tutaj.

- Może w czymś pomóc? - zaoferowałem.

- Nie trzeba.

- Dalej szaleje burza? - zapytałem, słysząc powtarzające się co jakiś czas grzmoty.

- No niestety. W życiu nie widziałem tak wielkiej burzy. Mogłaby się już skończyć.

- Faktycznie - przyznałem, wpatrując się w jego niebieskie oczy świdrujące ciemność.

- Marzy mi się, żeby jak za dotknięciem magicznej różdżki wszystkie stwory znikły - Uśmiechnąłem się, lecz przed wypowiedzeniem następnego zdania spowaźniałem.

- A czy nie masz wrażenia, że to się nie skończy? Że to może być koniec świata?

- Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

Radek zaskoczył mnie spokojem, z jakim wymawiał każde słowo.

- Jeżeli te mutanty rozprzestrzenia się na całą Polskę, a później na inne kraje... - snułem czarne wizje.

- Może już się rozeszły.

- To brzmi jak tani horror.

- Trudno uwierzyć, ale to jest prawdziwe.

Pokiwałem głową, Radek kontynuował:

- Mamy małą szansę na ocalenie. Usłyszałem w radiu, że nawet wojsko nie radzi sobie z mutantami, bo jest ich tak wiele.

- Cholera...

Na kilka sekund zapanowała cisza.

- Masz rodzinę? - podjąłem.

- Nie. A ty?

- Też nie.

- Powiedzmy, że nie wszystkie moje plany na życie ułożyły się tak, jakbym tego oczekiwał. - Powiedział to z pełną powagą. - Śpij dalej. Na razie.

Odszedł w mrok, pozostawiając po sobie jedynie głośnie kroki czarnych, skórzanych butów.

Położyłem się z powrotem na bluzach, nie robiąc hałasu. Nie chciałem zbudzić „towarzyszy niedoli”.

Długo nie mogłem zasnąć. Myślałem nad tym, co usłyszałem od Radka, a im dłużej rozmyślałem nad jego słowami, tym coraz mocniej utwierdziłem się w przekonaniu, że ma rację. Nagle dostałem gęsiej skórki. Lepiej nie myśleć o niektórych rzeczach.

Podparłem głowę ramieniem i wpatrywałem się w ciemność rozświetlaną błyskawicami.

Obyło się bez niespodzianek, stwierdziłem, budząc się przed ósmą. Nad ranem nastąpił jeden incydent, kiedy małpojaszczury zabrały się za sforsowanie drzwi awaryjnych, ale nie zdołały osiągnąć zamierzonego celu. Nawet jeżeli przebiłyby się przez wejście, tuż za nim czyhali w pogotowiu ochroniarze, z odbezpieczoną bronią. Budynek jest w miarę dobrze obstawiony.

Zszedłem na parter w poszukiwaniu jedzenia. Podczas drogi ciągle myślałem o moich przyjaciółach i rodzicach, do których w dalszym ciągu nie mogłem się dodzwonić. Miałem najgorsze przeczucia, lecz tłumiłem w sobie niezdrowe emocje na tyle dobrze, by nie dać po sobie znać, że jestem straszliwie zasmucony.

Pełen obaw, z szarganymi nerwami, próbowałem nie myśleć o trapiących mnie problemach, więc skupiłem się na jedzeniu. Z parteru skierowano mnie na drugie piętro, gdzie znajdował się „Orient express”. Kucharz, który został w sklepie przyrządził dla wszystkich kebab w sosie ostrym lub łagodnym, zależnie od gustu. Wyglądało smacznie, pachniało nieźle, smakowało ohydnie. Kebab był wyborny, ale oczywiście poprosiłem o sos ostry. Myślałem, że zaraz wypali mi gębę. Kilka osób spożywających razem ze mną posiłek spojrzało na moje wytrzeszczone oczy z uśmiechem.

Młody, przystojny mężczyzna, z wyraźnym zarostem, stwierdził:

- Ha! Nigdy nie biorę ostrego.

Spojrzałem na niego ze zmarszczonym czołem, dając mu do zrozumienia, że nie bawią mnie takie żarty, lecz po chwili mimowolnie posłałem mu uśmiech i powiedziałem:

- Ostatni raz jem coś orientального.

Wszyscy wokół wybuchnęli śmiechem, głównie z powodu miny, jaką musiałem wtedy zrobić.

- Szeffie wody! - zawołałem do kucharza stojącego za ladą.

Posłał mi spojrzenie, z którego wynikało, że jest w pełni usatysfakcjonowany moją reakcją. Pewnie to był tzw. chwyt marketingowy. Klient zamawiał kebab w sosie ostrym i po chwili musiał dorzucić pieniądze za napój. Tak to się robi, zaśmiałem się w duchu. Dobrze zbudowana kobieta przyniosła ustawione na tacy kubki pepsi. Rozdała napój wszystkim, którzy mieli na niego ochotę i poszła po dokładkę. Siedzieliśmy, jedliśmy i rozmawialiśmy.

- Czym się zajmujesz? - zapytał mnie ten sam mężczyzna, który wcześniej miał niezły ubaw z powodu widoku mojej miny podczas spożywania posiłku.

- Jestem dziennikarzem. A ty?

- Zdałem teraz maturę i wyjeżdżam za granicę. W Polsce nie ma roboty.

- Ja też wyjeżdżam - oznajmiła wysoka, szczupła kobieta o czarnych oczach i brązowych włosach. Musiałem przyznać, że jej spojrzenie wywarło na mnie niemałe wrażenie. Soczewki jej oczu nie były w stu procentach czarne, lecz miały bardziej grafitowy odcień. Taka kobieta nie mogła obojętnie przechodzić wśród mężczyzn, nie wywołując zainteresowania płci przeciwnej.

- Nie ma pani pracy? - zapytałem, lustrując wzrokiem jej piękne ciało ubrane w drogie, markowe rzeczy.

- Ach, nie. Po prostu szukam przygód. Lubię dobrą zabawę i ciekawe życie.

Pokiwałem głową.

- Chyba mamy tutaj wystarczająco dużo przygód - uciąłem rozmowę.

Skończyłem jeść i poszukałem Marty. Ktoś mi powiedział, że poszła do kina.

Udałem się do „Kinoplexu” i wszedłem do pierwszej z brzegu sali.

Całkowicie pusta. Niebieskie dywany i obicia ścian tworzyły wrażenie przytulności. Gdy stanąłem przed wielkim ekranem, poczułem się bardzo mały. Umieszczone w suficie okrągłe lampy dawały nikłe światło. W półmroku dostrzegłem coś jeszcze. Z całą pewnością nie był to człowiek. Widziałem zarys ogromnej sylwetki. Coś siedziało na fotelu w środkowym rzędzie i wpatrywało

się w pusty ekran. Odwróciło głowę w moją stronę, a ja poczułem się jakbym zakłócił widzowi nieistniejący seans. Cofnąłem się. Włosy zjeżyły mi się na głowie, kiedy rozpoznałem, kto siedzi w sali kinowej.

Małpojaszczur poruszył się gwałtownie i zawył, a po plecach przeszły mi ciarki. Wybiegłem z kina. Krzyczałem na cały głos, darłem się, aż zaczęło boleć gardło. Wpadłem w tłum ludzi, wywracając kilka osób na ziemię.

- Co jest!? - Ktoś chwycił mnie za koszulę.

- Małpojaszczur! - wykrzyknąłem, upadając na podłogę.

- Gdzie?

- W jedynce - wskazałem palcem w stronę „Kinoplexu”.

Ochroniarze musieli usłyszeć gwar, gdyż zaraz zjawili się na drugim piętrze Sfery. Zobaczyłem Radka, który podał mi rękę i kolejny raz w przeciągu jednego dnia pomógł mi się podnieść z podłogi, oraz dwóch pozostałych mężczyzn w czarnych ubraniach.

- Co się dzieje? - zapytał jeden z ochroniarzy, nie tak potężny jak Radek, ale niebawale wysportowany. Z każdym jego ruchem pod obcisłą koszulką można było dostrzec napinające się mięśnie. Miał na imię Mariusz.

- W sali kinowej jest małpojaszczur - powiedziałem, otrzepując spodnie z kurzu.

- Niemożliwie - oznajmił Radek.

- Wszystkie wejścia były dokładnie obstawione - wtrącił Kieza. Tak zwracano się do trzeciego ochroniarza, który nosił okulary z przyciemnianymi szklami, a włosy miał obcięte na tak zwanego „jeża”.

- Chyba, że został tu od wczoraj - zaznaczył Radek.

- Chcesz powiedzieć, że to bydle siedziało tu całą nocą? - rzekł z niedowierzaniem, a zarazem z lękiem Mariusz.

- Trzeba to sprawdzić - oświadczył Kieza.

Podeszli do drzwi sali numer 1. Ochłonałem trochę i wraz z dwoma innymi mężczyznami ustawiłem się za plecami ochroniarzy.

- Przyda wam się pomoc - powiedział wysoki młodzien, kiedy Radek spoglądał na nas wymownie.

- Dobra.

Ostrożnie weszli do środka, z bronią gotową do strzału. Powoli przesunęli się przed ekran tak, aby mieć widok na całe pomieszczenie. Przypatrywali się rzędom foteli wznoszących się stopniowo w górę.

Zobaczyli jakiś kształt mający w mroku. Widziałem jak Mariusz posłał Radkowi pełne niepokoju spojrzenie. Kieza wycelował pistoletem na sylwetkę owianą ciemnością. Lewą dłonią wyciągnął za paską spodni latarkę. Włączył ją i skierował strumień światła na postać siedzącą w środkowym rzędzie.

Zamarłem.

To był małpojaszczur, tyle że w jego oku tkwił nóż sprężynowy. Wielka głowa zalana została krwią.

Radek spoglądał na mnie.

- Przysięgam, że ten małpojaszczur odwrócił głowę w moją stronę, gdy tu wszedłem. - Nie dodałem jednak, że wydawało mi się, iż słyszałem wycie bestii.

Podeszli do kreatury ostrożnie, nadal celując z pistoletu. Kieza popchnął głowę stwora łufą broni. Potwór przewalił się na podłogę.

- Zdechł.

- Musiało ci się przywidzieć - powiedział Mariusz.

Nie chciałem się z nimi spierać. Wyobrażenia podsunęła mi chory obraz zdarzeń. Widziałem jak małpojaszczur nagle ożywa i rzuca się szaleńczo na ochroniarzy niczym w tanim horrorze. Na szczęście jednak nic takiego nie nastąpiło.

- Co z nim zrobimy? - zapytał Mariusz.

- Niech tu gnije - odparł Kieza i zafundował małpojaszczurowi mocnego kopniaka. - Jeden zero dla mnie.

- Przydałoby się go wyrzucić, zanim zacznie śmierdzieć. Już trochę zalutuje.

- Chyba sobie żartujesz. Nie otworzę głównych drzwi.

- Kieza ma rację, nie możemy ryzykować - powiedział Radek. - Zbieramy się stąd.

Wycofaliśmy się wszyscy na korytarz, gdzie czekała na nas grupka ludzi, oczekująca nowin.

- Falszywy alarm - powiedział Kieza, szczerząc bielutkie zęby.

Poczułem pulsujący ból w skroniach. Zrobiło mi się słabo. Położyłem się na białych płytkach jak pijak po długiej rozmowie z butelką wódki. Musiałem odpocząć.

Po południu udałem się do księgarni. Wśród półek wypełnionych masą książek szukałem odpowiedniej powieści, która wciągnęłaby mnie na tyle, by choć na chwilę zapomnieć o otaczającym świecie. Wybrałem starszy już thriller Jonathana Kellermana pod wymownym tytułem „Potwór”. Szpital dla chorych psychicznie, poćwiartowana kobieta i nieźła atmosfera tajemnicy. Razem z głównym bohaterem brnąłem w śledztwo przez dobre dwie godziny. Lektura była strasznie ciekawa. Odłożyłem książkę na półkę, wiedząc, że za jakąś godzinę wrócę do księgarni, by doczytać thriller do końca.

Rozmawiałem z kilkoma ludźmi, w tym i z Martą, która kolejny raz podziękowała mi za uratowanie życia. Zaprzeczyłem, mówiąc, że wcale nie zrobiłem nic wielkiego, ale ona powiedziała, żebym odrzucił na bok skromność i przyznała, iż zapamięta mój czyn na zawsze.

Dokończyłem czytanie powieści, po czym rzuciłem książkę w wielkie okno, za którym widziałem porzucone samochody i płynącą nurtem wodę, niczym prawdziwa rzeka. Książka uderzyła z impetem w szybę, rozcapierzyła się i spadła na podłogę z pomietniętymi kartkami. Ciekawe, co pomyślałyby sobie autor, widząc jak szanuje jego pracę, zadałem w duchu pytanie. Do głowy przechodziły mi najróżniejsze banalne i paradoksalne myśli.

Siedząc na podłodze, oparty o półkę z tomiśszczami literatury podniosłem rękę i wziąłem pierwszą lepszą książkę, czyniąc z nią to samo, co z poprzednią. Gdyby ktoś teraz na mnie spoglądał, pomyślałby, że zwariowałem. Wpadłem w furję, rozrywając na strzępy kilkadziesiąt książek. W powietrzu unosiły się kawałki papieru, opadając powoli na podłogę i układając się na ziemi w przypadkowe fragmenty.

Opadłem z sił, osunąłem się na ziemię i chowając twarz w dłoniach, zaniosłem się cichym płaczem.

Po ulicy wartkim strumieniem płynęła woda zmieszana z krwią i ściekała do studzienek kanalizacyjnych.

Obudziłem się rano i poszedłem do supermarketu „Albert”. Przechadzając się między półkami pomyślałem, że jeżeli będzie trzeba, a wszystko się na to zanosi, przetrwamy w Sferze naprawdę wiele dni. Tutaj było wszystko: jedzenie, sklepy z odzieżą, jubilerskie, sportowe, sklep zoologiczny, z zabawkami, z instrumentami muzycznymi, z zegarkami, z papierosami, z porcelaną, obuwniczy, meblowy, kosmetyczny, RTV i AGD, apteka, pralnia chemiczna, salon optyczny, wypożyczalnia video, liczne restauracje, Kino, solarium, klub „Klimat” z kręgielnią i barem, salon fryzjerski oraz biuro podróży itd. Prawdziwe miasto zamknięte w jednym budynku.

Przechadzając się między półkami, pomyślałem o wczorajszej, niewygodnie spędzonej na podłodze nocy. Właściwie mógłbym spać w salonie meblowym. Tak uczyniło pewnie większość ludzi. Miałem nadzieję, że znajdę jeszcze jakieś łóżko.

- Cześć - powiedziałem do faceta z kózki brudkom, wybierającego z półki chipsy.

- Cześć - odparł oschle.

- Śniadanko?

Pokiwał tylko głową i nie odezwał ani słowem. Niezbyt rozmowny facet, pomyślałem i odszedłem w inny sektor żywnościowy.

Odkręciłem zakrętkę kartonu soku wielowocowego i zrobiłem kilka łyków. Następnie przeszedłem do monopolowego, gdzie półki były już wyraźnie napoczęte. Ubawił mnie ten widok. Niektóre butelki najdroższych trunków opróżnione zostały mniej więcej do

połowy. Poszukałem wzrokiem po ladzie z wytrawnym winem, które miałem zamiar wypić do obiadu. Wtem usłyszałem głośny krzyk. Odwróciłem momentalnie głowę w stronę wywodzącego się dźwięku. Oszacowałem, że odgłos wrzasku dochodzi z za regału z chipsami, tam gdzie spotkałem faceta z brudkom. Kolejny hałas połączony z szelestem i uderzeniem czegoś o podłogę. Obszedłem jeden sektor i przyjrzałem się z daleka rozgrywającym się wydarzeniom. Dostałem gęsiej skórki. Mężczyznę pozbawiono głowy, która teraz turlała się po ziemi, zachlapując krwią białe płytki. Małpojaszczur zatopił paszczę w szyi człowieka. Na całe szczęście nie zauważył mnie, lecz dalej zajmował się zaspokajaniem głodu. Jak najciszej obszedłem stwora o kilka sektorów. Znalazłem się w lewej części supermarketu. Nagle usłyszałem dźwięczne plask, plask. Brzmienie było coraz głośniejsze. Stanąłem jak zamurowany i bardzo powoli odwróciłem głowę. Na drugim końcu sklepu małpojaszczur wpatrywał się we mnie szaleńczym wzrokiem. Jęknąłem jak dziecko i zacząłem uciekać, ile sił w nogach. Jeszcze chyba nigdy nie biegłem tak szybko. Wiedziałem, że tylko kilkadziesiąt metrów dzieli mnie od śmierci. Człowiek potrafi wykrzesać ze swojego organizmu naprawdę wielkie pokłady sił, gdy grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Wybiegłem z supermarketu i wrasałem do kilku osób, idących przez korytarz: - Uciekajcie! Małpojaszczur! Naraz zniknęli mi z oczu, kierując się w odwrotną stronę niż ja. Przyspieszyłem i wbiegłem do małego sklepiku o nazwie „Trafica”. Zamknąłem drzwi i szukałem jak opętany kluczy. - Gdzie one są, gdzie one są? - powtarzałem słowa jak w litanii. Przeskoczyłem przez szklaną, sklepową ladę i pod nią znalazłem klucze. Nerwowo włożyłem je do zamka i przekręciłem. Odetchnąłem z ulgą, czując jak mocno bije mi serce. Wdawało mi się, że zaraz organ wyskoczy mi z klaki piersiowej. W pomieszczeniu unosiła się woń tytoniu. Sklep nie zajmował dużo powierzchni, był mały, przeznaczony dla określonej grupy klientów. Można tutaj kupić najróżniejsze papierosy, cygara, cygaretki, fajki, papierosnice, popielniczki, ozdobne zapalniczki, zapalaki i rodzaje tytoniu. Przykucnąłem za ladą i co chwilę wylaniałem się tylko, by zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Zobaczyłem jak małpojaszczur przebiegł przez korytarz, a za nim następny. I kolejny! Musiały wdrzeć się do środka! Siedziałem jeszcze dobre pięć minut w „Trafice”, nasłuchując okrutnych wrzasków potworów i wypatrując ich. Odkąd zobaczyłem trzy małpojaszczury, nie ujrzałem żadnego więcej. Postanowiłem wydostać się ze Sfery. Wychyliłem głowę za drzwi i rozglądałem się na obydwie strony. Pusto. Powoli, niepewnie stawiałem kroki, idąc blisko ściany, aby w razie pojawienia się małpojaszczura wbiec do któregoś ze sklepów. Widok jaki ujrzałem, sprawił, że zatrzymałem się jak sparaliżowany, a po ciele przepłynęła mi nagła fala chłodu. Na brunatnych kostkach, w kałuży krwi leżał ochroniarz. Na pierwszy rzut oka nie rozpoznałem go, lecz gdy podszedłem bliżej, zorientowałem się, że przede mną znajduje się martwy ciało Kiezy. Coś ukuło mnie w żołądku. Pochyliłem się nad nieboszczykiem. Kieza wydawał się taki mocny i pewny siebie. Jeżeli miałbym zgadywać, kto najdłużej przeżyje w całym tym piekle, obstawiłbym właśnie na niego. Miał wyżartą cześć szyi, skąd wyraźnie można było zobaczyć odsłoniętą krtań. Oczy martwo wpatrywały się w jeden punkt. Przez trzy sekundy miałem pewne opory, lecz zaraz wyjąłem z kabury ochroniarza pistolet i umieściłem go za paskiem swoich spodni. Zanim dobiegłem do fontanny przed wyjściem, zobaczyłem jeszcze trzy martwe ciała. Podbiegłem do bocznych drzwi, szarpnąłem za klamkę. Zamknięte. - Adam! Odwróciłem się i ujrzałem Radka stojącego na ruchomych, obecnie nie czynnych schodach. - Daj mi klucz - zawałałem. Podbiegł do mnie i powiedział zdenerwowany: - Co chcesz zrobić?! Wyjść tam, na zewnątrz i stać się tylko zwierzyną dla myśliwych?! - A czy twoim zdaniem, cholera, tutaj jestem bezpieczny!? Chwycił moje ręce, które próbowałem uwolnić. - Nie będę spokojny, dopóki tutaj zostanę. - Zabiliśmy je. Małpojaszczury przecisnęły się przez małą wyrwę w ścianie, ale już zabezpieczyliśmy wejście. - Kieza nie żyje. Naraz wyraz twarzy Radka zmienił się. Wyglądał jakby dostał obuchem w głowę; zachwiał się na nogach i tylko siłą woli nie osunął się na ziemię. - Gdzie? On... - zapytał i głos mu się załamał. - Tam - wskazałem na korytarz, z którego przyszedłem. W oczach Radka pojawiły się łzy. - Otwórz mi drzwi - poprosiłem. Przekręcił klucz w zamku. - Wypuszczam się na śmierć - oznajmił. - Teraz wszędzie jest śmierć. Ująłem w dłoń pistolet. - Weź. Tutaj bardziej wam się przyda. - Nie. Zatrzymaj go. Zobaczę tylko, ile zostało ci naboji. - Radek sprawdził magazynek i załadował. - Dwa pociski. Uważaj jest naładowany. Wziąłem z powrotem pistolet. - Trzymaj się. - Podałem mu rękę. Nic nie odpowiedział, tylko odwzajemnił mocny uścisk dłoni. Odwróciłem się i usłyszałem za plecami głos Radka: - I tak wszyscy zginiemy.

Z pistoletem w ręce wyszedłem w deszcz lejący się strumieniami z rozświetlanego błyskawicami nieba. Po ulicy płynęła kilku centymetrowej głębokości rzeka. Wsiadłem do pozostawionego samochodu. Był to czerwony Fiat 126p. Dobrze, że trafiłem na nowszy model i nie musiałem włączać ssania paliwa. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Próbowałem zapalić silnik. Na początku zgasnął trzy razy, dopiero za czwartym razem uruchomiłem maszynę. Wybrałem nieduży samochód ze względu na możliwości dobrego manewrowania po zapchanej autami ulicy. Zakręciłem i przez kilkanaście metrów jechałem chodnikiem.

Wyjechałem na główną drogę i dodałem gazu. Miałem pewien plan, obowiązek, który musiałem spełnić. Inaczej nie darowałbym sobie.

Jechałem samochodem w strugach deszczu i myślałem o Kaście i Tomku. Czy żyją? Nie potrafiłem odegnąć natrętnej myśli. Jasne, że tak, powtarzałem sobie w duchu, próbując w to uwierzyć. Z drugiej strony, gdyby nic im się nie stało, prędzej czy później zadzwoniliby do mnie, mimo iż ktoś za pewno ukradł im telefony komórkowe.

Rozglądałem się na boki pustej jezdni i wydawało mi się, że nagle znalazłem się na planie filmowym horroru. Musiałem manewrować samochodem, ponieważ na drodze wały się ludzkie ciała. Jedne pozbawione kończyn, inne z wyżartymi mięśniami. Zebrało mi się na wymioty, kiedy ujrzałem szkielet człowieka, na którym zwiisały połacie mięsa. Woda obmywała krew, woda oczyszczała ciała, które nie spoczną na cmentarzach.

Skręciłem w prawo. Droga prowadziła w górę, między zasadzonymi gęsto sosnami. Pokonałem masę małych uliczek i zatrzymałem się przed bramą mojego domu rodzinnego.

Nabrałem głęboko powietrza do płuc i wypuściłem je z sykiem.

Wsiadłem z samochodu. Deszcz wlewał mi się za kołnierz koszulki, wywołując wrażenie chłodu. Pchnąłem bramkę, z której schodziła żółta farba. Broń trzymałem w lewej dłoni niczym magiczny amulet. Wszedłem na ganek i pociągnąłem za klamkę drzwi.

Zamknięte.

Wcisnąłem guzik elektrycznego dzwonka i czekałem.

Mijały sekundy, płynęły minuty.

Drzwi nieznacznie uchyliły się.

- Tata? - zapytałem, a mój głos zabrzmiał niemrawo wśród trzasku uderzających kropel deszczu o blaszane zadaszenie.

Zaraz usłyszałem dźwięk odpinanego łańcucha.

- Adam! - Rzuciłem się w ramiona ojca, który ścisnął mnie mocno. - Wchodź! Jesteś cały przemoczony.

Zamknąłem drzwi na wszystkie możliwe zamki i zabezpieczenia.

Mama przybiegła do korytarza i objęła mnie czuło.

- Tak się martwiliśmy. Jak dobrze, że jesteś. Modliłam się.

Przywitania i uściski trwały jeszcze dobre pięć minut.

Przeszliśmy do niedużej kuchni. Mama gotowała wodę na herbatę.

- Skąd to masz? - zapytał tata, wskazując na pistolet.

Odłożyłem broń na stół i powiedziałem:

- Długa historia. Dał mi go pewien ochroniarz, tak na wszelki wypadek. Dzwoniłem do was. Czemu nie odbieraliście?

- Zwalił się słup energetyczny. Zerwało linie telefoniczne. Nie mamy nawet prądu.

Mama zdjęła czajnik z kuchenki gazowej i zalała woreczki herbaty w szklankach.

- Doleję ci rumu, żebyś dobrze się rozgrzał - oznajmił ojciec.

Wlał do herbaty kieliszek alkoholu.

- To zawsze stawia na nogi - dodał. - Myślisz, że uda nam się przeżyć?

Spojrzałem na niego i pokiwałem głową.

- Tak, przeżyjemy. - Nie wierzyłem w to.

- Adam, chodź do pokoju. Musisz się przebrać. Jakies twoje ubrania są w szafie.

Bolały mnie wszystkie mięśnie i nie myślałem o niczym innym jak tylko o położeniu się do łóżka. Gdy wszedłem do mojego pokoju, ujrzałem stare medale i puchar stojący na półce. Ściany pokrywały dyplomy za osiągnięcia sportowe.

Przechodząc koło okna, jakieś ciemne punkty przykuły moją uwagę. Odsłoniłem firankę i widok, jaki ujrzałem, zmroził mi krew w żyłach. Poczułem silne mrowienie na karku.

- Zaraz coś ci wybiorę. Pamiętam jak w młodości biegałeś za piłką, a ja ciągle musiałam prać twoje ubabrane koszulki. Najlepsze proszki nie pomagały - zaśmiała się.

Stała obrócona do mnie tyłem, przebierając ubrania w szafie.

Spojrzałem na nią z miłością, żalem i przerażeniem w oczach.

Ręce zaczęły mi się trząść.

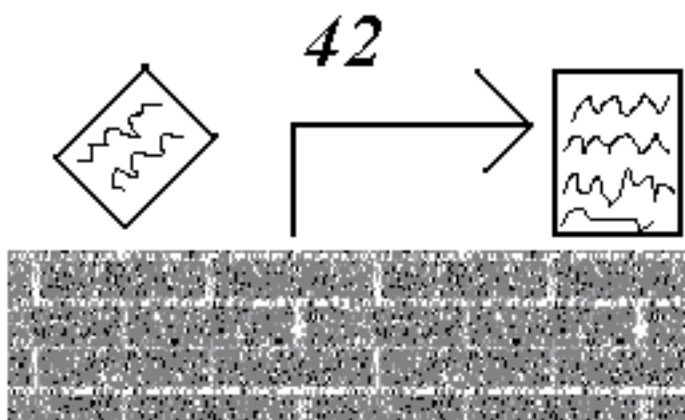
Moje uszy nie rejestrowały tego dźwięku, ale dobrze wiedziałem, jakie odgłosy rozlegają się na zewnątrz wśród padającego deszczu.

Przyprawiające o dreszcze, wszechobecne PLASK... PLASK...

KONIEC

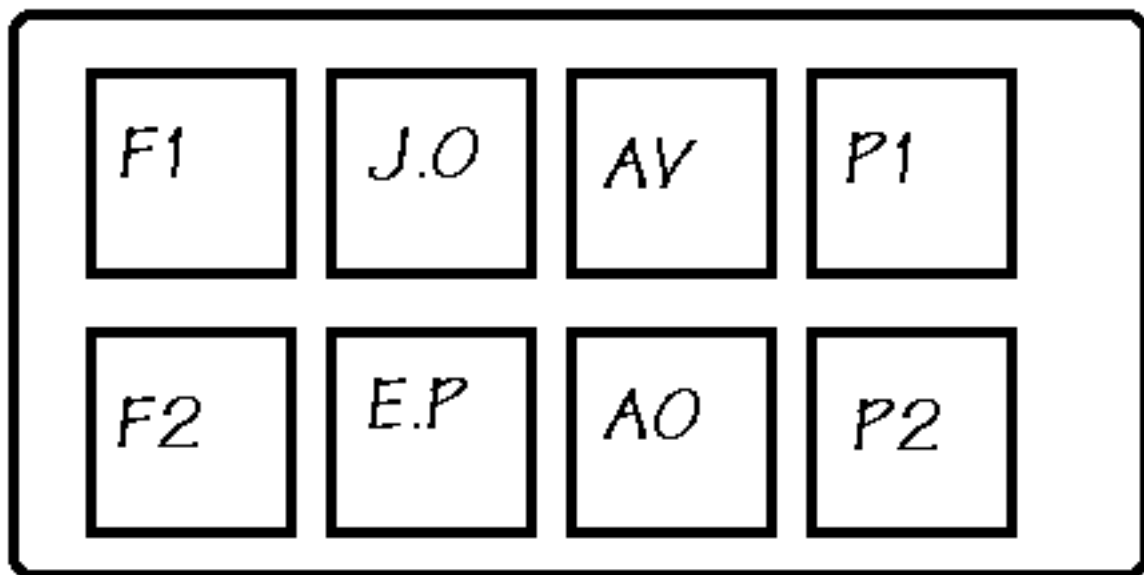
Tanatos

-Na kartce jest napisane, że jeśli znajdziemy karty, to będziemy mogli je zatrzymać. Proszę oto ona.



-Listy. Od wielbicielek. Co tydzień przychodzi po czternaście i więcej.

-Siemasz Albert!



Inspektor rozrysował rozkład osób na Skybreakerze.

P1 ---- Przyjaciółka nr.1 (Ta z odciskami)

P2 ---- Przyjaciółka nr.2

AV ---- Albert Vits (Ja)

AO ---- Anna Oakland

J.O ---- Johny Ozucci (Zamordowany)

E.P ---- Elizabeth Parkinson (Dziewczyna zamordowanego)

F1 i F2 to faceci w czerni. F1 to ten wyższy.

-Jako, że wszyscy byli przypięci i nie mogli się ruszać, jedyną osobą, która mogła to zrobić, jest ta oto kobieta.- Powiedział inspektor Grock i wskazał na kochankę ofiary, która klęczała na zimnej posadzce i roniła łzy z powodu straty ukochanego.

-Pośpieszcie się z tym śledztwem.- Usłyszałem głos faceta w czerni.

-No co ty.- Odpowiedział jego kompan. Spojrzałem na nich i mój wzrok spotkał się z spojrzeniem Wysokiego. Jego oczy...Te oczy były zimne jak lód. Spojrzenie mężczyzny potrafiącego zabić wiele osób bez mrugnienia okiem. Kim on jest, zastanawiałem się. Z zamyślenia wyrwał nie krzyk jednego z policjantów.

-Panie inspektorze! Niech pan spojrz!- Gdy podeszliśmy do policjanta, ten trzymał torebkę dziewczyny zamordowanego. W środku, między kosmetykami a portmonetką, leżał nóż owinięty w zakrwawioną szmatkę. Gdy kobieta zanosła się jeszcze większym płaczem ja obejrzałem nóż. Oczywiście uważałem by nie zostawić odcisków palców.

-To nie mój nóż! Nie mój! Nie wiem skąd...- Lamentowała kobieta. Miała rację. To na pewno nie jest jej nóż.

-Zabierzcie ją na posterunek.- Krzyknął inspektor.

-Zatrzymajcie się!- Krzyknąłem. Ponownie wzrok wszystkich osób padł na mnie. Tylko Wysoki nie patrzył w moją stronę.

-Ta siksa to zrobiła. Koniec kropka. Pozwólcie nam odejść.- Warknął. Już myślałem że będzie po sprawie, lecz gdy przeanalizowałem zjazd na Skybreakerze, już wiedziałem. Wiedziałem wszystko.

-Proszę zaczekać inspektorze.

-O co chodzi, Albercie?- Zapytał inspektor.

-Ta kobieta jest niewinna. Morderca to... TY!- Krzyknawszy to wycelowałem palec w blondynkę z długimi włosami. Akrobatkę. Przyjaciółkę numer jeden.

-Cindy?- Pисnęła jej koleżanka.

-Co ty wygadujesz, przecież znaleźli nóż w jej torebce i w ogóle.- Odpowiedziała kobieta.

-Czymś takim nie można odciąć głowy, szczególnie przy sile kobiety.- Wyjaśniłem.- Jeżeli ona by to zrobiła, to miała wiele okazji by wyrzucić nóż. Nie musiała go wkładać do torebki. Chyba, że ty to zrobiłaś.

-Nie pleć bzdur. Siedziałam dwa siedzenia przed Johnym. Jak mogłam mu odciąć głowę, skoro sam powiedziałeś, że to niemożliwe takim nożem i w ogóle.

-Miałem rację. To niemożliwe przy sile kobiety, ale... PRZY PRĘDKOŚCI KOLEJKI I ZA POMOCĄ PĘTLI Z STRUNY FORTEPIANO-WEJ TO MOŻLIWE!!!- Krzyknąłem. Na chwilę zapadła cisza. Cindy stała zszokowana.- Czy mógłbym dostać linę i torebkę?- Gdy obsługa kolejki dała mi linę, a jedna z kobiet z gapiów użyczyła torebki, zapytałem inspektora.- Czy mógłbym prosić o asystę?- Zasiadliśmy na zapasowym wagoniku, który użyczyła nam obsługa kolejki. Wszyscy mieli założone blokady, tylko moja była zwolniona.

-No więc ja jestem zabójcą, a pan inspektor jest ofiarą. Kiedy blokada jest wysunięta i przyblokowana, czymś takim jak torebka na plecach.- Gdy to powiedziałem zsunąłem się bez problemu z siedzenia.- Proszę, można łatwo się wydostać.- Gdy to powiedziałem, wziąłem torebkę z pleców i przywiązałem ją do liny, na której wcześniej zrobiłem pętlę.- Torebka będzie przedstawiała hak. Dzięki przygotowanej struny fortepianowej z pętlą i hakiem można dokonać morderstwa. W jaki sposób? Już tłumaczę. Z nogami zabezpieczonymi blokadą, morderca wychylił się do tyłu w ten sposób.- Pokazałem w jaki i ciągnąłem dalej.- Następnie morderca zarzucił pętlę na szyję ofiary a hak przywiązany do pętli wyrzucił na tory.- Wyrzuciłem torebkę na tory i usiadłem na miejscu.- Wszystko w ciemnościach tunelu. Przy prędkości pojazdu głowa zostaje odcięta.

-TO SKANDAL! MASZ JAKIEŚ DOWODY ŻE TO JA?- Krzyczała blond włosy Cindy.

-Niech pani mi powie, gdzie pani ma... PERŁOWY NASZYJNIK?!-- Kobieta stała zszokowana. Już nie było wątpliwości, wystarczyło teraz, żebym zakończył wyjaśnienia.- Najpewniej w domu zamieniłaś zwykłą żyłkę na strunę fortepianową, która byłaby na tyle wytrzymała, żeby się nie przerwać. Natomiast hak ukryłaś w swojej torebce.- Odwiązałem torebkę i oddałem pani z tłumem. Zrobiłem to tylko po to by podtrzymać napięcie.- Poza tym jesteś gimnastyczką. Dzięki długim ćwiczeniom wykształciłaś w sobie na tyle dobry zmysł równowagi, by to zrobić. Tylko ty to mogłaś zrobić.

-A ci dwaj?- Zapytał inspektor wskazując na mężczyzn w czerni. Oboje się wzdrygnęli gdy to usłyszeli. Czyżby mieli coś na sumieniu?- Czy nie łatwiej było im zrobić to za plecami ofiary?

110

ry twierdził, że jest detektywem. Któremu się wydawało, że jest detektywem, a wcale nim nie był. Przeze mnie zginął człowiek. Ani Sherlock Holmes, ani Hercule Poirot nie popełnili takiego błędu. Po kilku minutach otarłem resztki łez i spojrzałem na torbę, która... leżała na ziemi. Przestraszony, spadłem z krzesła. Gdzie do diaska podział się stół? Podniosłem torbę. Pod nią, leżał mój stół zmniejszony do rozmiarów mojej pięści. Stół miał na sobie ślady jakiejś żółtej cieczy. Otworzyłem torbę. Całe wnętrze torby obłożone było folią aluminiową, a przez mały otwór z boku torby wydobywał się... preparat zmniejszający Akiry. Zastanawiałem się gdzie mogą być szczątki smoka. Zamiast nich zauważyłem kawałki folii aluminiowej. Już wiem. Smok wewnątrz też musiał być wyłożony folią, przez co nie mógł się zmniejszyć w czasie transportu. Jednak gdy smok został rozbity przez kulę faceta w czerni, porcelana się zmniejszyła a folia pozostała. Tak samo z torbą. Gdy tak rozmyślałem, krążyłem po pokoju z torbą w ręku. Nawet nie zauważyłem jak mój dywan się zmniejsza. Gdy postawiłem chyba z setny krok, moja stopa natrafiła na zmniejszony stół. Zachwiałem się i upadłem na podłogę. Torba wleciała do góry i spadła na mnie. Zapach medykamentu sprawił, że straciłem przytomność.

Śniło mi się, że zmniejszam się coraz bardziej i bardziej. Gdy byłem wielkości własnego buta, nade mną stanął profesor Grace-land i Anna. Śmiali się głośno ze mnie i próbowali zdeptać. Gdy uciekałem przed nimi nagle znikli a nade mną stanął... siedmiolatek. Siedmiolatek, który wyglądał jak ja. On nie wyglądał jak ja... To byłem ja... Ja w czasie gdy miałem siedem lat. Moje młodsze wcielenie usiadło po turecku przede mną i zapytało.

-Jak się czujesz?- Po czym przysunęło do mnie otwartą dłoń, bym na nią wszedł. Nie wiedząc czemu wszedłem na nią, natomiast młodszy ja podniósł ją na wysokość oczu.

-Nawet dobrze. Gdzie ja jestem?- Zapytałem.

-W swojej jaźni. Po tym jak specyfik zmniejszający wylał się na ciebie, straciłeś przytomność.

-I mam takie omamy?- Spytałem. Młodszy ja pokiwał głową.

-Ciesz się. Ludzie mają gorsze. Czas leci. Jak odzyskasz przytomność biegnij czym prędzej do profesora. Wszystkie ślady po preparacie musisz wyrzucić. Torbę, stół, dywan. Jeśli dotkniesz preparatu to nic się nie stanie.

-Jak to?- Zapytałem. Młodszy ja zachichotał i odpowiedział.

-Zobaczysz.- Po czym podrzucił mnie do góry. Przez chwilę leciałem do góry. Wspaniałe uczucie. Zawisłem w powietrzu, po czym zacząłem spadać. Wprost do wielkiego jeziora. Gdy z chlupotem wpadłem do wody...

Ocknąłem się z krzykiem. Leżałem na podłodze, a torba z resztkami specyfiku leżała obok mnie. Wstałem i odsunąłem się trochę. Zamiast dywanu miałem małą ściereczkę, za stół robiła podstawka na piwo, a moje ubrania pasowały od teraz na lalkę. Zaraz, zaraz... Jak to moje ubrania. Spojrzałem w dół. Stałem golusieńki. Pobiegłem szybko do łazienki. Teraz już wiem czemu tak zimno.

W łazience moje poszukiwania odpowiednich ubrań spełzły na niczym. Wszystko było za duże, Zrezygnowany skierowałem się do muszli klozetowej. Chryste, jaka ona wielka się zrobiła. Położyłem przed nią kosz na bieliznę. Podniosłem deskę. Już miałem zamiar opróżnić mój pęcherz, gdy moim oczom ukazał się przerażający widok. Mój...członek jest malutki. Boże, tylko nie to!!! Co ta mikstura ze mną zrobiła!!!

Szybko podbiegłem do lustra (lustro oczywiście było przeogromne), i przyjrzałem się odbiciu. Patrzyłem na odbicie Alberta Vitsa w wieku siedmiu lat.

Marcin „DR.AGON” Górski

Rozdział I

Była głodna. To, co zjadła zjeść trzy dni temu, wydawało się snem tak nierealnym, jak szwedzki stół w Hiltonie. Już nie liczyła odległości w milach. Jeden las, potem osada, którą ze sporym naddatkiem drogi ominęła i kolejny las, i jeszcze jeden...

Na noc wspięła się na drzewo i w północy przesiedziała na rozłożystej gałęzi, w obawie przed dzikimi zwierzętami, aż do świtu. Dzień kolejny zaczął się wędrówką. Wodą ze strumienia przemyła twarz, szyję. Jedna natarczywa kropla spłynęła jej między krągłymi piersiami aż na bardzo wydatny, już obecnie, brzuch.

-Czemu jeszcze nie rodzę? -Ta myśl przemknęła w jej rozgorączkowanym umyśle.-To dziecko nie chce się urodzić. Nie. Nie jestem bezpieczna i ono to wyczuwa.

Przeglądała się swojemu odbiciu w wodzie, która w tym odcinku strumienia tworzyła małą zatoczkę, lustro otoczone mchami. Utrudzona brzemieniem i niewygodami położyła się na tym mchu i zaczęła rozmyślać nad swoim położeniem.

-Nazwali mnie czarownicą! W dwudziestym pierwszym wieku nazwali mnie wiedźmą. I dlaczego? Skąd w ogóle jestem? Myślałam, że z ich miasta, od urodzenia, to pamiętam, a oni? Nazwali mnie przybłądą, podrzutkiem... A przecież wszystko pamiętam... Rodziców, wypadek, dom, ciotkę Klarę.

Właśnie Klara pierwsza jej powiedziała, że jest tu obca. Mówiła to w gniewie, w poczuciu własnej krzywdy. Jej się nic nie udawało, za to Annie wszystko układało się idealnie.

Klara kiedyś pragnęła rozpocząć naukę w najlepszej uczelni w regionie. Mówiła o tym wszystkim i wszędzie. Nie dopuścili jej nawet do egzaminu wstępnego. Rozgoryczona rozpoczęła pracę w biurze na podrzędnym stanowisku. Chciała awansować, założyć rodzinę, mieć dzieci. Fatalnym zrządzeniem losu było to, że facet, z którym wiązała swoje plany był już żonaty, a najgorsze z tego, że był jej szefem.

Marzenia o karierze prysły jak bańka, a ona cieszyła się jedynie z tego, że została na posadzie.

Kolejny mężczyzna w jej życiu też więcej zabrał, niż wniósł. Pragnęła rodziny za wszelką cenę, jednakże żadne starania o dziecko nie przynosiły rezultatów. Jego obarczyła winą. Że się nie stara jak należy, że może jest impotentem... Pewnej nocy spakował walizki i odszedł z jej życia, zostawiając podpisane jednostronnie papiery rozwodowe. To był szok. Lecz największym ciosem były wyniki badań- jałową była ona...

Pewnej Wrześniowej nocy chciała targnąć się na swoje życie, czego skutkiem były połamane w wielu miejscach obie nogi. Lekarze zrobili wszystko, co leżało w ich możliwościach, ale i tak Klara do końca życia miała poruszać się o kulach.

Pięć lat po tym wypadku zdarzył się kolejny. Klara była świadkiem tego, jak wóz jadący z olbrzymią prędkością zjechał na drugi pas, zahaczył o barierkę ochronną, odbił się, przetoczył parę razy i zsunął się z nasypu spadając w dziewięciometrową przepaść. Zanim doszła do wraku ten już płonął. Widziała jeszcze walczącą o życie kobietę i mężczyznę za kierownicą, nienaturalnie rozklejonego na popękanej przedniej szybie. Kiedy podchodziła bliżej, potężny wybuch targnął samochodem a ten w jednej chwili stał się kulą ognia. Zrezygnowana chciała wrócić i powiadomić policję, ale przez trzask płomieni usłyszała płacz dziecka. To była Anna.

Cudem uniknęła śmierci wypadając przez okno na rozłożystą, w tym miejscu trawę. Klara wzięła dziecko, wróciła do domu, cały dorobek życia spakowała w dziesięć minut. Przez telefon zamówiła bilet i wyjechała. To miał być uśmiech losu, ale nie... Zamiast wychowywać dziecko jak swoje, zawsze wypominała, że uratowała mu życie. Złościło ją to, że miała kończyć szkołę z wyróżnieniem, że wszystkie wyższe uczelnie były się o taką zdolną, ponad przeciętność uczennicę.

Anna nigdy nie poznawszy całej prawdy o swoim losie starała się być zawsze pomocną ciotce. Nauka przychodziła jej nad wyraz łatwo. Poziom studiów opanowała jeszcze w szkole średniej. Równie łatwo poznawała języki obce, nie tylko współczesne, ale i starogrecki, hebrajski, jak też i języki programistów, opierające się na kodach, cyfrach... W wieku lat szesnastu obroniła pracę na temat kultur świata.

Ale Anna nie była do końca normalnym dzieckiem.

* * *

Trawa pachniała. Szeleściła przy podmuchu wiatru swoimi długimi, cienkimi liśćmi. Nieznajomy szedł powolnym krokiem, rozsuwając ostrożnie butami każdą kępę w obawie, żeby jej nie zdeptać, czy raczej przeszukując cały teren. Co chwilę przystawał na dłużej, schylał się i delikatnie podnosił niektóre z traw przyglądając im się uważnie. Wtem wyprostował się i zaczął nasłuchiwać, próbując wychwycić dźwięki inne, niż te, które stanowią o spójności w przyrodzie...

Tak. Daleko z kierunku, z którego sam nadszedł, usłyszał trzaski łamanych gałęzi, jak gdyby przez las ktoś chciał przegonić stado słońi.

-Węszą psy!- Szept nieznajomego, skierowany w tamtą właśnie stronę wyrażał za razem nienawiść i pogardę.- Tu dotrą za dwie, trzy godziny i... Niczego nie znajduję.- Spojrzał jeszcze raz a potem jak gdyby o wszystkim zapominając na powrót zaczął przyglądać się poszczególnym kępom traw.

Krok po kroku, by nie pominąć choćby źdźbła, doszedł na skraj polany. Tu właśnie znalazł to, czego szukał. Miejsce z pozoru nie wyróżniało się niczym od reszty polany. Tu jednak w trójkącie równobocznym o dwumetrowych ramionach trawa była w minimalnie innym odcieniu, bardziej soczysta.

Z kieszeni kurtki wyjął najpierw telefon, a następnie podłużny przedmiot przypominający kształtem gruby flamaster. Szybkim ruchem wystukał numer na klawiaturze, a po odczekaniu, aż ktoś odbierze z drugiej strony, powiedział tylko dwa słowa:

-Znalazłem, inicjuję.- Następnie schował komórkę do kieszeni, a z „flamastra” wysunął potrójną antenę teleskopową. Końce rozstawił dokładnie w kątach trójkąta z trawy, nacisnął coś z boku urządzenia i odszedł z pięć kroków do tyłu. Najpierw pomiędzy nogami anten zaczęła pojawiać się jak gdyby cienka powłoka, tworząc namiot. Płaszczyzny zaczęły gęstnieć w swojej strukturze, stając się taflami szkła, coraz bardziej matowego, następnie ciemniejąc w odcieniach szarości, aż na końcu cała konstrukcja wyglądała jak ostrosłup odlany z ołowiu. Dziwny, bo cały czas wydawał się lekki. W końcu miało się wrażenie, że widać, co się dzieje w środku. Tam ukazał się punkt jak z wiązki lasera. Zaczął posuwać się równoległe do ściany, zniknął, znowu się pojawił, jak światło skanera. Kiedy doszedł do szczytu, zaczął „skanować” z drugiej ściany, potem znowu dalej, coraz szybciej. Teraz miało się wrażenie, że z tego światła powstał drugi ostrosłup. Nagle ściany ołowiane znikły a pozostała tylko ta świetlista konstrukcja. Światło, jaśniejsze niż słoneczne, teraz zaczęło pulsować na przemian barwą żółtą i białą. Z owego namiotu zaczęły wychodzić ludzie. Mężczyźni i kobiety w średnim wieku, trudnym zresztą do określenia. Mogli mieć trzydzieści, jak i czterdzieści pięć lat, w różnych strojach, fryzurach, z jedną tylko cechą wspólną... Dziewięć postaci stało nieruchomo, z nienaturalnie wysuniętymi do przodu barkami a klatkami piersiowymi schowanymi jakby w stronę kręgosłupów... Nieznajomy zdjął okulary potocznie przezywane „bykami”. Przyjrzał się każdej z postaci szukając w nich jakichś mankamentów i widocznie niczego nie znalazł, bo uśmiechnął się.

-Rozbudowa! Aktywacja! Cel infiltracja!- Wydał trzy krótkie rozkazy, na których dźwięk ludzie wyprostowali się wypinając dumnie pierś do przodu, otworzyli oczy i uśmiechnęli się. W tym samym czasie świetlny ostrosłup przybrał na powrót barwę ołowiu, następnie przestrzeń między antenami stała się zwyczajnie przezroczysta, z tą różnicą, że trawa stała się taka sama jak wszędzie, to znaczy szaro-zielona. Nieznajomy szybko zdemontował urządzenie i schował na powrót do kieszeni kurtki.

-Dematerializacja!- To był jego ostatni rozkaz. Wszyscy naraz wykonali krok lewą nogą do przodu jednocześnie przyciskając środkowym palcem prawej ręki miejsce na skroni. W tym momencie postacie stały się szkliste. Po następnym kroku znikły w ogóle i nic nie wskazywało na to, że coś zakłóciło harmonię przyrody.

Anna otworzyła oczy. Wydawało jej się, że przysnęła. Wstała z mchu i podeszła do strumienia. Przemysła twarz.

-Jestem głodna. Muszę jeść!- Powiedziała do siebie. Czuła, że żołądek dotkliwie daje znać o swoim istnieniu. Nagle przypomniało jej się pewne wydarzenie z dzieciństwa.

Miała siedem lat. Było bardzo upalne lato, bez cienia chmurki. Przerwa wakacyjna pozornie tylko oznaczała czas wolny od nauki. Ania nadrobiła chroniczny brak lektur, bynajmniej nie tych, czytanych w jej wieku. W jeden z tych upalnych dni Klara zabrała małą do pobliskiego obserwatorium astronomicznego. Wszyscy tam zachwycali się wiedzą i ujmującą prostotą odpowiedzi udzielanych na trudne pytania z dziedziny astronomii lub astrofizyki. Astronom McKeenlay był tym niezmiernie zdziwiony, gdy Anna odpowiedziała na pytanie, na które odpowiedzi poszukiwał przez ostatnich dziewięć lat. Pytanie to brzmiało: - Czy w układzie dwóch słońc możliwe jest występowanie planet i czy ich orbita może mieć przez to zmienione parametry? Odpowiedź siedmioletka była zaskakująca...

-A gdyby przypuścić Pan, że Słońce krąży dookoła drugiego po podobnym torze do orbit planet. Planety są bliżej siebie i pierwszej gwiazdy, więc druga nie może mieć zbyt dużego wpływu, gdyż wytrąciłaby je, i albo stałyby się olbrzymimi planetoidami, albo przejęłyby je na swoje orbity, zwiększając swoją masę jako cały układ. To zmusiłoby obie gwiazdy do zbliżenia. Tak zbliżone do siebie, stygnąc po miliardach lat spowodowałyby własną kolizję.- Dziewczynka całą tą wypowiedź potraktowała jak odpowiedź na lekcji w szkole. Za to McKeenlay czuł się w tym momencie jak stary, schylony wiekiem żołnierz, którego młodszy i sprawniejszy zastawili gdzieś na przedpolu...

-Dziecko, skąd to wiesz?- Pytał zamyślony- Dopiero trzy dni temu skończyłem obliczanie i model komputerowy takiego układu, udowadniając, że jest to w ogóle możliwe?- Dźwięk ledwo wydobywał się z jego krtani.

Ale Anna nawet się zdziwiła, tylko z pogodnym uśmiechem na swojej buzi odrzekła;

-Ja to wiem ze snów, proszę Pana! Kiedy się budzę, już to wiem i zapisuję w zeszycie. Odwróciła się i podeszła do okularu wielkiego teleskopu: -Tam, bardziej w lewo i dwa stopnie do góry jest taki układ.- Patrząc w przestrzeń wskazała kierunek i nakreśliła palcem coś, jak gdyby na nie widzialnej mapie nieba.

-To ci się naprawdę musiało przyśnić!- McKeenlay jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ocknął się- Ten rejon Galaktyki dawno został przebadany i opisany.- Dodał z tonem wyższości.

-To nie jest nasza Galaktyka. Ona jest dalej. Ta z trzema ramionami.- Dziewczynka tłumaczyła jak małemu dziecku, profesorowi, który aż oczy przymrużył.

-Aniu obiecuję, że więcej nie będiesz opowiadać o swoich snach!- Klara zbesztiała małą.- Wydaje mi się, że już dosyć nagaśłaś bzdur Panu Profesorowi. Wychodzimy, dziękuję za gościnę!- Mówiąc to ścisnęła rączkę dziewczynki tak mocno, aż ta skrzywiła się z bólu i pociągnęła ją do wyjścia.

-Pani Morgies! - Profesor popatrzał na Klarę z dezaprobatą- Rozumiem, że panią to nuży, ale jeżeli wyrazi pani zgodę, to...- Postąpił krok w jej stronę- za każdym razem, gdy tylko Ania zapagnie tu przyjść, będzie miłym gościem. Teraz żegnam panią.- Mówiąc to skinął głową i odwrócił się w stronę monitorów, na ekranach, których wyświetlone były różne obszary nieba.

Dopiero miesiąc po tym wydarzeniu Ania już samodzielnie, udała się do obserwatorium.

-Ciocia wreszcie zezwoliła mi tu przyjść.- Powiedziała przekraczając próg.- Czy mogę popatrzeć przez teleskop? Przyniosłam zeszyty ze spisanymi snami o kosmosie, może Pan na nie spojrzy? - Spytała. Profesor wstając od pulpitu skinął ręką:

- Chodź tu, coś ci pokażę.- Uśmiechnął się się- Popatrz na ten monitor.- Wskazał na odbiornik centralnie ustawiony w ścianie wizyjnej. Różnił się od wszystkich pozostałych tym, że był naprawdę olbrzymich rozmiarów. Obraz zamigotał i ukazała się na nim mapa nieba.

-To, co mówiłaś ostatnio, jest prawdą. Ten układ naprawdę istnieje, ale dopiero za pomocą teleskopu kosmicznego można go ujrzeć.- McKeenlay mówił powoli, jak gdyby sam do siebie.- Jedno, co mnie zastanawia moja mała, jakim cudem miewasz sny o tak dokładnym położeniu gwiazd w przestrzeni?

-Nie wiem, proszę pana. Ja mam tylko sny.- Ania patrzyła na ekran, w którym ukazywały się kolejno po sobie, coraz to większe wycinki nieba. Teraz widać było kolejną Galaktykę, teraz małą, za chwilę obejmującą swym ogromem cały ekran. Dalej jedno z trzech ramion w tym samym obrazie.

-Zbadaliśmy ten obszar bardzo dokładnie. Dopiero na podstawie widma odkryliśmy to...- Na ekranie ukazały się gwiazdy położone blisko siebie i świecące słabiej od pozostałych.

-Gwiazdy te są odpowiedzią na twoją tezę. Jedna krąży dookoła drugiej a obie dookoła niewidzialnej osi. Ale nie to jest ciekawostką. Coś, co wpływa na nieregularność obrotu, okazało się układem planetarnym pierwszej gwiazdy. Czy wyobrażasz sobie, że tam są planety podobne do naszego układu?! Ale Bóg jeden wie, kiedy je opisemy, poznamy...- Profesor był zachwycony tym odkryciem. Mówił do Anny, jakby zapominając o tym, że ma przed sobą siedmioletką.

* * *

- Byli tu! Psia krew, wiem to! - Scott mruzczał do siebie patrząc na równinę pokrytą szklistą powłoką.

-Tak gładkiej tafli szkła wypalanej na pustyni nie sposób nie zauważyć, a jednak... Pod „nosem” bazy z głowicami taktycznymi, przez nikogo nie widziany ktoś, czy coś zrobił sobie pole wielkości boiska i gładkie jak lodowisko... Po gnoma?!- Myślał uporczywie... -Kicha dowódco! Pieprzone Ufole zrobiły sobie jaja.- Kapral Pelegrinni, prywatnie przyjaciel Scotta jeszcze ze szkoły kadetów, znany z ciętego języka, patrzył jak uczony w skorupę.- Zieloni dwa-zero!- Zachichotał- Czemu te skurwysyny nie dają się wykryć radarem?

-Bo nie chcą Arturro, bo nie chcą...- Mruknął Scott mocno zaciskając zęby- Jedyne, co mnie pociąga, to ich technologia- dodał w myśli.

-Gdyby se tak wiedzieć, kiedy znowu gnoje przylecą, to by się sruu... Trzepnęło jedną pomyłkową, niechcący puszczoną...- Rozmarzył się kapral.- To są przeważnie tereny bezludne, bez znaczenia strategicznego...

- Dlatego, że tak uporczywie myślisz, zostałeś tylko kapralem.- Zaśmiał się dowódca- Powiadom chłopaków, niech szukają wszystkiego dookoła tej „szyby”, co nie pasuje do reszty. Ja poślizgam się troszeczkę. Aleks zrobił krok na tafli. Nie tylko wyglądała na szklistą powłokę, ale jak się przekonał po paru kolejnych krokach, była twarda, nawet dla jego pośladek. -Psia krew!- Wyrwało mu się mimochodem, kiedy ostrożnie podnosił się do pozycji pionowej.- Tylko się nie śmieję, Arturro!- Powiedział słysząc za sobą chichot przyjaciela.

-Może założysz łyżwy?- Pelegrinni już stał koło niego- Zapraszam na kurs jazdy!- Śmiał się dalej, pochylając lekko sylwetkę i sunąc krokiem łyżwiarza. Ale czy mu coś nie wyszło, czy zapomniał praw fizyki, dość, że po kolejnym szusie podzielił los Scotta lądując jeszcze bardziej niefortunnie, objając bark i czoło o gładką powierzchnię...

-Co do K...- zaklął, siadając ostrożnie i rozmasowując bark.

Aleks pomógł wstać przyjacielowi i obaj już zaczęli posuwać się w stronę środka płaszczyzny. Wtem coś zwróciło ich uwagę. Byli już mniej-więcej na środku szklanego pola, kiedy spojrzeli przed siebie. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie widać było ani światła ich wozów terenowych, ani przeszczerwających teren żołnierzy. Niewidoczna była nawet wieża obserwacyjna jednostki, która przecież górowała nad całym terenem.

-Nie wiem, co się dzieje, ale to mi się nie podoba!- Aleks słowa te wyrzekł chyba w złej godzinie.

Stali w centrum okręgu ze szkła. Cała płaszczyzna tak gładka, nagle zaczęła się marszczyć. Patrzeli na efekt kamienia rzuconego do wody. Dookoła ich stóp zaczęły tworzyć się drobne zmarszczki podobne do morskiej fali, rozchodzące się w coraz większe okręgi. Kiedy fale doszły do brzegu płaszczyzny, cofnęły się przechodząc przez kolejne nadchodzące. Teraz dopiero spostrzegli, że zmarszczki przybierają na sile. To, co nastąpiło, było dla obu żołnierzy zaskoczeniem. Pierwsza fala, która dotarła do nich sięgnęła do wysokości kostek, druga do kolan, kolejna do pasa...

-Trzy-zero dla Ufolii!- Zdążył jeszcze powiedzieć z ironicznym uśmiechem Pelegrinni, gdy kolejna powracająca fala zamknęła się nad ich głowami.

* * *

-Mów! Jaka tafla? Jakie jezioro?!- Krzyczał do słuchawki major Selesin. Był to mały człowieczek z wyraźnymi oznakami osiadłego trybu życia. Na przemian wycierał ręką pot z karku i z czoła a zaraz potem stukał palcami po brzegu stołu.

-Dobrze, już dobrze!- Wrzasnął do słuchawki- Wezwijcie posiłki z sąsiednich jednostek i otoczcie cały teren w promieniu trzech mil. Nawet szczer ma się wam meldować, inaczej strzelać!- Z coraz większymi wypiekami na twarzy przyciskał słuchawkę do ucha.- Zaraz zamelduję do góry, niech przysła jakąś komisję... -Dodał jeszcze i rzucił aparatem. Potem siedział chwilę wpatrując się w niewidzialny punkt na ścianie i z trudem łapiąc powietrze. Wstał i podszedł do drzwi, otworzył je na oścież, następnie to samo uczynił z oknem. Znowu usiadł przy biurku i wcisnął przycisk interkomu.

-Dyżurny, zadzwoń do pułkownika Ruffa i poproś, aby przybył do biura! Sprawa pilna!- Powiedział i się rozłączył. Następnie wystukał na tarczy telefonu numer, którego nigdy nie pragnął znać, a tym bardziej z niego korzystać. Wstał trzymając słuchawkę w geście salutu:

-Panie generale, major George Selesin melduję, że zdarzył się dziwny przypadek w strefie pięćdziesiątej drugiej.- Meldował jednym tchem.- Wiem panie generale, która jest godzina i wcale nie kpię z pana mówiąc, że w strefie pięćdziesiątej drugiej.- Mówił dalej, choć czuł, że pomimo otwartego okna, zaczyna mu się robić duszno. -Tak, panie generale! Melduję, że w odległości dwóch mil od bazy w Rosswell o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzięci po raz drugi mieliśmy do czynienia z obcą formą życia. Kazałem otoczyć cały teren i powiadomić pułkownika Ruffa odpowiedzialnego za „sprawy z UFO”. Właśnie wchodzi panie generale. Tak. Przekazuję słuchawkę.- Podał mikrotelefon mężczyźnie, który akurat wszedł przez otwarte na oścież drzwi.

-Ruff przy telefonie!- Jegomość był najwyraźniej zdziwiony wezwaniem do Pentagonu i tym, że bez przedstawienia faktów rozmawia bezpośrednio ze zwierzchnikiem, którego też nie darzył sympatią, podobnie, jak Selesin.

-Panie generale, wybaczy pan, ale jeszcze w chwili obecnej mam zbyt mało informacji dotyczących sprawy. Złożę wstępny raport już na zebraniu zwołanym przez pana. Tak jest, odmeldowuję się.- Energicznym ruchem odłożył słuchawkę na widełki aparatu.

-Co jest grane? Czy wyobrażasz sobie, jaką pannę mogłem mieć dzisiaj zamiast pierzyny?- Zagadnął żartem do majora, aby zgaai rozmowę.

-Och. Stuart, czy wiesz, że w ciągu godziny przybyła mi dycha na karku? Z jednej strony szyba, w której toną żołnierze, z drugiej wampir wysysający cię przez słuchawkę. Jak ty wytrzymujesz z nim rozmowę?- Spytał płaczącym głosem. -Więcej zdecydowania w głosie, mniej wazeliny w dupie i różowe okulary.- Ruff najwyraźniej potrafił kpić ze wszystkiego.

Pułkownik Stuart Ruff, przez wszystkich nazywany żartobliwie ColdTopem, naprawdę zasłużył sobie na ten przydomek. Był rzeczywiście „Szczytem”, bo mając siedemnaście centymetrów powyżej dwóch metrów, obwód klatki dwukrotnie przewyższający ten parametr u M.M. wzbudzał postrach u przeciwników i zachwył u płci przeciwnej. Ale pierwszą część swojego przewiska zyskał dzięki nadzwyczajnemu opanowaniu w sytuacjach, w których chyba każdy inny rozglądałby się za papierem toaletowym... Spokojny, żartobliwy sprawiał niekiedy wrażenie ociężałego. Jednak pozory były mylące... Nawet bardzo. Ruff w zaciszu własnego rancza niedostępnego dla świata, lubił śmiać się z większości rekordów olimpijskich, niektórym dorównując, inne bijąc o głowę. Był wspaniałym pływakiem, wysmienitym sprinterem i niezrównanym ciężarowcem.

-To mówisz, że jadę do Rosswell.- Bardziej stwierdził, niż zapytał Selesina.

-Tak. Dwie mile od bazy jest coś, co przypomina efekt nalotu plazmowego, teren wypalony aż do szkliva. Tylko w tym szkłe uto-
nęło dwóch naszych na oczach czterdziestu pozostałych żołnierzy. Teraz są tam cztery oddziały.- Relacjonował major.- Nic przed tym i nagle się pojawiło. Są tam już analitycy do zbadania próbek, ale sądzę, że ty się tam bardziej przydasz...

-A czy ja przypominam tych z X-Files- zażartował Ruff.- Jaki mam transport?- Spytał jeszcze...

-Apache już czeka na taflę. ColdTop!...- Zawahał się przez chwilę George - Powodzenia! - Wyrzekł, jak wódz wysyłający na misję, z której się nie wraca.

-Niedługo wrócę, to opowiem ci o tej kolderce... - Stuart już był za drzwiami.

Rozdział III

Anna spała. Przemęczona, obolała, brudna i głodna. Poprzedniego dnia udało jej się zebrać kilka garści jagód i parę grzybów, a że potrafiła radzić sobie w każdej sytuacji, przyrządziła sobie nawet znośny posiłek. Tak zaspokoila głód, a może go tylko oszukała... Potem coraz bardziej znużona ruszyła w dalszą drogę. Nawet miała dziwny przypadek z jakimś leśnikiem, ale wcale go źle nie zapamiętała.

Szła leśnym duktem, gdy wtem usłyszała za sobą wystrzał z broni palnej. W pierwszej chwili, panicznie przerażona, chciała uciekać, ale nawet kroku nie zrobiła na nogach odmawiających posłuszeństwa. Przed nią, jak duch, wyszedł z pobliskich zarośli potężny jeleni. Zrobił krok, potem drugi i spojrzał w jej stronę, jak gdyby się zawahał. Opuścił głowę ze swoim wspaniałym porożem, nabrał powietrza potężnymi chrapami i zaryczał donośnie. Długo jeszcze ryk ten niósł się echem, a olbrzym stał cały czas nieruchomo, tak samo, jak struchlała z przerażenia Anna. Nie spostrzegła nawet, że ktoś stanął z boku, bacznie się jej przypatrując.

- On już nie cierpi! - Usłyszała głos nieznajomego, który zrobił krok w jej stronę - Serce pękło mu z bólu.- Dodał.

- Omal mnie to nie spotkało...- Szepnęła kobieta i w tym momencie poczuła, że opuszcza ją resztką sił, dzięki której utrzymywała się w pozycji stojącej. Ziemia stała się nagle silnym magnesem, który przyciągał ją ku sobie mocniej i mocniej.

-Spokojnie! Usiądź na poboczu i oddychaj głęboko- nieznajomy chwycił ją pod rękę i powoli pomógł usadowić się w najwygodniejszej pozycji.. - -W tym stanie raczej nie powinna się pani denerwować, w ogóle nie powinno tu pani być...- Stwierdził, widząc jej stan.

-Ale nie mogę też być tam, gdzie chciałabym- odrzekła Anna i zaczęła szlochać.

-Czy pani przed kimś ucieka, czy ktoś ją goni?- Pytał leśnik, cały czas bacznie obserwując Annę- Kiedy w ogóle pani coś jadła?

-I uciekam, i ktoś mnie goni. Szczerze wyznam, że dziś jadłam tylko jagody i grzyby zebrane w tym lesie. Dodam jeszcze do całosci, że muszę iść dalej. Tak sądzę... Tak mi się wydaje, że muszę- Powiedziała jednym tchem, próbując wstać.

-Mnie nie musi się pani obawiać, zaraz pójde własną drogą. Mógł zagrażać ten olbrzym- Leśnik wskazał na jelenia.- Teraz jest okres rui i nikt nie może czuć się bezpiecznie w pobliżu rykowisk. No! Muszę już iść i zgłosić, żeby go zabrali, ale jeżeli zgodzi się pani na pomoc, to przyjadę zaraz i podwiozę, gdzie trzeba - wstał i otrząpał spodnie. - Nie, dziękuję. Obawiam się, że powinnam iść dalej - powiedziała z lekkim wahaniem w głosie Anna. - To niech pani to weźmie ...- ściągnął z ramienia nieduży plecak, położył obok dziewczyny na trawie, skłinał głową i odwracając się na pięcie ruszył w stronę z której nadszedł. Szybko, żeby Anna nie zdążyła zaprotestować - Przyda się na pewno!

- Dziękuję, nie wiem, dlaczego pan to robi, ale dziękuję - zdążyła krzyknąć za odchodzącym i oparła się o pień drzewa, pod

którym ją posadził...

Teraz była już od dwunastu godzin w drodze. Szła bez odpoczynku przez całą noc, przedzierając się przez gęsty las, którego i korony drzew i poszycie splecione były w trudną do przebycia gmatwaninę. Zastanawiała się, dlaczego właściwie idzie w tym kierunku, przez ten las, i pcha na taką wyprawę. Plecak zabrała ze sobą. Tak szybko odszedł, że może nawet nie usłyszał jej słów na „do widzenia”. Na pewno nie odnalazłaby go, żeby oddać niespodziewany prezent. Ciężył jej trochę i sama nie wiedziała, dlaczego do tej pory do niego nie zadrżała. Mówił, że to się jej na pewno przyda, ale równie przydatna byłaby dla niej w tej chwili gorąca kąpiel i posiłek, który zregenerowałby choć trochę jej poważnie nadwątłone siły.

Dotarła do miejsca, z którego prawie nie było wyjścia. Tak jej się wydawało w pierwszej chwili. I może usiadłaby zrezygnowana, i nawet rozplakałaby się, na co miała ochotę, ale jak dawno temu stwierdziła, łyż już wylała. Teraz pozostały jej suche powieki i zaciśnięte mocno zęby. Rozrywała przed sobą mocno skłębione pnącza jakichś roślin. W pewnym momencie las jak nożem uciął - skończył się i zaczynał dwadzieścia pięć metrów dalej. Całą przestrzeń stanowił wąwóz bardzo stromy i jeszcze bardziej budzący przestrach swoją głębokością i długością. Czy był bardzo głęboki, nie wiedziała tego, dość, że jak wychyliła się do przodu, widziała około trzydziestu metrów pionowej ściany i ciemność... Rozejrzała się na boki. Rów był prosty, bez żadnych zakrętów i pech, stała chyba w środku jego długości. Czy w jedną, czy też w drugą stronę musiała przejść około trzech mil przez tak samo gęsty las, by go ominąć.

Już chciała to uczynić, gdy dopiero teraz spostrzegła oddalone o około sześć metrów wykute jakby w ścianie stopnie, wąskie co prawda, ale na tyle duże, że dało by się po nich bezpiecznie schodzić. Postanowiła przedrzeć się do tego miejsca, gdzie powinny się owe schody zacząć. Musiała wpiwer cofnąć się trochę w las, skrócić w lewo i przebić przez gęstwinę splecionych gałęzi drzew i krzewów. Następnie na powrót skręciła w stronę wąwozu. Przeszła tak może z trzecią część tego, co się cofnęła, gdy otworzyła się przed nią mała polana. Tu postanowiła jednak odpocząć. Na polanie porozrzucane były różnej wielkości głazy, większe i mniejsze. Dwa z nich aż do złudzenia przypominały ławę i stół, więc postanowiła skorzystać z okazji i przeszukać zawartość plecaka.

Pierwsze, co wyciągnęła tuż po otwarciu, to śpiwór z plecionki i folii aluminiowej, cienki, co prawda, ale za to bardzo ciepły. Potem wyciągnęła po kolei mały pakunek, którego zawartością postanowiła zająć się trochę później, składany nóż myśliwski, metalowy kubek z wciśniętymi torebkami z kawą i cukrem. Znalazła też zapakowane w plastikowy pojemnik krzesiwo i hubę, składany rondel, dosyć gruby sweter i zapakowane w foliowy worek dwie pary ręcznie robionych skarpet z owczej wełny. Z tego ucieszyła się najbardziej i nie zastanawiając się jedną parę założyła na swoje obolałe stopy. Na dnie plecaka znalazła jeszcze rzadek ośmiu puszek, może z mięsem, czy fasolą i dwa bochenki chleba zawinięte w płócienne ręczniki i schowane w brezentowy worek.

W jednej z bocznych kieszeni znalazła jarzeniową lampkę turystyczną i dwie zapasowe baterie, w drugiej były spakowane przybory do szycia i leki: przeciwbólowe, ale też i bandaże, i plastry, a nawet woda utleniona.

Teraz rozwinęła ów pakunek. W środku okazał się być schowany notes i długopis. Otworzyła pierwszą stronę i mimo chodem przeczytała wpis... Teraz dopiero przeżyła szok. Przeczytała jeszcze raz i jeszcze jeden, nie mogąc jakby zrozumieć słów zapisanych w jej ojczystym przecież języku. Napis brzmiał:

„Nigdy nie przestawaj zapisywać swoich snów, Aniu.”

* * *

Był piękny, upalny dzień. Jeden z tych dni, które zostają na zawsze w pamięci młodemu chłopakowi. Już od kilku dni szykował się na biwak nad jeziorem, sam na sam z wybranką swojego serca. Steve mógł czuć się szczęściarzem.

Z natury był przecież wstydlivy, co jeszcze ten stan pogłębiał jego brat, robiąc mu przy każdej okazji uszczypliwe docinki. Dziś brat się nie liczył, był przecież daleko, daleko stąd. Steve wiedział, że ten dzień zaważy na jego luźnym przecież jeszcze związku. Biegł szczęśliwy po mieszkaniu, to szykując coś w kuchni, to ubierając następną część garderoby. Właśnie przypominał sobie, że przecież do czarnych lakierów nie pasują spodnie dresowe, w dodatku w kolorze różowym. Pobiegł na górę po stromych schodach do swojego pokoju. Zamaszystym ruchem otworzył szafkę i aż się ucieszył ze wczorajszej kłótni z mamą o porządek. Na jednej z półek leżały równiutko poukładane spodnie. Przejrzał, które z nich wybrać, ostrożnie wyciągnął upatrzoną parę. Były czarne z wyraźnym kantem, a mimo to wyglądały dość ekstrawagancko, a to ze względu na złote sznureczki przy szlufkach i kieszeniach, jak i dołu nogawek. Od razu wybrał też żółtą koszulę i krawat z czarnego, połyskliwego aksamitu. Ubrał się szybko i już miał wkładać skarpetki, gdy przypominał sobie, że w kuchni włożony do piekarnika kurczak już chyba się upiekł, a nie daj Boże spalił.

Minęło może z dziesięć minut tej ganianiny, kiedy wreszcie uśmiechnięty i spakowany otwierał pilotem drzwi garażowe siedząc za kierownicą bratowego Nissana Patrola. Ostrożnie wyjechał na ulicę, jak gdyby smakując moc silnika, skrzył w prawo i dodał gazu.

Trixy mieszkała na drugim końcu miasteczka, ale miał jeszcze dwadzieścia minut, by zjawić się przed jej domem. Przyjechał trochę wcześniej,

ale już z daleka widział jej drobną, szczupłą postać. Spacerowała z wiklinowym koszykiem w jednej i kocykiem w drugiej ręce.

Zwolnił i skręcił na podjazd jej domu. Wyskoczył z samochodu, podbiegł do niej i zabrał bagaże, kładąc je z tyłu wozu „na pace”.

Następnie podszedł, ujął jej

dłoń, schylił się i pocałował tak, jak to widział na starych filmach.

Dziewczyna, widząc ten gest lekko się zarumieniała, ale już za chwilę parsknęła śmiechem.

- Hej! Jak jeszcze dasz mi kwiatka i zaniesiesz do samochodu, to pomyślę, że chcesz ze mną chodzić! - chichotała po przyjacielsku klepiąc Steve'a w ramię.

- Poczekaj chwilę! - krzyknął ten zgrabnie ją wymijając i z rozbiegu przeskakując przez sąsiedzkie ogrodzenie.

Tam trochę skonsternowany widział dwie rzeczy, jedną - to wspaniałe krzak róży oddalony może o dziewięć metrów, a drugą psią budę, jak na złość w połowie tej odległości. Psinka, która w niej leżała wcale nie należała do najmniejszych,

a właśnie Dog podniósł swój potężny łeb widząc intruza i przechylił go na bok. Steve nie zastanawiając się nawet ruszył pędem w stronę krzaka omijając łukiem budę. Kiedy podbiegł, chwycił łodygę, na której rosły akurat trzy najśliczniejsze kwiaty i zamaszystym ruchem oderwał ją od całości, i już z powrotem biegł w stronę płotu. Kiedy miał przeskakiwać, uczył jak gdyby silne szarpnięcie do tyłu. Nie zwrócił zbytnio na to uwagi podbiegając rozpromieniony do Beaty. Tu z lekką zadyszka wysapał tylko: „Masz!” - i uniósł ją do góry z taką lekkością, jak gdyby nie istniały prawa ciężenia. Zaniósł do samochodu i trzymając ją w jednej ręce, drugą otworzył drzwi. Teraz ją ostrożnie posadził, obszedł wózek dookoła i sam usiadł za kierownicą, przekręcając klucz w stacyjce. Uśmiechnął się szelmowsko do dziewczyny ukazując śnieżnobiałe zęby.

- Tak! - krzyknęła Trixy ponad rykiem samochodu.

- Co tak? - spojrzał na nią zdziwiony.

Tak, to tak! Jak mi dasz kwiatka i zaniesiesz do samochodu, to znaczy, że chcesz ze mną chodzić. A jak zobaczyłam strzęp spodni w psim pysku, to jak mam odmówić? - śmiała się dalej podnosząc głos ponad hałas silnika - Więc mówię TAK! - dokończyła...

Teraz dopiero Steve przypomniał sobie szarpnięcie za spodnie w chwili, gdy przeskakiwał ogrodzenie. Sięgnął ręką i wyczuł, że czegoś mu brakuje. Z lewej strony, zamiast spodni dotknął wpiwer skóry, a potem, trochę dalej slipek.

- Dobrze i to - pomyślał - tam jest jezioro , to najwyżej będę się opalał i kąpał na przemian .

A swoją drogą warto było !

- Z tyłu mam chyba coś na przebranie . - odparł śmiejąc się szeroko - A swoją drogą dzięki za wybawienie mnie z kłopotu , bo nie wiedziałem , jak cię o to zapytać ...

- Ale wiedziałeś , co zrobić ! - roześmiała się Beata.

- Miodzio ! Miodzio ! - zarechotał Steve .

* * *

- Mówiłem , by nikt mi nie przeszkadzał chociaż pół godziny ! Chcę się zdrzemnąć ! - Ruff był poirytowany .

Odkąd przyleciał tu bojowym Apache'm trzydzieści siedem godzin temu , nie zmrużył oka. W ciągu tego czasu zorganizowano już bojowy sztab operacyjny z całym zapleczem , ogrodzono cały teren w promieniu trzech mil włączając go jako integralną część bazy wojskowej . Ściągnięto cały zespół badaczy i analityków , a nawet paru filozofów i znanego pisarza since-fiction . Saperzy po wielu trudach zdobyli kilka próbek masy potrzebnych do badań . A nad wszystkim czuwał właśnie Stuart Ruff .

Właśnie miał się zacząć kolejny dzień . Jeszcze było ciemno na dworze , kiedy ColdTop widząc , że zrobił wszystko , co było w chwili obecnej możliwe postanowił zrobić sobie chwilę odpoczynku . Niestety. Do drzwi przydzielonego mu wozu campingowego zaczął ktoś mocno stukać .

- Ani chwili . - Mruknął podnosząc się z wąskiej leżanki - Co jest ?! - Krzyknął przez zamknięte drzwi .

- Kazał pan meldować , kiedy coś się stanie . Otóż sonda wysłana na taflę też znikła , po prostu utonęła na środku . - głos dyżurnego był bardziej , niż podniecony .

- Kiedy , czemu bez mojej zgody ? - Ruff był już przytomny i gotowy do pracy . Otworzył drzwi i wyskoczył , jakby zapominając o dyżurnym , który trzymając w ręku dokumenty chciał , nie chciał , pobiegnąć za nim .

ColdTop nie miał w zwyczaju zastanawiania się nad problemem bez jakichkolwiek danych . Jak tylko zjawił się w sztabie , usiadł za stołem i oznajmił sentencjonalnie :

- Wiecie , że mam podzielność uwagi , ale i tak ograniczoną , więc nie wszyscy na raz , a mówcie parami ... - i spojrzał po zebranych tak , że nikomu nie przyszło do głowy , iż mogłoby to być żart .

- O godzinie czwartej trzydzieści został uruchomiony program „ Zwiadowca „ . Robot Walker wjechał na taflę monitorując obraz przez cztery niezależne kamery i urządzenia pomiarowe . Dane przekazywane były do godziny czwartej pięćdziesiąt dwie , kiedy to zniknęły wszystkie odczyty . Dokładnie pięć minut po tym zaobserwowano taki sam efekt , jaki towarzyszył zniknięciu kapitana Alexa Scotta i kaprala Arturro Pelegrinniego . - Prawie automatycznym głosem relacjonował jeden z żołnierzy .

- Całość została sfilmowana z trzech kamer ustawionych na obrębie pola . - Wtrącił któryś z techników . - Czyli mamy pomiary i filmy z Walkera i ze stacjonat .

- Analitycy próbują określić skład tafli na podstawie otrzymanych próbek - technik z bardzo wydatnym mięśnieniem piwnym w czapce Ohio dokończył relację .

W tym momencie do pomieszczenia wszedł jeden z analityków . Miał zawinięty opatrunek na prawym ręku , a raczej może na kikucie prawej ręki ... Opatrunek też wyglądał przerażająco ...

- Musimy mieć mocniejszy sprzęt ! - Powiedział nowoprzybyły i zachwiał się , jak gdyby miał zemdleć , ale utrzymał równowagę i ruszył w stronę najbliższego krzesła . Usiadł . Zdjął okulary , przetarł czoło i zaczął mówić dalej .

- W czasie , kiedy znikła sonda , coś dziwnego zaczęło się dziać z naszym kawałeczkiem . Powstało potężne przeciążenie i popaliło nam połowę aparatury w najbliższym sąsiedztwie kapsuły . Potem poczawszy od miejsca , w którym postawiona była kapsuła zaczął tworzyć się wir rysowany chyba czymś , co przypominało laser . Wszystko znikło w obrębie wiru , wszystko było oddzielone od świata... i Luc i Anabelle . To trwało , ten wir , niecałe piętnaście sekund . Myślałem , że mogę kogoś chwycić , może - głos coraz bardziej załamywał się naukowcowi w gardle - może bym uratował . Nie wiemy , co to jest , ale to silnie oddziałuje , niż nam się zdawało . Materia przejawia aktywność jako całość . Mały jej odłamek chłonie tyle samo i w tym samym okręgu , co płaszczyzna ... Tylko ekspansywniej , drapieźniej . - Naukowiec ściszył głos i pochylił głowę , wpatrując się w podłogę .

- Powiedział pan , że tak samo , jak płaszczyzna? - ColdTop zastanawiał się , głośno powtarzając niektóre spostrzeżenia . - Nie ważne są więc wymiary , skoro pole oddziaływania jest identyczne... Po spotkaniu proszę przygotować ścisły raport dotyczący wszelkich strat i zniszczeń , oraz jak najdokładniejsze wykresy pracy urządzeń przed , i po zaistniałym zdarzeniu! - Ostatnie zdanie skierowane było do analityka , - i wpięrowanie niech się pan uda do służb medycznych! - Dodał widząc , że zagadnięty powstrzymuje grymas bólu .

Rozejrzał się po sali. Wszyscy siedzieli cicho , wsłuchując się w jego słowa .

- Szanowni państwo! A więc burza mózgów , kto ma jakiś pomysł , co to jest? - Zagadnął do ogółu .

Na sali powstało małe poruszenie , każdy zaczął rozmawiać z każdym , wymieniać półsłówka , gesty , szepcząc... Trwało to kilkadziesiąt sekund , po czym na powrót zaległa cisza .

- Mniemam , iż chodzi o każdą teorię dotyczącą tafli? - Zapytał mały , drobny człowieczek , z okularami do złudzenia przypominającymi denka butelek po szampanie , z krótko ostrzyżonymi i postawionymi do góry włosami , co samo przez się upodabniało go do jednego z braci Marx . Powstał z krzesła i zaczął krążyć dookoła niego . - Może to materia , która w swój własny sposób ma nas wyniszczyć , może współczesna puszka Pandory , albo wręcz tylko wyciek z jakiegoś olbrzymiego statku kosmicznego . Pomysłów ciśnie się wiele , ale z tych według mnie najciekawszych mam jeszcze , że może to samo w sobie jest obcą formą życia , nie opartą przecież na węglu , albo wręcz najwykleszą windą sprezentowaną nam w celu porozumienia się z obcymi...

- Czekaj pan! - ColdTop podniósł brwi w geście zdziwienia . - Mówisz pan winda? Jeżeli coś takiego ma być windą , to gdzie ona wiezie? - Patrzył po zebranych .

- Tam do nich! - Powiedział jeden z żołnierzy , podnosząc się ze swojego miejsca , - i jeszcze sędzę , że ona jest specjalnie dla nas przyszykowana . Do tej pory zawsze przylatywali , porywali kogoś , coś tam w człowieku majstrowali i puszczali go wolno gdzieś w innym miejscu odlatując... Teraz sami się do nich wieziemy , a nawet dajemy do sprawdzenia nasze osiągnięcia techniki... - mówił .

- Tak , tak , . A potem odeślą w innym miejscu udoskonalone , albo do powietrza - wtrącił się inny mundurowy .

- Dobrze , że tu nie ma Erich Von Danikena... - Odezwął się półgłosem jakiś mężczyzna - bo zaraz będziemy mieli kolejny scenariusz do kolejnej jego książki .

- Dlaczego tak pan mówi? - Obruszył się mężczyzna z okularami ponad wymiar .

- Bo sędzę , że równie dobrze może to być zabawka drugiej strony i właśnie ją teraz na nas testują . - Odpowiedział patrząc w podłogę i starając się zasłonić dłońmi twarz...

- Jaka zabawka , jaka zabawka? To draństwo pograżyło już cztery osoby , a my nie potrafimy nawet określić składu pierwiastkowego . - Wybuchnął analityk . - Tak dalej pójdzie , to zginie jeszcze kolejnych kilka osób a ktoś nabawi się nagrody Nobla za odkrycie nowego pierwiastka! - Naukowiec patrzył z oburzeniem .

- Chcieliście wszystkie pomysły? To jest mój! - Mężczyzna wyprostował się na krześle i uniósł głowę...

Najbliżej niego siedzący ujrzeli widok , który niejednemu postawiłby włosy na głowie .

Połowa twarzy od prawego ucha do nosa i od czoła do podbródka była jak gdyby oskalpowana ze skóry . Widać było kość płata czołowego , ruchomą gałkę oczną , kości jarzmową , część górnej i dolnej szczęki .

- Mnie też dosięgnął ten promień , to na pewno nie laser! To nawet nie boli . - Mówił powoli jakby zastanawiając się nad każdym słowem - Uczucie jest takie . Że to fala rozbija się o twarz , jak zwyczajna woda , Stewenson wam nie mówił , on cierpi z powodu

Anabelle, nie z powodu ręki.

* * *

- Co ty gadasz, to nie jest UFO.- Marek był podirytowany rozmowa z młodszym bratem, który siedząc przed aparaturą krótkofalarską patrzył teraz na niego. - Dla ciebie liczy się tylko to radio! Kumpli nie masz, dziewczyny też nie... i żadnych innych, normalnych zainteresowań. Jak ci się psuje stary grat, to mówisz, że nadają z innej planety!

-Nie z innej planety, tylko z innego układu, i to bardzo odległego. Kumpli skołuj mi z Harvardu, albo Yale, dziewczynami ty interesujesz się za to podwójnie, za nas obu, a moim innym hobby jest algebra, nie jakieś brzdąkanie na gitarze - Odciał się „młody” i założył potężnie wyglądające słuchawki akcentując tym koniec rozmowy.

Marek miał słabość do Criga. Od czasu śmierci ich rodziców był mu i bratem i ojcem. Ale pomimo tego miał też swoje lata... Dwudziesty szósty rok życia charakteryzuje się tym, że poważnie myśli się o obowiązkach, ale też nie zapomina się uciech. Podszedł do pulpitu i ściszył radio, zdjął bratu słuchawki, oparł się o oparcie krzesła i powoli zaczął mówić, patrząc na oscyloskop, też znajdujący się na stole.

- Crig, ja może i mam mniejsze zainteresowania od ciebie, ale póki moje dochody utrzymują nasz dom, nie zwracaj mi czterech liter wyższą matematyką. Może i coś usłyszałeś, może to jakiś kod, ale czy nie uważasz, że wojsko i FBI i inne jakieś tam służby tego nie słyszą? Nie jesteś jedyny i nigdy nie będziesz wielkim odkrywcą. Teraz idę do swoich zainteresowań po trzy dychy za godzinę, bo inaczej w przyszłym miesiącu będziesz robił szlaczki zębami po ścianie.- Wprostował się i skierował do drzwi, ale jeszcze się odwrócił i dodał:

- Jak przyjadę, to może jeszcze pogadamy o twoim UFO, a teraz posprzątaj chatę i odbierz pocztę. Cześć!- Wyszedł, zastanawiając się ile z jego słów dotarło do jego brata, a którą ich część ten potraktuje poważnie.

- Ta ta ta ti ti ti ta ta ta- Crig zastukał w przycisk „gruszki” mówiąc przy tym słowne wyrażenie alfabetu Morser’a.

- Ta ta ta ti ti ta ta- po chwili odezwało się w głośniku...

Chłopak spojrzał na wyświetlacz pozycjometra. Cały czas był ustawiony na fali, którą wcześniej się zainteresował.

- To jednak sprawa UFO odchodzi od spraw zapomnianych- Tu Crig, mój kod to (VABO 1223), nadaję z Wellington w stanie Ohio w USA, Kim jesteś, przedstaw się- spostrzegł, że cały czas stukał kodem.

Po około minucie ta sama treść została odesłana.

-To nie żart, radio nie służy do zabawy, przedstaw się, kim jesteś- Tym razem powiedział do mikrofonu.

-To nie żart, radio nie służy do zabawy, przedstaw się, kim jesteś- Usłyszał głos, jakby ktoś odtworzył jego wypowiedź przez syntezytor mowy.

- Chcesz się bawić?- Chłopak nie wiedział, co powiedzieć,- Chcesz się bawić, czy rozmawiać?, dokończył.

I znowu po niedługiej chwili w radio usłyszał całą wypowiedź...

Rozdział IV

Schody były strome i bardzo wysokie, szerokie może na sześćdziesiąt, siedemdziesiąt centymetrów. Próbowwała je liczyć: sto, dwieście, pięćset, tysiąc... Potem straciła rachubę, lecz wcześniej jeszcze przysiadła na którymś ze stopni i spróbowała przełiczyć głębokość...

- Nie, to nie możliwe!- Pomyślała.- A jednak te stopnie mają po około trzydzieści pięć centymetrów, a ja na razie naliczyłam ich tysiąc dwieście... To prosty rachunek, że wychodzi cztery kilometry dwieście metrów w głąb! Ale tu jest cały czas świeże powietrze, i ciągle jeszcze nie widzę dna! Gdzie ja się wpakowałam?!- Pomimo powagi sytuacji Annie przyszło na myśl śmieszne spostrzeżenie- Ciotka to na pewno by teraz się ze mnie wyśmiewała, że jak zawsze pcham się tam, gdzie mnie nie proszą. Ale trzeba teraz albo zejść, albo wleźć z powrotem na górę... Co teraz!?

Postanowiła jednak zejść jeszcze niżej i przekonać się, co zastanie. Póki było jasno szła pewniej, potem półmrok rozjaśniał snop latarki... Ale kiedy wyczerpały się pierwsze baterie, postanowiła schodzić po omacku wolno, powoli próbując badać każdy kolejny krok, i tylko sporadycznie zapalając latarkę, by zobaczyć, czego ma się spodziewać kilkanaście stopni niżej.

Długo już tak schodziła zastanawiając się jak jeszcze głęboko do dna, gdy nagle schody się skończyły. Stało się to tak niespodziewanie, że omal nie straciła równowagi przy kolejnym kroku.

Zapaliła latarkę. Snop światła biegł prosto przed siebie nie zatrzymując się na żadnej przeszkodzie i ginął gdzieś w oddali.

- To dziwne- myślała- gdzieś tu niedaleko, na wprost musi być ściana.

Zrobiła krok, potem drugi. Powierzchnia, po której stapała była gładka jak posadzka z betonu. Żadnej ziemi, a przecież powinna się obsypywać z góry, żadnej wody, chociaż niedawno padało. Skierowała światło do góry i nie ujrzała nic...

-A gdzie jest niebo? Ile czasu schodziłam, która jest godzina? Czy jestem tu sama?- Anna uprzytomniła sobie, że mówi na głos. Była już w połowie drogi do przeciwległej ściany. To znaczy tak się jej wydawało. Nadal jednak silne światło latarki nikło gdzieś daleko z przodu nie zatrzymując się na żadnej przeszkodzie... Mimoходом spojrzała za siebie i nawet się nie zdziwiła tym, co napotkał jej wzrok. Rzecz w tym, że nie napotkał nic... Znikły gdzieś kamienne schody wykute przecież w skale. Skąły z resztą też nie było, a promień tak samo ginął gdzieś w nieokreślonej dali.

- No ładnie...- Westchnęła Anna.- Czyżbym znalazła się w innym wymiarze? A może zaraz natknę się na przeciwległą ścianę?- Mruczała pod nosem.

Postępowała dalej naprzód. Krok za krokiem, próbując znaleźć choćby punkt oparcia prócz gładkiej płaszczyzny, po której szła. Duży siniak na czole oznajmił jej koniec wędrówki. Wysunęła dłoń przed siebie i namacała chropowatą płaszczyznę ściany, do której przecież dążyła, tylko światło latarki skierowane na ścianę dalej poszukiwało widnokręgu...

- No ładnie, niewidzialne ściany, niewidzialne schody- mówiła na głos, - Ale za to namacalne - Ręką rozcierała siniaka na czole- Jestem tu sama, nie widzę wyjścia, co mnie skłoniło, aby tu się znaleźć, no co?- Ostatnie zdanie prawie wykrzyczała...

- I po co się denerwujesz?- Głos za jej plecami jak gdyby ją poraził.

- Kto tu jest?- Spytała oglądając się szybko za siebie.

Ujrzała cztery osoby, trzech mężczyzn i jedną kobietę.

Panowie mieli na sobie mundury połowe wojsk lądowych Stanów Zjednoczonych, Kobieta zaś była cywilem. Ich stroje były w dużej części niekompletne, przeważnie cała czwórka była w samych podkoszulkach, i spodniach, jeden z żołnierzy był w skarpetkach.

- I widzisz, że nie ma się co denerwować?- Zagadnął do niej ten bez obuwia- Kim jesteś i jak się tu dostałaś?

- To wy mi pierwszy powiedzcie, co to za miejsce? Jak stąd wyjść?- Anna kucnęła przy ścianie, wyraźnie wyczerpana dotychczasowymi przeżyciami...

- Spokojnie. Jak stwierdziliśmy nie ma stąd wyjścia.- Powiedział drugi.- Dlatego nas interesuje, jak się tu dostałaś. Ale niech się przedstawie, Aleksander Scott, a to po kolei: Anabelle Sorbino, Luc Thomas i kapral Arturro Pellegrini. Jesteśmy tu, w tym pomieszczeniu około trzech dni i nie możemy znaleźć wyjścia, a ty dostałaś się tu inną drogą i może drogą naszego ratunku? - Scott mówił spokojnym, opanowanym głosem i tylko jego wzrok świadczył o napięciu, w jakim oczekiwał odpowiedzi...

- Ja, ja zeszedłem po schodach. Tam jest ściana, a w niej wykute schody. Tylko, że ich nie widać.

Anna była zmęczona, a jej obecna sytuacja i stan pogłębiał jeszcze to uczucie. Teraz już nic nie rozumiała, nic do niej nie docierało... Na domiar wszystkiego czuła się taka osłabiona, że omal nie upuściła latarki. Całe otoczenie, ci wszyscy nieznajomi,

poczęli jak gdyby krążyć dookoła niej. Zasnąć, zasnąć za wszelką cenę i zbudzić się z tego straszego snu, w innym miejscu, czasie...

Pellegrini pierwszy zareagował na ten widok, a ze odznaczał się błyskawicznym refleksem, zdążył schwycić przedmiot, nim ten dotknął ziemi. Snop silnego światła skierował na młodą kobietę i mimochodem zagryzł górną wargę.

„Ona jest w wysokiej ciąży i na skraju wyczerpania!- Pomyślał.- Jak jej się udało tu trafić w tym stanie?”

- Pani widać nie stąd! - zażartował- Tu nie opodał mamy zrobione prowizoryczne legowisko, to chociaż pani wypocznie! Połóż się, zaśnie. Skoro jesteście tu dłużej, to nie zbawi nas oczekiwanie jeszcze paru godzin.- Wziął ją pod ramię i zaczął prowadzić w stronę ich pozostawionych rzeczy.

Było to dosyć dziwnym widokiem, porozkładane kurtki wojskowe przykryte fartuchami lekarskimi wyglądały w tej scenerii jak wersalskie łóżce postawione na pustyni.

- Pani niech odpocznie tutaj, a my to se popatrzymy na tą popieprzoną ścianę.- Arturo zmrużył jedno oko.- Jak wiemy, gdzie szukać, to lepiej zacząć od razu, nie? Ta ciemnica ma swoje sekrety i lepiej, jak się szybciej z stąd wydostaniemy!

Pellegrini zostawił Annę na ich posłaniu i wrócił do trójki towarzyszy.

- Co ją pogięło, wlec się z brzuchem do tak zapadłej nory? Ja do tej pory nie wiem, jak się tu znalazłem, a ona sama złaźła tu po schodach...

- To, co się nam przytrafiło, miało styczność z materią przy bazie... A ona? Ona to może nas stąd wyratuje. - Skwitował Luc.

- Lepiej poszukajmy tych schodów.

* * *

Steve już od kilku godzin męczył się przy silniku. Wyjechali z Trixi za miasto i skręcili w stronę oddalonego o dwanaście mil lasu. Trasa wiodła jeszcze siedem, czy osiem mil wśród drzew i kończyła się nad jeziorem. Pech chciał, że w połowie tej odległości samochód stanął i za skarby świata nie chciał odpalić.

- Chyba mamy biwak na środku leśnej drogi...- Wyjrzał spod maski Steve. Nawet nie zwrócił uwagi na to, że dłonie miał całe zabrudzone smarami. Przetarł czoło zostawiając na nim świecący tłuszczem, czarny ślad.

- Mam kłopot i to wielki.- Oznajmił z wielce zafrasowaną miną.- Ten wózek się nigdy nie psuje, a teraz silnik łni i... nie działa. Świece, kable, akumulator, głowica, wszystko miodzio, a nawet nie zaiskrzy.- Mówił rozgoryczony.

- Jak zostawimy ten twój wehikuł i pójdziemy na piechotę, to mamy niecałą godzinę drogi. Nad wodą posiedzielibyśmy, zjemy, poopalamy się i... - Beatrix figlarnie zawiesiła głos- jak będziemy wracać, to znajdziemy może kogoś, kto to coś zaholuje do warsztatu.

Wyciągnęła z koszyka ręczniki papierowe i podeszła do chłopaka. Ostrożnie zaczęła wycierać smar z czoła. Steve pochylił się do przodu i musnął ustami jej włosy:

- Dzięki! Strażniczko czystości, może jeszcze witki podam?- Uśmiechnął się szelmowsko.

Zaczęli zbierać rzeczy i przepakowywać tak, aby powstały dwa plecaki. W samochodzie Steve znalazł taśmy parciane, służące do mocowania bagaży na „spacer”. Zręcznymi ruchami powiązał pakunki i wtoczył strzemiączka na ramiona. Założyli plecaki, chłopak jeszcze raz popatrzał na samochód i już oboje ruszyli w stronę jeziora.

Droga była prosta i szeroka tak, że spokojnie mogły się na niej mijać dwa pojazdy. Po obu jej stronach rosła bujna, soczysto zielona trawa, o długich podobnych do szpikulców do lodów liściach. Trochę dalej porastały pierwsze krzaki i następnie przechodziły one od razu w gęsty świerkowy las. Choć próbowali oboje wyczerpać wzrok, dalej niż na może siedem, osiem metrów nie mogli zajrzeć w jego głąb.

Przeszli kat mniej więcej półtora mili, śmiejąc się i żartując cały czas, kiedy Trixi tknięta chyba przecuciem spojrzała za siebie. Zdziwiona trąciła łokciem towarzysza podróży. Zatrzymali się oboje. Za nimi w odległości może dziesięciu metrów stał samochód tak, jak gdyby wcale od niego nie odeszli.

- Słyszałeś coś?- Spytała.

- Nie. Przecież samochód, kiedy się toczy, to go słychać. Poczekaj.- Zrobił krok w stronę pojazdu.

Chciał zrobić i drugi, ale coś nie pozwoliło mu na to. Jakaś dziwna bariera nie pozwalała na pokonanie tej przestrzeni... Zrobił krok w drugą stronę próbując ominąć przeszkodę i spotkał to samo. Odwrócił się do Beatrix i wyciągnął dłoń.

- Lepiej trzymajmy się razem, bo pojąć nie umiem, co tu się dzieje.- Powiedział chwytając ją za ramię.- Cokolwiek to jest, musimy się trzymać razem. Idziemy nad jezioro, tam może coś wymyślimy...- Głos jego miał dodać Trixi otuchy, ale raczej jeszcze mocniej ją wystraszył.

- Czy nie sądzisz, że to właśnie tam musimy iść? To znaczy, że ta ściana jest tylko z tyłu i z boków, a przed nami jest korytarz... Jak owce na rzeź!- Beatrix myślała nad wszystkim w obecnej chwili i widać było, że się bała.

- Może cię pocieszę, duchy nie istnieją.- Uśmiechnął się.- Chodźmy, skoro ktoś nas zaprasza niewidzialnymi ścianami z piasku, to chyba się nie odmawia.

* * *

- To w większości są pierwiastki spotykane na Ziemi. Niestety część z nich jest zabójcza dla ludzi.- Analityk zamilkł, nabierając powietrza.- Są jeszcze dwa nieznanne dotychczas, niezwykle ciężkie. W tych strukturach, wygląda na to, że działają jak spoiwo. Ale trzeba też wziąć pod uwagę, że jest to wytwór na wskroś sztuczny, nie możliwy do powstawania samoczynnie... To wręcz wygląda tak, jakby ktoś nie znający się na tym, dla zabawy łączył w strukturach molekularnych niemożliwe... Tworząc procesory!? Gdyby ktoś z boku patrzył na analityka, spostrzegłby na pewno jego osłupienie, kiedy wypowiedział te słowa... Zaszokowało go jego własne odkrycie. Podrapał się po głowie, wstał z krzesła i zaczął dookoła niego krążyć, na przemian obgryzając skórki przy paznokciach, i drapiąc się po głowie. Na chwilę przystanął. Zmarszczył brwi, jak gdyby próbował coś sobie przypomnieć, a potem ostentacyjnie usiadł na biurku Ruffa.

- Tak sobie myślę, że to są naprawdę układy skupione w takim nasileniu, w jakim nasza współczesna technika musiałaby czekać jeszcze ze trzysta lat przy obecnym tempie rozwoju. Ale dopiero teraz, mając to znalezisko, możemy badać, odkrywać. Dla nas to kamień milowy...- Rozmarzył się analityk, ale za chwilę spojrzął na zwierzchnika protekcyjnie.- Czy pan rozumie, że mamy tu do czynienia z tak potężną miniaturyzacją, że centymetr sześcienny tej „masy”, my musielibyśmy rozbudować do wielkości Empire State Building?

- A jeśli ma pan rację, to, co daje energię tym, nazwijmy układowi?- Ruff przeglądał notatki, nie patrząc nawet na naukowca.

- Tarcie, ciepło, tak przypuszczam, ale to może być zagadka na długi czas.- Prawie szeptał zapytany.

- Czyli teoria z winą miałaby jakieś poparcie?- Dociekał pułkownik.

- Tego wykluczyć nie mogę. Rzeczywiście może to być nawet jakiś środek transportu. Albo tak skomplikowana maszyna eks-terminacyjna, że istoty, które to stworzyły mają tak zaawansowaną technologię, że my nawet nie mamy szans na jakąkolwiek obronę... Jeżeli to agresorzy, to my już przegraliśmy...- Głos technika przy odrobinie wyobraźni można było nazwać szeptem.

- Dziękuję za szczerą panie Simpson, jest pan wolny i...- Ruff spojrzął w jego stronę- Niech się pan jeszcze wstrzyma z nawet ze wstępными informacjami dotyczącymi odkrycia? Powiedzmy, niech mi pan da siedemdziesiąt dwie godziny...

- Pan tu dowodzi, ja zresztą wolę nie być czarnym posłańcem.

Po wyjściu analityka wojskowy sporządził krótką notatkę na małej karteczce, którą schował w zagięcie rękawa.

Człowiek zbliżał się szybkim krokiem do głównego wejścia instytutu badań technologii kosmicznych. Budynek nie wyróżniał się zbyt w otoczeniu. Tak jak wszędzie, przed każdą budowlą w tej dzielnicy rozciągał się pas trawy z wyrosłymi gdzieś niedługo drzewami. Parking przy zjeździe z ulicy, a i sam instytut z zewnątrz był raczej nie pokaźnych rozmiarów. Ot, zwykły, piętrowy pawilon, przeszklony ze wszystkich stron, w kształcie podkowy.

Mężczyzna był już metr od drzwi automatycznych i miał wejść do środka, kiedy wyczuł „cichy dzwonek” w swoim telefonie. Tylko spojrzał na kolor wyświetlacza, orientując się o ważności rozmowy. Świecił na czerwono, a to oznaczało, że z tego numeru korzystało tylko parę osób o najwyższym stopniu dostępu. Odebrał...

- Tak jestem!- Odpowiedział na głos w słuchawce.- To oczywiście, że nikt nie wniesie skargi.- Dodał po chwili.

Człowiek schował aparat do kieszeni kurtki, poszukał jeszcze czegoś i wyciągnął plakietkę instytutu. Wchodząc przez drzwi machnął identyfikatorem przed okienkiem strażnika i pewnym krokiem skierował się przez hol w stronę ruchomych schodów. Wjechał na pierwszy poziom, stanął na chwilę, rozejrzał się dookoła i nie zauważywszy żadnego zainteresowania swoją osobą, udał się w lewą stronę ku laboratorium badawczym. Tam zwolnił krok i zaczął zaglądać do kolejnych pomieszczeń przystając na chwilę przed każdym. Tylko jedna sala była pusta. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte na zamek elektroniczny. Mężczyzna jeszcze raz rozejrzał się po korytarzu i z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął rękawicę z jakiegoś dziwnego materiału. Wyglądała jak gdyby odlana z metalu, a jednak dopasowała się szybko do dłoni. Człowiek położył dłoń w rękawicy na szybie skanera. Linia światła przebiegła od przegubu aż do czubków palców i z powrotem, a w chwilę potem z głośnika komunikatora usłyszał komunikat:

- "Identyfikacja potwierdzona. Inspektor Izaw Riazani. Ósmy priorytet dostępu."

- Otworzyć!- Mężczyzna chwycił za klamkę, gdy elektromagnesy zwolniły zatrzaśki drzwi. Wszedł do pomieszczenia. Było puste, żadnych stołów, krzeseł, szafek. Co dziwniejsze, w tym pomieszczeniu nie było okien, ani żadnych punktów świetlnych, a mimo to jakaś luminescencja ścian, rozświetlała pokój jak w pełnym blasku dnia. Przekraczając próg, kontem oka spostrzegł, że szyby stają się lustrzane, a drzwi zamknęły się automatycznie.

- Strażnik meldować! - Powiedział, robiąc krok ku środkowi sali.

W podłodze odsunęła się niewidoczna do tej pory kłapa i po metalowych schodach wszedł przez nią ten sam strażnik, który uprzednio siedział w portierni przy drzwiach wejściowych.

- Panie inspektorze.- Wypiął się w pozycji na baczność.- Potwierdzono pełen stan gotowości. Wszyscy goście przybyli już docelowo. Jest w moim posiadaniu pełen raport z terenu. Wojsko, policja, i inne służby są w pełnej stałej dezinformacji i pod kontrolą. Brakuje jedynie danych ze strefy „52-giej”. Oddelegowany tam pułkownik Ruff nie przesyła żadnych informacji oprócz meldunku o zabezpieczeniu terenu. Nie jest możliwe dostanie się do sektora.- Dokończył.

- Spocznij.- Inspektor spojrzał na strażnika.-Powitajmy naszych gości. Strażnik możesz wrócić na portiernię,- uśmiechnął się - I... zmienić na autentyk ten idiotyczny hologram aktywny. Niedługo wszyscy będą mówić o tym, że straż śpi na służbie.

-Panie Inspektorze, przecież pomyśl z tą pozą holo wyszedł właśnie od pana.- Strażnik wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.-

Aha! Na dole jest przyciemnione światło. Nasi goście nie mogą przywyknąć do tak jaskrawego, jak nasze, patrzenia na świat.- Mówił schodząc po metalowych stopniach w dół.

- Inspektor rozejrzał się jeszcze po pomieszczeniu i udał się za strażnikiem. Nad nim bezgłośnie zasunęła się kłapa wjazdu, zostawiając poprzednie pomieszczenie na powrót puste.

Tajga1805

PO GODZINACH

JUZEF ::: GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE... (2)

Część 3: Lecim na Szczecin

Z wydarzeń minionej godziny zapamiętałem tylko ciemność oraz błysk czerwonego światła. Nie wiedziałem co się stało, ale byłem pewien że ubyto mi włosów z kilku ważnych miejsc. Zresztą nie stanowiło to teraz najważniejszego problemu. Odpaliłem więc grata i przekroczyłem trzykrotnie ograniczenie prędkości, tak że po minucie zajechaliśmy na przejście graniczne do Twierdzy Zakrzów.

Festung Sacrau stanowiła ściśle centrum Zakrzowa. Obejmowała obszar przedimperialnego Starego Zakrzowa ale zabudowania już w niczym go nie przypominały. Dziś były to głównie wieżowce, których pięter trudno było się doliczyć.

Zatrzymaliśmy się na pasię odpraw. Budka przejścia granicznego stała w sporej odległości od murów Twierdzy, właściwie w szczerym polu. Wyszło z niej dwóch facetów. Jeden, łysawy celnik w wyświechtanym mundurze, drugi zaś był smutnym gościem w czerni.kij

- Guten Tag. Ausweis und Fahrkarte bitte! - zagaił celnik mierząc zwłaszcza Mariana podejrzliwym wzrokiem. Ten drugi też mierzył, ale zza ciemnych okularów nie było widać.

- Dokumenty w porządku, ma pan coś do oclenia? - spytał patrząc podejrzliwie na hałdę skrzynek którą miałem na pace. W porę zdążyłem jednak uniewidocznic je (wot technika!).

- Raczej nie. - odparłem.

Urzędnik nie był raczej zbyt dociekliwy, bo przepuścił nas. Wziąłem więc papiery i ruszyłem.

Za murami Festung Sacrau zaczynał się inny świat. Wcześniej krajobraz wyglądał na dość powojenny, po polach i rowach walały się rdzewiejące wraki czołgów, a tutaj było w miarę czysto nawet ładnie. Dwupasmowa droga stała się nagle dwudziestopasmową obwodnicą Centrum. Jechaliśmy na razie przedmieściami wsi, zabudowa była podobna do tej z naszych czasów. Dopiero bliżej Centrum stały kilkuset tysięczne osiedla i wieżowce. Ludzi nie było nazbyt wiele, a jeśli się pojawili, wyglądali zupełnie niezakrzowsko i nosili niemal identyczne stroje.

By móc zajrzeć do Centrum, gdzie obowiązywał zakaz wjazdu, zostawiliśmy grata w podziemnym garażu. Zamierzaliśmy zejść Aleją Zakrzowską pod pałac Sołtysa, ale po drodze wśród setek sklepów zauważyliśmy ciekawą knajpę, stylizowaną na ponemiecką stodołę. Weszliśmy. Wnętrze tak bardzo przypominało zakrzowski bar, że odżywały wspomnienia. Lokal o zagrzybiałych murach, ochlapanych dziwnymi substancjami, zastawiony stołami z dykty, byłby idealnie swojski gdyby nie klienci, podobni do reszty tubulców.

Co więcej nie byli to tylko ludzie. Przy osobnym stoliku siedziały zwierzęta – od małp, przez koty, psy, myszy po woła. W dodatku barman był lwem.

Pech chciał że wolne miejsca były tylko przy lokalizacji tych zoologicznych ewenementów. Zasiedliśmy więc.

- Ta.. w gardle zaschło, a i zjeść coś by się przydało. Te, barman! - zakrzyknąłem.

Lew, starszy, łysawy, o mało ciekawej aparycji, spojrzał krzywo i podszedł.

- Was möchten sie? - warknął.

- Bitte eine Flasche wódki, drugą dla kolegi, skrzynkę na zapas i coś zjadliwego dla nas obu.

Zwierz podrapał się w łysinę, warknął, ale gdy zamachnąłem mu przed nosem plikiem gotówki, ochoczo zrealizował zamówienie. Korzystając z czasu przed przybyciem żarcia, diabeł dłużej widelcem dziurę w stole, zdradzając oznaki myślenia.

- Wiesz, wydawało mi się... inaczej wyobrażałem sobie tę robotę. - wydusił w końcu.

- Ta.. mówiąc wprost, za dużo się naoglądałeś amerykańskich filmów. Tu robota wygląda inaczej... najczęściej tak. Nie mam planu, nie wiem co mamy dalej robić, ale coś się zaimprovizuje....

Lew przyniósł alkohol i żarcie. Wyglądało podle, ale o dziwo smakowało całkiem nieźle. Po posiłku przyszedł czas na małe co nieco. Wódka w smaku była jakby wcześniej wyprano w niej skarpety, ale dawała w czachę. Diabłu jak zwykle dała za bardzo.

- W sumie nie ma się chyba co martwić. - wyjąkał próbując trafić kieliszkiem do ust. - Przecież w takich sprawach zawsze wygrywają ci dobrzy, źli zostają pokonani.

- Nie byłbym taki pewien... Ale może coś w tym jest.... - rzekłem zagryzając kiełbasą. Dobrze suszoną, ale mimo to wolałem nie wiedzieć z czego zrobioną.

- Tak.. więc proponuję przejść do konkretów. - podjął Marian - Nie musimy zaraz wzorować się na Jamesie Bondzie, ale... trzeba by coś zrobić.

- Świetny pomysł. - przytaknąłem. - Na początek dobrze byłoby wypytać tubylców, ino dyskretnie. W ramach praktyki... mógłbyś..

Marianowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wstał chwiejnie, ale zdołał utrzymać pion i ruszył w kierunku stolika zajmowanego przez zwierzęta. Nie były one dość chętne do kontaktów z ludźmi, ale o tym miał się dopiero przekonać. Ja za to miałem czas by zawrzeć bliższą znajomość z czteropakiem wina z buraków (co za wieś, wszystko tu buraczane...), co zresztą uodporniło mnie nieco na przyszłe wydarzenia.

* * *

Wołga zatrzymała się na tyłach kościoła. Tadek co prawda dawno nie zaglądał do tej instytucji, ale nie miał z nią żadnych problemów. Bez obaw przeniknął ściany podążając za bratem Marianem schodzącym do podziemi budynku. Zatrzymał się przy pancernych drzwiach, które mógł przejść, ale jego „opiekun” musiał wklepać kod. Za wejściem rozciągała się sala o wymiarach i cechach kościoła. Większą jej część zajmowały biurka, na nich komputery, a przy nich głównie emerytki.

- Ha, oto Moherowe Berety! Wzorcowi Prawdziwi Polacy... - rozmarzył się brat Marian.

Tadek nie słuchał go zbyt długo. Spojrzał na przeciwną ścianę, którą zajmował olbrzymi portret Ojca Dyrektora w glorii i chwale.

Weszli w boczny korytarz, wyłożony złotymi kafelkami. Na jego końcu szerokie pancerne wrota broniły dostępu do biura SZEFa. Na drodze stanęła im zakonnica.

- Ojciec zakazał wstępu. - powiedziała - Nie lubi gdy mu przerywać kazanie w radiu... .

- My z projektu Nowy Dzień, mamy prawo wstępu.. - mruknął bart Marian i wtargnął do biura.

Gdyby Tadek miał nos, poczułby mieszaną dymu z kadzidła, dymu z cygar i zapachu alkoholu. Leżący na biurku kot był niemożliwie tłusty. Na ścianie z tyłu wisiała miniatura portretu z sali.

- Ave Magnificencjo! - zagaił brat Marian. - Oto przyprowadziłem Ostatniego... - wyrzekł zgięty w ukłon.

Dało się wyczuć ciężki wzrok jakim SZEŹ zlustrował ćwierćmaterialnego Tadeusza.

- Ty idioto! Kretynie... Czarcu wypierdu! - wrzasnął SZEŹ, chwycił kota i rzucił nim w podwładnego dość celnie. - To nie on. Czy ten tu jest łysy, ma odstające uszy i prowadzi gazetę?! To nawet nie jeden z tych Pomniejszych. Boże, za coś karzesz mnie takimi debilami... .

- Błagam o wybaczenie, Magnificencjo. - wykrztusił Marian odczepiając kota ze swej twarzy. - Zaszła fatalna pomyłka, ale teraz to już bez znaczenia.

- Hm... trudno. - westchnął SZEŹ -Lepszy ry.. tfu! Słuchaj no... - zwrócił się do Tadka. -

Wiemy żeś dotąd jedynie plugawił kraj swym grzesznym bytem i pasożytował na Prawdziwych Polakach. Ale w swym miłosierdziu gotowy jesteśmy ci wybaczyć, jeśli okażesz się przydatny dla sprawy... .

Ojciec Dyrektor nawijał, a Tadeusz nabytym w szkole zwyczajem korzystał z umiejętności słuchania, a nie słyszenia.

- Rodzina Radia Maryjan - ciągnął. - potrzebuje przestrzeni życiowej. Musimy odebrać ją

niewiernym, kogo się da nawrócić, a resztę... hm, w każdym razie Bóg tak chce.. . To, co widziałeś w hali, to załączek projektu Gumowe Ucho, systemu powszechnej ewidencji sumień, myśli i czynów. Pozwoli on kontrolować każdego człowieka. Złych z miejsca karać a dobrych wynagradzać. Tak, da to powszechną równość i szczęśliwość, nastanie Nowa Era, w której nie będzie zła, czas Prawdziwej Wiary... .

No tak, do rzeczy. Twoją pierwszą misją będzie likwidacja pewnego pogańskiego idola, niejakiego Harry'ego Pottera. Został oskarżony o czarnoksiężstwo, seks przedmałżeński, kolaborację z masonami i.... zresztą tu masz zdjęcie.

Tadek spojrział na wydruk przedstawiający szczyla o pedalskim ubiorze i wyglądzie w niedwuznacznej sytuacji z niejaką Hermioną.

- Odnajdziesz go i zlikwidujesz. To będzie twoja pierwsza akcja. - rzekł sucho Ojciec Dyrektor.

- Ku chwale Ojczyzny, oby... tfu! Ojcie Dyrektorze... - mruknął menel.

- Dobrze. Jeśli ci się uda, pomyślimy nad amnestią. - obiecał. - A teraz barcie Marianie, odprowadźcie gościa gdzie trzeba. -

machnął w stronę Tadka prawą ręką, podczas gdy lewą wyjął z barku flaszkę wódki. - No, co się gapiacie? Idźcie w pokój!

- Bliskie jest Imperium Wszechpolskie. - zagadnął bart Marian - Przekazujcie nam swe renty i słuchajcie Radia Maryjan.

Wyszli.

* * *

Wółga zatrzymała się. Trzasnęły drzwi, otworzył się bagażnik i dwie znajome emerytki wytargały Harry'ego na glebę pod nogi szofera. Chwilę później cała trójka porzuciła przebrania, okazując się typowymi tubylcami, sądząc po fizjonomii nie stroniącymi od napojów alkoholowych.

- Jesteś pewien Zdzisiek że to ten? - jeden z nich, do niedawna szofer, zlustrował młodego pobieżnie. - - Coś mizernie wygląda. Mówiłem żeby brać tego Copperfielda... .

- Ty ćwoku.... - zbluzgał Zdzisław Mariana. - Tamten jest od znikania, a nam potrzeba żeby się co nieco pojawiło... .

- Ja wam mówię.... - zagał trzeci zwany Ambrożym, dzierżący któryś tom książki o Potterze. - To ten. Ma przecież tę bliznę na czole.... Sądząc po tym, co o nim czytałem, sprostą wyzwaniu.

- Ekhm... przepraszam, ale czy mógłbym napędzić o co do cholery chodzi? - przemówił nieco zdeorientowany Harry. - Że jestem porwany to zdążyłem zauważyć. A po co?

- E.... - Marian próbował zrozumieć. - Chyba chce znać nasze ... te ... motywy... .

- Może ja wyjaśnię. Wam brak komunikatywności.... - zaofiarował się Ambroży. Jako okularnik uchodził wśród menelstwa za intelektualistę. - Przede wszystkim witam tak wspaniałą osobę na naszym skromnym zadupiu.

Przepraszam za niedogodności, ale tak to już bywa przy porwaniami. Już się streszczam... . My, jako biedni menele, chcielibyśmy prosić cię o przysługę, która z pewnością poprawi jakość naszej egzystencji. Po jej zrealizowaniu, gwarantujemy puszczenie wolno.

- Niech zgadnę.. - domyślił się Harry. - Chcecie cudownego rozmnożenia tej węglowodorowej

cieczy, która z takim upodobaniem w siebie wlewacie?

- Dokładnie tak. - potwierdzili zgodnie menele. - Skąd wiesz?

- Powiedzmy że mam pewne doświadczenie w tych sprawach. - mruknął czarodziej tajemniczo.

- Skoro tak, to nie traćmy czasu. - Marian zatarł ręce. - Robota stygnie.

Harry błyskawicznie znalazł się w żelaznym uścisku dwójki meneli. Targali go w stronę zabudowań położonego przy tej uliczce, gdzie stanęli, byłego zakrzowskiego browaru. Korzystając z faktu, że strażnik na bramie spędzał czas jak zwykle śpiąc, wśliznęli się na teren zakładu do jednej z hal produkcyjnych. Jej ściany i podłogę pokrywały białe kafelki, a przy wejściu piętrzyła się hałda skrzynek z pustymi butelkami półlitrowymi.

Obstawa rzuciła Harry'ego na glebę.

- Będziemy wielce usatysfakcjonowani jeśli miejsce powietrza w tych flaszkach zajmie etanol.. - zasugerował Ambroży.

- Cóż, postaram się nie zawieść waszych oczekiwań. - odparł Harry z podobnym sarkazmem.

- Dobrze... nie zaszkodzi jeśli przy okazji napędzisz także tamte beczki... - uzupełnił Marian wskazując ręką beczki na środku hali. Każda była wielkości takiej od szambowozu, a było ich z dziesięć.

Młody poczuł się mniej pewnie. Znał co prawda zakłęcie, ale nie był pewien, czy starczy na większą ilość.

- To my spadamy.... - oznajmił Zdzisław. - Pracuj bo nie znasz dnia ani godziny gdy wrócimy... .

Wyszli, zamknawszy za sobą starannie drzwi. Analiza sytuacji zajęła Harry'emu chwilę. Wyszło, że jest beznadziejnie, w ścianach nie było nawet okien. W Hogwarcie nie przerabiali jeszcze łamania fizycznych zabezpieczeń ani przenikania przez ściany. Musiał więc spełnić sugestie meneli. Dziwny to naród, pomyślał. Inni, złapawszy go, zażądałiby sławy, chwały, majątku i urody, a tym wystarczy spora ilość etanolu.... .

Nie było gdzie uciec, nie było się czym urządzić, więc czarodziej wziął się za roboty przymusowe. Znalazł kawałek pręta zbrojenio-
wego, do jego końca przywiązał drutem żarówkę i całość okleił taśmą. Potem wlaź na podwyższenie z kilku skrzynek po piwie i zamachnął różdżką. Energia magiczna zaczęła się kumulować, powietrze zgęstniało a żarówka zabłysła. Harry wziął oddech, przybrał postawę.

- SPIRITUS MOVEENSSS!!!! - zaklął, a jego słowa jakby ugrzęzły chwilę w powietrzu, po czym rozplynęły się. Energia zawirowała, skropliła się w mgłę, powstały drobne zaburzenia grawitacji, żarówka wybuchła i NIC. Przynajmniej tak to wyglądało, bo w butelkach nadal było tylko powietrze.

Harry użył wszelkich znanych sobie przekleństw. Dlaczego nie zadziałało? Może umiał to tylko po pijaku.... . Zaraz, musi być wyjście awaryjne.. . Chyba że... .

Coś skraplało mu się na twarzy i ściekało z brody. Stał ręką, oblizał i stwierdził, że ciecz ma około 90% mocy.... . Rozjezrząwszy się zobaczył w powietrzu alkoholową mgłę, która z czasem przeszła w drobny deszcz. Parę minut później była to już ulewa... .

Młody chwycił mocniej różdżkę i skierował opad do nastawionych pojemników. Nieoczekiwanie deszcz alkoholowy zaczął padać w poziomie. A może to on zmienił pozycję... .

Kiedy menele wrócili, znaleźli Harry'ego w pogłębiającej się kałuży spirytusu. Oczywiście wcześniej zajęli się tym co

zastali... . Gorzej że zrobili to zbyt sumiennie i godzinę później byli równie zaawansowani co czarodziej. Jeszcze gorzej że strażnik służbista obudził się i wezwał policję, a może ta po prostu zainteresowała się odgłosami jakie w środku nocy dochodziły z hali... . W każdym razie efekt był taki, że cała ekipa uprzednio spalowana wylądowała w radiowozie, a potem w nieco znanym już Harry'emu miejscu.

* * *

Diabeł wrócił z przesłuchania zwierząt lotem ślizgowym i wylądował pod stołem. Zaraz potem zwała się na niego, a w konsekwencji i na mnie, nawała zwierzęcych aktywistów. Przydał się służbowy moduł wspomagający, który Rokita podłożył mi podstępem do kaszanki, bo nie dałem sobie przez odbyć wszczepić. W odpowiedniej chwili wyłączył zdrowy rozsądek i zadziałał zapobiegawczo. Efekt zadziwił tak mnie jaki i napastników. Nie wiedziałem że potrafię bez uzbrojenia powalić dwanaście małp jednym ciosem. Ale fart nie trwał długo. Gdy do lokalu wpadł oddział wsparcia złożony z kilkunastu psów i kotów, nawet moje ponadnormalne zdolności wysiadły, musiałem skapitulować. Małpiszony dobrały się nie tyle do diabła, co do kanapki, którą miałem w kieszeni. Jeden z kotów powąchał ją dokładnie.

- Hm... to kielbasa z psa. - zameldował stojącemu obok psu, jeśli nie dowódcy, to przynajmniej pakerowi z wyglądu.

Tłum zawrzał. Nie ma co, podpadłem. Bulwersacja była szczególnie silna wśród lobby psiego. Nastąpiła ta chwila ciszy, w trakcie której kruszono stoły i krzesła na dzidy i maczugi, szkło na tulipany, szczekała broń palna.

Zadymę powstrzymało chyba tylko pojawienie się starszego, zakapturzonego gościa.

- Nie, tym razem żadnej zadymy. Nie tutaj. - krzyknął przeciskając się przez tłum.

Podszedł do mnie, przyjrzał się diabłu. Wyglądał dziwnie znajomo. Może to tylko dlatego że był jedynym poza nami człowiekiem w tym lokalu.

- Zabieramy ich do Miasta. Zweryfikujemy ich przydatność.... - orzekł starzec i wtopił się w tłum.

Rozległ się cichy jęk zawodu, ale banda posłuchała gościa. Jedna barczysta małpa wzięła nas za fraki, przerzuciła sobie przez ramię i podążyła za ziomkami.

* * *

Podstawowym problemem z podróżowaniem w Tadka przypadku była jego nie integralność z fizyczną materią. Nie mógł zwyczajnie wsiąść do Ikarusa, bo przenikał przez podłogę. Musiał więc snuć się samotnie, i chociaż mógł to robić prostoliniowo przenikając przez wszelkie przeszkody, to jednak uznał, że warto byłoby się nieco zmaterializować.

Pomysł wydał mu się oczywisty. Dziwił się czemu dotąd na to nie wpadł. Trzeba było się wcielić w jakiegoś żyjącego. Menel co prawda dotąd tego nie robił, ale chyba nie byłoby to takie trudne.... . Chociaż.... Z trzeźwym osobnikiem mógłby być problem. Co innego zalany... .

Cóż, znalezienie odpowiedniego typu na Zakrzowie nie przedstawiało większej trudności, zwłaszcza że menel wiedział gdzie szukać kolegów po fachu. Ponieważ brat Marian wysadził go w bliżej nieznaną podwrocławską wioskę, musiał wprawdzie dotrzeć na swe osiedle. Lecz kiedy już zlokalizował najbardziej uczęszczaną lokalną melinę, jedyny problem stanowił wybór dogodnej osoby. Na kupie siana w jednej piwnicy leżało kilku miłośników wysokooktanowych trunków po spożyciu dużej ilości wyżej wymienionych. Licząc od stygającego kotła bimbrownicy, obecni byli: Kaziu, lokalny listonosz, Andrzej, elektryk z Polaru, Marian, bezrobotny, Józef, właściciel kiosku na pętli autobusowej. Reszty Tadek nie znał lub nie rozpoznawał w obecnym ich stanie. Wybór okazał się trudny, więc dla ułatwienia wybrał najbardziej zalanego osobnika – listonosza. Korzystając z jego nieprzytomności, wlażył w jego umysł i zepchnął oryginalną jaźń do ciemnego, zalanego alkoholem zakamarka. Teraz miał już pełną kontrolę nad jego ciałem. Mając sporą kontrolę nad zdobytym ciałem, wydalil z niego część alkoholu aby nadawało się do użycia.

Kaziu zataczając się z lekka powstał na równe nogi. Chwilę zajęło Tadekowi opanowanie fizjologii ruchów, bo z początku przez pomyłkę wyszedł z piwnicy na rękach, ale później szło jako tako. Było już ciemno. Zdołał dotrzeć w okolice centrum osiedla nie wzbudzając większych podejrzeń.

Dzięki specjalnym wtykom jakie miał na czas akcji, zdołał dowiedzieć się, że Harry Potter znajduje się właśnie w izbie wytrzeźwień zakrzowskiego posterunku. Problem polegał teraz na jego likwidacji. Właściwie miał duży wybór metod, a skoro kurdupla zamknęli, to pewno znów imprezował i z wstawionym będzie łatwiej. Możliwość była co prawda prostsza – wysadzenie w powietrze całego posterunku, ale Tadek nie miał akurat nic do policjantów. Postanowił jakoś wywabić ich z posterunku. Pomysł przyszedł szybciej niż się spodziewał.

* * *

Tuż pod godzinie dwudziestej policjanci z posterunku na Zakrzowie otrzymali anonimowy donos od mieszkańca osiedla, który twierdził że jego sąsiad posiada w podziemiach stodołę bimbrownię o przemysłowej wydajności. Nic nie mogło bardziej ucieszyć gliniarzy, bo ten rodzaj akcji uwielbiali najbardziej, zwłaszcza gdy własnoręcznie i doustnie dokonywali likwidacji skonfiskowanego nielegalnego spirytusu. Nie minął kwadrans, a już darli podstarzałym Polonezem na miejsce akcji.

Tymczasem Tadek opuścił ciało listonosza i przeniknął przez ścianę posterunku do wnętrza izby wytrzeźwień. Tam zmuszony był zdobyć nowe ciało, więc wlażył w pierwszego z brzegu śpiącego menela. Przejął kontrolę nad jego ciałem, wstał z piętrowego łóżka i przystąpił do poszukiwań Harry'ego. Okazało się to dość trudne, bo na około dwudziestu piętrowych łóżkach nałożono po dwóch lub trzech meneli. Widać w okolicy była większa libacja... . Niemniej Tadek w końcu dogrzebał się do małego czarodzieja. Leżał pod hałdą trzech pijanych mężczyzn, których ubiory były zamoczone alkoholem. Spróbował go stamtąd wygrzebać, ale ciało, które zdobył, nie należało do najsilniejszych. Kiedy już mu się to udało, rozłożył gościa na kawałku najmniej zafajdanej wymiocinami podłogi, zdarł z niego pedalski sweter z emblematami Hogwartu. W kieszeni znalazł pustą flaszkę, rozbił ją o nogę łóżka. Mętne światło lampy błysnęło w odpryskach szkła.

Menel dłuższy czas myślał co zrobić z Harrym. Nie darzył go szczególną sympatią ani niechęcią, więc nie zamierzał go na dobre likwidować. Ale pewne działania mógł podjąć. Postanowił dodać mu kolejny charakterystyczny znak oprócz tego na czole. Chwycił rozbitą flaszkę, przewrócił go na plecy i myślał co by tu wyrysować. Nie miał talentu w tej kwestii. Zwykle jedynym wzorem jaki bez problemu mu wychodził, była gwiazda Dawida...

prawie jak CDN

JUZEF

Evolva ::: Mój ziom z daleka

OSTRZEŻENIE! Cykl nie nadaje się dla osób poniżej 18 roku życia. Będą w nim występować treści niecenzuralne. :P

PROLOG

Było ciemno, kurde nawet bardzo. Siedziałem, rzecz jasna, przed kompem. Wkręcałem jakiegoś napaleńca na czacie, że jestem 18-letnią blondynką o wymiarach 90:60:90. I nie spodziewałem się, że Ciemność przyszła do mnie.

Puk! Puk!

Mozolnie ruszam tyłek i podchodzę do drzwi. Otwieram, a tam stoi jakiś koleś w płaszczu a'la Matrix. Uśmiecha się szelmowsko i wyciąga zza pazuchy gumową marchewkę. Ściska ją. Zabawka wydaje z siebie charakterystyczny pisk. Nagle czuję, jakbym wypił naraz z pięć 0.7. Uderzam głową o ścianę.

AKT I

Ciemność mnie chyba nie lubiła. Bo przeniosła mnie na jakieś zadupie na końcu wszechświata, gdzie nie ma pryszniców i papieru toaletowego, a jak postawisz lodówkę przy żyrandolu, to meble zaczynają wirować i wszędzie lata glutoplazma.

Idę sobie spokojnie, jakąś uliczką zrobioną z lukrecji. Tuż przed moim nosem przelatuje strzała. Spoglądam w prawo, a tam stoi jakiś koleś w obcisłych rajstopkach, ma długie blond włosy oraz posturę wymęczonego anemika. Podchodzi do mnie i mówi: Witaj nieznany wędrowcze! Me imię brzmi BeGolas (czyt. „bigolas”, ang. „be” oznacza być; „być golas”). A twoje? – na początku nie odpowiadam, bo mnie zatyka. Jakbyście się zachowali, jakby zagadał do was jakiś blondyn wyglądający niczym pomieszanie homoseksualisty z pedofilem (i nie chcę tu nikogo obrażać!) i był wyraźnie napalony? Jednak po chwili niezdecydowania, patrzę na szczęśliwą twarzyczkę BeGolasa i odpowiadam:

Zwę się Nekrofilusz. – kłaniam się nisko.

Cóż za piękne imię! Och! – BeGolas klaszcze w ręce z zadowolenia. Spoglądam na niego krzywo. Bo chwili znów zaczyna – Jestem elfem! Chcesz być w mojej drużynie?

E...- nie wiem co odpowiedzieć. Ale nie potrafię odmówić BeGolasowi, gdyż jego oczka wpatrują się we mnie z taką miłością.

Widać, że chłop (?) nie ma przyjaciół. Żał mi takich ludzi. W końcu odpowiadam – No dobra...

Och jak wspaniale!!! – BeGolas aż zaczyna tańczyć makarenę. Stwierdzam, że ma zgrabne ruchy.

Wędrujemy sobie już dość długo. Nic się nie wydarza. Czasem tylko BeGolas spogląda na mnie zachłannie (brr!).

Wchodzimy na jakieś wzgórze. Na jego szczycie spotykamy jakiegoś knypka, co ma długą, posklejaną brodę i jedzie od niego gorzałą. Bije się z jakimiś ABS-ami na motocyklach, jeden z nich ma na bicepsie tatuaż z napisem „mamuśka”.

Patrzę na przerażoną twarz BeGolasa. Elf krzyczy piskliwym głosem, którym mógłby zabić nietoperze:

To Czarni Harleyowcy! Są niebezpieczni! Powodują zanikanie papieru toaletowego!

To, co powiedział BeGolas przerażyło mnie. Trzeba być już złym do szpiku kości, żeby powodować zanik papieru do tyłka! To esencja zła!

(a teraz przejdę do narracji w czasie przeszłym :p)

Nie wytrzymałem. Podniosłem kamień i rzuciłem prosto w oko jednemu z Czarnych Harleyowców. Zaczął kwiczeć jak zarzynane prosię. Wybekał coś do swojego towarzysza i rzucił się na mnie. Na szczęście zwinny BeGolas z prędkością dziadka po osiemdziesiątce wyciągnął łuk i strzelał strzałami na oślep. O dziwo, jedne z nich przebiły opony Czarnym Harleyowcom. Obłeśna banda musiała się zatrzymać i wymienić opony. To dało nam czas do ucieczki.

Knypek, jak się potem okazało był krasnoludem i miał na imię Gili. BeGolas puszczał mu oczko. Poczułem się zazdrosny.

Dotarliśmy do speluny „Pod rozbrykanym wieprzkiem”. Usiedliśmy przy stoliku i zamówiliśmy po browarku. Ktoś pierdnął donośnie.

Wolno sączyliśmy wiadra alkoholu. Przyglądał się nam koleś siedzący w kącie lokalu, był zakapturzony. Dopalał zioło. BeGolas był w niego wpatrzony jak w obrazek. Zaczął:

Ależ pociągający jest tamten typ! Nieprawdaż, Nekrofiluszu?

Tak... yhm... jasne... - mruknąłem i skrzyżowałem ręce na piersiach. Gili'emu mucha wleciała do oka. Krzyknął:

Ała!

Tajemniczy osobnik wciąż się nam przyglądał. Coraz nachalniej. BeGolasowi najwyraźniej pasowały takie spojrzenia, lecz ja czułem się nieswojo. Po chwili zakapturzona postać wstała i podeszła do naszego stolika, zdjęła kaptur...

Osz w mordę jeża! – wyszeptał zachwycony elf. – Przystojny... taki spocony i nieogolony...

Witam szacownych wędrowców. – osobnik kiwnął głową. – Jestem Viagragorn, zwany także Prącioświatem. – Miałbym dla was misję.

Słuchamy. – odpowiedzieliśmy jednocześnie, słuchając z uwagą. Tylko BeGolas kokieteryjnie przebiebrał włosy długimi, zaprawionymi w bojach palcami.

KONIEC AKTU I

AKT II

Viagragorn wytłumaczył nam, że poszukuje jakiegoś Smroda, który posiada Jedyne Zwisior. I ten Zwisior trzeba wrzucić do Wieży Odrobaczania. Lecz po co? Tego Prącioświat nam nie powiedział.

Żeśmy doszli do jakiegoś kurhanu. Rozpaliliśmy ognisko, Gili wykazał się wspaniałymi zdolnościami manualnymi - powiesił koc na drzewie. To był nasz szałas.

BeGolas czyścił swój łuk, Viagragorn polerował miecz. Tylko ja nie miałem żadnej broni. Smutne. Chociaż moje niezwykle talenty miały się niedługo ujawnić.

Ognisko przygasło, my spaliśmy. Nagle obudził nas dziwny dźwięk. Zza głazu wyskoczyła kurduplasta, zakapturzona postać.

Viagragorn błyskawicznie wyciągnął swoją motykę, która nosiła dumne imię „Pomen”. Pomachał nią groźnie. Postać kwiknęła i podskoczyła. Kaptur zleciał jej z głowy. Prącioświat wykrzyknął radośnie:

Smrodzie! Nareszcie jesteś tak długo cię szukałem! – i przytulił małego Smroda, należącego do rasy ho-bitów.

Hm....! – mruknął BeGolas patrząc złowieszczo na Smroda.

Nad ranem wyruszyliśmy w dalszą wędrówkę. Ten wredny Smród nie chciał nam pokazać Jedyne Zwisiora. Cham zbołały.

Zmierzaliśmy powolnym, aczkolwiek stanowczym krokiem do siedziby elfów – Rivenhell. Przemierzaliśmy leśną gęstwinę. A była ona tak gęsta, że Viagragorn musiał użyć swojej motyki i wygrabić nam drogę.

A Gili drapał się po tyłku.

Zatrzymaliśmy się, ponieważ BeGolas wbił sobie drzazgę w paluszek, co sprawiało ból nieopisany. Musieliśmy ją wyjąć. Podczas gdy reszta drużyny pomagała elfowi, ja czułem coś dziwnego. Coś podejrzanego wisiło w powietrzu. Albo może to tylko Gili się spierdzał.

Jakiś kamień wtoczył się pod moją stopę. To już musiał być znak. I faktycznie był, gdyż z leśnej gęstwiny, już wygrabionej przez Viagragorna, wyskoczył jeden z Czarnych Harleyowców. Zaczął mówić coś w swoim języku, tzn. począł bekać. Jednakowoż dziwnym zbiegiem okoliczności ja- Nekrofilusz – rozumiałem te dźwięki.

To jest Smród! I ma Zwisior! Oddajcie mi go, wy nędzne gałgany !!!

Natychmiast przetłumaczyłem to moim towarzyszom. To była wpadka Harleyowca, gdyż Prącioświat ta obelga wkurzyła nieopisanie. A w razie wpadki trzeba użyć „Pomena”. Viagragorn zamachnął się i zaczął zagrabiać Czarnego. Rzeź. Ręka, noga, mózg na drzewie (ścianie?). Noga Harleyowca poleciała w prawo, rączka zaś w lewo. Viagragorn aż się spocił.

Ależ ty seksownie teraz wyglądasz, Viagragornie! – powiedział zachwycony BeGolas.

Wiem. – odpowiedział krótko Prącioświat. Machnął ręką na rozbebeszone zwłoki. Poszedł w kierunku nie zagrabionej leśnej gęstwiny. Patrząc na zwłoki poczułem dziwne, ale miłe uczucie. Coś jak podniecenie. Tak bardzo chciałem dotykać te zwłoki... ach! Nie wiem co by się stało gdyby nie BeGolas, który krzyknął:

Chodź, Nekrofilusz. – i złapał mnie za rękę. Gili ukradkiem schował gałki oczne i mózg. Był amatorem podrobów. Patyczak wleciał mu do oka. Pisnął:

Ała!

KONIEC AKTU II

AKT III

Nareszcie. Po wyczerpującej, bo aż półgodzinnej podróży dotarliśmy do Rivenhell. Szczerze mówiąc, zupełnie inaczej wyobrażałem sobie to miejsce. Myślałem, że będą tam jakieś wodospady, zielone łączki itp. W rzeczywistości budynek Rivenhell przypominał swoim kształtem łeb jakiegoś szaleńca z rogami. W jego oczach migał napis: „Piekiełko”. Wchodziło się poprzez jego paszczę, z której wydobywały się dziwne dźwięki, coś na podobieństwo głośnej muzyki heavy metalowej. Nie wiedziałem, że w krainach fantasy słuchają Vadera :D :P.

W środku Rivenhell przypominało natomiast klub z tańcem typu go-go. Elfki w obcisłych, silikonowych strojach tańczyły na rurach i uśmiechały się zalotnie do odwiedzających. Mi, Giliemu, Smrodowi oraz Viagragornowi się to podobało, natomiast BeGolas skomentował to krótko:

Tania rozrywka dla heteroseksualistów.

Viagragorn poszedł szukać elfa, który załatwi nam zapasy na drogę. My tymczasem usiedliśmy przy stoliku i zamówiliśmy po groźnej mary. BeGolas z niesmakiem obserwował wdzięczące się tancerki. Na scenę wjechała gigantyczna salaterka ze zgniłymi truskawkami w środku. Wskoczyły do niej dwie elfki w zwiewnych strojach i zaczęły się, że tak powiem „szamotać”. Powiedziałem:

Niezła orgia w przegniłych truskawkach.

Ano fakt. – potwierdził Gili, który jak to przystało na górnika przodowego, dłubał teraz zażarcie w prawej dziurze nosowej.

Nic ciekawego. – odrzekł obojętnie BeGolas. – Phi! – powiedział z pogardą.

Ale i tak lepsze byłoby zwłoki. – odezwałem się po chwili, drapiąc się po języku.

Ano fakt. – odpowiedział Gili i znów chciał włożyć kciuk do nosa, ale nie wycelował i trafił w oko. Krzyknął – Ała! (hm... czytelniku czyżby małe deja vu? :P)

Viagragorn wrócił po godzinie z „Pomenem” w nowej pochwie (hm...). Pewnie dostał ją od tego elfa. Prącioświat odrzekł:

Ponieważ nikomu nie chce się eskortować Smroda do Wieży Odrobaczenia, Fetorlond, władca Rivenhell zadecydował, że my obajmiemy zaszczytną funkcję Drużyny Zwisiora! – uśmiechnął się szyderczo. – W składzie: Viagragorn – mężny wojownik ze Splendoru, BeGolas – zwinny łucznik, Gili – znakomity górnik przodowy ze znamienitego rodu Glutorabów oraz Nekrofilusz – ee... e... e... pochodzenie nieznane... umiejętności także... no i będzie tego. – Spojrzałem na niego krzywo. Prącioświat się zmieszał i uciał krótko – Chodźmy spać. Czeka nas niedługo najcięższa część wędrówki.

A dostanę pokój z tobą? – czy BeGolas aż błyszczały z podniecenia, zrobiły się nienaturalnie wielkie (ale czy cokolwiek w BeGolasie było naturalne?). Przeraziło mnie to.

Być może. – odparł intrygująco Viagragorn.

Niestety, to ja dostałem pokój z BeGolasem. Gili i Smród spali razem z Viagragornem.

Elf cały czas posyłał mi zalotne spojrzenia. Wiedziałem o co mu chodziło, każdy głupi by się skapnął. Schowałem głowę pod kołdrę. Drżałem. Nadal czułem na sobie spojrzenia napalonego BeGolas. Jednak pomyślałem... w sumie co mam do stracenia? Zrzuciłem kołdrę. Usiadłem na łóżku. Westchnąłem. Spojrzałem elfowi głęboko w oczy i powiedziałem:

– Ech... im szybciej tym lepiej.

Jupi! – krzyknął BeGolas i niczym rozwścieczony knur, rzucił się na mnie.

(fragment opisujący „scenę” został wycięty ze względu na tych bardziej wrażliwych czytelników :p ograniczę się tylko do paru dialogów, które padły podczas całej sytuacji)

Ha ha!

Hi hi!

Ho ho!

O tutaj!

No w tym miejscu,

Jeszcze !!!

Po całym zdarzeniu BeGolas odrzucił mnie na bok niczym zużyty sprzęt. Sapał ciężko. Ale trzeba przyznać, że było miło.

Muszę się częściej spotykać z homoseksualnymi elfami sam na sam w pokoju.

O! Świta już....

KONIEC AKTU III

AKT IV

Zaopatrzeni w potrzebne rzeczy mogliśmy wyruszyć w dalszą wędrówkę. Tzn. Viagragorn wyłudził od Fetorlonda trochę zarcia, koce, materace oraz tabletki zwiększające potencję. Zupełnie nie wiem czemu. Czyżby Prącioświat miał kompleksy?

Pomachaliśmy mieszkańcom Rivenhell na pożegnanie. Wzruszające.

Następnym naszym celem była Trollia, fabryka grabi należąca do rodziny Gili’ego. Trollia produkowała najlepsze grabie, które znane były w całym Śróbziemiu. Chociaż Prącioświat uważał, że motyki i tak są najlepszą bronią.

Musi gdzieś tu być wejście! – mruczał Gili macając kamienną ścianę. – Przecież pamiętam... było tutaj... kurde, no!

Wiesz co, Gili? Spędziłeś tu całe dzieciństwo, a teraz nie pamiętasz jak się tu dostać. Zaiste, jedwabiste. – powiedziałem.

Zamknijże pysk, Nekrofilusz. Idę do klopa. – i wyraźnie rozkraczony podążył w kierunku toalety. Skąd kibek na takim zadupiu

– nie wiedziałem. Krainy Śróbziemia są jeszcze bardziej pokręcone niż myślałem...

Po chwili słysząc było stęki Gili'ego. BeGolas skrzywił się. Potem rozległ się dźwięk zasuwanego rozporka i charakterystyczny plusk. I w tym właśnie momencie Toi –Toi'ka przesunęła się parę metrów w prawo. Spod niej wyrosła gigantyczna winda. No to już wiemy jak dostać się do środka. – odrzekł Viagragorn zakładając przy okazji nowe kalesony służbowe oraz ponętne rybaczki. BeGolas wydał z siebie dziwny dźwięk:

Mrrauu...

Weszliśmy do środka. Istna ruina. Wszędzie było ciemno jak w nie powiem gdzie. Przypomniałem sobie, że w swoich obdartych džinsach miałem kieszonkowy zestaw „survivalowy”, w którym to znajdowała się miniaturowa latarka. Zapaliłem ją. Smród nie krył zaskoczenia:

A cóż to jest? Czyżby różdżka? Pochodnia, która płonie bez ognia?

Hm, ta ostatnia opcja pasuje najbardziej.

Interesujące. – podrapał się po brodzie Prącioświat. – Mieszkańcy twoich krain muszą być bardzo inteligentni, skoro wymyślają takie wynalazki.

W to nie wątpię. – potwierdziłem szczerząc zęby.

W każdym bądź razie, zrobiło się jasno. Co nie spodobało się Gili'emu gdyż ujrzał coś, czego ujrzyć nie powinien. Cała fabryka grabi leżała w gruzach! Taśmy produkcyjne powyginane, wszędzie walały się niedokończone grabie, maszynaria zgruchocona przez wielką gruchę. Gili uciekł do kąta, skulił się i zaczął przebierać nerwowo palcami. Viagragorn podszedł do niego i strzelił mu w pysk. Krasnolud popatrzył się groźnie i odrzekł:

„Ty nie naciskaj, bo się w sobie zamknę”.

Gili, uspokój się! Nie wiemy co tu się stało. Nie możemy nic na to poradzić. Możemy tylko jakoś sprawdzić kto doprowadził do zniszczenia Trolli.

Viagragorn nie musiał długo czekać na odpowiedź, gdyż nagle zza ściany wyskoczyły miliony małych trolli. Te upierdliwe maleńkie stworzonka ubrane były w ogrodniczeki, a w rękach dzierżyły odświeżacze powietrza. Ulubionym ich okrzykiem wojennym było: POGO5!

Uciekajmy ile jaj w nogach. – powiedział Gili. Pędem ruszyliśmy w kierunku następnej komnaty. BeGolas niezwykle zgrzybiałymi ruchami wyciągnął łuk i starał się utrzymywać trolle na odległość. Ja pędziłem pierwszy, moje dready zasłaniały twarz. Biegiem na oślep. W końcu wałęnałem w jakieś drzwi. Prącioświat westchnął, otworzył drzwi i wciągnął mnie do środka. Zabarykadowaliśmy się kartonami po grabiach. Pomacałem czoło i zacząłem się rozglądać. Byliśmy w małym magazynie. Usiadłem na jakimś przedmiocie. Rzecz zaczęła się ruszać i chrząkać. Wzdrygnąłem się i schowałem za Smrodem. Krzyknąłem:

Zjedz jego, a nie mnie! On taki bardziej soczysty.

Nekrofiluszu, ty patafianie! – powiedział Smród.

Chętnie bym coś przekąsił. – opowiedział przedmiot. Wstał, stękając. Był to jakiś starzec w ogrodniczkach i pozaciągany sweterku, miał jednego trampka. Posiadał dziwny kapelusz, który wyglądał jak miska a z boku miał przyklepione dwie puszkę kOli, każda z długą rurą. Viagragorn zrobił wielkie oczy. Wyskoczyły mu z orbit.

Pierogalf Pierozny! Jak ja cię dawno nie widziałem, mój ziomiu z daleka!

Zakurzyłem się nieco. – odrzekł Pierogalf prostując zdrętwiałe członki.

Nie chcę przeszkadzać.... – wtrącił obojętnie BeGolas. – ale zaraz wpadną tu małe trolle i zrobią z nas papier toaletowy.

Nie martwcie się. Ja je wypędzę. Przecież władam potężną magią małych trolli! – odrzekł dumnie mag.

Więc, czemu te małe główki wciąż latają po Trolli i chcą nas zlikwidować? – spytałem.

E...no nie wiem...ale poradzę sobie! Małe trolle są wredne. Przecież to ja je stworzyłem. Z takich maciupiękich komórek....

Zamilknij cnotliwy starcze i zrób coś konkretnego. – tupnąłem nogą. Viagragorn popatrzył na mnie wyraźnie wystraszony. Jeszcze nie widział mnie w takiej furii.

Dobra dobra.... – odburknął Pierogalf. Zaczął tańczyć i wymachiwać swoją różdżką. Nagle ściany zaczęły drżeć tak, że z jednej z pajęczyn z cichym piskiem zleciał pajęczek.

Pierogalfie, czy to twoja magia? – spytał nieśmiało Gili.

Nie sądzę. To jest.....Glurog!

O kurde. – podsumował trafnie Viagragorn.

Po chwili do pomieszczenie wpadł straszliwy potwór – Glurog. Wyglądał jak gigantyczny obwieś z tlenionymi włosami i pluł płonącymi Szajbami (Szajba – człowiek wysmarowany glutem). Wystrzelił jedną Szajbę i magazynek zapełnił się lepkiem glutem. Nasza gromadka zaczęła uciekać. Dobiegli do jakiegoś mostu. Pierogalf zatrzymał się na środku. Krzyknął:

Biegnijcie beze mnie! Powstrzymam go.

Nie możemy bez ciebie, Pierogalfie! – wykrzyknął rozpaczliwie BeGolas.

Musicie doprowadzić Smroda do Wieży Odrobaczenia! To jedyna nadzieja dla Śróbziemia. Zróbcie to dla wszystkich dobrych ludów! – po tych słowach Glurog stanął oko w oko z magikiem. Mag wyciągnął przed siebie swoją różdżkę i zaczął szeptać zaklęcia. Gili, który jadł właśnie banana (Bóg wie, skąd go miał) wyrzucił skórkę. Dziwnym trafem monstrum wywinęło orla na skórcie od banana. Most zapadł się. Po chwili Glurog spadł w czarną czeluść. Wyleciała stamtąd tylko jedna płonąca Szajba.

Pierogalf zabrał dłonie z twarzy. Podsumował:

-Ależ ja jestem potężny.

-E.....no fakt. – powiedziała zgodnie cała Drużyna Zwisióra.

KONIEC AKTU IV

Evolva

KONIEC

***Dziękuję wszystkim którzy dotarli do
tego miejsca i zapraszam do lektury
następnego numeru!***